

STEVE
MARTINI

Bestsellerowy autor
thrillerów prawniczych



STAN
OSKARŻENIA



PROSZYŃSKI & SKA

STAN OSKARŻENIA

Adwokat Paul Madriani musi się zmierzyć z najtrudniejszą sprawą w karierze – wstrząsającym morderstwem, którego dokonano na jego przyjacielu pośrodku zatłoczonej ulicy. Rozdarty między obowiązkiem wobec klienta, potencjalnego źródła informacji, a pragnieniem poznania prawdy, zniechęca przekonuje się, że pędzi na szczycie niebezpiecznej fali wydarzeń, za którymi stoją bogaty meksykański developer i jego synowie oraz ludzie mordujący dla pieniędzy. Kiedy policyjne śledztwo utyka w martwym punkcie, Madriani rusza w podróż do serca dżungli na Jukatanie, by pośród zabytków Majów zmierzyć się ze śmiertelnie niebezpiecznym i przewrotnym wrogiem.

Powieści Steve'a Martiniego, stawianego na równi z Grishamem, Turowem czy Pattersonem, wielokrotnie zajmowały czołowe miejsca na liście bestsellerów „New York Timesa”. Polski czytelnik zna m.in. *Niezbity dowód*, *Świadek koronnego* czy *Projekt*, a także nakręcone na podstawie innych filmy *Sędzia* i *Formy nacisku* z Brianem Dennehyem, najlepszy dramat sądowy 1994 roku. Najpopularniejszy cykl Martiniego – o adwokacie Paulu Madrianim – kontynuuje jego najnowsza powieść *Double Tap*.



ARRAIG
205
1651



cena 29 zł

STEVE MARTINI

STAN OSKARZENIA

Przekład Norbert Radomski



DOM WYDAWNICZY REBIS Poznań 2005

Tytuł oryginału *The Arraignment*

Copyright © 2003 by SPM, Inc.

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2005

Redaktor

Błażej Kemnitz

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki

Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce

Flash Press Media

Wydanie I

ISBN 83-7301-492-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp, z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. (0-61) 867-47-08, 867-81-40; fax (0-61) 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Druk i oprawa: ABEDIK

Pamięci Ralfa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Biuro Nicka mieści się na siódmym, najniższym z pięter zajmowanych przez spółkę Rocker, Dusha & DeWine, lepiej znaną w kręgach prawniczych jako RDD. To największa firma prawnicza w mieście, zatrudniająca przeszło trzystu prawników i mająca filie w czterech miastach.

Nick pracuje tu dopiero od dwóch lat, a już ma narożny gabinet i dwóch młodych asystentów na swoje usługi. Jak minifirma w firmie. Jego gabinet został szykownie urządzony przez Danę, nową panią Rush. Jej rękę znać we wszystkim, od perskich dywanów i artystycznych glinianych waz zdobiących nisze za miękkim, skórzanym fotelem, aż po złoty kolczyk w prawym skrzydełku jego nosa.

Nick może i ma nową, elegancką żonę, ale jest wciąż tym samym człowiekiem, którego znam od przeszło dziesięciu lat. Gdy mówi, popiół z przyklejonego do dolnej wargi papierosa spada na kosztowną skórzaną podkładkę na biurko. Być może nie wygląda na swoją pozycję, ale ludzie zwykle słuchają go, gdy otwiera usta.

Strzepuje popiół grzbietem dłoni i przygląda się wypalonym śladom na nowej skórze.

- Zabije mnie, jak to zobaczy - mówi. Ma na myśli Danę. Ślini lekko palec i próbuje usunąć plamy.

- Muszę tu palić. Dana nie lubi, kiedy robię to w domu. Mówi, że od tego śmierdzą meble i jej ubrania. Ja tego nie czuję. Ale w końcu straciłem już węch.

Zaciąga się porządnie i natychmiast dostaje ataku kaszlu.

- To pierwszy dzisiaj - wyrzuca z siebie, próbując złapać oddech,

a papieros dynda mu w kąciku ust. - Ona ma rację. - Wyjmuje papierosa, przygląda się mu, po czym z powrotem wkłada go do ust. - To cholera zabija. Mam za swoje, bo zachciało mi się żenić z dekoratorką wnętrz.

Nie wspomina ani słowem o fakcie, że jest starszy od żony o trzydzieści lat. Patrzy na mnie, by sprawdzić, czy mu współczuję. Nic z tych rzeczy.

Moja firma, Madriani i Hinds, jest mała, żadna konkurencja dla RDD. Dwa lata temu mój partner, Harry Hinds, i ja wypatrzyliśmy ciche biuro w otoczonym zielenią parterowym budynku naprzeciwko hotelu Del Coronado. Szukając przyjemniejszego klimatu i pragnąc odmiany, przenieśliśmy tu praktykę ze stolicy dzięki funduszom z wysokiego wyroku w pewnej sprawie cywilnej. Od tego czasu Coronado i jego okolice stały się domem dla mnie i mojej piętnastoletniej córki, Sary. Sara nie ma matki. Nikki zmarła na raka kilka lat temu.

Do RDD sprowadził mnie dziś telefon przyjaciela. Nick ma pięćdziesiąt kilka lat. To najlepszy pod względem zarobków okres w karierze prawnika procesowego. Jest się wystarczająco dojrzałym, by mieć dobrą ocenę sytuacji, i wystarczająco młodym, by mieć siłę przebicia na sali sądowej. Nick uważa przejście do RDD za słuszną decyzję. Nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam. Sądząc z wyglądu, w ostatnich dwunastu miesiącach postarzał się o dobre dziesięć lat.

Firma zwerbowała go, zapewniając, że zostanie przeniesiony do spraw cywilnych. Tymczasem jest zagrzebany po uszy w przestępstwach urzędników. Obok spraw upadłościowych to jeden z rozwojowych sektorów prawa. Oba płyną na fali fałszowania ksiąg rachunkowych, która przetoczyła się w ostatnim dziesięcioleciu. „Pokolenie egoistów” z lat sześćdziesiątych nie radzi sobie najlepiej.

Zanim trafił do nich, Nick podnosił swe kwalifikacje w zakresie przestępstw gospodarczych przez przeszło dwadzieścia lat, najpierw w prokuraturze federalnej, potem w indywidualnej praktyce. Krążą plotki, że składała mu propozycje jakaś inna firma, on jednak postanowił zostać w RDD. Podejrzewam, że gdyby prześledzić te pogłoski, ich źródłem okazałby się Nick we własnej osobie.

Jego pracodawca potrzebował kogoś, kto mógłby się zająć szacownym biznesmenem, któremu od czasu do czasu zdarza się zrobić fałszywy krok i wpaść w tarapaty, waszym życzliwym doradcą finansowym, który postanawia, że zainwestuje wasze środki raczej w swój nowy jacht niż w obligacje, o których wam opowiadał, a potem drukuje własne papiery wartościowe, żebyście mieli co schować w sejfie. Zdaniem Nicka coś takiego trudno nawet uznać za przestępstwo.

- Mieli wdrożyć mnie do spraw cywilnych, ale, jak widzisz, nic z tego nie wyszło. - Pokazuje mi sterty akt piętrzące się pod ścianą na wysokość metra.

- Nie mogą nadażyć z dostarczaniem szaf na akta. Przez ostatnie dwa miesiące wypracowaliśmy większy dochód niż jakikolwiek inny dział. Powiedziałem im, że potrzebuję pomocy. Oni na to, że mam przycisnąć swoich ludzi. Gdybym mógł wydłużyć im dobę do pięćdziesięciu godzin, nie ma sprawy. Zrzeszenie oszustów - tak to określa. - Kantowanie klientów. Szczeniackie wygłupy. Powinni dawać człowiekowi plastikowe kółko i specjalny przycisk dekodujący, zanim oskarżą go o którąś z tych bzdur. Przyśięgam, o połowie spraw w tych aktach nie wiedziałem, że są nielegalne, dopóki nie zacząłem tu pracować.

- Dlaczego nie odejdziesz? Mógłbyś zaczepić się gdzie indziej.

- Za dużo w to włożyłem. Dwa lata. Gdzie indziej musiałbym zaczynać od początku. Za stary na to jestem. Mam żonę, która chce, żebym wkładał do sądu jedwabne skarpetki i pozywał towarzystwa ubezpieczeniowe, żeby mogła chwalić się przyjaciółkom przy obiedzie, że jej mąż specjalizuje się w prawie gospodarczym, i nie musiała kłamać. Wiem, że twoim zdaniem oszalałem, przyjmując tę pracę. Rozwódząc się, żeniąc się po raz drugi.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Twoje milczenie jest ogłuszające - mówi.

- Nie jestem twoim terapeutą.

- Wiem o tym. On mówi mi, kiedy dają dupy. No dobra, może zrobiłem parę głupich rzeczy. „Głupi” to słowo, które samo się nasuwa, prawda?

- Ponownie ocenia mój wyraz twarzy, po czym dodaje: - Okej, nie

ma co do tego dwóch zdań. Jednak co się stało, to się nie odstanie. Moje życie osobiste jest już spalone. Ale praktyka prawnicza, kariera, to rzecz rozwojowa.

Dawno już nie widziałem u Nicka tyle optymizmu, pod jakimkolwiek względem. To jeden z tych prawników, którzy czują, że żyją, dopiero gdy mają pełne ręce roboty.

- Szkoda, że nie jesteś moim terapeutą - mówi. - Powinieneś zobaczyć tego faceta. Chodzę do niego raz w tygodniu. To jak wizyty u dentysty, tyle że ten wierci człowiekowi w mózgu, i to bez znieczulenia. Mówię mu, że czuję się całkiem dobrze, że chciałbym zacząć żyć. On na to, że teraz, kiedy rozwód mam już za sobą, powinienem postarać się uwolnić od Margaret. Mówię mu, że uwolniłem się od niej kompletnie, kiedy jej adwokat załatwił mnie na rozprawie o alimenty. Jakby tego było mało, oskubała mnie co do grosza. Tłumaczę mu, że jestem zupełnie wolny, że nic mnie już z nią nie łączy. Wtedy on, chwytasz? mówi, że muszę zmierzyć się ze sprawą Margaret, żeby uwolnić się od poczucia winy. Mówię mu, że nie mam żadnego poczucia winy. On mi na to, że powinienem, a jeśli nie mam, to muszę mieć problemy z empatią. I za to każe sobie płacić sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

- Przestań do niego chodzić.

Patrzy na mnie poprzez dym papierosa z miną godną De Niro.

- Wtedy pewnie czułbym się winny - mówi. - Mój stary mawiał, że ból jest dobry dla duszy. Wiem, to ma tyle samo sensu co moja decyzja, żeby się zatrudnić w tej pieprzonej firmie. Ale jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. A jeśli tak się składa, że śpi się obok młodej dziewczyny o cudownym tyłku, czy wypada narzekać? - Śmieje się. To cena, jaką płaci za swoje żądze.

Patrzy na mnie ponad skrajem okularów do czytania. Nosi garnitur za trzy tysiące, ale ma łupież na ramionach, popiół z papierosa na krawacie i pobrużdżone, opalone czoło przechodzące w łysinę, którą stara się ukryć pod rzędzącymi kosmykami czarnych włosów.

- Ludzie z czasem oddalają się od siebie. Możesz to nazwać kryzysem wieku średniego. Możesz to nazwać drugim dzieciństwem. Możesz to

nazwać, jak sobie chcesz. Swędziało mnie. Więc się podrapałem.

W ten sposób określa dwutygodniowe szaleństwo z Daną na Karaibach. A nie było to jego pierwsze swędzenie.

Zabrał Danę z Nevis do St. Lucia, potem do Belize, a stamtąd na Bahamy, wciąż o pół kroku przed detektywem, którego Margaret najęła, by go wytropił. Co Dana powiedziała swojemu pracodawcy, nie mam pojęcia. Może wzięła urlop, a może uznała, że przywiązała Nicka do siebie na tyle mocno, że może się zwolnić.

Detektyw dogonił ich w Nassau. Przez cały ten czas Nick rzekomo był w Nowym Orleanie na seminarium prawniczym na koszt firmy.

- Robiłeś to kiedyś z dwudziestosześcioletką? - pyta ni stąd, ni zowąd.
- Jak miałem dwadzieścia sześć lat.
- Nie, nie. Mam na myśli teraz.

Wiem, co ma na myśli, ale znając go, przyjmuję, że to pytanie retoryczne. Widziałem, jak uprawia te sztuczki przed sędziami przysięgłymi dla pieniędzy, ogromnych pieniędzy, gdy broni klienta, przeszywając ich na wylot tymi swoimi świdrującymi oczkami z uśmiechem, o którym wiadomo, że nie ma w nim nic z wesołości.

Kiedy Nick zadaje pytanie w rodzaju: „Skąd wiesz, że niebo nie jest zielone?“, wcale nie chodzi mu o odpowiedź. Chodzi mu o to, by zmusić do kapitulacji wasz zdrowy rozsądek. Kiedy sprawi, że zaczniecie podawać w wątpliwość własną zdolność logicznego myślenia, przekonanie was do bajeczki, jaką opowie jego klient, stojąc na miejscu dla świadka, jest już dziecinną igraszką.

W tym przypadku chodzi o rozgrzeszenie milczeniem innego prawnika. Nawet jeśli nie robiłem tego ostatnio z dwudziestosześcioletką, Nick może się pocieszać myślą, że miałbym na to ochotę.

- Więc Margaret musiała wynająć tego szatana - mówi - jakiegoś cholernego prawnika rozwodowego z Los Angeles, żeby dać mi w kość. Hej, czy ja się skarżę?

Fakt, że właśnie to robi, bynajmniej nie zbija go z tropu.

- Nie. Ja po prostu płacę rachunek i uznaję, że taka jest cena życia własnym życiem.

Jeśli jego podkrążone oczy miałyby być wskazówką, trzeba by uznać, że życie własnym życiem najwyraźniej go zabija. Twarz Nicka jest jawnym dowodem niewyspania. Czy pracuje zbyt ciężko, żeby zarobić na alimenty, czy zbyt ostro figluje nocami z Daną, trudno powiedzieć. Cokolwiek to jest, z pewnością nie wychodzi mu na dobre.

- Gdyby ciebie tak swędziało - mówi - nie podrapałbyś się? Każdy facet z normalnym popędem seksualnym... - Gada dalej, jak gdyby mnie tu nie było.

Nick podejrzewa, że ja także miałem miłości, być może wcześniej, zanim zostałem wdowcem, choć nigdy nie zwierzałem mu się z tych spraw. To dlatego właśnie dzwoni do mnie od czasu do czasu. Jestem tańszy niż jego terapeuta, a może łatwiej ignorować to, co mu mówię, bo nie mam przygotowania z zakresu wiedzy tajemnej. Będąc poza jego stadłem, jestem ramieniem, na którym bezpiecznie może się wyplakać.

Gdy siedzi naprzeciw mnie po drugiej stronie biurka, jego brązowe oczy przywodzą na myśl coś, co zobaczyć można za siatką w schronisku dla psów. Wiszą pod nimi worki jak u basseta.

Dana, nowa pani Rush, jest szczupłą blondynką o pół głowy wyższą od Nicka. Ma świeżą urodę modelki szykującej się do kariery gwiazdy filmowej i, jeśli tylko nie straciłem zupełnie zdolności oceny charakterów, wie, jak wspinać się po drabinie życia. Spotkałem ją trzykrotnie i za każdym razem na pożegnanie rzuciła mi spojrzenie, które kazało mi się zastanawiać, czy nie próbuje czasem mnie poderwać. Podejrzewam jednak, że w przypadku Dany większość mężczyzn może ulec temu złudzeniu, podsycając je regularnie w nadziei, że kiedyś przerodzi się w rzeczywistość.

Dana ma styl, który wprost krzyczy: ZDOBYCZ. Wysoka i opalona, z uśmiechem jarzącym się jak reaktor jądrowy, jednym przelotnym spojrzeniem przez zatłoczony pokój potrafi rozpalić ego większości mężczyzn. A przy tym wszystkim ma świadomość, że prawdopodobnie popatrzyła na zegar za waszymi plecami, niepokojąc się, że spóźni się na wizytę u manikiurzystki.

Nick poznał ją podczas jakiejś kwesty politycznej. Zostawił mózg na

stole razem z datkiem i zaczął myśleć fiutem. Zlecił jej urządzenie swojego gabinetu, a co było dalej, wiadomo. Tkwi w tym kieracie od niemal dwóch lat i zaczyna wykazywać poważne oznaki zmęczenia.

- Drapałbyś się. Prawda?

- Co? - Gapię się na niego.

- Gdyby cię swędziało. Powiedz, że tak - mówi - bo zacznę podejrzewać, że coś jest z tobą nie w porządku.

Robię wymijającą minę.

- Świetnie, w takim razie powiedz, że byś się nie drapał.

- Ona jest twoją żoną - odpowiadam. - Nie drapałbym się.

- Ale gdyby nie była?

- Obawiam się, że nie mam twojej kondycji.

Wybucho śmiechem.

- Cały sekret to utrzymać odpowiednie tempo.

- Musisz mi to kiedyś pokazać.

- No tak, cóż. Przyznaję, że to może być problem. - Patrzy na mnie.

Marszczy brwi. Zmarszczki na zmarszczkach. - Tak czy owak, jeśli trzeba umrzeć, potrafisz znaleźć lepszy sposób?

Rzuca mi jedną z tych min, jakie prezentuje, nim powie, ile wyniesie jego honorarium - i zawsze płatne z góry. Nick przyjął za świętą zasadę lokalizowanie źródła pieniędzy swych klientów, by mieć pewność, że nie zostaną skonfiskowane przez rząd jako owoc nielegalnych interesów.

- Ona chce, żebym z tym skończył - mówi.

To wzbudza moje zainteresowanie i Nick zauważa to.

- Nie z praktyką - wyjaśnia - po prostu z cięższymi sprawami karnymi.

Tak więc obrywam z obu stron. Firma daje mi wycisk, a Dana dokręca śrubę. - Chwyta z biurka fiolkę środka przeciw nadkwasocie, odkręca ją, wysypuje bez liczenia kilka tabletek na dłoń, wrzuca je do ust, rozgryza, przelyka, po czym popija zawartością kubka.

Przełknąwszy, wstaje, żeby odetchnąć, i znów zaczyna narzekać na Danę.

- Jest zła, że nie dotrzymują słowa. Chce, żebym porozmawiał z Toltem. Mam go przycisnąć, żeby przydzielił mi wielkie sprawy cywilne. Akurat mi je odda. On mnie nie cierpi.

- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Musi być jakiś powód?
- Hej, znasz mnie przecież. Zrównoważony. Spokojny. Wszyscy mnie lubią. Uczę się wspinać po szczeblach kariery. Może trudno ci w to uwierzyć, ale stałem się dyskretny, taktowny, dyplomatyczny - mówi.
- Zapomniałeś noża w czyichś plecach, tak?
- Ty znów swoje. Pies próbuje nauczyć się nowych sztuczek, a ty wciąż krytykujesz.
- Nie, ja znam tego psa. Może twierdzić, że to krzak, ale usiłuje obsiakać mi nogę.
- Jak możesz tak mówić? Chodzą słuchy, że niektórzy wspólnicy chcą umieścić mnie w zarządzie.
- Domyślam się, że to ci, których portrety wiszą w holu, z datami w nawiasach pod nazwiskiem?
- Mówię poważnie - oburza się.
- Wiem, że ty mówisz poważnie. To ich stan umysłowy mnie niepokoi. Jeśli oni mówią poważnie, muszą cierpieć na demencję.
- Tak uważasz?
- Nick, umieszczenie cię w jakimkolwiek zarządzie równałoby się anarchii. Nadajesz się jedynie na cesarza, a to byłoby możliwe tylko w piekle, i to pod warunkiem, że mają tam kraty w oknach.

Parska śmiechem.

- Cóż, oni o tym myślą. Tolt jako jedyny się sprzeciwia. Z tego, co słyszę, połowa wspólników w firmie gotowa jest odejść. - Mówi to z odrobiną złośliwej satysfakcji, jak gdyby spalenie własnego miejsca pracy było jego ostatecznym celem. Nick podnieca się krwią, zwłaszcza jeśli jest to krew kogoś innego.

- Nie mów, że słyszałeś to ode mnie, ale oni są na niego wkurzeni. - Mówi o Tolcie. - Chodzą plotki, że nie będzie premii na koniec roku. On chce włączyć wszystko w nową filię w Chicago. Są już zadłużeni po uszy. Tak właśnie bywa, kiedy firma rozwija się zbyt szybko - mówi. - Jestem tu już wystarczająco długo, a Tolt zaczyna uprawiać jakąś twórczą rachunkowość. Mógłbym zgarnąć go jako klienta.

Nick bywa fantastą. Adam Tolt jest współnikiem zarządzającym firmy, praktycznie rzecz biorąc, jej szefem, Jahwe, najwyższą istotą w tym, co stanowi teraz wszechświat Nicka. Przewodniczy zarządowi, ale według wszystkich, którzy go znają, to do niego należą decyzje. Zasiada w radach nadzorczych kilkunastu przedsiębiorstw, w tym dwóch, które tworzą wskaźnik Dow-Jones.

- Więc co powiedziałaś Danie?

- Powiedziałam jej, że pracuję nad tym. Niech ma trochę cierpliwości. Kto czeka, ten się doczeka.

- To jeszcze jedna z mądrości twojego ojca?

- Przeczytałem to na identyfikatorze jakiegoś gościa w kostnicy. Siedział na torach, kiedy przejechał go pociąg, i jedyne, co udało się znaleźć, to jego stopa.

Wiem, że ta historia jest prawdziwa. Delikatność koronera.

- Poza tym mam coś jeszcze w zanadrzu.

- Co?

- W tej chwili nie mogę o tym mówić. - U Nicka wszystko jest zawsze wielką tajemnicą. Następny życiowy wyczyn.

- Do diabła, Margaret przynajmniej nic nie obchodziło - wybucha. - Mogłem robić wszystko, co chciałem, bylebyśmy tylko mieli czym opłacić rachunki.

- Mówisz tak, jakbyś żałował, że od niej odszedłeś.

- Tylko raz w miesiącu - stwierdza. - Kiedy płacę alimenty. - Zastanawia się chwilę. - Nie. Nieprawda. Czasami widzę ją w snach - dodaje. - Jak rzuca się na mnie z toporem. - Śmiech Nicka po tego typu uwagach brzmi zawsze tak samo: ostry, piskliwy chichot, jakiego nie spodziewałbyś się po mężczyźnie jego postury, z potężną klatką piersiową. To był bolesny rozwód. - Stare przysłowie mówi - ciągnie Nick - że prawda wyzwala człowieka. Jestem tego żyjącym dowodem. Powiedziałem jej prawdę, a ona rozwidła się ze mną. Ale przynajmniej przeżyła dzięki mnie chwile triumfu.

Mówiąc to, uśmiecha się. Jego rozstanie z żoną nie było zbyt eleganckie. Towarzyszył mu szum w całym mieście, plotki przy każdej studni. Człowiek obdarzony darem wymowy pozwalającym mu bez trudu oczyszczać z

zarzutów defraudantów i oszustów nie wiedział, jak powiedzieć własnej żonie, że pragnie innej kobiety.

Nawet kiedy przyłapała go z Daną, Margaret była gotowa mu wybaczyć. Ale Nick znalazł sposób, by uchronić ją przed własną słabością: słowa piosenki Paula Simona *Fifty Ways to Leave Your Lover* odtwarzanej na starym gramofonie oraz list pożegnalny zostawiony na półce ponad nim.

Margaret zemściła się podczas rozprawy rozwodowej i alimentacyjnej. Nick prawdopodobnie będzie musiał pracować jeszcze długo po osiemdziesiątce, żeby spłacić rachunki, choć przypuszczam, że jego roczny dochód przed opodatkowaniem zamyka się siedmiocyfrową kwotą. Domyślam się, że musi być teraz u niego krucho z pieniędzmi.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego cię tu ściągąłem. - Przechodzi do rzeczy.

Włos jeży mi się na karku. Nick będzie prosił o przysługę.

- Chcę, żebyś rozumiał, że to nie ja cię proszę. Tak naprawdę to Dana.

- Więc łatwiej mi będzie odmówić - odpowiadam.

- Bądź miły. Ona cię lubi. To ona zasugerowała, żebym zwrócił się do ciebie.

Robię się już nerwowo.

- Ona ma znajomego. Facet siedzi razem z nią w okręgowej komisji do spraw kultury. Wygląda na to, że wpłatał się w jakąś sprawę rozpatrywaną przez wielką ławę przysięgłych.

Zaczynam kręcić głową.

- Nie bądź tak negatywnie nastawiony - mówi. - Wysłuchaj mnie do końca. Facet jest tylko świadkiem. Może nawet nie. Nie dostał jeszcze nawet wezwania do sądu.

- W takim razie dlaczego potrzebuje adwokata?

- No cóż, on uważa, że będzie go potrzebował. Wiem. I nie prosiłbym cię, gdyby nie to, że w moim przypadku zachodzi konflikt interesów. Nie mogę go reprezentować. Facet jest w branży.

- Tak samo jak kolumbijski kartel. To nic osobistego - mówię mu.

- Na ile wiem, jest czysty. Nie był dotąd karany. To miejscowy przedsiębiorca budowlany.

Znając Nicka, facet prawdopodobnie drąży tunele pod przejściem granicznym w San Ysidro. Nick powiedziałby ławie przysięgłych, że jego klient szukał ropy naftowej, a oni najprawdopodobniej uwierzyliby mu.

- Więc dlaczego prokurator federalny chce rozmawiać z miejscowym przedsiębiorcą budowlanym?

- Dostali jakiegoś bzika na punkcie prania pieniędzy. To wszystko, co wiem. Przypuszczam, że któryś z ich donosicieli dobrał się do niewłaściwego pudełka ciastek. FBI miewa od czasu do czasu takie napady. To jak fazy księżycy - mówi. - Jeden z ich informatorów ma fatalny odlot, dostaje halucynacji, a pół tuzina agencji federalnych haruje po godzinach. Na ile rozumiem, chodzi im o tych ludzi w Meksyku.

- Jakich ludzi w Meksyku?

- Możesz wypytać o wszystkie szczegóły, kiedy będziesz rozmawiać z tym facetem.

- Nie powiedziałem wcale, że będę z nim rozmawiać.

- Nazwisko tego przyjaciela Dany. - Nie zwraca na mnie uwagi. - Prawdę mówiąc, to nie jest nawet jej przyjaciel. Po prostu poznała go parę miesięcy temu. Jak się wydaje, inny świadek wymienił jego nazwisko przed ławą przysięgłych.

- Jak do tego doszło? A bardziej do rzeczy, skąd wiesz, co powiedział świadek przed wielką ławą przysięgłych? Ostatnim razem, kiedy sprawdzałem, w salach obrad wielkiej ławy przysięgłych zamykano drzwi na klucz i spuszczano wszystkie żaluzje w oknach.

- Nie pytaj mnie o rzeczy, których nie mogę ci powiedzieć - mówi. - Do diabła, gdybym to ja został wezwany przed wielką ławę przysięgłych, pewnie skończyłoby się na tym, że wymienilibym twoje nazwisko.

- Dzięki.

- Nie, mówię poważnie. Gdybym powiedział im: „Poszedłem na lunch z moim przyjacielem Paulem”, FBI zaczęłoby przetrząsać twoje śmieci. Zawsze tak robią. Przez dwa lata prowadzą śledztwo, przekopują twój ogródek, rozmawiają z wszystkimi twoimi przyjaciółmi, wyjaśniają twojemu szefowi, że nie ma się czym martwić, chcą tylko zajrzeć do twojego biurka, żeby sprawdzić, czy nie ma tam heroiny, a potem wszystko cichnie.

Nikt nie zostaje oskarżony i nikt nawet nie wie dlaczego. Oczywiście na twój widok wszyscy twoi sąsiedzi wciągają dzieciaki do domu, zasuwają zasłony i zamykają drzwi na łańcuch. Ale to są uroki życia w demokracji, no nie?

Wciąż zastanawiam się, kim są ci ludzie w Meksyku.

- Posłuchaj. Proszę cię tylko o to, żebyś porozmawiał z tym gościem. To prawdopodobnie rozjeżdżisz się po kościach. Wątpię, żeby go wzywali.

- Parę sekund temu przetrząsali mój śmietnik.

- Tak, ale ty nie jesteś tak niepokalanie czysty jak ten facet. Słuchaj, on potrzebuje tylko kogoś, kto będzie trzymał go za rękę.

- Odnoszę wrażenie, że to coś w sam raz dla ciebie, żebyś mógł zacząć nowy rozdział - mówię mu. - Mówiłeś, że to biznesmen.

- Zająłbym się tym, gdybym mógł. Ale tu jest konflikt interesów. RDD parę lat temu prowadziła sprawę cywilną przeciwko jego firmie. Wiesz, jak to jest. Dana zrobiła wielki szum, że jej mąż jest adwokatem. Jest nowa w komisji do spraw kultury. Chciała się popisać. Więc kiedy ten gość powiedział jej o swoich problemach z prawem, ona na to: „Poproszę męża, żeby z tobą porozmawiał”. A tu okazuje się, że nic z tego. Co, twoim zdaniem, mam zrobić? Chcesz, żeby straciła twarz?

Znając Danę, facet prawdopodobnie próbował ją poderwać. Nie dzielę się z Nickiem tą myślą.

- Ona próbuje zrobić wrażenie - mówi. - Poza tym ten gość jest hojnym sponsorem. Szczodrze wspiera wszelkie słuszne sprawy.

- Jeśli robi tyle dobrych uczynków, dlaczego wielka ława przysięgłych chce rozmawiać z tym bratem Teresą?

- To pewnie nic takiego.

Zaczynam marudzić i Nick to wyczuwa.

- Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę. Ocaliłbyś mi życie - mówi. - No, może nie aż tyle.

- Chcesz powiedzieć, że wyświadczyłbym wielką przysługę Danie.

- Na jedno wychodzi.

Już widzie go, jak dziś w nocy ciągnie ją w stronę wyrka, szepcząc do

ucha, że zatroszczył się o jej przyjaciela i przekazał go w dobre ręce, cały czas czekając na drobną, słodką zapłatę.

- Jak się nazywa ten klient? - Wyciągam wizytówkę i pióro, żeby zapisać nazwisko.

- Gerald Metz. Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił.

- Żadnych narkotyków, Nick. Nie zajmuję się sprawami narkotykowymi. Wiesz o tym.

- Wiem. To nie narkotyki. Wierz mi. Na ile wiem, facet jest czysty. Jego nazwisko pojawiło się w tej sprawie, bo robił jakieś prace dla pewnych ludzi. Wiesz, jak to jest.

- Wiem, jak to jest. - Unoszę dłoń i uciszam go, zanim zacznie od nowa. Rozdział drugi: wykład Rusha na temat praw obywatelskich.

- Wysłuchaj jego historii, powiedz mu, żeby się nie martwił, i zgarnij duże honorarium - mówi.

- A jeśli wielka ława przysięgłych go wezwie? Czy on zdaje sobie sprawę, że nie mogę pójść z nim na salę?

- Wymyślasz problemy. Rany, jeśli zostanie wezwany, poinformujesz go o jego prawach. Powiesz mu, żeby powołał się na piątą poprawkę.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, że jest czysty.

Nick rzuca mi jeden ze swych słynnych uśmiechów.

- Kto potrzebowałby adwokata, gdyby był zupełnie czysty? - Po chwili śmieje się. - To tylko żart.

- Nick!

- Słuchaj, muszę lecieć. Klient czeka na mnie na zewnątrz. Jestem już spóźniony. Ale jeszcze pogadamy - mówi.

- Zdawało mi się, że zapraszałeś mnie na lunch.

- Wiem, a ty się zgodziłeś. Ale zrobiłeś to zbyt łatwo - mówi. - Następnym razem wymyśl jakieś trudności. - Wychodzi zza biurka, kładzie mi dłoń na ramieniu i prowadzi w stronę drzwi. - W przyszłym tygodniu. Ja stawiam. Obiecuję. Pójdziemy do klubu. Nie byłeś tam jeszcze. To jedna z korzyści bycia współlnikiem - stwierdza. - To i okno.

Nick dopiął swego: złapał mnie na haczyk.

- Dana powiedziała mu, że zadzwonisz do niego, żeby umówić się na wizytę.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, że to on do mnie zadzwoni.

- Naprawdę? Lepiej ty do niego zadzwoń. On mógłby zapomnieć. Powiedziałem Danie, że to zrozumiesz.

Mylilem się. Nick już dostał zapłatę od Dany.

- Słuchaj, jestem pewien, że ten gość jest czysty. Rozumiesz, moja żona nie zadaje się z kryminalistami. - Zerka na mnie ponad oprawkami swoich połówek. - To moja działka.

Bierze mnie pod rękę i prowadzi w stronę bocznych drzwi, tych, które wychodzą bezpośrednio na korytarz, a nie do poczekalni, gdzie jego klienci tłoczą się jak samoloty nad LaGuardią.

- Jak dobrze Dana zna tego gościa?

- Posłuchaj, opowiem ci coś ciekawego.

Nick zmienia temat. To jego specjalność.

- Parę tygodni temu Dana zabrała mnie na wystawę. Facet, który otrzymuje najwyższe laury. I uważaj. Jego dzieło sztuki to ściana z tektury, pomalowana na granatowo, z jakimś brokatem na wierzchu. Cała oklejona kondomami, w różnych kolorach, wiszącymi jak sflaczałe trąby słoni. Artysta dał temu tytuł: *Żyjące palce*. Zapytałem Danę, co to znaczy. A ona na to, że nie ma pojęcia.

- Może to jest w oku patrzącego - mówię mu.

- Coś na pewno było w czyimś oku - przyznaje Nick. - Bo jeszcze tego samego wieczoru ten Picasso został sprzedany za dwa tysiące siedemset baksów jakiejś starej dupencji w jedwabnej pelerynie i filcowym kapeluszu z piórkiem. Założy się, że uznała, że palce ożyją, kiedy zabierze je do domu. Nie zrozum mnie źle - dodaje. - Cenię sztukę tak jak każdy przeciętny człowiek.

To mówi ktoś, kto w college'u chodził na zajęcia z historii sztuki wcześniej rano, żeby móc spać w ciemnościach podczas pokazów slajdów.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- A o co chodziło?

- Jak dobrze Dana zna tego gościa?

- Którego? Tego, który namalował ten obraz?

- Geralda Metza - mówię.

- Ach, jego. Ona w ogóle go nie zna. Spotykają się raz w miesiącu. Zadzwoń do niego. A w przyszłym tygodniu pójdziemy na lunch. - Patrzy na

mnie swoimi wielkimi, brązowymi oczyma. To ostatnia rzecz, jaką widzę, nim stwierdzam, że stoję tuż za progiem jego gabinetu, a orzechowe drzwi zamasyżycie zatrząskują mi się przed nosem. Kolejne zwycięstwo na koncie Nicka Rusha.

ROZDZIAŁ DRUGI

- To bzdura. Nie wiem, co Rush panu powiedział, ale daję panu moje słowo. Nigdy nie byłem zamieszany w nic sprzeczne z prawem. Niech pan sprawdzi, jeśli mi pan nie wierzy. Nigdy nie byłem nawet aresztowany.

Gerald Metz jest wysoki, opalony i wysportowany. Ma wygląd człowieka, który pracuje na świeżym powietrzu, z tym tylko, że nie robi tego rękami. Jego paznokcie są wypielęgnowane, a na dłoniach nie ma nagniotków, co każe mi sądzić, że jedyną rzeczą, jaką ścisnął w nich ostatnio, były kije golfowe.

Jego wymowa jest nieco szorstka, wskazująca na człowieka, który sam doszedł do wszystkiego, wychowanego być może w jakiejś podłej dzielnicy. Nie jest kimś, kogo wyobrażasz sobie, myśląc o sztuce i tych, którzy jej patronują. Ma na sobie koszulkę polo i niebieską marynarkę.

- Dlatego właśnie, kiedy wyszła ta sprawa, byłem zaskoczony. Dlaczego, u diabła, wielka ława przysięgłych miałaby chcieć ze mną rozmawiać?

Minęły dwa tygodnie od mojego spotkania z Nickiem. Metz siedzi w moim biurze z cienką skórzaną teczką na kolanach i nerwowo papie.

Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ma około czterdziestu pięciu lat. Ma kanciaste rysy, wysokie czoło i rzadzące na skroniach włosy zaczesane gładko do tyłu na bokach.

Wyjmuje z aktówki plik papierów, podaje mi je, po czym rozsiada się wygodnie w fotelu, usiłując przybrać pewną siebie minę niczym człowiek, który wkłada źle leżące ubranie. Palcami jednej dłoni wystukuje marsza na poręczu fotela, trzyma nogę na nodze, a tymczasem jego oczy biegają nerwowo po całym pokoju, próbując znaleźć cokolwiek, na czym mogłyby się

zatrzymać. Krople potu wyskakują na jego czoło jak pryszczce.

- Mogę zapalić? - pyta.
- Wolalbym, żeby pan tego nie robił.

Głośno wypuszcza powietrze. Jeśli zostanie wezwany przed wielką ławę przysięgłych, facet będzie się pocił jak mysz.

Przeglądam dokumenty, które mi podał.

- Nawet nie znam tych ludzi. Raz tylko się z nimi widziałem - mówi.
- Mhm. - W nagłówkach ich listów do niego widzę mnóstwo razy po-ufały zwrot: „Drogi Jerry”.

Z lewego rękawa marynarki Metza wygląda kosztowny złoty rolex. Mówiąc, raz po raz zerka na niego ukradkiem.

- Ma pan inne spotkanie? - pytam.
- Hmm. Nie, nie. - Obciąża rękaw, by zakryć zegarek, i nakrywa go ręką. - Zastanawiałem się tylko, jak długo to może potrwać.
- To zależy. Czy to wszystkie dokumenty, jakie pan ma?

Kiwa głową.

- Tak jest.

W jego głosie pobrzmiewa ślad akcentu, słaby zresztą. Coś jakby Floryda, z naleciałościami z New Jersey.

- Nawet nie podpisaliśmy umowy - mówi. - Wszystko wzięło w łeb. - Wyrzuca z siebie potok nerwowych słów. - Nie mam pojęcia, dlaczego oni się mną interesują. Może mógłby pan po prostu tam zadzwonić i powiedzieć im to.

- O czym pan mówi?
- Wie pan, powiedzieć prokuratorowi, że ja nic nie wiem.
- Prokuratorowi federalnemu?
- Czemu nie?

Patrzę na niego i uśmiecham się.

- Gdybym to zrobił, wezwaliby pana na pewno.
- Dlaczego?
- Proszę mi wierzyć.
- Pieprzony rząd zawsze się czepia. Poprzednio wymyślili kontrolę ksiąg.

- Kiedy to było?
- Nie pamiętam. Parę lat temu. Szarpali mnie ponad rok. Urząd skarbowy domagał się każdego kwitu, jaki miałem. Przez czternaście miesięcy

nie znaleźli kompletnie nic. A teraz to. Jeśli chce pan wiedzieć, myślę, że to zemsta.

- Za co?

- Bo są wkurzeni, że nie udało im się nic znaleźć. Wiem tylko tyle, że moje nazwisko wciąż wypływa w tej szopce przed wielką ławą przysięgłych. Jeśli wieść się rozniesie, szlag trafi moje interesy.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że pana nazwisko wciąż wypływa?

- Ludzie są wzywani na świadków. Dawni pracownicy mojej firmy. Dzwonią i mówią mi, że wypytywano ich o mnie i o moje interesy... wie pan, z tymi ludźmi w Meksyku. - Wskazuje głową plik listów na moim biurku.

- Ci świadkowie sami dzwonią do pana czy pan dzwoni do nich?

- Do diabła, nie wiem. Co za różnica? Ktoś zadzwonił do mnie, ja zadzwoniłem do kogoś innego. W końcu wszyscy oni mówią to samo. Ten prokurator. Ten od federalnych.

- Zastępca prokuratora generalnego.

- Właśnie. On wciąż zadaje pytania na mój temat. - Milknie na chwilę.

- Nie zrobiłem nic złego, rozmawiając z tymi ludźmi. To znaczy, że świadkami.

- Prawdopodobnie nie.

- Co to znaczy: „prawdopodobnie”?

- Wolno im rozmawiać z panem o własnych zeznaniach. Jeśli chcą. Mówi pan, że to dawni pracownicy? Jakiego rodzaju prace wykonywali?

Podaje mi nazwiska.

- Jedna była sekretarką, druga moją księgową.

- Jak się pan dowiedział, że zeznawała przed wielką ławą przysięgłych?

To na moment zbija go z tropu. Nie pamięta. Mówi, że dotarło to do niego pocztą pantoflową. Branża budowlana to mała społeczność.

- Więc wygląda na to, że to pan zadzwonił do niej.

- Całkiem możliwe. Byłem wkurzony. Czy oni mogą to robić? Jakiś rządowy prawnik wypytuje o moje interesy. Wolno im to robić?

- Prokurator w obecności federalnej wielkiej ławy przysięgłych może

pytać niemal o wszystko. Co chciał wiedzieć?

- Z tego, co mi mówiono, chodziło głównie o informacje finansowe.

To miałyby sens, gdyby FBI prowadziło śledztwo w sprawie prania pieniędzy.

- Jakiego rodzaju?

- Działalność w Meksyku. Wygląda na to, że interesowała ich ta konkretna umowa.

- Niech mi pan o niej opowie. - Patrzę na leżący przede mną na biurku list z podpisem u dołu. - Niech mi pan opowie o tym Arturo Ibarze.

- To byli dwaj bracia, Arturo i Jaime. Arturo był mózgiem. Jaime nie umiał chyba nawet pisać - mówi.

- Więc ich pan zna?

- Właściwie nie. Spotkałem ich parę razy. Chodzi po prostu o to, że Jaime ma cofnięte czoło. Wie pan, co mam na myśli? Jak to się mówi... glodyta. Jaskiniowiec.

- Chce pan powiedzieć: troglodyta?

- O, właśnie.

- A ten drugi, Arturo?

- On był szefem. Wykształcony. Tęgi łeb. Przepraszam, ale mam jedno pytanie. Ile mnie to będzie kosztowało? - Znów spogląda na zegarek.

- To zależy, ile czasu nam to zajmie.

Niecierpliwi się, patrzy w sufit.

- Czy będę mógł w jakiś sposób odzyskać honorarium? Bo jeśli nie mam nic wspólnego z tą sprawą, dlaczego miałbym ponosić koszty?

- Niestety, tak to działa.

- Czy mogę odliczyć to sobie od podatku?

- Proszę porozmawiać ze swoim księgowym - mówię mu.

Patrzy na mnie, jak gdyby chciał rzucić: „Pieprzeni prawnicy”.

- Więc co chce pan wiedzieć, żebyśmy mogli z tym skończyć?

- Wszystko, co pan pamięta.

- Ci dwaj bracia byli właścicielami pewnej nieruchomości, do spółki z ojcem.

- Jak się nazywał ojciec?

- Kurczę, nie wiem. Pan Ibarra. Nigdy nie widziałem tego gościa. Słyszałem tylko, że jest liczącym się deweloperem w Quintana Roo. Południowy Meksyk - wyjaśnia. - Na Jukatanie. Był pan tam kiedyś?

Kręcę głową.

- Słyszałem tylko. - W gazetach określa się te tereny jako główny meksykański narkostan. Granicząc z Gwatemalą i Ameryką Środkową, stanowi szlak tranzytowy dla narkotyków.

- Jak zdobył pan to zlecenie? - pytam go.

- Ci dwaj bracia zgłosili się do mnie. Powiedzieli, że chcą urządzić na tej posiadłości ośrodek wypoczynkowy. Nieruchomość jest na wybrzeżu, przy plaży. W większości na bagnach. Na południe od Cancún, przy autostradzie w stronę Tulúm. Ten rejon nazywają Riwierą Majów. Zabrali mnie tam. Kilkaset akrów kaktusów, bagien i moskitów, pewnie też węży i aligatorów, gdyby zapuścić się dalej. Wierzę im na słowo, że gdzieś tam jest plaża.

- Dlaczego przyszli akurat do pana?

- Moja firma ma ciężki sprzęt. Byliśmy najbliżej. Po drugiej stronie granicy. Tam u nich większość prac wykonuje się ręcznie. Kilofem i łopatą. Siła robocza jest tania.

- Dlaczego zależało im na pańskim sprzęcie?

- Chcieli zadziałać szybko. Dogodny moment na ubieganie się o zezwolenia. Wiem tylko to, co sami mi powiedzieli.

- Proszę mówić dalej.

- Uznałem, że pewnie dali w łapę paru urzędnikom. Tak się tam żyje. - Mówi tak, jak gdyby po północnej stronie granicy łapownictwo nie istniało.

- Jak mieli panu zapłacić?

- Trochę gotówki z góry, a potem udział we własności.

- Jak duży?

- Dziesięć procent. Mieli zagospodarować nieruchomość, doprowadzić ją do stanu, w którym można by wylać fundamenty, i przekazać ją jakiejś sieci hotelowej, żeby zbudowała ośrodek. W tym momencie wszyscy mieliśmy zarobić.

- Mówił pan, że umowa nie doszła do skutku.

- Tak. Powiedziano mi, że stary zakręcił kurek. To on kontrolował

fundusze. Była jakaś kłótnia i sprawa wzięła w łeb. To tyle. Koniec pieśni.

- To wszystko?

- Raczej tak. Proszę pamiętać, że to było dawno temu. Nie może pan oczekiwać, że będę pamiętał wszystkie szczegóły. Cała rzecz trwała kilka miesięcy. Nigdy nie wyszła poza parę listów i rozmów telefonicznych.

- Ale powiedział pan, że był pan tam.

- Tak, jasne. Opłacili mi podróż. Czemu nie?

- Jak długo pan tam był?

- Kurczę, nie pamiętam. Parę dni, może tydzień. To było dwa lata temu.

Co wyklucza przedawnienie w przypadku prania pieniędzy, choć nie wspominam o tym Metzowi.

- Czy którykolwiek z ich przedstawicieli albo pracowników kontaktował się z panem w Stanach?

- Nie. Nie przypominam sobie nic takiego. Nie, proszę zaczekać. Był jeden facet. Nie pamiętam nazwiska. Spotkaliśmy się raz i rozmawialiśmy parę razy przez telefon. Może mam jeszcze jego wizytówkę. - Wyciąga portfel i zaczyna przeglądać jego zawartość: kwity z osłimi uszami, zezwolenia, legitymacja ubezpieczeniowa, która wygląda, jak gdyby pamiętała czasy wojny secesyjnej, kolekcja wizytówek. W końcu znajduje tę, której szuka.

- Jest. - Odsuwa ją od siebie na odległość ramienia, jak gdyby mogły mu się przydać okulary do czytania. - „Miguelito Espinoza”. Meksykański pośrednik pracy.

Podaje mi wizytówkę. Robię notatkę: adres w Santee i numer telefonu. Na odwrocie wszystkie dane poniżej nazwiska są po hiszpańsku, łącznie z tytułem *notario publico*. W tym przypadku oznacza to człowieka posiadającego uprawnienia notariusza. Może on zatwierdzać dokumenty i przedstawiać na nich swoją pieczęć. Określenie to jest często używane na północ od granicy, by wywołać u nieznajomych angielskiego fałszywe wrażenie, że posiadacz wizytówki jest prawnikiem, co tytuł ten oznaczałby w Meksyku.

- Coś jeszcze?

Kręci głową.

- Nie.

- Jest pan pewien?
- Tak.
- Jest parę rzeczy, z których powinien pan zdawać sobie sprawę. Fakt, że nie wezwano pana do złożenia zeznań, nie musi wcale być pomyślny.
- Dlaczego?
- Czy w związku z tą sprawą otrzymał pan jakkolwiek korespondencję od prokuratora federalnego?
- To znaczy?
- Na przykład list?
- Nie.
- To dobrze. Bo gdyby to śledztwo dotyczyło pana, przysłaliby panu zawiadomienie. Znalazłby pan tam informację o wszczęciu postępowania, ostrzeżenie przed niszczeniem dokumentów i pouczenie o prawie do narażania się z adwokatem poza salą obrad ławy przysięgłych i o prawie do odmowy składania zeznań.
- Dlaczego, do diabła, śledztwo miałooby dotyczyć mnie?
- Nie mówię, że dotyczy. Ale fakt, że nie wezwali pana na świadka i że przesłuchują pańskich dawnych pracowników, nie wróży dobrze.
- Na jego twarzy pojawia się niepokój. Metz nie patrzy już na zegarek.
- Ile rozmów telefonicznych przeprowadził pan z tymi ludźmi?
- Nie wiem. Jak, do licha, miałbym pamiętać coś takiego?
- Może pan być pewien, że DEA albo FBI będą znały odpowiedź - mówię mu. - Jeśli to pana dotyczy śledztwo, mogą mieć już wykaz pańskich rozmów telefonicznych. Będą wiedzieli, ile razy rozmawiał pan z tymi braćmi z Meksyku i jak długo trwała każda rozmowa. Mogą wiedzieć o Espinozie. Tyle będą mieli co najmniej, bo jeśli meksykańskie władze założyły tym ludziom podsłuch, będą prawdopodobnie wiedzieć znacznie więcej.
- Widzę po jego minie, że to otrzeźwiająca myśl.
- Wysłał im pan coś na piśmie, jakiegokolwiek listy? - Przed sobą mam tylko listy jednego z braci do Metza, nic idącego w odwrotnym kierunku.
- Och, nie wydaje mi się.

- Zachowuje pan kopie swojej korespondencji służbowej?
 - Tak. Ale wie pan, jak to bywa. Czasami coś ginie.
 - Co pan ma na myśli?
 - To wszystko, co udało mi się znaleźć.
 - Chce pan powiedzieć, że być może pisał listy do tych ludzi, ale nie może ich pan odszukać?
 - To możliwe. Nie pamiętam. To nie wygląda dobrze.
 - A jeśli prokurator zażąda ich okazania?
 - Dam mu to, co mam. Do cholery, co innego miałbym zrobić? Jeśli nie mogę ich znaleźć, to nie mogę. Jasne?
 - Powiedział pan, że jednym ze świadków była pańska dawna sekretarka. Ilu pracowników biurowych pan zatrudnia?
 - Jednego. Czasami wcale. Ludzie się zwalnają, przychodzą i odchodzą. Rzeczy giną. Powiedziałem dziewczynie, żeby dała wszystko, co jest w aktach, tak jak pan prosił. To jest to, co znalazła. - Wskazuje listy na moim biurku.
 - A gdyby pańska obecna sekretarka została wezwana na świadka, co by powiedziała?
- Rzuca mi twarde spojrzenie.
- Że dała mi wszystko, co udało jej się znaleźć - odpowiada.
 - I że to jest właśnie to?
 - Tak. Jasne. Nie próbuję niczego utrudniać - mówi. - Po prostu nie mogę dać im czegoś, czego nie mam.
 - Oczywiście.
 - To wszystko, co mogę panu powiedzieć.
 - Podpisał pan umowę na te prace w Meksyku?
 - Nie doszliśmy aż tak daleko.
 - Czy oni zapłacili panu coś, jakieś odszkodowanie?
 - Jak powiedziałem, opłacili moją wizytę w terenie. Koszty podróży i tak dalej.
 - Ile?
 - Nie wiem, może cztery, cztery i pół tysiąca dolarów. I jeszcze honorarium za doradztwo.
 - Na temat czego?
 - Lokalizacji, możliwości sprowadzenia ciężkiego sprzętu na teren robót i jego wywozu.

- Ile za to panu zapłacili?
- Nie pamiętam dokładnie
- A w przybliżeniu?
- Nie wiem.
- Więcej niż tysiąc dolarów?
- Och, tak.
- Więcej niż pięć tysięcy?
- Mhm.

Odrywam wzrok od notatnika i patrzę na Metza.

- Ile?
- Coś w okolicy dwóch milionów - mówi.
- Dolarów? Kiwa głową.

Siedzę, gapiąc się na niego jak zwierzę, które nocą dostrzegło przed sobą rozpędzoną lokomotywę.

- Honorarium za doradztwo?
- No nie, nie, to było... ściślej mówiąc, to miała być kaucja.
- Kaucja za co?

- Za mój sprzęt. Do diabła, nie myśli pan chyba, że wywiózłbym za granicę ciężki sprzęt, nie mając jakiegoś zabezpieczenia z góry. To drogie rzeczy. Duża ładowarka, taka z przegubowym podwoziem, może kosztować nawet ćwierć miliona dolarów. A co, jeśli przypadnie? W końcu nie mówimy o Nevadzie. Gdyby posmarowali kogoś, żeby dostać zezwolenia, a ten ktoś spadłby ze stołka, pieprzone bagno bez zezwolenia na osuszanie nie byłoby warte funta kłaków - stwierdza. - Pierwsze, co zrobiłby meksykański rząd, to zgarnąłby mój sprzęt.

- Więc jakie były uzgodnienia co do tych pieniędzy, tej kaucji?
- Miałem zatrzymać pieniądze do momentu zakończenia prac. Potem miałem zabrać swój sprzęt i odebrać zapłatę, a oni odzyskaliby kaucję.
- Ale nigdy nie podpisał pan umowy i nie wysłał za granicę żadnego sprzętu?
- Nie.
- A oni dali panu dwa miliony dolarów na słowo?
- Zgadza się.
- Więc co się stało, kiedy sprawa upadła?

- Dostali z powrotem swoje pieniądze.

- Całą sumę?

Krzywi się. Ściąga lekko usta.

- Bez dziesięciu procent - mówi.

Patrzę na niego.

- Za mój czas.

- Jaki czas?

- Wie pan, przygotowania. Rozmowy. Wyjazd w teren.

- Ale powiedział pan, że wyjazd był opłacony przez nich.

- Tak. Ale mój czas jest coś wart, no nie? Jak mówiłem, honorarium za doradztwo.

- Jednak nie miał pan żadnej umowy ani pisemnych ustaleń co do tego honorarium, zanim pan tam pojechał?

- Nie.

- Tydzień pańskiego pobytu w Meksyku, nie licząc kosztów podróży, które opłacili, jest wart dwieście tysięcy dolarów?

- Mogłem w tym czasie wykonywać inną pracę - mówi.

- Stracił pan duże zlecenie z powodu tego tygodnia w Meksyku, tak?

- Mogłem stracić. To znaczy, mogło się tak zdarzyć. Nie wiem.

Zaczynam bazgrać jak szalony, próbując przelać opowieść Metza na papier, zanim jej absurdalna logika ulotni się niczym dym.

- A co zrobił pan z dwoma milionami kaucji? Wpłacił je pan do banku tu, w Stanach?

- Nie od razu - mówi.

Przestaję pisać i znów unoszę wzrok.

- Co to znaczy?

- Kiedy umowa nie doszła do skutku, ściągnąłem tu swoje pieniądze...

- Swoje pieniądze?

- Te dwieście tysięcy. Partiami - wyjaśnia.

- Stop. Założył pan konto w jakimś zagranicznym banku?

- Tak.

- Gdzie?

- W Belize - mówi.

- Dlaczego w Belize?

- Nie wiem.
- Zgłosił pan to konto w rozliczeniu podatków za ubiegły rok?
- Nie pamiętam. Musiałbym porozmawiać z księgową.
- Czy to ta księgową, która zeznawała przed wielką ławą przysięgłych?
- Tak. Chyba tak.
- A te dziesięć procent, które pan zatrzymał. Co pan z nimi zrobił?
- Przeniosłem je tutaj.
- Do banku w Stanach?
- Tak jest.
- Ale nie wszystko naraz?
- Nie. Jak już mówiłem, partiami, w miarę potrzeb.
- Niech zgadnę. Po dziesięć tysięcy?

Kiwa głową.

Tyle właśnie wynosi dozwolony limit dla gotówki wwożonej do kraju. Nie muszę pytać, jak przeniósł tu całą sumę. Metz nie czekałby dwadzieścia lat, by przerzucić do Stanów dwieście tysięcy po dziesięć patyków rocznie. Bez wątpienia korzystał z pomocy mrówek, przyjaciół albo pracowników, których wysyłał do Belize, żeby ściągnęli dla niego forszę, kiedy tylko potrzebował gotówki.

- Boję się pytać, ale czy te pieniądze zostały wypłacone panu czy pańskiej firmie?

- Trudno czasem ustalić, które wpływy dotyczą mojego przedsiębiorstwa, a które mnie osobiście. To opłaty za usługi.

- Domyślam się. Szczególnie jeśli chodzi o honoraria za doradztwo, prawda?

- Tak. - Jego oczy rozbłyskują wdzięcznością za odpowiedź.

- Panie Metz, nie sądzę, żebyśmy mogli współpracować. Ale ponieważ płaci mi pan za mój czas, w każdym razie za tę wizytę, udzielę panu pewnej rady.

Patrzy na mnie. W jego oczach po raz pierwszy pojawia się ślad zaskoczenia.

- Gdyby był pan moim klientem, którym pan nie jest, i gdyby został pan wezwany przed wielką ławę przysięgłych, radziłbym panu powołać się na piątą poprawkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jest koniec kwietnia i Nick stoi na chodniku z rękami wciśniętymi w głębokie kieszenie przewiązanego paskiem trenca, który odkład go znam, wkłada w chłodniejsze poranki. Tkwi przy krawężniku, piętnaście metrów od szyldu nad wejściem, ogromnych złotych liter, z których każda większa jest niż płyta nagrobna, głoszących: SĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH IM. EDWARDA J. SCHWARTZA.

Rush jest jedynym prawnikiem, jakiego znam, który nigdy nie nosi ak-tówki. To sprzeczne z jego zasadami i mogłoby podkopać wrażenie, że jest w stanie zrobić wszystko z marszu i od ręki.

Idąc w jego stronę, widzę, jak wypuszcza obłoczki oddechu w chłodną poranną mgłę. Dostrzega mnie o przecznicę wcześniej i uśmiecha się. Wita mnie skinieniem głowy w stylu: „Co słyhać?”, kołysząc się dla rozgrzewki w przód i w tył, z pięt na czubki palców. Jest zimno jak na San Diego. Sezon wczesnoporannych mgieł. Po południu ludzie będą chodzić po ulicy w samych koszulach.

Ósma trzydzieści. Spotykamy się na krótką rozmowę przy kawie, żebym mógł przekazać mu sprawę Metza. Nick ma się spotkać z klientem o dziesiętą. Jeśli będę miał szczęście, do tego czasu zdążę się już ulotnić. Nie mam ochoty angażować się bardziej w tę sprawę. Nick będzie miał potem pół godziny, zanim pojawi się z Metzem przed sędzią. Przeczucie nie myliło Nicka pod jednym względem. Metz nie został wezwany przed wielką ławę przysięgłych. Sześć dni po naszej rozmowie postawiono go w stan oskarżenia na podstawie licznych zarzutów o pranie pieniędzy i przestępstwa walutowe. Dziś rano ma się stawić w federalnym sądzie okręgowym w celu odczytania aktu oskarżenia. Jak przypuszczam, to tylko rozgrzewka.

Oto Nick Rush w klasycznym wydaniu: surfuje jak tajfun przez uporządkowany świat prawa, balansując na czubkach palców na krawędzi deski. Robienie wszystkiego na ostatnią chwilę jest dla niego sprawdzianem własnej zręczności i miernikiem jego mniemania o sobie.

Od początków swej kariery wyznaje pogląd, że każdy prawnik, który

potrzebuje więcej niż dwadzieścia minut, by przygotować się do jakiegokolwiek wystąpienia w sądzie, powinien poszukać sobie innej pracy. Widziałem, jak daje szkołę ambitnym młodym prokuratorom, którzy spędzili rok, budując sprawę tylko po to, by zobaczyć swe argumenty splukane z siłą wodospadu, gdy Nick zaczynał popis przed ławą przysięgłych.

Dlatego właśnie jego terminarz jest wypełniony do ostatecznych granic. Jeśli wyprowadziliście parę milionów z konta swojej firmy albo macie w domu pod podłogą pół tony koki i przyłapano was na kradzieży prądu z sieci, bo w waszej piwnicy kiełkuje pod lampami dżungla marihuany, człowiekiem, którego potrzebujecie, jest Nick Rush. Czy preparujecie amfetaminę, czy księgi rachunkowe, jego kojące słowa, wypowiedziane tonem niewzruszonej pewności, uśmierzą wasze lęki szybciej niż dawka relanium.

Nick uznał, że nie jest mu potrzebne dłuższe spotkanie z Metzem, jeśli tylko wprowadzę go w temat. Uprzedziłem go, że Metz to dynamit z krótkim lontem w zadku, ale dostrzegł w tej sprawie jedynie wyzwanie. Poza tym, jak mi powiedział, nie ma znaczenia, co na niego mają. On oświadczy, że jego klient jest niewinny, a argumenty dopracuje później. Jak twierdzi, poinformował Metza przez telefon o konflikcie interesów, a Metz podpisał ugodę, którą przesłali sobie w tę i z powrotem.

Gdy podchodzę, uśmiecha się szeroko, ale nie wyciąga rąk z kieszeni, by się przywitać.

- Mogę teraz potwierdzić tezę Hemingwaya: słońce też wschodzi - mówi. Spogląda na zasnuite mgłą niebo. - Chociaż stojąc tutaj, trudno się tego domyślić.

- Hemingway był rano zbyt załany, żeby mógł sam to stwierdzić. Wyczytał to w Biblii - odpowiadam.

- To właśnie mi się w tobie podoba. Masz głowę do takich pierdoł.
- Przydaje się to, kiedy mam do czynienia z ludźmi takimi jak ty.
- To znaczy z jakimi?
- Takimi, których interesuje tylko ogólny obraz - mówię mu.

Parska śmiechem, ale taka jest prawda. Nick nie marnuje energii na szczegóły, które nie mają istotnego znaczenia dla ogólnego obrazu, zadania, którym zajmuje się w danym momencie. Jego umysł pracuje jak odkurzacz. Potrafi w trzy minuty wessać najdrobniejsze szczegóły procesu, uporządkować je według ważności i wykorzystać, niczym armię gotową do bitwy, na sali sądowej, podczas gdy jego przeciwnik wciąż jeszcze mocuje się z zamkiem swej aktówki.

- Zawsze myślałem, że to ty wydzwaniasz z samego rana do sądu - mówię.

- Po to właśnie Bóg stworzył młodych asystentów - odpowiada. - Gdyby nie Dana, ten dupek rozmawiałby z federalnym obrońcą z urzędu.

Ostrzegam go, że kiedy usłyszysz, co mam mu do powiedzenia, być może zechce przemyśleć raz jeszcze, czy przyjąć tę sprawę. Proponuję bufet w gmachu sądu. Nick mówi, że woli małą kafejkę za rogiem, po drugiej stronie ulicy, i rusza przodem.

Tych kilka ulic wokół dwóch gmachów sądów - jednego zarezerwowanego dla spraw upadłościowych, drugiego dla poważniejszych historii - stanowi terytorium federalne. Niczym dawne szczepy indiańskie, ta część miasta rządzi się odmiennymi zasadami i cechuje odrębną kulturą. Tutejsi gliniarze są funkcjonariuszami FBI, IRS, DEA i kilkunastu innych alfabetycznych imperiów, z których każde stara się zademonstrować swoje absolutne pierwszeństwo w hierarchii służb ochrony bezpieczeństwa publicznego.

Sądy federalne są marmurowymi królestwami, w których zamiast lokajów widzi się siwowłosych woźnych w granatowych marynarkach klubowych. Panuje tu wytworna i nobliwa atmosfera, jakiej nie spotyka się na poziomie lokalnym. Wszystko to świadczy o nieograniczonym budżecie i możliwościach podatkowych rządu federalnego, którego ręce tkwią w kieszeniach każdego obywatela aż po pachy. Jest to świat, w który nieczęsto się zapuszczam; moim terenem działania są podrzędne, nieco obskurne sądy stanowe, gdzie ci, którzy ustalają politykę, nie mogą drukować własnych pieniędzy.

Nick czuje się w tym środowisku jak ryba w wodzie. Będzie szedł ramię

w ramię z najbardziej surowymi spośród miejscowych sędziów federalnych, a od czasu do czasu pozwoli sobie nie okazać im należnego szacunku.

Jak gdyby na potwierdzenie tej tezy prowadzi mnie do obskurnej kafejki na parterze starego hotelu Capri.

- Przychodzę tu na kawę od dwudziestu lat. Dzień w dzień - mówi. Prowadzi mnie w dół po kilku schodkach. Ściany są odrapane, farba odchodzi płatami. Po jednej stronie brakuje poręczy. Zapewne pożyczyl ją sobie jakiś włóczęga.

- Znałem kiedyś gościa, który był właścicielem tego lokalu - mówi Nick.

Otwiera drzwi i wchodzi pierwszy. Ruszam za nim, lecz przystaję w progu. To miejsce jest istną norą.

- Nie wiedziałem, że masz takie świetne koneksje - mówię mu.

- Wtedy wyglądało tu lepiej - odpowiada. - Podupadł ostatnimi laty.

- Coś ty? W życiu bym nie poznał.

Ściany kafejki mają ten spłowiały odcień brązu, o którym wiadomo, że nie jest farbą. Stalowy okap nad grillem w kuchni jest impregnowany tak grubą warstwą łożu, że kucharz mógłby otworzyć własną wytwórnię świec.

- Co najlepsze, tu jest zacisznie.

- Domyślam się dlaczego.

Boję się pytać go o hotel nad nami. Przy najłżejszym wstrząsie gotów zwalić się nam na głowy, kiedy będziemy tu siedzieć.

- Właściciel nazywał się Wan Lu Sun. Chińczyk - mówi Nick. - Dobry biznesmen. Ale zmarł parę lat temu. Teraz lokal należy do jego dzieciaków. One nie są takie jak stary. To nowe pokolenie. Bez poczucia wartości. Z amerykanizowane - wyjaśnia.

- Skoro tak twierdzisz. - Wciąż rozglądam się dookoła, starając się nie oddychać w obawie, że drobinki kurzu unoszące się w samotnej smudze światła, która zdołała przeniknąć przez jedno z oblepionych brudem okien, mogą być pyłem azbestowym.

- Deweloperzy czekają w kolejce jak sępy, żeby zrównać te mury z ziemią - mówi.

- To chyba nie jest ten budynek, który...
- Owszem. - Nick uśmiecha się do mnie.
- Powiedz, że to nieprawda.
- To prawda - mówi.

Gazety piszą o tym już prawie od roku. Grupa aktywistów z lokalnej społeczności rozpoczęła kampanię na rzecz ratowania pewnych budynków w śródmieściu, twierdząc, że zasługują na uznanie za zabytki. Co parę miesięcy nazwisko Nicka pojawia się na łamach tej szarzy.

- Posłuchaj mojej rady - mówię mu. - Ta rudera aż się prosi o zrównanie z ziemią.

- Poczekaj trochę. Wrośniesz w ten klimat.

- Tego się właśnie obawiam. Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty?

- Mam, ale uważam, że jestem to winien staruszkowi.

- Jakiemu staruszkowi?

- Lu Sunowi - wyjaśnia. - Do diabła, gdyby on żył, żaden deweloper nie śmiałyby się zbliżyć do tego miejsca. Musiałby wcześniej wysłać swojego pierworodnego jako zakładnika. Staruszek dałby się posiekać za ten teren.

Nickowi zdarzyło się stoczyć w swej karierze kilka walk z wiatrakami, ale to już przesada nawet jak na niego.

- Wiem, że nieraz dolewałeś oliwy do ognia - mówię mu. - Ale od tej strony jeszcze cię nie znałem. Skąd ta pasja ratowania zabytków?

- To przyszło z wiekiem. - Uśmiecha się, po czym puszcza do mnie oko. - A tak naprawdę, między nami mówiąc, po prostu lubię robić zamęt.

- Nigdy bym się nie domyślił.

- Firma zachęca nas do działania na rzecz społeczności lokalnej. Musiałem znaleźć sobie coś do roboty. Poza tym nie mam ochoty chodzić dwie przecznice dalej do Starbucks tylko po to, żeby podjąć kluczową decyzję, na jaki napój mam chęć danego ranka. Tutaj mam cały lokal dla siebie. Chodź, usiądziemy. Tamten boks w rogu jest mój. Jedyny bez dziur w tapicerce - śmieje się.

Nick zna kelnerkę po imieniu. Kobieta wygląda, jak gdyby pracowała tu od dnia uroczystego otwarcia hotelu.

- Dwie kawy, Marge. Wypijemy je w boksie. - Oddaje menu i wyciąga

w biegu kilka torebek słodzika Equal z prywatnego schowka pod kasą.

- Nie noszę Sweet'n Low - mówi, prowadząc mnie tanecznym krokiem w stronę boksu. - Zostawia posmak.

Wsuwamy się na miejsca za stolikiem, ławy jakby żywcem przeniesione z lat pięćdziesiątych, kiedy to, jak przypuszczam, lokal był odnawiany po raz ostatni.

- Musisz przyznać, że ma swój klimat - mówi Nick. - Jeszcze tylko jakiś zawiany gość powinien wjechać tu cadillakiem ze skrzydłami przez frontową ścianę i byłoby super.

Marge podchodzi ze szklanym dzbankiem i napełnia nam filiżanki. Nick pyta ją o zdrowie. Gawędzą.

To pewne, że moje zmysły są przytłumione przez woń palącego się tłuszczu z kuchni, gdzie gotuje się chyba tylko jedzenie dla kucharza, ale odnoszę wrażenie, że kawa wypelza z dzbanka, zamiast wylewać się z niego. Ma płynną konsystencję, lecz dostrzegam w niej mnóstwo czarnych, przypominających smołę grudek.

- Wie pani, rozmyśliłem się - mówię. - Wolałbym herbatę.

- Mamy tylko Earl Grey - odpowiada.

- Może być. - Bylebym widział przez wrzątek dno filiżanki.

Marge odchodzi, żeby mi ją przynieść.

Nick spostrzega, że wpatruję się w jego filiżankę, do której wsypuje właśnie trzy paczuszki imitacji cukru i dolewa śmietanki.

- Coś nie tak?

- Po prostu nie lubię używać o tak wczesnej porze tabletek do uzdatniania wody.

- Coś ty, te szczyzny to autentyk - mówi.

- Tego się właśnie obawiam.

- Tak naprawdę, jeśli chcesz wiedzieć, autentyczne szczyzny są w Londynie. Czytałem o tym niedawno w gazecie.

Oto cały Nick. Wszystko przypomina mu jakąś anegdotę, nawet na niecałą godzinę przed rozprawą w sądzie.

- Wymyślili tam świństwo, które nazywają crappuccino. Ludzie płacą za to kupę szmalu. Parzy się to z jakiegoś rodzaju ziaren kawowych wydolonych przez małpy.

- Nick. Jeszcze nie jadłem śniadania.
- Chcesz jeść? Powiem jej, żeby przyniosła menu.
- Nie!

Parska śmiechem.

- Nie żartuję. Pięćset dolarów za uncję i trzeba użyć papieru toaletowego jako filtra. Podobno ma bardzo ziemisty posmak.

- Nic dziwnego, że Anglicy wolą herbatę - stwierdzam.

- Wierz mi, tutejsza kawa jest świetna - mówi. Mimo wszystko jednak spogląda w dal, jak gdyby miał może ochotę spróbować kiedyś tego crappuccino.

- Czas ucieka - przypominam mu. - Chcesz, żebym naświetlił ci sprawę Metza czy nie?

- Nie denerwuj się. Postawienie w stan oskarżenia to tylko wstęp. Wiesz - mówi. Znów rozgląda się dookoła, podziwiając swoją prywatną jadalnię. - Masz pojęcie, ile to miejsce może być warte? Nie mam na myśli budynku. Mam na myśli lokalizację.

Kręcę głową.

- Ale nie wątpię, że mi to powiesz.

Wyciąga coś, co wygląda jak telefon komórkowy. Ostatnimi czasy bawi się tym gadżetem. Mówię na nie wszystkie „PalmPilot”. Nick twierdzi, że ten akurat to handspring, wszelkie możliwe urządzenia elektroniczne zamknięte w pudełku wielkości talii kart.

Wysuwa małe rysik z boku obudowy i zaczyna stukać w ekran.

- Nie masz chyba zamiaru dzwonić gdzieś teraz?
- Po prostu liczę na kalkulatorze.
- Nick, posłuchaj. W biurze czeka na mnie praca.
- Spokojnie. Wyluzuj się. Dlaczego jesteś wciąż taki spięty?
- Nie jestem spięty. Po prostu mam lepsze rzeczy do roboty.

Oto cały Nick. Spycha mnie do defensywy, kiedy sam marnuje mi poranek, medytując nad cenami nieruchomości w śródmieściu.

- Przypuszczam, że poszłoby za osiem milionów, może osiem i pół - mówi.

Metz prawdopodobnie ściera już sobie podeszwy butów przed gmachem

sądu, zastanawiając się, czy będzie spał tej nocy we własnym łóżku czy na jednej z prycz w areszcie federalnym.

- I leży poza korytarzem dla samolotów lądujących na Lindbergh Field. To ważne - dodaje. - Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Niespecjalnie, ale podejrzewam, że i tak mi powiesz.

- Dlatego że poza korytarzem możesz budować tak wysoko, jak masz ochotę, jeśli tylko uzyskasz odstępstwo. Wiesz, zgodę na ominięcie obowiązujących ograniczeń wysokości.

- Przerzucasz się na pośrednictwo w handlu nieruchomościami?

- Nie, ale powinienem - stwierdza. - Jakiś deweloper przyjdzie tu, kupi tanio to miejsce, pójdzie do zaprzyjaźnionego człowieka z komisji planowania przestrzennego albo do naczelnika okręgu i z dnia na dzień pomnoży swoją inwestycję razy cztery. Musi tylko uzyskać zgodę na wyższą zabudowę. Nie musiałby nawet robić nic z samą nieruchomością. Wystarczyłoby, żeby odsprzedał ją dalej. Zarobili by na czysto ile? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć milionów? A te dupki nazywają naszych klientów oszustami.

- To jest biznes - odpowiadam.

- Taaak. Biznes, w który powinniśmy wejść. - Uśmiecha się. - Ale my jesteśmy na to zbyt uczciwi - mówi. Znowu zaczyna pieprzyć. - A poza tym lubię pielęgnować przeszłość. Dana ma swoje racje, ja mam swoje.

- Możemy teraz wrócić do Metza? - pytam.

- Jesteś pewien, że chcesz to oddać?

- Co?

- Metza. - Patrzy na mnie, jakbym nadawał na jakiejś innej fali. - Rozumiesz, to mogłaby być okazja.

- Nie wątpię.

- Moglibyśmy poprowadzić to wspólnie - mówi. - Ostatecznie jesteś jedynym człowiekiem, jakiemu kiedykolwiek powierzyłem jeden z moich nielicznych prawdziwych sekretów.

- A co to za sekret?

- Laura - odpowiada ze śmiertelną powagą.

Niemal zapomniałem. Sądziłem, że Nick był zbyt zawiany, żeby pamiętać

wieczór, w którym wymknęło mu się to przy kielichu po fatalnym dniu w sądzie. Mimo eleganckiej młodej żony czuł się nieudacznikiem. Laura jest tajemnicą w życiu Nicka - i prawdopodobnie jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek naprawdę kochał.

- Widziałeś się z nią ostatnio?

- W zeszłym tygodniu - odpowiada. - Tylko przez parę minut. Posłuchaj. Z Metza da się wyciągnąć pokaźne honorarium. - Nick potrafi gładko zmieniać temat. Szczególnie jeśli to coś, o czym nie chce mówić. - Musi mieć forszę, skoro jest związany ze sztuką.

Śmieję się.

- To prawda. Nie spotkałem jeszcze wśród tych ludzi żadnego, który nie miałby pieniędzy. Mogą nie mieć gustu, ale kasę mają wszyscy. To warunek wstępny. W przeciwnym razie nie są dopuszczani do bractwa. Nie trafiają na główną listę w aukcjach i zbiórkach pieniędzy. Ich zdjęcia nie pojawiają się w rubryce towarzyskiej „Tribune” i „Times a”.

- To w ten sposób się tam wkręciłeś?

- Ja wkręciłem się przez żonę. Ona ma klasę i gust - mówi.

- I twoją książeczkę czekową.

- To też. - Pije łyk kawy, co sprawia, że muszę odwrócić wzrok. - Jakie inne przyjemności zostają człowiekowi, kiedy jest już stary i gruby?

- Nigdy bym nie przypuszczał, że aukcje dzieł sztuki to taka rozrywka - zauważam.

- Nie mówiłem o sztuce. - Mówi o Danie. - Daj spokój. Czemu pękasz? Ty możesz trzymać Metza za rączkę, a ja zajmę się procesem. Potem złapiemy go za kostki i potrząśniemy, żeby zobaczyć, co ma w kieszeniach.

- Możesz być zaskoczony tym, co wypadnie - mówię mu.

- Aż tak źle? - pyta.

Nick i ja nie kontaktowaliśmy się od czasu naszej rozmowy przed czterema dniami. Wcześniej cały tydzień ściągałem go telefonicznie, zanim w końcu dorwałem go w biurze, wtedy jednak nie chciał omawiać szczegółów. Taki jest charakter praktyki Nicka. Nigdy nie można być pewnym, czy telefon nie jest na podsłuchu.

- Chcesz poznać moje uczciwe zdanie?

Kiwa głową.

- Mamy tu wszystkie elementy, łącznie z transferem wielkich sum i opłatą za pranie.

Ślucha, kiedy wtajemniczam go w sprawę.

- Jeśli wierzyć twojemu człowiekowi, zainkasował dwieście tysięcy dolarów, a równocześnie umieścił dwa miliony należące do jego partnera na rachunku w Belize.

Nic z tego nie wytrąca go z równowagi.

- Mów dalej.

- On nazywa swoją działkę honorarium za doradztwo, ale ta suma nigdy nie pojawiła się w księgach rachunkowych jego firmy.

- Więc mamy błąd księgowy - kwituje Nick.

- Twierdzi, że te pieniądze miały w rzeczywistości być kaucją za ciężki sprzęt, który powinien wysłać na południe, żeby wykonać roboty. Tyle tylko że żaden sprzęt nigdy nie ruszył w drogę. Według Metza, umowa w ogóle nie doszła do skutku. Pojechał na jedną wycieczkę do Meksyku, która trwała może z tydzień, i za to policzył sobie dwieście tysięcy dolarów honorarium.

- Może jego czas jest cenny - mówi Nick.

- A może jego dwaj meksykańscy partnerzy chcieli wyprać pewne dochody z nielegalnej działalności?

Nick odchrząkuje.

- To nie znaczy, że on o tym wiedział.

- Ponadto, jeśli nie myślę się co do tego człowieka, znajdziesz przestępstwa walutowe i prawdopodobnie uchylanie się od płacenia podatków.

Nick unosi jedną brew, gładzi się po podbródku i patrzy na mnie z miną, jakiej mógłbym się spodziewać od jubilera, który słyszy, że pierścionek z brylantem, do kupna którego właśnie mnie namawiał, jest z topniejącego lodu.

- Jeśli sprawdzisz, odkryjesz, jak myślę, że wykorzystywał przyjaciół i sąsiadów do ściągnięcia swojej zapłaty do kraju, żeby zmieścić się w dopuszczalnym limicie wwozu pieniędzy. A jeśli tak, przypuszczam, że mógł pójść jeszcze jeden maleńki krok dalej i zapomnieć o zgłoszeniu tego w swoim zeznaniu podatkowym.

- Pytałeś go o to?

- Uznałem, że lepiej będzie zostawić to tobie.

Nick kiwa ze zrozumieniem głową. To wyćwiczony ruch, doprowadzony do perfekcji przez lata słuchania o ciemnych sprawkach, tak że teraz nie już właściwie nie jest w stanie zbulwersować go ani zniechęcić.

- Co powiedział o tym koncercie w Belize? Dlaczego je założył?

- O to też nie pytałem. Nie chciałem ograniczać ci pola manewru.

Śmieje się i unosi filiżankę w toaście.

Często podejrzewałem, że Nick nie wzdraga się przed poddawaniem faktów operacjom kosmetycznym, jeśli tylko on i jego klient są bezpieczni za zaciągniętymi zasłonami. Dlatego właśnie nie wchodziłem w te szczegóły w rozmowie z Metzem. Nie chciałem skończyć jako instrumentariusz Nicka.

- Pytałeś go, dlaczego zatrzymał te pieniądze? Te dwieście tysięcy? - Nick mimo wszystko nie traci nadziei.

- Niestety pytałem, a jego odpowiedź nie była ani zachęcająca, ani wiarygodna.

- Co powiedział?

- Honorarium za doradztwo.

- Mnie się to wydaje w porządku - mówi.

- Szczególnie jeśli możesz uszczknąć sobie z tego wynagrodzenie za usługi prawnicze - zauważam.

- Widzisz, już się uczysz. Zacznijmy patrzeć na pozytyw.

Nick zasłuży na to, by wystawić mu kamienny pomnik optymizmu, jeśli zdoła znaleźć cokolwiek dobrego w tej aferze.

- Nic z tej zasadniczej sumy nie trafiło do Stanów, prawda? Mam na myśli te dwa miliony. Powędrowały z Meksyku do Belize i z powrotem, zgadza się?

- Nie licząc zapłaty Metza.

- Na razie zapomnij o tym. No więc mamy tu prawdopodobnie do czynienia z jakimś szalbierstwem finansowym. Ale to wszystko odbyło się poza jurysdykcją Stanów. No nie?

- Można tak na to spojrzeć. A można i tak, że chodzi o obywatela Stanów Zjednoczonych ułatwiającego dokonanie przestępstw walutowych w dwóch obcych krajach.

- No i co? Niech tam go oskarżą. Ani ty, ani ja nie mamy uprawnień do wykonywania zawodu w Meksyku. To nie nasz problem.

- Zapytaj Metza, czy chce zaryzykować spędzenie następnego tysiąclecia w jakimś śmierdzącym meksykańskim pierdlu.

- Myślisz, że meksykański rząd naprawdę wniósłby oskarżenie?

- Myślę, że jeśli FBI próbuje przycisnąć twojego człowieka, żeby sprawdzić, co wie, może równie dobrze postraszyć go ekstradycją na południe. Przypuszczam, że byliby w stanie nakłonić meksykański rząd do współpracy. Kiedy sprawdzałem ostatnio, oba kraje miały odpowiedni traktat.

Nick rozważa ten problem, pocierając podbródek grzbietami palców. Uśmiecha się do mnie spoza stolika.

- Chyba będę musiał porozmawiać z żoną o tym, w jakim towarzystwie się obraca.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie - mówię. - Powiedz, że nie sądziłeś, że to może mieć związek z narkotykami.

Patrzy na mnie i waha się tylko sekundę.

- Jasne. Nadal uważam, że nie ma - stwierdza.

Słowa padły, ale nie brzmią przekonująco. Fakt, że mówi je z uśmiechem, jeszcze bardziej podkopuje cały efekt. Jeśli nawet Nick nie wiedział o tym, jego zachowanie mówi mi, że miał poważne podejrzenia. Dziękując mi za mój czas, dopija kawę, podczas gdy ja zatapiam wzrok w stalowym dzbanku z wodą. Nick zerka na zegarek.

- No, muszę już iść - mówi. - Chyba że zechcesz jednak wyświadczyć przyjacielowi przysługę.

- Daj już spokój - odpowiadam.

- Rozumiem - mówi i wysuwa się z boksu. - Zadzwoń do ciebie po południu. Powiem ci, jak poszło.

- Nie, chyba że chcesz, żebym wystawił ci rachunek za stracony czas.

Śmieje się, po czym rusza w stronę wyjścia.

- Marge. Mój przyjaciel zapłaci. Dolicz spory napiwek - mówi.

Zanim mam czas odwrócić się, by powiedzieć cokolwiek, jest już za drzwiami.

Tak to wygląda z Nickiem. Potrafi oszwabić człowieka na dwadzieścia sposobów, ale tryska takim optymizmem, że trudno go nie lubić.

Daję mu spore fory, bawiąc się torebką herbaty. Nie żebym miał zamiar ją pić. Po prostu nie chcę natknąć się na Nicka z Metzem przed gmachem sądu, kiedy będę wracał do samochodu.

Marge nadchodzi z rachunkiem, rzuca go bezceremonialnie na stół i zabiera filiżankę Nicka z całym zgromadzonym na jej dnie szlamem. Dwie minuty później wstaję, wyciągam parę jednodolarówek ze zwitka banknotów w kieszeni i nagle spostrzegam to. Na wytartym czerwonym obiciu ławki po przeciwnej stronie stolika leży kieszonkowy komputer Nicka. Jak na człowieka obdarzonego mózgiem niczym odkurzacz, który na sali sądowej potrafi wchłonać najbardziej abstrakcyjne szczegóły sprawy, Nickowi brakuje genu odpowiedzialnego za przywiązanie do dóbr materialnych. Od kiedy go znam, wciąż coś gubi. Podobnie jak moja nastoletnia córka, jeśli coś ma, na pewno to posieje.

Podnoszę urządzenie, wkładam je do kieszeni płaszcza i placę rachunek.

Na dworze ruszam szybko. Może zdążę dogonić go, zanim znajdzie Metza. Dochodzę do rogu i zapuszczam żurawia w ulicę prowadzącą do gmachu sądu, gdzie Nick ma się spotkać ze swym klientem. Pomiędzy mną a frontem budynku jest mnóstwo ludzi, tłum przechodniów na chodniku, ale nie widzę Nicka.

Przekraczam jezdnię i gnam drugą stroną, licząc na to, że przyciągnę jego wzrok, zanim spotka się z Metzem. W jednej trzeciej drogi dostrzegam go wreszcie trzydzieści metrów przede mną. Idzie szybkim krokiem z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza, oddzielony ode mnie czterema pasami ruchliwej jezdni. Składam dłoń w trąbkę wokół ust, by go zawołać, ale w tej właśnie chwili wjeżdża między nas miejski autobus. Plujący spalinami silnik niweczy wszelką nadzieję, bym mógł zostać usłysznany. Kiedy przejeżdża, jest już za późno. Nick stoi na chodniku przed wejściem do sądu. Rozmawia z Metzem.

Opuszczam dłoń, klepię ukryty w kieszeni komputer i ruszam w

stronę samochodu, który zostawiłem przecznicę dalej. Będę musiał zadzwonić później do Nicka i umówić się, żeby oddać mu zgubę.

Idąc, mimo woli zastanawiam się, jaki właściwie cel miała gra, którą prowadził. Podejrzewam, że od samego początku wiedział, iż Metz siedzi po uszy w praniu pieniędzy. Jeśli tak, wiedział też, że nie przyjmę tej sprawy. Dlaczego więc próbował mi ją przekazać? Jedną możliwością jest taka, że chciał uchronić się przed koniecznością zgłębiania szczegółów, dopóki ja nie przefiltruję ich na jego użytek. Moja rozmowa z Metzem. W ten sposób może przymknąć oczy, z większą zręcznością modelować fakty we wstępnych dyskusjach z tym człowiekiem. Pozwoliłoby mu to tak pokierować Metzem, by ten opowiedział mu bardziej przydatne historie, a zarazem uniknąć jawnego nakłaniania do krzywoprzysięstwa. Jest to makiaweliczny manewr, jakiego mógłbym się spodziewać po Nicku.

Ale jest też inna możliwość, bardziej prawdopodobna. Ta wiąże się z Daną. Jeśli wierzę w cokolwiek z tego, co mówił mi Metz, to w to, że Dana wiedziała w ogólnych zarysach, na czym polega jego problem, i zdawała sobie sprawę, że może mieć związek z narkotykami. Skoro, jak twierdzi Nick, tak bardzo zależy jej na uszlachetnieniu jego praktyki, nie chciałaby, żeby zajmował się tą sprawą, tym bardziej że klient należy do kręgu jej znajomych.

Znając Danę, przede wszystkim martwiłaby się, że coś z tego pryśnie na nią samą, że jakiś przedsiębiorczy reporter z rubryki towarzyskiej wyniucha, iż Metz zasiadał w komisji razem z żoną swojego adwokata, a wszystko to akurat w czasie, kiedy ona stara się nakierować Nicka ku bardziej wytwornej klienteli i zapewnić sobie awans w środowisku ludzi kultury.

Mogła powiedzieć Metzowi, żeby poszedł ze swoim problemem do kogoś innego, ale to nie powstrzymałoby go przed skontaktowaniem się z Nickiem bez jej pośrednictwa. Znając Danę, szukała niezawodnego sposobu, by uchronić się przed groźącym jej wstydem. Historyjka Nicka o konflikcie interesów i łatwości, z jaką rozwiązał ten problem, wydaje się odrobinę zbyt wygodna, by można było w nią wierzyć. Nick postanowił, że

przekazuje sprawę komuś innemu.

Do kogo więc dzwoni? Do jedyne go prawnika w mieście, o którym wie, że nie tknie sprawy narkotykowej. I lubudu, rzecz wraca do niego jak buomerang. Teraz może spokojnie przyjąć tę sprawę i w dodatku powiedzieć Danie, że nie miał wyboru. Zajmie się jej przyjacielem, ale ona za to zapłaci. Mózg gotuje mu się od wałkowania myśli, że w ten sposób nie tylko zyskuje przewagę w małżeństwie, ale i swobodę w pracy. Jak mogłaby się skarżyć, skoro to właśnie ona sprowadziła mu tego klienta? I przecież próbował się go pozbyć.

Dochodząc do skrzyżowania, uśmiecham się do siebie przekonany, że przejrzałem brudną intrygę małżeńskich machinacji Nicka. Napawając się tym małym zwycięstwem, słyszę je nie jako osobne dźwięki, lecz jako ciągłą serię, niczym głośny zgrzyt otwieranego zamka błyskawicznego. Odgłosy strzałów niosą się echem wśród betonowych ścian otaczających mnie budynków i odbijają od czteropiętrowych gmachów rządowych spinających obie strony Front Street. Wiedziony instynktem samozachowawczym, mimo woli podnoszę ręce i kulę się pod ścianą.

Odwracam się dopiero, gdy słyszę za sobą pisk opon. Mały, ciemny sedan odrywa się od krawężnika przed gmachem sądu, zostawiając kłęb spalin i swąd przypalonej gumy. Słyszę dudnienie ośmiu cylindrów silnika pracującego na najwyższych obrotach, gdy samochód z poślizgiem skręca w lewo w Broadway. Pojazdy na skrzyżowaniu hamują gwałtownie, by uniknąć zderzenia. Pisk hamulców, ryk klaksonów. Zanim udaje mi się dogonić go wzrokiem, wóz znika za rogiem.

Spoglądam znów na główne wejście do gmachu sądu po przeciwnej stronie Front Street. Po chodniku pełzną na czworakach dwie kobiety. Jakiś facet pomaga jednej z nich wstać, a ona momentalnie zaczyna krzyczeć, unosząc dłonie do ust. Mimo że tkwię pół przecznicy dalej, słyszę jej przenikliwy pisk. Patrzy na coś leżącego za nią na chodniku.

Gromadzący się tłum przesłania mi widok. Z gmachu sądu wybiega jeden z woźnych w granatowej sportowej marynarce. Znika za małym

morzem gapiów. Domyślam się, że przykleknął na jedno kolano.

Po paru sekundach w ślad za nim wypadają z budynku dwaj mężczyźni w ciemnych mundurach, z pistoletami w rękach. Jeden z nich mówi coś do małego mikrofonu przypiętego do pagonu bluzy.

Ruch uliczny na Front Street zwolnił. Kierowcy zatrzymują się, żeby popatrzeć. Torując sobie drogę między trąbiącymi samochodami, przechodzę przez jezdnię i ruszam chodnikiem w stronę sądu. Inni biegną w tym samym kierunku, wszyscy ogarnięci jedną myślą: zobaczyć, co się stało.

Docieram na obrzeże tłumu i próbuję się precyzyjnie, wsuwając się bokiem, aż znajduję w tej ciżbie lukę, przez którą mogę coś dostrzec. Na ziemi, w rzece krwi, leży mężczyzna. Brunet, z twarzą odwróconą ode mnie, częściowo zakrwawioną i niewidoczną. Ma na sobie sportową kurtkę, która podwinęła mu się, gdy padał na ziemię. Jego szare spodnie są przesiąknięte krwią, nogi zaś rozrzucone, jak gdyby chciał uciekać, kiedy dosięgły go kule.

Wypatruję Nicka, ale nie widzę go. Do tej pory zdążyło się już zebrać co najmniej pół tuzina woźnych. Starają się opanować sytuację, odpychając ludzi i robiąc przejście dla pogotowia, którego syrenę słyszę w oddali. Przed budynkiem zatrzymują się dwa radiowozy, migając światłami. Jeden z policjantów trzyma pistolet półautomatyczny. Potem uświadamia sobie, że jest już po wszystkim. Chowa go do kabury, zapina ją na zatrzask i zaczyna odsuwać ludzi w tył, żeby zrobić przejście.

Ludzie, popychani, potykają się. Starsza kobieta w długim płaszczu i chuście nieomal pada na kolana. Jakiś mężczyzna wyciąga ręce i podtrzymuje ją. Kobieta rozgląda się z zaskoczeniem, nie wiedząc, skąd wzięły się te pomocne dłonie. Przez tłum przebiega opóźniona fala paniki. Pierwszy wstrząs mija i ludzie odzyskują wigor. Pojawia się ciekawość. Tłoczą się, by rzucić okiem, podczas gdy funkcjonariusze odpychają ich, utrzymując szereg.

- Widziałeś to?
- Nie. Słyszałem strzały.
- Czy ktoś jest ranny? - woła jeden z gliniarzy.
- Tutaj - odpowiada męski głos.

Policjant z drogówki, nadal w motocyklowym kasku, toruje sobie przejście przez tłum. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie jest to jedno skupisko, lecz dwa, każde krążące niczym galaktyka wokół własnej czarnej dziury. Tam, na chodniku, dostrzegam Nicka. Siedzi, patrząc niewidzącymi, półprzymkniętymi oczyma na strumyk własnej krwi płynący chodnikiem aż do krawężnika. Przez materiał jego płaszcza przesączają się małe, ciemne kropki, zbyt wiele, bym mógł je policzyć. Otwory po kulach przecinają na ukos jego klatkę piersiową, sięgając aż do pasa. Siła uderzenia pchnęła go na betonowy kwietnik, pod którym siedzi teraz bezwładnie niczym wyrzucona szmaciana lalka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Stoję bezradnie na chodniku. Parę sekund później zza rogu wyjeżdża wóz strażacki, a chwilę potem karetka. Ze środka wyskakują dwaj sanitariusze i w mgnieniu oka zajmują się Nickiem. Klękają przy nim, wyciągając z wielkich toreb sprzęt - kroplówkę z osoczem i maskę tlenową podłączoną do małej butli. Przeciskam się przez tłum i uświadamiam sobie, że ten drugi mężczyzna to Metz. Widzę plecy pochylonego nad nim sanitariusza, który robi mu masaż serca.

Nim mijają trzy minuty, Nick i Metz zostają ułożeni na noszach i prętransportowani do karetki. Gdy przewożą Nicka obok mnie, dostrzegam widoczną spod maski część jego twarzy. Jest szara, o sinym odcieniu. Nieodkryte oczy mają ów pozbawiony życia wyraz, o którym wiadomo, że nie wróży nic dobrego.

Kiedy odwracam się, by odejść do samochodu, karetka jest już daleko. Domyślam się, że jedzie na oddział nagłych wypadków, ale znając działanie służby zdrowia w tym mieście, większe szanse trafienia miałbym, grając w ruletkę. Zamiast zgadywać, wracam do samochodu i robię użytek z telefonu komórkowego. Po dziesięciu minutach znajduję właściwy szpital po to

tylko, by usłyszeć, że karetka przyjechała, ale nie są udzielane żadne informacje. Pielęgniarka chce wiedzieć, czy jestem z rodziny. Mówię jej, że nie. Pyta mnie o nazwisko i numer telefonu. Odpowiadam, że zadzwonię później, i rozłączam się. Nie mogę nic zrobić. W odrętwieniu biorę kurs na biuro. To jeden z tych przypadków, kiedy człowiek jedzie, dociera na miejsce i nie ma pojęcia, jak się tam dostał. Siedzę za kierownicą przed moim biurem, nie wiedząc, od jak dawna tam jestem.

Kręcę głową, ocieram czoło. Przez głowę przebiega mi myśl, że to był tylko sen. Ale trzęsą mi się ręce. Przekręcam do połowy kluczyk w stacyjce i włączam radio, po czym pstrykam przyciskami lokalnych stacji. Włączam jedną z nich i słyszę słowa:

„...PRZED GMACHEM SĄDU FEDERALNEGO W CENTRUM SAN DIEGO. W TEJ CHWILI NIE WIADOMO JESZCZE, ILE OSÓB ZOSTAŁO RANNYCH. POWTARZAM, DOSZŁO DO STRZELANINY...” SIĘGAM DO POKRĘTŁA I ZWIĘKSZAM GŁOŚNOŚĆ. „WEDŁUG POTWIERDZONYCH RAPORTÓW DWIE OSOBY NIE ŻYJĄ”.

Mój umysł zarejestrował już ten fakt, ale teraz, gdy o tym słyszę, w jakiś sposób staje się on rzeczywistością.

„TOŻSAMOŚĆ OBU OFIAR POZOSTAJE UTAJNIONA DO CZASU ZAWIADOMIENIA NAJBLIŻSZEJ RODZINY. WEDŁUG POLICJI, MOTYW STRZELANINY JEST NIEZNANY. NIE DOKONANO ŻADNYCH ARESZTOWAŃ. POLICJA TWIERDZI, ŻE WSZCZĘTO DOCHODZENIE. O PEŁNEJ GODZINIE PRZEDSTAWIMY PAŃSTWU DALSZE SZCZEGÓŁY”.

Reszta tego dnia i cały następny wydają się mgłą koszmarnych obrazów, mrocznych snów, z których budzę się tylko po to, by przekonać się, że wcale nie śnię.

Na szczęście nim gliniarze zjawiają się u mnie, od zdarzenia mijają trzy dni. Z początku sądziłem, że Nick mógł zanotować moje nazwisko w terminarzu. Kiedy nie pojawili się pierwszego dnia, wiedziałem, że tego nie zrobił.

Podwójne morderstwo przed gmachem sądu federalnego, w którym jedną z ofiar jest znany adwokat, to temat na pierwszą stronę gazet. Lokalne kanały telewizyjne i prasa walczą go ostro, a gliny podsycają ogień,

dostarczając im informacji, z których żadna nie jest korzystna dla Nicka. Jako obrońca w sprawach karnych, Nick cieszył się złą sławą adwokata, który nie bierze jeńców na sali sądowej. Do mediów przedostała się już wiadomość, że przy rozbieraniu zwłok w kostnicy w kieszeni płaszcza Nicka znaleziono kopertę z czterema tysiącami dolarów. Na kopercie odręcznym pismem skreślone było imię. To wszystko, co ujawniają władze. Wystarczy, by czytelnicy wyciągnęli, podejrzane wnioski.

Policja nie wypowiada się na temat motywu, jednak reporterzy wyniuchali już, że Metz był postawiony w stan oskarżenia. Określają go wyłącznie jako liczącego się biznesmena. Głównym tropem jest dla nich Nick. Roztrzásają fakt, że specjalizował się w poważnych sprawach narkotykowych, zarówno w biurze prokuratora federalnego, jak i w prywatnej praktyce, i klecą na tej podstawie prowizoryczne wnioski, dając czytelnikom akurat tyle, by mogli snuć własne domysły.

Co do władz, te nie mówią nic. Zważywszy na okoliczności, śmierć Nicka raczej nie skłoni żadnej grupy obywateli do wzniesienia mu strzelistego pomnika.

Niezmordowany tłum reporterów z kamerami koczuje przed bramą ochrony zagradzającą im drogę do domu Dany w Cays. Widzę te sceny w wieczornych wiadomościach - wdowa w ciemnych okularach przewożona przez tę falangę pod eskortą przyjaciół, szczególnie jednego, wysokiego dżentelmena o przylizanych ciemnych włosach ze śladami siwizny na skroniach, ubranego w sportową marynarkę i spodnie sprawiające wrażenie, jak gdyby zostały sprowadzone prosto z Savile Row.

Dana ma szczęście, że mieszka na strzeżonym osiedlu, gdzie nie tratują jej trawnika przed domem i nie wspinają się z kamerami po drabinach do jej okien. Ochrona nie dopuszcza dziennikarskich hord poza Silver Strand, z dala od jej domu.

Dzisiaj Harry jest w biurze już od rana, gotowy interweniować, gdy gli-niarze zjawiają się wreszcie. Spodziewaliśmy się ich. Powiedziałem Harry'emu o kieszonkowym komputerku Nicka. Jak większość elektronicznych urządzeń, jest on dla niego zagadką, uważa jednak, że powinienem

przekazać go glinom i pozwolić, żeby sami go rozpracowali. Chcę wiedzieć więcej na temat urządzenia i informacji, jakie zawiera, zanim posłucham tej rady.

Słyszę głosy w przedsiönku biura - jakiś poręcznik detektywów i jego partner. Umykają mi ich nazwiska. Chcą się widzieć z panem Madrianim.

Harry gra na zwłokę, by dać mi czas na przygotowanie się. Głosem wystarczająco donośnym, żeby zbudzić Nicka, pyta, o co chodzi. Policja bez wątpienia rekonstruuje ostatnie godziny życia Nicka, szukając ludzi, z którymi się spotkał, z którymi rozmawiał. Musieli albo skontaktować się z Marge, kelnerką ze spelunki pod hotelem Capri, która dała im mój rysopis, albo z Daną. Dana z pewnością wiedziała, że Nick był umówiony ze mną tamtego ranka. Jeśli moje domysły są słuszne i Nick istotnie bujał żonę co do Metza, mogłaby podać glinom moje nazwisko. Nick mógł grubo przesa-dzać, opowiadając jej, jak próbował skłonić mnie do przyjęcia tej sprawy, a ja odmówiłem.

Niewątpliwie przyszło jej na myśl, że gdybym przyjął sprawę Metza, być może to ja, a nie jej mąż, leżałbym teraz na stole w kostnicy. Sam od tamtej pory mam w głowie niemal tylko to jedno. Poczucie winy, łagodzone wyobrażeniem mojej córki Sary jako sieroty.

Parę sekund później rozlega się pukanie do drzwi. Harry wtyka głowę przez szparę, po czym wślizguje się do środka i zamyka drzwi za sobą.

- Dwóch - mówi, podając mi wizytówkę, oficjalny policyjny wzór z pieczęcią miasta i nazwiskiem: por. Richard Ortiz, Wydział Zabójstw.

- No dobrze, wpuść ich.

- Nie musisz z nimi rozmawiać - stwierdza.

- Co się odwlecze, to nie uciecze. Poza tym co mam do ukrycia? Oni prawdopodobnie wiedzą więcej niż ja, taką przynajmniej mam nadzieję.

Harry patrzy na mnie jak adwokat, którego klient właśnie odmówił skorzystania z dobrej rady. Z ponurą miną otwiera drzwi na oścież.

- Mogą panowie wejść - mówi.

Chwilę później do mojego gabinetu wkracza dwóch mężczyzn. Jeden z nich jest wysoki i szczupły, ma ciemne, ostrzyżone na jeża włosy, twarz

pociętą mnóstwem bruzd a oczy osadzone tak głęboko, że potrzebowałbym dzwonu nurkowego z reflektorami, by określić ich kolor. Jest jakby wygłodniały, niczym ludzki potomek sępiego rodu. Oceniam, że ma około trzydziestu pięciu lat. Sądząc z wyglądu, zawód, który uprawia, dawno już wyssał z niego wszelką radość życia.

Drugi facet jest zbudowany jak napastnik Ohio State: krótkie jasne włosy, kark jak u byka i bicepsy rozpychające rękawy jego sportowej marynarki. Jest młodszy.

- Panie Madriani, jestem porucznik Ortiz. - Wysoki sęp jest szefem. - To mój współpracownik, sierżant Norm Padgett.

Zanim mam czas się odezwać, ogarnia mnie nagła panika, do krwi wędruje potężny zastrzyk adrenaliny. Mój wzrok pada na kieszonkowy komputer Nicka leżący w dalszym rogu biurka, gdzie położyłem go dziś rano, natknąwszy się na niego w kieszeni płaszcza. Teraz jest już za późno.

- Proszę usiąść - mówię. Gdybym sięgnął i zabrał go, mogliby się zastanawiać dlaczego. Jeśli Dana powiedziała im, że Nick miał takie urządzenie, a oni nie znaleźli go podczas rewizji w jego biurze, na pewno go szukają. - Mają panowie ochotę na kawę? - pytam.

Obaj odmawiają.

- Czym mogę służyć?

Harry opiera się o gablotę pod przeciwległą ścianą pokoju i zastyga tam. Sierżant odwraca się i patrzy na niego.

- Przepraszam. Poznaliście już, panowie, mojego współnika, Harry'ego Hindsa.

- Poznaliśmy - przyznaje Ortiz. - To śledztwo ma charakter poufny.

- Rozumiem - mówi Harry. - Nic nie wyjdzie poza naszą czwórkę.

- Myślę, że mój współnik wolałby zostać - zauważam.

- Możemy porozmawiać na mieście - stwierdza Ortiz.

- W takim razie pójdę po płaszc - oświadcza Harry.

Ortiz patrzy na niego z głębi dwóch ciemnych, przepastnych jam w swojej twarzy.

- Kiedy sprawdzałem ostatnio, moja legitymacja adwokacka była jeszcze ważna - mówi Harry.

- Czy jest jakiś powód, dla którego potrzebuje pan adwokata? - pyta mnie Ortiz.

- Niech pan mi to powie.

- O ile nam wiadomo, nie ciąży na panu żadne podejrzenia.

- Miło to słyszeć. Odnoszę to - rzuca Harry.

Gliniarz nie uśmiecha się.

- Świetnie - odpowiada jednak.

Pierwsza potyczka wygrana przez nas.

- Mamy tylko parę pytań - mówi. - Przypuszczam, że wie pan, dlaczego tu jesteśmy.

- Może sam pan nam to powie?

Moje oczy wędrują raz po raz w stronę kieszonkowego komputerka na biurku. Chciałbym sięgnąć po niego od niechcenia i po prostu zsunąć go do jednej z szuflad biurka. Ale nie mam odwagi.

- Na pewno wiadomo panu o strzelaninie sprzed paru dni przed gmachem sądu federalnego. Podwójne zabójstwo.

Czeka, żeby przekonać się, co powiem. Może jakąś niezdarną uwagę, jak to, że czytałem o tym w gazetach. Nie mówię nic.

- Z naszych informacji wynika, że znał pan obie ofiary, Nicholasa Rusha i Geralda Metza.

- Czy to pytanie?

- Oczywiście.

- Znałem pana Rusha. Co do pana Metza, spotkałem go raz.

- Dobrze. Dziękuję. - Gest uznania ze strony Ortiza. - I rozumiem, że wie pan o strzelaninie.

- Wiem.

- Jak się pan o niej dowiedział?

Patrzę na niego. Toczymy pojedynek wzrokiem.

- Chciałbym otrzymać odpowiedź.

- Słyszałem strzały.

- Był pan tam? - pyta.

- Byłem po drugiej stronie jezdni, mniej więcej pół przecznicy dalej.

Szedłem w przeciwnym kierunku, kiedy to się stało. Zanim zdążyłem się odwrócić, było już po wszystkim.

- Widział pan samochód, z którego strzelano? - pyta Ortiz.

- Tylko przez moment. Jechał w drugą stronę, oddalał się ode mnie. Pamiętam, że był to ciemny sedan. Nie potrafiłbym podać panu marki ani modelu. Nie miałem szans przyjrzeć mu się aż tak dobrze.

- I oczywiście nie zauważył pan numeru rejestracyjnego?

Kręcę głową.

- Prawdopodobnie nie mógł pan - przyznaje. - Sądźmy, że w ogóle nie miał tablic. Ten, kto go ukradł, usunął je jeszcze przed strzelaniną. Znaleźliśmy ten samochód wczoraj, późno w nocy, porzucony na drugim końcu miasta. Z pewnością przeczyta pan o tym w jutrzejszej prasie - stwierdza.

- Znaleźliście jakieś odciski palców? - pyta Harry.

- O tym pan nie przeczyta - wtrąca Padgett.

- Jak dobrze znał pan pana Rusha? - pyta Ortiz.

- Współpracowaliśmy od czasu do czasu. Przekazywaliśmy sobie klientów. Tego rodzaju sprawy.

- Utrzymywaliście bliskie kontakty towarzyskie?

- Niekiedy chodziliśmy razem na lunch. Spotykaliśmy się na zebraniach palestry.

- Powiedziano nam, że rozmawiał pan z nim tego ranka, kiedy go zabiłto.

- Odbyliśmy krótką rozmowę.

Padgett wyciąga notatnik.

- Może pan powiedzieć nam, czego dotyczyła? - pyta Ortiz.

- Ogólnie?

- Od tego możemy zacząć.

- Chodziło o sprawę służbowe. O klienta, którego skierował do mnie pan Rush.

- Czy klientem tym nie był czasem pan Metz? - pyta Padgett.

- Mam zamiar doradzić panu Madrianemu, żeby nie odpowiadał na to pytanie - wtrąca Harry.

- Sądziłem, że pan tylko patrzy i słucha. - Ortiz spogląda na niego przez ramię.

- Czasami odrzucam piłkę - mówi Harry.

- Świetnie. Dlaczego pan Madriani nie powinien odpowiedzieć na moje pytanie?

- Tożsamość klienta, dopóki sprawa nie trafi na forum publiczne - wyjaśnia Harry - objęta jest tajemnicą adwokacką.

Uśmiecham się do Ortiza.

- Czyż prawnicy nie są upierdliwi?

- Czy to oznacza, że reprezentował pan pana Metza? - pyta porucznik.

- Nie. To oznacza, że nie zamierzam odpowiedzieć na pańskie pytanie.

- Dlaczego? Co jest do ukrycia? - draży Padgett.

- Tożsamość byłego klienta - mówi Harry.

- Który nie żyje - zauważa Padgett.

- Zakładając, że tym klientem był pan Metz - stwierdza Harry - co jest właśnie tą informacją, o którą panowie proszą, a której my nie zgadzamy się udzielić.

Zapędzili się w ślepią uliczkę. Po minie i postawie Padgetta widzę, że nie chce dać za wygraną. Ortiz wznosi się ponad to i postanawia odpuścić.

- Poinformowano nas, że spotkał się pan raz z panem Metzem, żeby ustalić, czy przyjmie pan jego sprawę czy nie, i że odmówił pan.

Rozmawiali z Daną.

- Może pan powiedzieć nam, dlaczego nie przyjął tej sprawy?

- Zakładając, że wasze informacje są prawdziwe, czego nie twierdzę, nie mógłbym udzielić żadnych wyjaśnień. Wiem. Wygląda na to, że nie zajdziemy zbyt daleko. Ale staram się - odpowiadam mu.

- Więc rozmawiał pan z Metzem? - pyta Padgett.

- Czy ja to powiedziałem, Harry?

- Nie.

- Nie powiedziałem tego.

Wszyscy wiemy, dlaczego Harry jest tutaj. Po to, żeby Padgett, występując jako skryba, nie mógł popuścić wodzy fantazji.

- Ale on miał pewne problemy prawne - oznajmia Ortiz.
- Z tego, co wiemy, był postawiony w stan oskarżenia - dodaje Padgett.
- Skoro tak twierdzicie.
- To było w gazetach - mówi sierżant.
- Naprawdę?
- Przejdźmy do rzeczy - ucina Padgett. - Wiemy, że tamtego ranka spotkał się pan z Rushem. Wiemy, że nie była to zwykła gadka o dupie Maryni w męskiej toalecie. Mamy świadka - ciągnie - który widział pana przy stoliku z tym człowiekiem niecałe dziesięć minut przed tym, jak go zastrzelono.

- W takim razie dlaczego mnie pytacie?
- Ponieważ chcemy wiedzieć, o czym rozmawialiście.
- Wasz świadek nie słyszał na tyle dobrze, żeby wam powiedzieć?

Padgett odpowiada: „Nie”, zanim jego szef ma czas przyhamować go, mówiąc:

- Chcemy usłyszeć, co pan nam powie.
- Więc jak, tak czy nie? Bo jeśli wasz świadek to słyszał, on właśnie byłby dla was najlepszym źródłem informacji. Dlatego że ja nie mogę o tym rozmawiać.

- Więc chodziło o klienta? - pyta Ortiz.
- Wydaje mi się, że już to ustaliliśmy.
- Jeśli Rush był pańskim przyjacielem, dlaczego nie chce pan pomóc nam schwytać jego zabójcy? - odzywa się Padgett.

- Dlaczego nie pyta mnie pan, czy nadal biję swoją żonę?
- A bije pan?
- Zmarła na raka kilka lat temu - mówi Harry.

Padgett patrzy na mnie.

- Przepraszam.
- Chcemy jedynie wiedzieć, co Metz powiedział panu podczas waszej wstępnej rozmowy - wyjaśnia Ortiz.

- Dopóki sędzia nie nakaże mi inaczej, wszelkie kontakty, jakie utrzymywałem ze swoimi klientami, objęte są tajemnicą adwokacką.

- Nawet ze zmarłymi klientami? - pyta Ortiz.
- Nawet że zmarłymi - odpowiadam.

- Rozumiem. Pan nie ustala przepisów, pan ich po prostu przestrzega, zgadza się? - wtrąca Padgett.

- Nie jest pan tak głupi, na jakiego pan wygląda - stwierdza Harry.

- Harry. Panowie starają się tylko wykonywać swoją pracę - mówię.

- A pan nie pomaga w tym zbyttnio - dodaje Ortiz.

- Przykro mi. Ale ja muszę wykonywać swoją - odpowiada Harry.

- Jak długo znał pan Nicka Rusha? - Ortiz próbuje innej drogi.

- Dziesięć lat. Mniej więcej.

- Jak się poznaliście?

- Nieraz się nad tym zastanawiałem. Wie pan, jak to jest. Kiedy się kogoś traci, wie się o tym. Myślę, że to musiało być na jakiejś konferencji albo seminarium. Może na kursie kształcenia ustawicznego dla adwokatów. Ale mówiąc uczciwie, nie pamiętam, w jakich okolicznościach ani gdzie to było.

- Pozwoli pan, że zadam mu pytanie. Jak Metz mógł być pańskim klientem, skoro nie przyjął pan jego sprawy? - Padgett wciąż nie chce dać za wygraną.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że bez względu na to, czy odmówiłem reprezentowania go czy nie, cokolwiek klient powiedział mi podczas wstępnej rozmowy...

Padgett zaczyna pisać w notatniku.

- I zwracam panu uwagę, że nie znaczy to, iż kiedykolwiek rozmawiałem z panem Metzem o kwestiach prawnych, ale gdybym rozmawiał, byłoby to objęte tajemnicą adwokacką.

Wykreśla to, zamyka notatnik. W tym momencie spostrzega komputerek na moim biurku. Patrzy na niego przez chwilę. Moje serce wykonuje dziesięć nadliczbowych uderzeń.

- Powiedziano mi, że nie zajmuje się pan sprawami związanymi z narkotykami - odzywa się Ortiz.

Próbuję patrzeć na niego, ale mój wzrok uparcie wędruje w stronę jego współpracownika, który wciąż spogląda na urządzenie na biurku.

- Czy to prawda?

- Słucham?
- Że nie przyjmuje pan spraw narkotykowych?
- Z zasady, nie. Nie zajmuję się sprawami związanymi z narkotykami.

Jeśli Padgett sięgnie po urządzenie, włączy je i zobaczy nazwisko Nicka, skończymy naszą rozmowę w mieście, prawdopodobnie przed sędzią, który może oskarżyć mnie o ukrywanie dowodów w sprawie o przestępstwo zagrożone karą śmierci.

- Więc może ma pan mimo wszystko jakieś pozytywne cechy. - Padgett zapomina na chwilę o komputerku i patrzy na mnie.

Uśmiecham się do niego.

- Dlaczego nie przyjmuje pan spraw narkotykowych? - pyta.

- Nie mam doświadczenia na tym polu.

- Odwołuję to, co powiedziałem - stwierdza.

- Czy to jedyny powód? - pyta Ortiz.

- Wszelkie inne są osobiste i nie mają nic wspólnego z jakimkolwiek klientem lub sprawą - odpowiadam.

- Czy dlatego właśnie nie chciał pan przyjąć sprawy Metz? Bo wiązała się z narkotykami?

- Zakładając, że Metz był moim klientem, w każdym razie na użytek wstępnej rozmowy, powody, dla których nie przyjąłem jego sprawy, byłyby objęte tajemnicą adwokacką.

- Znów do tego wracamy? - jęczy Padgett.

- To znaczy, że to nie wasz interes - wyjaśnia Harry.

- Myli się pan - oponuje sierżant. - Oni obaj nie żyją, a to jest nasza sprawa. Poza tym kogo panowie chronią, klienta, który nie istnieje?

- Dopóki sąd nie nakaże mi inaczej.

- Myślę, że gdyby Metz tu był, chciałby, żeby nam pan pomógł - mówi Ortiz. - Ja z pewnością bym chciał, gdyby ktoś podziurawił mnie jak sito, kiedy stałem na chodniku, zajmując się własnymi sprawami.

- A pański przyjaciel? - dodaje Padgett. - Sądziłbym, że jeśli chodzi o niego, powinien pan być skłonny do pomocy, choćby tylko z zawodowej uprzejmości. Wie pan, jak jeden rekin drugiemu...

Wstaję gwałtownie z fotela. Harry zostawia gablotę, żeby mnie powstrzymać.

Padgett zrywa się na nogi z tułowiem odchylonym w tył i rękoma w pogotowiu.

Powoli sięgam na drugą stronę biurka, wydjmuję wizytówkę z małego stojaka na rogu i rzucam mu ją. Napompowany adrenaliną, gotowy do walki, ma problem ze złapaniem jej w powietrzu, kiedy sprawdzian dotyczy zręczności. Gdybym chciał go przyszpilić, to byłby właściwy moment.

- Może zadzwoniliby panowie następnym razem, kiedy będziecie chcieli porozmawiać - mówię mu. - Żebym mógł zdecydować, czy chcę być w biurze czy nie.

Padgett stoi z głupią miną, gotowy do walki, która nie nastąpiła. Wizytówka upada na podłogę. Nie wiedząc, co robić, schyla się i podnosi ją.

Korzystam z tej okazji, by sięgnąć po komputer. Dyskretnie zsuwam go po blacie do środkowej szuflady, po czym zamykam ją. Ortiz patrzy w tym czasie na swego współpracownika i najwyraźniej nie zauważa tego, a jeśli nawet zauważa, nie dociera do niego, co robię.

- Więc nie pomoże nam pan? - Znów patrzy na mnie.

- Pomógłbym, gdybym tylko mógł, ale mogę. Prawda jest taka, że nic nie wiem.

Ortiz rzuca mi drwiący uśmiech. Nie wierzy w to. Patrząc na ten uśmiech, odnoszę wrażenie, że to największy przejaw humoru, na jaki stać tego człowieka.

- Abstrahując od konkretów, klientów i spraw, jest wiele powodów, dla których adwokat może nie podjąć się prowadzenia sprawy - mówię mu.

- Na przykład? - pyta porucznik.

- Mówiąc hipotetycznie?

- Hipotetycznie.

- Być może poczucie, że klient nie mówi prawdy.

- Metz okłamywał pana? - pyta.

- Nie rozmawiamy o klientach ani o sprawach - przypominam mu.

- Oczywiście.

Padgett uśmiecha się, wciąż stojąc obok mojego biurka. Nareszcie dochodzimy do czegoś.

- O czym kłamał? - pyta.

Rzucam mu spojrzenie w rodzaju: „Naprawdę spodziewa się pan, że panu odpowiem?”

- Co? Zajmuje się pan tylko prawdomównymi dealerami narkotyków? Nie chwytam przynęty.

- Ale chodziło o narkotyki, prawda? - dąży.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Powiedział pan, że dlatego właśnie nie przyjął jego sprawy.

- Nie mówił nic na temat Metza. - Ortiz chce usłyszeć więcej. Cokolwiek mu powiem.

- Więc nie ma pan zupełnie pojęcia, kto ich zabił? Czy może to też jest objęte tajemnicą adwokacką? - pyta Padgett.

- Nie, nie mam. Ale na waszym miejscu zacząłbym od rozmowy z biurem prokuratora federalnego.

- Byliśmy tam. To jak gadanie do ściany - mówi Padgett.

Ortiz rzuca mu mordercze spojrzenie. Sierżant ma minę człowieka, który najchętniej wciągnąłby swoje słowa z powrotem do ust i połknął je.

FBI nie udziela informacji.

Zerkam na Harry'ego. Nagle dowiedzieliśmy się więcej niż oni.

Nic mu nie pomogą byczy kark, bicepsy i wszystko inne. Padgett będzie miał skopany tyłek, kiedy tylko Ortiz wyjdzie z nim na zewnątrz.

- Czy kiedykolwiek słyszał pan o kobiecie imieniem Laura? - pyta porucznik.

- W jakim kontekście?

- Nie wiem. Może to jakaś znajoma z pracy albo przyjaciółka pana Rusha?

- Po prostu Laura, bez nazwiska? - pytam.

- Bez. Po prostu Laura.

Namyślam się chwilę. Koperta w kieszeni Nicka, z zapisanym na niej imieniem i z czterema tysiącami w środku. To mogłoby rozpaść ciekawość w wydziale zabójstw. Ale sposób, w jaki Ortiz formułuje to pytanie, pozwala mi uchylić się przed nim bez kłamstwa.

- Mówi pan, kobieta imieniem Laura? Niestety, nie. Nie mogę panu pomóc.

- Jest pan wprost niewyczerpanym źródłem informacji - stwierdza Padgett.

- Gdyby było coś jeszcze, czy możemy znów się z panem skontaktować? - pyta Ortiz.

- Mają panowie moją wizytówkę.

Porucznik wstaje i obaj ruszają w stronę drzwi. Padgett wymyka się pierwszy. Podejrzewam, że w tej chwili wolałby raczej zostać, może nawet wczłogać się pod biurko.

- Jeszcze jedno. - Ortiz zatrzymuje się przy drzwiach i odwraca w moją stronę. - Czy wiedział pan, że panowie Rush i Metz prowadzili razem interesy?

Moja tępa mina informuje go, że bez względu na to, czy to prawda czy nie, nic takiego nie przyszło mi na myśl. Kręcę głową. Zerka na kartkę, którą trzyma w dłoni.

- Coś o nazwie Jamaile Enterprises? - Przy słowie *enterprises* lekko unosi głos. Patrzy na mnie, czekając na odpowiedź.

- Nic? Nic? - pyta.

Stoję oniemiały.

- Zastanawiałem się tylko - mówi - czy pan Rush, jako przyjaciel, nie wspomniał czasem panu o tym.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chociaż nie przypominam sobie, żeby Nick kiedykolwiek przestąpił próg kościoła, jego pogrzeb odbywa się w starym kościele misyjnym San Luis Rey, parę mil od wybrzeża, niedaleko Oceanside.

Ceremonia została zaaranżowana z wielką pompą. Za karawanem ze spowitą w sztandar trumną Nicka jadą trzy lśniące czarne samochody obładowane takim mnóstwem wiązanek i wieńców, że przypomina to raczej Paradę Kwiatów niż pogrzeb. Nikt nie potrafi wyjaśnić mi, co robi sztandar na trumnie, skoro Nick nie był weteranem, choć najwyraźniej zginął podczas

pełnienia obowiązków służbowych. Bez wątpienia takie było życzenie Dany, która każe poskładać go i wręczyć sobie przy grobie.

Wielki, milczący tłum gromadzi się pod ręcznie ciosanymi belkami staro hiszpańskiego barokowego kościoła, którego grube mury z suszonej na słońcu cegły wzmacniają każde kasznięcie i odgłos szurania butów na posadzce z hiszpańskich kafli.

Przechodzimy całą gimnastykę katolickiej mszy, z ławek na klęczniki, z klęczników na nogi, podczas gdy ksiądz wypowiada ostatnie błogosławieństwo nad trumną, pokrapia ją wodą święconą i wymachuje wielką brązową kadzielnicą na łańcuchu, z której wydobywają się kłęby szarego dymu.

Informacja gliniarzy krąży mi po głowie od czasu tamtej rozmowy niczym taśma dalekopisu - nazwa „Jamaile Enterprises” i wiadomość, że Metz i Nick prowadzili razem interesy.

Możliwe, że Ortiz i jego partner usiłowali tylko wyprowadzić mnie z równowagi. Nawet jeśli im się to nie udało, zasiali ziarno, które teraz kiełkuje podejrzeniami. Pytanie brzmi: Skoro Nick znał Metza już wcześniej, dlaczego nie powiedział mi o tym? Przez ostatnie dwie noce nie myślałem prawie o niczym innym. Nie potrafię znaleźć żadnego wiarygodnego wyjaśnienia, a to niepokojące. Czy Jamaile prowadziło działalność przestępczą? To możliwe, chociaż znając Nicka, on nigdy nie byłby tak głupi, by umieścić własne nazwisko w dokumentach założycielskich - chyba że odkrył charakter tych interesów już po fakcie. To tłumaczyłoby, dlaczego chciał się pozbyć Metza jako klienta. Co prowadzi do kolejnego pytania: Czy Nick uważał tę sytuację za niebezpieczną? Nie widziałem żadnych oznak tego ranka, kiedy rozmawialiśmy w restauracji. Trudno mi uwierzyć, by wykorzystywał mnie w taki sposób. Jestem przekonany, że cokolwiek się stało, Nick nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

Jego trumna spoczywa na platformie na kółkach ustawionej pośrodku przed złożonym ołtarzem, ponad którym, niczym kamienni strażnicy, stoją w niszach gipsowi święci. Nad całością dominuje potężny drewniany krucyfiks z figurą Chrystusa. Gęsta woń kadzidła i wosku płonących świec wisi

w powietrzu, jak gdyby podwieszona u krokwi.

Harry i ja spóźniliśmy się i stoimy w jednej z ławek na końcu nawy. Jest tutaj paru polityków, z którymi Nick zetknął się towarzysko lub zawodowo na przestrzeni lat, dwaj sędziowie sądów federalnych i pewien radny miejski. Kilka ławek dalej dostrzegam byłego członka stanowego zgromadzenia ustawodawczego, którego Nick wiele lat temu oczyścił z zarzutów o handel narkotykami, a sprawił się przy tym tak dobrze, że nawet wyborcy rozgrzeszyli tego człowieka w porze głosowania, pozostawiając go na urzędzie, dopóki ograniczenia legislacyjne ostatecznie nie zmusiły go do odejścia.

Główni udziałowcy firmy Nicka zajmują dwa rzędy na przedzie, tuż za Daną, która stoi w czarnej kreacji z woalką, otoczona z obu stron przez przyjaciół podsuwających jej papierowe chusteczki.

Rozglądam się za Margaret, pierwszą żoną Nicka, ale jeśli nawet jest tutaj, nie widzę jej. To jedna z tych rzeczy, jakie przychodzą na myśl: pomimo całej zaciekłości rozwodu, może jednak zjawiłaby się? Jeśli to zrobiła, dyskretnie ukryła się w tłumie.

Kółka platformy, z których jedno skrzypi jak gdyby w proteście, turkoczą po starych hiszpańskich kafelkach, gdy żałobnicy powoli wytaczają trumnę w stronę drzwi i oczekującego karawanu. Pochówek ma się odbyć na Eternal Hills, parę mil stąd; prywatna ceremonia dla rodziny i najbliższych przyjaciół.

Trumna przesuwa się obok mnie. Za nią kroczy Dana z twarzą przesłoniętą woalką. Towarzyszy jej wysoki dżentelmen, którego widziałem w telewizyjnych wiadomościach wożącego ją samochodem przez tłum reporterów pod domem - szczupły, o ascetycznym wyglądzie i ciemnych włosach przyprószonych siwizną na skroniach akurat na tyle, by sprawiać wrażenie powagi. Podtrzymuje ją, ujmując jedną ręką jej łokieć, drugą zaś otaczając jej ramiona. Po przeciwnej stronie idzie starsza blondynka, zapewne siostra, gdyż widać wyraźne rodzinne podobieństwo.

Sznur żałobników ciągnie za nimi, poczynając od przednich ławek, tak że Harry i ja wychodzimy niemal ostatni. Kiedy wydostajemy się na wielki

plac przed kościołem, trumna spoczywa już na karawanie. Pracownicy zakładu pogrzebowego uwijają się dookoła, ładując rodzinę do limuzyn, a wieńce z powrotem na samochody przed jazdą na cmentarz.

Limuzyna Dany, o przyciemnionych szybach, stoi tuż za ostatnim z lśniących czarnych wozów z kwiatami. Tylne drzwi po przeciwnej stronie są otwarte.

- Panie Madriani. - Słyszę swoje nazwisko, zanim mam czas zorientować się, skąd dobiega głos. Odwracam się. Przede mną stoi mężczyzna, który prowadził Danę przez nawę.

- Nie znamy się - mówi, wyciągając rękę. - Jestem Nathan Fittipaldi, przyjaciel pani Rush.

Ściskamy sobie dłonie.

Ma na sobie ciemny włoski garnitur w prążki, jedwabny krawat, kosztowną lnianą koszulę i glansowane czarne mokasynty z cielęcej skóry, z chwostami wystającymi spod nogawek spodni o kantach zaprasowanych jak ostrze noża. Wszystko to ma szlachetny wygląd rzeczy niewkładanych dwukrotnie.

- Prosiła mnie, żebym z panem porozmawiał. Sama w tej chwili absolutnie nie jest w stanie.

- Rozumiem.

- Prosiła, żeby wpadł pan do niej. Chciałaby z panem porozmawiać. Powiedziałem jej, że z pewnością nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Kiedy?

- Kiedy tylko panu pasuje. Raczej nie dzisiaj - mówi.

- Jasne.

- Mógłby pan zadzwonić przed wyjściem, żeby upewnić się, że jest w domu. Podam panu numer.

Odpowiadam, że znam go. On mówi, że został zmieniony. Najwyraźniej dziennikarze usiłowali dopaść Danę przez telefon.

- Pan Rush podał go paru klientom - wyjaśnia. - Podejrzewamy, że jeden z nich przekazał go mediom. Ci ludzie nie mają szacunku dla żałoby.

Nie jestem pewien, czy Fittipaldi ma na myśli kryminalistów Nicka czy „czwartą władzę”, choć przypuszczam, że zaliczyliby ich wszystkich hurtem

do jednej kategorii społecznej. Domyślam się, że Dana nie była osamotniona w swej kiepskiej opinii o klienteli Nicka.

Zapisuje nowy, zastrzeżony numer telefonu na odwrocie wizytówki i podaje mi ją.

- Miło mi było pana poznać - mówi. - Dana twierdzi, że jest pan dobrym przyjacielem. W najbliższych tygodniach i miesiącach będzie potrzebowała nas wszystkich.

Uśmiecham się, ale nie odpowiadam.

Potem, zanim mam czas zapytać, dlaczego Dana chce się ze mną widzieć, Fittipaldi okrąża już limuzynę. Znika w otwartych drzwiach po drugiej stronie, zatrząskuje je i cała procesja rusza z miejsca.

- O co chodziło? - pyta Harry.

- Nie mam pojęcia. - Patrzę na wizytówkę, którą trzymam w dłoni, arkusik kosztownego papieru welinowego ze znakiem wodnym, a jakże. Odwracam ją na zadrukowaną stronę i czytam:

FITTIPALDI ART & ANTIQUITIES

Nathan Fittipaldi, właściciel

pośrednictwo w transakcjach, dyskrecja gwarantowana

Londyn, Nowy Jork, Beverly Hills, San Diego Pod spodem nie ma numeru telefonu, jedynie faks i adres internetowy: discretion.com.

Wieczory w domu z Sarą nie zawsze są spokojne. Moja córka odrabia lekcje usadowiona po turecku na jednym z rozłożystych foteli w naszym salonie, telewizor gra na cały regulator, ona zaś ogląda *Star Trek*. A przy tym dostaje same szóstki. Jak jej się to udaje, nie mam pojęcia.

Jej włosy, gęste jak ogon kucyka, czarne z kasztanowymi błyskami niczym pasemka miedzi tam, gdzie pada na nie słońce, dziś wieczorem splecione są w cieniutkie warkoczki, zebrane rządkiem z tyłu głowy. To coś nowego. Mówi, że w ten sposób łatwiej radzi sobie z nimi rano.

Sara staje się młodą kobietą, nie tylko pod względem ubioru i troski o swój wygląd, ale również w kwestii poglądów. Jest niezależna. Podczas gdy inne dzieciaki ulegają presji rówieśników, moja córka wykazuje dojrzałość,

która czasami zawstydzą mnie, gdy sam daję się ponieść entuzjazmowi i lekkomyślności. Graliśmy w gry planszowe, przy których demonstrowała zdolność strategicznego myślenia, o jaką nigdy nie posądzałbym osoby w jej wieku, uzupełnioną o element współczucia dla słabszych graczy, których chroniła przed moją wrodzoną męską agresją, nim w końcu zadała mi druzgocący cios. To wszystko w wieku piętnastu lat. Drzę na myśl o wyżynach, na jakie może ją to zaprowadzić, ale mam więcej zaufania do tego pokolenia, wiedząc, że są w nim ludzie tacy jak ona.

Dziś wieczorem każde z nas jest zajęte własnymi sprawami: Sara swoją fizyką i historią, a ja kieszonkowym komputerkiem, który niegdyś należał do Nicka. Na razie rozpracowałem ekran i mały zielony przycisk u dołu, który włącza urządzenie. Ale nie mając instrukcji, boję się zrobić coś więcej w obawie, że jako komputerowe beztalencie skasują zgromadzone w nim dane. Zataić prawdopodobny dowód w sprawie o zabójstwo, to jedno. Zniszczyć go, to zupełnie inna sprawa.

Za każdym razem, kiedy włączam komputer, u góry ekranu pojawia się symbol baterii. Odnoszę wrażenie, że wyczerpuje się pomału. Zaczerniony pasek codziennie przesuwają się odrobinę w lewo. Przypuszczam, że kiedy zniknie, stracę wszelkie informacje, jakie są zapisane w środku.

Zdejmuję małą pokrywkę z tyłu obudowy. Wewnątrz znajdują się dwie baterijki AAA. Przyglądam się im chwilę.

- Sara?
- Mhm? - Nie unosi głowy znad zadania domowego, skupiona na trzymanej na kolanach książce.
- Mamy jakieś baterie trzy A?
- Te małe?
- No.
- Chyba tak. - Idzie do lodówki, gdzie je trzyma, przede wszystkim do walkmana, którego stale słucha w samochodzie.
- Takie? - Pokazuje mi jedną.
- O właśnie.
- Ile potrzebujesz?
- Dwie.

Przynosi mi je.

- Co to?
- To się chyba nazywa palmtop.
- O raaany. Tyle to wiem. Ale co to jest to małe na górze?
- Telefon komórkowy.
- Super. Skąd to masz?
- Należało do pewnego znajomego.
- Pożyczył ci?
- Coś w tym rodzaju - odpowiadam. - Wiesz cokolwiek o tych urządzeniach?

- Parę dzieciaków w szkole ma takie. Te ich nie są takie fajne. - Zagląda mi przez ramię. Wielkie brązowe oczy wpatrują się w komputerek. - Co chcesz wiedzieć?

- Jak zmienić baterie.
- Och, tato. Chodź, daj mi to. - Sięga po urządzenie, ale odsuwam je.
- Nie mogę ryzykować utraty informacji, które są tu zapisane.
- Może ma pamięć pęcherzykową - mówi.

Słyszałem już o folii pęcherzykowej i o komorach pęcherzykowych, ale pamięć pęcherzykowa to coś nowego.

- Jeśli tak, to wszystko jest zapisane w środku, na chipie albo czymś takim. Uczyliśmy się o tym na technice. Nawet jeśli odłączysz zasilanie, nic nie zginie.

- Skąd mam wiedzieć, czy tu jest taka pamięć?

- Możesz zobaczyć w Internecie. Takie чудо na pewno ma własną stronę. Ile to kosztuje?

- Nie mam pojęcia.
- Niedługo są moje urodziny - przypomina.
- Kupię ci baterie - odpowiadam jej.

Zerka na mnie z tą udawaną irytacją, która tak bardzo przypomina mi jej matkę.

- Mogę to obejrzeć? Nie zepsuję. Słowo - mówi.

Niechętnie podaje jej komputerek.

- Rany, ten mały przycisk u góry to telefon komórkowy.

- Wiem. Nie dotykaj go.

- Wyluzuj się - mówi. Dokładnie to samo powiedział mi Nick, zanim go zastrzelili. - Dlaczego nie możemy po prostu tego włączyć? Zobaczyć, czy działa?

- Bo baterie mogą się rozładować. - Nie mówię jej, że gliny prawdopodobnie dokopały się już do rachunku telefonu komórkowego Nicka. A jeśli tak, operator z pewnością zastawił pułapkę, by móc zlokalizować aparat, kiedy tylko zostanie z niego wysłany jakikolwiek sygnał, nawet gdyby była to jedynie próba połączenia się z siecią.

- Myślisz, że jeśli mają stronę internetową, udałoby ci się ją znaleźć? - pytam.

- Nie wiem. Mogę spróbować.

Zajmuje jej to niecałe pięć minut. Uruchamia wyszukiwarkę Yahoo!, po czym przebierając zwinnymi paluszkami po klawiaturze i przesuwając myszką, przegląda strony. Przy czwartej próbie trafia w dziesiątkę: logo takie samo jak na urządzeniu, dwie skrzyżowane wygięte kreski z kropką u dołu pomiędzy nimi. Handspring.com.

Przeglądamy stronę jakieś pół minuty.

- Nie widzę nic, co wyglądałoby na instrukcję obsługi. A ty? - mówi Sara.

- Też nie. Więc co robimy?

- Moment. - Najeżdża kursorem na przycisk wywołujący biuro obsługi klienta. Na ekranie pojawia się okno poczty elektronicznej.

Sara wpisuje wiadomość. Wyjaśnia, że zgubiliśmy instrukcję, a chcemy wiedzieć, jak wymienić baterie. Pyta też, czy utracimy zapisane dane.

Dziesięć minut później nadchodzi odpowiedź. Dołączony jest do niej komplet plików z instrukcją obsługi. Sam e-mail radzi nam przed wymianą baterii podłączyć urządzenie do stacjonarnego komputera. Dodaje, że jeśli nie ma takiej możliwości, od momentu wyjęcia starych baterii mamy tylko minutę na założenie nowych. Po tym czasie urządzenie wyzeruje się i stracimy wszystkie zgromadzone w nim dane.

- Wygląda na to - mówi Sara - że pamięć działa tylko wtedy, kiedy są baterie.

Nie mając interfejsu umożliwiającego połączenie z komputerem ani odpowiedniego oprogramowania, nie możemy zrzucić zawartości pamięci urządzenia na komputer stacjonarny.

- Sam to zrobisz czy wolisz, żebym ja to zrobiła? - Sara ma na myśli wymianę baterii.

- Ja to zrobię.

Uzbrojony w dwie nowe baterijki i wydruk z Internetu, raz jeszcze podnoszę paznokciem pokrywkę gniazda baterii. Ręce mi drżą, jak gdybym rozbrajał bombę. Wyjmuję jedną baterię i szybko wsuwam na jej miejsce świeżą. Wyciągam drugą. Wpycham nową do środka, po czym uświadamiam sobie, że włożyłem ją w odwrotną stronę. Niemal upuszczam urządzenie na podłogę. Sara łapie je, zanim zdąży spaść na dywan. Trzyma je, podczas gdy ja odwracam baterijkę i wkładam ją jak należy. Patrzę na córkę.

- Myślisz, że zdążyliśmy?

- Nie wiem. Włącz to.

Zatrząskuję pokrywkę, odwracam komputer w dłoni i wciskam zielony przycisk. Kiedy ekran się zapala, wskaźnik stanu baterii wygląda tak jak przedtem. Nic się nie zmieniło, nadal jest prawie pusty. Cholera. Chwilę później zaczyna migać. Zaczerniony pasek przesuwają się nagle po symbolu baterii aż do prawego końca. Wskazuje teraz pełne naładowanie. Oddycham głęboko.

- Rany, tato, naprawdę musisz się wyluzować. Jesteś cały spięty. To przecież tylko mały komputer - mówi Sara.

- Tak, jasne.

- Pokaż to.

Podaję jej urządzenie i próbuję złapać oddech. Sara zaczyna stukać ryśkiem w ekran.

- On ma też opcję graffiti - mówi. - Chcesz zobaczyć?

- Nie, nie rób graffiti.

- Tato, to nie takie graffiti, o jakim myślisz. Popatrz - wyjaśnia. - W tej części ekranu możesz wpisywać litery, żeby wywoływać różne funkcje. Widzisz? - Otwiera książkę adresową Nicka i rysuje literkę „c” w małym oknie u dołu ekranu. Nagle książka przeskakuje na część z nazwiskami zaczynającymi się od „C”.

- Rozumiem - odpowiadam.

Pokazuje mi, jak wywołać kalendarz i terminarz.

- Można nawet odbierać i wysyłać e-maile, ale do tego trzeba włączyć

telefon - mówi. - Może to zrobimy? Baterie są zupełnie świeże.

- Nie teraz.

- O rany - jęczy, jakbym popsuł jej całą zabawę. - To jest naprawdę super. Dzieciaki w szkole dostałyby bzika.

Ja myślę. Dzwoniłyby do Bogu ducha winnych ludzi w Londynie, zostawiając wiadomość dla Joego, a potem dzwoniłyby tam znowu, przedstawiając się jako Joe i pytając, czy są dla nich jakieś wiadomości.

- Mogę zabrać to jutro do szkoły?

- Nie. I zrób coś dla mnie. Nie mów o tym nikomu.

- Dlaczego?

- Na razie niech to będzie nasza tajemnica.

Patrzy na mnie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Niby dlaczego miałabym się zgodzić?” Taka fajna rzecz, a ona nie może się nikomu pochwalić. Potem wzrusza ramionami, mówi: „Jasne” i oddaje mi komputer. Usadawia się w fotelu i wraca do swojej książki oraz powtórki *Star Trek*, nieśmiertelnego serialu.

- Saro.

- Co? - Podnosi głowę i patrzy na mnie.

- Dziękuję. Nie poradziłbym sobie bez ciebie.

Walczy z sobą, ale w końcu jej twarz rozpromienia się w uśmiechu.

- Zawsze do usług - mówi.

Opadam wygodnie na sofę i wpatruję się w palmtopa. Zastanawiam się, czy Nick miał oprogramowanie i interfejs i czy przerzucił zawartość pamięci na komputer w pracy lub w domu. Jeśli tak, gliny już to mają. Przejęli oba jego komputery; jestem pewien, że do spółki z firmą, której zależy na informacjach o klientach, jakie mogą się znajdować na twardej dyskach. Jeśli tego nie zrobił, tylko ja mam dane, które zawiera to urządzenie.

Opieram nogi na ławie i zaczynam surfować, używając rysika.

Przejrzenie książki adresowej zajmuje mi kilka minut. Są tam czterdzieści trzy nazwiska i numery telefonów, dużo mniej, niżbym się spodziewał, znając Nicka i kontakty, jakie utrzymywał. Większość z nich to same nazwiska, bez adresów czy innych informacji.

Niektóre z numerów kierunkowych wskazują na San Diego. Rozpoznaję 415, czyli San Francisco. Z książki telefonicznej dowiaduję się, że pozostałe dwa numery kierunkowe przy nazwiskach z listy Nicka to Manhattan i Waszyngton.

Kilka nazwisk jest mi znanych. To prawnicy RDD w San Diego. Przy paru osobach z innych miast Nick dokonał wpisów w rubryce „Tytuł”. Większość z nich to jednowyrazowe hasła: „Sprawy”, „Zezwolenia”, „Reklama”, „Rząd”. Nie rozpoznaję żadnego z nazwisk przypisanych do tych kategorii.

Jeśli nie liczyć wpisu sprzedawcy, przypominającego o rejestracji karty gwarancyjnej, terminarz jest pusty.

Za to w notatniku znajduję trzy wpisy sprawiające wrażenie adresów. Są to nazwa ulicy i numer domu, po których następują litery: SF, NY i DC. Skrótów trzech z czterech miast wymienionych w książce adresowej. Jest tam też druga notatka, o treści „Antiquities Biblioteka”, a po niej ciąg cyfr, być może zagraniczny numer telefonu. Zapisuję go.

O północy, kiedy Sara dawno już śpi, część zagadki zostaje rozwiązana. Dzwonię pod kilka numerów i potwierdzam swoje podejrzenia: za każdym razem zgłaszają się biura RDD w wymienionych miastach.

Zastanawia mnie, dlaczego urządzenie nie zawiera więcej wpisów. Nick znał tysiące ludzi w samym tylko San Diego. Żadnego z nich nie ma w książce adresowej. Nie ma nic, co dotyczyłoby sądów w którymkolwiek z tych czterech miast, żadnych adresów, numerów telefonów, żadnych terminów rozpraw w kalendarzu, jedynie spotkania z jakimiś prawnikami z różnych oddziałów firmy.

Pierwsze z nich pojawia się na początku kwietnia w San Francisco. Potem jest kilka spotkań w Nowym Jorku i w Waszyngtonie, wczesnym latem. Ciągną się one przez całe lato. Ostatnie spotkanie odbyło się w San Francisco dziewięć dni przed śmiercią Nicka.

Najpierw przychodzi mi na myśl, że Nick dopiero uczył się posługiwać tym urządzeniem, nie chcąc wyrzucać starego terminarza do śmieci, dopóki nie opanuje wszystkich jego funkcji. Ale jego prawdziwe przeznaczenie

zdradza mi dopiero kolejne odkrycie. Tajemniczy wpis powtarzający się co miesiąc tego samego dnia, dwudziestego piątego o jedenastej rano. Obok daty i adnotacji „Pieniądze dla Laury” widnieje ikonka alarmu, tak by Nick miał pewność, że nie zapomni. Za nią jest następna maleńka ikona, kartka z zagiętym rogiem. Gdy przyciskam ją rysikiem, pojawia się notatka. Imię i nazwisko Laury oraz jej matki wraz z adresem i numerem telefonu.

To jest coś, czego Nick nigdy nie powierzyłby papierowemu kalendarzowi ani notatnikowi w biurze, gdzie mogłoby wypatrzeć to wścibskie oczy.

Laura musi mieć teraz prawie cztery latka, owoc przelotnego romansu z młodą sekretarką, z którą Nick spotykał się poza firmą parę miesięcy przed poznaniem Dany, kiedy jego małżeństwo z Margaret waliło się w gruzy. Była to randka o smutnych konsekwencjach. Tego wieczoru, gdy Nick powiedział mi o dziecku, był pijany. Oczy miał pełne łez i żałował tego. Prosił matkę Laury, żeby za niego wyszła, ale odmówiła, twierdząc, że nie ma wobec niej żadnych zobowiązań. Utrzymali sprawę w tajemnicy. Nigdy nie ubiegała się o wsparcie. Mimo wszystko Nick kilka razy w tygodniu, wieczorami, po pracy, odwiedzał dziecko. I co miesiąc przynosił kopertę z gotówką. Powiedział mi, że jego córka zna go tylko jako wujka Nicka. Nigdy nie zdradził się z tym Margaret ani Danie.

Dlaczego powiedział o tym mnie, nie mam pojęcia. Może sprawiła to gorzałka, stawiając mu przed oczy jasny obraz kłęski. Jakakolwiek była tego przyczyna, tamtego wieczoru stałem się powiernikiem Nicka. Tak właśnie wyglądało jego życie, życie utalentowanego ryzykanta pędzącego na złamanie karku po wyboistej drodze brukowanej niefortunnymi decyzjami i mnóstwem cierpienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na wojnie nazywa się to „kompleksem ocalałego” - ludzie, którzy byli świadkami traumatycznego wydarzenia i przeżyli je, często wolą się dęczyć poczuciem winy, niż dopuścić do świadomości bardziej bolesną prawdę, że sprawy były poza ich kontrolą, że byli bezradni.

Od dnia śmierci Nicka zdarzenia poprzedzające fatalną strzelaninę przewijają się w mojej głowie jak odtwarzana w pętli taśma wideo. Ale moją uwagę szczególnie zaprzęta jedno, to najbardziej niewytłumaczalne, będące wynikiem przelotnego towarzyskiego odruchu.

Nie chodzi o fakt, że przekazałem Nickowi z powrotem Metza i jego problemy. Metz okłamywał mnie co do prania pieniędzy i prawdopodobnie co do innych spraw również. Podejrzewam, że Nick wiedział, co sprzedaje, kiedy podsyłał mi tę sprawę.

Rzecz, która mnie dęczy, jest o wiele bardziej niewinna. Chodzi o fakt, że nie dołożyłem tamtego ranka więcej starań, by zawołać Nicka, gdy stał po drugiej stronie ulicy. Rozmyślałam o tym w nocy przed zaśnięciem i w owych niekończących się godzinach przed świtem, odtwarzając swoje ruchy, analizując je tak, jak choreograf mógłby śledzić sekwencję kroków w tańcu.

Komuś, kto nie dźwiga tego brzemienia, kto nie słyszał strzałów ani nie widział tamtej jatki, mogłoby się to wydawać szaleństwem. Ale nie mnie.

Wołałem Nicka, ale moje słowa zagłuszył przejeżdżający między nami autobus. Przypuszczam, że mógłbym zrzucić winę na kierowcę i jego silnik Diesla, na przedsiębiorstwo komunikacji miejskiej albo na ruch uliczny. Ale kiedy autobus przejechał, kiedy zobaczyłem go stojącego na chodniku obok Metza, zawahałem się. Mogłem zawołać raz jeszcze, ale nie zrobiłem tego. Gdybym zawołał, pokazując mu komputerek, Nick przeszedłby przez jezdnię. Stałby ze mną po drugiej stronie ulicy, kiedy nadjechali strzelcy. Gdyby nie moje zaniedbanie, żyłby jeszcze.

Więc dlaczego nie zawołałem? Zadawałem sobie to pytanie setki razy i za każdym razem uzyskiwałem tę samą odpowiedź: z tego samego powodu, dla którego wszyscy unikamy nie lubianych ludzi, z małostkowej chęci

oszczędzenia sobie kłopotliwej sytuacji, w tym przypadku spotkania z Metzem. Skoro odrzuciłem jego sprawę, uznałem, że lepiej będzie go nie oglądać i oddać Nickowi komputerkę przy innej okazji. Tak więc włożyłem urządzenie do kieszeni i odszedłem. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że pozornie nic nieznaczące zaniedbanie - moje wycofanie się, moja niechęć do Metza - będzie kosztować Nicka Rusha życie.

Jestem pewien, że każdy psychiatra powiedziałby mi, iż moje postępowanie było zupełnie w porządku. Ale prawnik, człowiek nauczony doszukiwania się winy, mógłby, jak ja, dostrzec w nim bezpośrednią przyczynę śmierci.

Kompleks ocalałego, być może. Ale bije na głowę wszelkie inne przyczyny śmierci Nicka, jakie znam, gdyż to właśnie była ta jedna, której ja mogłem zaradzić. I dopóki nie dowiem się, kto go zastrzelił i dlaczego, świadomość tego nie da mi spokoju.

Czekam z szacunkiem kilka dni, nim wreszcie kontaktuję się z Daną. Dzwonię do niej późnym popołudniem. Jest maj i numer może został zmieniony, ale centralka telefoniczna nie. To jedno z tych programowanych urządzeń, które dają dzwoniącemu możliwość wyboru. „Jeśli chcesz rozmawiać z Nickiem, wciśnij jeden. Jeśli chcesz rozmawiać z Daną, wciśnij dwa”. Skóra mi cierpnie, bo głos, który recytuje ten tekst, jest echem zza grobu. Jest to głos Nicka.

Wybieram numer Dany i czekam, aż podniesie słuchawkę.

Odbiera inna kobieta, domyślam się, że pokojówka, gdyż Nick wspomniał mi, iż Dana zatrudniła służącą. Mówi z meksykańskim akcentem.

- Sprawdź, czy pani Rush jest w domu. Kto dzwoni?
- Paul Madriani.
- Proszę chwileczkę poczekać.

Włącza tryb zawieszenia rozmowy. W słuchawce rozlega się spokojna muzyka klasyczna. Kilka sekund później mozartowskie tony skrzypiec urywają się nagle.

- Cześć, Paul. Jak to miło, że dzwonisz.

Wydaje się lekko zdyszana. Prawie widzę ją, jak potrząśnięciem głowy odrzuca z oczu swe jasne, obcięte na chłopaka włosy.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, ale lepiej nie przez telefon. Znalazłbyś może chwilę żeby wpaść do mnie?

- Jasne. Kiedy?

- Dałbyś radę dziś wieczorem, powiedzmy, około wpół do siódmej, siódmej?

Zerkam na kalendarz.

- Czemu nie.

- Świetnie. W takim razie czekam - mówi i odkłada słuchawkę.

Cays leżą o rzut beretem od mojego biura, zaledwie parę mil od Coronado, na drugim końcu Silver Strand. To jedno z najbardziej pożądanych miejsc. Jedyńm sąsiadem od północy jest baza szkoleniowa marynarki wojennej, położona kawał drogi wzdłuż plaży. Blisko stąd do centrum do pracy. Niektóre z nowszych domów, w większości po remoncie, idą po pięć milionów dolarów za sztukę.

Ich cenę windują nie tylko widoki na zatokę, ale i fakt, że jest to jedno z nielicznych już miejsc w Kalifornii, gdzie można mieć prywatną przystań na własnym podwórku. Cays oferują bezpośredni dostęp do portu jachtowego, a stamtąd na otwarty Pacyfik, i niektóre z zacumowanych tu prywatnych jachtów wielkością dorównują małym statkom wycieczkowym.

Dana zostawiła moje nazwisko na liście w posterunku ochrony przy Strandzie, więc kiedy przyjeżdżam, bez problemów mijam bramę. Jej dom znajduje się na Green Turtle Cay. Byłem tu kilka razy na różnych imprezach, z których ostatnia to kwesta wśród członków palestry na jakiś cel, nie pamiętam już jaki.

Pokonuję most i skręcam w lewo. Dom jest osłonięty od strony zatoki przez inną sztuczną wyspę - Grand Caribe Cay. Gdy zatrzymuję się przed frontem, jest już zmierzch. Za wodą rozgrywa się spektakl światła, blask zachodzącego słońca odbijający się od lśniących drapaczy chmur, obraz baśniowego miasta Oz otoczonego pojedynczymi światełkami domów na wzgórzach w oddali. Przypuszczam, że właśnie to było jednym z powodów,

dla których Nick kupił ten dom, to i ponętna opalenizna, jakiej nabierała Dana, leżąc latem w bikini na pomoście jego jachtu. Powiedział mi kiedyś, że pozwalał czasem, by fale znosiły jacht pod olbrzymie lotniskowce zacumowane w bazie marynarki na północnym końcu wyspy, i przyglądał się, jak Dana rozwiązuje stanik swego kostiumu, opalając się na brzuchu na pokładzie. Miewał wtedy chwile satysfakcji, patrząc, jak marynarze wytrzeszczają oczy, przechyleni przez burty. Co za sens mieć piękną, młodą żonę, jeśli człowiek nie umie się tym cieszyć?

Wysiadam z samochodu, zatrzymuję drzwiczki i zamykam je na klucz. Gdy się odwracam, w prostokącie otwartych drzwi domu widzę Danę. Czeka na mnie. Jest drobnej budowy, metr sześćdziesiąt na bosaka. Stoi bez butów, w ciemnych pończochach i czarnej sukience, która w tej chwili unosi się sporo powyżej kolan, gdy wyciągając ręce ponad głowę, ujmuje swą zgrabną postać w framugę drzwi niczym w ramę obrazu.

Z ubraniem i butami ważyłaby nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Dana przypomina mi część gwiazd filmowych, które miałem okazję widzieć, sprawiających na ekranie wrażenie okazałych, dopóki nie zobaczy się ich na żywo. Większość jest drobniotka. Sekret ich fizycznego magnetyzmu tkwi w proporcjach, które obejmują też subtelne szczegóły idealnie rzeźbionej twarzy. Dana ma w sobie coś z Meg Ryan: filigranowa, o delikatnych rysach i uśmiechu, który zmiękczyłby kamień.

Gdy zbliżam się ścieżką, kieruje ten uśmiech w moją stronę. Nie odrywając rąk od framugi, potrząsa głową w bok, by odrzucić włosy z oczu.

- Boże, tak się cieszę, że cię widzę - mówi. - Widziałam cię na pogrzebie, ale po prostu nie byłam w stanie zająć się każdym.

- Rozumiem.

Ujmuje mnie za rękę i cmoka w policzek.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez przyjaciół - oznajmia. - Bez ciebie i bez Nathana.

- Mówisz o panu Fittipaldim? - pytam.

- Mhm. - Kiwa głową. - Nie uwierzyłbyś, jak jest pomocny.
 - Od jak dawna go znasz?
 - Nie wiem. Może rok. Działamy razem w komisji do spraw kultury.
 - Jest jej członkiem?
 - Mhm. Bardzo wpływowym. - Kieruje mnie do środka i zamyka drzwi.
- Jego galerie są wszędzie, w Beverly Hills, w Nowym Jorku, w Europie. -
Prowadzi mnie w stronę salonu.

- Widziałem jego wizytówkę - stwierdzam. - Czym konkretnie on się zajmuje? To znaczy poza tym, że jest przyjacielem?

Spogląda na mnie przez ramię ze zmysłowym uśmiechem, który mówi mi, że ja też mógłbym się znaleźć na tej liście. Być jej przyjacielem.

- Pośredniczy w zakupie dzieł sztuki dla ważnych klientów. Prywatni kolekcjonerzy, wielkie muzea, tego typu sprawy.

- To brzmi imponująco.
- Rzeczywiście - przyznaje. - Ale nie rozmawiajmy o tym teraz.

Tak więc zmieniam temat.

- Jak się czujesz?
- Nie masz pojęcia - mówi. - Nikt nie wie, jak to jest, dopóki sam tego nie przeżyje. - Nagle patrzy na mnie, unosząc dłoń do ust. - Och, przepraszam.

- Za co?
- Zapomniałam, że straciłeś żonę.

Nie jestem pewien, czy nie chce w ten niezręczny sposób przypomnieć mi, że jestem do wzięcia. Z Daną nigdy nic nie wiadomo.

- Nikki zmarła kilka lat temu - odpowiadam.
- Nikki. Tak miała na imię?

Kiwam głową.

- Mimo wszystko to było bezmyślne - stwierdza. - Co ja mam w głowie? Oczywiście myślałam tylko o sobie. Jestem zupełnie rozkojarzona. Nick wspominał mi o tym.

Na co umarła? Nie pamiętam.

- Na raka.
- Racja. I masz córkę?
- Sare.
- Ile ma lat?
- Piętnaście.
- Piętnaście. Pamiętam - mówi. - Co za wiek. Założę się, że lamie serca wszystkim chłopcom. Musisz przyprowadzić ją któregoś dnia, żebyśmy mogła ją poznać.

- Może kiedyś - odpowiadam.

- Przypuszczam, że to jest trochę inaczej. No wiesz, Nick został zabity i w ogóle. A twoja żona umarła z przyczyn naturalnych. Miałaś pewnie czas, żeby się przygotować. - Znów zmienia biegi. Być może to oznaka jej stanu ducha. - Nie żeby to było przez to mniej bolesne, na pewno. Ale tak... To był prawdziwy szok. Jest, żyje i nagle go nie ma. I ci dziennikarze. Człowiek nie ma pojęcia, co to oznacza, dopóki nie musi sam użerać się z tymi ludźmi. Nie mają za grosz szacunku dla czegokolwiek. Jeden z nich posunął się wręcz do tego, że wynajął łódź i podpłynął do naszego nabrzeża, żeby robić zdjęcia. Policja musiała go stamtąd odholować.

- Widziałem paru z nich przy bramie, w samochodach - wtrącam.

- To hołota - ciągnie Dana. - Cóż, dobrze chociaż, że kamery telewizyjne już zniknęły. Wiesz, przedtem nie mogłam nawet stąd się ruszyć. Zatarasowali wyjazd. Wspólnota mieszkańców musiała dwa razy wzywać policję, żeby ich usunąć. To jest jak zły sen. Wciąż mi się zdaje, że Nick lada moment pojawi się w drzwiach. Ale nie mogę się obudzić. Koszmar nie mija.

- Masz rację - mówię. - Nie umiem sobie tego wyobrazić.

- Nie wiem, co robić. - Patrzy na mnie.

Nie mam dla niej żadnej rady, ale kiedy podchodzi i zarzuca mi ręce na szyję, opierając głowę na mojej piersi i przytulając się do mnie całym ciałem, widzę, że sama znalazła rozwiązanie. Przymierza się do nowej pary ramion.

Owiewa mnie uwodzicielska woń perfum, zapach drewna sandałowego i jaśminu.

- Ktoś go zabił, Paul. A ja nie wiem dlaczego.

Kręcę głową.

- Ktoś go zabił, ale to był wypadek.

- Wypadek. - Odchyła głowę i patrzy mi prosto w oczy.

- Jestem pewien, że ktokolwiek to zrobił, nie strzelał do Nicka.

Nie odzywa się. Nie wierzę, żeby ta myśl była dla niej nowa. Gazety lansują teorię, jakoby to Metz był celem.

- Nigdy nie myślałam o tym jako o wypadku - oznajmia.

- Nick znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie - zapewniam ją.

Nie umiem stwierdzić, czy sprawiam jej tym ulgę, ale odkleja się ode mnie i cofa o krok z głową najwyraźniej wypełnioną nowymi myślami.

Prowadzi mnie w stronę stolika, gdzie na srebrnej tacy stoją porcelanowy dzbanek z kawą i dwie filiżanki. Pyta, czy mam ochotę, po czym nalewa.

- Cukru?

- Nie, dziękuję.

- Śmietanki?

Kręcę głową.

- Usiądź, proszę - mówi.

Usadawiam się na potężnej, miękkiej sofie. Dana podaje mi filiżankę, drugą stawia na stoliku obok fotela i siada. Jedną nogę podwija pod siebie, wystawiając kolano, tak że widoczne jest spuszczone oczko w pończosze. Spozstrzega to i nakrywa je dłonią, obdarzając mnie tym słodkim uśmiechem małej dziewczynki, który doprowadziła do perfekcji.

- Muszę wyglądać okropnie. - Przygryza dolną wargę.

- Wyglądasz świetnie.

- Po prostu starasz się być uprzejmy - mówi. Przeciąga dłonią po włosach, usiłując je przygładzić. W efekcie mierzwi je tylko jeszcze bardziej. Zerka w dół, na stanik sukienki, by upewnić się, że wszystko jest na miejscu. - Jestem wrakiem i wiem o tym. Nie mogę spać, odkąd to się stało.

Jej zaczerwienione oczy potwierdzają to. Sukienkę ma wymiętą, jak gdyby może leżała, zanim przyjechałam.

- Chyba powinnam wyjaśnić ci, dlaczego prosiłam cię, żebyś przyjechał. Byłeś jednym z najlepszych przyjaciół Nicka.

- Byłem jego kolegą, to wszystko.

- Nie - mówi. - Nie byłeś zwykłym kolegą. Byłeś dobrym kolegą. A Nick nie miał ich wielu. Wiem o tym. Szefowie firmy nie utrzymywali z nami kontaktów towarzyskich. Tak, jasne, odstawili wielki pokaz na pogrzebie, ale poza biurem nie chcieli w ogóle mieć do czynienia z Nickiem.

- On sam mówił mi coś innego. Twierdził, że część wspólników chce wprowadzić go do zarządu firmy.

- To mrzonki. - Ignoruje mój protest. - Oni wszyscy zajmują się wielkim biznesem, wiesz, sprawy cywilne. - Język płacze jej się nieco przy tych słowach, tak jakby wypła parę kieliszków przed moim przyjazdem. - Wiesz, że obiecywali Nickowi złote góry, żeby ściągnąć go do firmy. A potem nie dotrzymali słowa. Adam Tolt - mówi - stawał na głowie, żeby skusić Nicka. Mówił mu, że wprowadzą go w sprawy cywilne, umożliwią mu awans. A potem Nick poszedł tam i przekonał się, że to były same kłamstwa. Brali pieniądze, które zarabiał, ale nie chcieli mieć nic do czynienia z nim ani z jego klientami. Ale ty... ty byłeś inny. Byłeś jego przyjacielem.

- Może to dlatego, że mieliśmy podobną klientelę.

- Tyle tylko, że ty nie przyjmujesz spraw narkotykowych - dodaje.

Kiedy spogląda na mnie znad filiżanki kawy, spostrzega, że sprawiła mi ból.

- Och, przepraszam - mówi. - Nie chciałam cię urazić. Tak naprawdę szanuję cię za to, że masz zasady. To coś, czego Nick nigdy nie umiał. Mówiłam mu, że jest ponad to. Ale nie sądzę, żeby mi wierzył. Wiem, o czym myślisz. Myślisz, że gdybyś przyjął sprawę Metza, Nick by żył, a ty byś zginął. Nie powinieneś tak myśleć.

Najwyraźniej Dana tak właśnie myśli.

- Nie możesz się o to winić - ciągnie. - Jeśli ktokolwiek jest tu winny, to ja.

- Ty?

Kiwa głową.

- To ja skierowałam do niego Metza. Ja stałam się przyczyną jego śmierci.

- Nie. To nieprawda.

- Niestety, to prawda - mówi. - Gdybym nie знаła Metza z komisji do spraw kultury, to wszystko by się nie stało.

Jak mam jej powiedzieć, że gliny są przekonane, iż Nick prowadził interesy z tym człowiekiem?

- Metz poszedłby ze swoim problemem do jakiegoś innego adwokata i jakaś inna biedna, głupia baba zostałaaby wdową. - Zaczyna pochlipywać lekko. - Cholera - rzuca. - Powiedziałam sobie, że nie będę się rozczulać. - Ociera chusteczką samotną łzę, która spływa jej po policzku. - Nick był takim nieborakiem - dodaje. - Ta jego praca. To wszystko, co miał.

- Miał ciebie - odpowiadam.

- Tak. Mnie. - Wstaje z fotela i odwraca się do mnie plecami.

Nie umiem stwierdzić, czy próbuje się opanować, czy zastanawia się, co powiedzieć.

- Domyślam się, że możesz się czuć podle po tym, co się stało - mówi. - I chciałam... chciałam cię tylko zapewnić, że nie musisz... że nie powinieś robić sobie wyrzutów. - Mówiąc to, stoi wciąż tyłem do mnie. - Wydawał mi się taki miły. - Wzrusza ramionami i odwraca się w moją stronę, mała dziewczynka patrząca na mnie niczym zrozpaczony chochlik. - Pan Metz, znaczy się. Był zawsze dżentelmenem. Wspominał o swojej rodzinie. Miał wnuki. Wiedziałaś o tym?

Większość z nas je ma, jeśli żyje wystarczająco długo. Kręcę głową.

- Jak ktoś mógł mu to zrobić? I Nickowi?

- Nie mam pojęcia.

- Wciąż sobie powtarzam, że nie mogłam tego przewidzieć, ale to nic nie pomaga - mówi. - Czuję się odpowiedzialna. - Z westchnieniem opada obok mnie na sofę.

Pytam ją, czy zwracała się o pomoc do psychologa, terapeuty, kogoś, kto zawodowo zajmuje się kojeniem żalu.

- W tej chwili nie wiem, czy to by coś pomogło.

- Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Masz jakichś przyjaciół w sąsiedztwie? Koleżanki, znajome? - pytam.

- Nie chcę w to wchodzić - odpowiada. - Samotna wdowa.

Tęsknię za jednym z krzeseł, gdzieś dalej. Obawiam się, że wszystkie emocjonalne żyroskopy Dany są w tej chwili sfiksowane. A jednak wciąż siedzę obok niej na sofie. Dana oburącz ściska moją dłoń.

- Próbuję być dzielna. O właśnie - mówi. - Zobacz. - Uśmiecha się i oboje wybuchamy śmiechem.

- Musiałam się z tobą spotkać, bo policja twierdzi, że jesteś ostatnią osobą, która rozmawiała z Nickiem.

- Przypuszczam, że to prawda.

- Mówił coś o mnie? - pyta. Unosi ku mnie wzrok, drażące spojrzenie, które szuka uwolnienia od jakichś niepojętych dla mnie wątpliwości. Nagle doznaję olśnienia. Głupek. Ona chce wiedzieć, czy ją kochał i czy zwierzał się z tego przede mną.

Zaczynam się zastanawiać, na ile dobrze go znała. Nick mógł rozmawiać z innymi mężczyznami o wielu sprawach, łącznie z opowieścią o tym, jak uprawiał seks z żoną, wisząc na żyrandolu. Ale nigdy nie rozprawiałby o uczuciach. Potrzebuję chwili namysłu, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. Spostrzegam, że uznaje moje milczenie za: „nie”.

- Mówił o tobie cały czas - odpowiadam. - Byłaś najważniejsza w jego życiu.

- Naprawdę?

- Zdecydowanie.

- Mówił o mnie tamtego ranka?

- Co masz na myśli?

- Wspomniał moje imię?

- Jasne. I to nieraz.

- Co mówił?

- Że jesteś najlepszym, co przydarzyło mu się w całym życiu. - Być może powiedział to okrężną drogą, opisując rzeźbione, zaokrąglone kształty jej jędrnej pupy, ale w taki czy inny sposób istotnie powiedział to.

- Naprawdę?

Kiwam głową i unoszę trzy palce niczym skaut, modląc się w duchu, by nie uschły i nie odpadły na jej oczach. Zanim mam czas opuścić dłoń, ujmuje

ją w swoje. Siedzimy tak parę chwil. Patrzę na stół, na filiżankę z kawą, wszędzie, byle nie w błękitne oczy Dany. Ona czegoś szuka, pocieszenia czy informacji, nie jestem pewien.

- Próbuję zrozumieć, dlaczego do tego doszło - stwierdza. - Rozmawiałeś z panem Metzem. Nick wspomniał mi o tym. Dlaczego ktoś miałby chcieć go zabić?

Dana wkracza na zakazane terytorium, sprawy, o których nie wolno mi mówić. Gdybym to zrobił, a ona powtórzyłaby to glinom, wymagałoby mnie dokładnie, argumentując, że sam pozbawiłem się prawa do zasłaniania się tajemnicą adwokacką. Skoro klient nie żyje, a brak dla niej jakiegokolwiek innego uzasadnienia, byłby to dowód, że uznałem ją za nieobowiązującą.

- Nie wiem.

- Musiał ci coś powiedzieć. Wiem, że to musiało mieć związek z jakimś interesami, które prowadził w Meksyku.

- Mówił ci o tym?

Kiwa głową.

- Przed spotkaniem z Nickiem. Rozmawialiśmy o jego problemie po jednym z zebrań komisji.

- Jak dużo ci powiedział?

- Niewiele. Mówił, że nie zrobił nic złego, że potrzebuje adwokata, tak więc wspomniałam o nim Nickowi. O co tu chodziło? Muszę to wiedzieć.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

- Słuchaj, niedługo i tak się dowiesz. Policja znajdzie ludzi, którzy zabili Nicka. Wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Cierpliwości.

- Jak mogę być cierpliwa? Straciłam męża - mówi. - Chcę wiedzieć dlaczego. Czy był w coś zamieszany?

- Dlaczego tak mówisz?

Od razu widzę, że wołałaby cofnąć te słowa.

- Bez powodu - zapewnia. - To cała ja. Nie jestem sobą.

Nieprawda. To właśnie jest Dana, jaką znam.

- Chodzi mi tylko o to, że trudno być cierpliwą. Czekać, nie wiedząc, co się stało.

- Tak. Wiem.

- Więc on, to znaczy Metz, nie powiedział ci nic, z czego mógłbyś coś wynioskować?

Kręcę głową. To kłamstwo, ale w tej chwili to najlepsze, co mogę zrobić. Czy wierzy mi, czy nie, nie drąży dalej.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego cię tu ściągnęłam - dodaje. - Muszę porozmawiać z tobą o pewnej sprawie.

- Co to takiego?

- To jest... obawiam się, że zabrzmiało to okropnie małoostkowo - mówi.

- Spróbuj.

- Chodzi o polisę ubezpieczeniową Nicka.

Patrzę na nią lekko zdziwiony.

- Chodzi mi o to, że jeśli Nick miał ubezpieczenie na życie, w firmie, to fakt, że został zastrzelony, zamordowany... Ja nie... Chodzi mi o to, że nie wiem, co powinnam zrobić.

- Chcesz wiedzieć, czy to ma wpływ na twoje uprawnienia do świadczenia?

Kiwa głową. Oto Dana w wydaniu bezradnym - błękitne oczy, jedwabista skóra, cera jak mgiełka. Siedzi, trzymając mnie za rękę.

- Nick miał taką polisę?

- Chyba tak. Powiedział mi o niej kiedyś. Ubezpieczenie partnerskie, czy jakoś tak.

- Polisa partnerska?

- O właśnie. Wiesz, co to takiego?

Jest to coś, czego można by się spodziewać w firmie takiej jak RDD. Pokażne ubezpieczenie na życie dla każdego ze współników, tak by w razie jego śmierci firma nie była zmuszona do wykupywania jego udziałów od spadkobierców.

- To niezupełnie moja dziedzina - mówię jej.

- Wiem, ale mam do ciebie zaufanie. Byłeś przyjacielem Nicka. - Dana wywija teraz tym argumentem jak mieczem.

- Masz kopię tej polisy?

Kręci głową.

- Czy Nick miał jakiś sejf albo skrytkę w banku?

- Policja zabrała sejf - odpowiada. - Mieliśmy skrytkę bankową, ale jest zaplombowana, dopóki nie sprawdzą jej zawartości. Nie mogę wyciągnąć

nawet dokumentów naszego domu. Hipoteka - wyjaśnia. - Zobaczycy, ile jesteŝmy winni. Ile wynosi mój udział. - Dana moŝe i jest bezradna, ale na pewno nie głupia.

- Więc nie masz polisy?

Znów kręci głową. Patrzy na mnie z zapartym tchem, czekając na odpowiedź.

- Pewnie myślisz, że jestem bezduszna - mówi. - Pazerna wdowa.

- Jeśli istnieje polisa, a ty jesteś osobą uposaŝoną, to masz prawo do wypłaty - odpowiadam.

- Nie mówiłam o tym nikomu, ale Nick zostawił mnie w... cóŝ... w nie najlepszej sytuacji - dodaje. - To znaczy, jeśli chodzi o finanse.

- Nie wiedziałem o tym.

- Nikt nie wiedział, że mną włącznie - wyjaśnia. - Myślę, że to z powodu jakichś jego inwestycji. Czytałam w gazecie, że kiedy go zabito, miał przy sobie cztery tysiące dolarów. Nie wierzę w to - mówi. - Nick twierdził, że rynek pada, że straciliśmy mnóstwo pieniędzy. Dom nie jest spleacony, wiem o tym. Będę musiała sprzedać jacht - wzdycha. - To była chluba i radość Nicka. Być moŝe będę musiała poszukać jakiegoś skromniejszego mieszkania, o ile w ogóle będę miała za co żyć. Znasz Nicka. Życie w napięciu to rzecz godna prawdziwego mężczyzny. - Mówi o nim, jak gdyby wciąż żył. - A dopóki troszczył się o wszystko, o nic nie pytałam. Ale teraz...

- Rozumiem.

- Dlatego właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Wiedziałam, że zrozumiesz. A Nick ci ufał.

Dana umie obrócić nóż w ranie.

- Mogę zadzwonić do paru osób - mówię jej.

- Och, dziękuję. Nie wyobraŝasz sobie, jaka to ulga móc zdać to wszystko na kogoś innego.

Moja mina mówi jej, że niezupełnie to miałem na myśli. Dana udaje, że tego nie widzi.

- Mieć kogoś, kto wie, co robić. - Niespodziewanie jej ramiona oplatają mi szyję. Przechyliła się w moją stronę na sofie, wtulając ciepłą twarz w moją pierś, aż muszę podeprzeć się rękoma, żeby nie upaść na plecy. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - szepcze.

Myśli, które chodzą mi w tej chwili po głowie, są - zważywszy na okoliczności - dość nieoczekiwane. Myślę o domysłach Dany na temat Sary i chłopców, z niejasną świadomością, że ona sama szlifowała swoje talenty, odkąd skończyła piętnaście lat. Notuję sobie w pamięci, żeby odbyć poważną rozmowę z córką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego ranka, kiedy wchodzę do biura, Harry przegląda różowe karteczki z wiadomościami telefonicznymi, jednym okiem zerkając na telewizor w holu nadający jakiś poranny talk-show. Jego teczka stoi obok niego na podłodze, płaszcz zaś ma wciąż na sobie, więc domyślam się, że albo właśnie przyszedł, albo znów wychodzi.

W swojej przegródce w sekretariacie znajduję parę świstków z wiadomościami, więc zabieram je.

Na ekranie trwa akurat wywiad z jednym z prezenterów telewizyjnych. Sflaczały gość w szelkach, bez marynarki, usiłuje wyglądać jak zwykły zjadacz chleba w wykrochmalonej koszuli za trzy tysiące dolców.

- Chyba skrzywił sobie kręgosłup, starając się uatrakcyjnić wiadomości - zauważa Harry.

Mój partner nie ma za grosz szacunku dla tego, co uchodzi w dzisiejszych czasach za dziennikarstwo, szczególnie w telewizji. Zdaniem Harry'ego, zbyt dużo czasu poświęca się na zachwyty nad politykami, którzy wykazują szczególny talent do kłamstwa, i to do tego stopnia, że ostatecznie zinstytucjonalizowano rozkład moralny społeczeństwa, podnosząc oszustwo do rangi niezbędnej u przywódcy narodu umiejętności zwanej „interpretacją faktów”. Liczy się już nie samo kłamstwo, ale sposób, w jaki się je wypowiada.

Mamy teraz sekretarkę i telefonistkę w jednej osobie, choć w tej chwili nie ma jej jeszcze w biurze. Marta przychodzi codziennie na sześć godzin w porze wolnej od zajęć na uczelni, by odsłuchać wiadomości z automatycznej

sekretarki, zapanować nad korespondencją i uporządkować akta, żebyśmy nie utonęli w lawinie papierzyk.

- Jak poszło spotkanie z wdówką? - Harry był w moim gabinecie, kiedy rozmawiałem przez telefon z Daną.

- Świetnie.

- Czego chciała?

- Poradzić się o coś. - Wertuję świstki z notatkami. Dzwonił Nathan Fittipaldi. Pewnie pilnuje sprawy Dany.

- Nie wypląkać się na twoim ramieniu? - pyta Harry.

- To też. - Szybko zmieniam temat. Zaczynam mówić o skromnych informacjach, jakie udało mi się wydobyć z palmtopa Nicka.

- Porozmawiamy w gabinecie. - Harry wciska wyłącznik na pilocie telewizora, ekran ciemnieje, a my wchodzimy do mojego pokoju i zamykamy drzwi.

Opowiadam mu, czego się dowiedziałem z kieszonkowego komputera Nicka.

- Zrobiłem, o co prosiłeś - oświadcza Harry. - Wiesz, że większość tych rzeczy można znaleźć w Internecie. - Ma na myśli rejestry przedsiębiorstw w biurze sekretarza stanu w stolicy.

- Na szczęście Effie była wczoraj wieczorem w pracy, więc weszła do Internetu.

Harry za nic w świecie nie usiadłby przy komputerze, nawet po to, żeby coś napisać. W jego tajemnym świecie klawiatury są dla sekretarek i zecerów. Żaden szanujący się prawnik nie tknąłby ich palcem. Powtarzam mu, że jest dinozaurem.

- Ona ma na imię Marta, nie Effie - mówię.

- Wolę nazywać ją Effie.

Harry dostał ostatnio bzika na punkcie czarnych kryminalów, starych zagadek Dashiella Hammetta i Raymonda Chandlera i wzdycha za czasami, kiedy wszystko było albo czarne, albo białe. Zaczął nazywać naszą asystentkę imieniem sekretarki Sama Spade'a z *Sokoła maltańskiego*. Obawiam się, że pewnego pięknego dnia przyjdę do biura i znajdę nazwiska „Spade i Archer” wypisane czarnymi literami na oknach od frontu.

- Niech ci będzie, dopóki ona nie ma nic przeciwko temu - odpowiadam.

- Pamiętaj, że jest coś takiego jak ustawa o molestowaniu.

- Jej się to podoba - mówi Harry.

Marta jest Latynoską, ma około metra sześćdziesięciu wzrostu, duże poczucie humoru, przyjazne usposobienie i wyznaje kult pracy, który pozwala jej harować jak wół szesnaście godzin na dobę pomiędzy szkołą, pracą i dwójką dzieciaków. Chętnie się uczy i zajęła się prowadzeniem naszego biura, znajdując nawet nieco wolnego miejsca na szafy z dokumentami w jednym z pustych pawilonów dwie bramy od naszej firmy.

- Weszła do Internetu - mówi Harry. - Nieźle jej to idzie.

- Może mogłaby dać ci parę lekcji - podpowiadam mu.

Harry patrzy na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Pomarzyć sobie możesz”.

- Udało nam się dokopać do danych Jamaile Enterprises. Jak twierdziły gliny, to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Została zarejestrowana nieco ponad rok temu. Akta wymieniają twojego pana Metza jako współwłaściciela. Nick pojawia się jako członek kierownictwa.

Wygląda na to, że Metz zajmował się bieżącą działalnością, a Nick być może był inwestorem. To nie jest do końca jasne.

Zastanawiam się, czy nie była to czasem ta nieudana inwestycja, o której mówiła mi Dana. Ta, przez którą została bez grosza.

- Były tam jakieś inne nazwiska?

- Jedno. Niejaka Grace Gimble - mówi Harry. Zagląda do notesu i wzrusza ramionami, jak gdyby z niczym mu się to nie kojarzyło. - Pojawia się na liście pracowników jako sekretarka.

- Gdzie była siedziba firmy?

- W adresie jest tylko skrytka pocztowa. - Podaje mi numer na kartce.

- Możesz być pewny, że gliny już tam były z nakazem rewizji - stwierdzam.

Kiwa głową.

- Może któryś ze współników coś wie?

Wciąż wertuję w roztargnieniu świstki z wiadomościami.

- Coś jeszcze?

- Tylko to co zwykle. Akt rejestracji z oświadczeniem o zakresie działalności.

Zerkam na Harry'ego.

- Jak mówił ten gliniarz, import-eksport. I wszelkie inne legalne interesy na dokładkę. Mnóstwo rzeczy ściągniętych żywcem z instruktarza - wyjaśnia.

- To wszystko?

- Poszedłem do biblioteki prawniczej i kazałem im sprawdzić nazwisko „Grace Gimble” w Lexis-Nexis. - Tego nie kupiliśmy jeszcze do naszego biurowego komputera. - Znaleźliśmy parę G. Gimble, żadnej Grace, i bez dalszych informacji nie dało się stwierdzić, czy któraś z nich jest tą właściwą osobą.

- Co sądzisz? - pytam.

- O tej kobiecie?

Kiwam głową.

- To mogła być jakaś sekretarka. Osoba, którą poprosili o podpis, żeby móc zarejestrować tę firmę.

- Też tak pomyślałem.

- Chcesz, żebym to sprawdził? Zadzwoił do firmy?

- Nie. Zaczekajmy z tym. Bez sensu byłoby zadawać te same pytania co gliny.

Harry zastanawia się nad tym.

- Dlaczego Nick nie powiedział ci o tym? Byliście takimi dobrymi przyjaciółmi. - Zerka na mnie z cynicznym błyskiem w oku. - Jeśli nawet prowadził interesy z Metzem, co miał do ukrycia? Chyba że zajmowali się przemytem - stwierdza.

- Nie zapędzaj się zbyt daleko - strofuję go. - Prawnik taki jak Nick widuje mnóstwo ludzi w ciągu roku. Być może rozmawiał z Metzem przez telefon, a dokumenty przesłano mu do podpisu pocztą.

- Jasne - mówi Harry. - Nick miał tyle firm, że po prostu mógł o tym zapomnieć.

Trafna uwaga.

- Rozmawiałaś z nią o tym? - Ma na myśli Danę.

Kręcę głową.

- Dlaczego?

- Nie było okazji.

Harry parska śmiechem.

- Co, była zbyt zajęta luzowaniem ci krawata i majstrowaniem przy pasku od spodni?

Patrzę na niego.

- Wiem, nie musisz mi mówić. Nie mam za grosz szacunku dla żaloby. Pozostawiam to jako stwierdzenie faktu.

- Czego chciała?

- Dowiedzieć się czegoś o polisie ubezpieczeniowej.

- Nick miał polisę? - Brwi Harry'ego unoszą się lekko.

- Nie wiemy tego.

- Być może ty nie wiesz - stwierdza Harry. - Ale mam przeczucie, że niedawna pani Rush wie, choć to wymaga postawienia kolejnego pytania.

- A mianowicie?

- Dlaczego ty? Twoje doświadczenie w kwestii ubezpieczeń jest mniej więcej takie jak doświadczenie Nicka w zakładaniu firm.

- Uznała, że może mi ufać.

- A może? - Mój wspólnik chce wiedzieć, czy nie jestem zainteresowany czymś więcej niż tylko wchodzącymi w grę zagadnieniami prawnymi.

- Chciała też wiedzieć, o czym Nick i ja rozmawialiśmy tamtego ranka przy kawie.

- Aha. Powiedziałaś jej?

- To, co pamiętałem. Nie wszystko.

- I pomiędzy wspomnieniami wyłoniła się ta kwestia ubezpieczenia?

- Tak.

- Co to jest za polisa?

- Mówiłem ci już. Nie wiemy, czy w ogóle jest jakaś polisa.

- Ona nie ma kopii? - pyta Harry.

Kręcę głową.

- Niech sam zgadnę - mówi. - W firmie założyli mu polisę partnerską? Harry jest bardzo domyślny.

- O ile rzeczywiście.

Wybucha tym specyficznym śmiechem, jaki rezerwuje dla głupstw popełnianych przez głupców.

- Obiecałeś jej, że pójdziesz tam i zapytasz o to?

- Ktoś musi. On zostawił ją bez grosza przy duszy. Poza tym mam inne powody, żeby to zrobić - wyjaśniam.

- Mam nadzieję, że jednym z nich jest honorarium.

- Niekoniecznie.

Harry patrzy na mnie.

- Chyba nie powiedziałaś jej, że zajmiesz się tym za darmo?

- W ogóle nie rozmawiałem z nią na temat honorarium. Problem w tym, że Nick powiedział mi parę rzeczy, których nie mogę powtarzać. One dotyczą innych osób. Niewinnych osób, które mogłyby zostać wciągnięte w tę sprawę w niezbyt miły sposób. - Obraz Laury i jej matki otoczonych tłumem reporterów koczujących pod ich drzwiami nie jest czymś, za co chciałbym ponosić odpowiedzialność. Dlatego właśnie nie powiedziałem nic glinom. Nie chciałem też zawieść zaufania Nicka, który powierzył mi swój sekret. - Będziesz musiał uwierzyć mi na słowo. Mam powód. Słuszny powód. - Patrzę na Harry'ego. Odwzajemnia moje spojrzenie, po czym kiwa głową.

- Nick zrobił parę złych inwestycji - dodaję.

- Tak. W byłe żony.

- Popęłnił też kilka innych błędów.

Harry patrzy na mnie, wyczuwając, że to właśnie jest ta sprawa, o której nie mogę rozmawiać.

- Bardzo ci na tym zależy?

- Tak.

- OK. Świetnie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Dzięki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rocker, Dusha & DeWine to jedna ze starszych firm w mieście. Nikt nie pamięta, kiedy zmarł Jeremiah Rocker, a wiszące w holu zdjęcie Jamesa Dushy przedstawia wytwornego dżentelmena w kamizelce i sztywnym kołnierzyku, wpatrującego się w obiektyw aparatu przez binokle.

Nazwa firmy może i jest stara, ale w jej działalności nie widać śladów skostnienia. W ciągu ostatnich paru lat wchłonęła dwie inne pokaźne

firmy prawnicze i założyła nowe oddziały w San Francisco, Nowym Jorku i Waszyngtonie. Zapuściła macki w ośrodkach władzy i pieniądza, a krążą słuchy, że mierzy jeszcze wyżej, zawsze bezbłędnie docierając do ludzi mogących zapewnić jej dojście do liczących się klientów.

RDD jest widoczna także na scenie politycznej. Kilka lat temu przypuściła szturm na Kongres, forsując ustawę znaną później jako Ustawa o reformie procesów o przestępstwa gospodarcze. Tytuł ten zawierał wszelkie stosowne hasła, kojarząc się z tym wszystkim, czego ludzie nie znoszą w „przestępstwach gospodarczych” i „procesach”, a uwielbiają w „reformach”. To szelmstwo stało się przyczyną gwałtownej recesji, choć trudno byłoby się tego domyślić, sądząc po zyskach, jakie przypadły stąd RDD.

Ustawa ta zawierała pewien zapis będący furtką dla księgowych i prawników. Pozwalał on im przemykać oczy na oczywiste oszustwa ich klientów, a mimo to pobierać od nich pokaźne honoraria. W ten sposób prawnicy i księgowi unikali wszelkiej cywilnej i karnej odpowiedzialności, podczas gdy będące ich klientami przedsiębiorstwa okradają nieostrożnych inwestorów na miliardy dolarów. Przed upływem czterech lat potężne korporacje w całym kraju zaczęły padać jak domki z kart, ogłaszając upadłość, zwalniając dziesiątki tysięcy pracowników i przeobrażając plany emerytalne w sterty bezwartościowego papieru. Oczywiście w stosunku do RDD nie wyciągnięto z tego powodu żadnych sankcji. Chronił ją przyznany przez Kongres immunitet.

RDD stała się mistrzem w tej grze. Powszechnie wiadomo, że forsowała ustawy umożliwiające przestępstwa, a potem reprezentowała pokrzywdzonych w procesach z powództwa grupowego. To, że ofiary dostawały trzy centy za każdego straconego dolara, i to, że pieniądze te szły w całości na opłacenie astronomicznych honorariów adwokatów, nie peszy jej w najmniejszym stopniu.

Firma zatrudnia przeszło trzystu prawników oraz niezliczoną rzeszę asystentów, sekretarek i trutni, przykutych do wiosel i harujących, by utrzymać tę potężną galerę na właściwym kursie: zawsze ku korzyściom finansowym.

Mało kto w palestrze, a z pewnością nikt w RDD nie błędnie nawet na myśl, że sprawiedliwość, jeśli w ogóle istnieje, jest jedynie produktem ubocznym pogoni za zyskiem.

Wszystko to ma odzwierciedlenie w adresie firmy i gustownym rozlokowaniu jej ogólnodostępnych pomieszczeń. RDD zajmuje górne pięć pięter jednego z wieżowców na nabrzeżu, z widokiem na zatokę. Powszechnie wiadomo, że firma jest właścicielem także reszty budynku i wynajmuje jego niższe piętra, dopóki nie zdoła wyeliminować dość konkurencji, by wypełnić sterownię i zęzy.

Pokoje zarządu mieszczą się na czternastym piętrze. Drogę do recepcji wyściela perski dywan tak długi, że spokojnie pokryłby pas startowy lotniska w Los Angeles, dość supłów na wełnie, by wykoślawić palce i zmarnować wzrok pokoleniu dzieciaków tyrających w jakimś ciemnym, podłym warsztacie gdzieś na Bliskim Wschodzie.

Na postumencie pośrodku holu spoczywa potężna rzeźba z brązu przedstawiająca dwa wieloryby, matkę z młodym. To odlana w metalu deklaracja troski firmy o wartości rodzinne oraz środowisko.

Aby uwzględnić wszystkie ich punkty oparcia, nie zaniehbując przy tym zainteresowań komercyjnych, na ścianach powieszono olejne obrazy przedstawiające statki, niektóre pod żaglami, oświetlone halogenowymi reflektorkami, jakie widuje się w muzeach. Nic z tego nie jest jednak w stanie przyćmić rozciągającego się za oknem widoku na zachód, ponad zatoką, niezrównanej panoramy północnej części wyspy Coronado wraz z jej rozległą bazą marynarki wojennej.

Podchodzę do kontuaru i kładę na nim swoją wizytówkę.

- Paul Madriani. Do pana Tolta.

Recepcjonistka, szczupła, rudowłosa kobieta w kostiumie, ze słuchawkami z mikrofonem na głowie, dłonią o długich na trzy centymetry paznokciach podnosi wizytówkę i przygląda się jej. Wyjaśniam, że jestem umówiony.

- Chwileczkę. - Wcisną przycisk i łączy się z zapleczem, wymienia moje nazwisko wraz ze wzmianką o umówionym spotkaniu, słucha, uśmiecha się, po czym przyciskiem kończy rozmowę. - Asystentka pana Tolta będzie tu za moment. Proszę usiąść.

Opadam ostrożnie na przytulną kanapę pod okazałych rozmiarów malowidłem przedstawiającym żaglowiec na wzburzonym morzu, mając cichą nadzieję, że nie zostanie zalany wodą. Sekretariat to ruchliwe miejsce. Telefony dzwonią bez ustanku, trzy recepcjonistki wciskają przyciski, powtarzając mantrę: „Rocker, Dusha”, „Rocker, Dusha”. DeWine najwyraźniej zawieruszył się w tym komercyjnym zamęcie, w którym cenna jest każda ujęta w rachunku sekunda. Palce o długich paznokciach stukają w klawiatury telefonów z szybkością tancerzy flamenco, łącząc rozmowy z gabinetami w głębi i na niższych piętrach i zasilając maszynierię do robienia pieniędzy. Skomputeryzowane przystawki do telefonów będą pikały co sześć minut, naliczając opłatę za każdą dziesiątą część godziny. Automaty do gier w większości kasyn nie zapewniają właścicielom tak stałego dochodu.

Nie mija nawet minuta, kiedy zza narożnika kontuaru recepcji wychodzi kobieta w eleganckim granatowym kostiumie, z uśmiechem na twarzy otoczonej jasnymi, sięgającymi do ramion włosami. Przystaje na chwilę przy kontuarze, by wziąć moją wizytówkę, po czym ze wzrokiem wciąż utkwionym w kartoniku rusza w moją stronę.

- Panie Madriani.

Unoszę się z kanapy.

- Jestem Glenda Rawlings, osobista asystentka pana Tolta. Proszę tędy.

Ruszam za nią. Mijamy recepcję i kierujemy się w głąb korytarza zakończonego parą wielkich, dwuskrzydłowych drzwi. Na ciemnym mahoniu złotymi literami wypisane jest nazwisko: „Adam Tolt”. Glenda puka.

- Proszę - odzywa się stłumiony głos.

Glenda otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka. Nigdy dotąd nie widziałem Tolta. Gdy teraz patrzę na niego z odległości sześciu metrów, siedzącego za potężnym, ciemnym biurkiem, sprawia wrażenie szarej emnencji. Bóg mógłby mieć taki gabinet, gdyby był bogatszy. Na półce ciągnącej się wzdłuż trzech ścian - czwartą stanowi tafla szkła - stoi kolekcja greckich waz z gliny i terakoty. Rzuca się w oczy, że są to zabytki o wielkiej wartości. Na ścianie za biurkiem Tolta wisi Matisse, nie kopia, lecz oryginał,

w szokujących barwach, jaskrawych błękitach i zieleniach.

Blat biurka ozdabia misterna intarsja ze wzorem pierwiosnków, otaczająca wąskim pasem polituowaną płytę ciemnego, egzotycznego drewna, która spędziła wieki w poszyciu jakiejś dziewiczej tropikalnej dżungli. Jest kompletnie pusty, jeśli nie liczyć ozdobnego srebrnego kompletu do pisania, telefonu z milionem przycisków i wielkiej skórzanej podkładki. Na podkładce piętrzy się stos papierów, którym ten człowiek poświęca całą swą uwagę. Nie unosi głowy, kiedy wchodzi.

- Glendo, będą mi potrzebne akta sprawy Masery'ego. Powiedz Halstonowi, że chcę się z nim widzieć przed wyjazdem. Zadzwoń też do Schafera i przekaż mu, że w piątek, po powrocie, chcę mieć od niego raport na temat Electric Stylus. - Kreśli wiecznym piórem ukośną linię przez kartkę, którą właśnie czyta. - Nad tym pismem do Wentwortha trzeba jeszcze popracować. - Rzuca je w jej stronę. Kartka żegluje w powietrzu, tak że Glenda musi złapać ją w locie pół metra od blatu biurka. - Nie wiem, kto podał te liczby - mówi Tolt - ale suma się nie zgadza. - W tym momencie jego oczy przebiegają już następną kartkę ze sterty.

- Tak, panie prezesie. Zajmę się tym natychmiast.

Stawia swój podpis, wodząc ostrym jak igłą czubkiem stalówki po papierze firmowym o fakturze płótna, unosi kartkę i podpisuje się znowu. Powtarza to jeszcze cztery razy, jeden po drugim. Jego nazwisko reprezentują dwie splecione litery, A i T, po których następuje atramentowy zawiąs. Kreśli je ze statecznym dostojęstwem człowieka odciskającego w wosku sygnet dla zatwierdzenia cesarskiego rozkazu.

Tolt jest dinozaurem na scenie politycznej nie tylko tego stanu, ale i krajowej. Plotka głosi, że jako młody człowiek kierował placówką handlową na Dalekim Wschodzie, skąd - nim minął rok - zaczęły docierać pogłoski o przekupywaniu urzędników, pogłoski, które zmieniły się w skandal i po aferze związanej z zakupem uzbrojenia doprowadziły do upadku rządu. Fakt, że dostawcą owego uzbrojenia był jeden z klientów Tolta, najwyraźniej nie zaszkodził jego reputacji. To, że po tym wszystkim jego nazwisko

ani razu nie pojawiło się w prasie ani w żadnym z późniejszych dochodzeń, zdobyło mu powtarzany po kątach i za plecami przydomek „Cichy kombinator”.

Ślady politycznych poczynań Tolta mają zwodnicze cechy cienia. Znikają, jeśli skierować na nie światło. Są ludzie podejrzewający, że jego palce nie zostawiają odcisków nawet na gładkiej skórze jego aktówki. Obecnie zasiada w radach nadzorczych kilkunastu przedsiębiorstw, jak również w państwowym Komitecie jednej z dwóch wielkich partii politycznych. Zważywszy na obraz, jaki przybiera moralność kraju przez ostatnie ćwierć wieku, pewnego dnia bez wątpienia znajdziemy go w Sądzie Najwyższym albo w gabinecie prezydenckim.

Zakręca pióro. Dopiero teraz unosi wzrok i patrzy na mnie.

- Aha, Glendo, nie łącz do mnie żadnych telefonów i zadzwoń na lotnisko, żeby się upewnić, czy gulfstream jest zatankowany i gotowy. Nie chcę znów czekać na załogę.

- Dobrze, panie prezesie. Pański samochód jest na dole. Kierowca czeka.

- Dziękuję, Glendo.

Asystentka, uosobienie kompetencji, wybiega z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Tolt podnosi moją wizytówkę, którą Glenda położyła na podkładce tuż przy jego prawej dłoni, i przygląda się jej. Nosi okulary. Jego czoło jest pobrużdżone zmarszczkami. Na twarzy ma zdrową opaleniznę i trzyma się dobrze jak na człowieka, któremu według mnie niedawno stuknął szósty krzyżyk.

- Pan Mad-re-ni?

- Ma-dria-ni. „A” są długie - poprawiam go.

- Proszę usiąść. Nie mam zbyt dużo czasu. Wyjeżdżam do stolicy w interesach - mówię.

Słyszając to, mam ochotę wystosować ostrzeżenie do podatników. Tolt zerka na zegarek.

- Mówiono mi, że prosił pan o spotkanie ze mną. Coś w sprawie Nicka Rusha.

- Jeśli pan woli, możemy przelożyć tę rozmowę na dogodniejszą porę, kiedy będzie pan miał trochę więcej czasu. Może po pańskim powrocie...

- Nie. Nie. - Wolałby pozbyć się mnie od razu.

Siadam.

- Przychodzę w imieniu pani Dany Rush. Wdowy po Nicku. Prosiła mnie, żebym zbadał dla niej pewne sprawy związane z jego pracą.

- Rozumiem. - Poważnie kiwa głową. - To prawdziwa tragedia - mówi.

- Człowiek o takich perspektywach zabrany u szczytu kariery. - W ustach Tolta brzmi to tak, jak gdyby największym nieszczęściem było to, że palce Nicka nie obsługują już maszyny do robienia pieniędzy w jego biurze.

- Mówiąc konkretnie, chodzi o ubezpieczenie na życie jej męża, firmową polisę partnerską.

- Mhm. - Nagle zaczyna rozglądać się za czymś, kręcąc się w fotelu. Potem dostrzega to: stojącą z tyłu, na podłodze pod szafką, aktówkę. Obraca się dookoła, tak że przez moment, kiedy po nią sięga, widzę tylko jego plecy. - Zazwyczaj nie zajmuję się takimi szczegółami - mówi. - Rozmawiał pan z Humphreysem? - Odwraca się znów twarzą do mnie. Otwarta aktówka spoczywa przed nim na biurku. Przez chwilę myślę, że może ma w niej egzemplarz polisy. Potem uświadamiam sobie, że nie. Po prostu pakuje się, szykując się do wyjścia. - Humphreys to człowiek, którego panu trzeba - ciągnie. - To dyrektor administracyjny firmy. On zajmuje się tymi wszystkimi sprawami. Jeśli ma pan wniosek o wypłatę świadczenia, proszę złożyć go u niego.

- Rozmawiałem z panem Humphreysem wczoraj. To on zorganizował nasze spotkanie. Oświadczył, że jest jakiś problem, ale nie może mi nic wyjaśnić. Twierdził, że muszę zwrócić się z tym do pana.

- Problem? Nie wiem nic o problemie. Jak pan powiedział? Kogo pan reprezentuje?

- Panią Rush. Danę Rush.

Patrzy na mnie, jak gdyby to nazwisko nic mu nie mówiło.

- Niech pan chwileczkę zaczeka. - Podnosi słuchawkę telefonu, wciska jeden z klawiszy na dole i czeka na połączenie. - Halo, George, tu Adam z góry. - Okręca się na fotelu, znów zwracając się tyłem do mnie. - Mam tu

człowieka, nazywa się Paul Mad-re-ni. Twierdzi, że rozmawiał z tobą wczoraj przez telefon o polisie partnerskiej Nicka Rusha. Mhm. Mhm. Więc dlaczego ja nic o tym nie wiem? Mhm. No dobrze, ale trzeba mi było powiedzieć. Mhm. Naprawdę. Czy ktoś się tym zajmuje? Mhm. Mhm. Cóż, to świetnie, ale co... Mhm. Więc jak? Czy Jim myśli, że damy się w to wciągnąć? Mhm. Mhm. Cóż, informuj mnie na bieżąco, dobra? - Odkłada słuchawkę, jeszcze raz sięga po moją wizytówkę i przygląda się jej. Ma pan rację. Wygląda na to, że może być problem - mówi.

- Co to takiego?

Odkłada wizytówkę i znów zaczyna przekładać dokumenty z szuflady biurka do otwartej aktówki.

- Dobrą wieścią jest to, że Nick miał polisę partnerską. Została założona, kiedy zatrudnił się u nas. Firma opłacała składki i wszystko - mówi. - To część pakietu kompensacyjnego dla naszych wspólników. W zamian za wypłatę ubezpieczenia spadkobiercy zgadzają się zrezygnować z wszelkich roszczeń do udziałów w firmie - wyjaśnia. - Polisa partnerska to dobry sposób na to, by nikomu nie stała się krzywda.

- I?

- Złą wieścią - mówi Tolt - jest to, że najwyraźniej osobą uposażoną nie jest pańska klientka.

- Jak mam to rozumieć?

- Jak dobrze znał pan Nicka? - pyta.

- Dość dobrze.

- Wie pan więc, że był już wcześniej żonaty.

Kiwam głową.

- W tym właśnie problem - wyjaśnia. - W polisie jest nazwisko byłej żony. Wydaje mi się, że spotkałem ją raz na jakimś przyjęciu firmowym. Ma na imię Margaret. Zna ją pan?

Wzdycham głęboko i kiwam głową.

- Przypuszczam, że ona nie wie, że wciąż jest w polisie jej nazwisko. W każdym razie jeszcze nie. - Szpera w aktówce, upewniając się, że ma wszystko. - To stawia nas w trudnym położeniu - dodaje. - Jakikolwiek roszczenie ze strony innej osoby i ubezpieczyciel będzie musiał ją

powiadomić. Jako prawnik specjalizujący się w ubezpieczeniach z pewnością pan to rozumie.

- Nie specjalizuję się w ubezpieczeniach.
- Zdawało mi się, że mówił pan...
- Nic nie mówiłem.
- Na wizytówce ma pan napisane, że jest prawnikiem.
- Prowadzę sprawy karne. Tak właśnie poznałem Nicka.
- Aha - mówi i przerywa pakowanie. Jego krzaczaste brwi, nastroszone i siwe, wyginają się i przesuwają na środek czoła jak dwie wędrujące myszy. Znów sięga po moją wizytówkę. Tym razem przygląda się jej dokładniej, czytając pod nosem: - Madriani. Madriani. Pamiętam. Był pan obrońcą w tym procesie, mniej więcej rok temu... Chodziło o jakieś zwłoki znalezione w biurze przy plaży. Co to było?

- Sprawa Hale'a.
- Właśnie. Dziadek, który wygrał na loterii. Ofiarą była kobieta.
- Zolanda Suade - podpowiadam.
- O właśnie. - Zamyka aktówkę i patrzy na mnie. - To była niezła robota - mówi. - I cała ta darmowa reklama.
- A mnie się zdawało, że nikt tego nie zauważył.
- Zajmował się pan kiedyś przestępstwami urzędniczymi? - pyta.
- Trochę.
- Doprawdy. - Unosi lekko brwi, zapewne zastanawiając się, jak szybko moje palce byłyby w stanie obsługiwać programy do zarabiania pieniędzy na stojącym beczynnym komputerze w gabinecie Nicka. Zostawia zamkniętą aktówkę na biurku i rozpiera się wygodnie w fotelu. - Mówi pan, że jak długo znał Nicka?

- Od kilku lat.

Siedzi bez słowa, patrząc na mnie spoza blatu biurka i czekając na dalsze szczegóły. Nie podaję żadnych.

- Niestety ja nie znalazłem go zbyt dobrze. Żałuję, że nie poświęciłem mu więcej czasu. Przypuszczam, że Nick czuł się tym urażony, ale on nie rozumiał, jak ciężką pracą jest kierowanie firmą taką jak ta. Zrzedający

wspólnicy, którzy domagają się wyższej premii na koniec roku. Bez przerwy muszą toczyć z nimi boje, żebyśmy mogli się rozwijać. Praktyka prawnicza w takiej firmie jest niczym próba zagonienia do kupy kotów, które rwą się do walki. To, że przez ostatnie dwa lata spadały nam zyski, też nie poprawia sytuacji.

Zaczynam mu współczuć, patrząc na bezcennego Matisse'a w złoczonej ramie za jego fotelem.

- Za dużo prawników - mówi.
- Z tego co słyszę, wciąż szukacie nowych.

Uśmiecha się.

- Mijaliśmy się z Nickiem na korytarzu. Rozmawialiśmy na przyjęciach gwiazdkowych. Jeśli dobrze pamiętam, współpracowaliśmy przy dwóch sprawach. Klienci, którzy zeszli na złą drogę.

Chce przez to powiedzieć, że Nick został wezwany, kiedy firma potrzebowała pomocy w sprzątaniu bałaganu, jaki zostawił po sobie jeden z ich klientów, który zdecydował się popędzić na skróty za zyskiem.

- Potem poprowadził kilka spraw narkotykowych. Chyba nie było ich zbyt wiele. Staraliśmy się, na ile to możliwe, kierować go do przestępstw urzędniczych.

- Rozumiem. To najgłębsze żerowiska w morzu przestępczości, na jakie firma chce się zapuszczać, czyż nie?

- Coś w tym rodzaju. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie chcę, żeby pan myślał, że dyskredytuję to, co robią inni prawnicy. Ich klienci z pewnością mają prawo do żywiołowej obrony.

- Ale nie tutaj?

- Cóż... - Jego mina wystarcza za całą odpowiedź. - Niestety w tej chwili wyglądamy nieco marnie, jeśli chodzi o specjalistów od prawa karnego. Mamy co prawda paru młodych aplikantów, ale to Nick był duszą tego działu. Tak więc nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby zajmował się innymi rzeczami. A teraz mamy prawdziwy problem. Nicka nie ma, więc musimy zacząć się rozglądać za kimś, kto wypełniłby próżnię. Nick miał klientów. Trzeba się nimi zająć - mówi. - To pańska dziedzina. Może mógłby nam pan kogoś polecić?

Gdybym był naiwny, mógłbym pomyśleć, że proponuje mi pracę. Kryzys chwili: jak wszyscy ludzie u władzy, Adam Tolt uświadamia sobie, że jedynymi problemami, jakie liczą się w tym momencie, są te, które należą do niego.

- Może powinniśmy poczekać, aż ciało ostygnie - mówię mu.

- Oczywiście - odpowiada. - To było bezmyślne. - Słowa przeprosin płyną z jego ust, ale interesowny błysk nie opuszcza jego oczu. Tolt jest skrzyżowaniem Franklina Delano Roosevelta z diabłem. Ma szeroki uśmiech, przesadną wylewność i władczą osobowość, wszystko w zasadzie poza fiką do papierosów i paralizem. Prawdę mówiąc, wydaje się wyjątkowo sprawny i porusza się jak człowiek o połowę młodszy. - Żałuję, że nie mogę więcej dla pana zrobić - mówi. - Ale rozumie pan problem? Ten z ubezpieczeniem?

- Tak.

- Co pan teraz zamierza?

- Pójdę i przekażę to pani Rush. Mogę dostać kopię polisy?

- Czemu nie? Zanotuję to i każę przesłać egzemplarz do pańskiego biura. Oczywiście - dodaje - wdowy mogłyby rozwiązać ten problem.

- Jak?

- Zgodzić się na podział ubezpieczenia.

- Na ile opiewa polisa? - pytam.

- Na dwa miliony - mówi. - Musiałyby się zgodzić, żeby każda wzięła połowę.

- Dlaczego uposażona miałaby na to przystać?

- No cóż, ona też mogłaby mieć pewne kłopoty. Być może przy rozwodzie zapadło orzeczenie o podziale majątku, które mogłoby podkopać jej roszczenia.

- A jest takie orzeczenie?

- Tak sądzę - odpowiada. - Można by uznać, że pozostawienie jej nazwiska na polisie po rozwodzie było przeoczeniem. - Patrzy na mnie ponad złożonymi w daszek dłońmi, opierając łokcie na poręczach fotela, po czym prostuje się i zatrząskuje zamki aktówki. Tysiączek za godzinę, sto sześćdziesiąt pięć dolarów za każde dziesięć minut, błaha rozmowa poza czasem staje się kosztowna.

- A jeśli nie da się tego rozwiązać polubownie? - pytam.

Krzywi się i patrzy na mnie.

- Wtedy, jak przypuszczam, ubezpieczyciel będzie musiał wystąpić do sądu o ustalenie prawa własności.

Tolt ma na myśli tymczasowy sekwestr, prawniczą szarpaninę, w której towarzystwo ubezpieczeniowe uniesie ręce i przyzna, że ma pieniądze, ale nie wie, komu je wypłacić. Będzie musiał rozstrzygnąć to sąd. Po ciągnącym się przez rok albo dwa procesie, podczas którego prawnicy towarzystwa ubezpieczeniowego oraz obu kobiet będą się awanturować na oczach świadków, zostanie wypisany czek, ale czyje nazwisko znajdzie się w rubryce „komu”, nikt nie jest w stanie odgadnąć. Jediną rzeczą absolutnie pewną jest to, że lwia część owej sumy trafi w ręce adwokatów.

Harry miał rację. Wpadłem w bagno. Teraz będę musiał zadzwonić do Dany i przekazać jej przykre wieści. Stare porzekadło okazuje się słuszne: ostatnimi ludźmi na świecie, którzy umierając, mają gotowe testamenty i uporządkowane sprawy, są adwokaci.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dziś rano Harry ma nowinę. Przyniósł mu ją telefon od jednego z przyjaciół, zastępcy prokuratora okręgowego, z którym spotyka się w czwartkowe wieczory przy kartach. Wczoraj, pomiędzy tasowaniem a rozdaniem, facetowi wymknęło się, że władze federalne dokonały aresztowania, nie w związku z zabójstwem Nicka, ale zdaniem prokuratora, obie sprawy mogą być powiązane.

Harry stoi w drzwiach mojego gabinetu z gazetą, którą dopiero co kupił w kiosku na naszej ulicy. Przegląda wewnętrzne strony. Na pierwszej, złożonej przede mną, widzę zdjęcie żurawia z kulą do wyburzania budynków uderzającą w neon na dachu starego hotelu Capri, który mieścił ulubioną kafejkę Nicka. Mimo woli zastanawiam się, co Nick może o tym pomyśleć, jeżeli patrzy na to z góry czy - gwoli ścisłości - z dołu.

- Jest - mówi Harry. - To tylko krótka notatka.

W nagłówku czytamy:

ARESztOWANIE W SPRAWIE KRADZIEŻY WIZ

ODDZIAŁY SPECJALNE FEDERALNYCH I LOKALNYCH ORGANÓW OCHRONY PORZĄDKU PUBLICZNEGO, DOWODZONE PRZEZ AGENTÓW URZĘDU ĘMIGRACYJNEGO ORAZ FEDERALNEGO URZĘDU CELNEGO, PRZEPROWADZIŁY W CZORAJEJ NOCY NALOT NA DOM W SANTEE I DOKONAŁY ARESztOWANIA W ZWIĄZKU Z UBIEGLOROCZNĄ MAJOWĄ KRADZIEŻĄ TYSIĘCY WIZ WJAZDOWYCH W TIJUANIE.

WIZY TE, WYSTAWIONE PRZEZ URZĄD IMIGRACYJNY, UPRAWNIAJĄ DO KRÓTKOTRWAŁEGO POBYTU W STANACH ZJEDNOCZONYCH. ZOSTAŁY SKRADZONE 23 MAJA Z FURGONETKI DOSTAWCZEJ W POBLIŻU KONSULATU STANÓW ZJEDNOCZONYCH W TIJUANIE.

ARESztOWANYM JEST MIGUELITO ESPINOZA, MIEJSCOWY POŚREDNIK PRACY, KTÓREGO DZIAŁALNOŚĆ OBEJMOWAŁA WYNAJMOWANIE NIETYKALIFIKOWANEJ SITY ROBOCZEJ, GŁÓWNIIE DO PRAC W ROLNICTWIE. JAK TWIERDZĄ WŁADZE, ESPINOZA BYŁ W SWOIM DOMU W CZASIE NALOTU I NIE STAWIAŁ OPORU.

WŁADZE ODMAWIAJĄ UDZIELENIA INFORMACJI, CZY W MIEJSCU ZAMIESZKANIA ESPINOZY ZNALEZIONO JAKIEKOLWIEK DOWODY. CZARNORYNKOWĄ WARTOŚĆ SKRADZIONYCH WIZ SZACUJE SIĘ NA MILION DOLARÓW. WIZY TE MOGĄ ZOSTAĆ WYKORZYSTANE DO UMOŻLIWIENIA WJAZDU NA TERYTORIUM STANÓW ZJEDNOCZONYCH CU-DZOZIEMCOM BEZ WAŻNYCH DOKUMENTÓW, NIELEGALNYM IMIGRANTOM ORAZ PRZEMYTNIKOM.

POSZUKIWANIA SKRADZIONYCH WIZ TRWAJĄ OD WIELU MIESIĘCY. WEDŁUG ŹRÓDEŁ, KTÓRE PRAGNĄ ZACHOWAĆ ANONIMOWOŚĆ, DOKUMENTY TE STANOWIĄ NAJWYŻSZE OSIĄGNIĘCIE W DZIEDZINIE TECHNOLOGII IDENTYFIKACJI LASEROWEJ I SĄ ZABEZPIECZONE HOLOGRAMAMI. ISTNIEJE OBAWA, ŹE RABUSIE, KTÓRZY DOKONALI KRADZIEŻY, MOGĄ SKOPIOWAĆ ZASTOSOWANĄ TECHNOLOGIĘ, CO UMOŻLIWI IM PRODUKCJĘ FAŁSZYWYCH WIZ.

Harry opuszcza gazetę i patrzy na mnie.

- To jest to.
- Dlaczego twój przyjaciel z biura prokuratora okręgowego sądzi, że ma to jakiś związek z Nickiem i strzelaniną?

- Powiedział, że facet, którego aresztowano, miał jakieś powiązania z Metzem.

- Wspomniał jakie?

- Nie, a ja nie miałem ochoty przelazić przez stół, żeby go pytać. Odniosłem wrażenie, że sam tego nie wie.

- Myślisz, że powiedziałby ci, gdybyś zadzwonił i zapytał go o to?

Harry kręci głową.

- Jesteśmy zaprzyjaźnieni, ale nie do tego stopnia. Powiedział mi tylko, że ten gość, którego aresztowali, ten... - jeszcze raz zerka na artykuł - Espinoza, był od jakiegoś czasu obserwowany przez FBI. Mówimy o miesiącach - wyjaśnia. - I mam na myśli pełną obserwację. Z tego co słyszałem, urzędowi imigracyjnemu cholernie zależy na odzyskaniu tych wiz. Prokurator okręgowy chce potrząsnąć facetem, żeby się przekonać, czy wie coś o strzelaninie. Zakładają, że nie mógł brać w niej udziału, skoro przez cały ten czas był pod obserwacją, ale sądzą, że może coś wiedzieć. Nie chciałem nawet wspominać ci o tym, ale pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć.

- Dzięki.

Harry idzie zrobić sobie herbatę, kubek gorącej wody z mikrofali na drugim końcu korytarza. Wraca, nurzając w kubku torebkę na sznurku.

- Czy Tolt miał kopię polisy ubezpieczeniowej?

- Co?

- Polisy partnerskiej dla żony Nicka.

- Ach. Tak. Przyśle ją nam pocztą.

- Był chętny do współpracy?

- Chyba tak. Na tyle, na ile mógł. Jest pewna kwestia, komplikacja - wyjaśniam.

- Co za komplikacja?

- Wygląda na to, że nie ona jest wymieniona jako uposażony.

- To rzeczywiście komplikacja. A czyje nazwisko tam jest?

- Pierwszej żony.

Harry wznosi oczy ku sufitowi.

- Więc co masz zamiar z tym zrobić?

- Nie wiem.

- Pozwól, że dam ci radę. Kiedy dostaniesz tę polisę, odeślij jej ją, dołącz do tego list przewodni i powiedz, żeby znalazła sobie dobrego specjalistę od ubezpieczeń.

- Nie mogę tego zrobić.
- Dlaczego?
- Bo w grę wchodzi inne osoby.
- Kto?

Jeżeli będziemy zmuszeni zająć się tą sprawą, zamierzam prosić Harry'ego, żeby zrezygnował z honorarium. Należy mu się wyjaśnienie.

- Chodzi o dziecko. Nick miał nieślubną córkę. To było kilka lat temu, zanim poznał Danę. Ma na imię Laura.

Harry patrzy na mnie. Niemal słyszę, jak obracają mu się trybiki w mózgu.

- Koperta z gotówką, którą gliny znalazły w kieszeni Nicka - mówi.

Kiwam głową.

- Nick od początku płacił na jej utrzymanie. Bez nakazu sądowego. Z własnej woli. Nie wiedział o tym nikt poza matką i nim. Tak właśnie sobie życzyli.

- A ty chcesz wywalczyć ubezpieczenie dla dziecka.

- Niestety, nie mogę. Będę musiał się trzymać warunków umowy ubezpieczeniowej. Mogę tylko wykroić dla niej kasek.

- Nasze honoraria?

Przytakuję.

Harry kiwa głową.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

- Nie mogłem. Gdyby gliny wzięły cię na spytki, mógłbyś ucziwie powiedzieć, że nic nie wiesz. Chciałem chronić ich prywatność. Dzięki temu nie będą musiały być stroną w szarpaninie o ubezpieczenie.

- Dlaczego Nick nie wystawił polisy na córkę?

- Prawdopodobnie nie zamierzał umierać tak szybko. A wymienienie jej jako uposażonej zmusiłoby ją do konfrontacji z roszczeniami Dany. Przypuszczam, że dlatego właśnie zostawił na polisie nazwisko Margaret. W ten sposób sprawa pozostała otwarta. Dziecko mogłoby uzyskać coś, gdyby matka postanowiła upomnieć się o to, a roszczenia Margaret uznano by za nieważne z powodu rozwodu. Jestem to winny Nickowi. On zrobiłby tak samo, gdybym to ja był w jego sytuacji.

- Niewiele brakowało, a byłbyś - zauważa Harry.

- Nie przypominaj mi o tym.
- Jasne. Szkoda tylko, że nie powiedziałeś mi wcześniej. Pokładaj we mnie więcej wiary.

- To nie była kwestia zaufania.

- Rozumiem. - Harry jest urażony. - Oczywiście, że zrezygnujemy z honorariów. Nie ma sprawy. - Patrzy w swój kubek, zastanawiając się, czy nie lepiej zostawić ten temat. Ale nie daje rady. - Nie jesteś winien śmierci Rusa - mówi.

- Kto powiedział, że jestem?

- Nikt. Po prostu mam wrażenie, że dręczą cię jakieś wątpliwości. Szczególnie teraz, kiedy wiem, co jest ich przyczyną. Czy ona go znała? To znaczy, ta córka?

Kiwam głową.

- Nick twierdził, że odwiedzał ją, kiedy tylko mógł. Uważała go za wujka. Uwielbiał ją. Widać to było w jego oczach. Opowiadał mi, jaka jest bystra. Jaka szczęśliwa.

- Mimo wszystko to nie twoja wina. Przejrzałeś Metza i wycofałeś się. Uczciwie ostrzegłeś Nicka. Wolałbyś, żeby to Sara została bez ojca?

- Wierz mi, że zastanawiałem się nad tym. Zastanawiałem się, co Nick zrobiłby na moim miejscu. Tych czterech patyków miesięcznie, które płacił jej matce, już nie ma.

- I myślisz o pieniądzach z ubezpieczenia? - Harry w mig chwyta, o co chodzi.

- Właśnie. A kiedy nieco podrośnie, będzie miała, jak przypuszczam, mnóstwo pytań na temat swojego ojca. Kim był i jak umarł. Miło by było, gdyby były na nie jakieś odpowiedzi, coś więcej niż tylko ohydne spekulacje w poźółkłej gazecie, mówiące o tym, że jej tato zginął razem z postawionym w stan oskarżenia klientem, z którym robił jakieś interesy.

- Pieniądze rozumiem. Szukanie odpowiedzi na pytanie, kto go zastrzelił i dlaczego, to robota dla glin.

- Być może. Ale nie widzę, żeby się zanadto przemęczali.

- A może uznali, że Nick dostał to, na co zasłużył? - zauważa Harry.

- Jeden adwokat mniej czy więcej to nie jest coś, co spędzałoby im sen z powiek.

- Myślisz, że sprawa zostanie odłożona do akt?
- Tego się właśnie obawiam.
- Więc być może tam jest jej miejsce.
- A gdybyś to ty był jego córką?
- Nie jestem nią i ty też nie. Poza tym co będzie, jeśli zaczniesz szukać i nie spodobają ci się odpowiedzi, jakie znajdziesz? Co wtedy?

- Będę się tym martwił, kiedy przyjdzie na to pora.

Harry kręci głową.

- Jeżeli robisz to dla Nicka, możesz o tym zapomnieć. On już ci za to nie podziękuje. - Upija łyk herbaty.

- Wiesz, Harry, mam nadzieję, że jeśli ktoś zastrzeli mnie na ulicy, okażesz przynajmniej przelotne zainteresowanie.

- Tak się nazywa to, co ty robisz? No cóż. Nie daj Boże - mówi - ale gdyby ktoś cię zastrzelił, uroniłbym chyba parę łez. Urządziłbym ci stylowy pogrzeb, wypowiedziałbym kilka wzruszających słów nad twoim grobem. Zatroszczyłbym się o Sarę, jak tylko bym mógł. Albo przynajmniej dopilnowałbym, żeby miała opiekę. Wspominałbym cię często, a poza tym żyłbym dalej swoim życiem.

- Praktyczne podejście - zauważam.

- Jeśli chodzi o rzeczy, nad którymi nie mam kontroli, masz cholerną rację. Dawno temu podjęliśmy decyzję - mówi. - Nie bierzemy żadnych spraw narkotykowych. Zgodziliśmy się. Ze słusznego powodu. Zbyt dużo czasu poświęca się na przyspieszanie ustaleń prawnych, potok apelacji w tej kwestii przypomina pękniętą rurę ściekową nad Niagara. Poza tym jest parę innych spraw, od których lepiej trzymać się z daleka. Na przykład pakowanie się w obronę zorganizowanej przestępczości. Ni stąd, ni zowąd można odkryć rzeczy, o których wolałoby się raczej nie wiedzieć. Rzeczy, które nie dają człowiekowi spać po nocach, bo zastanawia się, czy zamknął drzwi na wszystkie łańcuchy i zamki i czy założył wystarczająco mocne kraty w oknach.

- Dlatego właśnie nie przyjąłem sprawy Metza - mówię.

- I słusznie - mówi Harry. - Bo tak uzgodniliśmy. Dlaczego więc nie powiesz, że to moja wina, że zastrzelono Nicka? Mogę z tym żyć. - Przy tych słowach odwraca się i wychodzi z pokoju, kierując się w stronę swojego gabinetu.

Przez kilka minut siedzę bez ruchu, gapiąc się na artykuł w gazecie oraz nazwisko Miguelita Espinozy i zastanawiając się, na co Metzowi mogły być potrzebne wizyjazdowe.

Potem wychodzę do sekretariatu. Marta nadrabia zaległości w porządkowaniu papierów. Otwieram jedną z szaf na dokumenty, szufladę opisaną „M-O”.

- Może w czymś panu pomóc? - Marta unosi wzrok znad biurka.
- Nie, już nie trzeba. - Wyciągam akta Geralda Metza.
- Jak leci? - pytam.
- Świetnie. - Uśmiecha się promiennie.

Za trzy miesiące, z właściwą sobie sumiennością, Marta zamknęłaby te akta jako leżące odłogiem. Umieściłaby je w archiwum, w jednym z kartonowych pudeł złożonych w pawilonie dwie bramy dalej. A za parę lat, gdyby wciąż jeszcze pracowała u nas, wyrzuciłaby je, wywiozła na jakieś wysypisko śmieci, ostateczne archiwum amerykańskiej kultury.

Cicho wracam z aktami do gabinetu. Nie ma w nich wiele: kilka listów, które Metz przyniósł tamtego ranka, oraz moje notatki nagryzmołone na paru żółtych kartkach z bloku. Na trzeciej stronie widnieje podkreślone dwa razy nazwisko Miguelita Espinozy wraz z adresem i numerem telefonu w Santee. Jest to nazwisko z wyświechtanej wizytówki, którą Metz pokazał mi podczas naszego spotkania. Espinoza był łącznikiem pomiędzy nim a dwójką braci z Meksyku w związku z ich rzekomą niedoszlą inwestycją.

Nie widziałem Margaret Rush od ponad trzech lat, więc kiedy otwiera mi drzwi, poznaję po jej minie, że moja twarz wydaje jej się znajoma, ale nie potrafi połączyć jej z żadnym nazwiskiem.

- Margaret, jestem Paul Madriani.

Chwila wahania.

- Ach, tak. - Uśmiecha się, próbuje przyglądzić włosy grzbietem dłoni. Ma brud za paznokciami. Nogawki jej džinsów są wysmarowane błotem na kolanach.

- Przyłapał mnie pan na pracy w ogródku - mówi.
- Pomyślałem, że może mógłbym wejść na chwileczkę.

Waha się, rozdarta między troską o bezpieczeństwo i obawą przed nie-
taktem, wreszcie zaczyna majstrować przy zamku drzwi z siatką przeciw
owadom.

- Oczywiście.
- Kopę lat - mówię.
- Istotnie.
- Odnoszę wrażenie, że nie do końca jest pewna, kim jestem. Rozpo-
znaje nazwisko, twarz, ale nie może przypomnieć sobie kontekstu, w jakim
się poznaliśmy.

- Ostatni raz widzieliśmy się chyba na tym rejsie po zatoce, kilka lat
temu. Przyjęcie dla palestry okręgu - mówię jej.

- Ach, tak. - Jej oczy rozjaśnia błysk rozpoznania. - Był pan przyjacie-
lem Nicka.

- Zgadza się.

Widzę po jej minie, że żałuje, iż mnie wpuściła.

- Prawdę mówiąc, nie mam teraz zbyt wiele czasu - mówi. - Właśnie
miałam wyjść.

- Zajmę pani tylko minutkę.
- O co chodzi? - pyta. - Proszę się streszczać.
- Co u pani słychać?
- U mnie? Wszystko w porządku. - Stoi w przejściu. - Mogę wiedzieć,
po co pan przyszedł?

- Może wejdziemy i usiądziemy? - pytam.

- No dobrze. Ale mam tylko chwilę.

Odwraca się w stronę salonu. Ruszam za nią. Pokój jest nieduży, pro-
porcjonalnie do samego domu, parterowego budynku o nieregularnym
planie, z wypielęgnowanym trawnikiem od frontu, przy ulicy obsadzonej
solidnymi wiązami japońskimi. Pod jedną ze ścian, naprzeciw okna wy-
chodzącego na ulicę, stoi sofa. Na obiegających pokój, zamontowanych
wysoko półkach, rozstawione są kobiece bibeloty z porcelany i kryształu
oraz maleńki stary serwis do herbaty. Przy ścianie stoi szklana serwantka,
a w kącie przy kominku samotny fotel z wysokim oparciem. Margaret sia-
da w nim, pozostawiając mi sofę.

- Nie widziałem pani na pogrzebie, ale w końcu było tam tyle ludzi.
- Na pogrzebie Nicka? - pyta.
- Tak.
- Nie było mnie tam. Ta część mojego życia to już zamknięty rozdział - mówi. - O czym chciał pan rozmawiać?

Wygląda na to, że nie będzie żadnej towarzyskiej pogawędki.

Jej włosy posiwiały, odkąd widziałem ją ostatni raz. Wokół jej oczu dostrzegam zmarszczki. Napięcie na twarzy mówi mi, że być może już dawno wyrzuciła Nicka ze swego życia, ale myśli o nim wciąż jeszcze tłuką się w mrocznych zakamarkach jej umysłu.

- Jak się ma pani syn? Ma na imię Jimmy, prawda?
- James - odpowiada. - Ma się świetnie.
- Chciałem porozmawiać z panią o Nicku.
- Co z nim? - pyta.
- Mówiąc dokładniej, chodzi o jego majątek.
- Ach tak. Teraz rozumiem. Dzwonili z firmy parę dni temu i powiedzieli mi. Chodzi o polisę ubezpieczeniową, prawda?
- Tak, o polisę partnerską - odpowiadam.
- To ona pana przysłała?
- Kto?
- Kto? - powtarza drwiącym tonem. Zmarszczki wokół jej oczu podkreślają gniew w jej głosie. - Dobrze pan wie, o kim mówię. Dana.
- Nie.
- Więc dlaczego pan przyszedł?
- Żeby rozwiązać problem - wyjaśniam. - Uniknąć grożącego sporu. Być może po to, żeby zrobić to, co uważam za słuszne.
- A mianowicie?
- Nick nie żyje. Nie jest już częścią czyjegokolwiek życia, ani pani, ani jej. Ta polisa mogłaby przynieść korzyść wam obu.
- Mówi pan tak jak Nick. Wszystko ma być cacy, wszyscy mają być zadowoleni. Och, tak przy okazji, pieprzę się ze swoją dekoratorką wewnątrz i chciałbym rozwodu, ale to nic osobistego.

- Ma pani wszelkie powody do wściekłości.
- A żeby pan wiedział.
- Ale chyba nie chciałaby pani ze złości zrobić sobie krzywdy.
- Co pan ma na myśli?
- Otrzymała pani kopię polisy?
- Tak.
- I wie pani, że jest tam wymieniona jako uposażona?
- Wiem.
- Zdaje pani też sobie sprawę, że przy rozwodzie zapadło orzeczenie o podziale majątku?

Patrzy na mnie, ale nie odpowiada. Wie, że to sedno sprawy.

- Zakładam, że ma pani swojego adwokata.
- Dlaczego miałabym panu to mówić?
- Nie musi mi pani nic mówić. Jeśli tak, jeśli ma pani adwokata, to dobrze. W takim razie powinna pani z nim porozmawiać.
- To kobieta. - Mówi to takim tonem, jakby chciała powiedzieć, że adwokaci mężczyźni nie zasługują na zaufanie.
- Jeśli poda mi pani jej nazwisko, zwrócę się z tym do niej, a ona skontaktuje się z panią.
- Nazywa się Susan Glendenin.
- Pracuje dla Petersena, tej firmy prawniczej w śródmieściu?
- Zgadza się.
- Znam ją.

To szczęśliwe zrzącenie losu. Susan Glendenin jest dobrym prawnikiem. Co ważniejsze, głosem rozsądku w palestrze, gdzie coraz więcej jest adwokatów szczyjących się tym, że nie biorą jeńców, i działających w myśl zasady: „Pal diabli rozsądek, my chcemy wojny”.

- Ważne jest, żeby zrozumiała pani, że wybór beneficjenta jest progową kwestią prawną.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że ze sformułowań polisy wynika, że towarzystwo ubezpieczeniowe musi wypłacić komuś pieniądze. Nie obchodzi ich specjalnie, kto to będzie, byle tylko byli czyści, kiedy to się skończy.

- I?
 - Być może jest sposób, żeby obie panie wygrały.
 - Może pan powtórzyć swoje nazwisko?
 - Paul Madriani. - Sięgam do górnej kieszeni marynarki, w której noszę mały zapas wizytówek, wyciągam jedną i podaję jej.
 - Niech pan uważnie mnie posłucha, panie Madriani, żeby nie było niejasności. Wezmę dwa miliony dolarów i ani centa mniej - mówi. - Może pan wrócić do swojej klientki, do tej lafiryndy i złodziejki mężów, i powiedziec jej, że jeśli o mnie chodzi, może iść do diabła. Pieprzę ją, pieprzę pana i pieprzę konia, na którym jedziecie. A teraz, wybacz pan, jestem zajęta. - Wstaje z fotela.
 - Mam jedno pytanie - mówię.
 - Słucham.
 - Rzeczywiście chce pani powiedzieć, że odstąpi od swoich roszczeń do ubezpieczenia jedynie w zamian za dwa miliony dolarów?
- Rzuca mi nienawistne spojrzenie spod przymkniętych powiek. W jej oczach wzbierają gniew całego życia, gorzyc i bolesny zawód.
- Może pan być tego pewien.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego ranka Dana ma czarną, seksowną jedwabną piżamę i białe stopy. Siedzi wyprostowana na skraju uszatego fotela w swoim salonie, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, próbując wyjaśnić mi, że znalazła kopię polisy ubezpieczeniowej Nicka, ale zapomniała zadzwonić i powiedzieć mi o tym.

- Przysięgam panu, panie Madriani. Byłam zajęta. Wypadło mi to z głowy.

- Proszę mi mówić Paul - odpowiadam.
- Dobrze, Paul. Znalazłam ją po naszej rozmowie. Była w sejfie w jego gabinecie. - Patrzy na mnie z żalnym uśmiechem, rozpaczliwie starając się wyglądać wiarygodnie, niewinnie i błagalnie, kiedy tak siedzi obok

kominka. - Wierzysz mi? - Trzepoce w moją stronę długimi rzęsami. Mowa ciała jest przekonująca, drzenie głosu autentyczne, więc gdybym nie znał jej lepiej, może nawet dałbym się na to nabrać. Wysłała mnie jak frajera do RDD po kopię polisy, dobrze wiedząc już, co w niej jest. - Proszę, uwierz mi - mówi.

Odwracam wzrok. Siedząc na kanapie, przenoszę zainteresowanie na jedną z tych kinetycznych zabawek, jakich Nick miał pełno w biurze. Ta akurat stoi na stoliku do kawy: pięć zawieszonych na linkach lśniących, stalowych kulek, które uderzają z brzękiem jedna o drugą, gdy przekazują sobie energię zderzeń. Pozwalam jej słuchać tego przez sekundę lub dwie.

- Jak udało ci się otworzyć sejf? - pytam wreszcie.
- Znalazłam szyfr.
- Gdzie był?
- W szufladzie biurka Nicka na piętrze.
- Może pójdziemy zobaczyć, co jeszcze jest w sejfie? Mogą tam być też inne ważne dokumenty. - Zaczynam podnosić się z kanapy.
- Nie. Nie ma potrzeby - odpowiada. - Przejrzałam wszystko, co tam było. Nie ma nic więcej.

Patrzę na nią. Odwraca wzrok.

- Wiesz, całkiem nieźle ci idzie. Nie najlepiej może, ale w końcu nie masz zbyt wielkiej wprawy. A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Wprawy w czym?
- W kłamaniu.
- Co masz na myśli?
- Spodziewasz się, że uwierzę, że Nick zadał sobie tyle trudu, by zamknąć prywatne papiery w sejfie, a potem trzymał szyfr w szufladzie biurka, gdzie mógłby go znaleźć pierwszy lepszy nieletni chuligan, który włamałby się do tego domu? Może byłaś żoną innego Nicka Rusha niż ten, którego ja znałem. - Zaczynam wstawać z kanapy, jak gdybym szykował się do wyjścia.

- No dobrze. - Błagalny ton znika z jej głosu, ustępując miejsca napięciu. Zwiesza głowę i opuszcza wzrok, wyglądając delikatnie zmarszczki jedwabiu na udzie. - W porządku. Miałam tę polisę cały czas. - Potem łagodniejszym, słabszym głosem, jaki służy jej za narzędzie kobiecej perswazji,

dodaje, znów patrząc na mnie: - Ale nie wiedziałam, co robić. Zobaczyłam tam jej nazwisko i wpadłam w panikę. Byłam zdesperowana, bez grosza. Nie miałam do kogo się zwrócić. Rozumiesz? Nie wiesz, jak to jest nie mieć nikogo... Wiesz... Kogoś, na kim można by się oprzeć.

- Kogoś takiego jak Nick? - podpowiadam.

- No właśnie. On zajmował się wszystkim. Naszymi finansami, podatkami, inwestycjami. Nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że jesteśmy zabezpieczeni. Nie wiedziałam nic o tych wszystkich sprawach.

- Więc skąd wiesz, że jesteś bez grosza?

Bierze głęboki oddech, wzdycha, odwraca wzrok i patrzy w pustą ścianę.

- Po śmierci Nicka poprosiłam Nathana, żeby zerknął na nasze finanse.

- Fittipaldiego?

Potwierdza ruchem głowy.

- Miło słyszeć, że nie byłaś zupełnie sama - mówię.

Nie zwraca uwagi na sarkazm.

- Musiałam się do kogoś zwrócić. Co według ciebie miałam zrobić?

- Dlaczego nie pokazałaś polisy Fittipaldiemu?

- Rozmawialiśmy o niej. On też nie wiedział, co robić.

- Ahaaaa.

- Pomyślałam, że byłeś przyjacielem Nicka. Myślałam... myślałam, że ponieważ znałeś Nicka, zanim zostałam jego żoną, to może...

- Pomyślałaś, że jeśli pójde do firmy i odkryję, że na polisie nie ma twojego nazwiska, to zrobi mi się ciebie żal i porozmawiam z Margaret Rush, zgadza się?

- No cóż. - Patrzy w sufit, a potem znów na mnie, odrobinę trzepocząc rzesami. - Tak. Pomyślałam, że może ją znasz. Że może byliście zaprzyjaźnieni.

- Pomyślałaś, że może będę mógł wstawić się za tobą, tak?

- A myliłam się? - pyta.

- Nie. Byłaś może trochę naiwna - mówię - ale nadrobiłaś to z nawiązką zręcznym manipulowaniem sytuacją. Pewnie, zawsze warto spróbować.

Przyjaciele to przyjaciele, i w ogóle.

- Tak. Myślałam, że mogłaby cię wysłuchać.

Paraskam śmiechem. Jeszcze raz trącam stalowe kulki na stoliku.

- Prawdę mówiąc, spotkałem ją tylko raz. Ale nawet gdybyśmy byli serdecznymi przyjaciółmi, masz chyba bardzo wysokie mniemanie o przyjaźni, jeśli sądzisz, że Maggie Rush czy ktokolwiek inny zrezygnowałby na tej podstawie z roszczenia do dwóch milionów dolarów.

- Więc odmówiła?

- Słowami, których nie chciałbym powtarzać w kulturalnym towarzystwie - odpowiadam.

Dana wstaje z fotela i odwraca się do mnie tyłem, unosząc dłoń do ust, jak gdyby miała zamiar obgryźć paznokcie do żywego mięsa. Obserwuję jej odbicie w lustrze nad kominkiem. Stoi zamyślona, wodząc wzrokiem po niewidocznym horyzoncie i zastanawiając się nad następnym ruchem.

Nagle odwraca się i patrzy mi prosto w oczy.

- Co teraz zrobimy? - pyta.

Zanim jestem w stanie cokolwiek odpowiedzieć, siada obok mnie na kanapie, odsuwając daleko zabawkę, żeby mieć dla siebie całą moją uwagę. Jedwab ociera się o czesankową wełnę spodni.

- Myślę, że powinnaś zadzwonić do Nathana i przekazać mu nowiny - mówię. - Ja sam jeszcze nie wiem, co zrobię. Chyba wrócę do biura i zajmę się jakąś pracą.

- Wiesz, co mam na myśli - stwierdza. Pochyliła się i ujmuje moją lewą dłoń w swoje. - Pomożesz mi, prawda? Rozmawiałeś z tą kobietą. Wiesz, co ona do mnie czuje. Ona mnie nienawidzi. Wiesz, że Nick wcale nie chciał zostawić jej tych pieniędzy. Byli rozwiedzeni.

- To prawda. - Podnoszę się z kanapy.

- Chyba jeszcze nie idziesz? - pyta. - Proszę, nie idź. Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Rozmawiałeś z firmą. Wiesz, że nie byli w porządku wobec Nicka. Można by sądzić, że teraz będą skłonni do pomocy.

- Rozmawiałem z Adamem Toltem.

- I co?
- Odniosłem wrażenie, że wolalby raczej się w to nie mieszać. Z jego punktu widzenia to sprawa między tobą a towarzystwem ubezpieczeniowym.

To wzmacnia jej niepokój, więc ściska moją dłoń, aż sinieją mi opuszki palców.

- Byłeś przyjacielem Nicka. Nie pozwolił im tego zrobić. Nie żonie twojego przyjaciela. Obiecuj mi, że nie pozwolił.

- Musisz poszukać sobie dobrego prawnika - odpowiadam. Harry byłby ze mnie dumny.

- Mam takiego - mówi. - Ciebie.

- Nie. Mam na myśli prawnika, który umie rozszyfrować polisę ubezpieczeniową. Wyłapać wszystkie dwuznaczne sformułowania, uściślić zastrzeżenia, sprecyzować definicje, tak by towarzystwo ubezpieczeniowe nie mogło manipulować nimi na twoją niekorzyść. I jeszcze ta umowa o podziale majątku, którą Nick zawarł z Margaret. Mam nadzieję, że kazał ją sporządzić dobremu prawnikowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że wszystko zależy właśnie od niej - wyjaśniam. - Jeśli nie została sporządzona prawidłowo, żaden prawnik, zwłaszcza dobry, znający się na ubezpieczeniach, nie zechce marnować czasu na tę sprawę.

- Uważasz, że jestem bez szans? - Widywałem ludzi zagrożonych karą śmierci, którzy mieli mniej lęku w oczach. - Widziałeś ją? - pyta. - Tę umowę o podziale majątku?

- Nie. Ale prawo cywilne nie jest moją mocną stroną.

Wypuszcza moją dłoń jak śniętą rybę.

- Kogo powinnam zaangażować?

- Nie wiem.

- Na pewno kogoś znasz. Jeśli chodzi o pieniądze, mogę zapłacić - mówi.

- Sądziłem, że jesteś bez grosza.

- Mogę je zdobyć.

- Nie chodzi tylko o pieniądze.

- Więc o co?

- Daj mi parę dni do namysłu - mówię.

- Och, dobrze. Oczywiście. Nie musisz się spieszyć z decyzją. Na pewno

myślisz, że jestem okropna. Wiesz, przez to, że tak cię w to wciągam.

- Po to właśnie ma się przyjaciół, prawda?
- Wiedziałam, że mi pomożesz.

Przyjaciele, o jakich w tej chwili myśli Dana, to ci, na których widnieje portret Granta.

- Nick na pewno zwierzał ci się z wielu spraw - mówię.
- Co? - Myślam, że gdzie indziej.
- Wiesz, dotyczących swojej pracy.
- Właściwie nie.
- Z tego, co mi mówił, byliście sobie bardzo bliscy.
- Cóż. Tak, kochaliśmy się, jeśli o to właśnie ci chodzi.
- I założyłem się, że rozmawialiście w łóżku przed snem. - Patrzę na nią.

Ona patrzy na mnie. Uśmiecham się. Ona się rumieni.

- Tak, trochę.
- Świetnie. W takim razie pewnie mówił ci coś o Jamaile Enterprises? Patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Nie. Nie przypominam sobie. Co to takiego?

- To firma... w każdym razie istniała, dopóki nie przestała płacić podatku od franszyzy.

- Co to ma wspólnego z Nickiem?
- Był jednym z jej dyrektorów.

- Nic o tym nie wiem. Pierwszy raz o tym słyszę. Nic mi na ten temat nie mówił - odpowiada.

- Pomyślałem, że jednak mógł coś wspomnieć, bo poza nim jedynym pracownikiem tej firmy był twój znajomy.

- Kto taki?
- Gerald Metz.

Jej oczy ciemnieją, źrenice przesuwają się w tę i z powrotem, gdy trawi tę informację.

- Co? Nie. Nigdy o tym nie mówił. - Prawie słyszę pytania rozpychające się w jej głowie jak popcorn na silnym ogniu. - Kiedy założyli tę firmę? Nick ci o niej powiedział?

- Przeszło rok temu i nie, to nie Nick mi powiedział.

Jeśli nawet Dana wie cokolwiek, jej zakłopotanie maskuje to doskonale.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie. Nick mówił mi, że poznałaś Metza w komisji do spraw kultury.

- Zgadza się.

- Kiedy to było?

- Nie pamiętam. Prawdopodobnie na pierwszym zebraniu, na jakie poszłam. Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, mam wrażenie, że on wiedział, kim jestem.

- Skąd?

- Nie wiem. Po prostu podszedł i się przedstawił. Powiedział: „Pani jest żoną Nicka Rusha, prawda?”

- Więc przyznał, że zna Nicka?

- Nie. Zapytałam go, ale powiedział, że zna go tylko z nazwiska. Nałknął się na nie w gazecie. Coś w tym rodzaju. Zważywszy na klientelę, Nick nie mógł nic poradzić na to, że jego nazwisko pojawia się w prasie, choćby nawet chciał, a nie chciał.

Siedzę bez słowa, trawiąc tę informację. Dana nie patrzy na mnie. Jej oczy utkwione są w dywanie.

- Jak się o tym dowiedziałeś? O tej ich firmie?

- Od policji - wyjaśniam. - Udało nam się potwierdzić...

- Od policji?

- Tak.

- Nie wspomnieli mi o tym.

- Może nie chcieli zawracać ci tym głowy. - Widzę wyraźnie, że ją to gnębi.

- Skąd o tym wiesz?

- Nie mam pojęcia.

Zapada długa cisza. Dana myśli.

- Powiedziałam im, że to ja skierowałam Metza do Nicka - odzywa się wreszcie.

- Cóż, według twojej ówczesnej wiedzy taka była prawda. Zgadza się?

- Oczywiście.

Widzę po ponurej minie, że nie jest to jej najlepszy dzień. Najpierw ubezpieczenie, teraz gliny z informacją, że jej mąż prowadził interesy z

Metzem, jeszcze zanim ona go poznała, informacją, która klóci się z tym, co im powiedziała. Na pewno zastanawia się teraz, co o tym myśla.

- Jak Metz zagadnął cię w sprawie swoich problemów prawnych? - pytam. - Co dokładnie powiedział?

Widzę, że jej myśli biegną już w tym samym kierunku, próbując odtworzyć przebieg zdarzeń.

- To było... to było na zebraniu.

Jest wytrącona z równowagi. Zbyt wiele nowin, i to niepokojących, albo może po prostu chce, żebym tak sądził.

- Wydaje mi się, że to było w marcu. W każdym razie wiosną. Podeszedł do mnie po zebraniu i powiedział, że wie, że mój mąż jest dobrym adwokatem, i że potrzebuje pomocy w związku z pewnym problemem w interesach. Powiedziałam mu, że mój mąż zajmuje się prawem karnym, a on na to, że... że to właśnie to, czego mu trzeba.

- Wyjaśnił ci, na czym polega ten problem?

- Nie. Zdradził tylko, że potrzebuje adwokata.

- Czy kiedykolwiek dyskutowałaś z Metzem przed tą rozmową?

- Oczywiście. Rozumiesz, komisja liczy dwadzieścia osiem osób. Spotykamy się. Rozmawiamy. Decydujemy o przydziale dotacji z Krajowej Fundacji Kultury na nasze hrabstwo.

- Czy w grę wchodzi tam duże pieniądze?

- To zależy. Niektóre dotacje są spore. Analizujemy właśnie jedną dla nowego gmachu opery, która może dotyczyć paru milionów. Większość jednak to małe datki indywidualne.

- A co z Metzem? Często pojawiał się na zebraniach?

- Prawie zawsze. Kilka razy rozmawialiśmy towarzysko o różnych sprawach. Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze go znała.

- Wiesz, jak Metz dostał się do komisji?

- Przypuszczam, że tak samo jak wszyscy. Musiał zostać mianowany przez jednego z inspektorów hrabstwa.

Zastanawiam się nad tym. Dana patrzy na mnie.

- Tak z ciekawości, kto mianował ciebie?

- Wiedziałam, że o to zapytasz. Gliny też pytały, a ja nie mogłam sobie przypomnieć. Aż wstyd - mówi. - Ale potem zjrzałam do dokumentów.

To był inspektor Tresler.

- Znasz go?

Kręci głową.

- Nie. To znaczy być może spotkałam go przy takiej czy innej okazji, ale jeśli nawet, nie pamiętam tego. Prawdę mówiąc, nie zajmuję się polityką.

Owszem, zajmujesz się, myślę sobie, tyle że nie taką, która opiera się na tajnym głosowaniu.

- W takim razie jak zostałaś mianowana?

- Nick uznał, że wyjdzie mi to na dobre. Myślę, że próbował znaleźć coś, co sprawiłoby mi przyjemność. To nic wielkiego - mówi. - Chcę przez to powiedzieć, że ta komisja nie należy do najlepszych. Są komisje, grupy doradcze, które wypłacają pensję. Za pracę w komisji do spraw kultury nie ma żadnej rekompensaty. Pokrywają pewne koszty. Raz do roku mała grupa jedzie do Europy na spotkania z wystawcami sztuki. To się odbywa na zasadzie rotacji. Ja jeszcze nie miałam okazji. - Opuszcza wzrok. - Obawiam się, że teraz już w ogóle mogę nie mieć okazji. To znaczy być może będę musiała zrezygnować i poszukać sobie jakiejś pracy. Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć. Pomożesz mi, prawda? - Znowu zaczyna się zniżać nad moją dłońią, tak że kiedy wstaję, muszę się zgarbić, by wyzwolić ją z jej uścisku.

- Zobaczę, co się da zrobić. Będziemy w kontakcie.

Zważywszy na to, że Nick i Metz już nie żyją, a gliny gonią w piętkę, szukając zabójcy, jedynym realnym tropem jest w tej chwili Espinoza. Póki co, facet gnije w areszcie federalnym w śródmieściu, czekając, aż obrońca z urzędu wystąpi o wyznaczenie kaucji.

Znając dziwaactwa sędziów federalnych, obawiam się, że jakiś szurnięty sędzia pokoju zatwierdzi kwotę, którą Espinoza lub jeden z jego współników będzie w stanie zapłacić. W takim wypadku facet wyjdzie na wolność i zniknie w mgnieniu oka, niwecząc moją ostatnią szansę na uzyskanie informacji.

Dlatego po południu wkładam głowę w prawną paszczę lwa. Kluczę i

kombinuję, chcąc złowić go jako klienta, żeby zatrzymać go w więzieniu.

Zbliżając się do drzwi, słyszę grający telewizor, błazeńskie głosy i muzykę z kreskówki. Ponad tym wszystkim rozlega się wrzask niemowlęcia.

Pukam. Ktokolwiek jest w środku, nie słyszy tego. Zerkam jeszcze raz na numer wymalowany od szablonu nad drzwiami wejściowymi. Jeśli rodzina Miguelita Espinozy, czy ktokolwiek mieszkał tu razem z nim, nie wyprowadziła się, to właściwy adres.

Tym razem pukam głośniejsze. Po paru sekundach za matową szybą porusza się jakiś cień.

- Kto tam?
- Nazywam się Paul Madriani.
- Czego pan chce?
- Szukam rodziny Miguelita Espinozy.

Słyszę tylko telewizor i płacz dziecka po drugiej stronie drzwi.

- Czego pan od nich chce?

Drzwi otwierają się odrobinę, zabezpieczone łańcuchem na poziomie oczu. Na wysokości mojej klatki piersiowej przez szparę wygląda niebieskie oko okolonane prostymi, jasnymi, potarganymi włosami.

- Cześć. - Szczerzę zęby w swym najbardziej rozbijającym, przyjaznym uśmiechu i wsuwam przez szczelinę wizytówkę. Dziewczyna bierze ją i czyta, usiłując równocześnie utrzymać dziecko. - Jestem prawnikiem. Myślę, że mogę pomóc panu Espinozie.

- Widział pan Michaela? Rozmawiał pan z nim?
- Pani jest jego żoną?

Przygląda mi się jeszcze raz, ale nie odpowiada, a potem znów zerka na wizytówkę.

- On nie miał z tym nic wspólnego - mówi. - Znam Michaela. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Poza tym, kiedy go zabierali, powiedział mi, że nic nie mają, żadnych dowodów. - Mówi tak, jak gdyby spodziewała się, że będę bronić Espinozy na schodach jej domu, przez zamknięte na łańcuch drzwi.

- Tak też myślałem - odpowiadam. - Mogę wejść?

- Kiedy pan z nim rozmawiał?
- Naprawdę nie mam ochoty stać i dyskutować o takich sprawach na ganku. Mam dla pani parę dokumentów do podpisania.
- Po co?
- Żebym mógł go reprezentować.

Niespodziewanie drzwi się zamykają. Słyszę chrobot łańcucha przesuwanego w mosiężnej oprawce. Po chwili otwierają się znowu, tym razem na oścież. Stoi w nich kobieta-dziecko, niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, czterdzieści pięć kilogramów w ubraniu i w butach. Ma długie, szaroblond włosy, wytarte dżinsy i cztery rozmiary za dużą męską flanelową koszulę. Stoi boso na brudnym dywanie. W ramionach trzyma niemowlę owinięte w niebieski kocyk. Nie widzę jego twarzyczki. Jej twarz jest owalna, o delikatnych rysach, niemal ptasia, a usta wygięte są w dół, jak gdyby straciły zdolność uśmiechania się.

- Jest głodny - mówi.

Sądząc po zawodzących dźwiękach dobywających się z koca, płuca dziecka są w porządku.

- Co mówił Michael? Pytał o mnie?

Ignoruję jej pytania.

- Mogę wejść?
- Proszę.

Wchodzę, a ona wygląda za moimi plecami w stronę ulicy, jak gdyby może spodziewała się kogoś jeszcze. Potem zamyka drzwi, trzymając jedną ręką dziecko, a drugą przekręcając pokrętło zamka i ponownie zasuwając łańcuch.

Odwraca się i idzie w stronę salonu, krocząc ponad rozrzuconymi ubraniami, starymi gazetami, puszkami po napojach i czymś, co wygląda na zużytą jednorazową pieluszkę. Na dywanie dostrzegam odbarwione plamy, które każą mi się domyślać, że w pewnym okresie w życiu Miguelita pojawiło się jakieś zwierzę domowe. Na środku pokoju leży pudełko po pizzy, z kartonowymi wnętrznościami oblepionymi stwardniałym jak biały plastik topionym serem.

Kobieta-dziecko sięga do przycisku telewizora. Niemowlę milknie na moment, po czym znowu zaczyna płakać.

- On lubi, kiedy telewizor gra - wyjaśnia. - Czasami go to uspokaja.

- Odwija koc i głaszcze główkę niemowlęcia, tuląc je na drugim ramieniu i próbując uciszyć. - Co mówił? Może pan wydobyć go z paki? W domu nie ma już nic do jedzenia - dodaje. - Czy Michael mógłby podrzucić mi trochę forsy?

- Jest pani jego żoną?

Kiwa głową.

- Jak się pani nazywa?

- Robin. Robin Watkins. Espinoza - mówi. - Pobraliśmy się w zeszłym roku, latem.

- Ma pani jakiś dowód? Zezwolenie na zawarcie małżeństwa?

- Dlaczego miałabym tego dowodzić?

- To konieczne, jeżeli mam reprezentować pani męża.

- Gdzieś jest - odpowiada.

- Może go pani poszukać?

- Chwileczkę.

Na pół biegnie, na pół skacze przez korytarz. Wytarty dywan niemal zupełnie tłumi tupot jej stóp. Stoję przy wejściu do pokoju, przypatrując się śmieciom na podłodze. Pod ścianą stoi sofa, która pamięta lepsze czasy, z tapicerką wystrzępioną na jednej poręczy. Ślady po kocie.

Słyszę, jak w drugim pokoju matka z dzieckiem grzebie w rzeczach. Rozpoznaję dźwięk otwieranych i zasuwanych z trzaskiem szuflad, spadających na podłogę przedmiotów. Mniej więcej minutę później słyszę, że wraca korytarzem. Tym razem idzie szybko, ale spokojniej. Jedną ręką przygładza włosy, nagle uświadomiwszy sobie, że jej wygląd może być istotny dla losów męża. W drugiej trzyma kopertę, ściskając ją w palcach wsuniętej pod dziecko dłoni. Wyciąga kopertę w moją stronę. Sięgam po nią.

- Może pan wydostać go za kaucją? - pyta.

W kopercie znajduje się jednostronicowy dokument. Wyjmuję go i rozkładam. Jest to metryka ślubu, wydana w naszym hrabstwie w lipcu ubiegłego roku dla Miguelita Espinozy Garzy i Robin Lynn Watkins. Robin podaje tu, że ma osiemnaście lat. Nie chciałbym być zmuszony do potwierdzenia tego pod przysięgą.

- Może pan? - powtarza. - Wydostać go?

- Nie wiem. Muszę prosić panią o podpisanie czegoś.

- Nie pozwolili mi nawet z nim porozmawiać - mówi. - Trzymają go w tym wielkim budynku. Tym białym, wysokim, w centrum. Weszłam do środka, a oni nie chcieli nawet powiedzieć mu, że przyszłam. - Prawy policzek ma brudny. Sierotka Marysia. - Kazali mi wyjść, grozili, że mnie aresztują.

Najprawdopodobniej wezwaliby po nią grupę do ścigania wagarowiczów.

- Nie wie pani, czy on jest już przez kogoś innego reprezentowany? - pytam. - Federalnego obrońcę z urzędu?

Wzrusza ramionami, kręci głową.

- Mówię panu, nie chcieli mi nic powiedzieć. - Patrzy na mnie wielkimi, błękitnymi, pustymi oczami.

- Jak długo zna pani Michaela?

- Czemu pan pyta?

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział o nim coś więcej.

- Poznaliśmy się w wesołym miasteczku w Pomonie. To było w zeszłym roku, latem. Pracowałam przy karuzeli, a Michael przechodził obok. Zauważył mnie. - Uśmiecha się na wspomnienie miłości od pierwszego wejrzenia, patrząc już nie na mnie, ale gdzieś w dal, z rozmarzeniem w oczach. - Mieszkaliśmy razem jakiś czas - ciągnie. - A potem Michael powiedział, że gdybyśmy byli małżeństwem, mogłabym dostać trochę pieniędzy z hrabstwa. Często wyjeżdżał, więc... Chyba nie powinnam panu tego mówić.

- Wszystko w porządku.

- Dostaję zasiłek. To dla dziecka - wyjaśnia. - Pewnie nie powinnam. Ale Michael rzadko bywa w domu. Podróżuje. Martwię się - mówi - bo nie mam już pieniędzy na mleko w proszku. Wydałam wszystko. Moje dziecko jest głodne. - Znów zaczyna głaskać je po główce, całując małą, otuloną kocem twarzyczkę.

Pod pachą trzymam cienką skórzaną aktówkę. Otwieram ją i wyciągam pojedynczą zapisaną na maszynie kartkę, którą przygotowałam przed wyjściem z biura. Wpisuję drukowanymi literami jej nazwisko pod miejscem na podpisy u dołu.

- To upoważnienie i umowa na świadczenie usług prawniczych - wyjaśniam jej. - Dzięki temu będę mógł reprezentować Michaela. Tutaj. -

Podaję jej długopis. Żonglujemy dzieckiem i w końcu niemowlę ląduje w moich rękach, podczas gdy ona bierze aktówkę, kartkę i długopis.

- Gdzie mam podpisać?

- Na dole. W linijce nad pani nazwiskiem. - Pokazuję palcem spod dziecka. Maluch wciąż wrzeszczy. Głód skręca mu kiszki.

Robin nie pyta, na co mi to potrzebne, jeśli już widziałem się z jej mężem. Unosząc wzrok znad kartki, mówi tylko:

- Jak mam panu zapłacić?

Wymieniamy się dzieckiem i aktówką. Chowam podpisany dokument, po czym wyjmuję z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i otwieram go. W przegródce na banknoty mam cztery setki i parę drobniejszych nominałów. Wyciągam setki i podaję jej.

- Proszę, to dla pani. Uzgodnimy wszystko z Michaelem. Niech się pani o to nie martwi.

Jej oczy się rozjaśniają.

- Niech pani kupi mleko dla dziecka i trochę jedzenia dla siebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jest połowa czerwca i siedzę z Toltem w jego wyłożonej orzechową boazerią sali konferencyjnej.

- Glenda? Tu Adam. Możesz ich wpuścić.

Tolt odkłada słuchawkę na widelki i odchyła się na wysokie oparcie miękkiego, skórzanego fotela. Patrzy na mnie. Siedzimy po dwóch stronach lśniącego stołu w przylegającej do jego gabinetu sali zebrań zarządu. Jest to *sanctum sanctorum* firmy, miejsce, gdzie jej kierownictwo spotyka się raz na kwartał, aby ocenić wyniki finansowe, gdzie rozdziela premie i gdzie wprowadza do swojego grona nowych członków, bez wątpienia wśród potajemnych uścisków dłoni.

- Dam panu wolną rękę - mówi Tolt.

Ma na myśli mające rozpocząć się za chwilę negocjacje.

- Przedstawię państwa tylko, a potem, jeśli mogę być w czymś pomocny... - Robi arystokratyczny gest, przeciągły ruch grzbietem dłoni, jakiego można by oczekiwać od weneckiego doży. Jego dłoń przesuwana jest ponad skórzaną teczką ze złotymi narożnikami i czarnym piórem Mont Blanc spoczywającym na niej jak smukła torpeda.

Oczy Tolta wpatrują się w drzwi za moimi plecami, podczas gdy palce ozdobionej złotym uniwersyteckim sygnetem dłoni bębnią o blat w rytmie przypominającym werble przed rozpoczęciem egzekucji.

Adam instynktownie zajął honorowe miejsce u szczytu stołu. To jego terytorium. Nie ocenia zbyt wysoko moich szans, zwłaszcza biorąc pod uwagę nieustępliwe stanowisko obu kobiet, Dany i Margaret Rush. Żadna z nich nie chce się zadowolić kwotą mniejszą niż dwa miliony, tyle, ile wynosi pełna suma ubezpieczenia z tytułu śmierci Nicka, choć podejrzewam, że gdybym naciskał, byłbym w stanie skłonić Danę do ustępstw. Nie wtajemniczyłem Tolta w swoją argumentację. Nie jestem pewien, czy mogę mu zaufać. Tak więc usłyszy wszystko dopiero w czasie dyskusji.

Drzwi naprzeciwko mnie otwierają się. Unoszę wzrok. Asystentka Tolta odgrywa rolę woźnego sądowego, wprowadzając resztę towarzystwa. Pierwsza twarz, która się pojawia, jest rumiana, z czerwonymi śladami po trądziku. Należy do mężczyzny dobrze zbudowanego, metr osiemdziesiąt wzrostu, na oko tuż przed pięćdziesiątką, o krótko ostrzyżonych jasnych włosach, zaczesanych do tyłu i rozdzielonych z lewej strony jak u staroświeckiego bankiera. Ubrany jest w dobrze uszyty ciemny garnitur w prążki, atrybut władzy mający zapewnić mu choćby minimum psychologicznej przewagi. Obrzuca mnie krótkim spojrzeniem przenikliwych błękitnych oczu. Jego twarz nie wyraża nic poza pewnym siebie uśmiechem z rodzaju tych, jakie widuje się u węszących owies polityków i biznesmenów, którzy wspięli się na szczyt po trupach.

Sądząc z programu spotkania i rysopisów, które otrzymałem od Tolta, jest to Luther Conover, starszy rzeczoznawca i wiceprezes do spraw

roszczeń w Devon Insurance, człowiek, którego podpis widnieje na polisie partnerskiej Nicka.

- Luther! Jak się masz? - Tolt wstaje z fotela. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Rzeczywiście. Strasznie dawno. Zdaje się, że od zjazdu północnego regionu, kiedy spotkał się cały zarząd. Kiedy to było? Dwa lata temu?

- Chyba tak. Jak się mają Julie i dzieciaki?

- Och, świetnie. Bliźnięta za rok wybierają się do college'u.

- Nie. - W głosie Adama słychać powątpiewanie.

- Osiemnaście lat - dodaje Conover.

- W głowie mi się nie mieści. To były takie maleństwa. - Tolt zatrzymuje rękę na poziomie blatu stołu. - To naprawdę kawał czasu - mówi.

- Dziękujemy Bogu za jego hojne dary - stwierdza Conover. - Nie żebym nie cieszył się, że cię widzę - ciągnie - ale nie wiem, czy nie będzie to zbyt silne przeżycie dla mojego portfela.

- Bzdura - rzuca Adam. - Zawsze mile wspominam nasze spotkania. Poza tym to nie twoje pieniądze.

- Tak, ale twoje ręce niemiłosiernie rozpychają mi kieszenie.

Conover patrzy na mnie i śmieje się; to znak, żebym się przyłączył. Atmosfera robi się kordialna, panuje ogólna wesołość. Nie mam pojęcia, o czym oni mówią, domyślam się tylko, że w przeszłości Tolt już dał się Devon Insurance we znaki.

- Chcę ci przedstawić Paula Madrianiego. - Ni stąd, ni zowąd Tolt zapoznaje Conovera z ręką zapuszczającą się do jego drugiej kieszeni.

Ściskamy sobie dłonie. Conover obdarza mnie tym samym pewnym siebie uśmiechem, jaki prezentował, wchodząc do pokoju. Rzutem oka taksuje kolejnego prawnika próbującego wydusić z niego pieniądze. Zaraz potem obraca się znów do Adama i zaczynają rozmawiać o golfie, przepytując się z aktualnych handicapów.

- Musimy pojechać kiedyś razem do Temeculi - mówi Conover.

- Ostatnio znajduję czas na grę tylko na wakacjach - stwierdza Adam.
 - Gdzie?
 - W de Anza.
 - Masz członkostwo?
- Tolt kiwa głową.
- Kupiliśmy apartament przy czternastej alei. Bywamy tam od czasu do czasu.
 - Jak się ma Margo?
 - Dobrze. Jest zdrowa. Utrzymuje mnie w formie.
 - De Anza. Trochę drogie jak na mój gust. - Conover znów patrzy w moją stronę. - Gra pan w golfa, panie Madriani?
 - Niestety muszę przyznać, że nie jest to jedno z moich ulubionych zajęć.
 - Świetnie. Będziemy musieli wyciągnąć pana na pole. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym wygrać. Adam kładzie mnie na łopatkę, kiedy tylko zbliżymy się do greenu. Czego brakuje mu w drive'ach, nadrabia z nawiązką putterami przy dołkach.
 - Zwycięstwo finezji nad brutalną siłą - zauważa Adam.
- Kolejna salwa śmiechu. Tymczasem pod drzwiami sali konferencyjnej robi się tłoczno.
- Szczupły facet po trzydziestce, taszcząc oburącz aktówkę, którą próbuje unieść ponad ramię Conovera, przeciska się za jego plecami do stołu, by zająć miejsce naprzeciw mnie.
- Przepraszam - mówi Conover. - Chciałbym, żeby pan poznał Larry'ego Melchera, radcę prawnego Devonu. Paul Madriani. Dobrze wymawiam pańskie nazwisko?
 - Tak - odpowiadam, ściskając dłoń Melchera. Kiedy obracam się ku prawnikowi, widzę, że taksuje mnie wzrokiem. To próba sił, wzajemne obwąchiwanie się, rzecz dobrze przećwiczona przez każdego specjalizującego się w ubezpieczeniach prawnika, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Obszukałby mnie, gdyby sądził, że ujdzie mu to na sucho. Zamiast tego testuje mój uścisk dłoni, jak gdyby wszelką rywalizację między nami miało rozstrzygnąć siłowanie się na rękę na stole konferencyjnym.
 - Więc w czyim imieniu pan występuje?

Melcher nie zdążył jeszcze nawet usiąść, a już zapuszcza sondę, by ustalić, kto jest moją klientką. Nie miałby ochoty grać po obu stronach siatki.

- Moja firma reprezentuje panią Danę Rush. Być może poznał pan już w sekretariacie mojego kolegę.

- Obawiam się, że nie było po temu okazji. - Mówi to z porozumiewawczym uśmiechem, który każe mi się domyślać, że cokolwiek zdarzyło się w sekretariacie, nie było to zbyt miłe. Obecność w jednym pomieszczeniu Dany i Margaret musiała zmrozić atmosferę do tego stopnia, że trzeba tam pewnie teraz skuwać lód ze ścian.

Następna w drzwiach pojawia się Dana, a za nią Harry. Musiałem siłą nakłonić go do przyjsia. Potrzebowałem kogoś do sędziowania, na wypadek gdyby Margaret i Dana postanowiły dla zabicia czasu urządzić sobie zapasy.

Przechodzą okrężną drogą na moją stronę stołu. Dana zajmuje miejsce między Harrym a mną. Przedstawiam ich. Conover szczyrzy zęby, pożerając wzrokiem moją klientkę. Z pewnością chciałby zadać jej parę pytań, może nawet rozebrać ją, ale to nie jest odpowiednie miejsce ani pora.

Tymczasem przez drzwi za jego plecami wchodzi Margaret, omiatając zawistnym wzrokiem pomieszczenie, francuski kryształowy żyrandol nad stołem i olejne obrazy na ścianach. Patrzy, jak Bóg mógłby urządzić raj, gdyby miał pieniądze. Za nią idzie jej prawniczka Sue Glendenin, żywa, pogodna blondynka, bystra i inteligentna. Jej drobna budowa i niekiedy nieśmiało brzmiący głos zwiodył niejednego prawnika, który próbował bawić się z nią na sali w kosi-łapki po to tylko, by obudzić się ze spodniami na podłodze i pustką w kieszeni. Susan, jak zwykle, uśmiecha się. Margaret nie.

Glendenin wychodzi do przodu, przedstawia się Adamowi i podaje mu wizytówkę. Powtarza to z Conoverem i jego prawnikiem, po czym kiwa mi głową.

- Jak leci, Paul?

- Powiem ci za chwilę. - Puszczam do niej oko.

- Tobie nie muszę dawać wizytówki. - Chowa wizytownik z powrotem do kieszeni żakietu. Nie uchodzi to uwagi Conovera; prawnicy reprezentujący

przeciwne strony rozmawiają po koleżeńsku i nadal uśmiechają się do siebie.

Poruszając się wolno, niczym ranne zwierzę w rewirze drapieżnika, Margaret nie wie, na czym zatrzymać wzrok. Patrzy na obrazy za naszymi plecami, na zegar w górze, jej oczy błędzą po całym pomieszczeniu. Jedyne miejsce, które skrzętnie omijają, to Dana. Niewidzialna kobieta. Wśród wszystkich tych uścisków dłoni i prezentacji nikt nie jest na tyle głupi lub na tyle odważny, by narazić się towarzysko, przedstawiając sobie te kobiety. One same starają się jak tylko mogą ignorować się nawzajem.

- Myślę, że możemy zaczynać - stwierdza Adam. - Czy ktoś miałby ochotę na kawę? Może coś zimnego?

- Szkocką z wodą sodową, ale dopiero kiedy skończymy - mówi Conover.

On i Adam parszają śmiechem.

- Po co czekać? - wtrącam. - Harry z przyjemnością naleje.

Teraz śmieją się wszyscy z wyjątkiem Margaret, która najwyraźniej gotuje się już ze złości.

- Siadajcie państwo. - Tolt przejmuje obowiązki mistrza ceremonii, podczas gdy jego asystentka zbiera zamówienia na kawę i przekazuje je dalej przez telefon.

Całe towarzystwo sadowi się wokół stołu. Fotele są na kółkach, zauważam więc, że Margaret odsuwa się możliwie daleko od nas. Jej prawniczka przeciwnie, siada tuż obok Melchera, niemal wpychając się na niego, tak że jeśli zapragnie robić notatki, będzie musiał trzymać notatnik przy brzuchu, żeby zasłonić swoje zapiski.

Glenda, asystentka Adama, zajmuje miejsce na drugim końcu stołu i notuje przebieg rozmów, na wypadek gdyby powstał później jakiś spór co do konkretnych słów lub tematów.

- Sądzę, że wszyscy wiemy, dlaczego spotkaliśmy się tu dzisiaj. - Tolt prostuje się w fotelu u szczytu stołu. - Devon Insurance wystawiło polisę na życie jednego ze współników naszej firmy, Nicholasa Rusha. Pan Rush, jak wszyscy wiemy, zmarł niedawno i okazuje się, że wysunięto dwa odrębne roszczenia do tej polisy, każde opiewające na pełną sumę ubezpieczenia, dwa miliony dolarów. Jedno zgłosiła pani Margaret Rush. Drugie

pani Dana Rush. Proszę mi przerwać, jeśli się mylę albo jeśli są jakieś pytania. - Rozgląda się po twarzach obecnych. Nikt się nie odzywa. - Istnieją pewne szczegóły - ciągnie - komplikacje, które, jestem tego pewien, możemy omówić tu wspólnie, jeśli stanie się to konieczne.

„Szczegóły i komplikacje” - oto jak Adam określa kwestię ugody majątkowej pomiędzy Margaret a Nickiem oraz fakt, że osobą uposażoną w polisie nie jest wdowa. Zważywszy na wchodzące w grę sumy, podobne drobiazgi dla pewnych narodów Trzeciego Świata mogłyby się stać powodem do wojny.

Tolt odchrząkuje i wypija łyk wody ze szklanki, którą Glenda wcześniej napelniła i postawiła obok jego dłoni.

- Celem tego spotkania jest próba znalezienia wyjścia, które pozwoliłoby rozstrzygnąć wszelkie spory w sposób polubowny. - Patrzy wymownie na obie kobiety. - To znaczy bez konieczności odwoływania się do sądu, którego orzeczenie mogłoby nikogo z nas w pełni nie zadowolić.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli tylko sąd nakaże wypłatę ubezpieczenia. - Margaret nie jest w stanie opanować się ani chwili dłużej.

- Tak, ale jeśli pani przegra? - zauważa Adam. - W grę wchodzi też inne sprawy. Z pewnością prawniczka wyjaśniła to pani. A nikt z tu obecnych nie chciałby, żeby została pani bez jakiegokolwiek rekompensaty.

Margaret wbija w Danę nienawistne spojrzenie, przekonana, że Adam nie mówi w imieniu wszystkich w tej sali.

- To samo dotyczy pani. - Tolt zwraca się do Dany. - Naprawdę nie sądzę, żeby Nick chciał, by którakolwiek z was została poszkodowana.

Margaret wydaje słyszalny jęk.

- Och, niechże pan da spokój - mówi.

Tolt ignoruje ją.

- Prawdą jest, że nikt z tu zgromadzonych nie chciałby, żeby którejkolwiek z pań stała się krzywda. Myślę, że jeśli zważycie na ryzyko i przemyślicie to dobrze, zgodzicie się z nami.

Margaret musiałaby myśleć całe wieki, zanim doszłaby do takiego wniosku.

Glendenin przesuwa się nieco w jej stronę. Kładzie jej dłoń na ramieniu, próbując ją uspokoić, lecz otrzymuje od własnej klientki pogardliwe spojrzenie. Równie szybko na powrót wciska się więc w prywatną przestrzeń Melchera, pozwalając Margaret pławić się w swym morzu pogardy.

- Mam nadzieję, że dotyczy to także nas - odzywa się Conover. - Mam na myśli to, że nikomu nie stanie się krzywda.

- Jak najbardziej. - Przy tym zapewnieniu w oczach Adama pojawia się błysk. Wierzyć mu lub nie, komiczny efekt odrobinę rozładowuje napięcie.

- To pocieszające - mówi Conover, uśmiechając się. - Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy zobowiązani do wypłaty - dodaje. - Jedyne problem, to komu zapłacić.

Margaret wciąż patrzy na Danę z pogardą, tak że przypuszczam, iż moja klientka najchętniej schowałaby się pod stół. Margaret odstręcza od negocjacji nie tyle suma, jaka wchodzi tu w grę, ile fakt, że część z niej dostanie się Danie. Przesuwa fotel w stronę swej prawniczki, przykłada zwinioną dłoń do ucha Susan i szepcze w tę trąbkę. Wyłuszczyła mi już swoje stanowisko i raczej go nie zmieni. Przegrawszy na rzecz Dany małżeństwo, nie zamierza teraz zrezygnować z polisy, na której widnieje jej nazwisko. Ma to w oczach, tak że nie trzeba być jasnowidzem, by odgadnąć, co szepcze: „Dwa miliony i ani centa mniej”. Widzę, jak zerka w stronę drzwi. Nie trzeba by wiele, żeby wstała i wyszła. Wie, że nie będziemy mieli drugiej szansy na spotkanie z ubezpieczycielem, chyba że na sali sądowej.

- Może moglibyśmy liczyć na jakiś gest, jakąś wskazówkę - mówi Conover. Spogląda na Margaret, która wciąż szepcze do Susan. - Może któraś z pań zgodziłaby się przełamać lody. Przedyskutować ze swoim prawnikiem ofertę.

Mówiąc to, patrzy wprost na Margaret. Kobieta milknie w pół słowa. Jego taktyka jest jasna: wbić klin pomiędzy wdowy i siedzieć na dwóch milionach, zgarniając siedmioprocentowe odsetki, podczas gdy one będą się szarpać po sądach.

Przymierza się właśnie, by zaatakować Margaret propozycją kompromisu, granatem wyjętym z zanadru. Ma zamiar wyciągnąć zawleczkę i wziąć nogi za pas. Przypuszczam, że zjawił się na tym zebraniu jedynie po to, by dogodzić Toltowi. Bez wątpienia Adam, w jakimś innym wcieleniu, zasiada w radach nadzorczych, gdzie styka się z przełożonymi Conovera z centrali. Ten człowiek ma sposób na każdego.

- Właśnie na to liczyłem. - Pierwsze słowa, jakie wypowiadam nie w żartach. - Jakiś gest - mówię.

- Czy pańska klientka jest skłonna pójść na kompromis? - Melcher rzuca się jak pantera.

- Istotnie. Jest gotowa zadowolić się połową sumy.

- Proszę - stwierdza Conover. - Pani Rush - wskazuje Danę, używając określenia, o którym wie, że podziela na Margaret Rush jak płachta na byka - jest gotowa zrezygnować z miliona dolarów, by doprowadzić do ugody. - Mówi to tak, jak gdyby prosił o brawa na aukcji charytatywnej.

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że jest gotowa zrezygnować z połowy.

Ze złożonymi w daszek dłońmi i łokciami spoczywającymi na poręczach fotela Adam Tolt rozpiera się wygodnie, by obserwować dyskusję.

- Ścisłej mówiąc, jest gotowa zrezygnować z dwóch milionów dolarów - dodaje.

- Chce pan powiedzieć, że jest skłonna odstąpić od roszczenia? - Conover rzuca mi niedowierzające spojrzenie, jak gdyby mówił: „W takim razie co my tu robimy?”

- Nie. Tylko od połowy - odpowiadam.

Kręci głowę. Patrzy na swojego prawnika, który wzrusza ramionami. Obaj próbują dojść, co im umknęło.

- Proszę wyjaśnić - mówi Conover.

- Pełne świadczenie wynosi nie dwa, lecz cztery miliony dolarów - odpowiadam.

- O czym pan mówi? - pyta Melcher.

- Mówię o klauzuli podwajającej wysokość świadczenia.

- Co? - Melcher ogląda się na szefa. Kręci głowę, wzrusza ramionami i rozkłada ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Kto tu wpuścił tego wariata?”

- W czym się pan specjalizuje? - pyta. - Nie w prawie ubezpieczeniowym.
- Głównie w karnym - mówię.
 - Ach taaak. - Spojrzenie w stylu: „Cóż, to wszystko wyjaśnia”. - Podwojenie świadczenia dotyczy tylko śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku - mówi łagodnym tonem, jak gdyby potrzebna była tu jedynie odrobina edukacji. - Tutaj mamy do czynienia z zabójstwem - dodaje. - Być może z podwójnym zabójstwem, ale nie z podwójnym świadczeniem. - Uśmiecha się lekko, dumny ze swego dowcipu. - Pan Rush został zamordowany, chyba że jest coś, o czym nam nie wiadomo.
 - To możliwe - odpowiadam. - Czytał pan raport policyjny?
 - Mam go tu gdzieś - mówi Melcher. Otwiera aktówkę i zaczyna w niej szperać.
 - Pozwoli pan, że oszczędzę mu kłopotu. Chciałbym, żeby dobrze mnie pan zrozumiał. Możliwe, że Nick Rush padł ofiarą czynu zamierzonego. Z tym się wszyscy zgadzamy. Ale pozostaje pytanie, czy był zamierzoną ofiarą tej strzelaniny, czy jedynie niewinnym, zastrzelonym przypadkowo przechodniem. - Podkreślam ostatnie trzy słowa.
 - Och, niech pan da spokój - prycha Melcher. - Nie mówi pan chyba poważnie?
- Conover patrzy na swego prawnika, zastanawiając się, co, u diabła, jest grane. Nie tak sobie to wyobrażał. Miało być krótkie zebranie i do widzenia, a potem ciągnący się latami spór sądowy wdów, na którym zarobiliby tylko oni.
- Mówię najzupełniej poważnie. Co więcej, istnieją już precedensy w tej kwestii.
- Z drugiego końca stołu zaczynają napływać schludnie spięte pliki papierów. Harry rozdaje je z leżącej przed nim tekturowej teczki niczym karty z pudełka, popychając po jednym egzemplarzu w stronę prawników i Conovera.
- Jest też raport ze śledztwa wydziału zabójstw. Stwierdza on, że nieboszyk Nicholas Rush nie był zamierzoną ofiarą tej strzelaniny, natomiast według wszelkiego prawdopodobieństwa celem ataku był jego klient Gerald Metz. Przypuszczenie to opiera się na dowodach z miejsca

przestępstwa, oświadczeniach świadków oraz innych danych, którymi dysponują władze, zarówno stanowe, jak i federalne. Zalecam lekturę - mówię.

Harry natychmiast posyła wzdłuż stołu kopie raportu policyjnego, tak że Conover i jego radca prawny czytają jeszcze pierwszą stronę naszego zestawienia argumentów i precedensów, kiedy raport ze śledztwa ląduje na niej jak zawodnik na bazie-mecie.

Teraz wszyscy prawnicy jak jeden mąż przerzucają strony. Glendenin i Tolt prostują się w fotelach rozbawieni, jak gdyby nie obstawiali żadnego zawodnika w tej walce, podczas gdy Conover patrzy wyczekująco na Melchera, spodziewając się, że ten wyciągnie królika z rozporoka.

- I co? To nic nie znaczy - odzywa się Melcher. Nie miał czasu przeczytać nic poza pierwszą stroną, ale obecność szefa sprawia, że czuje się zmuszony wyjąć miecz z pochwy. - Pański człowiek stał obok swojego klienta. Nic dziwnego, że został zastrzelony.

- I co ma z tego wynikać? - pytam.

- Jego klient był zamierzoną ofiarą. Tu jest tak napisane.

- Zgadza się. To właśnie powiedziałem.

- Nie. Nie. Nie. Nie. - Melcher powtarza to, jak gdyby za każdym razem zwiększał wagę swego argumentu. - Nie rozumie pan - stwierdza. - Fakt, że pański klient stał obok zamierzonej ofiary, oznacza, że nie został zastrzelony przypadkowo. W końcu reprezentował tego człowieka. Był jego adwokatem.

- I co z tego? - wtrąca Harry. - Chce pan powiedzieć, że przyjął na siebie to ryzyko?

- Niezupełnie. Cóż, w pewnym sensie - mówi Melcher. - Chodzi mi o to, że ten człowiek... Zechcą panie wybaczyć. - Patrzy na Danę, po czym rzuca krótkie spojrzenie na drugi koniec stołu, ku Margaret. - Zechcą panie wybaczyć, ale pan Rush nieraz reprezentował podejrzanych klientów.

- Mnie pan to mówi? - prychna Margaret.

- Co to ma do rzeczy? - pytam.

- Sam niech się pan zastanowi. - Melchera zaczyna ponosić. - Ma pan cieszącego się wątpliwą reputacją prawnika od spraw narkotykowych,

który zostaje zastrzelony ze swoim klientem, kiedy sterczą obaj przed gmachem sądu federalnego. Jeśli chce pan współczucia, dam go panu na kopy - mówi. - Ale nie to. Jak pan myśli, co powiedziałyby ława przysięgłych na wieść, że pański człowiek zginął, reprezentując jakiegoś dealera narkotyków? - Patrzy na mnie, unosząc brwi, jak gdyby właśnie udało mu się rozbić naszą argumentację w drobny mak. Nie czeka na moją odpowiedź. - Powiem panu, co oni by powiedzieli. Powiedzieliby, że dostał to, co mu się należało. Szczególnie kiedy pan wysuwa roszczenie do... do... do... - Gniew bierze w nim górę i Melcher zaczyna bełkotać. - Tego. - Podrzuca leżący przed nim dokument. - To ma być śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku?

- Przede wszystkim ta informacja nigdy nie dotrze do ławy przysięgłych - mówię mu.

- Jak to?

- Prawdę mówiąc, mogę niemal zagwarantować panu, że żaden sędzia nie pozwoli poinformować ławy przysięgłych nawet o tym, że pan Rush był prawnikiem, nie wspominając już o tym, że był w jakikolwiek sposób związany z panem Metzem. To nie ma związku ze sprawą i utrzymywałbym, że przeszkadzałoby bardzo w jej sprawiedliwym osądzeniu.

Harry przyłącza się do dyskusji.

- Proszę przeczytać argumenty i precedensy - mówi. - Bardzo pouczające.

- Jedyne prawdziwe zagadnienie - dodaję, a Melcher znów patrzy na mnie, świadomy, że ma przeciwko sobie dwóch zawodników. - Jedyne zagadnienie sprowadza się do tego, czy pan Rush był zamierzoną ofiarą tego czynu, czy też został zabity przez przypadek. Pozwoli pan, że zadam panu pytanie.

Conover patrzy w stół, trzymając głowę w dłoniach, a łokcie oparte o blat, jak gdyby miał już dość pytań.

- Czy gdyby pan Rush stał przed budynkiem sądu sam, bez pana Metza, w ogóle doszłyby do tej strzelaniny?

Melcher patrzy na mnie, na raport policyjny, na zestawienie precedensów i argumentów. Wolałby nie odpowiadać. Wie, że jest to pytanie, które

w razie potrzeby zadałbym przed ławą przysięgłych. Ostateczna i nieunikniona kwestia: gdyby nie pan Metz...

- To proste pytanie. Czy w świetle dowodów, które ma pan przed sobą, sądzi pan, że doszłoby do strzelaniny?

- Nie wiemy tego. - Conover daje poznać, dlaczego jest szefem Melchera. Unosi głowę i ucisza prawnika, zanim ten zdąży odpowiedzieć. - Nie wiemy. Nie mieliśmy czasu przeczytać wszystkich dokumentów. - Lepsze to niż otwarte oświadczenie przy świadkach, nawet jeśli można się spierać, czy są to jeszcze negocjacje w sprawie wypłaty. Conover miał już dość niespodzianek jak na jeden dzień.

- Jeśli nasze klientki będą zmuszone pozwać panów, przypuszczam, że możecie porozmawiać na ten temat z glinami - mówię im.

- Z jakimi glinami? - wyrywa się Melcherowi.

- Tymi, którzy będą zeznawać na temat zamierzonej ofiary i przypadkowego charakteru śmierci pana Rusha.

To wymarzeni świadkowie w takiej sprawie, i obaj o tym wiedzą; gliniarze zeznający, że adwokat został zastrzelony przez przypadek. Jakie mogłoby mieć powody, by kłamać? I jak mogliby zmienić zeznania, biorąc pod uwagę treść raportu ze śledztwa?

- Jestem pewien, że uda się wam skłonić ich do przedstawienia ławie przysięgłych wszelkich szczegółów dotyczących pana Metza i jego szemranych interesów.

- A jeśli my tego nie zrobimy, pan to zrobi - wtrąca Melcher.

Uśmiechem przyznaje mu rację.

- Nie będą mogli wspomnieć jedynie o tym, że pan Metz był klientem pana Rusha albo że pan Rush był prawnikiem.

- Każda, choćby najmniejsza wzmianka na ten temat - mówi Harry, klepiąc dłonią zestawienie precedensów i argumentów - i proces będzie nieważny.

- Tak więc - dodaje - sytuacja wygląda tak, że mamy człowieka, który idąc ulicą, zaprzątnięty własnymi sprawami, przypadkowo zostaje ofiarą kul wystrzelonych do kogoś innego z jadącego samochodu.

Następuje chwila refleksji, gdy zaczyna docierać do nich waga tego

argumentu. Trwa to kilka sekund. Wreszcie ciszę przerywa Adam Tolt, rozpierając się w fotelu, aż skrzypią sprężyny. Próbuje zachować poważną minę, ale walka jest z góry skazana na porażkę. W końcu wybucha serdecznym śmiechem.

- Rany, Luther, musisz przyznać, że jeszcze nigdy tak cię nie urządziłem. - Wciąż krztusząc się ze śmiechu, dodaje: - Moim zdaniem to naprawdę wygląda na wypadek.

- Trudno byłoby cię uznać za bezstronnego świadka, Adam. - Conover stracił już poczucie humoru.

- Daj spokój - mówi Tolt. - Możesz zabrać mnie do Temeculi i powetować to sobie na polu. - Nie potrafi powstrzymać śmiechu, starając się nie wystawiać na pośmiewisko przyjaciela. - Posłuchaj, szepnę im słówko. Oni zrozumieją.

Ma na myśli centralę Devon Insurance.

- Śledztwo jest wciąż w toku - zauważa Melcher. - Kto wie, co gliny wywęszą?

- Jeśli sądzi pan, że uda się mu skłonić ich do zmiany kierunku, kiedy już pogonili za tropem, to jest pan lepszy ode mnie - odpowiadam.

- Wiemy, bo próbowaliśmy - dodaje Harry. - Oczywiście dawniej zwykle ścigali właśnie naszych klientów. - Mimo woli uśmiecha się lekko. Ironia tych słów nie dociera do Conovera i Melchera. Oczywiście wyobraźni widzą już czek z mnóstwem zer poprzedzonych czwórką.

Są powody, dla których gliniarze nie chcą, przynajmniej formalnie, otwierać zbyt wielu linii śledztwa zmierzających w rozmaitych kierunkach. Po ustaleniu podejrzanego i aresztowaniu go musieliby ujawnić każdą z nich obrońcy. Każdy trop prowadzący w innym kierunku żłobiłby rowek uzasadnionej wątpliwości w fundamentach ich oskarżenia. Gdyby zataili te informacje przed obroną, byłaby to podstawa do apelacji o uchylenie wyroku. Nie należy raczej liczyć na to, że będą się kręcić jak kurek na dachu z każdym napływem wiadomości. W każdym razie nie, dopóki sądy będą przekonywać ich, że linia prosta jest najkrótszą drogą do wyroku.

- Oczywiście nikt nie zabroni wam obsusiać paru krzaków, jeśli sądziecie,

że to skłoni ich, by podążyli jakimś innym tropem - ciągnie Harry. - A póki co, będziemy oczekiwać wypłaty pełnej sumy ubezpieczenia. Nie dwóch milionów - dodaje - ale czterech, zgodnie z klauzulą o podwojeniu wysokości świadczenia. I tak dla pamięci... - Wyciąga ze swej teczki ostatni dokument, oficjalne wezwanie do zapłaty. Conover natychmiast zdaje sobie sprawę, co to oznacza.

Choć przyszedł tu niechętnie, Harry rozkoszuje się tą chwilą. Nieczęsto zdarza się widzieć towarzystwo ubezpieczeniowe w takiej pozycji: zgięte wół i trzymające się za kostki.

- Ponieważ przyznaliście już, panowie, że macie obowiązek zapłacić - mówi Harry - jeśli uchylicie się od spełnienia żądania...

- Zrzucicie nam działanie w złej wierze. - Conover z miejsca pojmuje, o co chodzi. Widywał już wcześniej takie pisma jak to, które właśnie dostał od Harry'ego. To podstawa do oskarżenia o działanie w złej wierze.

W takim przypadku maksymalna zasądzona kwota mogłaby uszczknąć sporą część długu państwowego. Moglibyśmy zajrzeć do ich ksiąg rachunkowych, by ustalić, jaka suma będzie stosowną karą za odmówienie godziwej wypłaty dwóm kobietom, z których jedna jest pogrążona w żałobie po tragicznej śmierci męża, a druga rozbita psychicznie po paskudnym rozwodzie. Nie są to okoliczności, w których towarzystwo ubezpieczeniowe mogłoby pozwolić sobie na ustawienie wozów w krąg i strzelanie do Indian.

Conover patrzy na Margaret, która nawet teraz, u progu zwycięstwa, zachowuje grobową minę. Wciąż trzymając pismo Harry'ego, przygląda się Danie, którą stać jedynie na nikły uśmiech. Gdyby spojrział nieco bardziej w lewo, zobaczyłby, jak Susan chowa się za jego radcą prawnym, patrząc w stół niczym mysz, która dopiero co porwała ostatni okruc. To właśnie Glendenin sprowadziła Wezuwiusza na to zebranie i powstrzymała jego erupcję, żebyśmy mogli omówić bez świadków podział łupów między dwiema paniami Rush.

Conover kieruje wzrok w moją stronę. Jego spojrzenie mówi mi

wszystko. Facet zastanawia się, jak zeszkrobać z butów łąjno, w które wdepnął, zanim będzie musiał zadzwonić do centrali i wyjaśnić im, co się stało. Wątpię, żeby kiedykolwiek w najbliższej przyszłości zaprosił mnie na golfa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miguelito Espinoza, ojciec niemowlęcia i mąż kobiety-dziecka, jest twardym jak diament trzydziestopięciolatkiem z wytatuowanym wokół szyi czarnym łańcuchem i wymyślnymi literami - sygnaturą hiszpańskiego gangu - na obu ramionach.

Na przylizanych do tyłu włosach nosi siatkę naciągniętą mocno na końce uszu. Ma martwe oczy i zasługuje na miano ciemnego typu nie tylko ze względu na kolor skóry. Siedzi rozwalony na odsuniętym od stołu krześle, z nogą założoną na nogę, wyluzowany, jak gdyby beztrosko zsuwał się prosto do piekła.

Stoi w obliczu zarzutów o napad z bronią w rękę, kradzież własności federalnej oraz nielegalne posiadanie. Grozi mu po dwadzieścia pięć lat za każdy z nich, jeśli zdołają udowodnić, że był zamieszany w samą kradzież wiz. Ponadto grozi mu po dziesięć lat za posiadanie każdej z trzech wiz, jakie znaleziono w jego szafie.

Siedzimy po przeciwnych stronach stalowego stołu w jednej z kabin przeznaczonych na rozmowy klientów z adwokatami w Miejskim Areszcie Śledczym, białym, wielopiętrowym grobowcu w śródmieściu. Za szybą stoi strażnik, obserwując bacznie stół, tak że nic nie przejdzie z rąk do rąk niezauważone.

Ten wzniesiony kilka lat temu budynek jest sięgającą nieba kpinią. Przedsiębiorca budowlany oszukał rząd federalny na betonie, tak że więźniowie, uderzając wystarczająco mocno w ściany, mogli wybić dziury i spuścić się po prześcieradłach na ziemię. Strażnikom nie pozostawało nic poza nasłuchiowaniem dobiegających z góry stuków, by ustalić kierunek w nadziei, że zdążą wypaść na ulicę, zanim ich podopieczni zjadą po

poszwach i prysną. Od tamtego czasu rząd wzmocnił cele i teraz więźniowie potrzebują przynajmniej łyżki, by wydłubać sobie drogę na wolność.

Moja wizyta nie robi na Espinozie żadnego wrażenia. Jest pełen wątpliwości. Otrzaskany z życiem, patrzy na tego darowanego konia, jakby spodziewał się, że w zestawie jest coś, co może go ugryźć.

- Powiedz mi wreszcie, kto cię wynajął, facet.

- Mówilem panu. Pańska żona, Robin.

- Słuchaj, facet. Zachowaj te pierdoły dla swoich koleśków. Robin gównowo wie. Masz mnie za głupka? Robin to pieprzona idiotka. Gdzie miałyby znaleźć adwokata? Ona nie potrafi znaleźć durnej książki telefonicznej. A gdyby nawet znalazła, nie umiałaby jej przeczytać. Poza tym nie ma forsy, żeby ci zapłacić. Popatrz na swoje świetne ciuchy, na swoją skórzaną aktóweczkę - mówi drwiącym tonem, leniwie machając dłonią w stronę mojej teczki stojącej obok stołu. - Słuchaj, facet. - Siada prosto, z łokciami opartymi o blat, i pochyla się w moją stronę, jak gdyby miał zamiar wyjaśnić mi tajemnice życia. - Spójrz na mnie - mówi. - Nie będę z tobą gadał, dopóki nie dowiem się, kim jesteś. Kapujesz?

Wzruszam ramionami.

- Świetnie. Mam nadzieję, że podoba się panu tutaj. - Wstaję z krzesła, podnoszę teczkę i odwracam się w stronę drzwi.

- Hej, facet! Gdzie idziesz?

- Powiedział pan, że nie chce rozmawiać.

Ogląda się przez ramię na strażnika, który rusza w naszą stronę, by odprowadzić go do celi.

- Siadaj, facet.

- Nie, dopóki nie zgodzi się pan rozmawiać.

- Dobra, facet. Dobra. Porozmawiamy. Spoko.

Znów siedzi rozwalony na krześle, starając się nie zauważać strażnika i mając nadzieję, że ten odejdzie.

- Siadaj, facet. - Stuka dwoma palcami w nieskazitelny blat stołu, zapraszając mnie do powrotu. Wszystko jest lepsze niż zamknięcie w celi. - Możemy pogadać sobie o pogodzie - proponuje.

Siadam, a strażnik wycofuje się na poprzednią pozycję pod ścianą, obserwując nas przez szybę.

- Wyluzuj się - mówi Espinoza. - Daj mi sekundę. - Myśli intensywnie, próbując odgadnąć, kto mógł mnie tu przysłać i dlaczego. - Chcę tylko wiedzieć, kim jesteś - wyjaśnia. - To wszystko.

- Powiedziałem panu.

- Gównu mi powiedziałaś. Kto cię wynajął?

- Jakie to ma znaczenie, jeśli tylko wydobędziemy pana stąd?

Oczy strzelają mu na wszystkie strony, gdy to rozważa.

- Dlaczego to robisz?

- Powiedzmy, że spełniam swój obywatelski obowiązek - odpowiadam.

W oczach ma napisane: „Nie pierdol”, ale nie mówi tego głośno w obawie, że tym razem naprawdę wstanie i wyjdę.

Zamiast tego pyta więc:

- Możesz to zrobić? Wydostać mnie stąd?

- Nie wiem. Najpierw będzie musiał mi pan zaufać. Powiedzieć mi, co się dzieje.

- Możesz wydostać mnie za kaucją?

- To nie będzie łatwe.

- Więc co z ciebie, kurna, za pożytek?

- Biorąc pod uwagę bliskość granicy i oskarżenie o kradzież ładunku amerykańskich wiz, jakie na panu ciąży, sędzia mógłby mieć problem z wyznaczeniem kaucji.

- Co, kurna, myślisz, że jestem potencjalnym uciekinierem?

Opanował prawniczy żargon lepiej niż większość znanych mi adwokatów.

- To, co ja myślę, nie ma tu nic do rzeczy.

- Ja nic nie wiem, facet. Pieprzone wizy. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. - Siedzi teraz prosto, porzuciwszy obojętną postawę. Patrzy bezpośrednio na mnie, próbując skrzesać w tych ciemnych, świdrujących oczach błysk uczciwości.

- Były w pańskim mieszkaniu. Na dnie szafy.

- Tylko trzy, facet. A gdzie reszta?

- Może oni sądzą, że pan im to powie.

- Skąd miałbym to wiedzieć? Nie mam z tym nic wspólnego. - Rozgląda się, kręcąc głową i rozkładając ręce w odwiecznym geście więźniów usiłujących przekonać kogoś o swej niewinności. Nic nierozumiejący, zwykły, uczciwy człowiek. - Śpię, facet, we własnym łóżku, kiedy te dupki wchodzą, świecą mi, kurna, latarkami w oczy i wtykają spluwę w twarz. Zanim się obejrzałem, wyciągnęli to cholerstwo z mojej szafy. Mówię ci, facet. Wiesz tyle co ja. Pojęcia nie mam, skąd się tam wzięły. Może ktoś je tam podłożył, no nie?

- Oczywiście. Pytanie tylko kto.

- Skąd mam wiedzieć?

- To pańskie mieszkanie.

- Mnóstwo ludzi przychodzi i wychodzi - mówi. - Może ktoś z nich to zrobił.

- Co to za ludzie?

Waha się sekundę. Widać to wyraźnie w jego oczach. Uchylił odrobinę te drzwi, a teraz chciałby je zamknąć.

- Oni.

- Jacy oni?

- Pieprzony Urząd Imigracyjny - mówi. - Wciąż depczą mi po piętach.

- Chce pan powiedzieć, że Urząd Imigracyjny pana zrobił? Że podrzucił dowody do pańskiej szafy?

- Skąd mam wiedzieć? Wszystko jest możliwe, facet.

- Musi pan wymyślić coś lepszego.

Rozgląda się ponury, a jego mózgowica pracuje na najwyższych obrotach, szukając sposobu, jak wykiwać jeszcze jednego prawnika.

Mówię mu, że gdyby sprawa trafiła przed sąd stanowy, naprawdę miałby powód do zmartwienia.

- To byłaby pańska trzecia wpadka - wyjaśniam. - Widziałem pańską kartotekę. Nie jest dobrze. Jak się panu uśmiecha reszta życia za kratkami?

- Ale to nie jest sprawa dla sądu stanowego. - Pociesza się przynajmniej tym.

- Może tak, a może nie.

Espinoza zerka na mnie z ukosa.

- Co to ma znaczyć?

- To prawda, że zginęła własność federalna. Ale fakt, że jej część

odnaleziono w tym stanie, a ściślej mówiąc, na dnie pańskiej szafy, może zaowocować sprawą o nielegalne posiadanie skradzionej własności.

- Oni nie mogą tego zrobić, facet. Mogą?

Wykrzywiłam usta. Wszystko jest możliwe.

Espinoza jeszcze bardziej prostuje się na krześle. Mam jego niepodzielną uwagę.

- Powiedz, facet. Czemu mieliby mi to robić?

- A dlaczego nie? Spodziewał się pan, że mu popuszczą? Na wypadek gdyby pan nie wiedział, zamierzają wycisnąć pana jak cytrynę, Miguel. Mogę nazywać pana Miguel, prawda?

Kiwa głową.

- Czemu?

- Ponieważ myślą, że coś wiesz. Chcą, żebyś wyspał paru kumpli.

- Kto cię przysłał? - pyta.

- Znowu do tego wracamy?

- Ja nic nie wiem.

Na powrót rozpiiera się niedbale na krześle, z tym tylko, że tym razem unosi dłoń do ust i obgryza paznokcie. Wysuwając czubek języka, wypluwa odgryzione resztki wraz z czarnym paskudztwem ze spodu. Przez parę chwil przyglądam się, jak siedzi, gryząc palce i strzelając na wszystkie strony świdrującymi oczkami, jak gdyby obawiał się, że ściany mają uszy. W tym przypadku być może istotnie je mają. Nie jestem pewien, czy nasza rozmowa nie jest monitorowana. Istnieje już ustawa o tak zwanych specjalnych środkach administracyjnych. Pozwala ona federalnym władzom więziennym podsłuchiwać rozmowy, nawet adwokatów z klientami, jeśli przypuszcza się, że w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Fakt, że Espinoza oskarżony jest o kradzież tysiąca zaawansowanych technicznie wizyjazdowych, bez wątplenia każe im się zastanawiać, w jakim celu dokumenty te zostały skradzione.

Na grzbiecie dłoni Espinozy znajduje się słowo „Sangre”, czyli „krew”, wytatuowane wielkimi gotyckimi literami niczym na jakimś etnicznym graffiti we wschodnim Los Angeles.

- Nawet jeśli nie zostaniesz przekazany władzom stanowym, FBI raczej nie potraktuje tego lekko. Na wypadek gdybyś o tym nie wiedział, kontrola na granicach została zwiększona... odrobinę.

Podkreślam ostatnich kilka słów. Mija moment, zanim dociera do niego znaczenie tego faktu. Patrzy na mnie.

- Nic z tych rzeczy, facet. - Po tych słowach odwraca wzrok, jak gdyby chciał w ten sposób stworzyć dystans między sobą a swoimi wnioskami. - Nie jestem, kurna, żadnym terrorystą - mówi. - Może przerzut ludzi. Jasne, to czasem się zdarzało. Ale... ale nie to gównno. Absolutnie, facet.

- Może oni o tym nie wiedzą. Mówimy o pewnych niebezpiecznych dokumentach, które zaginęły. To nie były zielone karty, które ktoś sfabrykował na komputerze osobistym, Miguel. To były drukowane laserowo wizy z hologramami. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie da się ich wykryć. Ta kamerka na granicy, w San Ysidro, do robienia zdjęć, które przesyłają potem do Wirginii...

Espinoza śledzi każde moje słowo. Rozumie doskonale, o czym mowa.

- Wiesz, tam gdzie sprawdzają, czy to nie falsyfikat. Ta kamerka i ci ludzie w Wirginii nie byliby w stanie zatrzymać cię, gdybyś pokazał na granicy jedną z tych kart. Pomyśleliby, że jesteś po prostu kolejnym uczciwym obywatelem przekraczającym granicę w sprawach służbowych. Żli ludzie, mając takie karty, mogliby sprowadzić do kraju różne niebezpieczne świństwa.

- To nie był... - urywa w pół słowa.

- To nie było co? To nie był powód, dla którego zostały skradzione?

Wszystko to zmusza go do zastanowienia się nad niebezpieczeństwami, których dotychczas nie brał pod uwagę. Wbija wzrok w blat. Po chwili znów patrzy na mnie.

- Czemu, facet? To znaczy, czemu mieliby myśleć, że jestem jakimś cholernym terrorystą? Nie mają żadnych dowodów, że kiedykolwiek zajmowałem się czymś takim. - Dla podkreślenia uderza dwoma palcami w stół.

- Może sądzą, że awansowałeś w branży.

- Rany, facet, zawracasz mi głowę. To brednie. - Odwraca się ode

mnie, diabła, którego nie chce ani widzieć, ani słyszeć. Ale wątpliwość przeniknęła do jego mózgu, gdzie skwierczy teraz niczym żrący kwas. - Oni nie mogą tego zrobić, facet. To nielegalne, kurna. Nie mają żadnych pieprzonych dowodów. Są przepisy - mówi. - Mam prawo do...

- Oczywiście, możesz przedstawić te wszystkie argumenty - odpowiadam. - Ale ludzie, którzy zasiadają w ławach przysięgłych, są ostatnio nieco nerwowi. Jeśli uznają, że stanowisz tego rodzaju zagrożenie, mogą po prostu zapuszkować cię do czasu, kiedy twoje wnuki będą miały dzieci.

Widzę, że to działa na niego trzeźwiąco, każąc na chwilę zapomnieć o tym, kto mnie wynajął, i pomyśleć zamiast tego o niebie nad głową - i o tym, ile czasu może minąć, nim znów je zobaczy.

Patrzy na mnie lśniąco brązowymi oczyma.

- Co chcesz wiedzieć, facet? Powiem ci, ile mogę.

- Co masz na myśli, mówiąc, że go reprezentujesz? - Harry siedzi na jednym z krzeseł dla klientów po drugiej stronie mojego biurka, patrząc na mnie jak na wariata.

- Wczoraj po południu spotkałem się z nim w areszcie federalnym i powiedziałem mu, że zajmę się jego sprawą.

- Dlaczego? Dał ci zaliczkę?

- Musimy to dopiero uzgodnić. Obiła ci się kiedyś o uszy slangowa nazwa Mejicano Rosen? Jakiś narkotyk, czy coś takiego?

Harry kręci głową.

- Słyszałem o Maui Wowiee. O hawajskiej sensimilli. To to samo - wyjaśnia. - Daje kopa. Słyszałem też o czarnej smole, białej porcelanie, anielskim proszku, śnieżku, B.C, bud, baby-T...

- Co to jest baby-T?

- Inna nazwa cracku.

- Gdzie słyszałeś to wszystko?

- Niektórzy z nas mają kontakt ze światem - mówi mój wspólnik.

- Ale nigdy nie słyszałeś o Mejicano Rosen?

- Twój hiszpański jest do dupy - stwierdza Harry. - To brzmi jak

jakaś żydowska pralnia chemiczna w Tijuanie.

- Możesz coś dla mnie zrobić? Spróbowałbyś dowiedzieć się czegoś na ten temat?

- Gdzie?

- Nie wiem. Zaczynij od rozpytania się tam, gdzie mieszasz ten swój kontakt ze światem. Może przy czwartkowej partyjce z tym wicegliną i zastępcą prokuratora okręgowego.

- Tak, jasne. Pójdę tam i powiem: „Hej, chłopaki, mamy klienta, który przemyca jakieś prochy z Meksyku, i chcielibyśmy wiedzieć, ile to jest warte”.

- Spróbuj w bibliotece. Weź ze sobą Martę. Może znajdziesz coś w LexisNexis? Artykuł albo opis sprawy, w którym będzie o tym wzmianka.

- Zawracasz mi głowę. Dlaczego po prostu nie spytasz swojego klienta?

- Espinoza przekroczył już limit. Nie powie mi nic więcej, dopóki nie poczuje się straszliwie samotny w mamrze. Odniosłem wrażenie, że nie ufa mi za bardzo.

- To niepojęte. Tylko dlatego, że próbujesz potajemnie wydobyć z niego informacje na temat podwójnego morderstwa, w którym jedną z ofiar był twój przyjaciel?

- Zaraz, zaraz. Nie jestem nawet pewny, czy on pozwoli, żebym go reprezentował.

- Wspomniałeś mu może o Nicku? Powiedziałeś mu o całej tej krwi przed gmachem sądu albo o tym, że Metz, który zginął razem z Nickiem, podał ci jego nazwisko?

- Nie mieliśmy aż tyle czasu.

- Widzę, że byłeś zbyt zaaferowany słuchaniem.

- To praca prawnika - kwituję. - Wysłuchiwanie cudzych żalów.

- Aż dziw, że ktoś wpadł na pomysł, żeby nazwać adwokatów szczekaczami - zauważył Harry. - Więc kiedy zamierzasz zdradzić swojemu klientowi ten drobny szczegół, wyjaśnić mu, że masz nadzieję, że obraca się w tych samych kręgach co ludzie, którzy zabili Nicka, i że byłby w stanie polecić ci kogoś, kogo mógłbyś przekazać glinom?

- Spójrz na to w ten sposób. Mógłbym urządzić mu wspaniałą obronę przy apelacji. To więcej, niż może zaferować federalny obrońca z urzędu.

Powiem mu, kiedy będzie to konieczne.

- Och, świetnie - mówi Harry. - Może więc tylko zawieszę twoją licencję, zamiast pozbawić cię prawa do wykonywania zawodu. Jak możesz być pewny, że on sam nie przyłożył ręki do śmierci Nicka?

- Twój przyjaciel z biura prokuratora okręgowego powiedział, że był wtedy pod obserwacją FBI.

- Powiedział, że tak mu się wydaje. To różnica.

- Ale Espinoza przyznał, że zna ludzi, którzy wykręcili ten numer w Tijuanie, tych, którzy zatrzymali furgonetkę i ukradli wizy. Oczywiście on nie miał z tym nic wspólnego.

- Naturalnie.

- Poza tym podał mi imię. Samo imię.

- Co jeszcze ci powiedział?

- Parę szczegółów pozwalających znaleźć tego człowieka.

Na Harrym nie robi to wrażenia.

- To może być zwykły zbieg okoliczności. Espinoza twierdzi, że to był szpaner, utracjusz z Meksyku. Mówi, że facet zawsze miał przy sobie gruby zwitek banknotów i sprawiał wrażenie kogoś, kto dyktuje warunki. Miał na imię Jaime.

Harry zerka na mnie kątem oka.

- No i co?

- Tamtego ranka w biurze Metz powiedział mi, że jeden z braci Ibarrów miał na imię Jaime.

- Tak samo jak Jimmy Stewart - zauważa Harry. - Może powinni go ekshumować i sprawdzić, czy nie ma przy sobie wiz.

Ignoruję go.

- To rodzi pytanie, dlaczego ktoś taki miałby kimać w takiej wszalni jak mieszkanie Espinozy? Widziałem, jak tam wygląda. Espinoza mówi, że ten Jaime i paru przyjaciół zatrzymało się u niego na kilka dni. Próbowałem ustalić, kiedy to było. Powiedział, że nie pamięta dokładnie, ale na pewno latem zeszłego roku. Z całą pewnością po napadzie na furgonetkę z wizami w Tijuanie. Twierdzi, że ci faceci musieli zostawić u niego parę wiz. Oczywiście wtedy to wpadł we własne sidła.

Widzę po minie Harry'ego, że jest zaciekawiony, ale nie chce dać tego po sobie poznać.

- Zaplątał się w zeznaniach i wymknęło mu się, że kilka wiz miało posłużyć do przemycenia czegoś przez granicę. Tego, co nazywał Mejicano Rosen.

Harry duma nad tym chwilę.

- Wzięłeś pod uwagę fakt, że ten facet zajmuje się żywym towarem? To pośrednik pracy działający na granicy z Meksykiem. Może Rosen to człowiek? Przemysł innego rodzaju - mówi. - Poza tym dlaczego właściwie sądzisz, że to prawda? Głowę daję, że to on strzelał do Nicka.

- Nie. Tego nie zrobił.

- Skąd wiesz?

- Bo nie było go wtedy tutaj. Był w Meksyku.

Harry gapi się na mnie.

- Sara chodzi do szkoły z chłopcem, którego ojciec pracuje w jednym z granicznych posterunków kontrolnych Urzędu Imigracyjnego. Poznaliśmy się rok temu na meczu koszykówki. Zadzwoiłem do niego pod koniec zeszłego tygodnia i powiedziałem mu, że mam klienta i muszę wiedzieć, czy w określonym czasie był w kraju czy też nie. Odpowiedział, że nie ma sposobu, żeby to sprawdzić, bo zwykle nie spisują numerów paszportów. Powiedziałem mu, że w tym przypadku mogli to zrobić, więc niech mimo wszystko zerknie. Zerknął. Espinoza przekroczył granicę w Tijuanie na cztery dni przed zabójstwem Nicka, używając własnego paszportu, nie wize. Wrócił dopiero pięć dni później.

- Skąd oni o tym wiedzą? - pyta Harry.

- Uznałem, że jeśli informacja od twojego przyjaciela jest prawdziwa i FBI miało Espinozę na oku, prawdopodobnie umieściło jego nazwisko na czarnej liście na granicy. Tak było.

Nigdy nie zdecydowałbym się reprezentować Espinozy, gdybym nie mógł uzyskać pewności, że nie brał udziału w zabójstwie Nicka. To byłoby już zbyt śmierzące. I tak poruszam się na granicy prawa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Mam dwie wiadomości: jedną dobrą, drugą złą. - Adam Tolt patrzy na Harry'ego i na mnie spoza rozległej połąci swego biurka.

Zadzwoił wczoraj późnym popołudniem i prosił, żebym spotkał się z nim dziś rano. Twierdził, że sprawa jest ważna, ale nie nadaje się do omawiania przez telefon.

Harry nie spuszcza mnie z oka, jeśli tylko coś ma związek ze śmiercią Nicka lub z Daną. Wciąż nie może przeboleć, że postanowiłem reprezentować Espinozę.

- Może zacznie pan od tej dobrej - mówi.

- Nasi przyjaciele z Devon Insurance przygotowują ofertę wypłaty. Jeśli wierzyć sygnałom, jakie stamtąd docierają, ma być dość hojna.

- Jak hojna? - pyta Harry.

- Trzy i osiem dziesiątych miliona.

- To nie są cztery - zauważa Harry.

- Nie oczekiwał pan chyba, że zapłacą pełną sumę? - mówi Tolt. - Proszę mi wierzyć, wysuwają tę propozycję wbrew radom swoich prawników. Odrzućcie ją, a ustawią wozy w krąg i zaczną podważać zasadność rozszczenia do podwojonej wysokości świadczenia.

- A kto ma ustąpić? - pyta Harry. - Wszyscy wiemy, jak wygląda sprawa z Margaret. Jeśli jej pan powie, żeby zadowolili się mniejszą kwotą, niech pan lepiej czym prędzej zmyka, bo zacznie się tłuc o ściany jak kauczukowa piłeczka. Całą ugodę diabli wezmą.

- Zgadza się - mówi Adam. - Wygląda na to, że to wasza klientka będzie musiała spuścić z tonu. Przekonałem towarzystwo ubezpieczeniowe, żeby zrezygnowało z wymogu poufności wypłaconych kwot.

Tolt chce przez to powiedzieć, że będziemy mieli prawo opublikować warunki ugody.

- Dlaczego mieliby się na to zgodzić?

- Z początku nie zgadzali się, ale wyjaśniłem im, że dzięki temu ich oferta mogłaby być łatwiejsza do przełknięcia. Oczywiście nie musielibyscie jej ujawniać, ale moglibyscie, gdybyście mieli ochotę się pochwalić.

Wysokość wypłat to szczegół, którego większość towarzystw ubezpieczeniowych nigdy chętnie nie zdradza. Znajomość takich danych dodawałaby tupetu innym adwokatom, zwłaszcza jeśli cyfr jest więcej niż sześć.

- Zastanówcie się dobrze, czy taka suma jest warta szarpania się po sądach przez następne dziesięć lat - dodaje Adam. - Dwieście tysięcy dolarów.

- Może powinien pan zapytać o to Margaret, kiedy przestanie toczyć pianę z ust - stwierdza Harry.

- Nie słyszał pan jeszcze złej wiadomości - mówi Tolt. Otwiera leżącą przed nim kartonową teczkę. W środku jest kilka kartek i złożony wydruk arkusza kalkulacyjnego. - Jest problem. Nie z wypłatą ubezpieczenia. Chodzi o coś innego. Po śmierci Nicka firma przeprowadziła kontrolę ksiąg. To rutynowa czynność po odejściu któregośkolwiek ze współników.

Brzmi to tak, jak gdyby Nick złożył wypowiedzenie.

- Analizujemy sprawy, które prowadził, żeby zobaczyć, jakie zobowiązania ma firma, jak wyglądają fundusze powiernicze jego klientów. Tego typu historie.

Harry i ja siedzimy i słuchamy.

Adam zasłania usta dłonią zwiniętą w pięść i odchrząkuje lekko.

- Problem w tym, że wykryliśmy manko w funduszach powierniczych klientów Nicka.

Jest to wiadomość z gatunku tych, które potrafią zmrozić krew w żyłach każdego prawnika.

- Chodzi o jakiś drobny błąd rachunkowy? - pytam.

- Obawiam się, że nie. Niedobór wynosi nieco ponad pięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów.

- Chce pan powiedzieć, że Nick defraudował środki z kont powierniczych klientów?

- Niezupełnie - mówi Tolt. - Wszystkie czeki zostały wystawione w ostatnich sześćdziesięciu dniach.

- Nie rozumiem.

- Czeki wystawiono po śmierci Nicka - wyjaśnia. - Wygląda na to, że ktoś uzyskał dostęp do czystych blankietów i wpisał na nich jego nazwisko. Zostały wystawione na określone kwoty na różne osoby i złożone w kilku bankach w mieście. Sprawdziliśmy te konta. Fundusze pobrano, a konta zlikwidowano w ciągu paru dni od złożenia depozytu. Wydaje się, że

ktokolwiek to zrobił, starannie wszystko sobie przemyślał. Z powodu bankowych przepisów o ochronie danych nie możemy uzyskać numerów ubezpieczenia osób, które dokonały wypłat, chociaż gdybyśmy mieli nakaz sądowy, prawdopodobnie udostępniono by je nam. Podejrzewam, że ten, kto to zrobił, użył danych fikcyjnych pracowników albo zmyślił numery ubezpieczenia. Oczywiście nie mogę być pewien, dopóki nie zbadamy sprawy dokładniej. Ale mamy niektóre z wykorzystanych czeków. Zostały złożone do depozytu, więc żaden nie był indosowany, lecz podpis wystawcy nie jest podpisem Nicka. Tyle wiemy. Nie zgłosiliśmy tego jeszcze na policję.

- Ale zadał pan sobie trud, żeby powiedzieć o tym nam - mówię.

- Zważywszy na okoliczności, uznałem, że tak będzie najlepiej.

- Dlaczego?

- Firma nie jest zainteresowana skandalem, jeśli dałoby się tego uniknąć. Wygląda na to, że nieco ponad tydzień po strzelaninie pańska klientka zabrała z gabinetu Nicka część jego rzeczy osobistych.

- Dana?

Kiwa głową.

- Jak twierdzi jedna z naszych sekretarek, przed wizytą pani Rush ceki rachunków powierniczych znajdowały się w szufladzie biurka Nicka. Nie było ich tam, kiedy żona wyszła.

- Oto uważna sekretarka, co się zowie - stwierdza Harry. - Skąd mogła to wiedzieć?

- Normalnie nie wiedziałyby - przyznaje Tolt - ale właśnie tamtego ranka policja usunęła żółtą taśmę z drzwi gabinetu Nicka. To tylko domysły, ale podejrzewam, że pani Rush zadzwoniła do nich, żeby się dowiedzieć, kiedy będzie mogła zabrać osobiste rzeczy męża. Sekretarka, o której mowa, na życzenie firmy przejrzała wszystko, co było w gabinecie, żeby móc spakować to i przekazać innym pracownikom akta klientów Nicka.

- Rozumiem.

Dana zapędziła się w ślepią uliczkę.

- To niezręczna sytuacja - ciągnie Tolt. - Prędzej czy później będziemy musieli zgłosić tę rozbieżność w palestrze stanowej. Byłoby dobrze, gdybyśmy wcześniej odzyskali te pieniądze.

Harry i ja wymieniamy spojrzenia. Żaden z nas nie odzywa się słowem.

- Osoby prywatne nie podlegają kompetencji palestry, a firma nie miałaby powodu wnosić powództwa, gdyby pieniądze wróciły do nas. Wolelibyśmy nie angażować w to organów ścigania, jeśli nie byłoby to konieczne. Proszę zrozumieć, że nie chciałbym skrzywdzić nikogo ponad potrzebę.

Sposób, w jaki to mówi, i przekonanie w jego głosie każą mi wierzyć w szczerść tych słów. Jeśli ta informacja jest prawdziwa, już i tak posunął się dalej, niż powinien, by chronić Danę, przez co wziął na siebie pewne ryzyko.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - pytam.

- Niech pan z nią porozmawia.

- Wiedział pan o tym, kiedy rozmawialiśmy z ubezpieczycielem?

- Gdybym wiedział, nie wziąłbym w tym udziału - odpowiada.

- Ale zdaje pan sobie sprawę, że ubezpieczenie jest prawdopodobnie jedynym źródłem, z którego pani Rush mogłaby zwrócić te pieniądze? - pytam.

- Wziąłem to pod uwagę. Nie chciałbym jej przymuszać do warunków, które uważa pan za krzywdzące. Ale musi pan zrozumieć również nasze położenie. Gdyby towarzystwo ubezpieczeniowe zwietrzyło tę sprawę, bez wątpienia wycofałoby swoją ofertę.

Tolt ma rację. Zaciągnęliby Danę do sądu i tam spróbowali szczęścia, wiedząc, że prędzej czy później do akcji muszą wkroczyć gliny. Wniesiono by przeciwko niej akt oskarżenia.

- Dostrzega pan problem? - pyta Adam.

Jedyną odpowiedzią z mojej strony jest zboląła mina. To jedna z tych chwil, kiedy słowa mogą tylko pogorszyć sprawę.

- Do tego dochodzi jeszcze jeden, końcowy aspekt - dodaje.

- Co takiego? - pyta Harry, jak gdyby sytuacja nie mogła już wyglądać gorzej.

- Wolałbym o tym nie wspominać. Nie wierzę w to ani odrobinę - mówi Tolt. - Ale jeśli trzeba będzie powiedzieć o tym policji, zważywszy na ich naturalną podejrzliwość, otwarte śledztwo, niewyjaśnione podwójne morderstwo... cóż... - Przekrzywia głowę i wzrusza ramieniem.

- Mogliby zacząć się zastanawiać, czy kobieta tak rozpaczliwie potrzebująca pieniędzy nie mogła wynająć kogoś, by zamordował jej męża, licząc na wypłatę z jego polisy ubezpieczeniowej. O to chodzi? - odgaduję jego myśl.

- Jak powiedziałem, nie wierzę w to ani odrobinę.

Niemniej to zupełnie zmienia postać rzeczy. Wygląda na to, że Dana będzie musiała zadowolić się mniejszą sumą bez względu na to, czy jej się to podoba czy nie. Jeśli to, co mówi mi Tolt, jest prawdą, nie bardzo mam ochotę kłaść głowę pod topór, żeby zmuszać towarzystwo ubezpieczeniowe do większych ustępstw, nawet gdybym był w stanie to zrobić.

- Prosiłbym, żeby porozmawiał pan ze swoją klientką i zobaczył, co da się zdziałać. I żeby zrobił to pan możliwie najszybciej. Oczywiście prześlę panu do wglądu wyciągi z funduszy powierniczych.

Zgadzam się porozmawiać z Daną, nie obiecując nic ponadto. Nie mam zbyt wielkiego wyboru.

- Dobrze. Więc to mamy już załatwione. - Adam wzdycha z ulgą. Niemal widać, jak napięcie unosi się z niego niczym fale gorąca. - Nie było to miłe zadanie - stwierdza - ale musiałem rozegrać partię takimi kartami, jakie mi przypadły. Mam nadzieję, że pan to rozumie?

- Oczywiście.

- Cieszę się. Czy dotarły do panów jakieś nowe doniesienia na temat śmierci Nicka? Gliny bez przerwy kręcą się po firmie - mówi. - Zadają pytania, ale sami nie odpowiadają na żadne.

- Są z tego znani - stwierdzam. - Czytamy gazety. To wszystko.

Nie wspominam mu o Espinozie. Na razie lepiej, żeby te szczegóły pozostały między Harrym a mną.

- Czyli tak jak ja. - Kręci głową, zdejmuje okulary i rozpiera się

wygodnie w fotelu. - Wiecie, nie mogę pojąć jednego. Dlaczego ktoś taki jak Nick zadawał się z kimś takim jak Metz?

Nie chodzi mu o relację na linii adwokat-klient, lecz o ich spółkę, Jamaile Enterprises.

Po negocjacjach w sprawie ubezpieczenia Adam powiedział mi, że policja prowadziła śledztwo wśród wspólników i pracowników RDD. Napomknęła o spółce. Według Tolta, który zdążył od tamtej pory przewrócić do góry nogami całą firmę, stanowi to zagadkę dla wszystkich.

- Zastanawiałem się nad tym samym. Niech mi pan powie, jeśli można, czy gliniarze wspomnieli kiedykolwiek nazwisko Grace Gimble?

Patrzy na mnie, potem na Harry'ego, zastanawia się chwilę, po czym wolno kręci głową.

- Nie. Nic o tym nie wiem. Dlaczego? Kto to?

- Nie mam pojęcia. Natknąłem się na jej nazwisko w aktach spółki. Jest wymieniona wśród członków dyrekcji.

- To pewnie jakaś sekretarka, która była pod ręką, gdy składali wszystko do kupy. Kiedy zarejestrowali tę spółkę?

- Nieco ponad rok temu.

Oblicza w myślach.

- Nick pracował u nas przeszło trzy lata - stwierdza.

- Dlatego pomyślałem, że może pan znać to nazwisko.

- Nie sądzę, żeby taka osoba pracowała dla nas w tej chwili, ale mogę kazać komuś zajrzeć do akt osobowych. Zakładając, że mamy tu akta z tego okresu. - Notuje to sobie na kartce z bloczka, po czym odkłada na nią pióro.

- Tak więc mamy dwa punkty zaczepienia: firmę Nicka i jego żonę Danę, która pracowała z Metzem w komisji do spraw kultury.

- W tej sprawie jest jeszcze jeden aspekt - dodaję. - Zanim przeciwko Metzowi wniesiono akt oskarżenia, Nick próbował skierować go do mnie. Tłumaczył, że RDD ma konflikt interesów z Metzem, więc sam nie może się tym zająć. Chodziło o jakąś sprawę, w której RDD reprezentowała stronę przeciwną.

- Mogę to sprawdzić. Ale jeśli istotnie był konflikt interesów, jak Nick obszedł go, kiedy Metza postawiono w stan oskarżenia? - pyta Tolt.

- Powiedział mi, że wyjaśnił to Metzowi i, jak zakładam, tamtemu klientowi również, i obaj wyrazili zgodę.

- Mam wrażenie, że facet kręcił się koło Nicka jak cień - zauważa Tolt.

- Nie wiemy, dlaczego ani jak zostali partnerami w interesach. Czy ktoś wie, jak Metz dostał się do komisji?

- Mianował go Zane Tresler - mówi Harry.

Patrzę na współnika, zaskoczony źródłem tej informacji i gotowością, z jaką z niego wytryska.

- Cóż, ty uganiałeś się za własnym ogonem, więc pomyślałem, że sam to sprawdzę - dodaje. - On mianował też twojego kumpla Fittipaldiego.

- Kto to taki? - pyta Tolt.

- Przyjaciół Dany - wyjaśniam.

- Kadencja Dany kończy się za trzy lata, chyba że zostanie mianowana ponownie. Fittipaldi ma jeszcze rok - ciągnie Harry. - Metzowi zostały dwa lata, kiedy go skasowano. Coś jeszcze mam ci powiedzieć? To ten Tresler od muzeum, które mają budować w śródmieściu. Słyszałeś o tym? - rzuca na dokładkę.

Gazety pisały o tej sprawie dwa albo trzy razy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Chodzi o planowaną na przyszły rok budowę muzeum i galerii sztuki za trzydzieści milionów dolarów, które mają stanąć gdzieś tuż nad oceanem.

- Ścisłej mówiąc, muzeum ma być nazwane na cześć jego ojca, Zane'a seniora. - Tolt pochyla się naprzód, opierając łokcie na biurku i z uśmiechem przysłuchując się naszej słownej szermierce. - Sfinansowane zostanie z funduszy publicznych, głównie dotacji federalnych, oraz w pokaźnej części ze środków Fundacji Rodziny Treslerów. Staruszek zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych. Został po nim syn, wnuk i, jak słyszałem, prawnuczek.

- Który z nich jest w radzie?

- Zane junior, syn. Zasiada w radzie już chyba od dwudziestu lat. Odkąd sięgam pamięcią. Jest przewodniczącym jej komisji sądowej. Tyle wiem. Sędziowie muszą płaszczyć się przed nim co roku, jeśli chcą mieć ogrzewanie zimą i klimatyzację latem. To on zatwierdza im fundusze na personel, biurka, długopisy, spinacze. Ma więcej wpływów w lokalnych

sądach niż sąd apelacyjny. Chętnie wprowadziłbym go do firmy jako wspólnika. Nie musiałyby nawet przychodzić do biura - oznajmia - ale niestety nie jest prawnikiem. - Mówi to takim tonem, jakby chodziło jedynie o drobny mankament.

- Co on robi poza funkcjami w radzie? - pytam.

- Niewiele. Rodzinne interesy prowadzi obecnie wnuk. Mitchell Tresler. Ma trzydzieści parę lat. Nie jest tak bystry jak ojciec. Myślę, że geny rozwodniły się trochę - stwierdza. - Mówiono mi, że gdzieś tam rośnie już czwarty. Musi chyba być teraz w szkole średniej. Gdybym miał śliczną małą wnuczkę, posłałbym ją do tej szkoły i kazał jej zaprzyjaźnić się z nim. Chłopak będzie kiedyś bogaty.

- Skąd się wzięła rodzinna fortuna?

- Głównie z działalności deweloperskiej - wyjaśnia Tolt. - Prowadzą wielkie inwestycje: centra handlowe, duże osiedla. Poza tym przekazują spore sumy na cele charytatywne.

- Rodzina zaczęła się zajmować nieruchomościami jeszcze w początkach zeszłego stulecia. Większość to dzieło Zane'a Pierwszego. Nie miałem okazji poznać tego człowieka, ale z tego, co słyszałem, lepiej było nie stać mu na drodze w czasie masowego wykupu ziemi. Można było zostać stratowanym żywcem. Do tego miał doskonałe koneksje. Przyjaźnił się z Williamem Mulhollandem, inżynierem, który zbudował Owens Aqueduct. Tak czy inaczej, rodzina ostatecznie nabyła spory szmat wschodniej części hrabstwa. To było w czasach, kiedy nie istniało tam nic poza bylicami i stadami zajęcy. Treslerowie kupili to za bezcen. A potem wszedł w życie projekt wodny, budowa sztucznej odnogi Kolorado. Nagle okazało się, że stary siedzi na górze złota.

- Zabawne bywają kaprysy fortuny - stwierdza Harry.

- Prawda? - mówi Tolt. - Reszta jest już wiadoma. Zane junior dorastał razem z hrabstwem, a teraz nim zarządza. W tym roku przypada na niego kolej przewodniczenia radzie. Jest też szefem regionalnej komisji zintegrowanych władz.

- Co to takiego? - pytam.

- Władze miasta i hrabstwa oraz zarząd portu podpisały kilka lat temu umowę o integracji. Utworzyły specjalną regionalną jednostkę zarządzającą terenami nadbrzeżnymi i większością komercyjnych nieruchomości w śródmieściu. Mają ostatnie słowo, jeśli chodzi o inwestycje na tym obszarze. Tresler jest przewodniczącym. To daje mu potężne wpływy. Dostaje wszystko, czego zapragnie.

- To trochę ryzykowne, nie sądzi pan? - zauważa Harry. - Mam na myśli zasiadanie w ciele rządzącym, które decyduje o przeznaczeniu terenów hrabstwa, kiedy jego rodzinna firma zajmuje się deweloperstwem.

- Tresler to ostrożny człowiek - stwierdza Adam.

- A kto jest mądry, o nic nie pyta, prawda? - dodaje Harry.

- Tak, jeśli chce liczyć na jego głos w jakiegokolwiek istotnej sprawie - potwierdza Tolt. - I mówiąc szczerze, przyznacie chyba, że trudno byłoby zarzucić mu interesowność. Nikt nie jest w stanie zaoferować mu czegoś, czego by już nie miał: pieniądze, władza, cokolwiek wymienicie, Zane Tresler to ma. Nazywają to polityką, a jak już mówiłem, Zane to ostrożny człowiek.

Choć może się to wydawać dziwne, najsilniejsza władza jest w tym stanie na poziomie lokalnym. Tu sprawy takie, jak umowy na wywóz śmieci, planowanie przestrzenne czy zezwolenia na odstępstwo od ograniczeń zabudowy, mogą z dnia na dzień uczynić człowieka milionerem albo żebrakiem.

Niektórzy zarządcy hrabstwa poczynają sobie niczym panowie feudalni. Nie podlegają ograniczeniom liczby kadencji i nie budzą zbyt wielkiego zainteresowania mediów, które zajmują się jedynie czołowymi nazwiskami z Waszyngtonu i stolicy stanu. Zarządcy największych hrabstw tego stanu mają elektoraty liczniejsze niż niejedyn kongresman. Sprawują pieczę nad terenami rozleglejszymi niż hiszpańskie latyfundia. I wzorem kolonialnych donów z wczesnych dziejów Kalifornii niektórzy z nich chętnie sięgają po władzę absolutną.

W stanie, w którym wielu obywateli nie czyta, nie pisze ani nie mówi po angielsku, w którym głoszący żyją z dnia na dzień jak niewolnicy, płacąc

podatki i nie zadając pytań, dobrze naoliwiona machina może się utrzymać u władzy dziesiątki lat samą siłą rozpędu. Jeśli chcecie, aby ulice były pozamiatane, kanały drożne, a drzwi do przychodni otwarte, lepiej zrózcie hołd lenny waszemu lokalnemu zarządcy. W niektórych wzorowych społecznościach lokalnych osiągnęło to poziom stalinowskiego państwa utopijnego. Tu nie ma już znaczenia, kto głośuje. Ważne jest tylko to, kto liczy głosy. Oto stary poczciwy zamordyzm kwitnący w słonecznej południowej Kalifornii.

- Tak więc nasz Tresler okazuje się nicią wiążącą Danę, Metza i Fittipaldiego. Ich biletem do komisji do spraw kultury. Co z tego wynika? - duma Harry.

- Prawdopodobnie nic - mówi Tolt.

- Nie sądzi pan, że Tresler został przez kogoś przekupiony? - pyta Harry.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałbym, że być może - stwierdza Adam. - Ale Tresler nie potrzebuje tej forsy.

- Diabeł ma monopol na grzech, a mimo to wciąż chce więcej - zauważa Harry. Mój współnik twardo wierzy w mroczną stronę człowieka.

- Zależy mu na władzy, to prawda. Co do łapówek... możecie sprawdzić, ale przypuszczam, że będzie to tylko strata czasu. Faktem jest, że musiał kogoś mianować. Dlaczego nie ludzi, którzy wspomogli finansowo jego kampanię? Wstyd przyznać, ale sam też złożyłem datek na ten cel - mówi. - I nie tylko ja.

Nie zaskakuje to ani Harry'ego, ani mnie.

- Trudno jest ciągnąć sanie bez smarowania płóz - dodaje Tolt. - Wszyscy udajemy, że nie chodzi o żadną presję, po prostu korzystamy z naszych praw wynikających z pierwszej poprawki. Jednak bywają chwile, kiedy większość z nas wolałaby nie brać w tym udziału.

- Może warto byłoby zobaczyć, kto jeszcze przekazał mu fundusze? - mówię.

Tolt rzuca mi pytające spojrzenie.

- Sprawdzić Nicka, Danę, Metza, naszego przyjaciela Nathana Fittipaldiego. Powinny istnieć gdzieś jawne dane na ten temat.

- Obawiam się, że nie wyczyta pan tam nic poza tym, co już i tak pan wie. Na liście Treslera są przypuszczalnie wszystkie liczące się nazwiska - stwierdza Adam.

- Mimo wszystko rzucimy okiem.

Wyczytałem tam jedno: czy Dana złożyła datek we własnym imieniu. Powiedziała mi, że nie zna Treslera. Chcę się przekonać, czy mówiła prawdę.

Harry robi notatkę na odwrocie jednej z wizytówek Adama, którą wyciągnął z pojemnika na jego biurku.

- Jedno jest dla mnie niepojęte - mówi Tolt. - Dlaczego Nick miałby robić interesy z Metzem?

Kręcę głową.

- Nie wiem. Ale wszystko wskazuje na to, że Metz koniecznie chciał wykorzystać go jako prawnika.

Na czole Adama pojawia się parę nowych zmarszczek.

- To właśnie w tym wszystkim martwi mnie najbardziej. Ma związek z firmą, a to mi się nie podoba. Wydaje mi się, że miałoby to sens tylko wtedy, gdyby ta spółka, Jamaile, cokolwiek to było, miała służyć jako kanał przerzutu narkotyków. W takim przypadku usługi Nicka byłyby jej głównym kapitałem.

Patrzy na mnie, jakby chciał się przekonać, czy mam jakąś inną teorię. Nie mam.

- Lubię wyobrazić sobie, że Nick zrejterował - ciągnie. - Że przemyślał sprawę i albo postanowił nie mieszać się w to, albo jeśli się zaangażował, lepsze aspekty jego natury wzięły górę i chciał się wycofać.

- Może to dlatego go zabili? - wtrąca Harry.

- To był wypadek, zapomniał pan? - mówi Tolt.

- Ach, tak. Racja - stwierdza Harry.

Milczymy, próbując zrozumieć, co zdarzyło się w życiu Nicka. Ciszę przerywa jedynie tykanie starego zegara ściennego.

- Coś mi przyszło do głowy - odzywa się w zamyśleniu Adam; dłonie ma złożone w daszek i palcami wskazującymi dotyka dolnej wargi, gdy jego mózg zmagają się z zawilościami ludzkiego losu. - To oczywiście jedynie teoria - dodaje. - Niewskazane byłoby rozprawiać o tym, zwłaszcza teraz, gdy rozstrzyga się sprawa ubezpieczenia i śmierci wskutek nieszczęśliwego

wypadku. - Patrzy na Harry'ego i na mnie, pytając, czy zgodzimy się zachować milczenie.

- Czym są wszystkie prawnicze teorie, jeśli nie domysłami? - mówię.

- To prawda. Ale rozważmy coś przez chwilę. Co, jeśli Metz próbował wciągnąć Danę, założmy na razie, że bez jej wiedzy, w jakąś niezgodną z prawem działalność?

- W jakim celu? - pyta Harry.

- Żeby móc potem szantażować Nicka.

- Ona twierdzi, że nie знаła Metza aż tak dobrze. Rozmawiali tylko kilka razy - mówię mu.

- Tak. Ale to tłumaczyłoby, dlaczego Nick usiłował wcisnąć Metza panu, czyż nie? - stwierdza. - Żeby zachować pewien dystans wobec tego człowieka, a równocześnie chronić żonę.

Adam najwyraźniej dobrze orientuje się w motywacjach ludzkich działań.

- Proszę mówić dalej.

- Jeśli Nick i Metz nie dogadali się - ciągnie Tolt - Nick mógł zagrozić, że doniesie o wszystkim. Jeśli tak właśnie było, mógł stać się dla nich bardzo realnym zagrożeniem. Dla ludzi, którzy go zabili.

- Ma pan na myśli ludzi z drugiego końca powiązań narkotykowych? - dopowiada Harry.

Tolt kiwa głową.

- Nie mogę uwierzyć, żeby Nick dał się wciągnąć w narkotyki - mówię im.

- Ja też nie jestem zachwycony myślą, że jeden z moich wspólników mógł robić coś takiego - stwierdza Adam - ale natura ludzka jest ułomna i zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Poza tym musi pan przyznać, że wszystko wskazuje na to, iż państwo Rush mieli kłopoty finansowe. - Zerka na leżący przed nim wyciąg z konta powierniczego klientów Nicka.

To jedno z pytań, na które nie ma odpowiedzi. Gdzie się podziały wszystkie pieniądze, które Nick zarobił na przestrzeni lat? Bez analizy jego konta, zrealizowanych czeków, wyciągów z kart kredytowych nigdy się tego nie dowiemy.

Tolt wyrwa się z zadumy. Prostuje się w fotelu.

- Jakkolwiek było, w tej chwili nic nam nie dadzą jałowe spekulacje na temat niezających. Zwłaszcza kiedy pewne towarzystwo ubezpieczeniowe gotowe jest zanurzyć pióro w kałamarzu i złożyć podpis na czeku.
- Słuszna uwaga - przyznaje Harry.
- Co zrobimy w tej drugiej sprawie? - pyta Tolt. Ma na myśli sfalszowane чеki z konta powierniczego.
- Porozmawiam z Daną.
- Doskonale. Proszę tylko, żeby to nie trwało zbyt długo.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zjeżdżam z mostu Coronado na 1-5 i pędzę środkowym pasem na południe, mijając Logan Heights. Koło lotniska porzucam autostradę, kierując się na wschód. W lusterku widzę potężne lampy sodowe stoczni marynarki wojennej rozświetlające upiornym, pomarańczowym blaskiem wiszącą nad zatoką ciężką pokrywą chmur.

Jest niemal dziewiąta wieczorem. W środku tygodnia ruch o tej porze jest niewielki. Na przedniej szybie mojego samochodu osiada warstewka pary.

Ulice są puste, jeśli nie liczyć kilku snujących się bez celu dusz. O tej godzinie czynne są jedynie sklepy z alkoholem i kilka knajp.

Mija dwadzieścia minut, nim udaje mi się znaleźć ulicę, którą Espinoza wspomniał podczas naszej ostatniej rozmowy w federalnym areszcie śledczym. Mam potwierdzenie, że przynajmniej tyle ze wszystkiego, co mi mówił, jest prawdą.

Okolica roztacza ową specyficzną, wyczuwalną przez szósty zmysł aurę, która przenika do szpiku kości i sprawia, że włos jeży mi się na karku. Nie jest to miejsce, gdzie chciałbym spacerować w nocy z psem, chyba że takim, który ma ostre zęby, lubi czerwone mięso i potrafi biec szybciej niż kula.

Dostrzegam światła na najbliższym rogu, więc zwalnim. Gdy podjeżdżam bliżej, widzę grupkę nastolatków.

Jeden z nich, ubrany w ciemną bluzę z kapturem, nachyla się do okna samochodu stojącego na środku skrzyżowania. Wóz kołysze się w rytm płynącej z głośników salsy, której basy wprawiają w wibracje korzenie moich zębów.

Dzieciak w bluzie i jego dwaj kumple gapią się na mnie, kiedy ich mijam. Może jestem klientem, a może tajniakiem. Tracą zainteresowanie, kiedy odjeżdżam w głąb ulicy.

Jadę wolno, wypatrując numerów bram. Mżawka i brak latarni unie możliwiają to. Zerkam na świstek leżący obok mnie na konsoli, zapiski, jakie zrobiłem po spotkaniu z Espinozą w areszcie. To jest to miejsce. Espinoza był małomówny, ale udzielił mi pewnych informacji.

Jak twierdził, facet imieniem Jaime miał też inną metę na czas pobytów w mieście. Spotykał się tam z kimś i dwa razy zdarzyło się, że nie wrócił na noc. Espinoza powiedział mi, że zawiózł go tam kiedyś, tuż przed jego powrotem do Meksyku. Wysadził go przed domem numer 406 albo 408, nie pamięta. Dodał jednak, że widział człowieka, z którym spotkał się Jaime. Facet był wysokim, chudym Latynosem, miał niechlujną ciemną brodę, czarne włosy i nosił brudny, szary filcowy kapelusz. Espinoza przyglądał się chwilę, jak Jaime i ten mężczyzna rozmawiają przed domem, po czym obaj weszli do środka, a on odjechał. Pamięta jeszcze tylko starego chevroleta blazera zaparkowanego pod boczną ścianą budynku. Zapamiętał go, bo okno z tyłu było rozbite i ktoś zakrył je wielką płachtą czarnej folii wetkniętą dookoła pod uszczelkę.

Mijam rozrzucone na chodniku zabawki. Nad frontowymi drzwiami jednego z domów w pobliżu skrzyżowania widzę coś, co wygląda jak przybite do framugi trzy zardzewiałe cyfry. Mrużę oczy, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Wydaje mi się, że to 486.

Jadę dalej. Tym razem skręcam na rogu, przejeżdżam kawalek przecznicą i parkuję przy krawężniku, wyłączając światła.

W domu zrzuciłem garnitur i krawat. Przebrałem się w starą parę dżinsów, granatową koszulkę i spłowiła dżinsową kurtkę, które wkładam do pracy w ogródku. Na nogach mam buty do biegania.

Wysiadam z samochodu, zamykam drzwi i zerkam na zegarek. Dochodzi dziewiąta trzydzieści.

Chwilę później jestem z powrotem na rogu i zmierzam w głąb ulicy. Zatrzymuję się dwie bramy dalej, przy domu, gdzie wypatrzyłem numer nad drzwiami. Mżawka zmieniła się w lekką mgłę, tak że w ciemnościach nie widać już padających kropli, wciąż jednak czuję na czole i karku ukłucia igiełek wilgoci. Podnoszę kołnierz kurtki i ruszam dalej. Teraz, gdy idę chodnikiem, a więc bliżej budynków, nie mam żadnych kłopotów z odczytaniem numeru. Zbliżając się do podstawy schodów, widzę wyraźnie błaszane cyfry 486 nad frontowymi drzwiami. Parzyste numery są po tej stronie ulicy. Jeśli Espinoza nie wpuścił mnie w maliny, dom, którego szukam, znajduje się właśnie po niej.

Słyszę gorący rytm salsy i widzę czerwone tylne światła samochodu, który w dalszym ciągu stoi na skrzyżowaniu półtorej przecznicy dalej. Idę szybkim krokiem. Dochodzę właśnie do rogu, gdy nagle od mokrej jezdni na środku ulicy odbija się struga światła, blask reflektorów nadjeżdżającego z tyłu pojazdu. Wóz zbliża się szybko. Przeskakuję wilgotny trawnik przed jednym z domów i kucam pod frontowymi schodami. Nie mam ochoty zostać oświetlony od tyłu na użytek koleśków przy samochodzie, od których dzieli mnie już tylko kilkadziesiąt metrów.

Biorę głęboki wdech i pozostaję jeszcze chwilę pod schodami, by zorientować się w sytuacji. Przed opuszczeniem kryjówki oglądam się za siebie. Na drzwiach mieszkania na parterze widnieje wyblakły, wymalowany od szablonu numer 406A. Gdzieś ze środka dobiega stłumiony odgłos telewizora, albo z piętra, albo zza drzwi za moimi plecami.

Wracam na chodnik i zerkam w stronę samochodu z miłośnikami salsy, który wciąż stoi na następnym skrzyżowaniu. Dołączył do nich kolejny pojazd, zatrzymując się za pierwszym. Chłopcy na ulicy podzielili siły, załatwiając interesy przez otwarte okna obu aut.

Jeszcze raz spoglądam na budynek. Przed frontem rośnie spory krzak, przesłaniając częściowo jedno z okien parteru, przez które widać migotliwy, błękitny blask telewizora odbity od zaciągniętej żaluzji.

Przeglądam się domowi po lewej stronie i widzę, że tam również pod

frontowymi schodami znajduje się mieszkanie. Od chodnika biegną dwa pasy betonu, każdy odrobinę szerszy od opony samochodowej, urywające się pod ścianą budynku. Przedziela je pas żwiru i mokrej, ubitej ziemi z lekkim tęczowym połyskiem oleju silnikowego unoszącego się na powierzchni kałuż. Podjazd ten kończy się ślepo przed czymś, co niegdyś było garażem, a teraz stanowi zewnętrzną ścianę mieszkania na parterze.

Przekraczam pasy betonu, przecinam trawnik i sprawdzam drzwi pod schodami. Mają numer 408A.

Wracam na chodnik i raz jeszcze oglądam budynek numer 406. Tam nie ma podjazdu. Długie źdźbła trawy po obu stronach schodów sterczą w górę niczym kolce. Nie jestem ogrodnikiem, ale nie trzeba eksperta, by stwierdzić, że to zielsko nie było nigdy miażdżone kołami ciężkiego pojazdu. Nie ma też uskoku w krawężniku, który umożliwiłaby wjechanie z jezdni na chodnik.

Jeśli Espinoza mówił prawdę, a pamięć nie myliła go co do blazera z rozbity tylną szybą i miejsca, gdzie stał, idę o zakład, że adres brodacza w filcowym kapeluszu to 408.

Rozglądam się ponownie. W mieszkaniu na dole jest ciemno, przynajmniej w tej części, którą widzę przez małe boczne okienko. Wycofuję się na chodnik i znowu rzucam okiem na skrzyżowanie po prawej stronie. W tej chwili jest tam prawdziwy korek. Samochodów stoi więcej, niż mogę policzyć. Miejscowy handelek, jedni przychodzą, inni odchodzą, muzyka i dźwięki rozmów; tak wygląda nocne życie w tej okolicy. Spoglądam na zegarek. Jest już po dziesiątej.

Espinoza nie powiedział, czy Jaime i ten drugi, gość w filcowym kapeluszu, weszli po schodach na górę czy do mieszkania na dole. Nie znając układu budynku, nie mogłem przewidzieć problemu ani nie przyszło mi do głowy o to pytać.

Stoję na chodniku i przyglądam się oknom od frontu. W jednym z nich, na pierwszym piętrze, widać poświatę telewizora. W innym, mniejszym, być może od łazienki, świeci się światło.

Na drugim piętrze wszystkie są ciemne. Przechodzę kilka kroków

wzdłuż budynku i sprawdzam jego lewą stronę. Są tam okna, ale również wszystkie ciemne. Zawracam i zaglądam z drugiej strony. Jedno światło bliżej tylnego narożnika, na pierwszym piętrze. Nie umiem stwierdzić, ile jest tam mieszkań.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nie obserwuje mnie z okna albo z któregoś z pograżonych w mroku ganków po przeciwnej stronie ulicy. Nasłuchałbym się od Harry'ego, gdyby ktoś wezwał gliny i trafiłbym do aresztu za podglądanie i kręcenie się pod cudzą bramą.

Nie zauważam nic podejrzanego, więc wspinam się po schodach. Na ganku znajduję skrzynkę na listy. Pod każdą przegródką, na wsuniętym w ramkę pasku papieru, widnieje nazwisko. Niektóre są wypisane na maszynie, inne długopisem lub ołówkiem. Wyciągam z kieszeni klucze od domu. Do kółka doczepiona jest miniaturowa latarka. Włączam ją i kieruję na etykietyki snop bladego, czerwonego światła.

LOK. A: JOHNSON
LOK. B: HERNANDEZ

Żadnych inicjałów.

LOK. C: ROSAS, JAMES
LOK. D: WASHINGTON, LEROY
LOK. E: RUIZ, R.
LOK. F: MORENO

Znów żadnych inicjałów.

LOK. G: SALDADO, H.

Przyświecając sobie latarką, spisuję nazwiska w wyjętym z kieszeni notesiku. Skończywszy, zbiegam po schodach, wracam do samochodu i niepełna minutę później parkuję po drugiej stronie ulicy, kilkadziesiąt metrów od budynku z podjazdem. Ustawiam auto między dwoma innymi, zwrócone w stronę domu, tak by mieć widok na schody wejściowe i mieszkanie na parterze.

Zerkam na zegarek. Dochodzi dziesiąta trzydzieści. Sara powinna lada chwila wrócić do domu. Ma klucz. Uprzedziłem ją, żeby nie czekała na mnie. Moja piętnastolatka jest dobrym dzieckiem: spokojna, ma same szóstki. To jedyna osoba, o jakiej myślę, przyjmując sprawy, które mogą się wiązać z niebezpieczeństwem, albo planując głupie wyczyny, takie jak obecny.

Sadowię się wygodnie, kątem oka obserwując ruch na skrzyżowaniu przecznicy dalej. Odnoszę wrażenie, że z jakiegoś powodu wszyscy klienci nadjeżdżają z kierunku prostopadłego do ulicy, na której stoję. Dlaczego tak jest, nie mam pojęcia, ale dzięki temu reflektory wozów oświetlają mnie w minimalnym stopniu, więc gdy osuwam się w fotelu, jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek mnie dostrzegł.

Przysypiam trochę z otwartym jednym okiem. Od czasu do czasu na skrzyżowaniu robi się tłoczno, korek się zagęszcza i ten czy inny samochód skręca w moją stronę, zmuszając mnie do zsunęcia się głębiej w fotelu.

Nie wiem, jak długo drzemałem, ale oczy mam zamknięte, kiedy budzi mnie pisk opon. Rozglądam się, próbując gorączkowo zorientować się, gdzie jestem. Uliczni handlarze przecznicy dalej zniknęli bez śladu. Widzę tylko słabnące tylne światła ostatniego samochodu, który zawrócił i odjeżdża w głąb ulicy. Chwilę później wóz skręca w jedną z przecznic i znika. Skrzyżowanie jest zupełnie puste.

Siedzę zagłębiony w fotel, zastanawiając się, co się stało. Nie upływa wiele czasu, nim znajduję odpowiedź. Rozwiązaniem zagadki jest radiowóz policyjny jadący wolno przez skrzyżowanie z kogutem, który błyska w irytującym rytmie. Gliniarze rozświetlają szperaczem krzaki i cienie przy narożnym budynku. Powoli mijają skrzyżowanie i sprawdzają teren przed domem na przeciwległym rogu. Jadą wciąż wolno i nagle, równie szybko jak się pojawili, odbłask barwnego światła znika.

Przez kilka minut obserwuję skrzyżowanie. Nic. Żadnego ruchu. Wygląda na to, że gliny ich przepłoszyły.

Potem, ni stąd, ni zowąd, snop światła reflektorów wynurza się zza rogu za mną. Osuwam się głębiej, tak że praktycznie leżę pod kierownicą

z kolanami uniesionymi po obu stronach jej kolumny. Głowę i barki odchyłam w stronę fotela pasażera, kuląc się poniżej okna po stronie kierowcy.

Samochód zbliża się wolno. Słyszę chrzęst żwiru pod jego kołami. Mimo zamkniętych szyb radiowozu docierają do mnie głosy z policyjnych krótkofalówek.

Gliniarze omiatają reflektorem trzy zaparkowane samochody. Strumień oślepiającej bieli wlewa się przez okna i nagle znów pojawia się migoczące czerwono-niebieskie światło. Jeśli znajdą mnie, na podłodze samochodu zaparkowanego przecznicę od Super Narco, w poszukiwaniu prochów wykręcą każdą śrubkę z mojego wozu. Spiszą moje nazwisko z prawa jazdy bez względu na to, czy coś znajdą czy nie. Nim miną dwadzieścia cztery godziny, będę przyciągał ciekawe spojrzenia prokuratorów i urzędników sądowych. Sędziowie będą wpatrywać mi się w oczy, szukając w nich tego szklistego wyrazu. Boże, dopomóż, jeśli któregoś ranka, na przykład jutro, pojawię się w sądzie nieco śpiący.

Radiowóz zatrzymuje się przy samochodzie zaparkowanym za mną. Otwierają się drzwi. Radiostacja nadaje teraz na tyle głośno, że słyszę trzaski zakłóceń między wezwaniami. Kroki na zewnątrz.

Policjant szarpie klamkę wozu. Klamka wymyka mu się z palców. Zamknięty. Nie będzie miał tego problemu, jeśli spróbuje u mnie. Jest już za późno na zablokowanie drzwi. Poza tym wiem, że zagląda przez okno, świecąc latarką.

Wyobraźnia podsuwa mi wizję. Gliniarz otwiera drzwi i znajduje mnie nieprzytomnego pod kierownicą. Muszą dzwonić po pomoc drogową, żeby mnie wyciągnąć.

Widzę, że tym razem sprawdza dokładnie, świecąc latarką przez okna. Strumień światła przesuwają się po mojej tylnej szybie.

- Jimmie.

- Tak. Widzę go.

Serce wali mi jak młotem.

Drzwi samochodu zatraskują się głośno. Nagle rusza z rykiem silnika. Opony piszczą mi koło ucha, tuż pod drzwiami. W mgnieniu oka znów

robi się ciemno i spokojnie. Czekam, wstrzymując oddech. Przez całą wieczność, jak mi się wydaje. W rzeczywistości pewnie jakieś piętnaście sekund. Unoszę głowę niczym żółw wychodzący ze skorupy. Wysuwam się spod kierownicy, zastanawiając się, jak się pod nią zmieściłem. Sekrety adrenaliny. Plecy bolą mnie jak wszyscy diabli.

Rozglądam się i widzę, że radiowóz stoi teraz w pobliżu skrzyżowania, a kogut miga w drażniącym rytmie czerwieni i błękitu. Na masce leży dzieciak w ciemnej bluzie z kapturem. Kaptur ma zsunięty w tył, tak że widoczna jest ogolona głowa, ciemna szczecina na czaszce.

Jeden z gliniarzy rozsuwa mu stopy, po czym błyskawicznie skuwa kajdankami ręce na plecach. Jego partner ostrożnie przeszukuje chłopakowi kieszenie. Raz po raz składa drobne znaleźiska na masce samochodu, szturchając niektóre z nich palcem i oglądając je w świetle latarki jak górnik szukający samorodków złota.

Drugi gliniarz przykuca, obmacując dzieciakowi kostki. Może szuka spluw.

Potem nagle: Eureka! Nieomal słyszę jego okrzyk. Gdy wstaje, trzyma zwitek banknotów wyjęty ze skarpetki dzieciaka wraz z czymś, co wygląda na towar: paroma plastikowymi woreczkami. Widzę, jak połyskują w świetle reflektora skierowanego teraz na maskę radiowozu.

Z przeciwnego kierunku nadjeżdża następny samochód policyjny, jednostka wsparcia. Wkrótce na skrzyżowaniu robi się granatowo, błyskają koguty.

Wciąż przeszukują dzieciaka. Jeden z gliniarzy podchodzi z butem w jednej ręce i skarpetką w drugiej. Zagląda do buta i rzuca go na ziemię. Zaczyna potrząsać skarpetką. Białe woreczki rozsypują się po całej masce.

Gliniarz nadal potrząsa skarpetką. Ze środka wypadają kolejne przedmioty. Prawdziwy róg obfitości. Mundurowi szczerzą się w uśmiechu.

Zatrzymuje się następny radiowóz. Zaczynam się robić nerwowo. Mogą rozłożyć się tu obozem na całą noc, jeśli postanowią urządzić sobie safari, polując na kolesiów chłopaka.

Dość wrażeń jak na jedną noc. Spoglądam na zegarek. Dochodzi pierwsza.

Dom po drugiej stronie ulicy jest pogrążony w ciemnościach. Poświata telewizora w oknie na piętrze zniknęła. Marnuję czas. Espinoza mnie wykiwał. Najpewniej podał mi adres jednej ze swych wilczych nor, kryjówki, w której lokuje nielegalnych imigrantów zmierzających zakazanymi drogami do ziemi obiecanej.

Przyglądam się, jak gliniarze wpychają dzieciaka na tylne siedzenie jednego z radiowozów. Dziesięć minut później znów zaczyna opadać mgła i uliczna impreza dobiega końca. Samochody, z wygaszonymi kogutami, rozjeżdżają się w różne strony. Widocznie uznali, że tej nocy unieszkodliwili handel na skrzyżowaniu.

Sięgam do kluczyka i mam właśnie włączyć zapłon, kiedy po drugiej stronie ulicy dostrzegam sylwetkę mężczyzny.

Wyszedł z cieni przy drzwiach frontowych, gdzie nie miałem szans go zobaczyć. Wychyla się, by sprawdzić, czy gliniarze odjechali. Widzę go od ud w górę, gdy opiera się o solidną, wysoką na metr balustradę ganku, z obiema rękami wciśniętymi w kieszenie dżinsów. Jest wysoki i szczupły. Ciemny zarys jego głowy kończy się zaokrąglonym szpicem. Nosi kapelusz dla ochrony przed deszczem, filcowy kapelusz z opuszczonym rondem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Następnego dnia z trudem przebrnąłem przez poranną wizytę w sądzie. Na szczęście nie była to rzecz wymagająca specjalnej bystrości umysłu. Chodziło tylko o wstępne przesłuchanie. Stałem obok klienta w ławie oskarżonych podczas odczytywania zarzutów i wertowałem kalendarz, by ustalić datę wystąpienia, raz po raz trąc zaspane oczy. Zarwałem noc, szukając człowieka w zabawnym kapeluszu.

Zredukowałem liczbę nazwisk ze skrzynki na listy do pięciu. Biorąc pod uwagę, że Espinoza powiedział mi, iż facet jest Latynosem, nie była to wielka filozofia.

Hernandez, James Rosas, R. Ruiz, Moreno i H. Saldado. Zawęzić to

jeszcze bardziej, zakładając, że w pisowni nie ma błędu, a facet nie posługuje się fałszywym nazwiskiem, będzie trudniej. Jeśli tego dokonam, przyjmując, że uda mi się go zidentyfikować i że zdołam odnaleźć jakiś trop łączący tego człowieka z Ibarrami z Meksyku, dwójką braci, o których mówił mi Metz, być może będę coś miał. Śmieję się z siebie. Na razie nie mam nic poza mnóstwem założeń. Zaczynam myśleć, że Harry miał rację: powinienem o tym zapomnieć.

Snuję te myśli, kartkując książkę telefoniczną San Diego. Znajduję całe dwie strony Hernandezów. Nie znając pierwszej litery imienia, muszę się uciec do nazwy ulicy. Pomagając sobie linijką, przeglądam pierwszą stronę, po czym przechodzę do drugiej. Z prawdziwym zaskoczeniem znajduję to, czego szukam. „Susan”. Wykreślam nazwisko z listy. To może być łatwiejsze, niż myślałem.

Pół godziny później znajduję Jamesa Rosasa i R. Ruiza, Richarda, obu pod właściwym adresem. Spisuję ich numery telefonów. Jest mnóstwo ludzi o nazwisku Moreno, ale żaden z nich nie mieszka na odpowiedniej ulicy. Przy kilku jest podany sam numer telefonu, bez adresu. Nie znając pierwszej litery imienia, utykam w martwym punkcie. Ten sam problem mam z Saldado, nawet wiedząc, że imię zaczyna się na H. Jeśli założyć, że to mężczyzna, albo nie ma on telefonu, albo ma zastrzeżony numer. Zatrząskuję książkę telefoniczną, odsuwam ją na środek biurka, rozsiadam się wygodnie w fotelu i myślę.

Chwilę później wywołuję spis telefonów w komputerze, uruchamiam wyszukiwanie nazwiska, a kiedy pojawia się na ekranie, włączam automatyczne wybieranie numeru. Po trzecim dzwonku ktoś odbiera. Zrywam słuchawkę z widełek, zanim głos kończy mówić: „Carlton Collections”.

To głos kobiety, chrapliwy, przesycony flegmą.

- Joyce?
- Tak, kto mówi? - Sepleni, jak gdyby trzymała papierosa w ustach.
- Paul Madriani.
- Aaach, mój ulubiony prawnik.

Słyszę, jak zaciąga się ze świstem. Zaraz potem dopada ją atak kaszlu,

kilka paskudnych charknięć, odgłos raszpli trącej o sosnową deskę.

W trosce o swój słuch odsuwam słuchawkę od ucha.

- Hej, Bennie, to Paul Madriani.
- Kto? - słyszę z oddali głos jej męża.
- Paul Madriani. Wiesz, ten prawnik.
- Nie mów mi, że pieprzony prokurator okręgowy znów chce z nami gadać.

- Nie - mówi Joyce. - On dzwoni tylko, żeby nas pozdrowić.
- Pozdrów go - woła Bennie.
- Bennie mówi, żeby cię pozdrowić. Dzwonisz, żeby się przywitać, prawda?

Każę jej przekazać pozdrowienia w odwrotną stronę. Robi to.

- Mów, o co chodzi. Taki zapracowany prawnik jak ty nie dzwoni ot tak, żeby sobie pogadać. Niech zgadnę. Masz klienta, który nie zapłacił, i chcesz, żebyśmy go znaleźli? Mam rację?

- Niezupełnie.
- Jak powiedziałam ci wtedy w sądzie, moje słowo jest dla mnie święte. Na koszt firmy. Nie powiedziałam tak, Bennie?

Joyce wrzeszczy tak bardzo, że znów muszę odsunąć słuchawkę, ale słyszę odpowiedź Benniego.

- Taaak. Taaak.
- Daj mi nazwisko, a wytropię i dorwę sukinsyna - mówi Joyce.

Joyce i Ben Swartz są właścicielami Carlton Collections. Skąd wzięli nazwę firmy, nie mam pojęcia. Prawdopodobnie z paczki papierosów. Brzmiało to w każdym razie bardziej dystyngowanie niż Swartz. I mógłby to być plus, gdyby to nie Joyce odbierała telefony.

Wiem jedno: flegma czy nie, jeśli jesteście winni pieniądze, ostatnia rzecz, jakiej wam trzeba, to Joyce biegnąca z nosem przy ziemi tropem waszych długów.

Widywałem ludzi z kolanami przestrelonymi przez mafię, którzy cierpieli mniej. Joyce odnajdzie was w domu, u sąsiada, u matki, na splywie kajakowym rzeką Herced w parku Yosemite, na wakacjach. Wasze dzieci

będą wracać ze szkoły z wezwaniami do zapłaty w śniadaniówkach. Jeśli pójdziecie na wesele, wasze nazwisko i suma, jaką jesteście winni, będą wypisane szminką na tylnej szybie samochodu państwa młodych. Joyce uważa federalne i stanowe przepisy o ściąganiu należności za wyzwanie. Jeśli nie uda jej się dodzwonić do was do pracy, wynajmie samolot, by przeleciał nad waszą firmą i wypisał różowym dymem wasze nazwisko oraz słowo „dłużnik” na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

Większość fachowców od ściągania należności wysłała serię listów po-naglających, która zaczyna się od uprzejmych próśb, a kończy aluzjami, że wasze dzieci zostaną sprzedane w niewolę. Od Joyce dostaje się jeden uprzejmy list. Potem wasz tyłek należy już do niej.

Mniej więcej rok temu przeszła samą siebie, dobierając się do skóry lokalnemu kościołowi, który czekał na powtórne przyjscie Mesjasza, by uregulować rachunek w drukarni. Pewnej niedzieli pojawiła się tam przed mszą, wystrojona jak spod igły, w kapelusiku i z przypiętą plakietką z nazwiskiem. Stała w jednym z głównych wejść od frontu, uśmiechając się do siwego odźwiernego, który witał wchodzących parafian i zachodził w głowę, kim może być ta miła ochotniczka. Joyce wręczyła paru setkom wiernych poranne gazetki kościelne.

Kiedy pastor stanął za pulpitem, nie mógł zrozumieć, dlaczego jego owieczki parskały śmiechem, ilekroć wspomni o piekle. Joyce włożyła do gazetek listy wzywające do zapłaty za druk, a to przypomniało czytelnikom, że diabeł jest dłużnikiem. Wszyscy przestali się śmiać, kiedy zjawił się uzbrojony w dokumenty zastępca szeryfa, by skonfiskować datki z tacy. Pechowo dla Joyce, jednym z prezbiterów tego kościoła był główny zastępca prokuratora okręgowego.

- Więc jak się nazywa ten gość? - pyta Joyce. - Ten, którego mamy ci znaleźć?

Nie chodzi o klienta, odpowiadam.

- Stanowa palestra krzywo patrzy na to, że korzystam w tym celu z waszych usług.

- Dlaczego? Nie lubią nas?

- To nic osobistego - uspokajam ją. - Po prostu życzą sobie, żebyśmy

kwestie wszelkich niezapłaconych rachunków rozstrzygali sędownie.

- Jesteś adwokatem. Nie mów mi, że nie wygrywasz tych spraw.

- Nawet jeżeli wygrywamy, zwykle sugeruje nam, żebyśmy o tym zapomnieli. To zła reklama. Już i tak zbyt wielu ludzi nienawidzi prawników.

- Ach, ta palestra. Mając taką organizację, to cud, że możesz się utrzymać w branży.

- Mnie to mówisz?

- Więc czego chcesz?

- Chciałbym, żebyś sprawdziła parę nazwisk, spróbowała zdobyć informacje o paru osobach.

- Co? Na przykład ich historię kredytową?

- Być może. To mogłoby pomóc.

- Chcesz namiary na nich?

- Niezupełnie. Wiem, gdzie mieszkają ci ludzie. W niektórych przypadkach potrzebne jest mi imię, numer telefonu, zawód i miejsce pracy, jeśli uda ci się do tego dotrzeć. W jakim banku mają konto. Kim są ich przyjaciele. - Podaję jej nazwiska z listy i adres. - Tylko żebyś się nie wpakowała w kłopoty - ostrzegam. - To nie jest najprzyjemniejsza okolica. Zrób tylko to, co da się zrobić na odległość, rozumiesz?

- Spoko. Nie ruszam się nigdzie bez Benniego.

Tego się właśnie obawiam.

- Co jeszcze masz? - pyta Joyce. - Żadnych numerów ubezpieczenia?

Może numery rejestracyjne samochodów?

- Nie. Niestety.

- To wszystko? Nazwisko, pierwsza litera imienia? A dla paru z tych osób nie masz nawet tego.

- Jest ich adres - przypominam jej.

- Ależ ty masz wymagania - stęka.

- I jeszcze jedno. Ten człowiek, którego szukam. Możliwe, że on handluje narkotykami.

- Hmm. To by mogło pomóc - stwierdza Joyce.

- Jak to?

- Jeśli facet handluje narkotykami, to musi mieć pager, no nie? I telefon komórkowy. Widziałeś kiedyś dealera narkotyków, który nie miałby pagera i komórki?

- Nie znam aż tak wielu dealerów - odpowiadam.
 - Uwierz mi na słowo. Oni wszyscy mają pagery i komórki. Oczywiście nie zawsze własne - dodaje. - To niezły biznes.
 - Co, telefony komórkowe?
 - Nie, ich kradzieże - wyjaśnia.
- Znając Joyce, wiem, że żartuje tylko w połowie.
- Trzeba będzie chyba zacząć od wielkiej piątki - stwierdza.
 - Co to takiego? Wyskok w powietrze i uderzenie rękami?
 - Nieee. Nieee. - Joyce nie ma poczucia humoru. - To przybicie piątki - mówi. - Mnie chodzi o wielką piątkę. To coś innego. Kapujesz, operatorzy. Jest pięć wielkich firm, które obsługują całą łączność komórkową w tym hrabstwie. Wiem o tym. Pracujemy dla wszystkich. Więc jeśli ten facet, którego szukasz, ma komórkę, zdobędę jej numer. Chcesz, żebym załatwiła ci jego miesięczne zestawienie rozmów? Nie będziesz bulić za to nic więcej, bo to i tak idzie na koszt firmy.
 - Możesz to zrobić?
- Waha się tylko sekundę.
- Dla ciebie, jasne. Na kiedy to potrzebujesz?
 - Na wczoraj - odpowiadam.
 - Daj mi dzień albo dwa. - Odkłada słuchawkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Odkładałem to, jak tylko się dało. Adam Tolt oczekuje na wiadomość ode mnie do końca dnia. Tak więc po południu dzwonię do Dany i mówię jej, że muszę spotkać się z nią, tu, w moim biurze. Pyta, czy chodzi o ubezpieczenie. Odpowiadam, że między innymi, by skłonić ją do przyjścia. Potem dodaję, że musimy omówić też pewną poważniejszą sprawę.

Jest kwadrans po trzeciej, a jej jeszcze nie ma. Kiedy nareszcie wchodzi spacerowym krokiem do holu, nie jest sama. Towarzyszy jej Nathan Fittipaldi.

Rozmawiam przez telefon z klientem, drzwi gabinetu są lekko uchylone, tak że widzę ich przez szczelinę. Oboje są odstawieni jak para wybierających się na prywatkę szpanerów z college'u.

Fittipaldi ma na sobie jasnobrązowe spodnie i wciąganą przez głowę koszulkę z wyhaftowanym na cycku graczem w polo Ralphi Laurena. Na ramiona zarzucił biały sweter i związał luźno z przodu rękawy. Przeciąga grzebieniem po ciemnych włosach, rozdzielając je na środku, co nadaje mu wygląd podstarzałego obiektu kobiecych westchnień z okładki „Gentlemen's Quarterly”.

Dana włożyła białe szorty do tenisa, na tyle obcisłe, że nie zostawiają wiele wyobraźni, oraz niebieski top bez rękawów, odsłaniający pokaźną część piegowatych, opalonych ramion. Na głowie ma białą tenisową czapkę, jeden z owych daszków z regulowanym paskiem, w których za denko służy jedynie własna czupryna. Jej oczy przesłaniają okulary słoneczne znanego projektanta mody, które jak podejrzewam, musiały kosztować ją dobre cztery stowy.

Zdejmuje je i trzymając niedbale w zębach za pałąk, ściąga czapkę, odkłada ją na biurko naszej sekretarki i poprawia sobie włosy, przeglądając się w wyjętym z torebki lusterku.

- Muszę wyglądać okropnie - chichocze.

- Wyglądasz świetnie - mówi Fittipaldi, podchodząc do niej od tyłu i przytulając ją.

Dana odwraca się w stronę gabinetu i przez uchylone drzwi dostrzega mnie siedzącego za biurkiem ze słuchawką przy uchu. Taki widok to dla niej otwarte zaproszenie. Zanim mam czas wstać i zamknąć drzwi, jest już przy nich. Z psotną miną, jak gdyby bawiła się ze mną w „a kuku”, popycha je i otwiera na oścież, prezentując mi w promiennym uśmiechu swoje śnieżnobiałe uzębienie.

Fittipaldi, o dobrą głowę wyższy od niej, podchodzi i staje za nią, lustrując mój pokój. Rysujące się pod koszulką na ramionach i piersi mięśnie nadają mu wygląd sportsmena.

- Paul, znasz Nathana, prawda?

Trzymając słuchawkę w jednej ręce, unoszę drugą i daję im do zrozumienia, że chciałbym skończyć tę rozmowę, zanim zaczną następną.

- Ojej! - Dana chichocze. Zasłania usta dłonią. - Głuptaska ze mnie.

Odwraca się do Fittipaldiego i szepcze bezgłośnie: „Znacie się już”, tak że choć dzieli nas cała szerokość pokoju, mogę odczytać te słowa z ruchu jej warg. Potem przytakuje sobie na potwierdzenie, że ja też należę do paczki.

- Tak, jasne. - Fittipaldi uśmiecha się i kiwa mi głową, trzymając ręce w kieszeniach.

Pozbawiona genu dyskrecji Dana po prostu wchodzi do środka. Kręci się po moim gabinecie z dłońmi splecionymi za plecami niczym Leslie Carón w roli Gigi. Studiuje z uwagą obrazy na ścianach, moją licencję ze Stanowego Sądu Najwyższego, oprawiony w ramki dyplom z Południowego Okręgu Sądu Federalnego i wiszący obok niego drugi, z Dziewiątego Obwodu.

Gdy ona krąży po pokoju, Nathan stoi w otwartych drzwiach, rozglądając się. Widzę po jego minie, że moje biuro nie dorasta do standardów galerii.

- Nie, rozumiem. Wiem, o co panu chodzi. Nie wiem, czy to możliwe, ale mogę spróbować. - Staram się, żeby moja rozmowa z klientem, miejscowym biznesmenem stojącym w obliczu czterech zarzutów o oszustwo i defraudację, była ogólnikowa i poufna.

Dana odwraca się do Fittipaldiego.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo - szepcze na tyle głośno, że słyszę to dobrze; stoi zaledwie półtora metra od mojego biurka.

Kobieta czekająca na dwa miliony dolarów z polisy ubezpieczeniowej, robiąca sprawunki za pieniądze z konta powierniczego klienta swego zmarłego męża, nie ma czasu.

Potem, głośno już, mówi:

- To naprawdę piękny samochód, Nathan. Strasznie mi się podoba. Aż nie mogę się doczekać przejażdżki.

Znając Danę, chce pieniędzy. Złe wiadomości mogą zatrzymać dla siebie.

Zakrywam mikrofon dłonią, na próżno starając się, by jej głos nie dotarł do mojego klienta.

- Ma pan jakichś gości? - pyta biznesmen.

- Ktoś właśnie wszedł - odpowiadam.

Dana odwraca się i patrzy na mnie. Wskazuje palcem drzwi, pytając o rzecz oczywistą - czy nie chciałbym czasem, żeby wyszła.

Kręcę głową. Będę musiał dokończyć rozmowę innego dnia.

Dana rumieni się. Czerwone policzki, czuprynka zmieniona w wąsy kukurydzy przez letnie słońce.

- Zadzwoń do pana kiedy indziej. Może jutro. Będzie pan w biurze?

Odpowiada, że tak.

- Zadzwoń po południu.

Słyszając w gabinecie kobiety głos rozplywający się w zachwycie nad jakimś samochodem, klient obawia się, że mogę mieć coś lepszego do roboty, że mogę zapomnieć, więc prosi o bardziej wiążącą obietnicę.

- Tak. Nie. Zadzwoń do pana przed trzecią.

Zanim jeszcze słuchawka trafia na widelki, Dana wyrzuca z siebie potok słów.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyprowadziłam Nathana - mówi. - Właśnie wybraliśmy się na przejażdżkę. Pokazywał mi swojego nowego jaguara KX.

- XK - poprawia ją mężczyzna.

Dana chichocze.

- Widzisz, jak ja się znam na samochodach. Wiem tylko tyle, że jest piękny. - Odwraca się do Fittipaldi, jak gdyby chciała zapewnić go, że nie jeździ po mieście jakąś kupą złomu. - Naprawdę musisz go zobaczyć - mówi do mnie. - Jest ciemnogrnatowy, prosto z fabryki.

Fittipaldi stoi w drzwiach rozpromieniony, jak gdyby sam urodził to auto.

- Jechaliśmy przez Strand ze złożonym dachem. I mówię ci, ten wóz ma zryw. Nie tak jak mercedes Nicka. - Mówi to tak, jakby samochód nie

był jedynym powodem, dla którego Nick wypadł błodo w porównaniu z Nathanem. - Mamy zamiar pojechać wzdłuż wybrzeża na kolację. Nathan zna jakąś świetną knajpkę w Del Mar.

- Tak?

Pierwsze słowo, jakie byłem w stanie wtrącić.

- Naprawdę musisz zobaczyć ten samochód. I dotknąć siedzeń. Wiesz, kiedy usiadłam na przednim fotelu i wtuliłam twarz w oparcie, miałam wrażenie, że to obłok - mówi rozmarzonym tonem z zamkniętymi oczyma.

W tym momencie zaczyna mi to wyglądać na plan. Mam wyjść na zewnątrz, rzucić wszystko i poszorować twarzą po wspaniałej tapicerce Nathana.

- I pewnie byś nie uwierzył, ale to są prawdziwe jaguary - ciągnie. - I taaakie gładkie. - Tym razem uzupełnia słowa gestem, pocierając dłońmi swoje nagie uda tuż poniżej rąbka szortów. Oczywiście musi przy tym wypiąć swój zgrabny tyłek. Jest to ruch Marilyn Monroe, który Dana doprowadziła do takiej perfekcji, że stał się już jej własnością.

Nic z tego nie idzie na marne, jeśli chodzi o Fittipaldiego, który chłonie wzrokiem wszystkie szczegóły widowiska.

- Nie każdy mógłby mieć takie - mówi Dana. - Nathan sprowadził je na specjalne zamówienie przez dealera na Manhattanie. Kazał przerobić wnętrze. - Odwraca się w jego stronę, wrzucając ciemne okulary do torebki. - Gdzie oni są, kochanie? Przecznice od twojej galerii?

- Dwie przecznice - prostuje Fittipaldi.

- Naprawdę? W głowie mi się nie mieści, że salon samochodowy może być w stanie opłacić powierzchnię na Manhattanie. Nie mówiąc już o łapaniu jaguarów na obicia foteli.

- A oni są zaledwie o ulicę od galerii Nathana.

Fittipaldi odchrząkuje lekko.

- Jaguary zostały zabite i oskórowane w pobliżu granicy Gwatemali.

- Tak. Nie sądziłem, żeby upolowali je w Nowym Jorku - odpowiadam.

- Padły łupem meksykańskich kłusowników - ciągnie - którzy dostali się w ręce rządu.

- Szczęśliwie dla pana - zauważam.
- Zwykle się ich nie sprzedaje. - Zakładam, że mówi o skórach, nie o Meksykanach. - Ale te wystawiono na aukcję w szczytnym celu.
- Oczywiście. Żeby pokryć pańskie fotele.
- Śmieje się, choć widzę po jego minie, że nie rozbawiła go ta uwaga.
- Żeby wspierać ochronę środowiska - stwierdza.
- Musisz też zobaczyć, jak zrobił deskę rozdzielczą - wtrąca Dana.
- Nie sądzę, żeby pana Madrianiego to interesowało - mówi Fittipaldi.

Widziałem Danę wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że ma w zanadrzu tuzin różnych osobowości. Potrafi zmieniać je równie często jak swoje sukienki, i zwykle korzysta z tej umiejętności. Byłem świadkiem, jak na jeden jej ruch nagim ramieniem w zatłoczonej restauracji stu facetów rzucało się po swetry.

Dzisiaj wie, że mam do omówienia sprawę poważniejszą niż ubezpieczenie. Tak więc zaserwowała mi po prostu stosowną porcję bezradnej paplaniny, zapewne w nadziei, że skłoni mnie tym do złagodzenia złych wieści, a może nawet do tego, żebym wskoczył na koń i popędził jej na ratunek.

Jeszcze chwilę rozplywa się nad samochodem, aż wreszcie dostaje zadyszki i nie może już dłużej zamykać oczu na fakt, że to nie po to zadzwoniłem i poprosiłem ją, żeby przyszła.

- Och, ależ ja plotę - mówi. - Chcesz pewnie rozmawiać o ubezpieczeniu. Bo chodzi o ubezpieczenie, prawda?

Życie Dany jest jedną wielką pogonią za satysfakcją. Powiedz mi najpierw dobre wiadomości. Złych nie mów mi w ogóle.

Opada na jedno z krzeseł dla klientów, kładzie tenisową czapeczkę na torebce przy nogach, po czym zerka na zegarek. Pora koktajlu w Del Mar.

Rzucam spojrzenie w stronę Fittipaldiego.

- Och, nie przejmuj się Nathanem - mówi Dana. - On wszystko wie.

To jedyny człowiek, z którym jestem w stanie rozmawiać. Oprócz ciebie - dodaje po namyśle.

- To świetnie. - Uśmiecham się.

- Nie wiem, co bym bez niego zrobiła - ciągnie. - To znaczy, bez was dwóch zginęłabym marnie. Czy wy się znacie? - Marszczy brwi ponad wielkimi, błękitnymi oczami.

- Spotkaliśmy się - odpowiadam.

- Jasne. - Fittipaldi z uśmiechem wyciąga dłoń.

Witaj w fanklubie Dany.

Ściskamy sobie ręce.

- Więc jaką złożyli ofertę? - pyta Dana. Szpera w torebce, wyciąga błyszczak do warg i zanim mam czas odpowiedzieć, znów odwraca się do Nathana. - Usiądź. - Klepie poręcz sąsiedniego krzesła.

Gdy on siada, ona obraca się w moją stronę.

- Oni złożyli ofertę, prawda? Mówiłeś, że chodzi o ubezpieczenie.

- Tylko częściowo.

- Więc o co?

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy omówili to na osobności - odpowiadam.

- Mogę poczekać na zewnątrz - stwierdza Fittipaldi.

- Nie - mówi Dana z naciskiem, gdy on zaczyna się unosić z krzesła, którego nie zdążył jeszcze nawet zagrzać. Trzymając w dłoni lusterko, maluje sobie błyszczakiem usta. - Wszystko, co możesz powiedzieć mnie, możesz też powiedzieć Nathanowi - oświadcza, jak gdyby była to jej zasada. Przerywa makijaż. - W końcu on jest jedynym człowiekiem, który stał przy mnie przez cały ten czas. Nie wyobrażasz sobie, jak wielu przyjaciół, czy raczej osób, które uważałam za przyjaciół, opuściło mnie po śmierci Nicka. Dopiero w takich momentach naprawdę poznaje się ludzi. Rozumiesz, kiedy widzą, że wchodzę do sklepu, traktują mnie jak powietrze. Nie. Chcę, żeby Nathan tu był, żeby usłyszał wszystko, co masz mi do powiedzenia. - Raz jeszcze przeciąga błyszczakiem po wargach.

Fittipaldi patrzy na mnie, przekrzywia głowę i uśmiecha się, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jej wola”.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - mówię.
- Dlaczego?
- Żeby ci to wyjaśnić, musiałbym powiedzieć ci, o co chodzi, przy Nathanie.

To daje jej do myślenia. Patrzy na mnie, próbując czytać w moich myślach. Potem zgaduje źle.

- Odmówili nam, prawda? - W jednej chwili beztroška i optymizm znikają. Dana przestaje malować usta i odkłada lusterko oraz błyszczycy na skraj biurka. - Jeśli to złe wieści - mówi - po prostu mi powiedz. - Ale nie czeka na odpowiedź. - Rozumiem. Nie chcą zapłacić. - Odwraca wzrok, uznawszy, że o to właśnie chodzi. Błysk w jej oczach zastępuje determinacja. - Wiedziałam - ciągnie. - Mówiłam ci, pamiętasz? - zwraca się do Fittipaldiego.

Wstaje z krzesła. On nadal siedzi, patrząc na mnie ze zbolałą miną w stylu: „Co ja tu robię?”

- Nie mówiłam ci, Nathan? - Nim Fittipaldi jest w stanie odpowiedzieć, Dana odwraca się do mnie. - Powiedziałam mu wczoraj, że towarzystwo ubezpieczeniowe mnie wykiwa. Wiedziałam to, kiedy tylko zobaczyłam tego faceta. Tego... tego Luthera, jak mu tam?

- Conovera? - podpowiadam.

- Tak. Conovera - powtarza. - Już kiedy na mnie patrzył, poznałam, że on mnie nie lubi. - Figlarny chochlik zniknął. Dla Dany jest to teraz sprawa osobista. Zaczyna chodzić w tę i z powrotem za krzesłami. - Tak się na mnie gapił. Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów - mówi. - Wiedziałam, co sobie myśli.

- A mianowicie? - pytam. Spogląda na mnie.

- Wiesz równie dobrze jak ja.

Kiedy robię minę, jak gdybym nie miał pojęcia, mówi:

- On... - Nie potrafi ująć tego w słowa. - On się zastanawiał, dlaczego kobieta taka jak ja wyszła za człowieka takiego jak Nick.

Znów patrzę na nią tępo, kręcąc głową, jak gdybym nie chwycił. Jestem ciekawy. Chcę usłyszeć, co padnie z jej ust.

- Myślę, że Danie chodzi o to, że towarzystwo ubezpieczeniowe było podejrzliwe z powodu różnicy wieku między nimi. - Nathan wybawia ją z opresji.

- Otóż to - przyznaje Dana. - Wiem, że tak właśnie myślał. Że jestem pospolitą naciągaczką.

Myślę, że ja nigdy nie określiłbym jej słowem „pospolita”.

- Możesz sobie wyobrazić, jakie to bolesne? - pyta.

Spodziewam się, że lada chwila sięgnie po chusteczkę higieniczną.

Ona jednak mówi dalej:

- Świetnie, jeżeli chcą iść po trupach, my nie będziemy gorsi. Te odškodowania, o których im mówiłeś. Te kary. Jak myślisz, ile moglibyśmy dostać?

Dana być może nie zna się na sportowych samochodach, ale instynkt odwetu najwyraźniej ma we krwi.

- Oskubiemy ich - ciągnie. - Pozwiemy. Wydaje im się, że mogą mnie wykiwać. - Mówi teraz do siebie, znów krążąc po gabinecie, z palcem wskazującym prawej dłoni przytkniętym do dolnej wargi, tak że długi paznokciec opiera się o dolne siekacze i rozsmarowuje lekko czerwony błyszczak. Zastanawia się, ile razy powinna kazać mi obrócić korbą, kiedy już rozciągnę towarzystwo ubezpieczeniowe na kole.

Nagle przystaje. Odwraca się w moją stronę.

Wyczuwając, że zanosi się na coś poważniejszego, Fittipaldi obraca się na krześle tak, by mieć ją na oku, więc siedzi teraz tyłem do mnie.

Widzę po ogniach płonących w błękitnych oczach Dany, że ożywiła je nagle jakaś mroczna myśl.

- Czy oni mają zamiar zapłacić jej? - pyta.

„Jej”, czyli Margaret.

- Dano. Musimy omówić to na osobności.

- Tak powiedzieli, prawda? O to właśnie chodzi? Cholera. Wiedziała, że tak będzie. Postanowili zapłacić tej dziwce zamiast mnie. - Patrzy na Nathana. - Po moim trupie - mówi. - To ja byłam żoną Nicka, kiedy go zastrzelili. To ja musiałam z nim żyć, znosić jego idiotyzmy, nie ona. Pozwiesz ich? - Patrzy na mnie, jak gdybym nagle stał się wrogiem. - Czy może ciebie też kupili?

- Dano! - Fittipaldi rozkazującym tonem przyciąga jej uwagę. Wolno kręci głową, dając jej do zrozumienia, że może powiedziała zbyt wiele, posunęła się zbyt daleko, że powinna się uspokoić, uważać na słowa.

Od gładkiej skóry jaguara do zimnej stali w niespełna minutę.

Nie odzywam się, czekając na nowy wybuch wściekłości. Ale nic się nie dzieje. Dana stoi ze wzrokiem utkwionym w dywan, znowu spogląda na Nathana, a potem na mnie, usiłując, jak podejrzewam, przypomnieć sobie, jakież to jadowite słowa mogły wypłynąć z pociągniętych błyszczącym ust, kiedy oładnęły nią demony. Gdy nie ulega już wątpliwości, że burza minęła, wkraczam do akcji.

- Nathan ma rację - mówię. - Usiądź. Uspokój się.

Dana zerka na krzesło, ale nie rusza się z miejsca.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe złożyło ofertę - dodaję.

W głębi jej oczu pojawia się nikły blask. Stalowe wargi zaczynają się wyginać w uśmiech.

- Ale powód, dla którego sprowadziłem cię tu dzisiaj, sprawa, o której muszę z tobą pomówić, nie ma nic wspólnego z ubezpieczeniem. W każdym razie nie bezpośrednio. Chodzi o... cóż... o coś znacznie bardziej poważnego.

Co może być bardziej poważnego niż dwa miliony dolarów gotówką? Jej szare komórki reagują paniką. Błysk nadziei w jej oczach znika nagle. Kilka chwil po tym, jak słowa opuszczają moje usta, oczy Dany przypominają już dwie wodnistobłękitne szklane kulki. Stoi, chwiejąc się w przód i w tył na bezwładnych nogach.

Gdy wreszcie jej wzrok znów się przejaśnia, Dana nie patrzy na mnie, lecz na Fittipaldiego, który wciąż siedzi zwrócony w jej stronę. Trwa to tylko mgnienie oka. Mroczny lęk na moment zasnuwa jej twarz niczym cień czarnej chmury.

Nie widzę twarzy Nathana.

Przez chwilę wygląda to tak, jak gdyby nogi rzeczywiście miały ugiąć się pod nią, ale Fittipaldi zrywa się z krzesła i podtrzymuje ją, zanim do tego dochodzi. Dana robi jeden chwiejny krok, po czym bierze się w garść, gdy on sadza ją na drugim krześle.

Pochyliła się nad nią.

- Jest trochę rozbita - mówi. - Przeżyła ogromny stres.

- Rozumiem.

- Ma pan coś? Coś do picia? Może jakąś brandy?

- Nie mam brandy - odpowiadam. - W lodówce w drugim pokoju są soki i trochę wina.

- Wystarczy woda - mówi Dana. - Nic mi nie będzie. - Przeciąga po czole grzbietem dłoni. Jej oczy nadal są nieco szkliste. O ile nie jest choler- nie dobrą aktorką, to nie gra. Jej twarz jest blada jak płótno.

- Mógłby pan przynieść? - pyta Fittipaldi.

Wychodzę z gabinetu. Potrzebuję minuty, by znaleźć czystą szklankę w szafce w pokoju śniadaniowym, zgarnąć trochę lodu z tacki w zamrażarce i napełnić szklankę wodą.

Jestem już niemal przy drzwiach gabinetu, gdy słyszę, jak Fittipaldi mówi przyciszonym głosem:

- Nic mu nie mów. Już prawie po wszystkim. Tylko spokojnie.

Kiedy unosi wzrok, dostrzega mnie w drzwiach ze szklanką w dłoni i uśmiechem kamerdynera przyłapanego na podsłuchiwanie przez dziurkę od klucza.

- O czym ma nic mi nie mówić? - pytam.

- Och, rozmawialiśmy tylko. - Klęczy na jednym kolanie obok jej krze- sła, trzymając ją za rękę. Patrzy na mnie i zastanawia się, jak wiele mogłem usłyszeć spoza drzwi.

Dana bierze się w garść. Prostuje się i wciąga głęboko powietrze. Powoli odzyskuje formę. Na twarz wracają jej rumieńce. Podaję jej szklankę, a ona upija łyk, po czym zbiera dwoma palcami nieco skroplonej pary z ze- wnętrzej ścianki i delikatnie przeciąga nimi po czole. Zgarnia jeszcze trochę i poklepuje się po szyi i piersi tuż ponad wycięciem koszulki.

Cokolwiek było przyczyną jej stanu, Nathan wyciągnął ją z tego.

- Nie wiem, co to było - mówi. - Po prostu nagle zrobiło mi się słabo. - Znów popija ze szklanki.

- O czym chciał pan z nią porozmawiać? - Fittipaldi najwyraźniej przejmuje kontrolę nad sytuacją. - Czy nie można tego odłożyć do jutra? Powinienem chyba odwieźć ją do domu.

- To poważna sprawa - mówię. - Ale jeśli będzie musiała poczekać jeden dzień, to trudno.

- Świetnie - odpowiada.

- Będę tylko musiał zadzwonić i uprzedzić ich.

Nathan nachyla się do mnie. „Kogo uprzedzić?” pyta nieomal.

Dana unosi wzrok, kiedy mijam ją, podchodząc do biurka, gdzie zatrzymuję się i odwracam twarzą do niej. Nawet w swym opłakanyim stanie jest kłębkim nerwów, pełnym pytań, których właściwie nie chce zadać, ale nie może się powstrzymać.

- Nie. - Bierze głęboki wdech. - Już mi lepiej - mówi. - Chcę wiedzieć, o co chodzi. - Przykłada sobie zimną szklankę do czoła.

- To ma pewien związek z firmą Nicka - wyjaśniam. - Z RDD.

Patrzy na mnie dłuższą chwilę, wreszcie zamyka oczy i wypuszcza powietrze. Gdy ponownie otwiera oczy, by spojrzeć na mnie, domyślam się, że wie, o czym mówię. Ale jej rzut oka w stronę Nathana każe mi się zastanawiać, czy on także.

By rozwiać wszelkie wątpliwości, dodaję:

- Mają parę pytań dotyczących pewnych kont, którymi Nick zarządzał przed śmiercią.

- Ach, tak. - Jej wyschnięte wargi rozchylają się lekko, głowa kiwa wolno. - Rozumiem. Już mi lepiej - powtarza. - Może masz rację. Chyba powinniśmy omówić to na osobności. Ostatecznie chodzi o sprawy służbowe Nicka. - Pochyla się w stronę Nathana, który nadal klęczy obok niej na podłodze. - Nie pogniewasz się? - pyta.

Nagle Fittipaldi staje się intruzem.

- Ależ skąd.

Cóż innego mu pozostało?

- Jesteś kochany - mówi Dana.

- Gdybyś mnie potrzebowała, będę tuż obok.

Zapewne na klęczkach, z uchem przy drzwiach.

Wysuwa powoli dłoń z jej dłoni i wychodzi z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - pytam.

- Czuję się znacznie lepiej - zapewnia.

Zamiast usiąść w fotelu za biurkiem, wychodzę przed nie i sadowię się na skraju blatu, patrząc na nią z góry.

- Myślałaś, że co mam zamiar ci powiedzieć?

- Co masz na myśli?

- Co mam na myśli? - Uśmiecham się. - Kiedy o mało nie zemdlałaś tu i niewiele brakowało, a połamałabyś mój śliczny fikus.

Uśmiecha się na moją uwagę.

- Nie wiem. Po prostu nagle zrobiło mi się słabo.

- Parę minut wcześniej czułaś się zupełnie dobrze i gotowa byłaś toczyć bój z towarzystwem ubezpieczeniowym. Dopóki nie powiedziałem ci, że nie dlatego wezwałem cię tutaj. Że chodzi o coś innego, coś poważniejszego. Myślałaś, że co to było?

- Nie wiem. Nie jestem pewna. - Wbija wzrok w jedną ścianę, potem w przeciwną. Patrzy wszędzie, tylko nie na mnie.

- Ale teraz już wiesz, dlaczego kazałem ci przyjść, prawda?

- Nie jestem pewna. - Robi zdumioną minę, ale poci się, po raz pierwszy, od kiedy ją znam. Znów przykłada szklanke do czoła w nadziei, że zamaskuje pot wilgocią ze ścianki. Zlizuje błyszczak z warg.

- Zastanów się - radzę. - A może chcesz, żebyśmy zawołali Nathana?

- Nie - mówi.

- Tak też myślałem. On nie wie o czekach z kont powierniczych, prawda?

Opuszcza szklanke na podolek, tak że ma teraz na czym skupić wzrok, by uniknąć mego badawczego spojrzenia. Zaprzecza szybkim ruchem głowy, jak gdyby spodziewała się, że w ten sposób wyznanie winy będzie mniej bolesne.

- Powiedz mi, sfabrykowałaś te чеки przed czy po tym, jak zaczęłaś chodzić za rączkę z Nathanem?

Kręci głową, wzrusza ramieniem. Nie chce powiedzieć.

- Myślałaś, że mam zamiar powiedzieć ci, że policja chce rozmawiać z tobą o śmierci Nicka, prawda? Przypuszczam, że taka wiadomość mogłaby

zmrozić krew w żyłach, szczególnie jeśli dociera do ciebie bez uprzedzenia i jeśli już od jakiegoś czasu brałaś pod uwagę taką możliwość.

Unosi wzrok.

- Dlaczego mieliby chcieć ze mną rozmawiać? Już to robili, jak tylko to się stało. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Masz. Obawiasz się, że mogą mieć na ciebie oko. Że mogą się zainteresować młodą wdową po człowieku, który był żonaty ze swoją pracą, po adwokacie, który, jak sama twierdzisz, mimo purytańskiej pracowitości nie radził sobie najlepiej finansowo. Być może przyszło ci do głowy, że gliniarze pomyślą o polisie ubezpieczeniowej i o tym, że dwa miliony dolarów są w stanie skutecznie ukoić ból po stracie ukochanego małżonka. Och, wiem, co sobie myślisz - mówię. - Gliny i te ich tępe, ograniczone mózdzki, niedowierzające nikomu i niczemu. Ale obawiam się, że chodzi tu o wadę genetyczną, z którą oboje będziemy musieli się pogodzić. To jeden z warunków zatrudnienia w policji. I prawdziwe utrapienie, jeśli się pracuje w mojej branży.

Spogląda w górę i uśmiecha się. Pierwsza uwaga świadcząca o tym, że może jednak jestem po jej stronie.

- Tak czy owak, każdy rozsądnie myślący człowiek mógłby znaleźć tysiące sposobów, w jakie młoda kobieta, taka jak ty, potrafiłaby wydać takie pieniądze. O to chodziło, prawda?

- Nie wiem. Nie jestem pewna - mówi. - Ale masz rację co do policji. Są strasznie podejrzliwi. Kto wie, co może im przyjść do głowy?

- Ale dlaczego miałyby im przyjść do głowy właśnie coś takiego?

- Nie wiem, czy rzeczywiście tak jest - zauważa. - To ty zaczęłaś o tym mówić.

- Chyba masz rację. Świetnie. W takim razie porozmawiajmy o czymś innym.

Wyraz ulgi w jej oczach. Nareszcie zmiana tematu.

- Porozmawiajmy o tym, o czym zdaniem Nathana nie powinnaś mi mówić.

- Co masz na myśli?

- To, co usłyszałem, kiedy stałem pod drzwiami ze szklanką wody.

To nie jest zmiana, na jaką liczyła.

- Paul, posłuchaj. - Jej łagodny głos przemienia się w miód, słodki i płynący wartką strugą, jak świeżo zdjęty z ognia. - Prawdę mówiąc, nie jestem w tej chwili w nastroju do tej rozmowy. Nie czuję się zbyt dobrze.

- Czyżby znów robiło ci się słabo?

- Cóż. Trochę - przyznaje.

- Chcesz, żebyśmy zmienili temat? - pytam.

Kiwa głową.

- Porozmawiajmy o firmie Nicka, o RDD. Czeka ich tam teraz niełatwa decyzja. Co zrobić z wszystkimi tymi czekami z rachunków powierniczych klientów, które ktoś wystawił, by pobrać honoraria Nicka. Niezarobione honoraria - dodaje. - To znaczy, że będą być może zmuszeni obsługiwać paru klientów bez zapłaty, bo pieniądze zdążył już wziąć ktoś inny.

- Co innego mogą zrobić? - pyta Dana.

- Cóż, zastanówmy się. - Gładzę się po podbródku, jak gdyby problem wymagał sporego namysłu, co nie jest prawdą. - Przypuszczam, że każą grafologowi przeanalizować podpisy na czekach. Z tego, co słyszałem, wygląda na to, że na wszystkich jest ten sam podpis. Więc to nie będzie trudne. Potem zaczną polować na podejrzanych, zbierać próbki pisma, podpisy tych osób. Widzisz już, dokąd to prowadzi?

- Skąd wezmą podejrzanych?

- Cóż, znają konta, na których zdeponowane były te чеки. Kasjerzy przypuszczalnie będą pamiętać twarz, nawet jeśli posłużono się cudzym numerem ubezpieczenia.

Przyjmuje to obojętnie, zakładam więc, że mogła używać przebrań.

- Ale nie sądzę, żeby znalezienie sprawcy stanowiło problem. Szczerze mówiąc, myślę, że oni już wiedzą, kto to jest.

- Skąd?

- Ta osoba nie była zbyt ostrożna, zabierając чеки z szuflady Nicka.

To ją ucisza. Jej oczy robią się wielkie jak spodki.

- Teraz trudniejsza część. Muszą podjąć decyzję.

Czeka niespokojnie.

- Po pierwsze, mogliby pozyskać te pieniądze z dowolnego źródła dochodów, jakim dysponuje ta osoba. Powiedzmy, z jakiegoś pokaznego ubezpieczenia. Wiesz, spróbować zatuszować sprawę. Uniknąć wstydu dla firmy. Oczywiście pod warunkiem, że uda im się zadziałać wystarczająco szybko, by palestra nie zdążyła rozpocząć w tej sprawie dochodzenia.

Niemal widzę, jak przytakuje oczami, unosi lekko kąciki ust na znak zgody.

- Albo, po drugie, mogą przekazać czeki do biura prokuratora okręgowego, wnieść oskarżenie o fałszerstwo i kradzież i pozostawić sprawę w rękach prokuratury.

Oczywiście ten drugi wariant jest czystszy rozwiązaniem. Taką drogę zaleciłby im prawdopodobnie każdy dobry prawnik. Nie przysporzyłyby im ona żadnych kłopotów z palestra. Kosztowałyby ich jedynie utratę twarzy, odrobinę wiarygodności w oczach opinii publicznej.

Kąciki jej ust znów opadają.

- Oczywiście, biorąc pod uwagę wszystkie te znudzone, podejrzliwe móźdźki w policji, nie byłbym zaskoczony szerzącą się tam epidemią paranoi, gdyby te czeki miały się dostać w ręce prokuratora okręgowego. Rzecz jasna zależnie od tego, kto je podpisał. A w takim wypadku musielibyśmy, jak sądzę, okazać nieco wyrozumiałości tym spaczonym umysłom, które mogłyby wyciągnąć stąd wnioszek, że miałaś powody pragnąć, by Nick zmarł gwałtowną śmiercią. Rozumiesz, zważywszy na te wszystkie czeki z nazwiskiem Nicka i cudzym podpisem, rozgłos wokół sporu o dwumilionowe ubezpieczenie i twoje przejażdżki po mieście u boku tego fircyka w sportowym wozie z opuszczonym dachem i tapicerką ze skóry jaguara... Musisz przyznać, że to niezbyt wygląda na żalobę.

- W twoim ujęciu to wszystko wygląda tak... - Szuka odpowiedniego słowa.

- Pospolicie? - podpowiadam.

- Samolubnie - kończy.

- To dobre określenie. To znaczy niedobre, ale, cóż, myślę, że rozumiesz,

o co mi chodzi. No więc tak. - Sadowię się wygodniej na biurku, ze stopą dyndającą kilkanaście centymetrów nad podłogą na wprost Dany. - Zanim będę musiał zadzwonić do Adama Tolta i porozmawiać z nim o tym, którą z tych dwóch dróg powinna wybrać jego firma, może powiesz mi jednak, co to było, o czym Nathan kazał ci nie wspominać, kiedy stałem pod drzwiami?

Patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami, rozważając swoje możliwości. Drzwi numer jeden: tuszowanie sprawy. Drzwi numer dwa: oskarżenie o fałszerstwo i kradzież, prawdopodobnie odsiadka oraz solidne poszlaki co do motywu podwójnego morderstwa. Jej błyskawiczna odpowiedź wskazuje, że nie jest to trudny wybór.

- Widywaliśmy się - mówi - od jakiegoś czasu. Nathan i ja.
- Jestem zszokowany.
- To znaczy, przed śmiercią Nicka.
- Chcesz powiedzieć, przed jego zamordowaniem? - pytam. - To różnica.

- Tak, to właśnie miałam na myśli - poprawia się.

- Gdyby Nick i Metz zmarli na zapalenie płuc, leżąc na sąsiednich łóżkach w szpitalu, policja nie szperałaby po kątach w poszukiwaniu zabójcy. Uznaliby po prostu, że tak chciał Bóg, i miałabyś prawo chadzać za rączkę z Nathanem, jak gdyby nic się nie stało. Dostrzegasz różnicę?

Patrzy na mnie z gorzką miną.

- Nie powiedzieliśmy o tym policji. Uznaliśmy, że nie muszą tego wiedzieć. To sprawa osobista.

- A teraz niepokoiacie się, że oni to odkryją - kończę za nią.

Kiwa głową.

- Jak? Przecież oboje byliście tak dyskretni - zauważam.

- Och, przestań - oburza się.

- Nie. Mówię poważnie. Nathan jest specjalistą od dyskrecji. Ma to nawet na swojej wizytówce.

Nie podoba jej się ta rozmowa. Jej oczy zwięzają się w podle szparki.

- Nawet ty musisz to zrozumieć - oświadcza. - Moje małżeństwo z Nickiem skończyło się przeszło sześć miesięcy przed tym, jak go zastrzelono. - Teraz, kiedy jest zła, najwyraźniej nie ma żadnych trudności z wypowiedzeniem tego słowa. - Zachował prawo do chępienia się mną, to wszystko. I korzystał z niego bez skrępowania wobec przyjaciół. Powinieneś to wiedzieć. Byłeś jednym z nich - dodaje.

- Spokojnie. Mnie nigdy nie zwierzał się ze swoich podbojów.

- Tak czy owak, to było papierowe małżeństwo. On o tym wiedział i ja o tym wiedziałam.

- W takim razie dlaczego się z nim nie rozwiodłaś? Czyżbyś znalazła łatwiejszy sposób rozwiązania problemu?

- Nie myślisz chyba poważnie, że to ja go zabiłam albo że miałam z tym cokolwiek wspólnego? - Chce usłyszeć ode mnie niemrawe zapewnienie, że jej wierzę, więc jej oczy znów stają się łagodne i pełne łez. Potrafi włączać je szybciej, niż niejednen dzieciak naciskać spust pistoletu na wodę.

- Nie. To nie w twoim stylu - odpowiadam.

Uśmiecha się. Widać, że jej ulżyło. Twardy zarys jej podbródka znów staje się miękki i zaokrąglony.

- Ty prawdopodobnie użyłabyś trucizny albo noża - dodaje. - Ale co do Nathana, nie jestem pewien. Ostatecznie on lubi szybkie samochody, a ten, kto zastrzelił Nicka, zostawił na jezdni sporo gumy.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego - zapewnia. - Musisz mi uwierzyć.

- Więc teraz to już „my”? Możesz ręczyć za Nathana?

- On tego nie zrobił. Nie mógłby zrobić czegoś takiego.

- Nie bądź taka skromna - odpowiadam. - Nie lekceważ tak swojego wpływu na mężczyzn. To ci nie przystoi.

Powinna być wściekła, ale górę biorą inne instynkty. Patrzy na mnie, zwilżając wargi językiem.

- Nie wierzysz mi. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył? - pyta. Jest teraz uosobieniem łagodności i kobiecości. Staje się groźna, szukając miejsca, gdzie wstrzyknąć jad.

- Być może problem nie leży wcale po twojej stronie - uspokajam ją.

- To tylko ten mój cynizm. Czasami trudno mi przyjąć na wiarę nawet to, że Ziemia jest okrągła. Ale walczę z tym. Tak czy owak, wróćmy do zasadniczego pytania. Jeśli nie kochałaś Nicka, dlaczego się z nim nie rozwiodłaś?

- Nie wiem. Być może zrobiłabym to, gdybym znalazła właściwego mężczyznę - mówi.

- Więc Nathan nie jest tym właściwym mężczyzną, czy tak?

- Och, lubię Nathana - odpowiada. Ma to znaczyć: „Dopóki nie pojawi się ktoś lepszy”. - Tyle tylko że... on jest bardzo poważny. Naprawdę nie chcę go zranić. Nie chcę, żeby wiedział o czekach.

- Tak. Domyślam się, że to mogłoby skłonić go do zastanowienia się nad waszym związkiem. Mógłby przynajmniej uznać za stosowne zamykać książeczkę czekową i karty kredytowe w skarbcu na noc.

- Żadne z nas nie miało nic wspólnego ze śmiercią Nicka. Zrozum, byłam zdesperowana - mówi. - Nick zostawił mnie z trzymiesięcznymi zaległościami w spłacie hipoteki za dom. Nie wiem, gdzie szły wszystkie te pieniądze. Wiem tylko, że ja nie widziałam z nich ani centa. Bank zagroził, że zabierze samochód. Nick często nie wracał na noc. Prawie nie rozmawialiśmy. Myślę, że on wiedział o Nathanie. Ale sprawiał wrażenie, jakby nie obchodziło go to. Zaprzętały go inne sprawy - stwierdza. - Może miał kogoś innego. Nie wiem.

- Nie powiedział ci?

Kręci głową.

Zsuwam się z biurka, przechodzę na drugą stronę, siadam w fotelu i zamyślam się, pocierając podbródek. Siedzę tak dłuższy czas, być może minutę, nie odzywając się. Po prostu gapię się na ścianę pod rzędem dyplomów.

Danie, pocącej się na swoim krześle, musi się to wydawać wiecznością. W końcu przerywa milczenie.

- Co masz zamiar zrobić w sprawie czeków? - pyta.

- Cóż. - Wzdycham głęboko. - Wygląda na to, że będziesz trochę stratna przy wypłacie - odpowiadam.

- Tak. Wiem. Pięćdziesiąt siedem tysięcy - mówi.

- Nie. To będzie nieco więcej.

Przedstawiam jej ofertę towarzystwa ubezpieczeniowego, zaznaczając, że Margaret musi dostać dwa miliony albo rzuci wszystko, a wtedy umowę trafi szlag i Danę czeka niemiła rozmowa z prokuratorem okręgowym na temat sfalszowanych czeków, a zapewne jeszcze większe przykrości.

Dodaję też, że Harry i ja nie zgodzimy się na obniżenie honorariów za reprezentowanie jej w tej sprawie. To będzie dokładnie jedna trzecia sumy, jaką otrzyma, przed odliczeniem pięćdziesięciu siedmiu tysięcy, które musi zwrócić firmie Tolta.

Słucha tego w milczeniu. Nie próbuje dyskutować. Siedzi z kamienną twarzą, obliczając, co zostanie jej w kieszeni po spustoszeniach dokonanych przez prawników. Nie jest tym zachwycona, ale nie ma wielkiego wyboru.

- Czy to wszystko? - pyta.

- Zakładając, że Tolt nie zmienił zdania, a palestra nie zrobiła najazdu na jego biuro.

Dana chwyta z podłogi torebkę i czapeczkę, wstaje i odwraca się do wyjścia. Jej biały tyłeczek podryguje przy każdym kroku.

- Jeszcze jedno - rzucam za nią.

- Co takiego? - Odwraca się, przystając w połowie drogi między biurkiem a drzwiami. Zapłaciła już za luksus drwiącego spojrzenia. Patrzy na mnie z pogardą, opierając dłoń na biodrze ponad złotymi udami.

- Wiesz może, kim jest Grace Gimble? - pytam.

- Kto?

- Grace Gimble.

- Pewnie jedna z kochanek Nicka.

- Ty mi to powiedz.

- Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

- A Jamaile Enterprises?

Kręci głową, tym razem lekceważąco.

- Pytałeś mnie już o to - odpowiada. - Mówiłam ci, że nigdy ó tym nie słyszałam. Mogę już iść?

- Jeszcze tylko jedno pytanie, na wypadek gdyby gliny zagadnęły mnie o to. Co im powiedziałaś o Nathanie? Pytali cię o niego?

- Nie. Nie z nazwiska - mówi. - Zadawali jedynie ogólne pytania. Jak

układało mi się małżeństwo z Nickiem. Czy byliśmy szczęśliwi. Co miałam im powiedzieć?

- Może na przykład prawdę.

- Tak, jasne. Mąż i ja właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie dawał mi pieniędzy na życie. Spotykałam się z kimś innym. Nie wiem, z kim mąż się spotykał, bo nie wracał na noc do domu. Och, a tak przy okazji, jako nieboszczyk jest dla mnie wart więcej niż za życia. Wielka mi porada prawna - rzuca na odchodnym.

Ma rację.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jest druga połowa czerwca i z tego, co słyszę, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy gliny ani trochę nie przybliżyły się do ustalenia, kto zabił Nicka. Śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa najwyraźniej znalazło się w ślepych zaułku.

Wjeżdżam na parking przy Harbor Boulevard i znajduję puste stanowisko dla odwiedzających. Okręgowe biuro Zane'a Treslera mieści się na najwyższym piętrze Centrum Biurowego, zwróconego frontem do zatoki wieżowca w stylu hiszpańskiego art déco.

Melduję się w portierni na parterze i wjeżdżam windą do pomieszczeń zarządu. Na końcu długiego, wyłożonego marmurem korytarza znajdują się dwuskrzydłowe drzwi - matowe, trawione szyby w mahoniowych ramach, z nazwiskiem ZANE TRESLER wymalowanym złotymi literami na szkle. Tresler reprezentuje Okręg 5 i Adam miał rację: jest teraz przewodniczącym rady nadzorczej.

Szarpięciem otwieram ciężkie drzwi i wchodzę do środka. Sekretariat przypomina małe muzeum. Na środku pomieszczenia, niczym lodowa kolumna, tkwi sięgająca sufitu gablota. Wewnątrz znajdują się zabytki dawnych cywilizacji. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że z Ameryki Środkowej lub Południowej. Dostrzegam tam starą ceramikę, ustawioną

na półkach wokół wielkiej kamiennej tablicy pokrytej białym tynkiem, w którym wyryte są jakieś znaki. Na umieszczonej obok etykietce czytam:

STELA MAJÓW Z SZÓSTEGO WIEKU NASZEJ ERY

TA DOSKONALE ZACHOWANA TABLICA MAJÓW, POKRYTA HIEROGLIFAMI WYRYTAMI W STIUKU WAPIENNYM, JEST STAROŻYTNYM DOKUMENTEM I FORMĄ PRZEKAZU PISANEGO UŻYWANĄ PRZEZ SKRYBÓW DO REJESTROWANIA WAŻNYCH WYDARZEŃ LUB UROCZYSTOŚCI RELIGIJNYCH. PREZENTOWANY TU OBIEKT ZOSTAŁ ODKRYTY W ROKU 1932 W POBLIŻU RUIN TULM NA KARAIBSKIM WYBRZEŻU JUKATANU. PRZYPUSZCZALNIE PRZENIESIONO GO TAM Z PIERWOTNEGO STANOWISKA W CENTRALNEJ CZĘŚCI POŁUDNIOWEGO MEKSYKU.

Spotkanie z Treslerem jest wyznaczone na godzinę dziesiątą. Jestem parę minut za wcześnie. Okrążam gablotę i podaję wizytówkę młodej kobiecie za biurkiem.

Kobieta podnosi słuchawkę, podaje moje nazwisko, słucha przez moment, po czym rozłącza się.

- Za chwilę ktoś po pana wyjdzie - mówi.

Odwracam się, by obejrzeć gablotę od drugiej strony.

Znajdują się tu wyroby ceramiczne, kilka mis i dzbanek, przy czym niektóre z cieniutkimi rysami, pochodzące, jak przypuszczam, jeszcze z czasów Mojżesza. Wydrukowana elegancką czcionką etykietka obok nich mówi: KULTURA TOLTEKÓW: DZIESIĄTY WIEK NASZEJ ERY. Myliłem się. Zanim mam czas przeczytać więcej, słyszę czyjś głos za plecami.

- Pan Madriani?

Odwracam się i widzę przed sobą młodego człowieka.

- Witam. Jestem Arnie Mack, osobisty asystent prezesa Treslera. - Uśmiecha się szczerze, gdy ściskamy sobie ręce.

- Niezła kolekcja - zauważam.

- Tak. To jedna z pasji prezesa. Jest wielkim miłośnikiem archeologii i historii. Zamierza ufundować lokalne muzeum.

- Słyszałem o tym.

- Pozwoli pan ze mną. - Prowadzi mnie obok biurka

sekretarki ku strzeżonym drzwiom wiodącym do najświętszego przybytku.

Docieramy do kolejnych dwuskrzydłowych drzwi o półprzezroczystych szybach z trawionego szkła, na których widnieją złożone litery:

ZANE TRESLER

PRZEWODNICZĄCY RADY NADZORCZEJ

Gdy dzieciak otwiera je, wyczuwam charakterystyczny stęchły zapach. To znajoma woń, która - jak się zdaje - zalega w budynkach rządowych sięgających czasów Wielkiego Kryzysu z lat trzydziestych. Często utożsamiałem ten wilgotny odór z zapachem władzy.

Dzieciak robi parę niepewnych kroków w głąb przepastnego gabinetu.

- Przepraszam, panie prezesie.
- Co jest?
- Pański gość z dziesiątej zero zero już przyszedł.
- No to go wpuść.
- On już tu jest.

Za biurkiem, pięć metrów dalej, siedzi łysy mężczyzna. Zmarszczki przecinają jedna nad drugą jego blade czoło, kończąc się dopiero w okolicach wierzchołka głowy. Ta wygląda jak wypolerowany, wycelowany we mnie pocisk, gdy Tresler pochyla się w skupieniu nad ogromną stertą papierów spoczywającą na środku skórzanej podkładki, jedyne przedmiotu na pustym poza tym biurku.

Facet najwyraźniej ma zdolność koncentracji godną mistyka, gdyż ani nie rusza się, ani nie unosi wzroku, kiedy tupiąc i szurając nogami po twardym marmurze, podchodzimy do biurka.

Niewysoki i szczupły, Tresler zupełnie nie sprawia wrażenia człowieka posiadającego majątek warty miliardy i rządzącego polityczną dynastią, nawet jeśli tylko na skalę lokalną. Ma na sobie zapiętą pod samą szyję syntetyczną białą koszulę z krótkim rękawem, a do tego jeden z tych sznurkowych krawatów popularnych w latach pięćdziesiątych - ten akurat ozdobiony tkwiącą tuż pod grdyką okazałą bryłą niebieskozielonego turkus w

srebrnej oprawie. Gdybym nie wiedział, kim jest, mógłbym pomyśleć, że lada moment wyciągnie bandżo i gitarę. Czyta, wodząc nieomal nosem po papierach.

Dzieciak patrzy na mnie, nie wiedząc, czy ma wyjść, czy zostać.

- Panie prezesie...

- Wynoś się - mówi Tresler. - Wynoś się stąd, do diabła. Nie widzisz, że czytam?

- Pański gość z dziesiątej, panie prezesie.

- Wiem. Słyszałem. Myślisz, że jestem głuchy?

- Przepraszam.

Dzieciak uznaje, że pora mnie zostawić. Wycofuje się ku drzwiom, ślizgając się po marmurze w swych butach na skórzanych podeszwach niczym na łyżwach.

- Proszę usiąść. Za chwilę skończę. - Tresler wciąż nie patrzy na mnie.

Siadam w jednym ze skórzanych foteli przed biurkiem, zakładam nogę na nogę i obserwuję go. Trwa to tak długo, że mógłbym podejrzewać, iż zemdłał, gdyby nie to, że jego nos wciąż unosi się parę centymetrów nad stertą papierzysek. Mniej więcej co minutę spod blatu wysuwa się dłoń, by przełożyć kolejną kartkę na stos już przejranych.

Po kilku minutach odchrząkuję lekko.

- Po co pan tu przyszedł? Ramiriz przysłał mi kolejnego lizusa?

Ramiriz, o którym mówi, to - jak przypuszczam - Bernardo, przewodniczący sądu okręgowego.

- Prawdę mówiąc, nie. Jestem tu we własnej sprawie.

Wreszcie unosi wzrok. Rzuca mi lekko zdziwione spojrzenie, po czym chwytą pojedynczą kartkę. Widzę, jak prześwitują przez nią wydrukowane po drugiej stronie linijki tekstu.

- Tu mam napisane, że jest pan adwokatem - mówi Tresler. - Budżet sądowy. - Poprawia okulary na nosie i patrzy na mnie długo i surowo.

Domyślam się, że ma dobrze ponad sześćdziesiąt lat, może nawet koło siedemdziesięciu. Normalnie człowieka w tym wieku potraktowałoby się pobłażliwie, przyjmując, że drażliwość dopadła go mniej więcej w tym

samym czasie co wzdęcia - i prawdopodobnie z tych samych powodów. Co do Treslera, przypuszczam, że taki już się urodził.

- Czego pan chce? - pyta.

- Adam Tolt załatwił mi to spotkanie - wyjaśniam. - W ramach koleżeńskej przysługi. Być może stąd wzięło się zamieszanie w pańskim terminarzu.

- Aaach. Więc jest pan przyjacielem Adama?

- Powiedzmy, że znajomym.

- Jak on się miewa? - Odkłada terminarz na bok, na biurko.

- Kiedy widziałem go wczoraj, miał się nieźle.

- To dobrze. Miło mi to słyszeć. - Nazwisko Adama daje równie dobroczynny efekt jak łagodny środek przeczyszczający. - Ma pan wizytówkę? - pyta.

Dzieciak był zbyt wystraszony, by wręczyć mu tę, którą dostał, więc wyciągam z kieszeni drugą i podaję mu. Studiuje ją uważnie.

- Mad-ri-ni.

- Ma-dria-ni - poprawiam go.

- Więc mówi pan, że Tolt pana przysłał?

- Nie. Umówił mnie tylko. Nie jestem tu na jego polecenie. Adam i ja jesteśmy znajomymi - wyjaśniam. - Był na tyle uprzejmy, że zorganizował to spotkanie, bo mnie pan nie zna.

- Rozumiem. Współpracowaliście przy jakichś sprawach, prawda? Adam to dobry prawnik. - Zdejmuje okulary i patrzy na mnie zmrużonymi oczyma. Odnoszę wrażenie, że nie widzi mnie teraz. Maca rękoma, aż wreszcie otwiera środkową szufladę biurka, wyciąga małą szmatkę do czyszczenia okularów i zaczyna przecierać każdą soczewkę z osobna, chuchając na nie. - Reprezentował mnie przy paru okazjach - mówi.

- Nie wiedziałem o tym.

- Och, tak. To było już dosyć dawno temu - wyjaśnia. - Jeszcze w latach sześćdziesiątych. Pewne spory o prawa własności.

- Jak sam pan stwierdził, to dobry prawnik.

Zakłada z powrotem okulary, więc znów widzi ostro.

Szmatka znika w środkowej szufladzie, wszystko wraca na swoje miejsce.

- Skoro nie chodzi o budżet sądowy, w jakiej sprawie chciał się pan ze mną spotkać?

- Szukam informacji o pewnych ludziach, których jakiś czas temu mianował pan do okręgowej komisji do spraw kultury.

- O ludziach, których mianowałem? - dziwi się. - Dlaczego? Któryś z nich zrobił coś złego?

- Jeden z nich został zabity - wyjaśniam.

- Kiedy?

- Dwa miesiące temu. Być może czytał pan o tym w gazetach. Nazywał się Gerald Metz. On i jego adwokat zostali zastrzeleni przed gmachem sądu federalnego.

Patrzy na mnie i krzywi się.

- Pamiętam, że widziałem nagłówek. Ale nazwisko nic mi nie mówi. Nie sądzę, żebym go znał.

- Mianował go pan.

- Mianuję wielu ludzi na wiele stanowisk. To nie znaczy wcale, że ich znam. Jeśli chce pan coś wiedzieć na ten temat, może pan wypytać moich pracowników - mówi. - Proszę wyjść, pójść do mojej sekretarki, podać jej nazwisko tego człowieka, a ona znajdzie dla pana wszystkie informacje, jakie mamy.

- Mówi pan, że nie pamięta Geralda Metza?

- Tak właśnie powiedziałem.

- Mam jeszcze dwa inne nazwiska. Mogę zapytać, czy zna pan któreś z nich?

- Słuchaj pan, jestem zajęty - rzuca ostro.

- Chodzi mi o to, czy jeśli nie znał ich pan osobiście, zostali panu poleceni przez kogoś innego. A jeśli tak, to przez kogo.

- Po co to panu? Mówił pan, że dla kogo pracuje? Jest pan reporterem? - Zaczyna pokazywać kły.

- Nie, panie prezesie. Jestem prawnikiem. Zastrzelono jednego z moich przyjaciół. To on był tym adwokatem, który wtedy zginął.

Poważnie kiwa głową.

- Pamiętam tę strzelaninę. Widziałem to w gazetach. Straszna rzecz.

- Jego klient nazywał się Gerald Metz.

- Hmm.

- Nie wiedział pan, że jednego z ludzi, którzy ponieśli śmierć w tym incydencie, mianował pan do komisji do spraw kultury?

- Nie. - Kręci głową. - Nikt mi o tym nie wspomniał. Wiedziałem, że pani Rush jest w komisji - dodaje. - Rozumiem, że to jej mąż był pańskim przyjacielem.

- Zna pan Danę?

- Nie. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek ją spotkał. Ale znałem jej męża.

- Skąd znał pan Nicka?

- Och, nie wiem. Spotkaliśmy się gdzieś. Na jakiejś imprezie, zbiórce pieniędzy. Widzieliśmy się parę razy. Robił wrażenie całkiem miłego gościa. Może pan powtórzyć nazwisko klienta?

- Gerald Metz.

Zastanawia się. Wolno kręci głową.

- Nie. Nie sądzę, żebym znał to nazwisko. Nie twierdzę, że go nie mianowałem. Po prostu nie pamiętam nazwiska.

- Więc tak od ręki nie potrafiłby mi pan powiedzieć, dlaczego mianował Metza do komisji?

- Jestem pewny, że miał kwalifikacje. Ale tak z marszu to nie wiem.

- Czy dałoby się gdzieś znaleźć dokumenty, z których wynikałoby, czy ktoś polecił panu te osoby na owe stanowiska?

- Być może - stwierdza.

Odnoszę wrażenie, że odpowiedź zależałaby od tego, do czego zamierzam użyć tych danych.

- Czy może pan powiedzieć mi, jak została mianowana pani Rush, żona Nicka?

- Och, to proste - mówi. - Jej mąż poprosił mnie, żebym ją mianował.

- Nick?

- Zakładam, że to jedyny mąż, jakiego miała.

- W takim razie musiał pan dość dobrze znać Nicka.

- Jak już mówiłem, spotkaliśmy się parę razy na przestrzeni lat. A teraz wybaczy pan, mam mnóstwo pracy.

- Gdzie mogę znaleźć akta mianowanych osób?

- Proszę porozmawiać z moim personelem - mówi.

Znowu pochyla nos nad stertą papierów, próbując mnie splawić.

- Mogę zapytać pana o jeszcze jedno nazwisko?
- Jakże? - rzuca szorstko.
- Nathan Fittipaldi.

Zastanawia się chwilę, szybko przeszukując pamięć, po czym kręci głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Jego też mianował pan do komisji.
- Jak powiedziałem, mianuję wiele osób. Jeśli ma pan pytania, proszę porozmawiać z moimi pracownikami - mówi. - A teraz wynoś się pan.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Harry potrzebował niecałych dwóch dni, żeby zdobyć listę sponsorów kampanii Treslera. Jak się spodziewaliśmy, Adam Tolt pojawia się wszędzie.

- Nie wiem, komu ten człowiek nie dawał - stwierdza Harry. Siedzi rozwalony na jednym z moich krzeseł dla klientów i przegląda wydruki komputerowe, streszczając mi swoje odkrycia. - Kongres, połowa stanowego zgromadzenia ustawodawczego, rada miejska. Ostatnim razem wsparł obu kandydatów na gubernatora. Można by sądzić, że to już powinno kogoś wkurzyć - mówi. - Najwyraźniej nie. Nazwisko i adres tego faceta są chyba fabrycznie drukowane we wszystkich organizacjach. Przypomnij mi, żebym trzymał się z dala od wszelkich zbiórek pieniędzy - dodaje.

Nie wiem czemu, ale nie przewiduję z tym większych problemów.

- Tolt wspomógł wszystkich pięciu członków rady nadzorczej - ciągnie Harry. - Żadnych faworytów. Dwieście pięćdziesiąt dolarów na głowę. Górny limit dla datków dotyczących osób fizycznych. Tyle samo dał Treslerowi. - Uznaje to za dobry punkt odniesienia do oceny innych. - Ma kupę szmalu, ale wydziela go małymi porcjami.

To jeden ze współczesnych mitów, że ludzie nadziani z definicji przekazują

duże sumy. Nawet najbogatsi ograniczają się zwykle do paruset dolarów na kandydata. Po prostu robią koło tego więcej szumu.

- Jest tutaj i Metz, i Fittipaldi - mówi Harry. - Ale znów z małymi kwotami. Metz dał sto. Fittipaldi sto pięćdziesiąt. Co ciekawe, dali tylko Treslerowi. Domyślam się, że mieli w tym jakiś cel.

- Mianowanie do komisji - stwierdzam.

Mój współnik kiwa głową.

- I nie chcę cię rozczarować, ale Dana nie pojawia się w ogóle.

Wygląda na to, że nie kłamała. Jest apolityczna, w każdym razie jeśli chodzi o politykę.

- Ale tu mam coś ciekawego - mówi Harry. - Zgadnij, kto pojawia się jako główny sponsor.

- Nick.

- Skąd wiedziałeś?

- Nazwij to przecuciem - odpowiadam. Tresler znał Nicka. Polityk mający w swym okręgu trzysta tysięcy wyborców nie będzie raczej pamiętał waszego imienia, chyba że należycie do jednej z dwóch kategorii: macie wpływy albo zrobiliście coś dla niego ostatnio. - Ile? - pytam.

- Może to też zgadniesz? Rzuć liczbę.

- Tysiąc? - strzelam.

- Pomnóż to przez dziesięć.

Prostuję się. Nic dziwnego, że Tresler znał go z imienia.

- A żeby ominąć ograniczenia wysokości darowizn - ciągnie Harry - założył komitet wyborczy. Obywatele Władzom Hrabstwa.

Komitet wyborczy, o którym mówi, to grupa ludzi o wspólnych interesach, którzy łączą swoje fundusze, żeby zapewnić sobie większą siłę przebięcia.

- Przez dwa lata przekazywali partiami po pięć tysięcy dolarów. Wszystko to dla Treslera. Nick jest wymieniany jako skarbnik. Sam wpłacił maksymalną dopuszczalną kwotę dla osób fizycznych, dwieście pięćdziesiąt dolarów rocznie.

- Pokaż mi to.

Harry podaje mi wydruk. Przebiegam wzrokiem listę. Nie muszę szukać długo, by znaleźć komitet wyborczy.

Ofiarodawcy są uporządkowani według wysokości przekazanych kwot, najhojniejsi na samym początku.

Moja mina mówi Harry'emu, że nie jest to coś, czego się spodziewałem.

Komitet wyborczy Nicka liczy dwadzieścia osób. Na każdy rok jest osobna lista, lecz nazwiska są w większości te same. Niektóre osoby pochodzą spoza hrabstwa. Dwie są z innego stanu.

- Wiadomo ci coś o tym, żeby się zajmował polityką? - pyta Harry.

- Nigdy nie angażował się zbyt w działalność obywatelską - odpowiadam.

- Tak właśnie myślałem. Ale mimo wszystko sprawdziłem. Nie wspierał nikogo innego. Przeglądałem listy ofiarodawców na szczeblu hrabstwa, stanowym i federalnym. Poza listą Treslera nigdzie ani śladu Nicka. Więc jak myślisz, o co mu chodziło?

Kręcę głową. Nie mam pojęcia.

- Można by przyjąć - kontynuuje Harry - że te dziesięć tysięcy miało otworzyć jego żonie drzwi do komisji. Ale trzeba przyznać, że to lekka przesada. Zwłaszcza u kogoś, kto zalega z opłatami za dom.

Odchylam się na oparcie fotela, wciąż studiując listę nazwisk pod Nickiem.

- Tresler nie napomknął nic o tym, kiedy z nim rozmawiałeś, prawda?

- Nie.

- Może powinieneś wrócić i zapytać go.

- Powiedziały mi to, co mówi każdy polityk, kiedy zadaje mu się takie pytania. „Jestem ponad to. Nie interesuję się tymi sprawami”. Udawałyby zaskoczonego i stwierdziłyby, że Nick musiał zostać wyznawcą jego filozofii: starczej wojowniczości - mówię. - O ile w ogóle udałoby mi się do niego dostać. Przypuszczam, że zdążył już umieścić moje nazwisko na czarnej liście ochroniarzy w holu, pod hasłem „maniacy i obłąkani”. Z drugiej strony nie próbował się wypierać, że zna Nicka.

- Dobrze wiedzieć, że przynajmniej pieniądze Nicka kupiły mu odrobinę uznania, nawet jeśli tylko pośmiertnego - stwierdza Harry. - W każdym

razie niewiele nam to wszystko dało.

Telefon na moim biurku zaczyna dzwonić.

- Jeśli nie liczyć tego, że teraz mamy więcej pytań - kończy swoją myśl, gdy ja podnoszę słuchawkę.

- Halo.

- Jesteś jedynym prawnikiem, jakiego znam, który sam odbiera telefony. - Rozpoznaję chrapliwy głos na drugim końcu linii. - Tu Joyce - mów. - Pewnie myślałeś już, że umarłam i smażę się w piekle.

Wyjaśnia, że razem z Bennym sprawdzili wczoraj w nocy dom dealera narkotyków.

- Ale nic się nie martw - dodaje. - Benny zabrał spluwę. Dubeltówkę, obie lufy naładowane. Musieliśmy się upewnić co do adresu.

- Nie wierzycie mi?

- Jesteśmy profesjonalistami - mówi. - Chcieliśmy zrobić to, jak należy.

Oczywiście wyobraźni widzę ją, jak stoi na schodach z jedną z tych latarek, które wymagają baterii wielkości pojemnika na chleb, spisując do notesu nazwiska ze skrzynki na listy, podczas gdy Benny siedzi w samochodzie ze swoim garłaczem, gotowy rozwalić w pył cały ganek, gdyby ktokolwiek pojawił się w drzwiach. Mógłbym dopatrzeć się tu co najmniej trzech przestępstw. To cały problem z Joyce. Znam gangsterów działających z większą dyskrecją.

- Czego się dowiedzieliście?

- Twój człowiek to Hector Saldado - odpowiada.

- Jesteś pewna?

- Tak. Na sto procent - mówi. - Wierz mi.

- Chwileczkę. - Chwytam długopis i parę samoprzylepnych kartek z pojemnika na biurku.

- Przeliterować ci? - Dyktuje po literce. - Nie dość, że jest jedynym lokatorem, który ma telefon komórkowy - wyjaśnia - wiesz, z tych wszystkich nazwisk, które mi podałeś...

- Tak.

- ...to jeszcze regularnie dzwoni do Meksyku.

Milczenie na moim końcu linii mówi jej, że to istotna wiadomość.

- Pomyślałam, że to cię może zainteresować - dodaje. - Było ich mnóstwo. Tych rozmów, znaczy się. Prawie codziennie co najmniej trzy albo cztery. Wszystkie raczej krótkie. Wiesz, minuta, może dwie. Ale ile czasu potrzeba na zamówienie partii narkotyków? Mniej niż na zamówienie pizzy, głowę daję. Tam nie ma specjalnych dodatków.

- Masz wykaz połączeń?

- Obiecałam ci, że go zdobędę, no nie? Chcesz cały? Jest dosyć długi. Wiesz, minuta tu, dwie minuty tam. Poza tym dużo numerów się powtarza - mówi. - Sprawdziłam je. Kod kraju i strefy. To Meksyk.

- Gdzie? Wiesz, jaka to część Meksyku?

- Chwila - mówi. - Zobaczymy, mam to gdzieś tutaj.

Słyszę, jak zasłania dłonią mikrofon i szpera w papierach.

- Jest - wraca na linię. - Cancún. Quin-ta-naroo? Dobrze mówię?

- Słyszałem o tym - mówię. To region, który Metz odwiedził, kiedy załatwiał interesy z braćmi Ibarra. - Posłuchaj. Mam dla ciebie następne zadanie.

Dziś po południu spieszy mi się. O czwartej mam samolot na północ. Lecę w interesach do stolicy, a przy okazji chcę załatwić po drodze pewną sprawę. Przed trzecią powinienem być na lotnisku, tymczasem zaś wciąż tkwię na lunchu, w stylu Adama, w prywatnej jadalni obok jego gabinetu. Siedzimy po przeciwnych stronach stołu długości pasa startowego; jest nakryty lnianym obrusem, na którym stoją dwie świece w srebrnych lich-tarzach stanowiących komplet ze srebrnymi podstawkami, na których spoczywają talerze z delikatnej porcelany.

RDD zatrudnia kucharza na specjalne okazje, a także firmę, która przy-syła kelnerów w białych liberjach, ilekroć są potrzebni do wynoszenia dań z mieszczącej się za drugimi drzwiami kuchni. Wszystko, czego potrzeba, by prowadzić pięciogwiazdkową restaurację.

- Świetnie to rozegrałeś - mówi Adam. - Zważywszy na okoliczności, nie sądzę, żeby ktokolwiek poradził sobie lepiej. Zrobiłeś użytek z kart,

jakie ci przypadły, i to z zupełnie niezłym skutkiem.

- Dla kogo?

- Dla swojej klientki. - Sięga przez stół, dźga nożem jeden z kwadracików masła na półmisku, przenosi go i rozsmarowuje na ciepłej bagietce, którą wybrał z wyłożonego płócienną serwetką koszyka. - Wiem, myślisz pewnie, że wystrychnąłem cię na dudka, wykorzystując ugodę, żeby wyrwać dla siebie sumę, którą zabrała. Faktem jest...

- Faktem jest, że firma odzyskała pieniądze - zauważam.

- To prawda. - Uśmiecha się. - Cóż mogę powiedzieć? Czasami po prostu ma się szczęście.

Odnoszę wrażenie, że Adamowi zdarza się to odrobinę częściej niż przeciętnym zjadaczom chleba.

Okazją do spotkania jest nadejście czeku z towarzystwa ubezpieczeniowego. Dana zgodziła się na uszczuplenie swojej części i upoważniła mnie do doręczenia RDD czeku na pokrycie brakującej kwoty z konta powierniczego firmy. Wszystko to z odsetkami. Czek spoczywa teraz w kopercie na biurku Adama, podczas gdy my łamiemy się chlebem.

- Wiesz przecież, że ona nie ma powodu się skarżyć.

Mam nadzieję, że wyjaśniłeś jej to. - Chce przez to powiedzieć, że skończyło się to dla niej pieniędzmi w banku zamiast perspektywy wyroku sądowego.

Kelner przynosi główne danie, drób duszony w czerwonym winie, wraz z długimi ziarnami dzikiego ryżu, bukietem pieczonych warzyw i nową dostawą od winiarza - pięcioma różnymi gatunkami win do wyboru.

- *Pièce de résistance* - mówi Adam.

Drugi kelner niesie przystawki, faszzerowane pieczarki i szparagi polane stopionym masłem, strawę wystarczająco obfitą, by przyprawić żebraka o atak podagry.

- Bażant jest pieczony w maderze - wyjaśnia Adam. - Pierwszy raz jadłem tę potrawę na wycieczce do Portugalii. To było chyba ze cztery lata temu. Prosiłem o przepis, ale nie chcieli mi dać. Tak więc kazałem Armandowi zadzwonić do restauracji w Lizbonie. Armand to nasz kucharz i szef kuchni w Marmande.

- Tyle się domyśliłem.
- Dali mu go. Przysługa dla kolegi po fachu. Tak jest w każdej branży - stwierdza.

Kelner unosi szklaną pokrywę znad półmiska, który postawił przed Adamem. Mój kelner robi to samo. Tolt zagłębia widelec w ptaka, po nasadę zębów. Odcina nożem nieduży kąsek i próbuje, podczas gdy kelner nalewa mu wino.

- Powiedz Armandowi, że tym razem przeszedł sam siebie - mówi do kelnera.

Facet uśmiecha się i gnie w wytwornym ukłonie.

- Czy życzą sobie panowie coś jeszcze?

Adam patrzy na mnie.

- Być może wypadaloby spożyć te dania na leżąco, na modłę Rzymian - stwierdzam. - Ale jeśli czegoś tu brakuje, to nie mam pojęcia, co miałyby to być.

- Nie, dziękujemy - odpowiada Adam.

Kelnerzy wychodzą.

- Zaprosiłbym Harry'ego - mówi Tolt. - Masz wspaniałego współnika. To dobry człowiek. Stara szkoła. Poznają to - stwierdza.

Z jakiegoś powodu ci dwaj przypadli sobie do gustu. Nigdy bym się tego nie spodziewał. Adam, podróżujący po całym świecie, powiernik możliwych i Harry, który sam prasuje sobie koszule.

- Byłem pod wrażeniem gruntowności jego badań. Te argumenty i precedensy, które daliście ubezpieczycielowi. To jego dzieło? - Spogląda na mnie znad talerza.

- Od początku do końca. Harry uratował mnie przy niejednej okazji - odpowiadam.

- Każdy rycerz potrzebuje dobrego płatnerza - stwierdza Tolt. - Chętnie zaprosiłbym go, ale chciałem porozmawiać z tobą o innej sprawie.

Cały czas czułem, że Adam nie świętowałby tak, gdyby nie miał w tym jakiegoś interesu.

- Jeszcze trochę wina? - pyta.
- Nie, dziękuję. - Zerkam na zegarek.
- Nie martw się - uspokaja mnie. - Powiem swojemu kierowcy, żeby zawiózł cię na lotnisko.
- Walizki mam już w bagażniku - mówię mu.

- Możesz zostawić samochód w naszym garażu. Kierowca zawiezie cię na lotnisko w dziesięć minut i wysadzi cię przed samym wejściem. Dzięki temu nie będziesz musiał szukać miejsca do parkowania. Jeśli powiesz mi, kiedy wracasz, wyjedzie po ciebie.

- Nie mogę sprawiać ci tyle kłopotu.

- Nonsens.

- Tylko tak dalej. Rozpuścisz mnie, Adamie.

- O to właśnie mi chodzi. - Uśmiecha się i bierze kolejny kęs.

- Więc o czym chciałeś rozmawiać? - Chcę wiedzieć, jaka jest cena.

- Nie pytałem cię, dlaczego ona wzięła te pieniądze. To znaczy, Dana. Pani Rush. Zakładam, że była w trudnej sytuacji finansowej. Tak więc sądzę, że nic złego się nie stało. Ale chciałbym wiedzieć jedno.

Sącząc wino, odchyłam się na oparcie krzesła i słucham.

- Ubezpieczenie, kradzież czeków kont powierniczych. Czy te sprawy miały coś wspólnego ze śmiercią Nicka? Nie chodzi mi o żadne szczegóły - zastrzega się. - Cokolwiek padło między wami w ramach relacji adwokat-klient, niech pozostanie poufne. Zadowolę się wszystkim, co mi powiesz. Jeśli nie możesz powiedzieć nic, rozumiem to. Gnębią mnie konsekwencje dla firmy. Chciałbym po prostu wiedzieć, czy powinniśmy się spodziewać w związku z tym dalszych reperkusji.

- Chcesz wiedzieć, czy moim zdaniem to Dana zabiła Nicka?

Krzywi się.

- Chyba tak. W pewnym sensie - przyznaje. - Zwlekałem, tuszowałem sprawę. I można powiedzieć, że położyłem głowę pod topór. Robiłem to, żeby chronić firmę. Ale jeśli sprawa nie jest czysta i gliny zaczną szperać, to dotrą do tych podrobionych czeków. A wtedy będę musiał wyjaśnić sądowi, a może i policji, dlaczego tego nie zgłosiłem.

- Rozumiem.

- Wiedziałem, że mogę na to liczyć.

- Niestety, nie mogę ci pomóc. Nie dlatego, że nie chcę - dodaje. -

Prawda jest taka, że nie wiem. Dana twierdzi, że nie miała z tym nic wspólnego. Mówi, że Nick zostawił ją na lodzie. I że to jedyny powód, dla którego zabrała czeki z jego biurka.

- Wierzysz jej?

Śmieję się bezgłośnie.

- Dawno już dałem sobie spokój z prorokowaniem. Ona wiedziała o ubezpieczeniu. Miała kopię polisy. Powiedziała mi, że znalazła ją dopiero po naszej pierwszej rozmowie. Ale szczerze mówiąc, nie wierzę jej. Musiała wiedzieć, że na polisie jest nazwisko Margaret.

- Więc okłamała cię.

- I to nie jeden raz.

- A kwestia podwojenia świadczenia?

- Nie wiedziała, jak to się nazywa, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Ale dość szybko połapała się, w czym rzecz, gdy tylko powiedziałem jej, że śmierć Nicka była wypadkiem. Nie sądzę, żeby to było dla niej czymś nowym. Musiała czytać gazety, śledzić przebieg dochodzenia. Policja przedstawiała już otwarcie swoje domysły. Czy mogła rozmawiać z kimś, kto wskazał jej formalną podstawę do roszczeń, nie umiem powiedzieć.

- A twój instynkt? Na pewno wyrobiłeś go sobie, specjalizując się w sprawach karnych. Co on ci mówi?

Robię minę wskazującą, że wolałbym nie odpowiadać na to pytanie. Ale potem robię to.

- Instynkt mówi mi, że Dana to problem. Nie twierdzę, że zabiła męża. Twierdzę tylko, że trudno jest rozgryźć, co się dzieje w danej chwili za tymi błękitnymi oczyma. Czy ona jest do tego zdolna? Przypuszczam, że tak. Nie mam na myśli samego pociągnięcia za spust.

- Masz na myśli wynajęcie kogoś?

- Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają. Ale...

- Ale co?

- Ci ludzie byli profesjonalistami.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Byłem tam. Słyszałem strzały. Gdyby Dana wynajęła kogoś, żeby zabił Nicka, najprawdopodobniej byłby to ktoś, kogo spotkała w jakimś barze, może krewki kochanek, któremu zleciła robotę. Tego rodzaju ludzie z

reguły nie mają dostępu do broni automatycznej, czy też półautomatycznej. A Nick i Metz zostali zabici z pistoletu maszynowego. Dziewięć metrów. Widziałem na ziemi parę łusek. Wyleciały przez okno samochodu, kiedy oddawano strzały.

- Hmm. - Tolt prostuje się na fotelu i w zamyśleniu żuje wolno kęs bazyliki.

- Więc sądzisz, że nie ona to zrobiła?

- Tego nie powiedziałem. Z pewnością miała motyw. I niewykluczone, że jest bardziej zaradna, niż myślę. Mogła przekroczyć granicę, pojechać do Tijuany, pokazać gdzie trzeba trochę szmalu i znaleźć gliniarzy, którzy przedstawiliby ją ludziom mającym uzi lub kałasznikowy i umiejącym robić z nich użytek. Może nawet zajęliby się tym sami, gdyby tylko odpowiednio im zapłacić. Tak to już jest w San Diego. Bliskość południowej granicy stwarza tu zupełnie nową dynamikę.

- Więc ona mogła to zrobić?

- Niewykluczone.

- Z tego, co mówisz, wszystko jest możliwe.

- Otóż to.

- Niestety, to nie pozwoli mi lepiej spać po nocach - skarży się.

- Mówię tylko, jak jest - wyjaśniam.

Kończymy główne danie i kelnerzy przynoszą na deser *crème brûlée* oraz kawę z kropelką koniaku. Adam proponuje mi cygaro. Odmawiam.

- Nick je uwielbiał. Na ostatnim przyjęciu gwiazdkowym kopcił jedno za drugim - mówi.

- Taka jest między nami różnica - stwierdzam.

- Nie jedyna - zauważa Tolt. - Mam wyrzuty sumienia z powodu Nicka. Nie po prostu dlatego, że on nie żyje. Nie był traktowany tak dobrze, jak na to zasługiwał, kiedy tu pracował, i była w tym moja wina. To ja nadawałem ton, a przez ostatni rok, może dłużej, nic mnie nie obchodziło. Ale moja żona była chora.

- Nie wiedziałem o tym.

- Tak. Na raka - wyjaśnia.

- Przykro mi.

- Nie, już wszystko dobrze. Pokonała go - mówi. - Ale człowiek nigdy

nie wie, jak długo będzie mógł się cieszyć tymi, których kocha. Tak więc przez ostatnie dwa lata wszystkie wolne chwile spędzałem z nią zamiast w firmie. I obawiam się, że Nick... był jednym z naszych najnowszych nabytków... obawiam się, że dla niego zabrakło mi czasu. Nie mogę odgonić od siebie myśli, że ta sprawa, w którą się wplątał... wiesz, cała ta historia z Metzem... że może to się wzięło stąd, że uznał swoje możliwości w firmie za w pewien sposób ograniczone. Ty znałeś go najlepiej. Mówił coś na ten temat?

- Hmm... nie da się ukryć, że był rozczarowany - przyznaję.

- A więc mówił ci. Wiedziałem. I moja w tym wina. Byłem po prostu zbyt zajęty, żeby się o to zatroszczyć.

- Na takie coś nie ma rady - zapewniam go. - Wiem, bo też przez to przeszedłem.

Patrzy na mnie pytającym wzrokiem.

- Moja żona zmarła na raka sześć lat temu.

- Nie miałem pojęcia.

- Wszystko w porządku. Wiem, jak to jest. Jak to absorbuje człowieka. Twoje życie staje w miejscu. Ale czas płynie dalej. Masz lukę w życiorysie. Musiał minąć prawie rok od jej śmierci, nim znów byłem w stanie funkcjonować normalnie.

- W takim razie znasz to. Dzięki Bogu ja nie musiałem przez to przechodzić. Ale żyję ze świadomością, że może do tego dojdzie. A tymczasem firma wciąż szła naprzód, rozrastała się. Takie właśnie są skutki zbyt szybkiego rozwoju. Zaczyna się stawiać na ilość, nie na jakość.

- Chcesz powiedzieć, że RDD rozrosła się ponad miarę?

- Mam nadzieję, że nie. - Uśmiecha się. - Tak czy owak, Nick dostał się w szpony tego molocha. Uważał pewnie, że jego problemy wynikają z kiepskiej reakcji z chemią prawa o przedsiębiorstwach, że to nie miejsce dla niego. Ostatecznie przyszedł do nas z indywidualnej praktyki karnej. Być może dostosował się lepiej, niż sądził. Ale nie zadałem sobie trudu, żeby mu to powiedzieć. - W tej chwili Tolt patrzy nie tyle na mnie, ile przeze mnie, na ścianę za moimi plecami, robiąc osobisty bilans i krzywiąc się na

obraz, jaki widzi. - Dwadzieścia dziewięć lat w firmie. Mam sześćdziesiąt siedem lat. Wkrótce wyślą mnie na zieloną trawkę. I przypuszczam, że powinienem odejść z godnością. Mimo wszystko wciąż myślę o Nicku i zastanawiam się, czy gdybym stanął na wysokości zadania, on mógłby jeszcze żyć.

- Być może powinieneś spojrzeć na to bardziej fatalistycznie - mówię.

- Co masz na myśli?

- Lincoln budził się każdego ranka ze świadomością, że nim dzień się skończy, będzie przypuszczalnie przeglądać kolejne listy zabitych i rannych. Uważał za szczęście, jeśli liczyły one tysiące, a nie dziesiątki tysięcy nazwisk. Po roku zaczął postrzegać wojnę jako efekt działań Boga karzącego kraj za grzech niewolnictwa, a siebie jako zwykłe narzędzie. Zaczął wierzyć, że bez względu na to, co zrobi, albo jak bardzo będzie zagrzewał do walki swoich generałów, wojna nie skończy się, dopóki Bóg nie uzna, że już dość.

- Więc uważasz, że powinienem być taki jak Lincoln?

- Och, myślę, że wszyscy powinniśmy być tacy.

- Nie jesteś fatalista, ale idealistą - stwierdza.

- Nie. Jestem cynikiem, bo wiem, że tak nie będzie. Ale rozumiem, co czujesz.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. Jesteś inny niż Nick - mówi.

- Pod jakim względem?

- Dostrzegasz, co jest praktyczne, co jest wykonalne. Zbyt wielu ludzi w firmie tego nie widzi. Nie mogę osądzać Nicka, bo nie znałem go na tyle dobrze. Więc nie będę się wypowiadał. Być może on i ja pasowaliśmy do siebie bardziej, niż zdołam to stwierdzić, bo nie miałem na to czasu ani ochoty. Nie chcę popełnić tego błędu po raz drugi. Życie jest zbyt krótkie, by nie znać ludzi, z którymi się pracuje. Sporo o tym myślałem - ciągnie - i chciałbym poznać cię lepiej. Chciałbym, żebyś przyszedł pracować dla firmy.

Patrzę na niego, wstrząśnięty, oczyma jak spodki.

- Damy ci dwa razy więcej, niż zarabiasz w obecnej praktyce. I znajdziemy

miejsce dla Harry'ego. W tej chwili sprawy przygotowują dla mnie ludzie po Harvardzie. Mogliby brać od niego lekcje.

Harry w firmie takiej jak RDD byłby niczym zapalony papieros obok beczki prochu.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Nie chcę, żebyś odpowiadał mi natychmiast. Przemyśl to sobie. Porozmawiaj z Harrym. Weźcie kalkulatory i policzcie, za jaką cenę moglibyście do nas dołączyć. Przemyślcie to - mówi. - Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyście nadal pracować razem. Damy wam przylegające pokoje, podpiszemy z wami umowy, po roku obaj będziecie mieć udział w firmie jako wspólnicy. Będziecie podlegać bezpośrednio mnie - mówi.

- To mi pochlebia - stwierdzam. - Myślę jednak...

- Nie myśl o tym w tej chwili. Daj sobie trochę czasu. Możemy porozmawiać po twoim powrocie.

Cóż mogę na to powiedzieć? Zerkam na zegarek. Pora się zbierać. Adam sięga po telefon, który stoi na kredensie za jego plecami, zamawia samochód z szoferem, po czym odprowadza mnie do windy.

- Wciśnij po prostu G-1, pierwszy poziom garażu. Mój kierowca przyjdzie tam po ciebie, weźmie twoje bagaże. Jeśli zostawisz mu kluczyki, wprowadzi twój samochód do garażu na czas twojego wyjazdu. Powiedz mu, którym lotem wracasz, a odbierze cię z lotniska. Aha, i jeszcze jedno. Masz, to coś dla ciebie. - Podaje mi egzemplarz firmowej gazetki, osiem stron w pełnym kolorze, złożonych jak tabloid. - Mała lektura na drogę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przy wtórce ryku silników odrzutowych siła przyspieszenia wciska mnie w fotel. Chwilę później samolot odrywa się od pasa startowego i wznosi szybko na wysokość trzystu metrów.

Pilot zmniejsza ciąg, hałas cichnie i szybujemy nad Ocean Beach upstrzoną połyskującymi, błękitnymi plamkami basenów, mijamy Sunset

Cliffs i rozkołysaną linię fal przyboju. Załoga znów dźga ostrogami potężne turbiny i boeing 737 wspina się gwałtownie, kierując się na północ wzdłuż wybrzeża.

Gdy osiągamy wysokość podróżną, wydobywam spod fotela aktówkę, wyjmuję z niej czego mi trzeba i chowam ją z powrotem. Na stoliku przede mną lądują biuletyn Tolta, skoroszyt z zebranymi przez Harry'ego wykazami sponsorów kampanii Treslera oraz kieszonkowy komputer Nicka.

Rozsiadam się wygodnie w fotelu i otwieram biuletyn. U góry strony dostrzegam swoje nazwisko wydrukowane wielką, nagłówkową czcionką:

MADRIANI I HINDS
DOPROWADZAJĄ DO UGODY
W SPORZE O SPADEK PO RUSHU

To dlatego Adam dał mi tę gazetkę. Artykuł nie jest długi, raptem na kilka centymetrów. Opowiada o firmowej polisie partnerskiej. Tolt skorzystał z okazji, by lansować ją jako jedną z dodatkowych korzyści bycia współnikiem.

Tekst w dwóch krótkich zdaniach omawia śmierć Nicka, podając datę zdarzenia i informując, że dostał się w zasięg ognia prowadzonego z jadącego samochodu, kiedy rozmawiał z klientem przed gmachem sądu federalnego. Ostatnie dwa akapity brzmią niczym urywek z broszury reklamującej Harry'ego i mnie.

„Choć śmierć Nicka Rusha była tragiczna i przedwczesna, tych, którzy go znali, z pewnością ucieszy wieść, że miejscowi adwokaci Paul Madriani i Harry Hinds z firmy prawniczej Madriani i Hinds z Coronado skłonili towarzystwo ubezpieczeniowe do wypłaty pokaźnej sumy (3.8 miliona dolarów) na rzecz rodziny i spadkobierców Nicka.

W uzasadnieniu panowie Madriani i Hinds wykazali, że Nicholas Rush był niewinną i przypadkową ofiarą strzelaniny, a zatem znajduje zastosowanie zawarta w polisie klauzula o podwojeniu wysokości świadczenia w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku”.

Większość prawników z upodobaniem pielęgnuje złudzenia co do

własnej skuteczności. Ja jednak wiem, że do tak wysokich wypłat dochodzi jedynie wówczas, gdy rzeczoznawców ubezpieczeniowych oraz ich przełożonych skłoni do tego ktoś o większych wpływach, w tym wypadku Adam Tolt.

Przypuszczam, że Adam równie dobrze jak ja zdaje sobie sprawę, iż był to związek symbiotyczny. Wykorzystaliśmy się nawzajem. Ja chciałem uzyskać jak najwyższą kwotę, doprowadzić możliwie szybko do wypłaty i zakończyć sprawę. On chciał uprzątnąć brudy w swojej firmie. Gdyby sam nie zaproponował, by rozmowa z ubezpieczycielem odbyła się w jego biurze, ja bym to zrobił.

Zakładałem, że potrzeba będzie kilku spotkań i paru miesięcy, by dojść do jakiegokolwiek porozumienia. Być może ręce Adama sięgają dalej, a ich chwyt jest silniejszy, niż mi się zdawało.

Fakt, że zdołał skłonić towarzystwo ubezpieczeniowe do tak obojętnego otwarcia sakiewki i że pozwolili mu na opublikowanie kwoty, na czym naprawdę mu zależało, zaskoczył nawet mnie.

Podczas gdy mój wspólnik prowadził poszukiwania, by uzasadnić roszczenia, jakie zamierzaliśmy wysunąć, ja przeprowadziłem własne. Wiedziałem, że Tolt zasiada w radach nadzorczych kilku przedsiębiorstw.

Przekopawszy się przez pewne publikacje, odkryłem, że jest ich siedem, chyba że przeoczyłem jakieś, czego nie można wykluczyć. To bez wyjątku wielkie międzynarodowe koncerny z głównymi siedzibami w Stanach Zjednoczonych. W ich radach nadzorczych znaleźć można standardowy zestaw podejrzanych, nazwiska znane ze stanowisk rządowych, jakie piastowali w przeszłości, albo spraw, w imię których niegdyś szermowali. Są to ludzie, którzy zarabiają na życie po prostu dzięki swym koneksjom. Osiągnęli status sław biznesu. Wielkie firmy czekają w kolejce, by pozyskać ich do swych rad nadzorczych. Ponieważ są w jednej radzie, dostają się do następnej. Ponieważ ich nazwisko pojawia się w tych dwóch, wkręcają się do trzeciej. W tym momencie ich kompetencję zaczyna się uważać za rzecz niekwestionowaną. Przy rocznych zarobkach sięgających miliona lub więcej kończą dzień pracy, dyskutując w salach konferencyjnych na temat

ostatnich handicapów i chowając do kieszeni firmowe pióra kupione za pieniądze inwestorów. Nie tylko w Hollywood pozory stają się rzeczywistością.

Podczas poszukiwań odkryłem, że trzech członków rady nadzorczej Devon Insurance stykało się z Adamem w innych radach. To wszystko, co musiałem wiedzieć.

Wyplata ubezpieczenia oraz reklama, która jej towarzyszy, służą interesom RDD, kładąc kres wszelkim niepochlebnym spekulacjom co do przyczyn śmierci Nicka. Zagadnięci o to podczas jakiegoś przyjęcia, Adam lub jego wspólnicy mogą teraz powiedzieć: „Nie słyszeliście? To przecież był wypadek”. Dla klientów gospodarczych, dla których przepływ pieniądza jest jak oddychanie, wypłata gotówki stanowi solidny argument. Wypłacie przez poważne i stateczne towarzystwo prawie czterech milionów dolarów będzie w ich oczach niezbitym dowodem na to, że Nick był po prostu jeszcze jedną przypadkową ofiarą w naszym brutalnym świecie. Nim minie rok, większość klientów Adama, próbując przypomnieć sobie okoliczności śmierci Nicka, będzie się zastanawiać, czy nie zginął on czasem od pioruna.

Chciałbym móc wierzyć, że Tolt ma o mnie wystarczająco wysokie mniemanie, by nie ludzić się, że pochlebi mi jego artykuł. Z drugiej strony podejrzewam, że jeśli uznał, iż osłodzi to propozycję, byśmy z Harrym przeszli do jego firmy, nie widziałby nic złego w ozdobieniu tego ciastka odrobiną lukru.

Przeglądam resztę biuletynu. Szykuje się otwarcie kolejnej filii, tym razem w Houston, ukierunkowanej na obsługę przedsiębiorstw naftowych i gazowych. Być może nie cieszy to pozostałych wspólników, ale Adam wciąż jest w ruchu, powiększając swoje udziały w RDD.

Wsuwam biuletyn za klapkę w fotelu przede mną i sięgam po opracowany przez Harry'ego wykaz dotacji na kampanię Treslera. Harry podkreślił dwa nazwiska ofiarodawców z komitetu wyborczego Nicka. Jeden to wspólnik z waszyngtońskiego oddziału RDD. Drugi to niejaki Jeffrey Dolson, wspólnik z filii firmy w San Francisco. Obaj figurują nie tylko w książce adresowej palmtopa Nicka, ale także w terminarzu, gdzie zapisane są

spotkania w odpowiednich miastach wraz z datą i godziną. O ile zawarte w terminarzu dane są prawdziwe, Nick odwiedził Dolsona w San Francisco dwukrotnie w ciągu dwóch miesięcy przed swoją śmiercią. Ostatni raz spotkał się z nim zaledwie dziewięć dni przed strzelaniną. Dlatego właśnie, zamiast lecieć wprost do stolicy, zatrzymuję się po południu w San Francisco.

Biura RDD w San Francisco znajdują się przy One Market Plaza, z widokiem na Bay Bridge i na zatokę. Lokalizacja jest droga, ale za to w sąsiedztwie dzielnicy finansowej. Rocker, Dusha & DeWine zajmuje dwa z wyższych pięter budynku, wciśnięte między inną firmę prawniczą poniżej a agencję obrotu papierami wartościowymi na górze.

Jest niemal piąta po południu, koniec pracy, kiedy wyłaniam się z windy na wyłożony dywanem korytarz i podchodzę do stanowiska sekretarki.

Młoda Azjatka z zestawem słuchawkowym na głowie siedzi przy jednym z komputerów za kontuarem. Dwie inne kobiety zbierają swoje rzeczy, szykując się do wyjścia.

Sekretarka uśmiecha się.

- Czym mogę służyć? Podaję jej wizytówkę.
- Przyszedłem zobaczyć się z Jeffreyem Dolsonem.
- Jest pan umówiony?
- Niestety nie. Dopiero co przyleciałem do miasta i pomyślałem, że może go zastanę.
- Chwileczkę.

Dolson kieruje tutejszym Działem Fuzji i Przejęć. W Fuzjach i Przejęciach prawnicy zbijają majątek na ustawach, które przedsiębiorstwa kupują od Kongresu, by zapewnić, że bogactwa pozostaną skupione w możliwie nielicznych rękach, zwykle przez likwidację drobnych inwestorów. Porozmawiajcie z prawnikami specjalizującymi się w tej dziedzinie, a powiedzą wam, że fakt, iż szefowie spółek bogacą się, podczas gdy ich firmy plajtują, jest elementem normalnego cyklu ekonomicznego. Ludzi, którzy są zdania, że świat zmienia się zbyt szybko, powinna pocieszyć wieść, że mnóstwo

pieniędzy w Ameryce nadal zarabia się w stary dobry sposób: kradnąc.

Recepcjonistka rozmawia przez przezroczystą rurkę swego zestawu słuchawkowego z kimś znajdującym się w jednym z pomieszczeń w głębi lub piętro wyżej.

- Nie wiem. Chwileczkę. Zapytam go. - Spogląda na mnie. - Czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie pan przychodzi?

- Byłem dzisiaj na lunchu z Adamem Toltem w San Diego i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć się z panem Dolsonem.

Wszystko to jest prawdą, choć zarazem nie stanowi odpowiedzi na jej pytanie. Tak czy owak, nazwisko Tolt działa cuda. Kobieta odwraca się do mnie plecami, osłaniając koniec rurki zwiniętą w kubek dłonią, słyszę jednak, jak szepce do mikrofonu: „Wygląda na to, że skierował go tutaj pan Tolt”.

Sezamie, otwórz się. Trzy minuty później wjeżdżam na górę windą w towarzystwie sekretarki trzymającej w jednej ręce moją wizytówkę, a w drugiej klucz pozwalający otworzyć drzwi windy na poziomie dyrekcji. Kobieta prowadzi mnie przez labirynt ścianek działowych na drugą stronę budynku, gdzie korytarz jest szeroki, a boazeria z drewna różanego autentyczna. Puka do drzwi na końcu korytarza, tych, obok których na ścianie wisi tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem Dolsona.

- Tak. Proszę wejść.

Moim oczom ukazuje się przestronny narożny gabinet z oknami na dwóch ścianach. Jedno z nich wychodzi na zawieszzone na linach przęsła Bay Bridge. Przez drugie widzę samotną iglicę Ferry Building.

Mężczyzna siedzący za biurkiem jest młody. Na oko ma jakieś trzydzieści pięć lat. Poprawia sobie krawat, a z wyglądu jego biurka, z papierami wystającymi z niedomkniętej górnej szuflady, domyślam się, że próbował je uprzątnąć na wieść o moim przybyciu. Oto jak rzucenie ważnego nazwiska może postawić ludzi w stan lekkiego pogotowia.

Dolson daje spokój na wpeł otwartej szufladzie i omijając ją, wychodzi zza biurka. Podaje mi rękę, oglądając moją wizytówkę.

- Rozumiem, że dopiero co przyleciał pan do miasta.
- Tak. Z San Diego. Byłem dziś na lunchu z Adamem Toltem i w rozmowie kilkakrotnie padło pańskie nazwisko. Pomyślałem, że skoro i tak wybieram się na północ w innych sprawach, może warto byłoby pana poznać.

- Moje nazwisko? - powtarza. - Jak on się ma? To znaczy, pan Tolt? Widuję go mniej więcej raz na pół roku, kiedy szefowie niektórych działów spotykają się, by wymienić uwagi.

- Ma się świetnie. Znakomicie - odpowiadam.

- Więc Adam... pan Tolt przysłał pana do mnie?

- Nie. Prawdę mówiąc, pańskie nazwisko wypłynęło w innym kontekście. Rozumiem, że znał pan Nicka Rusha?

Jego oczy przesuwają się z mojej twarzy na przeszkloną ścianę za moimi plecami i z powrotem, jak gdyby przeszły przez most i wróciły, wszystko to w ciągu niespełna sekundy.

- Nicka Rusha? - powtarza.

- Tak. Nick był moim przyjacielem - wyjaśniam. - A w jednej z rozmów padło pańskie nazwisko.

- Naprawdę? - Jego głos wznosi się o oktawę w porównaniu z poprzednią uwagą. Widzę wyraźnie, że kusi go, by zapytać, w jakim kontekście Nick wspomniał jego nazwisko, ale nie robi tego.

- To straszne, co go spotkało - mówi.

- Rozumiem, że Nick odwiedził pana tu, w pańskim biurze, mniej więcej tydzień przed śmiercią?

Jak gdyby uderzył go pędzący pociąg.

- Hę? Co?

- Rozumiem, że panowie mieliście spotkanie w pańskim biurze?

Jego wargi poruszają się, drżą, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

- Ach. Ach, tak - odzywa się wreszcie. - Chyba z tego wszystkiego zapomniałem o tym.

Jak można zapomnieć ostatnie spotkanie z człowiekiem, który zostaje zamordowany dziewięć dni później?

- Więc policja nie rozmawiała z panem?

- Dłaczego mieliby ze mną rozmawiać?

- Zwykle rozmawiają z każdym, kto miał kontakt z ofiarą na krótko przed morderstwem.

- Nie byłbym w stanie nic im powiedzieć. Co Nick panu mówił... To znaczy, dlaczego rozmawiał z panem o naszym spotkaniu?

- Nie mieliśmy przed sobą zbyt wielu tajemnic.

- Ach. Rozumiem. - W tej chwili jego oczy sprawiają wrażenie, jakby mogły wchłonąć kanapę, na której siedzę. Blednie. - Niech mi pan powie - mówi - skąd właściwie zna pan Adama Tolta? - Usiłuje poskładać fragmenty łamigłówek.

Otwieram aktówkę i wyciągam biuletyn firmowy. Świeżo wydrukowany w San Diego, nie zdążył jeszcze dotrzeć do kolonii. Podaję mu go, wskazując artykuł z moim nazwiskiem w tytule.

- To ja doprowadziłem do wypłaty ubezpieczenia dla żony Nicka.

Porównuje nazwisko na mojej wizytówce z nagłówkiem. Potem czyta artykuł, jak gdyby wsysał oczyma druk ze strony. Gdy kończy, unosi wzrok.

- Niezła robota - stwierdza.

Jest to prawniczy odpowiednik przybicia piątki po tańcu zwycięstwa na boisku.

- Rozumiem, że Nick odbył tu z panem kilka spotkań?

Widzę po jego minie, że nie jest pewny, czy to wiem, a jeśli wiem, to ile. Próbuje wziąć się w garść, ale sprawia wrażenie człowieka desperacko walczącego z paniką.

- Było towarzyskie - odpowiada.

- Słucham?

- Moje spotkanie. Moje spotkania z Nickiem. Były towarzyskie. - Oświadczą to z całą pewnością zgadywanki w teście wielokrotnego wyboru.

Nie odzywam się. Patrzę na niego. Co zrobić ze świadkiem, którego zderają nerwy? Pozwolić mu gadać.

- Po prostu wpadał tu od czasu do czasu. Rozmawialiśmy. To wszystko - dodaje.

- Więc Nick leciał tu aż z San Diego tylko po to, żeby prowadzić z panem towarzyskie pogawędki?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale przyjeżdżał specjalnie na spotkania z panem?

- Och, nie. Nie sądzę.
- Tak jest zapisane w jego terminarzu.

Dolson gapi się na mnie z miną, jakiej można by się spodziewać po człowieku, który połyka własny język.

- W jego terminarzu?
 - Tak. - Nie mówię mu, że terminarz ten znajduje się w kieszonkowym komputerku i że prawdopodobnie mam jedyną istniejącą kopię.
 - Nick zapisał moje nazwisko w terminarzu?
 - Tak właśnie powiedziałem.
 - Widział to pan?
 - Mhm.
 - To był jego firmowy terminarz?
 - Jeden z nich.
 - Więc pewnie widzieli go ludzie z centrali?
 - Sądziłbym, że bardziej zainteresuje pana, czy policja go widziała.
 - Och. Oczywiście. To dlatego myślał pan, że mogli ze mną rozmawiać?
 - Jasne. A co? Jest jakiś inny powód?
 - Powiedziałem już panu. O niczym nie wiem. Czy oni widzieli ten terminarz? To znaczy, policja?
 - Prawdę mówiąc, nie jestem pewien.
 - Co chce pan przez to powiedzieć?
 - Cóż, możliwe, że mają coś, o czym nie wiem. Ale nie sądzę, żeby tak było. Przynajmniej jeszcze nie.
 - Dlaczego pan to robi? Czego pan chce? Pieniądzy?
 - Dlaczego sądzi pan, że mógłbym chcieć pieniędzy?
 - Nie wiem. Po prostu to wszystko nie ma sensu. Moje nazwisko w terminarzu Nicka. Powiedziałem panu, że nic nie wiem. Przypuszczam, że nie rozmawiał pan o tym z Adamem.
 - Z Toltem? Nie. Uważa pan, że powinienem?
- Nie mówi ani tak, ani nie, więc trochę bardziej dokręcam śrubę.
- Ale musi pan wiedzieć, że nie jest sam.
 - Co to ma znaczyć?
 - W terminarzu jest więcej nazwisk. Spotkania z innymi pracownikami firmy. Daty i godziny.
- Nie mówi nic, po prostu gapi się na mnie.

- Może powiedziałby mi pan, czego dotyczyły te spotkania?
- Więc Nick panu nie mówił?
- Powiedziałby, gdybym go zapytał. Ale wcześniej ktoś go zastrzelił.
- Te spotkania nie miały z tym nic wspólnego. Poza tym ten artykuł stwierdza, że to był wypadek.

- Pewnie. Ale w końcu został napisany przez firmę. To jasne, że wolą zamieść brud pod dywan. Kiedy wspólnik zostaje zabity, lepszy jest wypadek niż coś bardziej ponurego. Nie sądzi pan?

- Sądzę, że powinien pan już iść. - Dolson wziął się w garść i zebrał dość odwagi, by przekonać siebie, że o niczym nie wiem. - Sądzę, że powinien pan zapomnieć o tym terminarzu, czy co tam pan rzekomo widział.

- Może się pan oszukiwać, jeśli pan chce, ale ten terminarz istnieje.

- Chce pan wiedzieć, co myślę?

- Jasne.

- Myślę, że nie ma żadnego terminarza z moim nazwiskiem. Myślę, że pan blefuje. Gdzie on jest? Przyniósł go pan?

- Gdyby nie istniał, skąd znalazłbym datę pańskiego spotkania z Nickiem?

- Być może to wszystko, czego dowiedział się pan od Nicka. A może po prostu podsłuchał to pan. Jak mówiłem, to były spotkania towarzyskie. - Odwraca się i rusza w stronę biurka. - Jestem zajęty. Wolałbym, żeby pan już poszedł.

Cokolwiek to jest, jego strach otacza to kamiennym murem. Dolson przystaje za biurkiem i patrzy na mnie.

- Wyjdzie pan sam czy mam wezwać ochronę? - Podnosi słuchawkę niczym broń, jego palce gotowe są do wystukania numeru na klawiaturze.

- Jeżeli tak pan sobie życzy.

- Zakładam, że trafi pan do wyjścia?

Obserwuje przez otwarte drzwi gabinetu, jak odchodzę, dopóki nie zamykają się za mną drzwi windy. Mogę być pewny jedynie tego, że cokolwiek było tematem rozmów Nicka z Dolsonem, nie były to towarzyskie pogawędki.

Zaledwie parę przecznic, może półtora kilometra, dzieli biuro Dolsona od jednego z trzech adresów zapisanych w notatniku palmtopa Nicka. Pozostałe dwa znajdują się w Waszyngtonie i w Nowym Jorku.

Zanim udaje mi się tam dotrzeć, robi się późno. Śródmieście San Francisco, jak większości wielkich miast, jest tragiczne, jeśli chodzi o parkowanie, nawet po godzinach. Dziesięć minut zabierają mi poszukiwania wolnego miejsca. Jest już po szóstej, więc mogę zignorować parkometry. Zamykam wypożyczony samochód i wracam pieszo dwie przecznice w stronę adresu z palmtopa.

Po drodze mijam kilka modnych restauracji oraz sklep z antykami, w którego witrynie pyszną się kosztowne dzieła sztuki azjatyckiej - miejsce, gdzie jakiś ekskluzywny dekorator wnętrz mógłby robić zakupy dla swych nadzianych klientów. Ulica leży tuż za Embarcadero, ale dalej na zachód niż biura RDD.

Budynek, którego szukam, zajmuje mniej więcej ćwierć kwartału. To czteropiętrowy, nowoczesny biurowiec z fasadą z przydymionego szkła. Ale dziwna rzecz: w żadnym z okien od tej strony nie świeci się światło. Zwykle w każdej firmie znajdzie się ktoś pracujący po godzinach albo przynajmniej dozorca.

Sprawdzam nazwę ulicy z wpisem w palmtopie Nicka. Mogłem pokazać terminarz Dolsonowi, ale nic by mi to nie dało. Zarzuciłby mi, że sam wprowadziłem dane do urządzenia. To właśnie jest problem, jaki w tej chwili miałyby gliny, o ile oczywiście Nick nie przerzucał zawartości pamięci na swój komputer stacjonarny, a jestem już pewien, że tego nie robił. Informacje zawarte w palmtopie znajdowały się w obcych rękach zbyt długo, by były wiarygodne. Każdy mógł sięgnąć po rysik i dodać albo usunąć wpisy. Jedynym potwierdzeniem ich autentyczności jest moje słowo. Słowo adwokata, przyjaciela zmarłego, który zataił dowód w sprawie o morderstwo. Każde z moich zapewnień rozpadłoby się jak mokra papierowa serwetka.

To właściwa ulica, więc skręcam na rogu i idę dalej wzdłuż tego, co wygląda na frontową ścianę biurowca.

Ta strona zwrócona jest ku zatoce. Słyszę odgłosy ruchu ulicznego na Embarcadero, dwie przecznice dalej, przed nabrzeżami o przepastnych

sklepionych bramach, nad którymi widnieją ogromne numery. Czuję chłodną bryzę od wody i zapach soli w powietrzu. Tu także nie widać żadnych świateł na górnych piętrach, ale pięćdziesiąt metrów w głąb ulicy dostrzegam coś, co wygląda na główne wejście.

Podnoszę kołnierz marynarki, wkładam ręce do kieszeni i ruszam na przód. Wiatr szarpie nogawki moich spodni.

Kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam numer nad frontowymi drzwiami, ten sam, który Nick wprowadził do swego notatnika. Nie ma pomyłki. To właściwy adres. Ale tego, kogo Nick tu odwiedzał, już nie ma. Budynek jest pusty. Wielkie ogłoszenie, przyklejone od środka do podwójnych szklanych drzwi, oznajmia:

DO WYNAJĘCIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jest czwartkowy poranek, gdy wjeżdżając do podziemnego garażu pod biurem Susan Glendenin w śródmieściu, rozpoznaję wielkiego granatowego lincolna z lat sześćdziesiątych, zaparkowanego parę stanowisk dalej.

Samochód ten, wielkości sporej łodzi, był niegdyś własnością Nicka. Choć może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że był jego obsesją.

Lincoln ze składanym, chowającym się w bagażniku sztywnym dachem był eksperymentem Forda. Wykonano jedynie cztery egzemplarze, rozdane do testowania prezesom koncernu. Z jakiegoś powodu produkcja nigdy nie wystartowała, co sprawiło, że wóz wraz ze swymi innowacjami zmarł na deskach kreślarskich.

Nick dostał go na początku lat osiemdziesiątych w ramach honorarium od klienta, którego przyłapano na przewożeniu narkotyków w bagażniku, pod złożonym dachem. Było to, jeszcze zanim rząd zaczął konfiskować takie mienie.

Samochód przyciągał więcej spojrzeń niż niejedna królowa piękności.

Po złożeniu dachu zaskakująco przypominał prezydencką limuzynę, w której został zastrzelony Kennedy, i prawdę mówiąc, posłużył w pewnym znanym filmie do odtworzenia tej sceny. Nick był pewien, że ma jedyny nadal jeżdżący pojazd tego typu. Czczył go, pielęgnował i chronił niczym Izraelici Arkę Przymierza. Z tego też względu Margaret poszczuła swoich prawników i ze szczególną satysfakcją wydarła mu go podczas rozwodu.

Wiem o tym, bo przy każdym spotkaniu powracał do tego niczym replay niespodziewanego, morderczego zagrania w Super Bowl. Spośród wszystkich pamiętnych i bolesnych reperkusji jego domowej katastrofy utrata tych drogocennych czterech kółek zdawała się najbardziej pamiętna i bolesna. Najgorsze w tym wszystkim było to, że Margaret jeździła jego granatowym skarbem po całym mieście, nie zgadzając się go sprzedać, i stawiała go na zatłoczonych parkingach przed sklepami specjalnie po to, żeby robić wgniecenia w drzwiach, tak by Nick, widząc go następnym razem, mógł je sobie policzyć. Margaret najwyraźniej przyjechała już i czeka na mnie na górze.

Potrzebowałem trzech dni na załatwienie wszystkich swoich spraw w stolicy. Sara mieszkała w tym czasie u przyjaciół. Harry i ja nie możemy jakoś rozstać się ze starym biurem, więc podnajęliśmy większą jego część dwóm młodym prawnikom, zachowując sobie jeden pokój do wspólnego użytku.

Dziś rano, po moim powrocie, Harry puchnie z dumy, zrealizowawszy swą dzienną normę dobrych uczynków. Wysłaliśmy córce Nicka, Laurze, okazały czek z honorariów Dany wraz z listem wyjaśniającym, że pieniądze te stanowią spadek po Nicku.

Harry jest też wniebowzięty z powodu artykułu, który ukazał się dwa dni temu w „Tribune”. To skrócona wersja tekstu z biuletynu Tolta, przypisująca nam zasługę doprowadzenia do ugody z ubezpieczycielem. Nawiązuje do artykułu na stronie drugiej, informującego, że policja wciąż nie potrafi wskazać sprawców strzelaniny. Gazety i dwie stacje telewizyjne dzwoniły do naszego biura po informacje i z prośbą o wywiad przed kamerami. Adam wyciska z tej ugody, co tylko można. W tym momencie prasa

przyjmie cokolwiek, byle tylko wypełnić informacyjną próżnię wokół śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa, śledztwa, które najwyraźniej utknęło w martwym punkcie.

Jak dotąd, nie wiedzieć czemu, gliniarze nie zadali sobie najmniejszego trudu, by przesłuchać Espinozę. Dlaczego go ignorują, po tym, co Harry usłyszał od swego kolegi z biura prokuratora okręgowego, nie mam pojęcia, ale żeby do niego dotrzeć, musieliby się zwrócić do mnie, a nikt tego nie próbował.

Poprosiłem Susan Glendenin, by umówiła mnie na dziś rano z Margaret Rush, z jednego powodu. Możliwe, że właśnie Margaret zna odpowiedź na jedną z najbardziej tajemniczych zagadek dotyczących ostatniego roku życia Nicka: jego konszachtów z Metzem.

Wjeżdżam windą z garażu na piąte piętro. Klimatyzacja w budynku pracuje pełną parą. Miasto od pięciu dni przeżywa falę rekordowych upałów, z wiatrami wiejącymi od pustyni jak na Saharze.

Gdy wchodzę do sekretariatu z palcem zahaczonym o kołnierz marynarki, którą trzymam przerzuconą niczym worek przez ramię, spostrzegam, że drzwi Susan są zamknięte. Odgrodziła się z Margaret od świata, więc gdy sekretarka informuje je, że przyszedłem, mija parę minut, nim Susan otwiera drzwi.

Jest pogodna jak zawsze. Zorganizowała to spotkanie z naturalnej życzliwości, a także dlatego, że było to rozsądne. Glendenin należy do tych prawników, dzięki którym sądy i sędziowie straciliby rację bytu, gdyby tylko jej przeciwnicy wykazywali ten sam trzeźwy zdrowy rozsądek.

- Jak się masz, Paul?
- Świetnie.
- Na dworze wciąż jest tak gorąco?
- Jak w piecu.
- Może chcesz coś zimnego do picia?
- Wody, jeżeli można.
- Wejdz.

Zamawia u sekretarki butelkowaną wodę i lód, po czym prowadzi mnie do swego gabinetu.

Gdy wchodzę, Margaret siedzi tyłem do mnie na jednym z krzeseł dla klientów. Nie odwraca się, by spojrzeć na mnie czy przywitać się ze mną, dopóki Susan nie daje do zrozumienia, że ignorowanie mnie jest nieuprzejme.

- Margaret, myślę, że znasz Paula Madrianiego?

Odwraca głowę, patrząc gdzieś w podłogę. Sztywny uśmiech i lekkie skinienie głowy to całe jej powitanie. Zaraz potem na powrót kieruje wzrok na drugą stronę biurka, gdzie Susan sadowi się właśnie w swoim skórzanym BodyBilt z wysokim zagłówkiem i regulowanymi podłokietnikami. Prawnicy cenią dziś swe dyrektorskie fotele tak, jak przed dziesięcioma laty cenili swe porsche, testując dźwignie pneumatycznej regulacji wysokości i solidność podparcia pleców, jak gdyby pędzili z prędkością światła ku nowemu światu geriatrii.

Siadam na drugim z krzeseł dla klientów i zastanawiam się, czy Margaret zdąży odtając, nim przybędzie moja woda z lodem.

- Rozmawialiśmy - mówi Susan - i przedyskutowaliśmy twoją prośbę. Zgodziła się odpowiedzieć na wszelkie pytania, ale pod pewnymi warunkami.

- Rozumiem.

- Nie życzę sobie pytań na temat rozwodu ani umowy o podziale majątku. Wolalaby też, żebyśmy nie rozmawiali o jego następnym małżeństwie, o ile to w ogóle możliwe.

- Rozumiem.

Susan udało się doprowadzić do tego spotkania jedynie dzięki temu, że powiedziała Margaret, iż Dana zmuszona była zgodzić się na uszczuplenie swojej części ubezpieczenia. Ta wiadomość najwyraźniej poruszyła w Margaret jakiś głęboki i rozkoszny nerw: mściwość.

Gdyby wiedziała, że Dana sfalszowała czeki z rachunku powierniczego firmy, wcisnęłaby w lincolnie gaz do dechy, zostawiając na asfalcie pas spalonej gumy stąd aż do Broadwayu, by zanieść tę nowinę glinom, póki jeszcze jest ciepła. Ale o tym nie wie nikt poza mną i Adamem oraz paroma sługusami z jego biura, którzy złożyli śluby milczenia poręczone swoją karierą zawodową.

- Może przejdę do rzeczy - mówię. Drzwi z tyłu otwierają się i wchodzi

sekretarka z tacą, szklankami i trzema spotniałymi plastikowymi butelkami wody z lodówki. Czekam, aż wyjdzie, po czym ciągnę: - Moje pytania dotyczą pewnych interesów, jakie Nick najwyraźniej prowadził w ciągu ostatnich dwunastu czy osiemnastu miesięcy swego życia.

- W takim razie rozmawia pan z niewłaściwą osobą - stwierdza Margaret. Wciąż nie patrzy na mnie. Popełniłem niewybaczalny grzech bycia przyjacielem Nicka.

- Możliwe, ale pomyślałem, że mogła pani słyszeć coś o tym, być może od innych. - Liczę na to, że jej prawnicy podczas sprawy rozwodowej zajrzeli pod każdy kamień.

- No dobrze. Co chce pan wiedzieć?

- Czy kiedykolwiek słyszała pani o przedsiębiorstwie, spółce albo korporacji o nazwie Jamaile Enterprises?

Zastanawia się. Jej surowe rysy łagodnieją, gdy kieruje energię umysłą na zasilanie pamięci.

- Nie. Nie wydaje mi się. Nie, chwileczkę - dodaje szybko. - Tak, raz. To było w trakcie rozwodu. - Łamię własną regułę. - Moi prawnicy odkryli taką firmę. Sądzi, że Nick wykorzystuje ją do ukrywania majątku z małżeństwa.

- I było tak?

- Nie. Właściwie wołałabym nie rozmawiać o tym - stwierdza.

Patrzę na Susan, która robi minę, jak gdyby chciała pomóc, lecz niestety nie może.

- W każdym razie oni nie dopatrzyli się niczego.

- Pamięta pani, kiedy to było?

- Nie.

- A pamięta pani, czy podczas rozpraw zadawano Nickowi jakieś konkretne pytania na ten temat?

- Zdawało mi się, że mieliśmy nie rozmawiać o rozwodzie.

- To łatwe pytanie - wtrąca Susan. - Albo pani pamięta, albo nie.

- No dobrze. Nie pamiętam.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani nazwisko Gerald Metz użyte w związku z Jamaile Enterprises?

- To nie był ten człowiek, którego zastrzelono razem z Nickiem?

Kiwam głową. Musi spojrzeć na mnie, żeby to zobaczyć, tak więc koniec końców nawiążujemy kontakt wzrokowy.

- Mam z tego rozumieć, że oni prowadzili razem interesy?

- Najwyraźniej.

- Policja wie o tym?

- Tak. Czy pani prawnicy kiedykolwiek sprawdzali pana Metza, by ustalić, kim jest i na czym mogły polegać te interesy?

- Nie wiem. Musiałby pan ich o to zapytać.

- Zrobiłem to. Nie chcą rozmawiać o tym ze mną bez pani pisemnej zgody.

- Musiałabym się z nimi skonsultować - odpowiada.

Zarówno Margaret, jak i jej prawnicy są ostrożni, jeśli chodzi o wszystko, co ma związek z rozwodem, a szczególnie z umową o podziale majątku. Prawdopodobnie obawiają się, że Dana mogłaby znów wysunąć argument, iż roszczenia Margaret do ubezpieczenia są bezprawne.

Susan unosi dłoń z poręczy fotela, jak gdyby na znak, że nie powinienem już drążyć tej kwestii, że może powinienem przejść dalej.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani nazwisko Grace Gimble? - pytam.

Na te słowa Margaret zwraca wzrok w moją stronę, niemal łamiąc sobie przy tym szyję.

- Co Grace ma z tym wspólnego?

- Zna ją pani?

- Tak. To przyjaciółka - mówi. - Jest jednym z naszych nielicznych wspólnych przyjaciół. To znaczy tych, którzy pozostali moimi przyjaciółmi po rozwodzie.

- Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

- Być może. Ale najpierw niech mi pan powie, czemu chce to wiedzieć.

- Jej nazwisko pojawia się w dokumentach założycielskich spółki. Tej, o której pani mówiłem. Jamaile Enterprises. Może mi pani powiedzieć, kim ona jest? Dlaczego jej nazwisko znalazło się w tych dokumentach?

Myśli o tym przez chwilę, w milczeniu, wpatrując się w dębowy blat biurka Susan; być może zastanawia się, czy osoba zadająca się z Nickiem

istotnie zasługuje na miano przyjaciółki.

- To proste - odpowiada wreszcie. - Kiedy Grace przeszła na emeryturę, zaczęła świadczyć usługi jako sekretarka. Usługi paraprprawne, jak się to nazywa. Żeby trochę dorobić na boku. Wiem, że Nick podrzucał jej od czasu do czasu jakąś robotę, zanim przeszedł do RDD. Zanim nasze...

- Rozumiem. Wie pani, gdzie ona mieszka?

- Chyba tak. - Szpera w torebce, wyciąga mały czarny notes z adresami, kartkuje go i wreszcie znajduje adres Grace Gimble. Dyktuje mi, podczas gdy ja notuję go na karteczce wziętej z biurka Susan.

- Ma pani numer telefonu?

Podaje mi i to.

- Widziała się z nią pani ostatnio?

Zastanawia się.

- Nie, co najmniej od roku - mówi. - Myślę, że mogła być na pogrzebie Nicka. Nie wiem, bo mnie tam nie było.

- Jak ona poznała Nicka?

- Była jego sekretarką w biurze prokuratora federalnego, zanim stamtąd odszedł.

Przestają notować i patrzę na nią. Może stwierdzić, że nie to spodziewałem się usłyszeć.

- Przeszła na emeryturę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Nick otworzył prywatną praktykę. Powiedział mi, że zrobiła parę kursów usług paraprprawnych i pracuje w domu.

To tłumaczyłoby obecność jej nazwiska w dokumentach założycielskich Jamaile, szczególnie jeśli Nick z takich czy innych względów nie chciał, żeby opracował je personel biurowy RDD.

Zanim Margaret udaje się powiedzieć coś więcej, odzywa się telefon na biurku. Susan patrzy na mnie i przewraca oczami.

- Powiedziałam im, żeby nie łączyli żadnych rozmów. - Podnosi słuchawkę. - Tak. - Spogląda na mnie, na blat, wreszcie zasłania mikrofon dłonią. - To do ciebie - mówi.

Jedyna osoba, która wie, że tu jestem, to Harry.

- Chcesz odebrać w drugim pokoju? - pyta.

- Nie.

Tak więc Susan przesuwa telefon w moją stronę i naciąga sznur tak, że mogę przenieść aparat na skraj blatu.

- Halo?

- Momencik. - To sekretarka Susan.

Chwilę później w słuchawce odzywa się Harry.

- Paul?

- Tak.

- Słuchaj, pomyślałem, że powinieneś to wiedzieć. Właśnie dostałem dzisiejszą pocztę.

- Czy to nie może poczekać? Mam teraz spotkanie.

- Musisz usłyszeć, co w niej było.

- To mów.

- Zmiana adwokata dla Espinozy - oświadcza Harry.

- Co?

- Wiedziałem, że cię to zainteresuje. Niejaki Gary Winston z National City.

- Kiedy to było?

- Prawie tydzień temu. Zawiadomienie przyszło właśnie pocztą. I to nie wszystko. Zanim ośmieliłem się zawracać ci głowę, pomyślałem, że sprawdzę. Zobaczę, czy Espinoza jest w areszcie. Nie ma go tam.

Milczenie na moim końcu linii mówi Harry'emu, że zamieniłem się w słuch.

- Wczoraj odbyła się rozprawa dotycząca kaucji. Wyznaczono kaucję w wysokości miliona dolarów.

- W takim razie chyba wszystko w porządku - zauważam. - O ile się nie mylę i facet nie jest bardziej nadziany, niż sądzę, nie zdołałby zebrać dziesięciu procent tej sumy.

- Zgaduj jeszcze raz - mówi Harry. - Od wczorajszego popołudnia gość jest na wolności. Słyszysz mnie? - pyta, zaniepokojony martwą ciszą w słuchawce.

- Tak. Zamyśliłem się. Kto wpłacił kaucję?

- Nie wiem. Chcesz, żebym spróbował to sprawdzić?

- Tak.

- Ci ludzie mogą wiedzieć, gdzie on jest. W każdym razie będą mieć adres, który im podał.

- Miejmy nadzieję, że dobrze go pilnują. - Gdyby wiedzieli, jak wielkie jest ryzyko jego ucieczki, nie wzięliby zapłaty, dopóki nie mieliby jakiejś gwarancji.

- I Harry...
- Tak?
- Zobacz, czy uda ci się dowiedzieć czegoś o tym adwokacie, Winstonie. Zadzwoń do mnie na komórkę, kiedy tylko będziesz coś miał. Będę w samochodzie.

Chowam do kieszeni świstek z adresem i numerem telefonu Grace Gimble i przepraszam Susan i Margaret za pośpieszne wyjście.

- To już wszystko, co chciał pan wiedzieć? - pyta Margaret.
- Na razie tak. Zadzwonię do Susan, jeśli nasuną mi się jeszcze jakies pytania. Następnym razem możemy spotkać się na lunchu. Ja stawiam.

Margaret nie jest pewna, jak zareagować, czy odmówić mi teraz czy później. Nie odzywa się wcale. Mówię Susan, że zadzwonię do niej, i wypadam za drzwi.

Nie mając bliższych danych, muszę podjąć decyzję na podstawie domysłów. Ktokolwiek wynajął adwokata, by wyciągnąć Espinozę z aresztu, wybulił też za niego kaucję. To kupa pieniędzy. Jeśli nie wygrała na loterii, na pewno nie zrobiła tego jego żona. Ktokolwiek to jest, chce mieć go na wolności z jakiegoś powodu. A ponieważ zajął się nim bezpośrednio, musiał to być ktoś, kogo Espinoza albo znał, albo spotkał już wcześniej. Espinoza mógł znać setkę ludzi, którzy spełniają te wszystkie warunki, ale jedyny, którego ja znam, to osobnik w filcowym kapeluszu, człowiek, który według informacji Joyce przedstawia się jako Hector Saldado.

Czuję delikatną wibrację przy nodze. Jej źródłem jest kieszeń leżącej na siedzeniu obok marynarki. To dzwoni mój telefon komórkowy. Wydobywam go.

- Halo?
- Słyszysz mnie? - To Harry.
- Tak. Mów.
- Dotarłem do tego adwokata, tego Winstona.
- Tak?
- Mówi, że nigdy wcześniej nie widział Espinozy. Pierwszy raz zobaczył go w sądzie, na rozprawie dotyczącej kaucji. Kojarzysz. Facet ma licencję

zaledwie od czterech miesięcy. Twierdzi, że został zaangażowany przez telefon. Męski głos, przedstawił się jako brat Espinozy. Czek z zaliczką przyszedł pocztą kurierską parę godzin później wraz z podpisanym przez Espinozę wnioskiem o zmianę adwokata. Dzieciak mówi, że załatwił rozprawę. Nazwał to łatwizną. Odniosłem wrażenie, że pierwszy raz był w sądzie.

- Dlaczego?

- Zdawało mu się, że wyświadczył swojemu klientowi przysługę milionową kaucją. Najwyraźniej wziął zastępcę prokuratora, tego, który miał wówczas dyżur przy kaucjach, przez zaskoczenie. Prokurator zaproponował ćwierć miliona, potem zajrzał do akt i uświadomił sobie, z czym ma do czynienia. Natychmiast podskoczył do miliona, uznając tak samo jak ty, że Espinoza nie będzie w stanie tego zebrać. Dzieciak próbował wytargować niższą kwotę, ale sąd się nie zgodził. W drodze powrotnej do celi Espinoza powiedział mu, żeby się nie martwił. To nie będzie problem. Dzieciak mówi, że wie o wpłaceniu kaucji. Twierdzi, że ktoś inny musiał to załatwić.

Tego się właśnie obawiałem.

- Rozmawiałeś z kuratorem?

- Nie ma go w biurze.

Wciąż się łudzę, że może pilnuje swej inwestycji, śledząc Espinozę.

- Dokąd jedziesz? - pyta Harry.

- Na południe, autostradą 1-5 - odpowiadam.

- Wracasz do biura?

- Nie. Słuchaj, która jest godzina?

- Jakieś dwadzieścia po jedenastej - mówi Harry.

- Jeśli nie zadzwonię za godzinę, wyświadc mi przysługę.

- Co takiego?

- Zadzwon na policję w San Diego i podaj im ten adres. - Dyktuję mu.

Harry notuje, po czym czyta mi, co zapisał.

- Co się dzieje? - pyta.

- Po prostu zrób to.

- Mam kazać im wysłać radiowóz?

- I to niejeden - odpowiadam. - Ale daj mi godzinę.

- Nie ma sprawy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Parkuję przy krawężniku, w cieniu starego wiązu, po przeciwnej stronie ulicy i parę bram od starego domu z wydzielonymi mieszkaniami i zapadniętym gankiem od frontu.

W świetle dnia ogromny piętrowy budynek numer 408 wydaje się większy i bardziej podupadły. Zauważam też coś, czego nie było tu przy mojej poprzedniej wizycie: zaparkowany przed domem przedpotopowy model SUV-a. Jego kanciasta karoseria jest poobijana, zagruntowana, ale niepomalowana. Stoi na krótkim żwirowym podjeździe po drugiej stronie schodów; przedni zderzak wciśnięty jest w krzaki przed domem, gdy tylne koła o głębokim, agresywnym bieżniku wysunięte są do połowy na chodnik.

Najbardziej jednak przyciąga moją uwagę tylne okno tego wozu. Prześlania je płachta pomarszczonej czarnej folii, przyklejona taśmą i podwinięta wokół ramy. Pojazd ten pasuje idealnie do opisu chevroleta blazera, który Espinoza podał mi, kiedy odwiedziłem go w areszcie.

Siedzę kilka minut, obserwując. W jednym z mieszkań, tym pod 408, dostrzegam oznaki życia. Drzwi wejściowe otwierają się, w siatce przeciw owadom pojawia się wybrzuszenie.

Poznając tę sylwetkę. Wysoki i szczupły, taszczący walizki w obu dłoniach mężczyzna to Meksykanin, którego widziałem tamtej nocy, ten, o którym mówił mi Espinoza, choć tym razem bez kapelusza. Jeśli nazwisko na skrzynce pocztowej jest prawdziwe, a informacja Joyce poprawna, jest to Hector Saldado, który codziennie dzwoni ze swego telefonu komórkowego do Cancún i okolic.

Saldado znosi walizki po schodach i idzie z nimi na tył poobijanego blazera, gdzie odsuwa na bok koło zapasowe i unosi tylną klapę z zasłoniętym folią oknem. Gdy wrzuca walizki do środka, z drzwi wypada pędem kolejna postać. Bosa, półnaga, z dzieckiem w ramionach, dobiega do szczytu schodów, kiedy Saldado odwraca się i dostrzega ją.

Dziewczyna próbuje minąć go na schodach, ale on wyciąga rękę i chwytając ją za ramię, nieomal wyszarpując dziecko z jej objąć.

Ona szamoce się, a on obracają, tak że siła odśrodkowa prawie wyrwa jej niemowlę z rąk.

Meksykanin jest żyłasty i silny. Ujmując od tyłu jej ramiona powyżej łokci, unosi ją, wciąż tulącą do siebie dziecko. Pospiesznie kieruje ją z powrotem w górę schodów, wpycha za drzwi, po czym przystaje, odwraca się i rozgląda, by upewnić się, że nikt go nie widział. Przesuwam się w bok za kierownicą. Saldado znika.

Cała scena nie trwała nawet dwudziestu sekund. Każdy jej świadek uznałby, że mąż traktuje swoją żonę zbyt brutalnie. Niektórzy być może wezwaliby policję, choć nie chciałbym, żeby moje życie zawisło na tej cieniutkiej nitce. Co ona tu robi, nie mam pojęcia, ale Robin Watkins, młodziutka żona Espinozy, jest w poważnych tarapatkach.

Chwytam telefon komórkowy i wybieram dziewięć-jeden-jeden. Odzywa się operatorka.

- Chciałbym zgłosić przemoc w rodzinie.
- To nagły przypadek?
- Tak.
- Czy zdarzenie rozgrywa się w tej chwili?
- Tak.

Podaję jej adres, swoje nazwisko i numer komórki.

- Wyślemy samochód.
- Jak długo to potrwa?
- Być może parę minut.
- Ile dokładnie?
- Nie umiem panu powiedzieć. W tej chwili nie ma w tym rejonie żadnych radiowozów. Zrobimy to najszybciej, jak będzie to możliwe.

Rozłączam się, biorę głęboki wdech i wysiadam z samochodu. Zabieram z tylnego siedzenia starą aktówkę marki Samsonite, ciężką, o twardych ściankach. Zamykam drzwi i idę do bagażnika. W środku, pod kołem zapasowym, znajduję klucz do kół: prawie półmetrowej długości, gruby na centymetr stalowy pręt z dłutowatym zakończeniem do wpasowywania w lewarek po jednej stronie i z przyspawanym pod kątem czterdziestu pięciu stopni gniazdem do nakrętek po drugiej. Nasz stan ma teraz w Senacie dwóch białolących polityków, którzy chętnie pozbawiliby obywateli wszelkich

narzędzi obrony. Zakaz używania kluczy nasadowych i młotków jest tylko kwestią czasu.

Wyjmuję z teczki dokumenty i skoroszyty i wkładam do środka klucz. Jest tak długi, że mieści się jedynie po przekątnej. Zamykam teczkę i zatraskuję bagażnik. Przechodząc przez jezdnię, wciskam guzik na breloczku od kluczy i słyszę szcęk blokujących się zamków. Upał jest nieznośny, żar leje się z nieba, odbijając się od spękanego betonu chodnika.

Wchodzę po schodach na ganek i zerkam na skrzynkę na listy. Saldado, H, w dalszym ciągu widnieje tam jako lokator mieszkania G.

Otwieram ramę z siatką na muchy. Drzwi frontowe nie są zamknięte, więc wchodzę do środka. Tu jest chłodniej, ciemno, w korytarzu czuć płynący z tylnej części budynku prąd powietrza.

Mieszkanie u stóp schodów, po mojej prawej stronie, jest oznaczone obsrupaną mosiężną literą „A” przykręconą do górnej listwy starych, trójpanelowych drzwi.

Naprzeciwko, na lewo ode mnie, znajdują się drugie drzwi: mieszkanie B. Dalej po tej samej stronie widzę jeszcze dwoje, z literami D i E. Mieszkanie G, należące do Saldado, musi być na piętrze.

Pokonuję po dwa stopnie naraz, patrząc pod nogi i starając się robić jak najmniej hałasu. Gdy zbliżam się do szczytu schodów, moje oczy zrównują się z podłogą korytarza na piętrze. Ten biegnie w poprzek kondygnacji dokładnie nad korytarzem parteru.

Wspinam się dalej, dopóki nie dostrzegam drzwi tuż przy schodach, po prawej stronie: G.

Sądząc z układu budynku, mieszkanie Saldado jest większe od pozostałych. Zważywszy na to, że po tej stronie, z racji wylotu klatki schodowej, znajdują się tylko jedne drzwi, jego apartament musi się ciągnąć przez całą długość domu, od tylnej do frontowej ściany.

Wciąż stojąc sześć czy siedem stopni poniżej szczytu schodów, przyciskam ucho do brudnej ściany tuż nad podłogą i nasłuchuję. W środku gra telewizor: ludzkie głosy przeplatane śmiechem z taśmy.

Zerkam na zegarek. Mam nadzieję, że lada moment usłyszę pisk opon radiowozu zajeżdżającego przed dom. Zamiast tego słyszę płacz kobiety, pojedynczy szloch, a po nim głucho stuknięcie, jak gdyby coś uderzyło o ścianę od drugiej strony. Wibracja zmusza mnie do cofnięcia głowy. Zaraz potem rozlegają się stłumiony krzyk i pochlipywanie.

Szybko otwieram aktówkę i wyciągam klucz do kół. Ważąc go w dłoni, gorączkowo staram się obmyślić plan, jakiś manewr, wybieg, coś, co odwróciłoby uwagę Saldado od kobiety, choćby tylko na chwilę, zanim dotrą tu gliny.

Przede mną w głębi korytarza, za drzwiami do jego mieszkania, jest mały występ muru, może trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów. W większym budynku mógłby kryć stalową belkę, część konstrukcji nośnej. Tutaj, jak podejrzewam, jest to osłona rur lub przewodów elektrycznych zainstalowanych, kiedy dzielono stary dom na mieszkania.

Jeszcze raz przyglądam się drzwiom Saldado. Nie mogę wśliznąć się przez nie niezauważony, ale moja wizytówka może. Pospiesznie kreślę parę słów na odwrocie jednej z nich, pokonuję resztę schodów i ostrożnie stawiam aktówkę pośrodku ostatniego stopnia, tak by nikt wchodzący lub wychodzący nie mógł jej przeoczyć.

Szybkim krokiem pokonuję korytarz i staję pod drzwiami mieszkania Saldado. Jest w nich wizjer, okrągła, szerokokątna soczewka. Nie jestem pewien, ale sądząc z kąta, domyślam się, że jego pole widzenia nie obejmuje na tyle dużej części korytarza, by patrząc ze środka, dało się dostrzec pozostawioną aktówkę.

Biorę głęboki wdech, po czym wsuwam wizytówkę pod drzwi i pukam z całej siły, raz i drugi.

Ze środka dobiega pojedynczy szloch. Natychmiast zostaje stłumiony. Zanim cichnie, jestem już trzy metry od drzwi, odchodząc na palcach w kierunku przeciwnym do pustej teczki.

Chowam się za gipsową kolumnę, której grubość ledwo wystarcza, by ukryć mnie, choć przywieram plecami do ściany.

Mija kilka sekund. Nasłuchuję.

Odgłosy telewizora w środku cichną nagle, aż w końcu nie słyszę ich

zupełnie. Potem nic. Stoję, wsłuchując się w ciszę. Wydaje mi się, że trwa to całą wieczność. Na czoło i górną wargę występują mi krople potu. W spoconej dłoni ściskam klucz do kół. Wy tężam słuch. Nic. Sekundy zmieniają się w minuty. Patrzą na zegarek. Gliny powinny być już w drodze.

Wreszcie słyszę coś. Znak życia, jaki wydaje każdy stary dom, typowy jęk jednego z wiekowych legarów podłogowych uginających się pod czymś ciężarem. Ktoś porusza się wolno tuż za drzwiami, przypuszczalnie wyglądając przez wizjer. Wyobrażam sobie, co się dzieje w środku. Mężczyzna, wysoki i żyłasty, z niechlujną czarną brodą, wpatruje się w otwór, nie mogąc nic dostrzec. Potem podnosi moją wizytówkę i czyta wiadomość.

PANIE ESPINOZA. PONIEWAŻ WYNAJAŁ PAN INNEGO PRAWNIKA, NALEŻY SIĘ PANU 5000 \$ ZWROTU ZA NIEWYKORZYSTANE HONORARIA. DOSTAŁEM TEN ADRES OD ZNAJOMEGO I PRÓBUJĘ PANA ZNALEŹĆ. PAUL MADRIANI.

Saldado może nie witać mile gości, ale pięć tysięcy gotówką?

Mija kilka sekund. Znów słyszę kroki w środku, a potem płacz. Tym razem to dziecko. Kuśtykanie. Męski głos, coś po hiszpańsku. Odgłosy zbliżają się do drzwi. Ściskam mocniej klucz w prawej dłoni. Chrobocze przekręcana zasuwka i drzwi otwierają się. Przywieram plecami do ściany.

- Kto tam? - To głos kobiety, przerażony, łamiący się. - Kto tam jest?

Nasłuchuję chwilę. Saldado prawdopodobnie patrzy przez wizjer, trzymając pistolet przy jej głowie.

- Zobacz, kto to jest. - Ostry szept, z akcentem. - I pamiętaj, że mam tu twoje dziecko.

Drzwi zamykają się na moment. Brzęczy odsuwany łańcuch, po czym otwierają się znowu. Saldado wypycha ją na korytarz i natychmiast zamyka za nią drzwi. Zasuwa i łańcuch wracają na miejsce.

Wyglądam jednym okiem z kryjówki. Kobieta nie widzi mnie. Stoi tyłem do mnie, wpatrując się w jedyny niepasujący tu przedmiot, moją

pozostawioną na schodach aktówkę. Miałem nadzieję, że to Espinoza wyjdzie po nią, dając mi szansę na cios kluczem w tył głowy.

Tymczasem Robin Watkins stoi u szczytu schodów, spoglądając w dół.

- Halo! Jest pan tam?

Milczę, kryjąc się we wnęce. Obawiam się, że - zważywszy na to, iż jej dziecko jest w rękach Saldado - spanikowałaby i wydała mnie, gdyby mnie zobaczyła. Rusza wolno w dół schodów, znowu wołając.

Gdy zbliża się do parteru, przestaje słyszeć jej kroki. Od czasu do czasu lokalizuję ją, kiedy woła. Słyszę skrzypienie drzwi wejściowych, a zaraz potem odgłos otwieranej i zamykającej się z trzaskiem drewnianej ramy siatki na muchy.

Jeśli gliny przyjadą w tej chwili, trudno przewidzieć, co zrobi: pobiegnie do nich czy wbiegnie z powrotem na górę, by ratować dziecko.

Ale nic takiego się nie dzieje. Patrzę na zegarek. Gliny się nie spieszą. Parę chwil później znów słyszę drzwi na dole, najpierw siatkę, potem skrzydło wejściowe. Kroki Robin przemieszczają się, nie w górę schodów, ale w głąb korytarza na parterze, ku tyłowi budynku. Sprawdza starannie wszystkie miejsca, w których mogłem zniknąć, wołając raz po raz. Dobiega mnie odgłos otwieranych i zamykanych tylnych drzwi, potem zapada cisza. Czekam i nasłuchuję, zastanawiając się, co robi Saldado. Prawdopodobnie wygląda przez okna. Jeśli pojawi się radiowóz, może rozpętać się piekło.

Przez chwilę przychodzi mi na myśl, że może strach wziął górę nad instynktem macierzyńskim, skłaniając Watkins do ucieczki przez podwórze. Słyszę dobiegający ze środka żałosny płacz dziecka. Watkins z pewnością słyszy go także.

Akurat kiedy zaczynam podejrzewać, że istotnie uciekła, słyszę chrobot gałki drzwi od podwórza, tym razem nie na dole, lecz przy tylnym ganku na piętrze, półtora metra na prawo ode mnie. Wciskam się w cień najgłębiej, jak tylko mogę. Drzwi otwierają się.

Nadchodzi. Wraca do mieszkania. By się tam dostać, będzie musiała

przejsię tuż obok mnie. Drzwi zamykają się za nią. Słyszję jej oddech. Pociąga nosem, powstrzymując łzy. Szura nogami po starych deskach podłogi. Na twarzy ma sińce, jedno oko zamknięte opuchlizną. Z nosa kapie jej krew. Nie wiem, czy nie jest złamany. Idąc ze wzrokiem utkwionym w podłodze, nie widzi mnie, dopóki nie unosi głowy.

Przykładam palec do warg, nakazując jej ciszę. Robin zerka w stronę drzwi w głębi korytarza, a potem znów na mnie. Widzi klucz do kół w mojej dłoni i szybko kręci głową. Wie, co się kryje za tymi drzwiami. Wiedząc to, nie ma zbyt wiele zaufania do mnie ani do broni, którą trzymam.

Zanim ma czas powiedzieć cokolwiek, chwytam ją i przyciągam do ściany.

- Tam jest moje dziecko - szepce.
- Wiem. Kto jeszcze tam jest, oprócz Saldado?

Patrzy na mnie, jak gdyby nie znała tego nazwiska albo nie rozumiała pytania.

- Ten człowiek w środku, który ma twoje dziecko. Jest sam?

Kiwa głową, powoli, jak w transie. Zastanawiam się, czy nie jest pod wpływem środków odurzających lub po prostu w szoku.

- Gdzie jest twój mąż?

Wskazuje w stronę drzwi. Niemowlę znów płacze.

- Moje dziecko. Muszę iść do dziecka - mówi.

Muszę trzymać ją za ramię, by nie odeszła.

- Czy ten mężczyzna w środku ma broń?

Kręci głową, wzrusza ramionami. Nie wie.

- Nóż - mówi. - To wszystko, co widziałam.

- Musimy wymyślić coś, żeby wywabić go na zewnątrz - stwierdzam.

Kręci głową. Znów próbuje się wyrwać.

- Posłuchaj. Jeśli mi nie pomożesz, nie będę mógł wydostać stamtąd twego dziecka.

To przyciąga wreszcie jej uwagę. Nie mamy wiele czasu. Saldado musiał słyszeć, jak otwierała i zamykała drzwi od podwórza. Prawdopodobnie w

tej chwili wygląda przez wizjer, zastanawiając się, gdzie ona się podziewa.

- Przejdź obok drzwi najszybciej, jak możesz - szepczę jej do ucha przez złożoną dłoń. - Weź aktówkę i wróć z nią pod drzwi. Kiedy tam będziesz, podnieś ją, żeby mógł ją zobaczyć. Będzie obserwował cię przez wizjer. Powiedz mu, że poszedłem do samochodu po dokumenty, które twój mąż musi podpisać, ale że pieniądze są w teczce. Rozumiesz? Pieniądze są w teczce. Potem postaw ją pod drzwiami. Bez względu na wszystko, kiedy otworzy drzwi, nie wchodzić do środka.

- Moje dziecko jest w środku.

- Wiem. Wydostanę je dla ciebie. Rozumiesz?

Odwraca głowę i patrzy na mnie. Nie jestem pewien, czy rozumie.

- Nic mu się nie stanie? - odzywa się niemal głośno.

Zasłaniam jej dłonią usta.

- Zatrąszczę się o nie. Kiedy facet otworzy, po prostu się odsuń i trzymaj się z boku.

Kiwa głową.

Zanim zadaje następne pytanie, wysyłam ją w drogę. Ogląda się na mnie przez ramię. Jest już zdecydowanie w polu widzenia wizjera. Gestem każe jej patrzeć w inną stronę. Odwraca głowę niczym marionetka. Jest w szoku. Obawiam się, że kiedy weźmie aktówkę i wróci pod drzwi, zapomni całą resztę.

Ale zanim dociera do schodów, przystaje przed drzwiami. Wstrzymuję oddech. Jeśli Saldado otworzy i wciągnie ją do środka, nic nie będę mógł zrobić. Mój mózg wysyła jej telepatyczne sygnały, żeby ruszyła dalej.

Słyszę dźwięk przesuwanego łańcucha. Wynurzam się z kryjówki, by zmniejszyć odległość dzielącą mnie od drzwi. Chrobot łańcucha przywraca Robin do rzeczywistości. Powłócząc nogami, rusza wolno korytarzem w stronę schodów i mojej aktówki.

Biorę głęboki wdech i cofam się za występ muru. Modlę się, żeby Saldado był sam i nie miał spluwy. W przeciwnym razie będzie wkurzony, kiedy odbierze towar i odkryje, że mam tylko sześćdziesiąt dolców w portfelu i trochę drobnych w kieszeni.

Robin podnosi teczkę i odwraca się do mnie. Robot w transie. Kiwam głową, gestami przywołując ją ku drzwiom.

Idzie jak zombi. Jest w szoku. Być może doznała wstrząśnienia mózgu od uderzeń w głowę. W lewej ręce niesie pustą aktówkę. Kiedy dociera do drzwi, odwraca się i staje, gapiąc się w gładką drewnianą płytę.

Saldado z pewnością obserwuje ją teraz przez wizjer. Daję jej znaki, chwytam się za nadgarstek i unoszę dłoń wciąż ściskającą klucz do kół. „Podnieś teczkę i pokaż mu ją”. Robię wszystko poza wypowiedzeniem tych słów.

Wreszcie Robin podnosi teczkę. Waha się chwilę, po czym mówi:

- Pieniądze są w środku.

Słyszę, jak łańcuch się odsuwa. Potem cisza.

- Gdzie on jest?

Robin lekko kręci głową. Rozpędza mgły.

- Poszedł do samochodu - mówi. - Po jakies papiery do podpisu.

Saldado zastanawia się moment. Wreszcie przekręca zasuwkę. Sezamie, otwórz się. Wynurzam się zza pilastra i posuwając się z plecami przy ścianie, trzema długimi krokami docieram do drzwi. Watkins wciąż stoi tam z aktówką w dłoniach. Jest oszołomiona.

Ściskając oburącz klucz do kół, głową daję jej znak, by się odsunęła. Nie widzi mnie albo nie dociera to do niej.

Gałka drzwi obraca się. Nie ma czasu do stracenia. Oparty plecami o ścianę unoszę lewą nogę i stopą pcham z całej siły rękę, w której trzyma aktówkę. Teczka wylatuje jej z ręki i upada na podłogę. Watkins zatacza się i przewraca bezwładnie półtora metra dalej. Moment później drzwi uchylają się lekko.

Rzucam się na nie całym ciałem, barkiem naprzód, zapierając się nogami. Potykam się o leżącą teczkę i tracę równowagę. Skórzane podeszwy moich butów ślizgają się na deskach podłogi.

Drzwi są już otwarte do połowy, nim do Saldado dociera wreszcie, co się dzieje. Przez chwilę widzę jego twarz, rozszerzone oczy niczym dwie czarne oliwki pływające w oceanie bieli, zanim następuje reakcja. Szybki jak kot, rzuca się na drzwi i pcha, stawiając mnie prosto. Nagle układ sił się

zmienia. Zapierający się Saldado ma nade mną przewagę. Sięga ręką przez drzwi. Trzyma coś lśniącego i połyskującego. Brzytwa. Robi zamach w stronę mojego prawego ramienia i przecina cienki rękaw bawełnianej koszuli, jakby to była bibułka.

W ułamku sekundy, którego mi trzeba, by odpowiednio zareagować, Saldado napiera na drzwi, jak gdyby od drugiej strony zwała się na nie góra.

Pcham ze wszystkich sił. Przegrywam. Drzwi zamykają się kawałek po kawałeczku, gdy nagle uderzają o coś twardego i się zatrzymują. Zerkam w dół. U moich stóp kuli się Robin Watkins, zakrwawiona i posiniaczona. Wepchnęła w szczelinę moją aktówkę.

Rzucam się barkiem na drzwi, a one ustępują lekko. Saldado wie, że nie może wygrać. Może nie dopuścić do otwarcia drzwi, ale nie może ich zamknąć. Próbuje wykopać aktówkę, ale Watkins przytrzymuje ją obiema rękami.

Znów robi zamach brzytwą. Tym razem paruję go kluczem do kół, gniazdową końcówką uderzając Saldado po kłykciach. Cofa rękę. Przez kilka sekund udaje mu się mnie powstrzymać. Rzucam się na drzwi, raz, drugi, trzeci. Każde uderzenie przenosi się na jego ciało po drugiej stronie. Przyjmuje ich jeszcze kilka, potem nagle odpuszcza i drzwi otwierają się na oścież.

Saldado wycofuje się na środek małego salonu. Posuwa się tyłem i niemal przewraca o mały, rozklekotany stolik do kawy. Łamie jedną z nóg mebla i kopniakiem odtrąca resztę na bok. Rozszczerzone kawałki drewna lecą przez pokój. Błat stolika łąduje na wielkim, owiniętym w folię pakunku leżącym na podłodze za kanapą.

Meksykanin przykuca na ugiętych kolanach, trzymając brzytwę przed sobą i nie odrywając wzroku od klucza w moich dłoniach.

Na kanapie, na lewo ode mnie, siedzi dziecko, mały chłopczyk w brudnym pampersie. Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Zaskoczony moim wtargnięciem, na moment przestaje płakać i wpycha do buzi oślinioną piąstkę.

Patrzę na Saldado. Obu nam w tym samym momencie przychodzi do

głowy jedna myśl. Meksykanin robi ruch w stronę dziecka. Zamierzam się kluczem. Chybiam o parę centymetrów, ale to wystarcza, by zmusić go do cofnięcia się i uskokzenia w lewo. Natychmiast wykorzystuję to, posuwając się bokiem w prawo, tak by znaleźć się między nim a chłopcem. Saldado podejmuje ten wojenny taniec, spychając mnie dalej w prawo. Patrzy na otwarte drzwi, w których Robin wciąż kłęczy na podłodze. Jestem tam, gdzie chcę być, zostaję więc w miejscu. On ma brzytwę, ale klucz daje mi większy zasięg. Jeśli zaatakuję mnie i chybi, złamię mu rękę. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się zdzielić go w głowę.

Saldado analizuje sytuację. Jego ciemne oczy biegną w tę i z powrotem między kłęzącą w drzwiach Watkins a jej dzieckiem na kanapie. Oboje w równym stopniu nadają się do jego celów. Markuje ruch w stronę matki i dają się nabrać. Atakuję. Świst powietrza. Saldado usuwa się w drugą stronę, bliżej dziecka. Klucz zakreśla ósemkę w pustej przestrzeni.

Cofa się, uśmiechając się do mnie.

- Nie tak łatwo, co? - Ociera ramieniem pot z górnej wargi.

Obserwuję jego oczy. Ocenia zasięg moich ciosów, moją gotowość zaryzykowania kontaktu z brzytwą.

Patrzy na dziecko, a potem znów na matkę; to oczywiste ruchy, by pozostawić mnie w niepewności co do celu kolejnego ataku. Kątem oka wciąż śledzi klucz do kół. Zerka w stronę dziecka, robi pół kroku w tym kierunku.

Tym razem nie łapię się na to. Stojąc bez ruchu, obracam tylko głowę. Kiedy robi nagły zwrot w stronę drzwi, jestem gotowy.

Saldado nie ma wyboru. Niesie go siła rozpędu, dając mi dość czasu na szybki zamach żelastwem. Wymierzam cios niczym leworęczny zawodnik z Louisville. Gniazdowy koniec klucza trafia go z całej siły, nisko, po lewej stronie klatki piersiowej: tępe, głuche uderzenie i chrzest pękających kości.

- Uhhhhhhhh.

Cios odbiera mu dech. Saldado zatacza się w tył. Zaskoczenie i ból, do których chwilę później dołącza gniew; wszystkie emocje adrenaliny

przemykają w ułamku sekundy przez jego twarz. Zanim jestem w stanie przyłożyć mu po raz drugi, rzuca się na mnie. Robi to bez przekonania, ale to wystarczy, by utrzymać mnie z dala. Walka lub ucieczka.

Atakuje znowu. Ostrze tnie pod kluczem. Zginam się wpół, cofając i krawędź brzytwy przesuwają się o włos od mojego żołądka.

Zataczam pętlę kluczem i siłą rozpędu trafiam go w grzbiet dłoni, zbyt słabo jednak, by wyrządzić mu jakąś krzywdę.

Saldado trzyma się za bok. Zagląda sobie pod ramię, obmacując bolące miejsce i oceniając rozmiar szkód. Na koszuli ma krew. Patrzy na nią i nagle uświadamia sobie, podobnie jak ja, że przecież nie tam go uderzyłem.

Wysoko na jego barku widnieją luk drobnych czerwonych plamek, jak gdyby ktoś machnął w jego stronę zamoczonym w farbie pędzlem.

Dysząc ciężko, pomimo bólu kojarzy fakty szybciej niż ja. Uśmiecha się.

- Krwawisz, *señor*.

Szybko zerkam w dół. Krew kapie z klucza na podłogę.

Saldado próbuje wykorzystać moją chwilową nieuwagę. Przygważdzam go wzrokiem, gdy pochyla się do ataku. Poczawszy raz ugryzienie mojego żelastwa, nie ma ochoty na dokładkę.

Prawy rękaw mojej koszuli jest czerwony od łokcia aż po zapięty mankiet, gdzie dosięgło mnie przez drzwi ostrze brzytwy. Adrenalina uśmierzyła ból. Albo to, albo mam przecięty nerw.

Ruchy Saldado są teraz wolniejsze. Moje także. Ustawia się do mnie zdrowym bokiem, by chronić zraniony. Wciąż trzyma się za dolne żebra. Drugą ręką wolno macha mi przed nosem brzytwą, robiąc wiatr.

Próbuje sprowokować mnie do zamachnięcia się na ostrze, jeszcze bardziej zbliżając mi je do twarzy. Nie chwytam przynęty. Ominąłby mój cios i przy ruchu powrotnym złapałby mnie za rękę, a w tym czasie mógłby swobodnie operować brzytwą.

- Tylko tak dalej, facet - mówi - a też skończysz na podłodze.
- Tak, w biciu kobiet jesteś naprawdę niezły - odpowiadam.
- Nie, nie. Nie o niej mówię. Chodzi mi o twojego kumpla. Tam. -
Wskazuje głową w drugą stronę. - Możesz sobie zatrzymać pieniądze. Zabraj je i idź. Daruję ci życie - dodaje.

Rzykuję rzut oka i uświadamiam sobie, że Saldado mówi o owiniętym w folię pakunku za kanapą.

- Espinoza?

Powoli kiwa głową, uśmiechając się do mnie.

- Co z kobietą i dzieckiem?

Wzrusza ramionami i rzuca mi rozbrajający uśmiech.

- Co oni dla mnie znaczą?

Watkins musiała widzieć, jak zabijał jej męża. Nie wierzę, że pozwoliłby jej odejść.

- Wezwałem już policję - mówię mu.

- Kłamiesz.

- Poczekaj, to się przekonasz.

Robi zamach brzytwą.

- Myślisz, koleś, że jak długo możesz tak krwawić, zanim padniesz?

Hm? Dlaczego nie pójdziesz?

Jego oczy mówią mi, że gdy tylko zrobię krok w stronę drzwi, rzuci się na mnie.

- Pozwól jej zabrać dziecko i odejść.

- Jasne.

- Robin?

Kobieta patrzy na mnie, ale się nie odzywa.

- Weź dziecko - mówię.

Spogląda na chłopca, potem znów na mnie.

- Wstań i weź dziecko.

Meksykanin uśmiecha się. Wie, że jeśli uda mu się mnie powalić, zdąży schwytać oboje, zanim dotrą do drzwi.

Watkins wstaje. Robi kilka niepewnych kroków w głąb pokoju.

- Schowaj się za mnie - rozkazuję.

Meksykanin uśmiecha się do mnie. Mógłby złapać ją w mgnieniu oka, zmusić mnie do rzucenia klucza, po czym poderżnąć jej gardło i mnie zabić na koniec.

Robin przesuwa się za mnie, chwyta dziecko i tuli je w ramionach.

- Idź - mówię.

Rusza ku drzwiom, potem obraca się i patrzy na mnie.

- Idź! - Odwracam głowę i na ułamek sekundy spuszczam Saldado z oka.

W tej samej chwili on rzuca się na mnie. Ostrze idzie dołem. Zanim mam czas wziąć zamach, Meksykanin chorą ręką chwyta koniec klucza.

Klinuję jego ramię z brzytwą między łokciem a tułowiem.

- Idź! - rzucam przez zaciśnięte zęby. To wszystko, co mogę zrobić, jeśli nie chcę przygryźć sobie języka, gdy Saldado wali się na mnie całym ciężarem. Jego bark wciska mi się pod brodę, zmuszając mnie do odchylenia głowy w prawo.

Z przerażeniem w oczach, ściskając kurczowo dziecko, kobieta znika w głębi korytarza.

Saldado, z trzymającą brzytwę ręką uwięzioną pod moją pachą, próbuje manewrować nadgarstkiem tak, by dziabnąć mnie w plecy. Czuję, jak ostrze ociera się o moją bawełnianą koszulę, i szarpie się, wykręcam, obracam wokół własnej osi, żeby zwalić go z nóg.

Przesuwam ciężar ciała i pozwalam fizyce dokonać reszty. Siła odśrodkowa posyła nas przez pokój, aż wreszcie nasze stopy uderzają w nieruchomy obiekt, ciało Espinozy, i górę bierze grawitacja.

Chwytam go dłonią za kark i padając, pcham mocno. Przyspieszam w ten sposób jego upadek i rzucam go na pierś.

Walę się barkiem na podłogę. Miażdżąca siła uderzenia pozbawia mnie tchu.

Saldado przyjmuje cios na klatkę piersiową, padając tuż przede mną. Z nosa i ust wypuszcza mgiełkę krwi z przebitego płuca. Dłoń z ostrzem uderza o podłogę i brzytwa ląduje z brzękiem na starych deskach.

Przez kilka sekund żaden z nas się nie porusza. Leżąc na boku pod kanapą, niezdolny zaczerpnąć tchu, słyszę jego świszczący, przerywany od czasu do czasu jękami oddech.

W głowie zaczyna robić mi się pustka, wzrok zamazuje się, jak gdybym patrzył przez szybę, na którą ktoś wylał wiadro wody.

Widzę, jak Saldado unosi głowę. Z nosa i ust wydobywają mu się pienne pęcherzyki krwi.

Oddycham powoli, płytko, głowa robi mi się lekka jak hel.

Meksykanin dźwiga się z wysiłkiem na kolana, podpierając się dłońmi. Oczyma zaszklonymi bólem i przepalonymi gniewem patrzy na mnie, zataczając się na czworakach.

Skupiam wzrok na lśniącym ostrzu na podłodze.

Saldado odwraca głowę i dostrzega je.

Próbuję się ruszyć, ale ciało odmawia mi posłuszeństwa. W stopach czuję chłód, wzrok się zaćmiewa, uszy zaczynają wypełniać halucynacje: słyszę odległe buczenie.

Kiedy znów kieruję wzrok w jego stronę, Saldado nie patrzy już na leżącą brzytwę. Trzymając się za bok, z wysiłkiem podnosi się na nogi. Jego ciemne oczy zwrócone są ku oknom od ulicy. Nim ogarnia mnie mrok, rozpoznaję jeszcze dobiegający gdzieś z zewnątrz dźwięk, metaliczne wycie syreny policyjnej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Powracam z zamroczenia do świata żywych. Jak przez mgłę widzę nad sobą pokryty tynkiem sufit w mieszkaniu Meksykanina.

Nie wiedzieć czemu, leżę na plecach. Nie czuję żadnego bólu. Twarda podłoga zniknęła, zastąpiło ją coś bardziej miękkiego. Próbuję usiąść, ale nie mogę. Jestem przypięty pasami do noszy. Zaczynam unosić rękę do głowy, ale ktoś chwyta mnie za ramię.

- Proszę się nie ruszać. Wyrwie pan igłę.

Facet w niebieskim mundurze mocuje plastrem igłę wbitą w grzbiet mojej dłoni. Klęczy na jednym kolanie, regulując małe plastikowe pokrętło na rurce wychodzącej z worka z przejrzystą cieczą, która spływa igłą do

moich żył.

- Jak się pan czuje?

Próbuję się odezwać.

- Strasznie drapie mnie w gardle.

- Proszę nie mówić. Poruczniku, on zaczyna odzyskiwać przytomność.

Worek kroplówki podtrzymywany jest przez innego sanitariusza, który stoi nad pierwszym. Igła tkwi w mojej zdrowej ręce, lewej. Prawą mam owiniętą gazą i plastrem od nadgarstka aż do łokcia. Obie ręce spoczywają skrzyżowane na piersi, jak gdyby przygotowywano mnie do włożenia do trumny.

- Stracił pan wiele krwi.

- Nic nie czuję - chrypię.

- To środki przeciwbólowe - odzywa się inny głos. - Niech się pan nie martwi, jutro rano poczuje pan to jak cholera.

Twarz mówiącego pojawia się wreszcie w zasięgu wzroku. Wydaje się znajoma, ale nie mogę jej umiejscowić. Facet ma na sobie koszulę i krawat, na nosie ciemne okulary, w jednej ręce trzyma notatnik, a w drugiej puszkę dietetycznej coli.

- Chciałbym usiąść. - Pasy nie pozwalają mi się ruszyć.

- Nie. Nie. Proszę leżeć. - Sanitariusz nie zamierza uwolnić mnie z więzów.

- Jasne. Żeby mógł pan spać na dupę i zaskarżyć władze miejskie. - Puskę coli wciąż pokrywa mroźny pot. Poczestowałbym pana, ale wtedy zarzygałby pan całe miejsce zbrodni. Jakiś pieprzony adwokat znalazłby sposób, żeby wykorzystać to przeciwko nam w sądzie. Wymiotna obrona. A wtedy nigdy już byśmy tego nie rozwikłali. - Wskazuje coś trzymaną w dłoni puszką.

Przekręcą głowę w tamtym kierunku i widzę Espinozę. A w każdym razie górną partię jego ciała. Większa część jest nadal zawinięta w plastik, z wyjątkiem głowy i ramion, na których płachta została rozcięta i rozchylona niczym liście na kolbie kukurydzy. Jego twarz jest biała. Gardło przecina

kreska zaschniętej krwi grubości nici dentystycznej.

Odwracam głowę, by spojrzeć na faceta w ciemnych okularach.

- Czy ja pana znam?

- Och, tak. - Zdejmuje okulary. - Porucznik Ortiz. - Szczerzy się do mnie. Jego skóra jest tak naciągnięta na kościach twarzy, że zęby odznaczają się niczym w nagiej czaszce. - Pamięta pan? Mieliśmy miłe spotkanie w pańskim biurze. Ja monologowałem. Pan powoływał się na tajemnicę adwokacką. Rozmawialiśmy o pańskim kumplu Nicku Rushu i o Geraldzie Metz. Pamięta pan chyba?

Kiwam głową.

- Nie byłem pewny. Te wszystkie prochy, które pakują w pana z tego worka. Przypuszczam, że to niewiele gorsze od gówna, które sprzedawał Metz. Jak pan sądzi?

Nie odpowiadam.

- Co, żadnych opinii? Okej, świetnie. Zostawmy tę sprawę. Co pan myśli o tym? - Wskazuje głową zwłoki Espinozy. - Sądzi pan, że to był wypadek? Rozumiem, że Rush zginął w wypadku. Czytałem o tym w gazecie - mówi. - Faktycznie. Wszedł w drogę lecącej kuli. Jak to mówią, szybkość zabija. - Patrzy na mnie, znów pochylając się nade mną.

Nie odpowiadam.

- Co, nic mi pan nie powie? Rany boskie, jak na adwokata jest pan wyjątkowo małowówny. A wmawiano mi, że to pan wymyślił ten przekręt z ubezpieczeniem. Cóż, świetnie. Proszę oszczędzać głos. Możemy porozmawiać jutro. Poza tym jedno zwłoki naraz. Co sprowadza nas z powrotem do tych tutaj. Może przypadkiem widział pan, jak to się stało, co?

Kręcę głową.

- Tak też myślałem. Co może mi pan powiedzieć? Zobaczmy. Wiemy, że facet nie żyje. Czym on to zrobił, skalpelem?

Odwracam głowę, by spojrzeć na podłogę na drugim końcu pokoju. Pusto. Patrzę znów na Ortiza.

- Brzytwą.

- Aha. Tą, którą pana pocałował?

Kiwam głową.

- Jak się nazywa?

Muszę odchrząknąć, zanim jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

- Saldado.

- Mhm. Rozumiem, że tym razem nie był to żaden z pańskich klientów. Całe szczęście dla pana. To jego mieszkanie, zgadza się?

Kiwam głową.

- Facet miał ciekawy sposób traktowania gości - zauważa Ortiz.

Jeden z sanitariuszy sprawdza opatrunek na mojej ręce. Krzywię się.

- Za chwilę będziecie mogli go zabrać - mówi Ortiz. - Chcę porozmawiać z nim jeszcze tylko minutkę.

Sanitariusz rzuca okiem na kropłówkę, po czym odchodzi, by pozbierać swój sprzęt.

- Jak na adwokata dziwnie pan sobie poczyna - stwierdza porucznik. - Spodziewałbym się, że będzie pan rozdawał wizytówki pokrzywdzonym, nie martwym. - Trzyma moją wizytówkę. Tę ze słowami do Espinozy na odwrocie. - Zechce pan wyjaśnić mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Posłużyłem się wizytówką, żeby wejść do środka. Byli w jego rękach.

- Kto?

- Matka. Dziecko.

- Telefon pod dziewięćset jedenaście. Przemoc w rodzinie.

Kiwam głową.

- Rozumiem. A kto dał panu strój Supermana? Dlaczego nie czekał pan na nas?

- Nie było czasu. Gdzie oni są?

- Nic im nie będzie. Dziewczyna będzie miała rano niezłe limo. Ale żyje. To więcej, niż możemy powiedzieć o jej brzydszej połowie. - Wskazuje zwłoki na podłodze. - Muszę powiedzieć, że ona znosi to całkiem niezłe, biorąc wszystko pod uwagę. Ale z drugiej strony to chyba nie był romans jak z bajki. Kto ją pobił? Saldado?

Kiwam głową.

- Złapaliście go?

- Nie. Kiedy przyjechaliśmy, już go nie było. Ale nasi ludzie szukają go, sprawdzają każdy dom, zaglądną do kanałów. Wszędzie, gdzie się da. Znajdzie się.

- Nie sądzę.

- Czyżby pan coś wiedział?

Kręcę głową.

- Proszę mi wierzyć. Dopadniemy go.

Jeśli nie dorwali go, kiedy uciekał z mieszkania, już go nie znajdą. Ludzie, którzy zarabiają na życie tak jak Saldado, przeprowadzają się bez walizek i wysyłają sygnały bez zadymy. Mają opracowane dziesiątki planów awaryjnych, zanim jeszcze gliny zapukają do ich drzwi: dziury, do których mogą dać nurka albo z których mogą wyskoczyć, kryjówki, punkty kontaktowe i mety. Gdybym się nie zjawił, za parę godzin, po zmroku, Espinoza, jego żona i dziecko zostaliby elegancko zapakowani, załadowani na tył ciemnego blazera i wywiezieni, by spocząć w płytkim grobie gdzieś na pustyni na wschód od miasta. Jeśli się nie mylę, Saldado, czy jakkolwiek brzmiało jego prawdziwe nazwisko, dawno już zniknął i może być już w drodze do Cancún.

Ortiz przerywa pisanie. Ogląda moje ramię i głowę, po czym dodaje parę uwag do swego raportu.

- Nieźle pana załatwił.

- Jak to mówią, trzeba było zobaczyć tamtego.

- Co pan mu zrobił? Wytoczył proces?

- Połamałem mu żebra.

Ortiz patrzy na mnie, uśmiechając się z niedowierzaniem.

- Czym, palcem?

- Kluczem do kół. - Wskazuję pod kanapę.

Porucznik pcha mebel, aż ten odsuwa się o parę centymetrów, ukazując koniec klucza.

- Jack. Przeczyłeś tu coś.

Jeden z techników, z rękawiczkami chirurgicznymi na rękach, podchodzi do nas.

- Czy Saldado tego dotykał? - pyta Ortiz.

Kiwam głową.

- Zabezpiecz odciski palców i zaetykietuj to - zwraca się do technika.

- Musisz też pobrać odciski palców od niego, żeby je wyeliminować. I krew - dodaje. - Sprawdź, czy nie uda ci się znaleźć jakichś śladów. Przy odrobinię szczęścia moglibyśmy mieć DNA do ustalenia tożsamości. Facet mówi, że złamał mu tym żelastwem parę żeber. Chrząkam i pokaszuję, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Co znowu?

Klepię się po koszuli, na piersi po lewej stronie, daleko od rozciętego przedramienia.

- Co pan mówi?

- Jego krew.

Ortiz przykłęka, by przyjrzeć się dokładniej. Tam gdzie Meksykanin kaszlnął, gdy razem upadliśmy na podłogę, widoczna jest delikatna mgiełka drobniutkich plamek, małe kropki zaschniętej krwi, niczym drobinki rdzy, biegnące ukośnie przez gors mojej białej koszuli i zachodzące aż na policzek.

- Jack. Przynieś nożyczki.

Chwilę później technik wraca. Paroma ruchami wycina z mojej koszuli łatę, kwadrat dziesięć na dziesięć centymetrów.

- Po dziabnięciu kosą robi się pan o wiele bardziej chętny do współpracy. Będę musiał pamiętać o tym, kiedy znowu przyjdę do pańskiego biura na rozmowę. Ma pan coś jeszcze?

Kręcę głową.

- No dobra, na razie wystarczy. Wygląda pan dość mizernie - stwierdza Ortiz. - Chcecie go zabrać, chłopaki? - To do sanitariuszy. - Ta ręka będzie wymagała paru szwów. Jeśli zadzwonię na pogotowie i uprzedzę ich, że jedzie do nich adwokat, jestem pewien, że znajdą największą igłę, jaką mają. - Uśmiecha się do mnie.

- Świetny pomysł - mówi technik. - Poradz im, żeby wzięli ten cholerny harpun, którym zszywają zwłoki po autopsji. Będzie miał o czym opowiadać, kiedy podwinie rękawy na zebraniach palestry.

- Dzięki.

- Nie ma za co - odpowiada z uśmiechem Ortiz. Zdążył już założyć z powrotem okulary przeciwsłoneczne. - Chce pan, żebym zadzwonił do pańskiego wspólnika?

Kiwam głową. Usiłuję wydobyć z siebie głos, ale nic mi nie wychodzi. Próbuję jeszcze raz.

- Moja córka.
- Mam powiedzieć mu, żeby ją zawiadomił?

Szybko kiwam głową.

- Zatrzymają pana przynajmniej przez noc. Na obserwacji - mówi Ortiz. - A my porozmawiamy sobie jeszcze trochę jutro, co? I tak dla pańskiej wiadomości, niech pan nie próbuje wmawiać mi, że nie ma związku między tym tutaj kolesiem a tamtym klientem, Metzem. Bo wiem, że był.

Kręcę głową.

- Dobrze już, dobrze - mówi. - Rozumiem, że opowie mi pan o tym, kiedy poczuje się lepiej, na przykład jutro?

Zanim jestem w stanie odpowiedzieć, Ortiz odwraca się do jednego z sanitariuszy.

- Chcę, żebyście mieli go pod kontrolą. To ważny świadek - wyjaśnia. - Nie może opuścić szpitala, dopóki ja go nie wypiszę. Osobiście. Rozumie pan? - Potem znów patrzy na mnie. Puszcza do mnie oko. - Do jutra.

Relacja o zamordowaniu Espinozy, wraz ze zdjęciami otoczonego żółtą taśmą domu, w którym mieszkał Saldado, zajmuje całą pierwszą stronę porannej gazety. Harry przyniósł mi ją z ubraniem do izolatki w szpitalu hrabstwa. Ochroniarz siedzi za drzwiami, pilnując, żebym nie uciekł.

- Było nawet w wieczornych wiadomościach - mówi Harry.
- Kiedy stąd wyjdę?
- Wyluzuj się. Mogło być gorzej.
- Ciekawe jak?
- Mógłbyś mieć towarzystwo w pokoju.
- Mam. Ciebie.
- Mógłbyś trafić na oddział intensywnej terapii.
- To racja.
- Włącz sobie jakiś serial. - Wskazuje telewizor na ścianie. - Przestałbyś myśleć o tym wszystkim.
- Rzeczywiście, przestałbym myśleć.
- Wyluzuj się. Przynajmniej Saldado nie przeciął ci nerwów - zauważa.

To prawda. Ręka boli mnie teraz jak diabli. Czuję rwanie aż pod pachą, skąd dociera do mózgu, pulsując tuż za gałkami ocznymi niczym maleńkie błyskawice.

- Akurat tym razem, jak rzadko, zgadzam się z glinami - stwierdza Harry. - Powiedz im, co wiesz, i wracajmy pracować dla amerykańskiego narodu.

- Co ja wiem? Espinoza nie żyje.

Harry przyniósł mi spodnie i czystą koszulę, więc przebieram się w czasie rozmowy. Ostrożnie odwijam rękaw na zabandażowane ramię i zapinam mankiet.

- Wygląda na to, że jakiś czas będziesz musiał pisać lewą ręką.

- Rozumiem, że nie znaleźli Saldado?

Harry kręci głową.

- Wciąż przeczesują okolicę, rozmawiają z mieszkańcami. Moim zdaniem marnują tylko czas. Gdybyś miał trupa w salonie, kręciłbyś się w pobliżu?

Nie odpowiadam.

- Ja też nie - mówi.

- Dałbyś radę tak uciec, mając złamane żebro? - pytam.

- Zależy, przed czym bym uciekał - stwierdza Harry.

Opieram stopę na skraju łóżka, próbując zawiązać sznurowadło sztywną ręką.

- Może chcesz, żebym ja to zrobił?

- Kiedy zacznę się ślinić, możesz umieścić mnie w domu starców. Do tego czasu sam będę sobie zawiązywać buty - oświadczam.

- Świetnie. Chciałem ci tylko pomóc.

- Jak długo Ortiz może mnie tu trzymać?

- Powiem ci jedno. Nie chciałbym być twoją pielęgniarką - mówi.

- Harry?

- Co?

- Jak długo Ortiz może mnie tu trzymać?

Patrzy na mnie i wzrusza ramionami. Gdybym chciał liczyć na to, że mój wspólnik wydobędzie mnie ze szpitala, prędzej nabyłbym praw własności przez zasiedzenie.

Podnoszę drugi but, kładę go na skraju prześcieradła, gdzie materac dotyka poręczy, zabieram się do sznurowania. W tym momencie słyszę

głosy za drzwiami. Chwilę później drzwi otwierają się. Zastygam ze stopą na łóżku i unoszę wzrok.

Do pokoju łąduje się Ortiz, tym razem ze swoim partnerem, jasnowłosym futbolista.

- O wilku mowa - stwierdzam.

- Co ci mówiłem, Norm? Połóż adwokata na cały dzień z basenem pod tyłkiem, a będzie się uśmiechał na twój widok.

- W razie gdyby pan nie zauważył, ja się nie uśmiecham - informuję go.

- Słyszysz to? Parę godzin bez wesołego soczku i pierwsze, co znów zaczyna funkcjonować, to jego jadaczka. Pamięta pan sierżanta Padgetta? - pyta Ortiz.

- Jak mógłbym zapomnieć? - Padgett trzyma bloczek i ołówek, gotowy do robienia notatek. - Jak się pan ma?

- Sądząc na oko, lepiej niż pan. - Sierżant opada na krzesło obok Harry'ego.

- Czyżby umiał pan pisać? - dziwi się Harry.

Patrzę na niego.

- Bądź uprzejmy.

- Niech pan posłucha kolegi - radzi mu Ortiz. - On chce iść do domu.

- Podałbym panom rękę, ale obie mnie bołą - mówię.

- Ostrze w jednej, całonocna kroplówka w drugiej. - Ortiz z uśmiechem opisuje Padgettowi moje obrażenia.

- Mógłbym już wyjść.

- Nie skończył pan zawiązywać buta - zauważa porucznik. - Potem musi pan powiedzieć nam, co się stało.

- Co się stało?! Zostałem ranny. Jestem ofiarą przestępstwa.

- Tak, ale co pan tam robił? I proszę mi nie mówić, że szukał pan swojego klienta.

- Tak właśnie było.

- Niech pan mi tego nie mówi. Nie chcę tego słyszeć. Espinoza nie był pańskim klientem. Już nie. - Patrzy na kolegę. - Clarence Darrow, którego tu widzisz, wsunął pod drzwi tego faceta wizytówkę z notatką, że ma pięć kawałków gotówką dla jego zamordowanego gościa.

- Wygląda, jakby się prosił, żeby zrobić z niego poduszkę do szpilek

- stwierdza Padgett. - Nauczyli tego pana na studiach prawniczych?

- Dzięki temu dostałem się do środka.

- Dlaczego się pan przy nim kręcił? To znaczy, przy Espinozie? - pyta Ortiz. - Z tego, co wiemy, nie cierpi pan na brak klientów. Jego żona twierdzi tymczasem, że przyszedł pan do jej mieszkania i powiedział, że chce reprezentować jej męża.

Wiedzą już sporo. Nie odzywam się i Padgett zdradza nieco więcej.

- Zostawił go pan w pace. W areszcie federalnym. Domyśliłyśmy się, że obecny tu pański partner dostał zawału, kiedy zadzwonił i dowiedział się, że Espinoza jest na ulicy. Czy nikt nigdy nie mówił panu, że kiedy się bierze klienta, powinno się świadczyć mu usługi prawne?

- Dla kogo pan pracuje, dla palestry? - wtrąca Harry.

- Rozmawialiśmy z tym studencikiem, który go wyciągnął - mówi Padgett. - I zważywszy na to, że nie wziął pan honorarium, nie robił pan tego dla pieniędzy.

- Więc niech pan nam powie - znów odzywa się Ortiz - dlaczego wszyscy tak interesowali się Espinoza?

- Chcesz mu powiedzieć czy ja mam to zrobić? - pyta Harry.

- Och, świetnie. Adwokat, który myśli. - Porucznik odwraca się w jego stronę.

- Powiedziano nam, że Espinoza może wiedzieć coś o strzelaninie przed gmachem sądu federalnego - wyjaśniam, zanim Harry się odzywa.

- A kto wam to powiedział?

- Wasi ludzie - stwierdza Harry.

Ortiz zerka na niego.

- Nasi ludzie?

- Tak to już jest. Ludzie gadają. Niektórzy z nich pracują dla rządu. Okej. Nie powinni. Tak czy owak, gadają, a my słuchamy.

- Macie nazwiska tych ludzi? - pyta Ortiz.

Padgett wysuwa grafit ze swego automatycznego ołówka.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wspomnieli, jak się nazywają - mówi Harry.

- Agencje?

Mój współnik kręci głową.

- Też nie.
- Rozumiem. Anonimowe telefony do waszego biura.
- Coś w tym rodzaju - mówi Harry.
- To otwarte dochodzenie. Jak by się panu podobało, gdyby zastępca prokuratora okręgowego spytał pana o to pod przysięgą, przed sędzią? - pyta Padgett. - Uśmiecha się panu perspektywa mamra za obrazę sądu?
 - Jeśli mają tam takie pokoje jak ten, nie usłyszałby pan ode mnie słowa skargi. Telewizor, trzy posiłki dziennie. Pewnie złapałbym też paru klientów w świetlicy. To brzmi jak wakacje - stwierdza Harry. - Nie mówiąc już o reklamie. Adwokat idzie do więzienia, by chronić swych informatorów.
 - To przypadek reporterów - zauważa Padgett.
 - Tak, ale to taka słuszna sprawa - mówi Harry. - Myślę, że nagięliby przepisy.
 - Racja, zapomniałem. Geniusze ugod - wtrąca Ortiz. - Śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Porozmawiajmy o tym. Kogo pan reprezentował? Żonę, tę nową... jak ona ma na imię?
 - Dana - podpowiada sierżant. - Pamiętasz, taka zgrabna blondynka. Eleganckie maleństwo. Błyszczące zęby.
 - Jak mogłem zapomnieć? Ile ona dostała? Milion, półtora? - pyta Ortiz.
 - Coś koło tego - mówię.
 - A pan? - drąży Padgett. - Jak ściągnął pan swoje honorarium? Czekiem? Czy może był jakiś inny układ? - Szczerzy zęby w uśmiechu. - Wie pan, że możemy się wszystkiego dowiedzieć.
 - Proszę bardzo.
 - Wiemy, że ona widuje się z kimś innym - stwierdza porucznik.
 - Oprócz kogo? - pytam.
 - Daj spokój - wtrąca Padgett. - Może to była tylko chwila słabości.
 - A może interesy - mówię. - Jak się wam podoba jego samochód? - Twarz Padgetta zdradza wszystko. Taka mina nie wymaga już żadnych słów. Śledzili Fittipaldiego. - Tak, wiem. Ja też nie przepadam za jaguarami.
 - Może to była podwójna zdrada?

- Chciał pan chyba powiedzieć: triada?
- Zdrada, triada. Ich troje razem. Odwracam się do Ortiza.
- Wiem, że to bardzo ciekawa rozmowa. Ale możemy już iść?
- Nie, dopóki nie powie mi pan o Espinozie - oświadczają.
- Co chciałby pan wiedzieć?
- Na początek, dlaczego szukał go pan w mieszkaniu tego Saldado?
- Znałem nazwisko faceta. Espinoza podał mi je, kiedy rozmawiałem z nim w areszcie. - To drobne, niewinne kłamstwo, ale dzięki niemu nie muszę mieszać w tę sprawę Joyce i Benniego.

- Skąd oni się znali? To znaczy, Espinoza i Saldado?

- Nie wiem tego dokładnie.

- A co pan wie?

Ołówek Padgetta zaczyna skrobać po kartkach notesu.

- Pamięta pan wizy, które skradziono mniej więcej rok temu z furgonetki w Tijuanie?

- To właśnie z ich powodu Espinoza znalazł się w areszcie - mówi Ortiz.

- Zgadza się. Czytałem o jego aresztowaniu w gazecie. Nazwisko Espinozy padło w rozmowie, którą odbyłem z Metzem, zanim przekazałem go z powrotem Nickowi.

To trafia gliniarzy w ich słaby punkt: ciekawość.

- Co o nim mówił?

- Podał mi nazwisko. Powiedział, że Espinoza pośredniczył w jego kontaktach z ludźmi, z którymi robił interesy w Meksyku.

- Z jakimi ludźmi?

- Z dwoma braćmi.

- Nazwisko? - pyta Ortiz.

- Ibarra. Arturo i Jaime.

- Więc ci bracia byli dealerami? - pyta Ortiz.

- Kto to może wiedzieć?

- Pan. To dlatego nie przyjął pan sprawy Metza, czyż nie?

- Powiedział mi, że wynajęli go do wykonania jakichś prac budowlanych. To wszystko, co wiem.

- Ale nie uwierzył mu pan - zauważa porucznik.
- To, w co wierzę, nie ma tu żadnego znaczenia.
- Oczywiście, że ma. To dlatego przekazał pan Metz z powrotem swemu przyjacielowi. To dlatego on zginął. I dlatego właśnie ciągle pan węszy. Czy coś mi umknęło? - Ortiz jest bystry.

Harry klaszcze kilka razy ze swego kąta.

- Czy teraz możemy już iść do domu, żeby mój kolega mógł się kurować jak należy, a reszta mogła się zająć znów swoimi sprawami?

- Więc kiedy zastrzelono Metza, a ten facet został aresztowany, przypomniał pan sobie nazwisko? - Padgett próbuje uporządkować swoje notatki.

- Mówiłem już panu.

- Proszę powiedzieć mi to jeszcze raz.

- Tym razem wolniej, żeby mógł narysować te ludziki trochę większe - wtrąca Harry.

- Pieprz się - mruczy Padgett.

- Jeśli wie pan, jak to się pisze, niech pan to umieści w swojej księdze. Ołówek sierżanta tkwi bez ruchu.

- Tak właśnie myślałem - stwierdza Harry.

- Przeczytał pan to w gazecie? - Padgett próbuje nie zwracać na niego uwagi. - Czy może usłyszał pan, że w areszcie federalnym jest ktoś, kto mógłby coś wiedzieć? Jak to było?

- I tak, i tak.

- I tak, i tak? Jak to możliwe?

- Ktoś powiedział mu o aresztowaniu Espinozy, więc zajrzał do gazety - mówi Ortiz.

- Może to pan powinien robić notatki - zauważam.

- A potem sprawdził pan nazwisko i przypomniał sobie, że Metz je wymienił. Zgadza się?

- Tak.

- To wciąż nie tłumaczy, dlaczego chciał pan reprezentować Espinozę - mówi Padgett. - Dlaczego nie zadzwonił pan do nas.

- Zadzwoniłem.

- Kiedy?

- Wczoraj. Dziewięćset jedenście. Nie spieszyliście się zbyttnio.
- Mądrała.
- Więc w czym tkwi problem? - pyta Ortiz.
- Co pan ma na myśli?
- Co takiego dręczy pana, jeśli chodzi o Metza i pańskiego kumpla Rusha? Uważa pan, że Rush nie potrafiłby handlować narkotykami?
- To nie jest kwestia umiejętności. To kwestia osądu.
- Rozumiem. Był na to zbyt prawy.

Uśmiecham się.

- Był na to zbyt cwany. Nick był dawniej prokuratorem. Prowadził wielkie sprawy narkotykowe. Dlaczego, po tych wszystkich latach, miałby sam wchodzić w tę grę?

- Może potrzebował pieniędzy. Przyjrzelśmy się jego kontu - mówi Padgett. - Kasa zaczynała świecić pustkami. A poza tym sądzi pan, że gliniarze i prokuratorzy nigdy nie przechodzą na ciemną stronę?

- Jeśli chodzi o pana, zrobiłbym wyjątek - stwierdzam.

Z tropu zbija mnie przekonanie nie o tym, że Nick był nieskazitelny, ale że nie był aż takim idiotą.

- Poza tym Nick nigdy nie handlowałby narkotykami z klientem. To byłoby jak podsuniecie cukierków wam, glinom. Niech mi pan powie, nie płynie panu ślinka na samą myśl o tym? Przyłapanie na gorącym uczynku adwokata robiącego interesy z kimś takim jak Metz? Hmm? - Ortiz wyrazem twarzy przyznaje mi rację. - Znaleźliście w tej sprawie jakiegokolwiek powiązania z narkotykami? U któregośkolwiek z nich?

- Pan sam dopiero co podał nam jedno. Tych dwóch braci w Meksyku - stwierdza Padgett.

- Nie mówiłem, że chodzi o narkotyki.

- Ale tak właśnie pan myślał.

- I może na tym polega nasz błąd.

- Więc co to pańskim zdaniem było? - pyta Ortiz.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i patrzę na Harry'ego, przygotowując się do przekroczenia Rubikonu.

- Czy kiedykolwiek oblała się panom o uszy nazwa Mejicano Rosen?

Ortiz ogląda się na kolegę, który kręci głową.

- Co to takiego?

- Nie mamy pojęcia. Według Espinozy tym właśnie zajmowali się ci ludzie w Meksyku.

- Może to jakiś nowy produkt - odzywa się Padgett. - Mogę sprawdzić w DEA. Tam mogli o tym słyszeć.

- Dzwoniłem do różnych ludzi - mówię mu. - Nikt, kto prowadzi sprawy narkotykowe w Kalifornii, nie słyszał o czymś takim. Nie sądzę, żeby to był narkotyk.

- Więc co to jest? - pyta Ortiz.

Kręcę głową.

- Miałem nadzieję, że dowiem się tego od Espinozy.

- Wiemy, kto wydostał go z aresztu. Kto wynajął adwokata i wpłacił kaucję - mówi Ortiz. - Może pan zgadywać trzy razy. Pierwsze dwa się nie liczą.

- Saldado.

- Domyślam się, że musiał zgarnąć go zaraz za bramą. Nie pozwoliby mu odejść daleko.

- To jego prawdziwe nazwisko? - pyta Harry.

- Nie wiemy. Sprawdzamy odciski palców z mieszkania. Jeśli był kiedykolwiek aresztowany w Stanach, powinni coś mieć. Być może trafimy na inne nazwisko.

- Mógłbym się założyć, że co najmniej dwadzieścia - stwierdza Harry.

- Nie udało nam się znaleźć prawa jazdy wydanego na Hectora Saldado. Więc całkiem możliwe, że to pseudo - mówi Padgett.

- A co z samochodem? - pytam.

- Z jakim samochodem?

- Tym przed domem. Przerdzewiałym blazerem.

Porucznik patrzy na mnie, jakbym mówił po chińsku.

- Ze stłuczoną tylną szybą. Zaklejoną folią.

Ortiz spogląda na Padgetta, który kręci głową.

- Nie było żadnego samochodu. - Przenosząc wzrok na mnie, wie już, że to nieprawda. - Dokąd on, do diabła, pojechał? Nie spisał pan przypadkiem numerów?

Kręcę głową.

- Stał tam, kiedy wchodziłem do środka. Chce pan powiedzieć, że zniknął, zanim przyjechaliście na miejsce?

- Wiemy, że on go nie zabrał. - Padgett wstaje z krzesła, zaniepokojony,

że jakoś przeoczył ten szczegół. To on odpowiadał za akcję na zewnątrz.

- Sprawdź w drogówce. Otoczyli kordonem teren wokół domu - mówi Ortiz.

- Może to nie był jego wóz? - ludzi się Padgett.

- Espinoza mówił mi o tym samochodzie. W ten właśnie sposób znalazłem to miejsce. Z tego, co mówił, wynikało, że wóz należy do Saldado.

- W takim razie kto go zabrał? - pyta Ortiz.

Nie znam odpowiedzi.

Porucznik odwraca się do swego partnera.

- Sprawdź pozostałych lokatorów w budynku. Zobacz, czy nie zniknął ktoś jeszcze oprócz Saldado. Natychmiast. Zadzwoń z telefonu na zewnątrz. I zdobądź opis tego samochodu.

Opowiadam im szczegółowo o czarnej folii na tylnym oknie.

- To powinno ułatwić identyfikację - stwierdza Ortiz. - Wyślij kogoś na sygnale. Dowiedz się, kto jest w okolicy.

Mamy jeszcze kogoś na miejscu? Padgett nie jest pewny.

- Wypytaj sąsiadów o numer rejestracyjny. Być może któryś z nich go zapamiętał. I Norm... - Padgett jest już za drzwiami. Wsuwa głowę z powrotem do środka. - Zadzwoń na posterunki graniczne. Każ im zatrzymać ten pojazd, jeśli tylko spróbuje wyjechać z kraju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dziś rano dzwoni Adam Tolt. Zaprasza mnie na lunch. Przypuszczam, że chce usłyszeć odpowiedź na swą propozycję, żebym przyłączył się do firmy.

Jest parę chwil po dwunastej, gdy znajduję go przy stoliku na tarasie Del Coronado, pod jedną z wielkich parasolek, patrzącego nad stronicami menu na błękitne wody Pacyfiku. To jeden z tych dni, które sprawiają, że każdy marzy, by zamieszkać w San Diego.

- Przepraszam za spóźnienie.
- Nic nie szkodzi. - Przed nim stoi już szklanka. - Na co masz ochotę? Zamawiam jedno z miejscowych piw z beczki i kelner odchodzi, by je przynieść. Przewieszam marynarkę przez oparcie krzesła i siadam.
- Widzę, że dziś jest dzień bez krawata - zauważam. Zamiast garnituru Tolt ma na sobie luźne spodnie i koszulkę polo.
- Parę razy do roku składam niezapowiedziane wizyty w pozostałych biurach. Po prostu wpadam na małą inspekcję, przyglądam się pracy, rozmawiam ze współpracownikami, tego typu sprawy. Lecę gulfstreamem, tak że podróż jest szybka, a do tego wygodna - mówi.
- Ty to masz dobrze.
- Wylatuję dziś wieczorem. Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

Chwila ciszy.

- Czytałem w gazetach o tym, co się stało - dodaje wreszcie. - O Espinozie. - Pociąga łyk szkockiej z lodem. Chce wiedzieć, o co tu chodzi. Dlaczego nie wspomniałem mu wcześniej o tym człowieku. - Masz bardziej pasjonującą pracę niż większość z nas - zauważa.
- To znaczy, że firma nie jest już zainteresowana?
- Czy ja to powiedziałem? Skądże znowu. A co? Zdecydowałeś się?
- Nie rozmawiałem z Harrym, ale nie sądzę, żeby coś z tego wyszło.
- W takim razie nie myślałeś wystarczająco długo. Daj sobie jeszcze trochę czasu. Możemy zabrać Harry'ego na wycieczkę gulfstreamem. Pozwolić mu pobawić się trochę zabawkami firmy.

To mogłoby być niebezpieczne. Harry ma upodobanie do światowego życia i z radością przeleciałby się odrzutowcem do Monako. Postanawiam nie wspominać o tej słabostce mojego partnera.

- Nie musisz się decydować w tej chwili. Poczekam.

Najwyraźniej postanawia nie przyjmować odmowy.

- Ręka? - Wskazuje wypukłość pod wypchanym przez bandaż prawym

rękawem mojej koszuli. - Rozumiem, że tam właśnie dziabnął cię ten facet. Jak on się nazywał?

- Saldado.
- Mogłeś powiedzieć mi o Espinozie. - Sprawia wrażenie urażonego.
- Wtedy akurat nie mogłem.
- Tajemnica adwokacka?

Kiwam głową.

- Gazety piszą, że on miał jakiś związek ze śmiercią Nicka.
- To tylko domysły - odpowiadam. - Prawda jest taka, że Espinozy nie było wtedy w kraju.

- Rozumiem, że starasz się znaleźć odpowiedź?
- Przyznaję, że nie było to najlepsze podejście do sprawy. Harry mnie ostrzegał.

- Najwyraźniej Harry jest lepszą połową waszej spółki. Tą, która wnosi zdrowy rozsądek - stwierdza Tolt. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Espinoza zginął, zanim miałem po temu okazję.
- Nie martwiło cię, że reprezentując go, popadniesz w konflikt interesów?

- Mówisz jak mój wspólnik.
- On ma rację.
- Dlaczego tak cię to interesuje? - pytam go.
- Muszę dbać o dobre imię firmy - wyjaśnia. - Twoje poczynania, jak się domyślam, wynikają z jakichś zobowiązań wobec Nicka?

Patrzę na niego, ale nie odpowiadam.

- Nie musisz tłumaczyć. Rozumiem. Dlatego właśnie zadzwoniłem. Domyślam się, że utknąłeś w martwym punkcie.

- Na to wygląda.
- Co wiesz o tym drugim mężczyźnie, tym, który cię zaatakował?
- Niewiele. Zapamiętałem, jak wygląda.
- Czy Metz wspominał o nim?
- Nie.

Adam odchyła się na oparcie krzesła i patrzy na mnie, zapewne zastanawiając się, czy powiedziałem mu wszystko.

- Jest pewna sprawa - mówi. - Ale zanim ci ją przedstawię, chcę o coś

zapytać. Czy jest coś jeszcze, cokolwiek, o czym mi nie powiedziałaś?

- Na jaki temat?
- Śmierci Nicka.
- Nie. Nie sądzę.

Patrzy na mnie przez szkła swych kosztownych lotniczych okularów przeciwsłonecznych o złotych oprawkach, próbując wnikać w mój umysł. Każdy prawnik wie, że zawsze jest jakiś drobiazg, który inny prawnik zachowuje wyłącznie dla siebie, choćby tylko po to, by mieć swój udział w rynku sekretów.

- Więc co to za rewelacja? - pytam.
- Nie powinienem o tym mówić.
- Przyszedłeś tu, żeby powiedzieć mi, że mi nie powiesz?
- No dobrze. Świetnie. Powiem ci, ale musisz dać mi słowo, że nic z tego nie wyjdzie poza ten stolik.

- Masz je.

- Chodzi o list. Wysłano go do Nicka na adres firmy. Dotarł dwa dni po jego śmierci.

Unosi dużą płócienną serwetkę, która cały czas leżała przed nim na stole, złożona starannie na pół. Pod spodem jest koperta. Podaje mi ją.

Na kopercie widnieje pieczętka kancelarii RDD z datą wpłynięcia.

- Znalazła go jedna z sekretarek. Nie wiedzieć czemu zawędrował do skrzynki piętro niżej. Nigdy nie dotarł do gabinetu Nicka. Po jego śmierci zapanował istny chaos. Gliniarze zabrali różne rzeczy z jego pokoju, ale najwyraźniej nie zajrzeli do kancelarii.

- Kiedy go dostałeś?

- Dzisiaj rano. Jedna z sekretarek przetrząsała skrzynkę i natknęła się na niego. Gdy tylko zobaczyła nazwisko i datę na pieczętce, przyniosła go do mnie. Oczywiście otworzyłem go.

- Oczywiście.

- Został wysłany na adres firmy. - Przybiera obronny ton.

W rogu widzę zagraniczny znaczek i pieczętkę z hiszpańskim tekstem. Tolt nie kłamie co do daty.

- Sprawdziłem to. Nazwisko nadawcy jest prawdziwe. To dość ważna osoba. Z moich informacji wynika, że jest właścicielem sieci banków i ośrodków wypoczynkowych w Meksyku.

Otwieram kopertę, wyjmuję arkusz grubego pergaminu i rozkładam go. List jest pisany na maszynie, po angielsku, datowany na cztery dni przed śmiercią Nicka. U góry arkusza znajduje się wytłaczany znak firmowy, coś jakby hełm dawnego wojownika, a niżej numer telefonu: jednocyfrowy numer kierunkowy (9), potem trzy cyfry, kreska, dwie następne cyfry, kolejna kreska i dwie cyfry. Widziałem już numery o takim układzie. Pojawiały się w zestawieniu rozmów z telefonu komórkowego Saldado, które przysłała mi Joyce, choć tam uzupełniał je numer kierunkowy Meksyku.

Jest tam też coś, co wygląda na adres: Blvd. Kukulcan, Km. 13 Z.H, i miasto: Cancún, Q. Roo, Mexico, C.P. 77500.

Sam list jest zwięzły. Dwa krótkie akapity.

SZANOWNY PANIE RUSH

OTRZYMAŁEM PAŃSKIE NAZWISKO OD WSPÓŁPRACOWNIKÓW. POWIEDZIANO MI, ŻE JEST PAN ROZWAŻNYM BIZNESMENEM I PRAWNIKIEM. PISZĘ, ABY POINFORMOWAĆ PANA, ŻE WIADOMO MI O OSTATNICH POCZYNIANIACH MOICH SYNÓW. JAKO OJCIEC NIE JESTEM ZADOWOLONY Z ICH PRZEDSIĘWZIĘCIA. CHCIAŁBYM, BY PAN WIEDZIAŁ, ŻE NIE POZWOLĘ IM KONTYNUOWAĆ TEJ DZIAŁALNOŚCI. JESTEM CO DO TEGO ZDECYDOWANY.

ZAPEWNIAM PANA, ŻE ZAJMĘ SIĘ SYNAMI W NALEŻYTY SPOSÓB. PROSIŁBYM, ABY JAKO CZŁOWIEK ROZSĄDNY WZIĄŁ PAN TO POD UWAGĘ, PLANUJĄC SWOJE PRZYSZŁE KROKI.

Z POWAŻANIEM
PABLO IBARRA

Kończę czytać, wpatruję się chwilę w list, po czym czytam go raz jeszcze, próbując uchwycić jego sens.

- Co o tym sądzisz? - pyta Adam.
- Sam nie wiem.
- Moim zdaniem wygląda to tak, jak gdyby facet próbował przekonać Nicka, żeby zostawił jego chłopców w spokoju. Ta część, w której zapewnia

go, że zajmie się synami w należyty sposób. Brzmi to tak, jakby chciał powiedzieć mu: nie musisz tego robić, sam to zrobisz. Nie sądzisz? Czytam ponownie.

- To możliwe.

- Jeśli on... To znaczy, jeśli Nick z jakiegoś powodu ścigał tych synów, być może właśnie oni go zabili.

Spojrzeniem przyznają mu rację.

- Dlatego tak bardzo zależy mi, żebyś powiedział wszystko, co wiesz o tym Ibarze.

- Dlaczego wydaje ci się, że wiem cokolwiek?

- Bo znalazłeś Nicka. Rozmawiałeś z Metzem. Jesteś jedynym człowiekiem, który może wiedzieć, jak dopasować do siebie elementy układanki.

- Jakie elementy?

- Czy sprawa ma związek z narkotykami? Nie trzeba być prorokiem, żeby czytać znaki. List przychodzi z Meksyku. Synowie Ibarry są w kłopotach. Nick jest specjalistą od spraw narkotykowych. Połącz kropki - wyjaśnia Tolt.

- Mówiłeś o tym liście policji?

Kręci głową, prawie nie słuchając, zajęty innymi problemami.

- Chciałem najpierw porozmawiać z tobą. Oszczędzić sobie niemiłej niespodzianki.

- No to świetnie. - Wypuszczam list z rąk i pozwalam, by opadł jak liść na blat między nami.

- W czym problem?

- W tym, że są teraz na nim moje odciski palców.

- No i co?

- Możesz być pewny, że gliny zdejmą z niego odciski, kiedy im go przekażesz - wyjaśniam. - To rutynowe działanie, gdy coś takiego trafia do nich w tak późnej fazie gry. Będą chcieli wiedzieć, gdzie list był przez cały ten czas i kto go dotykał.

- Nie pomyślałem o tym. I co teraz?

Dwaj adwokaci siedzący przy lunchu w eleganckiej restauracji i zastanawiający się, jak ukryć swe ślady na zatajonym dowodzie w sprawie o zabójstwo. Nie jest to pytanie, jakie chciałoby się zobaczyć na egzaminie prawniczym.

- Widzisz z tego, że nie mam doświadczenia w sprawach karnych - mówi Adam. - Ale jedziemy na tym samym wózku. Ja też go dotykałem.

- Tyle że obecność twoich odcisków palców jest zrozumiała. List przyszedł do twojej firmy. Musiałeś go otworzyć, żeby zobaczyć, co w nim jest. Czy nie dotyczy poufnych spraw jakiegoś klienta. Teraz gliny zainteresują się, dlaczego przyniosłeś go mnie.

Tolt zdejmuje okulary i kładzie je na stoliku. Patrzy na mnie, w zamyśleniu gładząc się po podbródku.

- Moglibyśmy wytrzeć go jakąś szmatką.

- To nie jest dobry pomysł, Adamie.

- Tak, chyba masz rację.

Widzę po jego minie, że wołałby, żebym to ja wyskoczył z tą propozycją. Jest to jedno z tych pytań, jakie widuje się w zapisach przesłuchań, nim zawieszają człowiekowi licencję. „A kto zaproponował, żeby tak postąpić?”

- To właśnie jest problem z dowodami - wyjaśniam. - Czasem kłopotów przysparza nie to, co w nich jest, ale to, czego brakuje. Skutek byłby taki, że usunęlibyśmy z listu odciski Ibarry. Zastanawialiby się, dlaczego ich nie ma.

Patrzy na mnie ze zboląłą miną.

- Wszystko w porządku. Po prostu powiemy im prawdę. Wiedziałeś, że będę ciekawy. Byłem przyjacielem Nicka. Chciałeś się przekonać, czy wiem coś o tym, więc dałeś mi list do przeczytania. Skutek będzie tylko taki, że gliny będą miały do mnie o wiele więcej pytań.

- Tak. To chyba zawsze jest najlepsze podejście - stwierdza Adam. - Prawda. Więc jak, wiesz coś?

- O czym?

- O tym. - Podnosi list, tym razem trzymając go ostrożnie za sam brzeg, delikatnie składa i wsuwa z powrotem do koperty. Przez cały czas patrzy na mnie, czekając na odpowiedź.

- O liście? Nie. Pierwszy raz go widzę.

- Tyle sam zgadnąłem - stwierdza. - W przeciwnym razie powiedziałbyś mi, prawda? - Tak samo jak powiedziałem mu o Espinozie, dopowiada w myślach.

Unikam odpowiedzi, ciągnąc ze szklanki solidny haust piwa.

Adam to szczwany lis. Być może nie pomyślał o moich odciskach palców na liście, ale postawił sobie za punkt honoru przeanalizować każdy docierający do niego strzęp informacji, tak by żadne błoto nie bryznęło na firmę. Domyśla się też, że coś ukrywam, i vice versa.

- Słyszałeś kiedyś o tym gościu? O tym Pablu Ibarze?

Tu musiałbym skłamać.

- Słyszałem nazwisko. Powiedz mi, od jak dawna masz ten list. Naprawdę.

Adam uśmiecha się.

- Co to za różnica?

- Gliny na pewno o to zapytają.

- Dostałem go dzisiaj rano.

- Powiedz mi, że nie zszedłeś na dół i nie przetrząsnąłeś kancelarii pierwszej nocy po zamordowaniu Nicka.

- Kto pyta, ty czy policja?

- Może ja wcale nie chcę wiedzieć.

- Wierz mi, nie chcesz - przyznaje. - Gdzie słyszałeś to nazwisko? Ibarry, znaczy się?

- Wymienił je Gerald Metz.

- Metz?

Spodziewał się, że powiem, że Nick. Teraz ma zagwozdkę.

- Podczas naszej wstępnej rozmowy. Wykonywał jakieś prace dla jego synów. Twierdził, że to były roboty budowlane.

- Jasne. Wspominał coś o ojcu?

- Mimochodem.

- Znał go?

- To zależy od tego, czy mu wierzyć. Twierdził, że zna tylko nazwisko. Nigdy go nie spotkał.

- Nie mówiłeś mi o tym.

- Policji też nie powiedziałem. Tak jak ty o liście. - Celny strzał. - Dam ci drobną radę - dodaje.

- Co takiego?

- Jeśli masz zamiar przekazać go glinom razem ze swoją powiastką, przypuszczam, że twoja sekretarka ją potwierdzi?

- Jak najbardziej.

- W takim razie mógłbyś dopilnować, żeby dotknęła przynajmniej ko-perty.

Tolt uśmiecha się. Notuje to sobie w pamięci.

- Co jeszcze Metz mówił o tych ludziach?
- Powiedział, że ojciec wściekł się o coś. To dlatego umowa nie doszła do skutku. Jeśli cokolwiek z tego, co mówił Metz, jest wiarygodne.

- Mów dalej - ponagła Adam.

- To wszystko.

- Jeśli gazety dostaną to w swoje łapy, ukrzyżują nas. Obleżą całą firmę, wypytując, w co takiego Nick był zamieszany. Próbując się dowiedzieć, czy jesteśmy pod nadzorem i czy nie niszczymy dokumentów. Prawdziwa afera.

- Nie wiem jak ty, aleja sądzę, że odpowiedź znajduje się w Meksyku. Zarezerwowałem lot na jutro. To najwcześniejszy możliwy dla mnie termin. Chcę zdobyć pewne informacje. Nie zamierzam czekać, aż same do mnie przyjdą.

- Jeśli chcesz porozmawiać z Ibarrą, możesz po prostu skontaktować się z nim przez telefon.

- Myślałem o tym. Sęk w tym, że niewykluczone, że to właśnie on zabił Nicka. Nie chodzi o to, że sam pociągnął za spust. Mógł kogoś wynająć. Jeśli nie, może dojść do tego samego wniosku co my: że maczali w tym palce jego chłopcy. Myślisz, że będzie rozmawiał ze mną o takich sprawach przez telefon?

- Przypuszczam, że nie.

- Też mi się tak wydaje. Poza tym, jeśli do niego zadzwonię, nawet gdyby był skłonny ze mną rozmawiać, będzie chciał, żebym przyjechał do niego, i sam ustali warunki, niewątpliwie spotkanie na własnym terenie.

- Zależy mi na rozgryzieniu tej sprawy wcale nie mniej niż tobie. Kiedy ludzie zaczną zadawać pytania, chcę móc powiedzieć im, że Rocker, Dusha & DeWine nie była zamieszana w żadną niezgodną z prawem działalność. Jeśli ktokolwiek będzie twierdził, że jest inaczej, niech wie, że czeka go proces o zniesławienie, który pozbawi go domu, psa, żony i emerytury, niekoniecznie w tej właśnie kolejności. - Lecę z tobą. Gulfstream czeka już zatankowany na lotnisku - ciągnie. - Podróż zajmie nam jakieś cztery, cztery i pół godziny. Możemy wylecieć dziś wieczorem. Wiesz, współpracujemy z pewną meksykańską firmą ochroniarsko-detektywistyczną. Korzystałem

już nieraz z ich usług. Mogę załatwić, żeby byli do naszej dyspozycji. Na Jukatanie działa jeden z największych gangów narkotykowych na świecie. Do diabła, czytałem, że połowa ośrodków wypoczynkowych w Cancún została zbudowana za pieniądze ze sprzedaży narkotyków. Zważywszy na to, z jakimi ludźmi mamy do czynienia, myślę, że mądrze byłoby mieć jakieś dodatkowe „ubezpieczenie”.

Brzmi to zachęcająco, ale wydaje się niezwykle kosztowne.

- Nie chcę narażać firmy na milionowe wydatki.
- Bzdura. Może uznasz mnie za asekuranta, ale lubię zabezpieczyć sobie tyły, zanim wetknę gdzieś nos. - Zerka na zegarek. - Myślę, że Cancún jest w strefie czasu środkowoamerykańskiego. Tak czy owak, dziś już nie dalibyśmy rady nic tam zdziałać. Powiedzmy, że spotkamy się na lotnisku w Carlsbadzie dziś o dziewiątej wieczorem. Samolot trzymamy na McClellan-Palomar. Wiesz, gdzie to jest?

- Znajdę.

Kelner przynosi nasz lunch. Adam zabiera ze stołu kopertę z listem Ibarry, żeby nie pochłapała się zupą.

- Ja tymczasem powiem sekretarce, żeby obmacała to parę razy i rano, po naszym wyjeździe, przesłała przez kuriera na policję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jesteśmy w powietrzu już od trzech godzin. Smukły gulfstream tnie nocne niebo, zmierzając na południe. Wyglądam przez małe, owalne okienko i słucham buczenia dwóch silników odrzutowych, gdy lecimy tuż nad wilgotnymi chmurami burzowymi. Zastanawiam się, gdzie jesteśmy i co jest pod nami.

Adam śpi naprzeciw mnie na leżance, z pasem bezpieczeństwa luźno przelożonym przez tułów i zapiętym na otulającym go kocu. Zdjął buty i stopy w skarpetkach wystają mu spod okrycia.

Jest człowiekiem nawykłym do luksusów. Oto, co może zdziałać uprzywilejowane życie. Nie ma pojęcia o lotniskowych kordonach bezpieczeństwa, które przypominają sceny z *Gandiego*. Gdybym powiedział mu, że do serwowanych w czasie lotu posiłków nie podaje się już prawdziwych sztuczków, pewnie by mi nie uwierzył. Gdybym wspomniał, że przepisy zabraniają używania w samolotach pasażerskich nawet plastikowych utensyliów, jego pierwsze pytanie brzmiałoby: „Więc czym ludzie mają pokroić stek?” Człowiek bez kontaktu ze światem.

Śpi jak dziecko. Usta ma otwarte. Przypuszczam, że chrapie, choć nie słyszę tego z uwagi na szum silników.

Patrzę na gwiazdy, otwory w ciemnym niebie, i w końcu zasypiam.

Następna rzecz, jaka do mnie dociera, to Adam potrząsający mną za zdrowe ramię. Kompletnie ubrany, w butach, poprawia sobie krawat.

- Zbliżamy się do lotniska w Cancún. Pomyślałem, że będziesz się chciał odświeżyć.

Dwadzieścia minut później jesteśmy na ziemi i kołujemy w stronę rozświetlonego hangaru z otwartą na oścież bramą. Pilot wjeżdża do środka, po czym wyłącza silniki.

W tej samej chwili do samolotu podjeżdżają trzy duże, ciemne SUV-y, lśniące w świetle silnych lamp hangaru i parkują łukiem wokół skrzydła po stronie Adama. Zaczynam zbierać swoje bagaże.

- Możesz zostawić torby - mówi Tolt. - Oni się nimi zajmą.

Ruszam za nim ku drzwiom. Adam klepie pilota po ramieniu.

- Dobry lot. Bardzo przyjemny. Jak rozumiem, wracacie zaraz do San Diego?

- Zgadza się. Przylecimy z powrotem jutro w nocy i zostaniemy tu aż do niedzieli wieczorem.

- Świetnie - stwierdza Adam i rusza w dół po schodach.

Idę tuż za nim. Gdy staję na ziemi, on już wita się po przyjacielsku z dwójką mężczyzn, którzy wysiedli z jednego z samochodów. Kiwa na mnie, żebym podszedł bliżej.

- Julio, chciałbym, żebyś poznał Paula Madrianiego. Paul, to jest Julio Paloma. Będzie naszym przewodnikiem podczas tej wycieczki. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Nasza firma korzystała już z usług firmy Julia, żeby zapewnić ochronę delegacjom w te strony. Pozwoliłem sobie wezwać ich bez pytania.

- Znakomicie.

Ściskamy sobie ręce. Julio to kawał chłopca, prawie dwa metry wzrostu, z szerokim uśmiechem, równymi białymi zębami i dłonią, w której moja znika bez śladu. Byczy kark, barki jak u napastnika NFL, to największy mężczyzna, jakiego widziałem w życiu, jeśli nie liczyć tego, który stoi obok.

Adam przedstawia mi Hermana Diggsa, czarnoskórego giganta, który jak słyszę, pochodzi z Detroit. Zadzieram głowę, żeby mu się przyjrzeć. Jeden z jego górnych siekaczy jest nadłamany niczym wyszczerbiona bryła lodu. Nie chcę wiedzieć, jak to się stało. Chciałbym móc zabrać dłoń. Obaj są wystrojeni w spodnie i ciemne marynarki klubowe - dość materiału, by starczyło na żagle dla sporego jachtu - z naszytym na kieszonkach na piersi logo firmy.

Tolt wyjaśnia, że są specjalistami od ochrony przedsiębiorstw. Wymienia z nimi parę zdawkowych uwag, podczas gdy ich podwładni wynoszą nasz bagaż.

Kierujemy się w stronę środkowego wozu. Za nami ciągną Julio i Herman, a na końcu, niczym tragarze na safari, faceci z naszymi tobołami. Piętrzą je w bagażniku ostatniego samochodu, jednocześnie naradzając się co do najlepszej trasy do miejsca, gdzie mamy spać tej nocy.

- Nie za mała ta nasza karawana? - pytam Adama.

- W tych stronach ostrożność nigdy nie zawadzi - odpowiada. - Julio mógłby powiedzieć ci coś na ten temat. Woził mnie po stolicy podczas mojej ostatniej wizyty. To było jakieś dwa lata temu, prawda? - dodaje nieco głośniejszym głosem, by przekrzyknąć ryk wzbijającego się w oddali odrzutowca. Ogląda się na Julia, który jest w tej chwili zbyt zajęty przygotowaniami do jazdy, żeby go słuchać. Tak więc Adam znów odwraca się do mnie. - Właściwie możemy już wsiadać - mówi.

Potężne opony z agresywnym bieżnikiem. Przydałaby się drabina, by dostać się na tylne siedzenie wielkiego suburbana. Sadowimy się i zapinamy pasy. Tolt zamyka drzwi, by utrzymać w środku chłodzone klimatyzacją powietrze. Silnik wciąż chodzi.

- Tak czy owak, to było zebranie w sprawie koncesji na wydobycie gazu i ropy dla jednego z naszych klientów. - Kontynuuje swoją historię, nie zrażając się tym, że nikt go nie słucha. - I wyobraź sobie, że jakieś sukinsyny, dwa dzieciaki na motorze, próbowały zwęździć jedną z naszych aktówek.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Trzeba bardzo uważać.

- Udało im się?

- Nie - mówi. - Herman zauważył to w bocznym lusterku. Otworzył drzwi, akurat kiedy dodawali gazu. To była prawdziwa jatka. Drzwi obryzane krwią, połamane kości. Nikt nie zginął, więc chyba mogło być gorzej.

- Tak. Mogli wpaść na Hermana - stwierdzam.

Adam wybuchając śmiechem. Zdejmuje okulary i przeciera je chustką do nosa. Jedne z przednich drzwi są wciąż otwarte, więc klimatyzacja pracuje na pełnych obrotach.

- Zaparowują. Nie cierpię tutejszej wilgoci. - Tolt zerka na zegarek, a następnie stuka go palcem. Staął. Zdejmuje go i uderza nim delikatnie o metalową ramę okna, po czym przykłada do ucha, by upewnić się, że znów chodzi. - Ten stary hamilton to antyk - wyjaśnia. - Tak jak ja. Chodzi bardzo dokładnie, ale nie znosi wilgoci. Ja mam ten sam problem. - Ociera chustką pot z czoła. - Którą masz godzinę?

- Pierwszą trzydzieści z kawalkiem.

- Dodaj dwie godziny - mówi. - Czas centralny. Musimy wyspać się rano. W przeciwnym razie będziemy zmarnowani.

Hermanowi i Juliowi udaje się wreszcie uporać ze wszystkim i ruszamy w stronę miasta. Herman siedzi za kierownicą, a Julio na siedzeniu obok, jako obserwator.

Opuszczamy lotnisko i dwie minuty później pędzimy nieoświetloną czteropasmową autostradą. Po kilku minutach docieramy do estakady,

gdzie skręcamy w stronę czegoś, co wygląda jak tafla wody rozciągająca się za płaskim terenem pokrytym niską, tropikalną roślinnością. Parę kilometrów dalej widzimy światła, kilku pieszych idących piaszczystym poboczem i małe sklepiki. Kolejne półtora kilometra i pojawia się chodnik, a światła stają się jaśniejsze.

- Był pan tu już kiedyś? - Julio siada bokiem, odwracając się w moją stronę.

- Nie.

- Sama dżungla, *un pantano*, to po waszemu znaczy... eee... bagno, jeszcze... - zastanawia się - jakieś dwadzieścia lat temu. Potem rząd stwierdził, że chce mieć kurort. Tutaj. - Uśmiecha się, wskazując palcem podłogę koło swojego fotela, jak gdyby rząd umieścił owe ośrodki wypoczynkowe dokładnie w tym miejscu. - I bach, ni stąd, ni zowąd, wszędzie są kurorty. Meliá Cancún, La Pira-mides, Royal Solaris Caribe. Jak w Las Vegas - stwierdza. - Był pan tam?

- Dawno temu.

- Disneyland, co?

- Tak słyszałem.

Zaczyna pokazywać atrakcje. Tu, gdzie teraz jesteśmy, posiadłości ciągną się nieprzerwanie jedna za drugą - rozległe posesje z wypielegnowanymi trawnikami, które wzbudziłyby zazdrość francuskich arystokratów. Oświetlają je baterie reflektorów, niektóre barwne, z efektami wodnymi, fontannami strzelającymi mgiełką ku niebu. Julio mówi, że ruchliwy bulwar, którym jedziemy, dwa pasy w każdym kierunku i sygnalizacja świetlna, nazywa się Kukulcan.

Adam rozpiną pas i przesuwa się naprzód, pochylając się nad oparciem przedniego fotela, by być lepiej słyszany.

- To na tej ulicy ma biuro ten Ibarra?

- Tak jest. Będziemy zaraz koło niego przejeżdżać. Za Kukulcan Plaza. Pokażę panu.

- Wiesz coś o jego synach? - pyta Tolt. - O braciach Ibarra?

- O, tak. To źli ludzie. Bardzo źli - mówi Julio. - Eee, na południu. Są na południu, koło Tulm.

- On chce powiedzieć, że mają tam posiadłość. - Herman przyjmuje rolę tłumacza. Z rękami na kierownicy, raz po raz ogląda się za siebie, by się upewnić, że go słyszymy. - Chodzą słuchy, że próbują coś na niej budować. Moim zdaniem robią coś zupełnie innego.

- Narkotyki? - pyta Adam.

- Być może.

- A ojciec?

- To zagadkowy facet - stwierdza Herman. - Podobno on i chłopaki się nie zgadzają.

Adam znów siada normalnie i nachyla się do mnie.

- To by się zgadzało z tym, co słyszeliśmy. Ojciec i synowie nie żyją w zgodzie. I narkotyki.

- Metz powiedział mi, że bracia potrzebowali ciężkiego sprzętu do jakiejś inwestycji na wybrzeżu, nieruchomości, którą chcieli sprzedać na ośrodek wypoczynkowy. To mogła być prawda.

- Czy Metz wysłał ten sprzęt?

- Nie.

- No więc masz odpowiedź - kwituje Tolt. - Ale może coś z jego opowieści było prawdą.

- A mianowicie?

- Fakt, że ojciec i synowie skaczą sobie do gardeł.

- To tu. - Julio odwraca się i przechyla przez oparcie fotela. - Ten budynek to plaza. Wasz hotel jest tutaj, ale jedziemy do Ibarry, prawda?

- Tak. Tak. - Adam macha, żeby jechać dalej. Chce zobaczyć, gdzie jest biuro Ibarry.

- Tu jest centrum handlowe, gdyby czegoś wam było trzeba - mówi Herman. - Masa sklepów, knajp, klimatyzacja. Ulubione miejsce brzydkich Amerykanów, którzy chcą się chwalić, że byli w Meksyku i się nie pocili. Ta okolica nazywa się Zona. Zona Hotelera.

- Zona Hotel-aaaara - poprawia go Julio.

- A jak mówiłem? Słuchaj, ja się zajmę rozmową z białymi, ty gadaj sobie po latynosku i wszystko będzie cacy. Wyluzuj.

- Dosyć, chłopaki. Straszycie pana Madrianiego - wtrąca Adam.

- Tylko żartujemy - uspokaja Herman. - Hotel-aaria.

- Aaara - powtarza Julio. Pod jego ubraniem zaznacza się wypukłość. Gdy wierci się i przesuwają na siedzeniu, poły marynarki się rozchylają, ukazując metalowy magazynek wsunięty w rękojeść ciężkiego półautomatu, wszystko to przytrzymane wysoko pod pachą w zużytej skórzanej kaburze.

Herman znów odwraca głowę i nachyla się do nas.

- Zaraz będzie biuro Ibarry.

Jedziemy jeszcze kilometr i nagle po prawej stronie otwiera się widok na fragment bujnej zieleni wielkości pola golfowego, ciągnący się w dal dywan aksamitnej trawy, a za nim ogromny, wysoki na dziesięć lub dwanaście pięter hotel w kształcie piramidy - coś, co mogliby zbudować faraonowie, gdyby mieli dymne szkło i migoczące lampki. Na maszcie przed budynkiem łopocze w zwolnionym tempie meksykańska flaga wielkości pasa startowego, poruszana łagodnym karaibskim wiatrem.

- To wszystko należy do staruszka? - pyta Adam.

Odnoszę wrażenie, że chętnie zrobiłby z papy Ibarry swojego klienta.

- Być może - stwierdza Julio. - Pewnie ma współników.

- Chciałbym być jednym z nich - wzdycha Tolt.

- Jego biuro jest na najwyższym piętrze. - mówi Herman. - I nikt nie może tam wejść, jeśli nie ma eskorty i umówionego spotkania. - Brzmi to tak, jak gdyby próbował. - To taki meksykański Howard Hughes - dodaje.

- Co za Joward Jewes? - wtrąca Julio. - Wciąż mówisz Joward Jewes.

- Hughes. Hughes. - Powietrze świszczy, przechodząc pod wyszczerbionym siekaczem Hermana. - Czytaj z moich ust, głupi latynosie. Czemu nie nauczysz się mówić po angielsku?

- Bo tutaj mówimy po hiszpańsku - odcina się Julio. - A nie murzyńskim slangiem.

- Żargonem? - Głos Hermana wznosi się o oktawę wyżej. - Nigdy nie słyszałeś ode mnie ani słowa w żargonie. Mówię po angielsku jak brytyjska księżniczka.

- Jaka znów księżniczka? - zdumiewa się Julio. - Ta, która tańczy w barze dla gejów w śródmieściu?

- Hej, facet, tylko bez osobistych wycieczek!

Julio przechyla się przez oparcie fotela i uśmiecha do mnie. Klepie mnie w kolano.

- Niech się pan nie przejmuj. My tak zawsze - mówi. - Poza tym nie ma strachu, dopóki nie wyciągnę tego czegoś i nie wyceluję mu w głowę. - Robi gest w kierunku spluwy pod pachą.

- O czym mówisz? O tym czymś? Ostatnim razem, kiedy próbowałeś wyciągnąć to swoje maleństwo, przyciąłeś je sobie zamkiem błyskawicznym - rzuca Herman. - Musiałem zapchać mu gębę chusteczkami, żeby nie wrzeszczał jak wariat.

- Niech mu pan nie wierzy - mówi Julio. - Jest zazdrosny, bo mam większe powodzenie u kobiet.

- Jasne. - Herman postanawia puścić to mimo uszu. - W mieście mówi się, że ten wasz Ibarra to dziwak. Ma kupę forsy, ale nikt nigdy go nie widział. Kapuje pan? Po prostu pozwala, żeby pieniądze działały za niego.

Julio rozmawia teraz przez małą krótkofalówkę z pozostałymi kierowcami. Mówi coś po hiszpańsku, po czym słucha, zatykając sobie palcem drugie ucho.

Samochód na czele zawraca nagle i cała kolumna robi to samo, trzy ciemne pojazdy sunące niczym pociąg środkiem bulwaru. Przecnicę dalej stoi gliniarz z motocyklem i ręce ma założone na piersi, jedną stopę opartą dla równowagi na ziemi. Dostrzega nas, przygląda się, sięga do kierownicy. Potem przychodzi refleksja. Rezygnuje. Znów spleta ramiona na piersi.

Można pomyśleć, że pojazdy takie jak te, sunąca wolno czarna potęga z przyciemnionymi szybami, jadące zderzak w zderzak, mogą przewozić jakiegoś wysokiego urzędnika rządowego, lub gorzej jeszcze, jakiegoś mafiosa trzymającego w garści pokaźną część kraju. Jeden rzut oka i gliniarz postanawia wyrobić swoją normę gdzie indziej.

Jedziemy z powrotem może półtora kilometra, po czym skręcamy na prywatny podjazd wijący się serpentynami w górę wzgórze. Wreszcie zatrzymujemy się pod zadaszonym wejściem do małego hotelu.

Herman wyskakuje z samochodu i otwiera nam drzwi. Jest zwinny jak na takiego olbrzyma. Adam wysiada. Przesuwam się po siedzeniu i ruszam za nim.

Gdy automatyczne drzwi otwierają się i zamykają za nami, mam wrażenie, że przechodzę z sauny do lodówki. Kręcimy się z Adamem po małym holu, podczas gdy Julio przedstawia się i załatwia formalności przy zabytkowym, rzeźbionym dębowym biurku tuż obok wejścia.

To nieduży hotel w europejskim stylu. Tolt mówi mi, że kiedyś była to prywatna rezydencja, trzydzieści dziewięć sal pełnych marmurów i luksusu. Wśród morza blichtru, wielkich ośrodków wypoczynkowych z migającymi lampkami, hektarami ogrodów i trawników nikt nie zauważyłby wciśniętego pomiędzy plażę a centrum handlowe Casa Turquesa, jego lśniących posadzek i spiralnej klatki schodowej.

Chwilę później Julio wraca z kluczami do pokoi.

- Macie sąsiednie pokoje na najwyższym piętrze. Herman będzie miał pokój po jednej stronie, a ja po drugiej. Dwóch z moich ludzi będzie tu, na dole, reszta zostanie przy samochodach.

Kierownik, w towarzystwie czterech boyów, po jednym na każdą walizkę, prowadzi nas do windy i wjeżdżamy na górę.

Trzy minuty później jestem sam, drzwi są zamknięte, a klimatyzator buczy.

Zasuвам zasłony. Jestem zbyt zmęczony, by podziwiać widok za oknem. W tej chwili ogromne łożo wygląda bardziej zachęcająco niż basen w dole. Biorę prysznic i pół godziny później śpię jak suseł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Parę minut przed dziewiątą rano w holu Casa Turquesa nie ma nikogo poza dziewczyną siedzącą za małym biurkiem przy drzwiach.

- *Buenos días*. - Uśmiecha się do mnie i pyta, czy chcę zjeść śniadanie w restauracji przy basenie.

Zamiast tego zamawiam taksówkę.

Dwadzieścia minut później kierowca wysadza mnie w starej części Cancún, na ulicy Tankah Calle. Tutejsze sklepy nie są tak szykowne jak

przy plażach w dzielnicy hotelowej. Budynki są obskurne, w większości jedno- lub dwupiętrowe.

Dzisiejsze Cancún jest milionowym miastem mającym w sobie coś z cichego, prowincjonalnego miasteczka, które być może rozrosło się nieco zbyt szybko. Nowoczesne sklepy sąsiadują tu z tynkowanymi budynkami, które sprawiają wrażenie, jak gdyby pochodziły jeszcze z lat czterdziestych. Ulice zapchane są samochodami, z których większość nie szczędzi klaksonów, meksykańskiego odpowiednika hamulców.

Idę chodnikiem, wypatrując właściwego adresu, i w końcu uświadamiam sobie, że numer, którego szukam, jest po drugiej stronie ulicy. Wcisnęłam się między samochody i wśród trąbienia przechodzę przez jezdnię, po czym idę dalej.

Zanim jeszcze dostrzegam numer, rozpoznaję nazwę na wywieszonym nad chodnikiem szyldzie. ANTIQUITIES BIBLIOTECA.

Nick w kieszonkowym komputerku zapisał to z błędem. Wstałem dziś wcześniej i przejrzałem miejscową książkę telefoniczną, zakładając, że prawdopodobnie to znajdę. Numer podany w książce był taki sam jak w notatniku palmtopa Nicka, jeśli pominąć międzynarodowy kod dla Meksyku.

Już z chodnika dostrzegam na przeszklonych drzwiach tabliczkę z napisem „otwarte”, więc ruszam w ich stronę. Przez szybę widzę ekspedientkę rozmawiającą z jakimś stojącym tyłem do mnie jegomościem.

Moja dłoń jest już prawie na klamce, gdy mężczyzna obraca się, ukazując mi profil.

Cofam rękę, mijam szybko drzwi i idę przed siebie. Trzy sklepy dalej znajduję stojak z prasą. Wrzucam do otworu parę meksykańskich monet i wyciągam egzemplarz miejscowej gazety, której nie jestem w stanie przeczytać. Siadam na ławce i otwieram ją.

Mija sześć minut, nim Nathan Fittipaldi wychodzi ze sklepu z antykami. Idzie w moją stronę, więc unoszę gazetę i zasłaniam twarz, dopóki nie mija mnie, przechodząc przez ulicę. Ruszam za nim.

Dwie przecznice dalej Fittipaldi dociera do podziemnego parkingu, schodzi po pochylni i znika w mroku. Ustawiam się z gazetą po drugiej stronie jezdni, naprzeciwko wyjazdu, obserwuję. Mniej więcej minutę później z parkingu wynurza się wielki lincoln town car z szoferem. Tylne okna są przyciemnione, ale kierowca musi się zatrzymać, by uiścić opłatę w budce przy wyjeździe.

Przez przednią szybę widzę Fittipaldiego siedzącego za kierowcą. Obok, przytulona do niego, tkwi blondynka w ciemnych okularach. Wygląda na to, że Dana znalazła czas na wakacje w Meksyku.

O dziesiątej trzydzieści jestem z powrotem w hotelu. Zastaję Adama w restauracji. Je śniadanie.

- Gdzie byłeś? Dzwoniłem do twojego pokoju, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Pomyślałem, że pójde na spacer, zażyję trochę ruchu.

- Jak było?

- Świetnie.

- Słuchaj, zastanawiałem się nad programem naszego pobytu. Nie mamy wiele czasu - mówi. - Chyba że chcesz zostać dłużej i wrócić rejsowym samolotem.

Wyjaśniam mu, że w poniedziałek muszę być w biurze.

- W takim razie myślę, że najlepiej byłoby, gdybyśmy dzisiaj pojechali na wybrzeże wytropić braci. Co ty na to?

- Zdawało mi się, że mieliśmy pogadać z ojcem.

Herman i Julio siedzą przy stoliku wystarczająco oddalonym od naszego, byśmy mogli rozmawiać bez obawy, że nas usłyszą. Cabana, restauracja i bar przy basenie są puste. Adam ma na sobie jasnobrażowe spodnie z solidnego materiału, wysokie buty i jasną nylonową koszulkę.

- Uznałem, że mądrzej będzie poczekać z wizytą u Pabla Ibarry do piątku. Kazałem swojej sekretarce zadzwonić do jego biura i zawiadomić go, że przylatuję w interesach. Powiedziałem jej, żeby nie mówiła jasno, o co chodzi. On wie, że jestem z tej samej firmy co Nick. Jesteśmy wstępnie umówieni na jutrzejszy wieczór. Ale jeśli chcesz to zmienić, nie ma sprawy.

- Nie. W porządku.

- Przypuszczam, że koniec końców kluczem do zagadki jest stary - dodaje

Tolt. - Ale obawiam się, że jeśli zapytamy go prosto z mostu, nie wiedząc nic więcej, ten cały Pablo Ibarra wykręci się sianem. On nie ma żadnego interesu, by rozmawiać z nami, chyba że będzie sądził, że wiemy więcej, niż wiemy.

- Jak to zrobimy?

- Czytałeś jego list do Nicka - mówi. - Co twoim zdaniem on próbował powiedzieć?

- Radził Nickowi, żeby się wycofał.

- Właśnie. Żeby zostawił jego synów w spokoju. Nick miał na nich jakiegoś haka albo oni robili coś, co nie podobało się ojcu. Musimy sprawić, by Pablo Ibarra myślał, że wiemy, co to było.

- Słucham.

- Musimy rzucić okiem na ich działalność. Mieć chociaż blade pojęcie o tym, co robią.

Plan Adama, wydaje się, ma sens.

- Kazałem ludziom Julia wytropić to miejsce na wybrzeżu.

- Kiedy?

- Gdy zadzwoniłem, żeby powiedzieć im, że mają po nas przyjechać. Zastanawiałem się, jak najlepiej wykorzystać ten niedługi czas, jaki mamy do dyspozycji. Dwóch z jego ludzi wzięło wczoraj samochód i pojechało wzdłuż wybrzeża szukać tego miejsca. Znaleźli je.

- Więc może by się tam wybrać?

- Taki właśnie mam zamiar.

Godzinę później jedziemy wzdłuż wybrzeża, znów mijając lotnisko.

W świetle dnia okolica wygląda zupełnie inaczej. Ośrodki wyglądają jak alabastrowe pałace wznoszące się na tle turkusowych wód Morza Karaibskiego.

Nurkowie twierdzą podobno, że woda jest tu przejrzysta jak powietrze. Przez prześwity w dżungli i ze wzniesień na autostradzie dostrzegam łagodne fale, białe plaże, brzegi upstrzone koralowymi zatoczkami i bazaltowymi skałami.

Ruch na drodze przebiega zrywami, szosa niekiedy zwęża się do dwóch pasów, potem znów się rozszerza, by umożliwić wyprzedzanie. Pojazdów

jest bardzo niewiele, jedynie od czasu do czasu pojawia się jakiś autokar, z reguły pusty, lub van wynajęty przez pletwonurków udających się na odległą plażę.

Niebo jest czyste i jasne. Ale w oddali, na południu, nad dżunglą wiszą łożowane chmury. Co parę sekund spostrzegam cieniutkie nitki ognia, gdy błyskawica uderza w podszycie dżungli mniej więcej sto kilometrów przed nami.

Wielkie lądowe kraby przemykają przez drogę, wędrując niczym olbrzymie pająki z dżungli do dżungli przez pas jezdnii oddzielający je od morza.

Adam opowiada mi o braciach Ibarra, Arturo i Jaime. Ma ciekawą teczkę z opracowaną przez firmę Julia dokumentacją, którą zebrano i przesłano dziś faksem z macierzystego biura w stolicy.

- Przejrzałem to szybko rano, kiedy wstałem - wyjaśnia. - Trzy lata różnicy - ciągnie. - Arturo to mózg, biznesmen, jeśli chcesz tak to nazwać. Jaime to mięśniak, włącznie z obszarem pomiędzy uszami. Ma złą reputację z powodu usposobienia. Cztery lata temu w prywatnym klubie zabił w bójce człowieka, ale wymigał się od kary, powołując się na obronę własną. Ma na swoim koncie parę drobnych wyroków, za to bogatą historię aresztowań. - W domyśle ma to oznaczać: „Czego byś się spodziewał po rozbrykanym synu bogacza?” - Zaczyna się od kradzieży samochodu jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności, kończy się dwa lata temu usiłowaniem zabójstwa. Wygląda na to, że jak dotąd pieniądзом starego udawało się chronić go od mamra. Choć może się to wkrótce skończyć, jeśli pogłoski o niezgodzie między ojcem a synami są prawdą.

- Jest tam coś o narkotykach? - pytam.

- Osiem lat temu - mówi Adam. - Zobaczmy. - Ślini kciuk i przewraca kartkę. - Mam. Aresztowani byli obaj synowie. Sprawa została umorzona z braku dowodów. Policja federalna podejrzewała, że hodują w dżungli kokainę na terenie, do którego właśnie jedziemy.

- Jakies przestępstwa w Stanach?

Sprawdza. Dłuższą chwilę studiuję dokumenty, przewraca kilka stron.

- Chyba nie. Mam tutaj ich historię kredytową. Wynika z niej, że mają konta w kilku bankach za granicą, w Belize i na Kajmanach. Nic dużego,

ale z ciągłym przepływem.

- A więc zarabiają na czymś - zauważam.

- Na to wygląda - przyznaje Tolt. - Mniej więcej cztery miesiące temu ubiegali się o pożyczkę. Wykazali swoje aktywa, łącznie z ostatnią znaczącą wpłatą: prawie trzysta tysięcy dolarów, jakieś osiem miesięcy temu. Zatem coś się tam dzieje. - Bierze głęboki wdech, zamyka teczkę i obaj rozsiadamy się, szykując się na długą jazdę.

Godzinę później wzdłuż drogi pojawiają się wielkie tablice obwieszcza-
jące obiekt o nazwie Xcaret. Julio wyjaśnia, że jest to wodny park rozrywki
zbudowany wokół ruin miasta Majów. Rodziny przyjeżdżają tu na cały
dzień. Za opłatą mogą pływać w naturalnej lagunie albo bawić się na
sztucznych torach wodnych zbudowanych z błogosławieństwem rządu
przez deweloperów.

Riwiera Majów ma swoje uroki, niewiarygodne piękno przyrody i za-
chowaną w pierwotnym stanie dżunglę, która upstrzona jest enklawami
turystycznej zamożności. Mijamy je raz po raz. Dostęp do większości z
nich zagradzają żelazne bramy i uzbrojeni strażnicy w budkach przy wjeź-
dzie.

Z tego co widzę, wczasowicze z ośrodków wypoczynkowych zjawiają się
na szosie jedynie wtedy, gdy przyjeżdżają i odjeżdżają zamknięci w kom-
fortowych, klimatyzowanych autach.

Prawdziwe życie toczy się tutaj. Jadąc sto kilometrów na godzinę, raz
po raz napotykamy fale migracji, idące poboczem gromady mężczyzn
ubranych w o cztery numery za duże koszule i dzinsy.

- Gdzieś tu jest chyba jakieś miasto - stwierdzam.

- Ach, wioski. Wszędzie ~ mówi Julio. - W dżungli.

- Dokąd oni idą?

- Szukają pracy - wyjaśnia.

Co parę kilometrów pojawia się następna grupa człapiąca piaszczystym
poboczem w znoszonych sportowych butach. Niektórzy wloką ze sobą żony
i dzieci, berbecie niesione przez matki i idące w pyle ich starsze rodzeń-
stwo, które podobnie jak rodzice szuka sposobu, by przetrwać kolejny
dzień. Chcąc nie chcąc, myślę o pozostawionej w domu Sarze, o tym, co

powiedziałyby, widząc swoich rówieśników, którzy zamiast chodzić do szkoły, muszą grzebać w ziemi, by jeść. Adam nachyla się do mnie.

- Nawet na to naturalne siły ekonomii mają odpowiedź - mówi.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie potrafi czasem czytać w moich myślach.

- A mianowicie?

- To dlatego wydawało się bezsensowne, że bracia Ibarra rozmawiali z Metzem o sprowadzeniu tu ciężkiego sprzętu. Oto twoja odpowiedź. - Wskazuje palcem w dal. Mniej więcej półtora kilometra przed nami widać łysinę wśród dżungli. Gdy podjeżdżamy bliżej, rozpoznaję plac budowy.

- Właśnie tam idą ci ludzie - mówi.

Teren wygląda jak scena wznoszenia egipskiego grobowca z *Dziesięciorga przykazań*. Olbrzymie mrowisko ludzi wymachujących łopatom i pchających taczki, zbyt wielu, by dało się ich zliczyć, i ani jednej maszyny w zasięgu wzroku. Nawet beton miesza się na miejscu w wielkich bębnach, bez pomocy nowoczesnych betoniarek.

- To właśnie nie trzymało się kupy w powiatce, którą wcisnął ci Metz. Kiedy siła robocza jest liczna i tania, po co sprowadzać buldożery i koparki? - ciągnie Adam. - Poza tym tutejszy rząd nie patrzy na to łaskawym okiem. W Meksyku nie masz zużywać swojego sprzętu. Oczekuje się, że zatrudnisz swoich rodaków. Dasz im pracę. Zwróciłeś wczoraj uwagę na personel hotelowy?

- Co chcesz od nich?

- Istna armia - stwierdza Tolt. - Potrzeba było trzech ludzi, żeby zaprowadzić nas do pokoi: jednego do wskazywania drogi, jednego do niesienia bagaży i jednego w ogonie, chyba żeby nikt nie zaskoczył nas od tyłu. Meksyk uczy się, jak się ustrzec przed rewolucją - dodaje. - Należy im się za to podziw.

- Mówisz tak, jakbyś bywał tu dość często.

- To prawda. Lubię tych ludzi. Są przyjacielscy. Żadnego udawania.

- W takim razie po co cała ta ochrona? - pytam.

- Jestem człowiekiem humanitarnym - odpowiada - a nie głupcem.

Nagle coś przyciąga jego wzrok. Pochyla się naprzód i szepta Julii do ucha. Po chwili prostuje się. Patrzy na mnie, wskazując palcem w lewo.

- Tam, na wprost, jest Puerto Aventuras. To ośrodek wypoczynkowy. Ma flotę świętych łodzi wędkarskich. Uprawiałeś kiedyś wędkarstwo dalekomorskie?

- Nie. Ale miałem klientów, którzy to robili.

- Powinieneś kiedyś spróbować. W drodze powrotnej zatrzymamy się tu na kolację. Być może zostaniemy też na noc, zależnie od tego, jak późna będzie pora.

- Nie wziąłem ubrań na zmianę, szczoteczki do zębów ani nic z tych rzeczy.

- Nie przejmuj się. Zabawimy się w dzikusów - odpowiada. - Poza tym możemy tam dostać wszystko, czego nam trzeba.

Mijamy kilka tablic z napisem *Cenote* i odległością w kilometrach. Pytam Julia, co to takiego. Wyjaśnia, że Majowie uważali je za święte wodo-poje. To wapienne pieczary pod dżunglą, w których gromadziły się wielkie ilości czystej wody, niekiedy płynącej podziemnymi rzekami.

- Tu, w dżungli, jest ich mnóstwo. Niektórzy Indianie jeszcze dziś czerpią z nich wodę. Lepiej jednak być ostrożnym - dodaje. - Uważać na... eee... jak to się mówi? *Caiman*.

- Aligatory. Ogromne - wtrąca Herman. - On chce powiedzieć, że jeśli oddali się pan od szosy, musi pan patrzeć, skąd pije.

Notuję to sobie w pamięci, choć nie mam zamiaru pić czegokolwiek, co nie pochodzi z zamkniętej butelki.

Po dalszych paru minutach jazdy Julio zerka na rozłożoną na kolanach mapę. Mówi po hiszpańsku do krótkofalówki.

- *Aquí. No, no, no, no, aquí.*

Samochód na czele hamuje i nie włączając kierunkowskazu, skręca w lewo. Ma co najmniej sześćdziesiąt na liczniku. Cała nasza kawalkada robi to samo. Meksykańskie skrzyżowanie.

Podskakujemy na piaszczystej drodze, zagłębiając się w pas dżungli

między szosą a brzegiem morza. Moje ciało podryguje w pasach bezpieczeństwa. Jedziemy kilka kilometrów.

Gdy zbliżamy się do wzniesienia, Julio rozkazuje pozostałym kierowcom, by zwolnili. W końcu stajemy. Zaznacza palcem miejsce na mapie i naradza się z Hermanem, który kiwa głową. Julio wysiada i podbiega do pojazdu na czele. Pasażer tamtego wozu wysiada również i obaj ruszają przed siebie na piechotę.

Mniej więcej pięć minut później Julio wraca, pół idąc, pół biegnąc w naszą stronę. Wreszcie dociera do samochodu. Adam przyciskiem opuszcza szybę.

- To jest to miejsce. - Julio jest zdyszany, pot spływa mu po czole i policzkach, skapując z podbródka. - Możecie rzucić okiem.

Adam zamyka okno i wysiada. Prosi kierowcę, by nie wyłączał silnika i klimatyzacji.

Wysiadam od drugiej strony, podczas gdy Julio otwiera tylną klapę i gmera w bagażniku. Wyciąga butelkę wody i pije długo.

- *Señor?* - Podsuwa mi butelkę.

Odmawiam.

Wyjmuje jeszcze dwie lornetki polowe, wielkie bausch & lomb, pięćdziesiąt milimetrów, dwunastokrotne powiększenie. Podaje je mnie i Adamowi, po czym prowadzi nas tam, skąd przyszedł.

Wspinamy się trzy, może cztery minuty, pokonujemy zakręt, aż wreszcie docieramy na szczyt wzgórza, gdzie czeka pomocnik Julia, patrząc w stronę widocznego w oddali morza. Gdy nadchodzimy, kuca, wtapiając się w niskie zarośla na skraju drogi.

Odzywa się do Julia po hiszpańsku, podnosząc dwa palce. Wskazuje w dal.

- *Dos hombres fuera de la casa.*

Adam i ja kucamy obok nich. Od tego miejsca dżungla opada łagodnie w stronę wąwozu i widocznych mniej więcej półtora kilometra dalej skalistych, urwistych brzegów. Nieco na północ, może kilometr od nas, ciągnie się pokaźna wycinka, czerwona glina i nagi wapień odsłonięte niczym łysy placek w morzu zieleni. Sądząc na oko, ma parę hektarów. Zapełnia ją

istne złomowisko: zdewastowane pojazdy i zużyte opony, parę większych ciężarówek, stare fordys i chevrolety, w tym jeden z zardzewiałym dźwigniem, który wygląda jak zabytek muzealny.

Po całym terenie walają się rdzewiejące na słońcu pięćdziesięciogalonowe beczki; niektóre z nich są powgniatane i przewrócone na bok. Z otwartych wlewów wyciekają ciemne plamy, wsiąkające w glebę resztki ich zawartości.

Po drugiej stronie wycinki, bliższej urwiska i morza, stoi przyczepa, jakie widuje się na placach budowy: białe ściany i płaski blaszany dach z klimatyzatorem, znad którego unoszą się fale gorącego powietrza.

Kilka ułożonych na boku potężnych opon od ciężarówek przykrytych płytami sklejki tworzy prymitywny drewniany ganek przed zwróconymi w naszą stronę drzwiami przyczepy.

Julio kończy rozmowę ze swym pomocnikiem, po czym obraca się, by przetłumaczyć nam jego słowa.

- To jest droga, której nie używają - mówi. - *Otra*. Tam. - Wskazuje palcem. - Druga droga. Oni jeżdżą tamtędy.

Unoszę lornetkę do oczu i nastawiam ostrość. Po drugiej stronie, na północ od nas, wije się w stronę dżungli pas czerwonobrazowej ziemi, niknąc za zakrętem.

- Mój człowiek mówi, że dwaj wyszli z domu. Z przyczepy. Są uzbrojeni.

Jeszcze raz unoszę lornetkę i patrzę. Nie widzę żadnego ruchu wokół przyczepy. Samochody stojące najbliżej niej wydają się puste. Zważywszy na to, że słońce świeci teraz zza naszych pleców, wszyscy, którzy są na dworze, siedzą prawdopodobnie za przyczepą, w cieniu, ukryci przed naszym wzrokiem.

- Zaczekamy tu parę minut - stwierdza Adam. - Ale upał. - Zdejmuje kapelusz, miękki, z szerokim rondem w stylu safari, miętoli go i ociera nim sobie czoło.

Julio podaje mu butelkę wody. Tolt odkręca ją, pije i natychmiast wypłuwa.

- Jest ciepła! - woła.

Julio wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Trudno, innej nie mam”.

Adam wylewa sobie resztę wody na potylicę, pozwalając, by krople ściekały na rosnące u jego stóp zielsko, po czym rozprostowuje kapelusz i wkłada go na głowę.

- Tam.

Odwracam się. Julio znów przykuca obok mnie.

Ponownie unoszę lornetkę do oczu, kierując ją na przyczepę. Jakiś mężczyzna wyszedł zza niej właśnie i idzie w naszą stronę. Przez ramię przewieszony ma krótki karabin szturmowy, lufą zwrócony ku ziemi. Gdy okrąża przedni róg przyczepy, drzwi od frontu otwierają się i na podest ze sklejki wychodzi drugi mężczyzna.

Wyteżam wzrok, chcąc dostrzec go wyraźniej. Akurat gdy udaje mi się złapać ostrość, odwraca się ode mnie, niezdarnie zamykając drzwi jedną ręką. Zauważam, że drugi rękaw jego koszuli jest pusty.

Kiedy obraca się znowu, uświadamiam sobie, co jest tego przyczyną. Jego ramię jest przybandażowane do tułowia, wspierając złamane żebra, pamiątkę po ciosie, który wymierzyłem Hectorowi Saldado swoim kluczem do kół.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Jesteś pewny? - pyta Adam.

- Na sto procent - mówię. - Fakt, że przez większość czasu śledziłem ostrze brzytwy, ale raczej nieprędko zapomnę tę twarz.

Tolt odwraca się, by spojrzeć, a ja podaję swoją lornetkę Juliowi, który przygląda się mężczyźnie przez chwilę, po czym oddaje mi ją.

- Stracił rękę? - pyta.

- W pewnym sensie.

Obserwuję, jak Saldado schodzi z platformy ze sklejki, jedną ręką wydobywa papierosa z paczki w kieszonce koszuli, po czym zapala go wyjętą z tej samej kieszeni zapalniczką.

Następnie wolnym krokiem podchodzi do jednego ze stojących przed przyczepą samochodów, wielkiego vana z otwartymi tylnymi drzwiami,

i przywołuje dwóch strażników.

Wskazując wnętrze wozu, wydaje im polecenia. Jeden z nich wchodzi do środka, podczas gdy drugi, z karabinem przewieszonym przez ramię, próbuje wyciągnąć coś przez tylne drzwi. Nie idzie mu to lekko.

Saldado sprowadza jeszcze kilku zza przyczepy. W szóstkę nareszcie udaje im się wywlec tę rzecz.

- Widzisz to? - pyta Adam.

- Tak.

Przedmiot, owinięty w prześcieradło i obwiązany sznurkiem, ma około dwóch metrów długości. Sześciu mężczyzn zatacza się pod jego ciężarem. Dźwigają go na platformę przed przyczepą, po czym wnoszą do środka.

- Jak myślisz, co to jest? - Tolt opuszcza lornetkę i patrzy na mnie.

- Nie mam pojęcia.

Chwilę później Saldado wychodzi z przyczepy, wsiada do vana i odjeżdża, kierując się w stronę ziemnej drogi po drugiej stronie posiadłości.

- Cóż, potwierdziliśmy jedno. Bracia mieli powiązania z twoim Espinozą - stwierdza Adam.

- Ciekawi mnie, co oni nieśli.

- Możemy spróbować przyjrzeć się z mniejszej odległości.

- Jak?

Adam naradza się z Juliem, który z kolei konferuje po hiszpańsku z innym mężczyzną, machając ręką w stronę drugiej drogi. Po chwili wraca do nas.

- Tamtą drogą można się dostać dużo bliżej przyczepy.

On mówi, że z tyłu jest parę większych okien, rozsuwane drzwi. Podeszli tam wczoraj i przez lornetki mogli obserwować ludzi w środku - mówi.

Adam zastanawia się.

- Chcesz spróbować?

- Czemu nie?

Piętnaście minut później, doszedłszy do siebie w chłodnym wnętrzu klimatyzowanego auta, jesteśmy znów na szosie. Cofamy się mniej więcej półtora kilometra i skręcamy na kolejny szlak wiodący w stronę morza. Julio mówi coś do krótkofalówki. Po chwili, oglądając się przez tylną

szybę, uświadamiam sobie, że pozostałe dwa samochody z naszej karawany gdzieś zniknęły.

- Nie przejmuj się - mówi Tolt. - Ludzie Julia wiedzą, co robią.

- Tak, pojechali sprowadzić artylerię - odzywa się Herman. - W razie gdybyśmy wpadli. - Hermanowi nie podoba się to, co robimy. - Jak chcecie, wyciągnę wam z bagażnika kamizelki kuloodporne - dodaje. - Ta z tarczą strzelniczą jest cała podziurawiona.

- Herman, przestań - ucisza go Adam.

- Rozkaz.

Ale kiedy patrzę we wsteczne lusterko, wciąż szczerzy się w uśmiechu. Mruga do mnie. Jego wyszczerbiony ząb wygląda jak złamana sztacheta w płocie.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnia Julio. - Jeśli nas zatrzymają, powiem, że chcecie rozmawiać o interesach. Że rozglądacie się za działką pod ośrodek wypoczynkowy. Wspomnę też, że nie jesteśmy sami - unosi krótkofalówkę - że na drodze jest więcej samochodów. Myślę, że nic nam nie zrobią. Nie będą mieli jak się przekonać, czy to prawda.

Adam uśmiecha się do mnie.

- Po to właśnie wynajmuje się ludzi.

Suburban tłucze się drogą, podskakując na wybojach wypłukanych przez ostatni huragan. Nagle Herman hamuje gwałtownie, aż buksujące koła wzbijają tumany pyłu. Kręci kierownicą, rozpaczliwie próbując uniknąć zderzenia ze stojącym w poprzek drogi pikapem. Wreszcie zatrzymujemy się z maską w zaroślach.

- Człowiek na drodze - oświadcza Herman. Zdejmuje dłoń z kierownicy. Gdy znów ją wyciąga, trzyma wielki, stalowy pistolet automatyczny kaliber czterdzieści pięć.

- Herman, odłóż broń - mówi Adam. - Julio.

Julio bez słowa wysiada z samochodu i zatrzaskuje za sobą drzwi. Wyciąga przed siebie ręce, pokazując wszystkim, którzy go obserwują, że są puste. Unosi je ponad barki, nawijając po hiszpańsku jak trajkotka.

Kurz zaczyna osiadać i widzę wreszcie mężczyznę w podniszczonych sportowych butach, ciemnych spodniach i żółtej koszuli. Trzyma karabin

wymierzony w pierś Julia. Inny wyskakuje z dżungli po drugiej stronie drogi. Odwracam głowę. Dwaj następni wychodzą z krzaków tuż obok naszego samochodu, jeden z nich z kałasznikowem, którego lufa celuje na przemian to w moje okno, to w potylicę Hermana.

Herman na szczęście zdążył już schować swoją czterdziestkę piątkę i trzyma obie ręce na kierownicy.

- Niech wszyscy zachowają spokój - mówi Tolt.

Rozmowa trwa długo. Julio wciąż trzyma ręce w górze, facet wciąż mierzy do niego z karabinu. Po niewyobrażalnie długim czasie Julio niepewnie sięga do paska. Bardzo wolno opuszcza rękę i wyciąga krótkofalówkę z futerału. Podnosi ją, pokazując swemu rozmówcy, że to nie broń, po czym rozmawia przez nią, podczas gdy tamten przygląda się i słucha. Wreszcie strażnik kiwa głową, machając lufą w stronę jazdy.

Adam bierze głęboki wdech.

- Cóż, wygląda na to, że przynajmniej nie zamierzają zastrzelić nas na miejscu.

Julio wraca do samochodu i wsiada z twarzą lśniącą od potu.

- W porządku. - Oddycha ciężko, ocierając twarz chusteczką. - Powiedział, że mam jechać za nim.

Pikap wycofuje się i odblokowuje drogę.

Herman wyprowadza nasz wóz z krzaków, choć opony ślizgają się na zielsku, wyjeżdża na drogę i mija furgonetkę.

Zwalniamy na moment, by mógł nas wyprzedzić drugi pikap, poobijana, zardzewiała toyota. Na platformie jadą dwaj strzelcy z karabinami na kolanach, trzymając lufy zwrócone w naszą stronę. Siedzą pod boczną ścianą, z jedną ręką na rękojeści i z palcem na cynglu, drugą trzymając się, gdy samochód podskakuje na wybojach.

- Co on powiedział? - pyta Adam.

- Własność prywatna - odpowiada Julio.

- Tyle gadania, żeby powiedzieć dwa słowa? - dziwi się Herman.

- Dobra jest. Następnym razem ty pójdziesz rozmawiać.

- Zrobiłeś dobrą robotę - zapewnia go Tolt. - Uratowałeś nam życie.

Nie tak jak twój kumpel wymachujący tą swoją cholerną spluwą. - Klepie Julia po ramieniu.

Dzięki niemu nie kropnęli nas na miejscu i Adam zdaje sobie z tego sprawę.

Parę chwil później wyjeżdżamy na słońce, na rozległą, otwartą przestrzeń. Wycinka okazuje się o wiele większa, niż wydawało się z góry, z drogi przez dżunglę. Herman i kierowca samochodu przed nami instynktownie zjeżdżają na lewo szerokim łukiem, który kończy się hamowaniem przed gankiem przyczepy.

- *Un momento*. - Julio wyskakuje z samochodu, nim ten jeszcze zdążył się zatrzymać, i trzymając ręce w górze, rozmawia z mężczyzną w żółtej koszuli, który wysiadł właśnie z przedniego siedzenia toyoty. Dwaj strzelcy zeskakują z platformy i kierują broń w stronę naszego wozu.

Wkrótce, nie wiedząc skąd, dołącza do nich trzech następnych. Jeden z nich, stojący najbliżej mojego okna, to przyszczaty, piętnasto-, może szesnastoletni chłopak.

Rozmawiając z Juliem, mężczyzna w żółtej koszuli unosi otwartą dłoń w uniwersalnym geście nakazującym spokój. Woła w stronę przyczepy i chwilę później drzwi się otwierają. Mój wzrok nie przenika cieni w środku. Ktokolwiek to jest, mówi stamtąd.

- *Por favor, señor* - wtrąca się Julio, nie opuszczając rąk. Rozróżniam parę słów. - *Norteamericanos, hombres de negocios*.

Pytania ze środka.

- *Sí*. - Julio kiwa głową. - *Sí*.

Potem cisza. Julio stoi, pocąc się w słońcu.

Dzieciak na zewnątrz wciąż macha lufą karabinu obok mojej głowy.

Dalsza wymiana zdań między Juliem a osobą w środku, hiszpańszczyzna zbyt szybka, bym mógł cokolwiek zrozumieć, choć udaje mi się wyłowić słowa: *pueden entrar*.

Julio wraca do samochodu. Otwiera drzwi od strony Adama i wsuwa głowę do środka.

- Obaj możecie wejść - mówi. - My musimy zostać tutaj. Będą chcieli was obszukać. Nie macie żadnej broni?

Adam kręci głową.

- Nie - odpowiadam.

Julio przytrzymuje nam drzwi, gdy wysiadamy. Przesuwam się po siedzeniu i wychodzę za Adamem po jego stronie, by uniknąć kontaktu z

Pryszczatym stojącym ze swą armatą obok moich drzwi.

Przeszukują nas obu gruntownie, obmacując nam kostki, krzyże i kroczka. Zabierają Adamowi teczkę, by sprawdzić, czy nie ma w niej czegoś oprócz papieru i pióra. Oddają mu ją, po czym jeden z ludzi kieruje nas w stronę przyczepy, szturchając mnie karabinem w plecy. Wchodzimy na podest ze sklejki i ruszamy do drzwi.

Gdy Adam wchodzi do środka, czuję podmuch chłodnego powietrza z działającego pełną parą klimatyzatora na dachu.

Kiedy przekraczam próg, drzwi zatrząskują się za mną. Znow czyjeś dłonie obmacują mnie od pacha do pasa, kolejne szybkie poszukiwania broni.

Instynktownie unoszę ręce. Czuję, jak niewidoczny osobnik wyciąga mi portfel z tylnej kieszeni spodni.

W przyczepie jest ciemno jak w lochu. Żaluzje w maleńkich oknach są opuszczone. W kącie stoi jedna jedyna nieduża lampa. Wchodząc tu ze światła dnia, przez parę sekund nie widzę praktycznie nic.

Osobnik stojący za moimi plecami wychodzi naprzód. Jest starszy, twardszy, a jego rysy mają surowość, jakiej dzieciaki na zewnątrz jeszcze się nie dorobiły. Nawet w mroku widzę ślady po trądziku na jego twarzy.

Po drugiej stronie pokoju, za ustawionym w rogu biurkiem, siedzi mężczyzna o przylizanych ciemnych włosach, ubrany w samą koszulę i krawat. Ma jakieś trzydzieści parę lat. Rozpiera się wygodnie na starym, drewnianym krześle obrotowym, które skrzypi przy każdym jego ruchu. Dłonie ma splecione na karku, stopy oparte o blat biurka, mokasyny ze skóry aligatora spoczywają na bibułowej podkładce zasłanej papierami i skrawkami taśmy z maszyny sumującej.

Na skraju biurka stoi szklanka z czymś, co wygląda na whisky z lodem.

Przygląda się z chłodną obojętnością, jak jego człowiek kończy przeszukiwać Adama, szturchając go na tyle brutalnie, że ten chwieje się na nogach. Wreszcie znajduje to, czego szukał: portfel. Cofa się o krok.

- Możecie już opuścić ręce - odzywa się bezbłędną angielszczyzną

facet za biurkiem. - A więc jesteście biznesmenami ze Stanów. Macie wizytówki?

Trądzikowaty rzuca mu oba portfele, a on łapie je, gdy odbijają się od biurka. Któryś łąduje mu na kolanach.

Otwiera jeden z portfeli i zagląda do środka.

- Paul Madriani. - Unosi wzrok. Kiwam głową. Potem drugi portfel. - I Adam Tolt.

Moje oczy wędrują w stronę wielkiego koca okrywającego jakiś przedmiot leżący pod ścianą niecały metr od miejsca, gdzie stoję.

Facet szpera w portfelach. Wyciąga wizytówki.

- Obaj jesteście prawnikami. Czym mogę panom służyć?

- Mogę zapytać, kim pan jest? - odzywa się Adam.

- Może pan. Oczywiście. - Ale nie podaje nazwiska.

- My... eee... przyjechaliśmy tu rozejrzeć się za terenami pod inwestycję - mówi Tolt. - Nieruchomości wzdłuż wybrzeża. Riwiera pomiędzy Cancún a Tulúm. Szukamy korzystnych okazji.

- Rozumiem. Okazja. Tego chcą wszyscy. Usiądźcie, panowie. Gdzie twoje maniery, Jorge? Przynieś panom coś do picia. - Besztając podwładnego za brak gościnności, wciąż szpera w naszych portfelach.

Adam siada na twardym drewnianym krześle po drugiej stronie biurka. Ja wybieram stojącą bliżej okna kanapę. Przez szczelinę w zasłonach widzę Julia gawędzącego z jednym z ich strażników. Herman podniósł tylną klapę suburbana i siedzi w bagażniku z nogami dyndającymi nad zderzakiem i z założonymi rękoma. Poci się w marynarce ukrywającej automat, w pobliżu którego trzyma teraz dłoń, zakładając oczywiście, że mu go nie odebrali.

Ze swego miejsca widzę też wystający spod koca róg leżącego na podłodze przedmiotu. Jest biały i przypomina gips, z krawędziami chropowatymi niczym kamień.

- Na co macie ochotę? Mamy bourbona. - Wyciąga z portfeli dalsze dokumenty, prawa jazdy, jak mi się wydaje, i porównuje je z wyjętymi wcześniej wizytówkami.

- Więc niech będzie bourbon - mówi Adam.

- A pan? - Spogląda na mnie.

- Poproszę to samo.

Jorge wychodzi po drinki.

Mężczyzna za biurkiem zatapia wzrok w Adamie.

- Zamierza pan się upierać przy tej bzdurze?
- O czym pan mówi?
- O tej bzdurze z nieruchomościami?
- Zapewniam pana...
- Może pan zatrzymać dla siebie swoje pieprzone zapewnienia - przerywa mu. - Chcę wiedzieć, co tu robicie.

- Mówię panu, że szukamy nieruchomości. - Tolt unosi dla większego efektu skórzaną teczkę z piórem i papierami.

- Świetnie. Chcecie rozmawiać o nieruchomościach? Mamy nieruchomość. Jest tam urocze urwisko schodzące aż do oceanu. Może chcielibyście je obejrzeć? Bardzo skaliste dno.

- Myśleliśmy raczej o ładnej plaży - mówi Adam.
- Nie wątpię.
- Tłumaczę panu, że reprezentujemy inwestorów, pewne konsorcjum z północy.

- Tak jest. Firmę Jamaile Enterprises - dodaje.

Gdy wypowiadałam te słowa, Adam krzywi się tak, że jego grymas jest niemal namacalny. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, nie musiałbym się przejmować mężczyzną za biurkiem. Jednak uznaję, że nie mamy nic do stracenia. Chcę zobaczyć jego reakcję, ale facet sprawia wrażenie, jak gdyby ta nazwa nic mu nie mówiła.

Domyślam się, że człowiek, który grozi nam zrzuceniem z urwiska, to rozsądniejszy z braci Ibarrów, Arturo, co każe mi myśleć z obawą o Jaime, tym, którego Metz nazwał troglodytą.

- Żeby kupić ziemię w Meksyku, musicie mieć tutejszego współnika.
- Wiemy o tym - mówi Adam.
- Miałem dość współników ze Stanów, żeby starczyło mi na całe życie - oświadcza Arturo. - Jeszcze nigdy nic z tego nie wyszło. Ostatni stchórzyli. Zostawili nas na lodzie.

- I co zrobiliście? - pytam.

Patrzy na mnie, wykrzywia usta i zerka na Jorge, który właśnie wrócił, niosąc dwie szklanki bourbona z lodem.

- Musieliśmy, że się tak wyrażę, zerwać stosunki. - Uśmiecha się zło-wieszczo, zaciskając wąskie wargi.

- Cóż, mogę pana zapewnić, że tu do tego nie dojdzie - mówi Adam.

Jorge stawia jedną ze szklanek na biurku przed Toltem i podaje mi drugą, po czym siada na przeciwnym końcu kanapy i wpija w tył głowy Adama ciemne, martwe oczy. Od czasu do czasu zerka na mnie z całym ciepłem człowieka przymierzającego kogoś do trumny.

- Powiedziałem im, że chętnie zabierzesz ich i pokażesz im urwisko. - Ibarra zwraca się teraz do Jorge. - Oczywiście najpierw niech wypiją spokojnie.

- Tłumaczę panu, że robimy tylko rekonesans. Szukamy nieruchomości. - W głosie Adama pojawia się napięcie, gdy desperacko próbuje przekonać Ibarrę. Wpływowy człowiek, który nagle stał się bezsilny.

- Rekonesans - powtarza Arturo. - To dobre określenie. Wygląda na to, że naprawdę robicie rekonesans. Przyjechaliście tu z uzbrojonymi ludźmi. - Ruchem głowy wskazuje samochód, Julia i Hermana, zostawiając nas w niepewności, czy jego ludzie odebrali im broń.

Ktoś puka.

- Tak, kto tam?

Wchodzi jeden ze strażników, mężczyzna w żółtej koszuli, z karabinem przewieszonym przez plecy. Podchodzi do biurka, nachyla się i szepcze coś Ibarze do ucha.

Mokasyny znikają z blatu. Ibarra siada prosto. Rozmawiają chwilę po hiszpańsku, pospiesznie, ściszonymi głosami. Wreszcie Ibarra odsyła strażnika ruchem dłoni. Mężczyzna wychodzi.

- Powiedziano mi, że macie tu gdzieś jeszcze inne samochody z ludźmi. Twierdzi pan, że przyjechaliście szukać nieruchomości, ale odnoszę wrażenie, że mi nie ufacie. To źle wróży naszym interesom.

- Trochę ostrożności nigdy nie zawadzi - stwierdza Adam.

- To prawda. Chce pan zadzwonić do tych ludzi i zaprosić ich tutaj, żebyśmy mogli usiąść i porozmawiać wspólnie?

- Raczej nie - mówi Tolt z uśmiechem.

- Tak też myślałem. - Ibarra musi się teraz zastanowić nad następnym ruchem.

- *Salud*. - Adam unosi swoją szklanę i upija łyk.

Meksykanin robi to samo. Ja także przyłączam się do nich. Whisky jest łagodna, jednej z droższych marek, ciepła akurat na tyle, by dać ów bursztynowy żar, który rozlewa się po moich wnętrznościach. Liczę na to, że dzięki niej moje kolana przestaną stukać o siebie.

Ibarra wciąż szpera w naszych portfelach, oglądając każdy świstek. Nie spieszy się. Moje oczy wędrują ku opartej o ścianę po drugiej stronie pomieszczenia kamiennej płycie z odsłoniętym, pokrytym gipsem narożnikiem. Nagle coś uderza w szybę niedaleko mnie.

Jorge słyszy to. Odsuwa palcem żaluzję, by wyrzeć na zewnątrz.

- *Qué es?* - pyta Ibarra.

- *Nada*. - Jorge puszcza żaluzję, po czym patrzy na mnie.

Wzruszam ramionami.

Kiedy odwraca się do swego szefa, zerkam przez ramię w stronę samochodów.

Julio, który widzi moje oczy przez szparę w żaluzjach, wykonuje ukradkowy gest, kiwnięcie głowy i gorączkowy ruch kciukiem poniżej pasa w kierunku pojazdów.

Po naszej stronie czarnego suburbana zatrzymuje się w chmurze pyłu stary model buicka. Ze środka wysiada dwóch mężczyzn. Jednym z nich jest Hector Saldado.

- Jeśli to wszystko, co ma pan do nas, pójdziemy już - mówię.

- Pójdziecie, kiedy wam pozwolę - oświadcza Ibarra.

Zerkam na zegarek.

- Za niecałą minutę będą tu nasi ludzie. Niech pan się zastanowi.

Adam gapi się na mnie, zastanawiając się, o czym mówię.

Podchodzę do biurka i zabieram portfele razem z naszymi prawami jazdy i papierami, które Ibarra rozłożył na blacie. Nie próbuje mnie powstrzymać.

- Chodź, idziemy. - Kieruję się w stronę drzwi. Tolt wstaje z krzesła i rusza za mną. Słyszę kroki na platformie ze sklejki, a potem głosy dwóch rozmawiających po hiszpańsku mężczyzn tuż za drzwiami. Jeszcze chwila i Saldado zastanie nas w środku.

Jorge podnosi się z kanapy i zagradza nam dostęp do drzwi. Patrzy na Ibarrę, oczekując wskazówek. Arturo waha się przez moment. Przygląda nam się spod zmrużonych powiek, wreszcie kiwa głową. Jorge usuwa się z drogi i otwiera drzwi.

W tym czasie sięgam za siebie jak chwytający pałeczkę biegacz w sztafecie i wyrywam Adamowi teczkę. Unoszę ją przed sobą dokładnie w chwili, gdy Jorge otwiera drzwi, osłaniając oczy przed słońcem, a twarz przed wzrokiem Saldado.

- *Jaime, cómo esta?* - Arturo Ibarra wita swą drugą połowę.

Wychodząc na platformę, zerkam w dół i widzę dokładnie przed sobą dwie stopy w spiczastych kowbojskich butach. Omijam je.

- Przepraszam.

Adam idzie za mną.

Kiedy schodzimy z platformy, Julio otwiera nam drzwi samochodu. Herman siedzi już za kierownicą. Silnik jest na chodzie.

Nie oglądając się za siebie, pochylam głowę, wsiadam i pospiesznie przesuwam się po siedzeniu. Tolt wciska się tuż za mną. Julio zatrząskuje drzwiami i wskakuje na miejsce obok kierowcy.

Żaden z nas się nie odzywa. Odjeżdżamy ziemną drogą. Dopiero półtora kilometra od przyczepy Ibarrów Adam wybucha wreszcie:

- Co się stało, do diabła?! Mogliśmy wszyscy zginąć.

Dlaczego wasi ludzie nie zatrzymali Saldado na drodze?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jedynе sensowne wyjaśnienie, jakie są w stanie podać ludzie Julia, mówi, że Saldado wrócił do przyczepy inną trasą. Poza tym wypatrywali vana, nie buicka, którym przyjechał.

- Sukinsyn - piekli się Adam. - Myślicie, że po co was wynająłem, do diabła? Żeby zarobić kulę w łeb?

- Myśleliśmy, że panujemy nad sytuacją - mówi Julio. Patrzy wprost przed siebie, przez przednią szybę, unikając kontaktu wzrokowego z Toltem, który pieni się ze złości. Ten podskakuje na tylnym siedzeniu, pochylony do przodu, z twarzą piętnaście centymetrów od głowy Hermana.

- Myśleliście. Czy którykolwiek z was pomyślał o tym, żeby obserwować szosę? Żeby sprawdzić, kto jest w pojazdach, które nią jadą? Nie. Ten wasz człowiek, który był z nami, na tamtej drodze, dobrze przyjrzał się Saldado przez lornetkę. Wiedział, jak wygląda.

- Jak niby mieliby zajrzeć do każdego samochodu na drodze? - oburza się Herman.

- To ich praca - stwierdza Adam. - To właśnie znaczy być profesjonalistą. Jeśli nie nadajecie się do tej roboty, powinniście poszukać sobie innej.

- Ja wykonuję swoją robotę jak należy - mówi Herman.

- Nie pyskuj na mnie.

Julio ukradkiem szturcha Hermana, żeby siedział cicho.

- Gdybym chciał zginąć, kazałbym się przywiązać do drzewa i pozwoliłbym ci strzelać do mnie z tego garłacza, który nosisz pod pachą. Nie żebym się spodziewał, że trafisz. Cholera, mało brakowało, a zastrzeliliby nas tam, na drodze, kiedy wyciągnąłeś tę swoją pukawkę.

- Uspokój się, Adam. Nic się nie stało - mówię.

- Nic się nie stało! - wybucha. - Gdzie ty, kurna, byłeś?! I po coś wyskakiwał z tym Jamaile Enterprises?!

- Nie zareagowali na tę nazwę - zauważam.

- Za to ja mało nie dostałem zawału. Sukinsyn. Przez ciebie mogli nas zabić.

- Zabiliby nas bez względu na to, co mówiliśmy, gdyby nie ten drugi samochód na drodze.

- On ma rację - wtrąca Julio. - Ci ludzie nie wierzyli nam, dopóki nie pozwoliłem jednemu z nich porozmawiać z moim kierowcą przez radio.

- Spieprzyłeś sprawę - burczy Tolt. - Przyznaj to.

- Jeśli to poprawi panu humor, w porządku - mówi Paloma.

- To nie jego wina - wtrącam.

- Nie pierdol.

- Adam!

- Co?

- Gdyby Julio nie rozpoznał Saldado we właściwym momencie, obaj siedzielibyśmy tam, popijając bourbona, kiedy Meksykanin wszedłby i nasikał mi do szklanki.

- To prawda - odzywa się Herman.

- Kiedy będę chciał poznać twoją opinię, zapytam o nią - warczy Adam. - A co do Julia, gdyby wykonał swoją robotę jak należy, nie musielibyśmy się martwić o Saldado. Mam ochotę zadzwonić do biura w stolicy i poprosić, żeby przysłali kogoś, kto zna swój fach.

- A co do ciebie - odwraca się do mnie - skąd, u diabła, wiedziałeś, że on nas wypuści? Co cię napadło, żeby tak ostro stawiać sprawę? Mógł równie dobrze kazać temu umiędzionemu idiotcie, żeby nas zastrzelił. Byłyby z nas teraz dwa zimne trupy.

- Gdyby Saldado wszedł i zobaczył mnie, i tak byłoby po nas - zauważam.

We wstecznym lusterku widzę złamany ząb Hermana. Zaciskając dłonie na kierownicy, przygląda mi się, szczęśliwy, że nie on jeden zbiera cięgi od Adama.

- Chcę wracać do Cancún. Płacę fortunę za tych dwóch idiotów - burczy Tolt.

Prostuje się i rozsiada wygodnie z założonymi rękoma, przez kilka chwil w milczeniu gotując się ze złości. Odwrócony ode mnie, wpatruje się w boczne okno. Potem nadchodzi druga fala. Adam zaczyna robić to, co każdy rozjuszony prawnik potrafi najlepiej: zasypuje wszystkich obecnych pytaniami, domagając się odpowiedzi, które nie istnieją.

- Dokąd on pojechał, kiedy go nie było? Powiedźcie mi to.

- Kto? - Julio odwraca się w jego stronę.

Nie powinien był pytać.

- Kto?! Jak sądzisz, kogo mam na myśli? Saldado.

- Skąd mamy to wiedzieć? - Julio znów obraca się do przodu.

- No jasne, skąd. To byłoby, cholera, zbyt łatwe. Kazać jednemu z waszych ludzi go śledzić.

- Adam, daj spokój. Nie wiedzieliśmy nawet, że on tam będzie - wtrącam się.

- Czemu go nie obserwowaliście? - Tolt nie zwraca na mnie uwagi. - Jak to było? Po prostu zjawił się znikąd? Zmaterializował się jak duch? - Pytania trafiają w potylicę Julia. Meksykanin siedzi w milczeniu i coraz bardziej się czerwieni, aż w końcu wygląda jak burak. Żył na jego szyi przypominają dreny chirurgiczne. - Gdybyś pracował dla mnie, wyrzuciłbym cię na zbity pysk.

Styl kierowniczy Adama rozbryzguje się po całym wnętrzu auta: gniew i plugawe obelgi.

Słuchając tego wszystkiego, zastanawiam się, czy Nick nie został kiedyś potraktowany w podobny sposób. To jedna z owych krytycznych chwil, które potrafią powiedzieć o człowieku więcej, niż chciałoby się wiedzieć. Julio bez słowa przyjmuje największe gromy. Herman, z rękami na kierownicy, patrzy prosto przed siebie, zaciskając zęby i starając się przenieść w jakiś inny wymiar.

Być może jestem zbyt wyrozumiały, ale gniew Tolta jest w znacznej mierze skutkiem przeżytego strachu, nagłej świadomości, że niewiele brakowało, a świat byłby w tej chwili uboższy o jednego ze swych ulubionych synów: jego samego.

- Odwieźcie nas do Cancún - mówi. - Natychmiast. - Znów opada ciężko na oparcie i spleta ręce na piersiach, wbijając w boczne okno stalowe spojrzanie.

Jazda powrotna przypomina podróż w chłodni. Herman i Julio siedzą z przodu jak dwa kamienne posągi, starając się nie oddychać, by Adam nie zwrócił na nich uwagi.

Kiedy zatrzymujemy się przed Casa Turquesa, jest już ciemno. Wydaje się, że Adam zdążył ochłonać.

- Muszę trochę odsapnąć. Co powiesz na małą kolację, powiedzmy za pół godziny w restauracji na dole?

- Świetnie.

- Julio. Ty i Herman też możecie się do nas przyłączyć. - Wysiada z samochodu i rusza w stronę hotelu.

- Co to ma być, kurna, cesarski rozkaz? - oburza się Herman.

- Cicho. Jeszcze cię usłyszy - upomina go Julio.
- A co mnie to, psiakrew, obchodzi? Niech słyszy. - Herman pochyla się nad kierownicą. - Za kogo on się ma, żeby tak gadać?

- Był przerażony. Ja też.

- Tak, ale ty nie zachowywałeś się w ten sposób - mówi Herman. - To nie daje mu prawa, żeby tak nami pomiatać. Komu innemu wyrwałbym język za połowę tych słów. Jestem profesjonalistą - dodaje. - Przyjmowałem kule za ludzi wartych więcej niż ten gnojek.

- Uspokój się - mówi Julio. - Ty nie potrzebujesz tej pracy, ja tak. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie wylano, bo ty nie umiesz utrzymać języka na wodzy. Idź popływać w basenie, obejrzyj sobie film na kablówce. Ochłoń.

- Nie mogę. Za pół godziny muszę być na kolacji. Słyszałeś, co mówił.

- To idź i weź zimny prysznic. - Julio wysiada, zatrzaskuje drzwi i rusza w stronę hotelu, zostawiając Hermmana i mnie w aucie.

- Niech to diabli wezmą - burczy Diggs.

To był paskudny incydent, ale nie zamierzam podsycać wzburzenia Hermmana. Wysiadam z samochodu, rozprostowuję nogi, wyginam plecy i nagle spostrzegam mężczyznę idącego ku mnie po schodach. Dzisiejszy stres był większy, niż sądziłem. Mam przywidzenia, uznaję, dopóki Harry nie odzywa się do mnie:

- Gdzie się tak długo podziewaliście?

Wchodzę z Harrym do środka i kieruję się do baru. Sflaczały jak mokry makaron, siadam na jednym ze stołków, podczas gdy barman przyrządza margaritę i nalewa ją do szklanki wielkości sporego akwarium. Zazwyczaj poprzestaję na winie lub piwie. Dzisiaj robię wyjątek. Harry siedzi na stołku obok mnie.

- Nie powiedział ci, że przylatuję?

- Ani słowa.

- Pewnie był zajęty i zapomniał. Powiedział mi, że przyszło mu to do głowy w ostatnim momencie.

- Co ty tu robisz?

- Przyleciałem zobaczyć, czy nie potrzebujesz pomocy - odpowiada. - Niepokoilem się.

- Czym?

- Pamiętasz naszą rozmowę? Tę o tym, że ty byś zginął, a ja żyłbym dalej swoim życiem?

Patrzę na niego bez słowa.

- Myślałem o tym. Cóż, możliwe, że to nie byłoby takie łatwe, jak sądziłem. Poza tym, gdyby cokolwiek ci się stało, musiałbym podzielić cały majątek spółki i miałbym do czynienia z Sarą. A ona obdarłaby mnie ze skóry.

Uśmiecham się. Szturcham go łokciem w żebra.

- Więc kiedy przyleciałeś?

- Dziś po południu. Adam zadzwonił do mnie.

- Kiedy?

- Zeszłej nocy.

- Dotarliśmy tu dopiero po trzeciej nad ranem.

- Nie było aż tak późno, kiedy dzwonił. Być może to z powodu różnicy czasu. Tak czy owak, wyciągnął mnie z łóżka. Powiedział, że samolot musi wracać do San Diego, żeby dziś z samego rana podrzucić gdzieś jednego ze współników, i że po południu będzie leciał z powrotem. Zapytał, czy mam ochotę na wycieczkę. Nie miałem na piątek żadnych planów. Więc jestem. Adam wysłał po mnie samochód na lotnisko.

Upijam przez słomkę łyk margarity, czując, jak tequila trawi ścianki mojego żołądka niczym kwas. Przypominam sobie, dlaczego przestałem pić mocne alkohole.

- Mam wrażenie, że Adam żyje w innym świecie niż my wszyscy - mówi Harry. - Jak ci się podobał samolot?

- Zapomnij o tym. To nie na naszą kieszeń.

- Moglibyśmy trzymać go na ziemi i mieszkać w nim - mówi. - Wykorzystywać go jako latające biuro. Myślę, że przyzwyczaiłbym się do tego. - Harry w wyższych sferach. - Być może potrzebowalibyśmy trochę czasu, żeby to polubić. Wiesz. Polatać sobie tu i tam. Polecieć na Bimini. Do Las Vegas.

- Nie wiesz nawet, gdzie jest Bimini - zauważam.

- To prawda, ale pilot raczej by trafił - odpowiada. - Nie myślisz chyba, że ci wszyscy prezesi podają im współrzędne, kiedy wchodzi na pokład,

co? Nie, oni po prostu mówią im, gdzie chcą lecieć, wrzucają bagaż i godzinę później są w Reno w Mapes...

- Harry.
- Co?
- Mapes został zburzony dwa lata temu.
- Naprawdę?
- Tak.
- No dobrze. Więc są w Las Vegas w MGM. Wysił trochę wyobraźnię.

O wilku mowa - dodaje.

Zanim mam czas obrócić się na stołku, Harry wstaje.

- Adam, chcę ci powiedzieć, że ten samolot jest świetny.
- Podobała ci się podróż?
- Jak mogła mi się nie podobać?

Tolt ściska mu dłoń. Przebrał się. W luźnych spodniach, świeżej koszuli i sandałach sprawia wrażenie swobodnego i zrelaksowanego.

- Cieszę się, że mogłeś do nas dołączyć. - Mówi już normalnym tonem.
- Tak, faktycznie. - Obracam się na stołku i patrzę na niego.
- Co z tobą? - dziwi się Tolt. - Myślałem, że zrobię ci miłą niespodziankę. Samolot wracał pusty. Zbliża się weekend. Dlaczego mielibyśmy mieć całą frajdę tylko dla siebie?

- On ma rację - stwierdza Harry. - Muszę przyznać, że naszła mnie chęć na coś takiego. - Wskazuje stojące przede mną na barze akwarium.

- Czemu nie? Proszę o margaritę dla mojego kolegi - woła Adam. - Jak minął ci lot? - Rusza z Harrym w stronę jednego ze stolików.

Tolt jest jednym z tych luminarzy, którzy płyną przez życie utrzymywani na powierzchni przez aurę własnej wspaniałości. Podejrzewam, że fakt, iż stracił w mojej obecności panowanie nad sobą, stanowił cios dla jego poczucia boskości. Zabiera się więc do Harry'ego. Odchodzą wolnym krokiem do stolika, by rozmawiać o samolotach i co wspanialszych aspektach prywatnego lotu.

- Weź swojego drinka i chodź do nas - zaprasza Adam.

- Za chwilę. - Spozrzegam wchodzącego do baru Hermana. Kieruje się w moją stronę.
- Co się dzieje?
- Zalewam się w trupa - odpowiadam.
- Dobrze wiedzieć, że choć jeden z nas wie, co robi. Pieprzony Wezuwiusz dalej bluzga lawą? - Ma na myśli Adama.
- Myślę, że chwilowo przeszedł w stan uśpienia.
- Więc może pójdziemy jeść i załatwimy to, żebyśmy mógł zostać osądzony i wrócić do swojego pokoju?
- W tej sprawie będziesz musiał się zwrócić do szefa wycieczki. - Wskazuję głową stolik.
- Z kim on rozmawia?
- Z moim współnikiem.
- Co on tu robi?
- Nie wiem. Adam jest pełen niespodzianek. Wyluzuj się. Usiądź. Weź sobie drinka.
- Nic z tych rzeczy, kolego. Jestem na służbie. Nie ma mowy. Jeszcze tego mi trzeba. Facet jest w podłym nastroju. Zgłosi, że piję na służbie, to wywalą mnie na zbity pysk i w poniedziałek znów będę przewracać hamburgery w Lubbock.
- Pięć minut temu byłeś gotów sam się zwolnić. Poza tym zdawało mi się, że mówiłeś, że jesteś z Detroit.
- Mieszkałem w Lubbock - wyjaśnia. - To było, jak straciłem stypendium. Rozwaliłem sobie kolano i wylądowałem tutaj.
- Futbol?
- Mhm. - Zerka ukradkiem w stronę stolika, by upewnić się, że może rozmawiać swobodnie. - Ten zionący ogniem gnojek osmalił mi wszystkie włosy na karku. Całe szczęście, że nie nadziałem się na którąś z tych łodzi płetwonurków jadących z przeciwnej strony z całym majdanem na dachu. Wyglądałby teraz jak ten rekin, z butlą tlenową sterczącą mu z czaszki.
- Gdzie jest Julio?
- Ukrywa się. Za chwilę zejdzie. Zauważyłeś, że nie ma tu barków w pokojach ani automatów z napojami? Ten hotel to jakiś pieprzony grobowiec. Martwy sezon - stwierdza. Korzystając z tego, że w pobliżu nie

ma żadnej kelnerki, pochyla się, i chwytą garść serwetek z kredensu, ociera sobie nimi pot z czoła i szyi, po czym rzuca je, mokre i wymięte, na blat baru.

- Nie jedliśmy nic od śniadania. Żadnego obiadu, żadnej kolacji. W umowie jest, że co dwie godziny mamy mieć przerwę. Widziałeś jakieś pieprzone przerwy?

- Zrób sobie przerwę. Napij się.

Drink mógłby go uspokoić. Zważywszy na nastrój Hermana, obawiam się, że jeśli Adam znowu otworzy usta, może znaleźć w nich stopę osiłka.

- Próbujesz wpakować mnie w kłopoty, kolego? Poza tym, ja chcę jeść. Pić będę później, kiedy się ochłodzi. To świństwo nie jest dobre na upał. - Obsesją Diggsa jest w tym momencie pusty żołądek. Słyszę, jak burczy mu w brzuchu.

Barman podchodzi, by uprzątnąć stos serwetek, które Herman zostawił na barze. Ten zaczyna skarżyć mu się na brak zagwarantowanego konstytucją prawa dostępu do automatu z napojami.

- *No hablo inglés.*

- Jasne. Założę się, kurna, że mówiłbyś po angielsku, gdybym rzucił ci pięćdziesiątkę i kazał nalać kolejkę dla wszystkich.

- *Qué?*

- Pocałuj mnie w dupę.

Mężczyzna zgarnia serwetki do kosza na śmieci za barem, uśmiecha się i oddala od tkwiącego obok mnie gniewnego czarnego olbrzymia.

- Ten syf jest do niczego. Chcę coś zjeść. - Diggs patrzy w stronę stolika Adama. - Hej, szefie! Jak tam, jemy czy nie?

Tolt, który siedzi tyłem do niego, odwraca się, mruga parę razy, po czym uśmiecha się.

- Jasne. Jesteś głodny, Herman? Świetny pomysł. Idź po Julia. Sprawimy sobie kolację.

Rozmowa Adama z moim współnikiem nie dotyczyła jedynie przebiegu lotu.

- Powiedział mi, co zaszło dziś po południu - mówi Harry, rozsmarowując odrobinę masła na gorącej tortilli.

Pusta szklanica po margaricie stoi na stoliku, gdzie ją zostawił. Harry nie odczuwa żadnych dolegliwości.

- Co to ma być? Bawisz się z tym Saldado w berka? - pyta. - Ile szans masz zamiar mu dać?

- Tym razem to nie ja wpadłem na pomysł, by złożyć mu wizytę.

- Wiesz, Adam, kiedy mówiłeś mi, że tu lecicie, zakładałem, że przy całej tej ochronie i w ogóle wszystko będzie bezpieczne.

Patrzę na niego. Harry gada, nie zwracając na mnie uwagi.

- A tymczasem widzę, że i tak jest kiepsko.

- Wyjaśnij mi coś. Rozmawiałeś z Adamem, zanim tu przylecieliśmy? - pytam.

Harry patrzy na mnie.

- Czy ja to powiedziałem?

- Tak, zaiste.

Robi zażenowaną minę, po czym odwraca się do Tolta.

- Wiedziałem, że nie powinienem pić tego drinka - stwierdza.

- Paul, to nic wielkiego. Harry martwił się o ciebie - mówi Tolt. - I miał powody, po tym, co się stało w mieszkaniu Saldado.

- Tak więc zaprosiłeś mnie na lunch i zupełnie przypadkiem postanowiłeś urządzić sobie wakacje.

- Cóż, no dobrze, przyznaję, że spiskowaliśmy trochę.

- Trochę.

- Nie chcieliśmy, żebyś leciał tu sam - mówi mój współnik.

Teraz rozumiem, jak Harry się tu dostał. Pusty samolot, akurat. Adam odesłał go specjalnie po niego, bo któryś z nas musiał być w czwartek w biurze.

- To prawda - wtrąca Tolt.

- I widzisz, co się dzieje - ciągnie Harry. - Nawet przy tylu środkach ostrożności, ochroniarzach i w ogóle. Chcesz wiedzieć, co myślę? Moim zdaniem jutro rano powinniśmy wszyscy popływać sobie, poleżeć na słońcu, zjeść smaczny lunch, a potem wskoczyć do samolotu Adama, powiedzieć *adiós* i odlecieć do domu.

- Popieram - rzuca Adam.

- Zapomniałeś? Jutro wieczorem jesteśmy umówieni z Pablem Ibarrą.
- Zapomnij o spotkaniu z Ibarrą - mówi Harry. - Spotkałeś się dzisiaj z jego synem, tym, który mówi i nie ciągnie kłykciami po ziemi, i czego się dowiedziałeś? Niczego.

- Niezupełnie.

- Tak? Powiedz mi, co takiego odkryłeś, czego nie wiedziałeś już wcześniej.

- Odkryłem, że synowie mają powiązania z Saldado.

- Przepraszam. Przyznaję się do błędu - mówi Harry. - A co poza tą rewelacją, którą nieomal wyryli na twoim nagrobku?

- Wiemy, że Saldado zabił Espinozę i że Espinoza był łącznikiem między braćmi a Geraldem Metzem. Wiemy też, że bracia mieli już jakieś układy z partnerami ze Stanów i że nic z tego nie wyszło. Jak on to określił? Musieli zerwać stosunki?

Adam kiwa głową.

- Coś w tym rodzaju.

- Wiedziałeś to, zanim tu przyleciałeś - stwierdza Harry. - Jeśli zabija się partnerów w interesach, z reguły powodem jest niezadowolenie z umowy.

- Nie. Przedtem mieliśmy tylko przypuszczenia, domysły. Teraz mamy słowa Arturo Ibarry wypełniające te luki. Jeśli chcesz wracać do domu, wracaj. Co do mnie, zamierzam przed powrotem porozmawiać z Pablem Ibarrą.

- Posłuchaj go tylko - jęczy Harry. - Nie miałeś dość tych ludzi? Powiedz mu coś. - Odwraca się do Adama, odkładając płócienną serwetkę obok talerza.

Tolt wzdycha głęboko, sięga po kieliszek z winem i upija łyk.

- Po pierwsze, winien jestem wam przeprosiny. Przyznaję, że poniosło mnie dziś po południu. Miałem dość emocji na resztę życia. Julio, Herman, chcę, byście wiedzieli, że nie myślałem poważnie tego, co mówiłem. I ty też, Paul. Cóż, myślę, że nie muszę ci tłumaczyć. Jeszcze nigdy nie byłem tak bliski śmierci i wytrąciło mnie to z równowagi. Nie zachowałem się zbyt elegancko.

- Wstałeś i wyszedłeś za mną - odpowiadam. - To cała elegancja, jakiej było trzeba, zważywszy na okoliczności.

- Przyznaję bez bicia, że niewiele brakowało, bym zarzygał mu całe biurko, kiedy odwróciłem się i zobaczyłem, że ma nasze portfele. Zdawało mi się, że wie dobrze, że kłamiemy.

- Przypuszczam, że tak było. Nie wiedział tylko, gdzie są pozostałe samochody, jak wielu ludzi w nich jest i jak są uzbrojeni. Nie rusza się do bitwy, jeżeli nie zna się wroga.

- To był pomysł Julia - przyznaje Adam. Unosi kieliszek w toaście dla Meksykanina. Julio uśmiecha się, speszony, i opuszcza wzrok. Zaczyna się rozchmurzać.

Pytam go, czym rzucił w szybę, by przyciągnąć naszą uwagę.

- Monetą - odpowiada. - To chyba było dziesięć peso. Nie wiem.

Byłaby to równowartość niecałego dolara.

- Kto by to liczył? - mówi Tolt. - Dopisz to do rachunku.

Wszyscy wybuchamy śmiechem.

- Cholera. - Adam zerka na zegarek, zdejmuje go i stuka nim o brzeg talerza. - Znów stanął.

- To przez ten zimny pot - zauważa Harry. - Pewnie zamarzl.

- Która godzina? Spoglądam na zegarek.

- Siódma dwadzieścia.

Adam ustawia wskazówki, nakręca sprężynę i nasłuchuje ze szkiełkiem przy uchu.

- Muszę przejrzeć wiadomości. Sprawdzić, czy ktoś nie dzwonił.

- Ach, właśnie. Na śmierć zapomniałem. - Harry zwraca się do mnie. - Było do ciebie parę telefonów i e-maili. Kazałem Marcie odsłuchać i spisać nagrania i wydrukować e-maile. Mam je w teczce na górze.

- Coś ważnego?

- Och. Byłbym zapomniał. Grace Gimble.

- Co z nią?

- Rozmawiałem z kobietą. Jest tak, jak myśleliśmy. Przygotowała dokumenty Jamaile dla Nicka, ale nie wie, po co to było. Twierdzi, że Nick po prostu kazał jej je skompletować. Podpisała się jako pracownik tylko po to,

by móc je zarejestrować. Kolejna ślepa uliczka.

- Dzwoniła też Joyce z Carltona. Zostawiła swój domowy numer i prosiła, żebyś oddzwonił. A twój przyjaciel Blakley z Nowego Jorku przysłał ci w środę e-maila.

Sprawdził adres z kieszonkowego komputera Nicka. To był pusty biurowiec, tak samo jak...

Uciszam go spojrzeniem.

- Jak tamten... - ciągnie. - Co? Co ja powiedziałem?

- O co chodzi z Nickiem? - Adam unosi ku niemu wzrok, zapinając pasek zegarka na nadgarstku.

- Nic - zbywa go mój współnik.

- Nick miał palmtopa?

Jest już za późno, żeby się wykręcać.

- Tak. Jak to się nazywa? - Patrzę na Harry'ego.

- Handspring, czy jakoś tak - odpowiada.

- Właśnie.

- Kto wam o tym powiedział?

- Prawdę mówiąc, Nick zostawił go w kafejce tamtego ranka, kiedy rozmawialiśmy przed jego spotkaniem z Metzem.

- I ty go znalazłeś?

- Paul zobaczył go na ławce i próbował dogonić Nicka - wyjaśnia Harry. - Ale nie zdążył.

- Więc już go zabito? - pyta Adam.

- Nie.

Tolt mierzy mnie jednym z tych przesywających, analitycznych spojrzeń, jak gdyby chciał zgłębić moje myśli.

- Zastanawiałem się cały czas dlaczego - mówi. - Śmierć przyjaciela, niespodziewana i gwałtowna, to rozumiem. Ale chodziło o to, prawda?

- O co? - Harry patrzy na niego, zastanawiając się, co mu umknęło.

- Zapomnij o palmtopie - wyjaśnia Adam. - Twój współnik chce powiedzieć, że gdyby zdążył dogonić Nicka, zatrzymać go na ulicy, Nick nie stałby tam, kiedy ci ludzie nadjechali, żeby kropnąć Metza. To o to chodzi, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie ma co do tego dwóch zdań. Widzę to. Czytam to w twoich oczach. Co cię powstrzymało?

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli powód, dla którego jesteś tu i szukasz odpowiedzi.

- Teraz zaczynasz mówić jak Harry.

- Co to jest? - pyta.

- Porozmawiajmy o czymś innym - spławiam go.

- Świetnie. No to porozmawiajmy o elektronicznym notesie Nicka. Przekazałeś go policji?

- Nie. - Harry rzuca Toltowi jedno z owych spojrzeń, jakie wymieniają adwokaci, omawiając głupie postęпки swych klientów. - Chciał najpierw zobaczyć, co jest w środku.

Adam przewraca oczami.

- Przypuszczam, że zdążyłeś już to zrobić?

- Odnoszę wrażenie, że Nick miał go niezbyt długo. Po prostu bawił się nim. Próbował rozpracować funkcje.

- Więc nic tam nie było?

- Tylko parę wpisów. Kilka nazwisk, adresów, trochę dat. Nic znaczącego.

- A ten adres w Nowym Jorku?

- Ślepy tor.

- Rozumiem.

Adam jest urażony. Kolejny sekret, który przed nim miałem. Ale jest coś jeszcze, coś, czego wcześniej nie wziąłem pod uwagę.

- Pozwól, że zapytam. Zabrałeś tego palmtopa ze sobą? - chce wiedzieć.

Kręcę głową.

- Został w biurze.

- Szkoda. Wiesz, gdybyś dał mi rzucić na niego okiem, może byłbym w stanie coś rozpoznać. Ostatecznie Nick pracował dla firmy.

Celny strzał.

Adam jest zmęczony. Chce się trochę przespać.

- Jutro za dnia możemy pobyczyć się przy basenie, a wieczorem spotkać się z Ibarrą, przekonać się, co on wie. Każę zatankować samolot, żebyśmy mogli odlecieć jutro w nocy, jak tylko skończymy. Przekimamy się w gulfstreamie i będziemy w domu w sobotę rano, żeby odsapnąć jeszcze,

nim w poniedziałek znów trzeba będzie pójść do pracy. Co wy na to? - Patrzy na Harry'ego i na mnie.

- Zgoda.

Julio uśmiecha się. Już prawie po robocie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Na tej szerokości geograficznej słońce zaczyna przypiekać beton od samego rana, więc kiedy wychodzimy na patio na tyłach Casa Turquesa, Harry w podskokach biegnie na bosaka do basenu, nim wślizguje się do wody.

- Jak jest? - pyta Adam.

- Będzie świetnie, kiedy tylko odrośnie mi skóra na podszewkach.

- Miałem na myśli wodę.

- Bardzo przyjemna.

Harry daje nurka i znów się wynurza, otrząsając krople z włosów. Potem zaczyna okrążyć basen pod wodą. Jak na człowieka, który kiedyś palił, przeczy wszelkim oczekiwaniom. Ma płuca jak miech kowalski.

Tolt załatwił już wszystko, tak więc nakryty stolik czeka na nas pod jednym z dwóch wielkich płóciennych parasoli przy bliższym końcu basenu.

Dał Juliowi i Hermanowi wolny ranek, pozwalając im odespać wczorajszą długą jazdę wzdłuż wybrzeża. Jeden z pomocników Julia pilnuje samochodów, drugi siedzi na straży w holu, czytając gazetę.

- Aż dziw, że ten hotel wciąż działa - zauważa Adam. - Oprócz nas nikogo tu nie ma.

To prawda. Harry ma dla siebie basen wielkości jeziora. Jak powiedział recepcjonista, jedyny gość poza nami wymeldował się dzisiaj rano. Cały ruch skupia się w dużych ośrodkach wzdłuż głównej drogi, nastawionych na obsługę grup turystów i wyjazdów służbowych. Ale jakkolwiek na to patrzeć, zdecydowanie nie jest to szczyt sezonu w Cancún.

Małeńkie motolotnie, z silnikami bzyzącymi jak kosiarki do trawy, przelatują raz po raz w pobliżu. Zmierzają na północ, w stronę plaży,

ciągnąc transparenty zachwalające wszystko, czego nieliczni turyści mogliby zapragnąć. Ten akurat ma napis głoszący: PAT O'BRIEN - OGON KARAIBSKIEGO HOMARA.

Harry wychodzi z basenu, wcześniej przezornie chlapiąc wodą na beton. Chwyta ręcznik ze stosu na jednym z leżaków, po czym tańcząc na czubkach palców, biegnie przez rozgrzany taras do wyspy cienia pod parasolem. Opiera stopę na krześle i wyciera się, patrząc w stronę oceanu.

- Wiecie, tak sobie myślę - mówi, próbując rogiem ręcznika usunąć wodę z ucha. - Jeśli my we trójkę byliśmy w stanie powiązać Espinozę, Saldado i Ibarrów, dlaczego nie udało się to glinom?

- Być może ma to jakiś związek z tym, że ukrywamy przed nimi parę kart - zauważam.

- Jak kieszonkowy komputer Nicka - wtrąca Adam.

- I list od Pabla Ibarry - dodaję.

Tolt uśmiecha się.

- Trafna uwaga.

- Wiem o tym - mówi Harry. - Ale musicie wziąć pod uwagę, że nas jest tylko trzech. Gliniarze mają całą armię ludzi, tonę środków, komputerowe rejestry przestępstw, laboratorium medycyny sądowej, donosicieli. Do tej pory powinni mieć już odciski palców Saldado z jego mieszkania.

- Co z tego wynika? - pyta Adam.

- Że prawdopodobnie wiedzą więcej niż my. Choćby znają jego prawdziwe nazwisko. Sprawdzenie tego u meksykańskich władz nie mogło zająć im zbyt wiele czasu.

- Do czego zmierzasz? - chce wiedzieć Tolt.

- Jeśli Saldado był notowany w Meksyku, z jego akt dałoby się wyczytać powiązania, nazwiska ludzi, którzy umożliwili mu ucieczkę. Można by sądzić, że gliny będą w stanie połączyć kropki.

- Może są po prostu trochę wolniejsi - mówi Adam.

- A do tego brakuje im motywacji - dodaje Harry.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Rozmawialiśmy kiedyś o tym z Paulem. Nick nie należał do tych ofiar przestępstw, które wzbudzałyby fale namiętności u członków organów ścigania.

- Nie myślisz chyba poważnie, że oni wstrzymują sprawę?
- Jedno, czego na pewno im brakuje, to gulfstream, który przeniósłby ich na południe - wtrącam.

Adam patrzy na mnie, unosząc brwi.

- Nie żebym był niewdzięczny. To fakt. Jeśli nie chodzi o zgarnięcie podejrzanego albo o przesłuchanie więźnia, tego rodzaju podróż jest odkładana, aż utworzy sobie drogę przez biurokrację.

- Nie pomyślałem o tym - przyznaje Tolt. - Więc sądzisz, że oni mogą być na tropie?

- Nie wiem, jak mogliby go przeoczyć - stwierdza Harry. - Szlak do Ibarrow nie mógłby być wyraźniejszy, chyba że wywiesilibyśmy znaki. W szpitalu podałeś gliniarzom ich nazwisko.

Adam z aprobatą kiwa głową, spuszcżając wzrok na stół. Odzyskuje nieco wiary w system.

- I powinni mieć już list od Ibarry. Wiem, bo wczoraj od rana piekły mnie uszy - dodaje. - Ten porucznik, jak on się nazywa?

- Ortiz - mówię.

- Da mi wycisk, jak wrócę. Będzie chciał wiedzieć, od jak dawna miałem list Ibarry. To dlatego nie dzwoniłem do biura. Nie chcę, żeby ktokolwiek w firmie musiał przyznać, że rozmawiał ze mną albo że wie, gdzie jestem. Lepiej, żebym mógł powiedzieć, że byłem nieuchwytny aż do powrotu.

- A co zrobisz potem? - pyta Harry.

- Przyczaję się, pewnie zbiorę trochę urzędowych gromów. Co mogą mi zrobić?

- Jeśli zdołają udowodnić, że zataiłeś przed nimi ten list, mnóstwo - straszy Harry. - Co do mnie, najchętniej wróciłbym dziś wieczorem do San Diego i obejrzał w telewizji, jak Dodgersi dają łupnia Padresom. Zamiast tego idziemy się spotkać z jakimś gościem, który jeśli jest podobny do swoich dzieciaków, prawdopodobnie każe swym ludziom spuścić nam manto. O ile będziemy mieli szczęście.

- Jutro będziemy w domu - uspokajam go. - Przeczytasz sobie wyniki w gazecie.

- Które? Padresów czy nasze? - pyta Harry.

- Coś mi się przypomniało. - Adam zerka na zegarek i znów unosi go do ucha. - Którą macie godzinę?
- Parę minut po dziewiątej - mówię.
- O, cholera. Mój zegarek pokazuje ósmą czterdzieści.
- Powinieneś zrobić z nim porządek - stwierdza Harry.
- Muszę zadzwonić do pilota i uprzedzić go, żeby nie pił dziś nic w barze. Każę mu zatankować samolot, bo inaczej będziemy musieli zostać tu całą noc. - Wstaje z krzesła i rusza w stronę schodów, mówiąc do nas przez ramię.

Przyglądam się, jak wchodzi po schodach po dwa stopnie naraz, z werwą dwudziestolatka, po czym znika migiem za drzwiami holu.

- Rozumiem, że jeśli pilot pije, z dzisiejszego lotu nici - odzywa się Harry.

- Na to wygląda.
- Jak myślisz, ile trzeba, żeby zatankować do pełna?
- Och, sądzę, że trzy ćwiartki wódki wystarczyłyby, żeby zwalić z nóg każdego pilota, jakiego znam.

- Mądrała - mruczy Harry. Uśmiecha się. - Wiesz, co mam na myśli. Samolot.

- Skąd mam to wiedzieć?
- Myślisz, że muszą czekać w kolejce? Wyciągać kartę kredytową?
- Idź zapytaj Adama.

Zastanawia się chwilę.

- Nie. Stopnie są za gorące. Poza tym, jeśli wrócę do klimatyzowanego pomieszczenia, będę załatwiony. - Ogląda się w stronę basenu. - Chyba raczej wrócę do wody. Może usiadłbyś chociaż na skraju, zamoczył nogi?

- Czemu nie? - Łapię leżące na stoliku okulary przeciwsłoneczne i zrzucam tenisówki.

- Przy okazji może słońce trochę wyparzy ci gębę - ciągnie Harry. - Trzy ćwiartki wódki.

Harry ma rację. Woda jest przyjemna. Basen jest płytki, mniej więcej metrowej głębokości, z małymi wskaźnikami w stopach i calach na całym obwodzie, by powstrzymać gości z północy przed skakaniem i łamaniem sobie karków. Kto chce czegoś głębszego, od Morza Karaibskiego dzielą go tylko schody i plaża.

Kolejna motolotnia bzyczy w górze, wlokąc swój transparent. Harry wynurza się na środku basenu akurat na czas, żeby ją zobaczyć.

Chwilę później nadlatuje druga, tym razem z innego kierunku, mniej więcej dziesięć metrów ponad dachami. Jest tak blisko, że widzę druciane rozporki i słyszę łopot nylonowego pokrycia skrzydeł, kiedy przemyka nad nami. Jej cień miga nad tarasem i basenem, po czym znika, ledwie zdążyłem go dostrzec.

- Czy on nie leci trochę za nisko? - pyta Harry.

- Tak jakby.

Harry odwraca się w stronę plaży i osłaniając dłonią oczy, przygląda się, jak lotnia sunie nad wodą.

- Chyba daje przejażdżki - zauważa. - Miał pasażera.

Unoszę wzrok, ale sąsiedni budynek zasłania mi widok. Gdy oglądam się w kierunku Harry'ego, znów jest pod wodą.

Bryza od morza odświeża nieco gorące powietrze na patio. Moczę dłonie w basenie i opieram je za sobą na rozgrzanym betonie, odchylając się w tył. Robię się głodny. Zastanawiam się, jak długo potrwa nieobecność Adama.

Na wodzie pojawia się łódź ciągnąca parolotnię. Jej silnik to zwiększa, to zmniejsza obroty niczym Mixmaster, gdy płynie na północ, podskakując na falach przyboju. Za nią, niemal niewidoczna z tej odległości, cienka stalowa lina wznosi się łukiem aż do spadochronu z wiszącym u spodu jeźdźcem, który wygląda jak kropka na niebie.

Przyglądam się, jak parolotnia sunie wolno w oddali. Przed sobą słyszę pluski wzbijające w górę kropelki wody. Harry rzuca żwirem. Osy brzęczą mi koło ucha. Odpędzam je grzbietem dłoni. Na betonowej obudowie basenu rozbłyskuje iskra. Coś uderza mnie w policzek. Pocieram go. Mija moment, nim synapsa w moim mózgu reaguje na widok krwi na ręce.

Obraz na tle słońca, nurkujący w stronę placyku po tym, jak wyłonił się spoza dachu Casa Turquesa za moimi plecami. Rzuca cień, który pokrywa dwadzieścia metrów tarasowego listowia i patio wokół basenu, zanim jestem w stanie choćby odwrócić głowę. Sylwetka z kalejdoskopu - drapieżca pędzący po ziemi. Ułamek sekundy później dołącza się piskliwe zawodzenie

silnika motolotni: migot barw wypełnia przez chwilę moje pole widzenia i znika, nim jeszcze dobrze je usłyszę.

Rzucam się na rozgrzany beton i turlam na bok. Seria strzałów, gdy motolotnia przelatuje nade mną, bryzgi wody w basenie, potrzaskany kafelek na skraju obmurowania. Chwilę później w wodę uderza deszcz mosiężnych Łusek, podczas gdy inne stukają o beton na drugim końcu patio.

Gdy lotnia sunie nad plażą, zyskując wysokość i wytracając prędkość, spostrzegam pilota. Patrzy prosto przed siebie, obiema dłońmi trzymając drążek. Lotnia jest zwykłą otwartą ramą ze strzemionami, w których tkwią jego stopy. Widzę, jak naciska nogą jedno z nich. Maszyna robi lekki zwrot w prawo i wspina się.

Jego pasażer siedzi za nim na czymś w rodzaju krzeselka, wyżej, tuż przed śmigłem. Ogląda się za siebie, by ocenić wyrządzone szkody. Jego oczy osłaniają przed wiatrem umocowane paskiem gogle. Trzyma coś, co wygląda jak ciemny karabin maszynowy z zadartym nosem. Obraca go, majstrując przy nim. Nagle uświadamiam sobie, że facet ładuje nowy magazynek.

Rozglądam się za Harrym, ale nie widzę go. Dostrzegam jedynie zwiewny kłęb krwistej barwy na środku basenu. Śledzę go wzrokiem aż do ciemnego cienia na dnie i zanim mam czas pomyśleć, jestem już w wodzie, odpychając się nogami od brzegu i pracując ramionami.

Docierając na miejsce, wypełniam płuca powietrzem i z kolejnym wymachem ramion nurkuję w stronę płytkiego dna. Otacza mnie cisza, słyszę tylko dudnienie własnego pulsu w głowie i piersi. Chwyciwszy Harry'ego pod pachy, wokół klatki piersiowej, wynurzam się czym prędzej. Nie wiem, czy on żyje. Jego ciało jest wiotkie, podbródek opada mu na pierś. Chwytam go za włosy i odciągam głowę w tył, by przyjrzeć się twarzy. Oczy ma zamknięte.

Brnę tyłem przez wodę, ciągnąc Harry'ego w stronę schodów i hotelu.

Widzę, jak w oddali motolotnia zatacza szeroki łuk nad strefą przyboju i zawraca, opuściwszy skrzydło.

Zapatrzony w lotnię potykam się o stopnie basenu, upadam w tył i zatrzymuję się na następnym stopniu z Harrym na kolanach. Trzymając się go kurczowo, próbuję wstać.

Spostrzegam jednego z kelnerów w białej, płóciennej kurtce. Leży twarzą w dół, przywierając do wyłożonej kafelkami posadzki tuż za rozsuwanymi drzwiami do restauracji na tarasie. Ale nie patrzy na mnie. Patrzy na zbliżającą się motolotnię.

Macham do niego, wołając o pomoc.

Zamiast tego zrywa się na nogi i biegnie w stronę kuchni.

Zerkam w dół i widzę krew Harry'ego na swojej koszuli. Jego włosy na potylicy są pozlepiane. Rana głowy. Niedobrze.

Gdy znów unoszę wzrok, motolotnia pędzi w naszą stronę, nabierając szybkości na wietrze od morza. Napędzany adrenaliną dźwigam się wraz z Harrym na taras i ciągnę go, szorującego piętami po betonie, do płóciennego parasola, gdzie układam go w cieniu. Oglądam się w stronę schodów do hotelu, lecz nie ma tam nikogo.

Motolotnia zbliża się do plaży. Chwytam stolik i przewracam go na bok, osłaniając leżące bezładnie ciało Harry'ego. Sięgam po ręcznik, chcąc owinać mu głowę i powstrzymać krwawienie, ale nie ma już na to czasu. Ton silnika zmienia się, gdy lotnia pikuje, nabierając szybkości.

Wychodzę spod parasola i widzę, że leci prosto na mnie, ma jeszcze może dwieście metrów. Biegnę wzdłuż basenu na drugi koniec tarasu, zmniejszając dystans między nami i skracając czas celowania.

Niczym radar, głowa strzelca obraca się w stronę ruchomego obiektu. Kule roztrzaskują szyby w oknach i przeszklone drzwi krytego strzechą baru z widokiem na plażę. Potem słyszę odgłos strzałów.

Mężczyzna posyła starannie odmierzone serie. Pół sekundy, dwadzieścia pocisków. Widzę wydobywające się z lufy obłoczki i połyskującą w słońcu smugę mosiądzu, gdy łuski sypią się z lotni niczym deszcz.

Padam jak długi na beton i ślizgam się na kolanach i łokciach, gdy kule wbijają się w tynkowaną ścianę tuż nade mną, wycinając wzór w niskim

żywopłocie u moich stóp. Chwilę później rozlega się odgłos strzałów, który niemal tonie w wyciu silnika, gdy motolotnia przemyka nad basenem, ciągnąc za sobą swój skrzydlaty cień.

Strzelec obraca się, by wypuścić kolejną serię, ale pilot musi zwiększyć pułap, żeby przelecieć nad dachem hotelu. Kule idą zbyt wysoko, wbijając się w kryty strzechą z liści palmowych dach baru, gdy motolotnia znika za Casa Turquesa.

Gdzie, u diabła, jest Julio i jego ochroniarze? Zerkam na zegarek. Wskazówka sekundowa wciąż chodzi. Oceniam, że mam dziewięćdziesiąt sekund, może dwie minuty - zależnie od tego, jak szeroki wezmą zakręt - nim lotnia powróci.

Chwytnąjąc po drodze ręcznik, biegnę z powrotem do parasola i leżącego na betonie Harry'ego. Opadam na kolano, przykładam ucho do jego nosa i ust, macam puls. Oddech jest płytki, ale jest. Przesuwam mu dłońią po potylicy, szukając palcami rany, próbując wymacać przez włosy zagłębienie w kości. Nic, tylko krew. Składam ręcznik w długi pas i owijam go najciaśniej jak mogę wokół głowy, wtykając na czole koniec pod spód i tworząc turban. Z dwóch najbliższych leżaków ściągam poduszki i stos ręczników. Podkładam mu ręczniki pod stopy, unosząc je. Być może nie jest to najlepszy pomysł przy ranie głowy, ale wydaje mi się, że Harry jest w szoku. Przykrywam go poduszkami. To wszystko, co mogę w tej chwili zrobić.

Potem odchodzę od parasola, tym razem na drugą stronę basenu, jak najdalej od Harry'ego, by nie kusilo ich sypnąć gradem kul w niebieski płócienny dach.

Po tej stronie tuż przy basenie znajduje się mały bar, kryta strzechą budka w kształcie grzyba.

Gorączkowo rozglądam się, szukając kryjówki. W rogu patio, niecałe piętnaście metrów dalej, pod niskim murkiem od strony plaży stoi biała metalowa ławka. Jedną trzecią jej długości zajmuje rzeźba z brązu, solidny kawał metalu, nadnaturalnej wielkości postać ze stopami tkwiącymi pewnie na ziemi i głową zwróconą na północ, patrząca w zamyśleniu na białą wstęgę piasku. Jedno ramię ma uniesione na wysokość barku i wyciąga przed siebie dłoń z wciśniętym między dwa palce cygarem.

Za plażą, tłukąc dziobem o fale, łódź znów ciągnie paralołtnię, nieświadoma, co dzieje się czterysta metrów dalej. Sternik zatacza wielkie koło, kreśląc za rufą białą podkowę spienionej wody.

Jęk silnika w oddali przerywa na moment ciszę, po czym milknie, słumiony przez wysokie budynki dookoła. Omiatam wzrokiem zarys dachu hotelu, a potem szczyty budynków po obu stronach. Moje oczy nieustannie wracają w południowo-zachodni kąt patio, ku przerwie między hotelem a sąsiednim, będącym w budowie gmachem, skąd motolotnia wyłoniła się poprzednim razem.

Nagle słyszę ją tuż za sobą, lecącą na północ, w stronę plaży. Kulę się, napinając wszystkie mięśnie i wzdrygając się w oczekiwaniu na uderzenia pocisków. Okręcam się na kolanie. Potrzebuję ułamka sekundy, by powiązać obraz i dźwięk, gdy dostrzegam ją niemal kilometr dalej na południe, sunącą wolno wzdłuż plaży i ciągnącą długi transparent.

Poprzez dudnienie w głowie słyszę odległe wycie syren. Mija kilka sekund i słyszę je znowu, dobiegające z ulicy, coraz głośniejsze i bliższe.

Motolotni ani śladu. Oddycham głęboko. Potem przypominam sobie o Harrym.

Część pracowników hotelu zgromadziła się na tyłach holu, u szczytu schodów prowadzących do basenu. Widzę, jak wystawiają głowy zza wielkich, przeszklonych drzwi.

Macham do nich, żeby zeszli i pomogli mi. Drzwi otwierają się i kierownik w towarzystwie jednego ze swych ludzi rusza w dół po schodach. W tym samym momencie połowa butelek z alkoholem w kiosku za moimi plecami eksploduje. Drzazgi z półki, na której stały, wzlatają w górę niczym wykałaczki, zanim jeszcze słyszę ten dźwięk i unoszę wzrok.

Wleciawszy w przyspieszający prąd powietrza znad oceanu, motolotnia wisi niemal nieruchomo tuż nad dachem hotelu.

Skrzydła lotni kołyszą się, gdy pilot stara się utrzymać maszynę w jednym położeniu. Z lufy karabinu wzlataje kolejna seria dymków. Jego towarzysz strzela mu ponad ramieniem.

Coś świszczy i trzaska mi koło ucha. Padam całym ciężarem na beton. Kiedy unoszę wzrok, pilot dochodzi do szczytu swych możliwości. Wiatr słabnie i lotnia zaczyna posuwać się naprzód.

Pełnę na czworakach przez taras i przykucam za kioskiem.

Gdy strzelec wypuszcza następną serię, kilka kul uderza z głuchym stukiem w metalowe wnętrze kiosku. Reszta, wśród snopów iskier, przechodzi na wylot przez budynek. Jedna z nich rozpada się, uderzając o cement parę centymetrów od mojej dłoni.

To wygania mnie na otwartą przestrzeń. Szybki rzut oka.

Strzelec unosi lufę, wkładając nowy magazynek. Pociąga zamek, zasuwając go i wtedy dostrzega mnie. Klepie pilota w ramię.

Rzucam się do kryjówki.

Lotnia pikuje, by nabrać szybkości. Słyszę jej silnik, gdy zbliża się do mnie od tyłu, sunąc - niczym kolejka w wesołym miasteczku - na prądach powietrza nad wierzchołkami palm.

Skrzydlaty cień wyprzedza mnie w niecałą sekundę. Kule walą o beton, procesja pocisków sunie moim śladem przez taras.

Rzucam się na oślep na ziemię. Uderzam barkiem o niski murek od strony plaży, odbijam się od niego jak kula bilardowa i wpadam pod ławkę, zwijając się w pozycji embrionalnej pod siedzącą figurą z brązu.

Kule wznecają iskry, uderzając z brzękiem o ławkę. Kilka z nich, znalazłszy luki w metalowej kratownicy, pada na beton i wrywa dziury. Odłamki cementu oraz fragmenty miedzianej powłoki obsypują mi twarz.

Lotnia sunie tuż nad ławką. Strzelec zasypuje mnie gradem kul. Pociski trafiają w brąz, przybierając kształt grzybka, aż kilka ostatnich uderza w murek od zewnętrznej strony.

Wypelzam spod ławki i unoszę się na kolana, wyglądając przez balustradę w stronę morza.

Motolotnia leci nad strefą przyboju, nabierając wysokości. Strzelec ogląda się za siebie. Wykręca szyję, próbując zobaczyć coś spoza migającego

śmigła i ogona lotni, przekonać się, czy mnie trafił. Gdy dostrzeża moją głowę nad balustradą, klepie pilota w ramię, gorączkowo dając mu znaki, by zawrócił jeszcze raz.

Czuję, jak coś ciepłego kapie mi na ramię. Unoszę dłoń. To krew pływacza z draśnięcia na małżowinie.

Obserwuję lotnię. Strzelec chce zawracać. Pilot nie może. Wskazuje blokującą mu drogę motolotnię, która leci wzdłuż wybrzeża z transparentem: SEÑOR FROG - OBIAD I DARMOWY T-SHIRT.

Strzelec gestykuluje w frustracji na swoim siodełku. Pilot zmniejsza moc silnika. Słyszę, jak zawodzący jęk cichnie do warkotu, gdy zwalnia, by przepuścić drugą lotnię.

Odczekawszy, aż minie go ciągnący się koniec transparentu, dodaje gazu, opuszcza nos i obniża skrzydło, by nabrać prędkości na skręcie. Widzę go teraz wyraźnie. Patrzy w moją stronę, próbując ustalić me położenie.

Wstaję, żeby mógł mnie zobaczyć.

Strzelec zgina rękę w przód i w tył w łokciu, wskazując kierunek ataku.

Gdy tylko spostrzegam to, ruszam przez patio, posuwając się bokiem wzdłuż murku nad plażą. Nie spuszczam lotni z oka, dopóki nie docieram na miejsce. Tam zatrzymuję się i odwracam ku niej.

Teraz pilot musi zgadnąć, w którą stronę pójdę. Wbija we mnie skupione spojrzenie. Koryguje kurs odrobinę w lewo, pikuje, aby zwiększyć szybkość, i pędzi w moją stronę pochylony nad drążkiem, z obiema dłońmi i stopami na sterach.

Skupiony na mnie, nie zauważa ciągnącej się zaledwie kilka metrów od niego liny, która łączy paralotnię z łodzią. Siła zderzenia rzuca go naprzód z takim impetem, że widzę, jak złożona z rur rama podtrzymująca skrzydło nad jego głową dosłownie się łamie. Lewe skrzydło rozpada się jak papier: pokrycie rozdziera się, a szkielet okręca się wokół liny.

Szybujący dobre sto metrów wyżej paralotniarz przeżywa nieoczekiwany dreszcz emocji, gdy siła zderzenia szarpie nim i wlecze go dziesięć, może piętnaście metrów w powietrzu.

Sternik motorówki widzi, co się stało, i wyłącza silnik. Dziób łodzi opada na wodę.

Przyglądam się, jak motolotnia wiruje bezwładnie. Jej silnik znów działa. Śmigło uderza w coś i wzdrygam się, gdy lotnia rozpada się w powietrzu.

To, co pozostało ze skrzydła, odrywa się od reszty. Rama, silnik i pasażerowie spadają jak kamień, z chłupotem niknąc w wodzie tuż poza falami przyboju.

Kawałki skrzydła i ogona lecą w ślad za nimi, szybując i koziołkując jak liście. Jeden po drugim wpadają z pluskiem do morza.

Paralotniarz opada, siadając miękko na wodzie. Łódź zawraca, żeby go zabrać.

Gdy znów patrzę ku miejscu, w którym zniknęła motolotnia, jedynym śladem po niej jest połyskliwa plama unosząca się na falującej, granatowej powierzchni morza tuż za linią fal.

Dygocąc na całym ciele, z drżącymi rękoma, odwracam się w stronę hotelu, gdzie Harry wciąż leży nieruchomo pod parasolem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W ciągu paru minut od swego przybycia sanitariusze ustabilizowali stan Harry'ego, wprowadzili mu igłę od kroplówki w ramię, zabandażowali głowę i podali tlen.

Mijając kręcących się po całym hotelu gliniarzy, niektórych ze spluwami w rękach, wnoszą teraz Harry'ego po schodach i przewożą go na noszach przez hol pełen policji i przechodniów, którzy zawędrowali tu z ulicy zobaczyć, co się stało.

Rozglądam się za ochroniarzem Julia. Nie widzę go. Nie widzę też Julia ani Hermana.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Adama z hotelowego telefonu. Ale wózek jedzie zbyt szybko. Chcę być z Harrym w szpitalu, na wypadek gdyby coś się stało.

Na zewnątrz sanitariusze składają nosze i ładują Harry'ego na tył karetki. Wpycham się do środka za pielęgniarzem i gdy tylko drzwi się

zamykają, ruszamy podjazdem prowadzącym na bulwar przed hotelem. Tu utworzył się kolejny tłum gapiów, ale dwaj gliniarze z drogówki powstrzymują ich. Odgrodzili podjazd i przestawiają właśnie parę pacholków, żeby nas przepuścić.

Sanitariusz mówi mi, że szpital jest niedaleko, parę kilometrów stąd.

Wszystko staje się jedną rozmytą plamą, gdy spostrzegam, że palce lewej dłoni Harry'ego poruszają się. Przesuwa prawe ramię, otwiera oczy, mruga, wpatruje się w sufit karetki, wreszcie zauważa mnie.

- Wszystko będzie dobrze. Leż spokojnie. Zaraz będziemy w szpitalu - mówię mu.

Uśmiecha się, próbuje coś powiedzieć, ale nie może z powodu maski obejmującej mu nos i usta.

Kiwa głową, ale nie wiem, czy mi wierzy.

Cztery minuty później sanitariusze wytaczają Harry'ego z karetki i wiozą go na oddział nagłych wypadków. Pielęgniarka w kitlu, z papierową maseczką opuszczoną pod brodę przygląda mi się badawczo, odrywając mnie od noszy przy wejściu na oddział. Zadaje mi parę podstawowych pytań, po czym odsyła do głównego holu, do rejestracji. Wahadłowe drzwi zamykają mi się przed nosem.

Hol jest zatłoczony. Ludzie siedzą rozwaleni na krzesłach, niektórzy sprawiają wrażenie, jak gdyby spędzili tu całą noc. Dzieciaki bawią się, pełzając po podłodze.

Czekam dwadzieścia minut w kolejce, potem wypełniam formularze i znów wracam do kolejki. Przez następne pół godziny stoję oparty o kontuar, odpowiadając na pytania dotyczące ubezpieczenia zdrowotnego, polisy wykupionej przez firmę. Jako gwarancję zapłaty podaję im firmową kartę kredytową, z przemoczonego portfela z tylnej kieszeni spodni. Cały przód koszuli wysmarowany mam rozwodnioną krwią Harry'ego.

Uporawszy się z tym, spędzam kolejne czterdzieści minut, na zmianę stojąc i krążąc po holu, a także raz po raz zerkając na zegarek. Dwukrotnie próbuję się dodzwonić do hotelu. Nikt nie podnosi słuchawki. Kompletnie zamieszanie.

Wszystkie krzesła w poczekalni są zajęte. Ludzie gapią się na mnie. Na

ramieniu koszuli mam krew z rany na uchu. Znów patrzę na zegarek. Zastanawiam się, dlaczego trwa to tak długo, wiedząc, że z każdą chwilą wzrasta prawdopodobieństwo złych wieści. Potem rozlega się głos.

- Czy ktoś tu jest z panem Hindsem?

Odwracam się i widzę stojącego przy kontuarze młodego Latynosa w zielonym kitlu chirurga.

- Ja.

Facet ma jedną z tych nieprzeniknionych twarzy, na których maluje się jedynie zmęczenie.

- Jestem doktor Ruiz. - Patrzy na moją zakrwawioną koszulę. - Nic panu nie jest?

- Wszystko w porządku. Co z nim?

- Pan Hinds odpoczywa w spokoju. Zrobiliśmy mu prześwietlenie, szukając złamań, fragmentów pocisku, odłamków kości czaszki w mózgu. Nie znaleźliśmy nic. Wydaje się, że kula jedynie drasnęła czaszkę.

- Więc nic mu nie będzie?

- Stracił sporo krwi. Trzeba było wielu szwów, żeby zamknąć ranę. Nie mogę powiedzieć nic pewnego. Będziemy musieli obserwować go przez następną dobę, żeby upewnić się, że nie wystąpił obrzęk mózgu. Zatrzymamy go przynajmniej przez noc. Zobaczymy, jak się będzie czuł rano.

- Mogę go zobaczyć?

- Króciutko. On musi odpocząć. W tej chwili jest pod wpływem środków przeciwbólowych. Kiedy leki przestaną działać, będzie miał straszną migrenę. - Przekrzywia głowę i patrzy na moje ucho. - Wie pan, że jest pan ranny?

Machinalnie unoszę rękę. Dotykam rany.

- Tak. To drobiazg.

- Jeśli pan chce, każę pielęgniarce to oczyścić.

- Nie trzeba. Zajmę się tym sam w hotelu.

Prowadzi mnie korytarzem przez dwuskrzydłowe drzwi do jednej z sal oddziału. Jest otwarta. Harry leży na noszach pośrodku, przykryty kocem, z obandażowaną głową. Lekarz wyjaśnia, że za parę minut przewiozą go do sali na piętrze. Dziękuję mu, a on odchodzi, by zająć się następnym pacjentem.

Podchodzę bliżej i przyglądam się Harry'emu. Ma zamknięte oczy. Dotykam jego ramienia. Otwiera oczy i patrzy na mnie.

- Jak się czujesz?
- Świetnie. - Chrapliwy głos. - Może dadzą mi receptę na to, co włożyli mi w ramię. W tej chwili czuję się znakomicie. Co się stało?
- Nic nie pamiętasz?
- Kim pan jest? - pyta. Czyta w moich oczach. - Żartowałem. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to cień na wodzie, nim zwała się na mnie góra. Co to było?
- Porozmawiamy o tym później. Teraz odpocznij. Za parę minut zabiorą cię do sali na górze.
- Nie. Nie. Chcę iść z tobą. - Zaczyna się podnosić z wózka.
- Harry!
- O cholera. - Chwyając się za głowę, opada z powrotem na nosze. - Czuję się, jakby łeb miał mi odpaść.
- Jeśli nie będziesz leżał spokojnie, pewnie tak się to skończy. Doktor mówi, że kiedy leki przestaną działać, możesz czuć ból. Na razie odpoczywaj. Wieczorem znów tu wpadnę. - Ściskam go za ramię i ruszam w stronę drzwi.
- Paul?
- Tak?
- Gdzie są Adam i Julio?
- To dobre pytanie.

Zatrzymuję taksówkę przed szpitalem i każę się odwieźć do hotelu. Gdy docieramy do skrzyżowania, skąd odchodzi uliczka wiodąca do Casa Turquesa, tłum przed hotelem już nie ma. U stóp podjazdu stoi gliniarz na motocyklu, sprawdzając wjeżdżające i wyjeżdżające pojazdy.

Słońce praży niemiłosiernie. Zerkam na zegarek. Dochodzi druga. Czuję mdłości. Boli mnie głowa. Nie jadłem nic od zeszłego wieczoru. Krew na moim uchu przyschła i zakrzepła, lecz słony pot spływający mi po twarzy w pozbawionej klimatyzacji taksówce sprawia, że rana pali mnie żywym ogniem.

Gliniarz przy bramie zobaczy krew na mojej koszuli, gdy tylko

zajedziemy przed hotel, i przesłuchanie rozpocznie się, nim jeszcze zdążę wysiąść z taksówki.

Zamiast jechać prosto do hotelu, każę kierowcy minąć bramę i skręcić w lewo za Kukulcan Plaza.

Na zwróconej ku plaży skarpie za centrum handlowym stoją apartamentowce. Firma Julia wynajęła jeden z tańszych apartamentów, by móc zaparkować wielkie suburbany w podziemnym garażu. Reszta ekipy Julia, kiedy nie była na służbie, spała w mieszkaniu na górze. Herman pokazał mi jego okna podczas jednej z naszych wypraw.

Każę taksówkarzowi wysadzić się tutaj.

Piętrowy budynek składa się z kilku segmentów z zewnętrznymi schodami od frontu prowadzącymi do mieszkań na piętrze. Każdy segment wygląda identycznie.

Gdy podjeżdżamy bliżej, dostrzegam wjazd do garażu, betonową pochylnię z boku apartamentowca. Ruszam w jej stronę i schodzę w dół.

Szukam człowieka Julia, tego, który miał pilnować samochodów, w nadziei, że będzie miał radio, by móc skontaktować się z szefem. Jeśli nie, być może w mieszkaniu na górze jest telefon. Mógłbym wtedy zadzwonić do Adama, dowiedzieć się, co się dzieje w hotelu, i kazać sobie przynieść czyste ubranie. Jeśli dopisze mi szczęście, Adam i Julio będą znali już odpowiedzi na większość swych pytań. Mógłbym uzupełnić to, czego nie wiedzą, przekąsić coś w swoim pokoju i zdrzemnąć się przed rozmową z Pablem Ibarrą. Zakładając oczywiście, że spotkanie jest wciąż aktualne.

Po porannych przeżyciach nawróciłem się na filozofię Harry'ego. Gdy tylko złapię Tolta, zamierzam zadziałać twardo. Kiedy Harry będzie zdalny do podróży, wskakujemy do samolotu i zwiewamy do domu. Szukanie odpowiedzi na pytanie, kto zabił Nicka, to jedno. Przekonanie się o tym na własnej skórze to zupełnie inna sprawa.

Mimo że garaż tkwi w ziemi niczym bunkier, jest w nim gorąco i wilgotno. Okrażam róg i widzę samochody. Dwa z suburbanów są tutaj. Jeden musi być na zewnątrz. Ten z prawej jest na chodzie, zanieczyszczając garaż spalinami.

Człowiek, który ich pilnuje, siedzi w środku przy włączonej klimatyzacji, słuchając muzyki. Słyszę stłumione wibracje niskich tonów, dudniący

na jednej nucie bas. Tylko patrzeć, jak samochód wypuści hydraulikę i zacznie podskakiwać w miejscu.

Podchodząc bliżej, dostrzegam w bocznym lusterku znajomy świeży zarost. Od dwóch dni mogłem napatrzeć się na niego do woli w samochodzie. Za kierownicą siedzi Julio. Stukam w szybę tylnego okna, ale nie słyszy mnie. Otwieram drzwi.

- Gdzie byli twoi ludzie... - Słowa zamierają mi w ustach, gdy spostrzegam na przedniej szybie bryzg czegoś podobnego do rdzawego tynku. Pajęczyna spękań rozchodzi się promieniście od leju w szkle kilkanaście centymetrów nad kierownicą.

Zwrócony ku mnie policzek Julia ma ziemistą, siną barwę. Jego oczy są półprzymknięte w śmiertelnym ośpieniu. Na środku czoła widnieje rana wylotowa wielkości dwudziestopięciocentówki, o opuchniętych, pokrytych zakrzepłą krwią brzegach. Krew spłynęła mu po twarzy strumykami z obu stron nosa, pokrywając znaczne obszary koszuli i spodni.

Stoję tam z otwartymi ustami, czując w gardle słodki, metaliczny smak czadu. Ośpiająca muzyka i fakt, że tkwię parę centymetrów od zwłok w obcym kraju, sprawiają, iż mój umysł zaczyna pracować jak szalony. Pospiesznie rozglądam się po garażu, by upewnić się, że jestem sam.

Gmeram w kieszeniach szortów, szukając kawałka szmatki, papieru, czegokolwiek. Odkrywam złożony, wciąż jeszcze wilgotny paragon. Rozkładam go i trzymając pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, ostrożnie sięgam pod kolumnę kierownicy, znajduję kluczyk i wyłączam zapłon. Ogłuszająca cisza powoduje, że wzdrygam się i rozglądam, by sprawdzić, czy wciąż jestem sam. Potem zamykam drzwi samochodu i wycieram kławkę połą koszuli.

Pięć minut później wychodzę z garażu. Przecinam pustą ulicę za centrum handlowym, zdejmuję koszulę i wrzucam ją do kubła na śmieci. Wkraczam tylnym wejściem do centrum handlowego. Chłodne, suche powietrze klimatyzowanego wnętrza omywa mnie, gdy łapię oddech. Jeśli nie liczyć zakrwawionego ucha, wyglądam jak turysta, który zapomniał koszuli

na basenie: buty na boscie nogi i krople potu na czole.

Na ścianie tuż przy wejściu wisi automat telefoniczny. Przebieram w meksykańskich monetach, próbując zgadnąć, której z nich użyć do rozmowy miejscowej. W końcu wrzucam dziesięć peso i wykręcam numer hotelu. Chwilę później łączę się z recepcją.

- Chciałbym rozmawiać z panem Adamem Toltem. To jeden z gości.
- Momencik.

Słyszę głosy. Recepcjonista rozmawia z kimś po hiszpańsku. Słyszę, jak mówi „Señor Tolt”, potem szmer zakrywającej mikrofon dłoni, słowo *Inglés*. Wreszcie w słuchawce odzywa się inny głos.

- Halo, kto mówi?
- Próbuję się skontaktować z panem Toltem. Adamem Toltem. To gość tego hotelu.

- Kto mówi? - Powtarza władczo głos.

Pół godziny wcześniej, przed znalezieniem zwłok Julia, podałem mu swoje nazwisko, przeszedłem przez ulicę i porozmawiał z glinami. Teraz jednak bez słowa odkładam słuchawkę.

Hotel ma małą recepcję z jednym telefonem. Jeśli zadzwonię jeszcze raz, recepcjonista rozpozna mój głos.

Na stoisku parę kroków dalej młoda dziewczyna rozdaje próbki perfum. Podchodzę do niej i wskazując swoje ucho, wyjaśniam, że miałem drobny wypadek. Pytam ją, czy mogłaby zamówić dla mnie rozmowę po hiszpańsku. To zajmie jej tylko chwileczkę.

Uśmiecha się i wychodzi zza lady. Wrzucam do automatu kolejną monetę i ponownie wykręcam numer.

- Chciałbym rozmawiać z jednym z ich gości. To czarny Amerykanin. Ma na imię Herman. Niestety nie pamiętam nazwiska, ale hotel nie ma w tej chwili wielu klientów.

Gdy recepcjonista odbiera, dziewczyna zaczyna mówić po hiszpańsku z szybkością karabinu maszynowego. Następuje krótka wymiana zdań. Wreszcie z uśmiechem podaje mi słuchawkę.

- On się nazywa Diggs. Herman Diggs. Właśnie dzwonią do jego pokoju.

- Dziękuję. - Biorę słuchawkę i słyszę sygnały. Trzy, bez odpowiedzi.
Po czwartym dzwonku:

- Halo.

Rozpoznaję głos Hermana.

- Herman, tu Paul Madriani.

- Cholera, nareszcie ktoś dzwoni. Gdzie, u diabła, jesteś? Szukam was po całym hotelu. Poszedłem spać, obudziłem się i nagle nikogo nie ma. Zacząłem już myśleć, że był alarm, a ja go przegapiłem. Nie mogę znaleźć Julia ani nikogo z ekipy. A jakiś urzędas na dole mówi, że zastrzelili twojego współnika. Pieprzy coś o samolotach.

- Herman! - muszę unieść głos, by powstrzymać potok słów.

- Co?

- Poszukaj Adama Tolta. Próbowałem zadzwonić do niego parę minut temu, ale gliny mnie nie dopuściły.

- Żartujesz, Sherlock? Tolt zniknął.

- Co to znaczy zniknął?

- Zniknął, wyparował, ulotnił się, nie ma. Byłem w jego pokoju. Zdemolowany. Gliny właśnie opakowują go jak prezent gwiazdkowy. Pełno żółtych taśm na drzwiach. To był Ibarra i jego braciszek. Zwinęli nam Tolta sprzed nosa. Rano, kiedy ich pieprzone siły powietrzne zabawiały się strzelaniem do basenu.

- Skąd wiesz?

- Bo bracia przewrócili pokój Tolta do góry nogami, szukając czegoś. Kiedy nie znaleźli, porwali Tolta i zostawili mi wiadomość. Chcą spotkania, jutro z samego rana. O świcie. Przy jakichś ruinach. Coba, tak się nazywa to miejsce. To jakaś świątynia. Moment, zaraz to znajdę. - Odkłada słuchawkę, by sięgnąć po list, wraca. - Mam. Jakieś Wrota Świątyni Inskrypcji. Patrzyłem na mapę. Coba jest w środku pieprzonej dżungli. Oni trzymają Tolta jako zakładnika za ten kurewski Rosen, cokolwiek to jest. Więc mam nadzieję, że masz to coś. Bo jeśli nie, będą nam odsyłać twojego kumpla po kawalku.

- Gliny widziały ten list?

- Nie. Znalazłem go pod swoimi drzwiami krótko po południu. Wiedzą jedynie, że Tolt zniknął, a w jego pokoju jest burdel.

To sprawia, że na moim końcu linii zapada długa cisza.

- Hej! Jesteś tam?
- Jestem, Herman.
- Powiedz mi, gdzie dokładnie - żąda.
- Po drugiej stronie ulicy, w centrum handlowym.
- Co ty tam, kurna, robisz?
- Nie mam czasu wyjaśniać. Możesz wyjść z hotelu tak, żeby policja cię nie widziała?

- Tak, jasne. Dwa metry wzrostu, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi, przemknę się chyłkiem przez hol jak krasnoludek.

- Musi być jakiś sposób.
- Tak. Coś wymyślę. To nie będzie łatwe. Wpierw powiedz mi, po co.
- Będę potrzebował twojej pomocy.
- Chwileczkę, tylko się przebiorę - mówi. - W strój Supermana.
- Mam złe wiadomości - dodaję.
- Jakie?
- Julio nie żyje.

Cisza na drugim końcu.

- O czym ty mówisz? Nie wierzę ci. Bzdura.
- Dopiero co go widziałem. Siedzi, w garażu, za kierownicą jednego z suburbanów, z rozwaloną połową głowy. Wiesz, gdzie jest reszta ludzi? Żadnej reakcji poza jego oddechem w słuchawce.

- Herman?
- Co?
- Gdzie reszta waszych ludzi?

Waha się przez moment.

- Nie wiem. Dzwoniłem do mieszkania cztery albo pięć razy. Nikt nie odbiera.

- W takim razie musimy założyć, że albo zostali przekupieni, albo nie żyją. I jeden z samochodów zniknął. Wiesz, gdzie on jest?

- Nie.
- Masz kluczyki do pozostałych dwóch?
- Mam kluczyki do wszystkich.

Mówię mu, żeby spotkał się ze mną za pół godziny na chodniku za centrum handlowym, i odkładam słuchawkę.

W jednym ze sklepów z męską odzieżą w pasażu handlowym kupuję parę spodni, kilka koszul, trochę bielizny i skarpetki, po czym idę do toalety. Tam zmywam krew z szyi i usuwam nieco zakrzepłej krwi z ucha, uważając, by nie otworzyć rany. W końcu wkładam jedną z nowych koszul.

Wracam znów do pasażu i czekam w środku, wypatrując Hermana przez szklane drzwi, którymi wszedłem czterdzieści minut wcześniej. Chwilę później dostrzegam go. Zasuwa chodnikiem ubrany w czarne buty z wysokimi cholewkami, czarne drelichowe spodnie z odznaczającymi się muskularnymi udami i naciągnięty w każdym możliwym kierunku T-shirt. W pasie ma przytroczoną okazałą saszetkę na grubym tkanym pasku obwisłym pod ciężarem czterdziestki piątki i magazynków z amunicją.

Objuczony torbami z ubraniami, wychodzę i spotykam się z nim na ulicy.

- Nie wierzę ci, facet. Robisz zakupy w takiej chwili? - woła na mój widok.

- Miałem krew na całym ubraniu.

- Ach. To co innego - przyznaje.

- Wszystko, co przywiozłem, zostało w pokoju, włącznie z paszportem.

- Wygląda na to, że będziesz rozmawiać z policją, zanim pojedziesz do domu - stwierdza.

Ruszamy w dół wzgórza.

Pięć minut później stoimy w garażu pod apartamentowcem. Herman rozpina skórzaną saszetkę na lewym boku. Jego prawa dłoń wędruje pod klapę.

Suburbany stoją tam, gdzie je zostawiłem. W powietrzu wciąż unosi się smród spalin.

- W którym jest Julio?

- W tym po prawej.

- Zostań tutaj.

- Herman.

- Co?

- Daj spokój. Nie dotykaj go.

- Nie mogę tak po prostu zostawić go tutaj - mówi. - Poza tym moje odciski palców są na całym aucie.

- Odciski palców to nie wszystko - odpowiadam. - I tak nie możemy

nic zrobić. Jeśli weźmiemy drugi samochód i odjedziemy stąd, będziemy mogli się zatrzymać i zadzwonić na policję z automatu. Powiedzieć, że jakieś dzieciaki widziały zwłoki w samochodzie w garażu, podać im adres i się rozłączyć. Oni się tym zajmą.

- Chcę go przynajmniej zobaczyć - oświadcza Diggs.
- Rozumiem. Patrz, ale nie dotykaj.

Herman podchodzi i patrzy na Julia przez okno po stronie kierowcy.

- Kutas, który to zrobił, nie żyje - mówi. - Teraz będę musiał poinformować jego żonę i dzieci.

- Miał żonę?
- Tak. Ma na imię Maria. Miła babka. I trójkę dzieciaków. Dwóch chłopców i dziewczynkę.
- Przykro mi.
- Tak. Mnie też.
- Musimy iść - mówię. - Masz kluczyki do drugiego samochodu?
- Tak.
- W takim razie ruszajmy.
- Później. - Odwraca się i mija mnie, idąc w przeciwną stronę.
- Dokąd idziesz? Nie odpowiada.
- Herman!
- Chcesz jechać, to jedź - mówi.
- To szaleństwo. - Ruszam za nim.

Pokonujemy drzwi i dwa piętra schodów. Herman idzie zdecydowanym krokiem, człowiek z misją. Aby otworzyć drzwi na piętrze, musi użyć wyjętego z kieszeni klucza. Wchodzi na korytarz i mija kilkoro drzwi. Wyciąga rękę, każąc mi zwolnić, rozpina zatrzask trzymający chwyt sploty w szetce i wyjmuje stalowy automat. Trzyma go przy prawym uchu, z lufą skierowaną w sufit.

Wreszcie przystaje pod jednymi z drzwi. Przykłada ucho do drewna, słucha chwilę, po czym wsuwa klucz do zamka. Daje mi znak, żebym został tam, gdzie jestem. Moment później jest w środku.

Czekam na zewnątrz, nasłuchując. Nic. Po paru sekundach Herman otwiera drzwi.

- Zniknęli. Wszystkie ich rzeczy też. Jakby się wyprowadzili. Torby, wszystko.

- Dlaczego?

- Pewnie ich kupiono. W przeciwnym razie, gdyby ludzie Ibarry ich zabili, rzeczy by zostały. Tak się tu załatwia interesy - kwituje. - Albo kupują ciebie, albo kule. Nie ma innych metod.

Wracamy do samochodu. Herman szuka w kieszeni kluczyków, po czym obchodzi wóz i, nie otwierając drzwi, zagląda przez okno pasażera w stronę siedzenia kierowcy.

- Co robisz?

- Odciski palców to nie wszystko - mówi. - Kule to też nie wszystko. - Otwiera drzwi pasażera, wciska przycisk odblokowujący pozostałe, znów obchodzi samochód i ciągnie dźwignię podnoszącą maskę. Przez minutę lub dwie ogląda ze wszystkich stron blok silnika, zagląda nawet pod spód, wreszcie prostuje się usatysfakcjonowany.

- Dokąd chcesz jechać? - pyta.

- Do szklanej piramidy.

- Zobaczyć się z papą Ibarrą?

Kiwam głową.

- Przypuszczam, że to jedyny człowiek, który może powiedzieć nam, czym jest to Mejicano Rosen, i pomóc nam znaleźć Adama.

- I tego, kto zabił Julia. - Diggs przechodzi na tył suburbana i otwiera klapę. Wybiera jeden z kluczy na kółku, wsuwa go w dziurkę w podłodze i przekręca. Cały fragment pokrytej wykładziną podłogi unosi się. Pod spodem jest stojak z trzema długimi karabinami i czymś, co wygląda jak krótki pistolet maszynowy.

- Umiesz strzelać?

- Miałem już broń w ręce.

- Nie o to pytałem. Umiesz strzelać?

- Nie wiem.

- Masz, weź to. - Podaje mi strzelbę. - Po każdym strzale przesuwasz tę pompkę na dole. O, tak. Potem znów strzelasz. To małe coś tutaj to bezpiecznik. Żeby móc strzelać, musisz go pchnąć. Myślisz, że dasz sobie radę?

- Tak.

- Nie kieruj lufy w moją stronę, a wszystko będzie dobrze. - Chwyta

pudełko naboju i podaje mi je. - Później pokażę ci, jak ją ładować. - Zdejmuję ze stojaka mały pistolet maszynowy i zgarnia kilka magazynków, każdy z lśniącym, okrągłym, miedzianym pociskiem wystającym z otwartego końca.

- Chyba nie chcesz iść tam z tym wszystkim?
- Zobacysz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W samochodzie wciągam długie spodnie z torby na tylnym siedzeniu i wkładam skarpetki, podczas gdy Herman pełni funkcję kierowcy. Przeznaczę od szklanej piramidy zatrzymujemy się koło restauracji i dzwonię z automatu na policję, by powiedzieć o zwłokach Julia. Potem odkładam słuchawkę.

Herman nie chce o tym rozmawiać. Pochłonięty swą misją skręca na prywatny pas prowadzący do szklanej piramidy. Droga jest obsadzona palmami rosnącymi na dziesięciometrowej szerokości trawniku, rozdzielającym jezdnię.

Pokonując łagodne zakręty, jedziemy w stronę hotelu. Diggs parkuje przed głównym wejściem.

- Wejdz tam i zaklep nam pokój. Wysoko, jak najbliżej ostatniego piętra.

- Dlaczego?
- Po prostu zrób, jak mówię. Potem wróc tu z kluczem. Parę minut później jestem znów w samochodzie.
- Ósme piętro. Odpowiada ci?
- Może być.
- Co teraz?
- Siedz cicho. - Wyjeżdża ze stanowiska i okrąży hotel: dziesięć pięter nachylonego pod kątem dymnego szkła odbijającego światło słońca niczym generator słoneczny.

Herman sunie wolno przez parking, okrążając budynek, aż wreszcie znajduje to, czego szuka: kontenery na śmieci, pojazdy dostawcze i mały wózek elektryczny załadowany płóciennymi workami z brudną bielizną.

- Jesteśmy na miejscu. - Zatrzymuje samochód.

- Co teraz?
- Na razie siedź. - Wysiada i podchodzi do wózka. Stoi z rękami w kieszeniach, rozglądając się - szczyt kamufażu, zawsze ta sama dwumetrowa ciemna góra. Wreszcie zabiera pusty płócienny worek i wraca do samochodu. Tym razem ładuje się na tylne siedzenie.
- Co robisz?
- Mówiłem ci, siedź cicho. - Przechyla się przez oparcie i sięga do tylnej komory, chwytając broń: strzelbę z pompką i krótki pistolet maszynowy. Upewnia się, że są naładowane i zabezpieczone. - Dobra. Za chwilę idę.
- Mówi, sprawdzając broń. - Widzisz tamte drzwi? - Wskazuje je głową.
- Widzę.
- Za moment wchodzę do środka. Twoje zadanie to siedzieć tutaj, dopóki nie zobaczysz, że macham przez te drzwi. - Zabiera zapas amunicji i wkłada go do worka na pranie, po czym odpina tkany pas i wrzuca do worka również saszetkę z czterdziestką piątką. - Wtedy masz wysiąść z samochodu i przyjść do mnie. Nie biegnij, po prostu idź. I zabierz ze sobą te klamoty. - Podaje mi piętnaście kilo płótna najeżonego sterczącymi na wszystkie strony szpikulcami kolb i luf. - Kapujesz?
- Kapuję.
- Dostrzega moją niepewną minę.
- Posłuchaj. Ten pieprzony Tolt to twój kumpel. Mam gdzieś, że ktoś obetnie mu uszy, nos i jaja i powiesi je sobie dla ozdoby na bransolecie. Ale ten facet na górze, ten Pablo Ajbarrá, to z naszego punktu widzenia pieprzony Czarnoksiężnik z Oz. Człowiek, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Więc możemy albo porozmawiać z nim, albo wracać do domu. Nie wiem jak ty, ale ja nie wracam, dopóki nie dowiem się przynajmniej jednego. Kto, do kurwy nędzy, zastrzelił Julia? To jesteś ze mną czy nie?
- Jestem z tobą - odpowiadam.
- Świetnie. Tak właśnie myślałem. No to do roboty. - Uśmiecha się, prezentując swój wyszczerbiony ząb, otwiera drzwi i chwilę później znika w służbowym wejściu na tyłach hotelu.

Skoro byłem już raz pomocą naukową dla Saldado wprawiającego się w sztuce rzeźniczej, a potem celem strzeleckim dla Ibarryjskich Sił Powietrznych, nie czuję się kompetentny, by kwestionować osąd Hermana. Wszystko, czego nie dostaje mu pod tym względem, nadrabia lojalnością. Różnica między nami jest taka, że on jest bardziej bezpośredni.

Zanim mam czas się zorientować, zjawia się znowu i przywołuje mnie machaniem.

Wsiadam z samochodu, zarzucając worek na ramię. Święty Mikołaj z arsenałem. Idę szybkim krokiem w stronę drzwi. Gdy tam docieram, Herman odbiera mi wór i wciąga mnie do środka jak szmacianą lalkę. Ruszam za nim w głąb krótkiego korytarza. Nie mam wielkiego wyboru; ciągnie mnie, trzymając za pasek. Przed nami dostrzegam faceta w białym fartuchu i kucharskiej czapie przechodzącego z kuchni do innego pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Nie widzi nas.

Diggs otwiera drzwi, wpycha mnie do ciemnej komórki służbowej, po czym zamyka je za nami.

- Muszę znaleźć cholerny łącznik - mówi.

Stoimy parę chwil w ciemnościach. Wreszcie słyszę stuk metalowych paciorków o żarówkę nad naszymi głowami. Herman pociąga za sznurek.

- Masz. Włóż to. - Podaje mi biały płócienny kitel w rodzaju tych, jakie noszą kelnerzy w szykownych restauracjach.

- Powiesz mi wreszcie, co robimy? A może to niespodzianka?

- Chyba lepiej, żebyś nie znał szczegółów. W ten sposób nic cię nie wiąże. Wiesz, o co mi chodzi? Adaptuj się do okoliczności. Tak mówi mój instruktor tai chi. To, czego nie wiesz, nie popieprzy ci w głowie.

- Enigmatyczne.

- Co mówisz?

- Nic.

Wkładam kitel i zapinam go aż po stójkę.

W tym czasie Herman przetrząsa worek, próbując znaleźć wystarczająco dużą bluzę. W końcu decyduje się na jedną. Musi zostawić rozpięte trzy

górne guziki na klatce piersiowej i szyi. Kitel leży na nim jak gumowy futerał, u dołu ledwo sięgając do pasa.

- Nie przejmuj się. Facet nie będzie w nastroju, żeby zwracać uwagę na modę. Będzie zbyt zajęty gapieniem się w lufę twojej spluwy.

- Nie zastrzelimy go chyba?

Nie patrzy na mnie.

- Herman.

- Zależy, co będzie miał do powiedzenia. Jak przyzna, że wysłał kogoś, żeby zastrzelił Julia, będziesz mógł wydłubywać go po kawałeczku z dziur, które zrobię mu w ścianie tą pukawką z worka.

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Myśl sobie, co chcesz. Ale za dziesięć sekund będziesz o tym myślał zupełnie sam, w ciemnościach. - Chwyta worek z karabinami, pociąga sznurek od żarówki, po czym uchyla lekko drzwi i wygląda na zewnątrz. - Zaczynamy przedstawienie - oświadczają, wychodząc na korytarz z płóciennym workiem na ramieniu. Wygląda jak Pillsbury Doughboy po złym dniu. Obserwuję, jak dopada do stalowego wózka na kółkach pod przeciwległą ścianą.

Błat wózka przykrywa płócienny obrus. Niżej znajduje się komora podgrzewacza. Herman zagląda tam, by upewnić się, że nie ma w niej zapalonych świec, po czym wrzuca do środka wór z bronią i zamyka stalowe drzwiczki.

Spoglądam na zegarek. Jest za dziesięć czwarta. Adam i ja byliśmy umówieni z Ibarrą dopiero o szóstej trzydzieści.

- Idziesz? - Diggs patrzy na mnie.

- Jego może tam w ogóle nie być.

- To kłapniemy sobie na jego śliczne mebelki i zaczekamy.

Wypycham wózek na korytarz.

- Miejmy nadzieję, że facet będzie miał nam do powiedzenia same dobre rzeczy.

- Świetnie. To jest to. Pozytywne myślenie - stwierdza Herman.

Jedziemy windą służbową. Zatrzymujemy się trzy razy, by zabrać pokojówkę na piątym piętrze i wysadzić ją na siódmym, a potem znów na ósmym piętrze.

Sprzątac z wiadrem w ręce stoi w drzwiach, gapiąc się na nas.

- *Abajo?* - pyta.

Herman wyciąga przed siebie pięść z wystawionym w górę kciukiem.

Facet wzrusza ramionami i robi krok do środka. Diggs przesuwają naprzód swą zwałistą postać.

- Winda zaraz będzie wracać, brachu.

Facet patrzy na niego. Nie sędzę, żeby rozumiał choć słowo z tego, co mówi Herman, ale pojmuje mowę ciała. Zostaje na miejscu. Drzwi zamykają się.

Ostatnie dwa piętra pokonujemy nie niepokojeni. Gdy drzwi otwierają się znowu, widzimy małą spiżarnię ze spiętrzonymi na półkach pod przeciwległą ścianą naczyniami, kryształowymi kieliszkami, ręcznikami i płóciennymi serwetkami; wszystko jest schludnie ułożone. Po lewej są drzwi prowadzące na korytarz. Po prawej wbudowana w ścianę ogromna podwójna lodówka, ze sztućcami i przyborami do serwowania potraw na półkach i hakach po obu jej stronach.

Herman przytrzymuje kciukiem przycisk otwierający drzwi i wychyla się w prawo. Patrzy w stronę korytarza, po czym kiwa głową, dając mi znak, że droga wolna.

Wpycham wózek do spiżarni. Diggs wychodzi. Drzwi windy zamykają się za nami, odcinając nam powrót. To prywatna kryjówka Pabla Ibarry. Tu mieszczą się jego biura, jego mieszkanie i, jeśli plan Hermana jest zrodzony pod nieszczęśliwą gwiazdą, jego prywatna armia.

Obchodzę wózek i wyglądam przez drzwi na korytarz. Cofam czym prędzej głowę, gdy facet siedzący na krześle sześć metrów dalej obraca się i patrzy w moją stronę.

Wielkie, ciemne oczy Hermana wpatrują się we mnie niczym dwie kropki pod znakami zapytania.

Unoszę jeden palec i wskazuję w głąb korytarza. Potem robię, kółko z kciuka i innego palca. Patrę przez nie, drugą ręką wykonując ruch, jakbym obracał korbą. Wreszcie wskazuję na sufit.

Herman kiwa głową. Odwraca się i ogląda ścianę za sobą. Po cichu zdejmuję z haczyka wielką chochlę do zupy i ściągają ręcznik z półki. Owija

ciasno chochlę ręcznikiem, zwracając ją rączką w stronę bliższego końca wózka.

Potem podchodzi do lodówki i otwiera ją. Niczego nie dotykając, rozgląda się po wnętrzu, dopóki nie znajduje, czego szuka. Gdy się odwraca, w rękę trzyma puszkę bitej śmietany w sprayu.

Rzucam mu spojrzenie mówiące: „Co chcesz zrobić, zasłodzić faceta na śmierć?”

Ignorując moją powątpiewającą minę, wskazuje głową drzwi. Pora ruszać.

Zanim mam czas się zastanowić, wypycha wózek, i mnie przy okazji, na korytarz. Odwracam się i chwytam swój koniec, udając, że ciągnę go, zwrócony plecami do siedzącego w korytarzu strażnika.

Oglądam się przez ramię i po raz pierwszy mam okazję dobrze mu się przyjrzeć. Ubrany w niebieski garnitur z serży, siedzi, założywszy nogę na nogę, na ustawionym pod ścianą krześle z prostym oparciem. Czyta gazetę. Tuż za nim znajdują się dwuskrzydłowe drzwi, drewno tekowe na wysoki połysk.

Słyszy stukot wózka, gdy kółka dudnią powoli po grubym dywanie, i kieruje wzrok w naszą stronę. Ma szczupłą twarz i ciemne oczy bez śladu wesołości. Przygląda się nam, po czym wraca do swej gazety.

- Więc słuchaj, szef kuchni powiedział, że sosy są do niczego - mówi Herman. Patrzę nań, bezgłośnie próbując powiedzieć mu: „Może spodziewaliby się raczej hiszpańskiego”.

Nie zwraca na mnie uwagi.

- Sosy wyszły z mody. Francuzi wysiadają ze swymi sosami. Ale Włosi umieją gotować. A oni nie dają sosu do niczego. Jak nie umiesz gotować, potrzebujesz sosu. - Pomaga sobie w mówieniu jedną ręką, drugą popychając wózek.

Gdy podjeżdżamy bliżej, facet na krześle odkłada gazetę na podłogę i wstaje. Pochyla się lekko i ogląda wózek na odległość, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Diggs pcha wózek, wciskając mnie praktycznie plecami w gościa. Strażnik próbuje wyjrzeć spoza mnie, by zerknąć na stronę z komorą.

- Jak mówiłem, jeśli naprawdę chcesz się nauczyć gotować... Może odsunąłbyś się trochę i nie utrudniał człowiekowi pracy?

Przesuwam się bokiem na drugą stronę wózka.

- Więc mówię, jeśli szukasz perfum, idziesz do Francuzów.

Strażnik pochyła się.

- Jeśli chcesz gotować...

Sięga do stalowych drzwiczek komory podgrzewacza.

- Musisz gadać... - Herman uderza go w bok głowy ciężkim końcem chochli, z bekhendu, nawet nie patrząc - z pieprzonymi Włochami - kończy.

Facet wali się na podłogę jak worek cementu.

Diggs chwyta z blatu wózka puszkę śmietany w sprayu i pędzi na drugi koniec korytarza, w biegu ściągając zakrętkę. Wyciąga rękę i rozpyla bitą śmietaną po całym obiektywie kamery, pokrywając go białą pianą, aż nadmiar zaczyna skapywać na podłogę.

Otwieram komorę i wyciągam worek.

Herman biegnie z powrotem, przewraca strażnika na plecy i obszukuje go. Znajduje dwie sztuki broni, półautomat w kaburze pod pachą oraz mały rewolwer przypasany do kostki.

- Włóż je do worka. - Rzuca mi swoje znaleziska.

- Musimy się zmywać, zanim to gównem całkiem spłynie. - Ma na myśli bitą śmietaną. - Potem będą nas widzieć, z tym tylko, że obaj będziemy biali. Poza tym w każdej chwili mogą wysłać tu kogoś z obsługi.

- Zakładając, że nie patrzyli w ekran, kiedy stuknąłeś gościa.

- Jeśli tak było - stwierdza Herman - będą mieli ze sobą nie tylko wiadra.

Wyciągam strzelbę z worka i sprawdzam bezpiecznik, trzymając palec poza osłoną spustu.

Herman zdejmuje strażnikowi pasek i krępuje go, związując mu dłonie i stopy za plecami.

Potem wydobywa z worka saszetkę z pistoletem i przypasuje ją sobie w talii. Rzutem oka sprawdza pistolet maszynowy, ciągnie zamek, wprowadzając pocisk do komory, po czym jeszcze raz sprawdza bezpiecznik.

Podaje mi worek z zapasem amunicji.

- Jeśli chcesz myśleć pozytywnie, myśl, że nie będziemy potrzebować tego gówna - mówi. - Bo inaczej czeka nas pieprzona meksykańska fiesta z fajerwerkami. - Naciska klamkę u drzwi. - Cholera. Zamknięte.

Stoimy w ślepym korytarzu uzbrojeni jak terroryści, nie wiedząc, czy Ibarra w tym momencie nie wysyła po nas windą oddziałów specjalnych, a za jedyną kryjówkę mamy wózek kelnerski wielkości połowy tyłka Hermana.

Szperam w kieszeniach spodni ogłuszonego strażnika. Nic poza drobnymi i szczyrykiem. Czuję wybrzuszenie w kieszeni jego marynarki, sięgam tam i znajduję wielkie kółko z wiszącym na nim samotnym kluczem.

Diggs bierze go, wsuwa w zamek i obraca. Patrzy na mnie i robi głęboki wdech. Potem bardzo powoli uchyla drzwi i zagląda przez szparę.

- Przechodzimy do rzeczy.

Cichutko otwiera drzwi, a następnie unosi wózek, by kółka nie hałasowały o podłogę, blokuje nim skrzydło. Potem obaj chwytamy strażnika pod pachy, wciągamy go do środka i zamykamy za sobą drzwi.

Jesteśmy w czymś w rodzaju przedsionka. Na wprost drzwi znajduje się ścianka działowa z wiszącym na środku wielkim owalnym lustrem oraz niską gablotą z paroma książkami i rośliną w doniczce poniżej.

Ścianka ma trzy, może trzy i pół metra wysokości. Ponad nią jest wznoszący się ukośnie ku wierzchołkowi piramidy przeszklony sufit. Na obu końcach przepierzenie jest otwarte.

Herman idzie na prawo. Ja sprawdzam lewą stronę. Gdy wyglądam zza swojego końca, widzę przestronny pokój zakończony ukośną, przeszkloną ścianą, która w górnej części przechodzi w sufit.

Na środku, na podłodze z meksykańskich kafli, stoi potężne biurko. Za biurkiem, zwrócony do mnie plecami, siedzi mężczyzna, pisząc coś jednym palcem na klawiaturze komputera.

Spoglądam wzdłuż przepierzenia i na drugim jego końcu widzę skraj czoła Hermana, oglądającego to samo co ja.

Po stronie Diggsa są drzwi do innego pomieszczenia.

Po mojej nic oprócz szklanych tafli. Na razie drugie drzwi są zamknięte.

Cofamy głowy, przywieramy plecami do przepierzenia i patrzymy na siebie. Herman robi głupią minę, kręci głową i wzrusza ramionami. Kto by pomyślał, baron narkotykowy przy klawiaturze. Żaden z nas nie chce być pierwszym, który zakłóci mu spokój. Człowiek pogrążony jest w myślach.

Ale czas biegnie. Wychodzimy równocześnie zza przeciwnych końców przepierzenia. Herman chrząka.

Mężczyzna przy komputerze przerywa pisanie, unosi głowę i odwraca się. Na widok karabinów jego oczy się rozszerzają. Sięga do biurka.

Herman kieruje lufę w jego stronę.

- Nie rób tego, jeśli nie chcesz wymieniać tych wszystkich ślicznych okien za twoimi plecami.

Mężczyzna opada na oparcie krzesła i unosi rękę. Czy zrozumiał Diggsa, czyjego spluwę, nie jest dla mnie jasne.

- *Se habla inglés?* - pyta Herman.

Żadnej odpowiedzi.

- Cholera - mruczy ochroniarz. - Jak tam twój hiszpański?

- Gorzej niż twój.

Mężczyzna za biurkiem jest niski, drobnej budowy, ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Ma czarne, siwiejące na skroniach włosy i sześćdziesiąt parę lat. Jego ciemne oczy są w tej chwili szeroko otwarte; wpatruje się w Hermana i półautomat.

- Słuchaj, gnojku, lepiej zacznij gadać coś, co zrozumiem, albo cię zastrzelę - ostrzega Diggs.

- Mówię po angielsku - odzywa się mężczyzna.

- To masz szczęście. Nie miałbym ochoty wzywać tłumacza. Co jest za tymi drzwiami? - Macha w ich stronę lufą swej armaty.

- Pomieszczenia mieszkalne.

- Kto tam jest?

- Nikt.

- Będziesz mi pieprzył?

- Może pokojówka. Nie wiem.

- Czy ktoś może tędy przyjść?

Kręci głową.

- Wydałem polecenie, by mi nie przeszkadzano.

- Świetnie, bo jeśli ktoś wejdzie bez uprzedzenia przez te drzwi, może doznać szoku. A twoim ścianom też nie wyjdzie to na dobre. Ty jesteś Pablo Ibarra?

Nie odpowiada, jedynie patrzy to na Hermana, to na mnie, stojącego ze spluwą skierowaną w podłogę.

- Kto was przysłał?

- A co, spodziewałaś się kogoś? - pyta Diggs.

Nie odpowiada.

- Nie jestem pewien, kto przysłał mojego kumpla. Ale możesz przyjąć, że jeśli jest jakiś bóg, który zajmuje się zemstą, to mnie przysłał właśnie on.

- Herman.

patrzy na mnie.

- Co?

- Pozwól mu mówić.

- Próbuję. Palant wciąż zadaje pytania - stwierdza. - Tam skąd pochodzę, pytania zadaje ten, kto ma spluwę. Sukinsyn, który patrzy w lufę, ma odpowiadać.

Gdy się spieramy, Meksykanin patrzy to na jednego, to na drugiego, zapewne zastanawiając się, czy się nie naćpaliśmy.

- Co chcecie wiedzieć? - pyta.

- Na początek twoje nazwisko. Żeby mieć pewność, że zapiszemy je poprawnie na nagrobku - mówi Herman.

Mężczyzna waha się.

Diggs odbezpiecza swój rozpylacz.

- Herman. Wystarczy.

- Może wyprowadzimy go na dwór i zobaczymy, czy nie ma ochoty zając się myciem okien - proponuje ochroniarz.

- Jestem Pablo Ibarra - odzywa się mężczyzna. Zamyka oczy, jak gdyby czekał na uderzenie kul.

- Ojciec dwóch dupków z przyczepy w Tulúm? - pyta Herman.

Ibarra otwiera oczy.

- To moi synowie. Oni was przysłali?

Herman zerka na mnie.

- To musi być kurewsko serdeczna rodzinka. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam matkę twoich dzieci.

- Moja żona nie żyje - mówi Ibarra.

- Och. Przepraszam. Zmarła z przyczyn naturalnych czy któryś z dzieciaków ją zastrzelił?

- Miała raka - odpowiada.

- To przykre, ale nie jej śmierć mnie tu sprowadza. Dlaczego zabiłeś Julia?

- Kogo?

- Nie udawaj przede mną głupka. Wiesz, o kim mówię. Julio Paloma. Wielki facet. Dawniej nie miał dziury na środku czoła.

- Nie znam tego człowieka.

- Może go nie spotkałeś, ale głowę daję, że kazałeś go zastrzelić.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Herman patrzy na mnie. Przewraca oczami.

- Widzisz? Wciąż tylko pieprzone pytania. - Przesuwa palec na spust.

- Nigdy nie słyszałem o tym człowieku. - Ibarra patrzy na mnie. - Proszę. Nie wiem, za kogo mnie uważacie. Nigdy nie kazałem nikogo zabić. Jestem biznesmenem.

- Chcesz go zapytać o to całe Rosen, zanim go zastrzelę?

- Uspokój się, Herman.

- Sam się uspokój. W tej chwili martwię się, ilu ludzi ma klucz do tych drzwi za nami.

- Panie Ibarra, jestem Paul Madriani.

- Tak? - Wpija we mnie wzrok, jak gdybym był wybawicielem.

- Byłem umówiony z panem na dziś wieczór, na szóstą trzydzieści, razem z jakimś Adamem Toltem.

- Przejdź, kurna, do rzeczy - zrzędzi Diggs.

- Wczoraj rozmawialiśmy z jednym z pańskich synów, Arturo.

- Tak?

- Dzisiaj rano pan Tolt został uprowadzony ze swego pokoju hotelowego. Zostawiono w nim notatkę, która stwierdza, że jeśli jutro o świcie nie pojawię się w miejscu zwanym Coba z czymś, co się nazywa Mejicano Rosen, Tolt zostanie zabity.

- Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? Dlaczego nie pójdzie pan na policję?
- Ponieważ myślę, że pan wie, czym jest Mejjicano Rosen. Ibarra patrzy na Hermana, potem na mnie.
- Dość tego pieprzenia. - Diggs podchodzi i chwyta Ibarrę za kołnierz, praktycznie unosząc go z krzesła.
- Co robisz? - wołam.
- Nie - mówi Ibarra. - Powiem wam.
- Akurat, powiesz. A co do ciebie - Herman zwraca się do mnie - nic dziwnego, że wynajęcie adwokata kosztuje majątek. Na parę pytań potrzebujesz całą wieczność. Mogłem zastrzelić tego kutasa i już by nas tu nie było. Ale nieee. Ty chcesz rozmawiać. Chcesz rozmawiać? Rozmównica jest tam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Taszcząc płócienny worek z karabinami i wygniatając lufą czterdziestki piątki dołek w plecach Ibarry, Herman prowadzi go do windy i wciska ósemkę.

Opadamy dwa piętra. Diggs szybko wygląda na zewnątrz. Wychodzimy z pomieszczeń służbowych, nadziewając się po drodze na jedną z pokojówek.

Każdy poziom, niczym wiszące ogrody Babilonu, tworzy rodzaj otwartego tarasu z widokiem na rozległe atrium stanowiące wnętrze piramidy.

W połowie korytarza młoda para wychodzi wolnym krokiem ze swego pokoju.

Ibarra spostrzega otwarte drzwi. Jego myśl jest niemal namacalna. Przez moment zamieram ze strachu, że rzuci się do pokoju i Herman go zastrzeli.

Herman jednak szturcha go pistoletem.

- Nawet o tym nie myśl. - Pistolet osłonięty jest przewieszonym przez ramię ręcznikiem. W drugiej ręce powinien nieść miskę do obmywania palców.

Gdy tylko oddaliśmy się od pary na tyle, że nie może nas usłyszeć, Herman mruczy do mnie kątem ust.

- Prościej byłoby zwyczajnie zrzucić kutasa z balkonu - mówi. -

Popatrzeć, jak nurkuje do tego stawu z liliami na dole.

- Herman, nie wiemy przecież, czy to on zabił Julia. A nawet jeśli to zrobił, to sprawa dla policji.

- Nie zrobiłem tego. - Ibarra drepcze przed nim z lufą spluwy w plecach.

- Jeszcze jedno słowo, a odstrzelę ci tyłek - warczy Diggs.

Parę drzwi dalej znajdują numer odpowiadający wypisanemu ołówkiem na małej kopercie z kartą magnetyczną, którą dostałem w recepcji.

Przesuwam kartę przez czytnik i słyszę szcęknięcie.

W środku, przy zamkniętych drzwiach, Herman sprawdza łazienkę i szafę, po czym zaciąga zasłony i pcha Ibarrę tyłem na łóżko.

- Teraz chcę usłyszeć, jak gadasz.

- Poznaliście moich synów? - pyta mężczyzna.

- Tylko jednego z nich. Arturo. Ten drugi to Jaime, tak? Jego tam nie było.

- No to mieliście szczęście. Jaime ma zły charakter. Oni prowadzą działalność, za którą się wstydzą.

- I przypuszczam, że wpadli na to sami - drwi Herman.

- Przyznaję, że czasem robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny. Ale nie chciałem, żeby moi synowie wyrosli na takich ludzi. Chwytałem się wszelkich sposobów, żeby ich powstrzymać. Zwróciłem się nawet do władz. Ale wiecie, jak bywa w Cancún.

- No i masz - burczy Diggs. - Szczere wyznanie win. Za chwilę powie nam, że się nawrócił, kiedy zobaczył światło wychodzące z tej małej dziurki na końcu mojej spluwy.

- Proszę mi wierzyć. Próbowałem powstrzymać synów, ale nie chcieli słuchać. Chcą ode mnie tylko pieniędzy na finansowanie swoich planów. Kiedy odmówiłem, znaleźli sobie inne źródła.

- Narkotyki? - pytam.

- Przez jakiś czas. Ale to się skończyło. Udało mi się wpłynąć na pewnych ludzi.

- Dzieciaki odbierają ci zyski, tak?

- Ja nie zajmuję się narkotykami. Zakazałem ich na terenie swojego hotelu.

- Napisał pan list do prawnika z San Diego, niejakiego Nicholasa Rus-ha. O co tam chodziło?

Ibarra patrzy na mnie zdumiony.

- Skąd pan...?

- Nieważne. Co pan Rush miał wspólnego z pańskimi synami? I kim lub czym jest ten Mejicano Rosen?

- Więc wie pan o tym?

- Co jest grane? - pyta Herman.

- To się wymawia Rosetón. Nie Rosen.

- Co to jest? - pytam.

- Rosetón to hiszpańska nazwa Rosetty. Francuzi pod wodzą Napoleona, którzy go znaleźli, nazwali go kamieniem z Rosetty od wioski w Egipcie, gdzie został odkryty. Anglicy nazywali ją Rosetta.

- Co to za brednie? - niecierpliwi się Diggs.

- Kamień z Rosetty - wyjaśniam - to popękana kamienna płyta znaleziona przez wojska Napoleona podczas inwazji na Egipt. Były na niej wyryte starożytne egipskie hieroglify wraz z greckim tłumaczeniem. To pozwoliło archeologom po raz pierwszy odczytać język faraonów.

Herman gapi się na mnie z tępą miną.

- Zaczekaj chwilę. Coś kręcisz. Chcesz mi powiedzieć, że tu chodzi o jakiś kamień z Egiptu?

- Nie - mówi Ibarra. - Mejicano Rosetón to w waszym języku Meksykańska Rosetta. Ostatni zachowany klucz do starożytnych hieroglifów Majów.

- Czy pan to ma? - pytam.

- Niestety nie.

- Gdzie to jest?

- Nie jestem pewien, ale wiem, że istnieje i ma nieocenioną wartość. Moi synowie próbowali to zdobyć.

- Czy o to właśnie chodziło Rushowi?

Kiwa głową.

- Próbował to kupić za pośrednictwem innego człowieka.

- Geralda Metza?

- Skąd pan wie?

- Nieważne. Proszę mówić dalej.

- Ten Metz prowadził już wcześniej interesy z moimi synami.
- Jakie? - pyta Herman.
- Moi chłopcy plądrowali stanowiska archeologiczne. Z początku po prostu kupowali różne drobiazgi od Indian, którzy znajdowali je w dżungli: małe figurki z jadeitu, niekiedy świecidełka ze srebra lub złota. Moi synowie sprzedawali te przedmioty handlarzom w waszym kraju lub w Europie. Temu, kto płacił najwięcej. Od czasu do czasu trafiali na coś cenniejszego. Potem Arturo i Jaime zaczęli sami wyszukiwać stanowiska wciąż jeszcze pokryte dżunglą. Nie jest trudno je znaleźć, jeśli tylko wie się, czego szukać. Na Jukatanie poszycie dżungli jest niskie. Wzniesienie, mały kopiec, coś, co wygląda jak wzgórze, jest bardzo często pozostałością po budowli Majów zarośniętej drzewami i pnączami. Oni nauczyli się lokalizować te miejsca. Wynajęli robotników i niszczyli stanowiska, szukając skarbów.
- Wasz rząd nie próbował ich powstrzymać?
- Próbował. Ale to niewykonalne. Jest zbyt wiele stanowisk, zbyt mało strażników. Wasz rząd domaga się, żebyśmy kontrolowali przepływ narkotyków przez nasz kraj. To sprawa priorytetowa. Tymczasem sprzedaż złupionych artefaktów to potężny biznes. Z Meksyku i Gwatemali wywożone są co roku tysiące obiektów, które następnie sprzedaje się na czarnym rynku. Niektórzy z tych ludzi są też dealerami narkotyków. Zarabiają więcej na sprzedaży zabytków niż na narkotykach, a ryzyko jest mniejsze. Nie idzie się na resztę życia do paki za kradzież zabytku sztuki Majów.
- Kto je kupuje? - pytam.
- Są ludzie, którzy zajmują się takimi rzeczami. Sprzedają te przedmioty bogatym Amerykanom, żeby ich żony mogły przerobić sobie posążki na kolczyki i chwalić się przed przyjaciółkami, skąd one pochodzą. Większe, kosztowniejsze obiekty to inna sprawa.
- Jak to, co widzieliśmy w przyczepie - mówię do Hermana.
- Co to było? - pyta Ibarra.
- Wyglądało jak wielka kamienna płyta, jak nagrobek, tyle że wyższa.

Nie widzieliśmy jej zbyt dobrze. Przykryli ją kocem.

- Proszę mi coś powiedzieć. Widział pan na tym białą farbę?
- Na rogu, pod kocem. Wyglądała jak wapno do bielenia.
- To stela - stwierdza Ibarra.
- Jaka znów Stela? - nie rozumie Diggs.
- Stela. To kamienna tablica, na której Majowie umieszczali historyczne i religijne inskrypcje. Pokrywali kamień wapiennym tynkiem, a potem rzeźbili swoje hieroglify w tym bardziej miękkim materiale. Znanych jest trzydzieści, może czterdzieści takich stel, przy czym większości z nich nie daje się odczytać. Panująca w dżungli wilgoć zniszczyła pismo. Słyszałem, że moi synowie znaleźli jedną.

- I chcą ją sprzedać, zgadza się? - wtrąca Herman.
- Tak.
- Ile za nią dostaną?
- Jeśli tablica, którą znaleźli, jest czytelna, dziesiątki tysięcy, być może sto tysięcy dolarów. Jeżeli jej treść jest istotna, jeśli ujawni nieznane informacje o władcach Majów, o ich kulturze, może się okazać warta znacznie więcej.

- Ale to nie jest ta Rosetta, o której pan mówił?

Ibarra kręci głową.

- Ona byłaby warta więcej, prawda?
- Nie da się ocenić wartości Mejicano Rosetón.
- Proszę nam o niej opowiedzieć - mówię.
- Widzieliście kiedyś na zdjęciu kodeksy Majów?
- E... hm... - Herman gapi się na niego.
- To książki z kory drzew, która została rozprostowana i obrzucona masą wapienną, podobnie jak stele. Strony złożone są jak harmonijka i pokryte hieroglifami w żywych barwach. - Znane są tylko cztery egzemplarze. Znajdują się w rozmaitych muzeach: Drezno, Madryt, Paryż. Ostatni jest w rękach prywatnego kolekcjonera. To jedyne zachowane przekazy historii Majów spisane przez oryginalnych skrybów. Wszystkie inne zostały zniszczone przez hiszpańskich misjonarzy. Hiszpanie wierzyli, że te księgi są narzędziami diabła. Franciszkański misjonarz Diego de Landa

spalił setki ksiąg Majów w wielkim autodafé w roku 1562.

- Co to, kurna, jest auto dafej? - pyta Herman.

- Inkwizycja. Hiszpanie palili księgi razem ze skrybami, którzy je pisali, by nie dało się ich już odtworzyć.

- Co to ma wspólnego z tą całą Rosetta?

- Właśnie do tego zmierzam. Zanim de Landa spalił wszystkie księgi Majów, mniej więcej czterdzieści lat wcześniej grupa Hiszpanów rozbiła się na Morzu Karaibskim u wybrzeży dzisiejszego Meksyku. Zostali wyrzuceni na plażę na Jukatanie, niedaleko stąd, i schwytani przez Majów. Zginęli wszyscy z wyjątkiem: niejakiego Gonzalo Guerrero i marynarza nazwiskiem Jerónimo de Aguilar. Ci dwaj przeżyli. Spędzili w niewoli u Majów osiem lat, dopóki nie usłyszał o nich konkwistador Hernán Cortés, człowiek, który pokonał Azteków. On ich wykupił. De Aguilar wrócił i został tłumaczem Cortesa. Odegrał ważną rolę w podboju Majów. Ten drugi człowiek, Guerrero, nie wrócił. Ożenił się z córką jednego z władców Majów i został dowódcą jego wojsk.

- Zasymilował się - wtrąca Herman.

- Właśnie.

- Guerrero nauczył Majów taktyki wojennej Hiszpanów. Dowodząc ich armią, pokonał najeźdźców w miejscu zwanym Cape Catoche. Kiedy hiszpański władca dowiedział się o tym, zażądał jego głowy.

- Ale co to ma wspólnego z Rosetta?

- Ten Guerrero żył i walczył z Hiszpanami dwadzieścia lat, dopóki nie zabili go w roku 1536. Zastrzelili go z arkebuzą, rodzaju prymitywnego muszkietu. Guerrero wiedział, że prędzej czy później Hiszpanie zabiją go. Wiedział też, że zniszczą cywilizację Majów taką, jaką znał. Tak więc kazał skrybom przygotować tajemny kodeks. Wielką księgę hieroglifów Majów. Miała ona nie tylko opowiadać ich historię i wymieniać ich władców, ale także opisywać rozmaite miasta-państwa, które istniały przed przybyciem Hiszpanów, oraz ich wzajemne kontakty. - Ale istotną częścią, tym czego nikt wcześniej, z przyczyn oczywistych, nie zrobił, było to, że Guerrero

przetłumaczył hieroglify na hiszpański. Załączył to tłumaczenie jako część kodeksu.

- Meksykańska Rosetta - wtrącam.

- Tak. Uczonym udało się rozszyfrować większość hieroglifów, ale nie mają absolutnej pewności, że ich interpretacje są poprawne. I pozostaje dwadzieścia, może trzydzieści procent hieroglifów, które wciąż są zagadką. To te najbardziej złożone i istotne. Mogłyby ujawnić informacje o Majach, które zaginęły i pozostawały zapomniane przez stulecia.

- Sporo o tym wiesz - zauważyła Herman. - Skąd?

- Przez trzy lata usiłowałem kupić Mejicano Rosetón. Bez powodzenia. Zarobiłem mnóstwo pieniędzy na budownictwie i innych interesach. Chciałem, żeby Mejicano Rosetón pozostał w tym kraju. To część jego dziedzictwa.

- Więc kto go ma? - pytam.

Kręci głową.

- Przez lata wierzono, że jest u Indian w Chiapas. Meksykański rząd od jakiegoś czasu zмага się tam z lokalnym ruchem niepodległościowym. Mniej więcej dziesięć miesięcy temu doszły mnie słuchy, że Rosetón został sprzedany, by uzyskać fundusze na broń i żywność. Meksykańska armia otoczyła Indian. Ci nie chcieli, żeby wpadł w ręce rządu i trafił do muzeum w stolicy. Więc sprzedali go.

- I nie wie pan, kto go kupił? - pytam.

- Nie. Ale sądzę, że mogą go mieć moi synowie.

- To przecież bez sensu - stwierdza Diggs. - Po co kazaliby ci go przynieść?

- Herman, pozwól mu skończyć.

- Kto i co kazał przynieść? - pyta Ibarra.

- Nieważne. Proszę mówić dalej.

- Odkryłem, że moi synowie negocjowali z tym Metzem w sprawie dostarczenia Mejicano Rosetón amerykańskiemu nabywcy. Według informacji, jakie do mnie dotarły, nabywca ów był reprezentowany przez pana Rusha.

- To dlatego napisał pan ten list?

- Tak. Chciałem, by miał świadomość, że wiem, co się dzieje, i że zamierzam położyć temu kres.

Jedynym łącznikiem Nicka ze światem sztuki i antyków była Dana. A jedyną osobą, jaką ona знаła, mającą koneksje wystarczające, by handlować obiektami w rodzaju Rosetty, był Nathan Fittipaldi.

- Ale czegoś takiego jak Meksykańska Rosetta nie dałoby się wystawić w żadnym muzeum. Nawet prywatny kolekcjoner musiałby to ukrywać - zauważam.

- Prywatni kolekcjonerzy, ludzie dysponujący takimi środkami, często mają prywatne zbiory, które pokazują nielicznym zaufanym przyjaciółom i trzymają w sekrecie. Są wśród nich tacy, którzy byliby skłonni zachować cierpliwość, ukryć ją i czekać. Nabywcą mogłoby być nawet jakieś muzeum.

- Nigdy nie zdołałby jej wystawić. Meksykański rząd wszedłby mu na kark.

- Być może. Ale sprowadziłoby się to do roszczeń prawnych - stwierdza Ibarra. - Muzeum tłumaczyłoby pewnie, że Rosetta od dziesiątków lat spoczywała w jakiejś skrzyni w magazynie. Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają. Zabytek wyskakuje nagle jako nieokreślony obiekt na starym liście przewozowym. Dokument może pochodzić z lat dwudziestych dziewiętnastego wieku.

- Co oznacza, że obiekt został znaleziony podczas wcześniejszej ekspedycji?

- Właśnie. Muzea mają magazyny pełne takich przedmiotów. Mogą nie katalogować ich przez dziesięciolecia. Kto jest w stanie stwierdzić, że tego akurat obiektu tam nie było? Po prostu oświadczyliby, że nie zdawali sobie sprawy z jego znaczenia, dopóki nie otworzyli skrzyni i nie zbadali jej zawartości. Oczywiście mój rząd domagałby się zwrotu. Ale jest mało prawdopodobne, by mu się to udało. Indianie z Chiapas mogą się skarżyć i powiedzieć światu, że sprzedali go zaledwie przed paroma miesiącami, ale kto będzie ich słuchał?

- Więc myślisz, że twoi chłopcy to mają? - pyta Herman.

Ibarra wzrusza ramionami.

- Niewykluczone.

- Może powinniśmy pójść i zapytać ich? - Diggs patrzy na mnie.

- Poprzednim razem, kiedy tam poszliśmy, mieliśmy trzy samochody i sześciu uzbrojonych ludzi. Teraz jesteście tylko we dwójkę.

- Tak, ale wtedy nie miałem motywacji - stwierdza Herman. - Poza tym ludzie w tej przyczepie wyglądali, jakby dopiero co wyleźli z lepianek. Bracia nie odważyliby się chyba puścić ich z nabojami do dżungli. Założę się, że ich karabiny są przerdzewiałe.

- No, nie wiem. Ten, którym celowali w tył twojej głowy wyglądał zupełnie nieźle. - Odwracam się znów do Ibarry. - Co pan wie o miejscu zwanym Coba?

- To stanowisko archeologiczne. Bardzo rozległe, prawie siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych. Jakieś dwie godziny na południe stąd, w dżungli. A dlaczego?

- Jest bardzo uczęszczane? Przez turystów? - pytam.

- Nie. Prawdę mówiąc, niewielu się tam zapuszcza. Większość tamtejszych zabytków wymaga dopiero odkrycia. Wciąż pokrywa je dżungla. Całość zostanie odsłonięta być może dopiero za pięćdziesiąt lat.

- To dlatego je wybrali - stwierdza Herman.

- Kto?

- Twoi synowie, jeżeli im wierzyć - odpowiada.

- Czy kiedykolwiek był pan tam, w Coba?

- Tak. Dwa albo trzy razy.

- Zna pan miejsce zwane Wrotami Świątyni Inskrypcji?

Zastanawia się nad tym chwilę.

- Przewodniki nadają tym ruinom rozmaite nazwy, żeby przyciągnąć turystów. Wie pan, pobudzić ich ciekawość czymś, co przywodziłoby na myśl awanturników w kapeluszach z szerokim rondem, skórzanych kurtkach i z biczami w dłoniach.

- Co jeszcze było w tym liście? - patrzę na Diggsa.

- Coś o malowanych ścianach.

- Ach, chodzi o Las Pinturas. Tak, wiem, gdzie to jest. To kamienna piramida z małym pomieszczeniem na szczycie. W pomieszczeniu tym są kolumny z malowanymi hieroglifami i wyryte na ścianach inskrypcje. Zachowały się na nich ślady używanych przez Majów barwników i farb.

- Może pan nas tam zabrać?
- Myślę, że tak. - Patrzy na Hermana, uznając zapewne, że wyprawa do Coba jest lepsza niż śmierć od kuli.
- Masz jakichś ludzi, którzy mogliby nam pomóc? - pyta ochroniarz.
- W czym? W zabiciu moich synów?
- Nie, nie. Jeżeli się pokażą, sam się tym zajmę. Chyba że chcesz się przyłączyć. Miałem na myśli prowadzenie samochodu, wystawienie czujki. Może ktoś mógłby znaleźć sobie lepsze zajęcie na popołudnie, niż siedzieć i gapić się na bitą śmietaną w kamerze.
- Mam ludzi - mówi Ibarra.
- Tak. Widziałem twoich ludzi. - Herman wsuwa pistolet z powrotem do saszetki i wrzuca ją do worka. - Tak czy owak, myślę, że powinniśmy wrócić na górę i obudzić chochlowaty łeb. Zobaczmy, czy poradził już sobie z klamerką od paska.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wyjeżdżamy z parkingu przy szklanej piramidzie tuż po czwartej nad ranem, niemal dwie godziny przed świtem.

Herman spoczywa ściśnięty na leżance zajmującej całą długość przedziału pasażerskiego wydłużonej limuzyny Ibarry.

Zostawiamy czarnego suburbana w prywatnej części podziemnego garażu hotelu. Gliniarze w Cancún, a pewnie i Meksykańska Policja Federalna, będą szukać dwóch suburbanów, które zniknęły z miejsca zamordowania Julia. Mieszkańcy apartamentowca z pewnością widzieli całą trójkę zaparkowaną razem.

Na przedzie siedzą kierowca Ibarry oraz ochroniarz niewiele ustępujący Hermanowi wzrostem, o szerokich barach i stalowym spojrzeniu.

Za nami jedzie drugi samochód z czterema ochroniarzami. Trzy inne wyruszyły z hotelu pół godziny przed nami. Ustaliliśmy, że spotkamy się wszyscy w punkcie zbornym na szosie, gdzie przesiądę się do jednego

z pozostałych samochodów, i pojedę samotnie na parking w Coba.

Herman, Ibarra i jego ludzie dotrą na stanowisko archeologiczne z różnych kierunków bocznymi drogami. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, znajdą się przy budowlu, którą Ibarra nazywa Las Pinturas, jeszcze przed moim przybyciem. Niektórzy z jego ochroniarzy są wyposażeni w karabiny o dużym zasięgu i laserowe czujnik wykrywające sygnatury ciepłe ludzi ukrytych w gąszczu. Ibarra zapewnił mnie, że to doświadczeni snajperzy.

Nie możemy pójść na policję, gdyż Pablo nie ma pewności, czyjego synowie nie przekupili kogoś z miejscowych władz. Nawet jeśli tego nie zrobili, należy przypuszczać, że gliny zatrzymałyby mnie na przesłuchaniu o wiele za długo, bym mógł zjawić się w porze ustalonej w liście, a wówczas synowie Ibarry zabiliby Adama.

Siedząc obok mnie, Pablo Ibarra przekazuje mi informacje na temat terenu i tego, co znajdę, kiedy tam dotrę. Jest zdenerwowany: ojciec stojący u progu brutalnego starcia ze swymi synami, niecierpiący satysfakcji z tego, co musi zrobić.

- Mam nadzieję i modłę się, żeby ich tam nie było - mówi.

Widzę jednak, że list, który pojawił się pod drzwiami pokoju hotelowego Hermana, każący mi przynieść Rosette do Coba, nie pozostawia mu wiele wątpliwości.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego oni sądzą, że pan to ma - stwierdza.

- Nie mam pojęcia.

- Być może to z powodu pańskiego związku z tym Ru-shem. Czy moi synowie wiedzieli o tym?

- Ja im nie powiedziałem.

- To wszystko nie trzyma się kupy.

Kiedy powiedziałem mu o powietrznym ataku na Casa Turquesa, Ibarra przejrzał poranne wydania miejscowych gazet. Szukał nazwisk dwóch mężczyzn z lotni, by sprawdzić, czy okażą się znajome. Bracia wykorzystywali motolotnie do wyszukiwania ruin w dżungli. Wczoraj późnym wieczorem nurkowie wyłowili z morza dwa ciała. Ale Ibarra nie rozpoznał ani jednego, ani drugiego nazwiska.

Przygotował paczkę owiniętą w tkaninę i obwiązaną sznurkiem. Tak opakowana mogłaby uchodzić za starożytną księgę Majów, chyba że znałoby się dokładnie jej wymiary, a tych nie znamy. Kiedy jednak opakowanie zostanie zdjęte, nawet niewprawnego oka nie zwiedzie widok dwóch płyt ze sklejki przełożonych gazetą.

Próbuję zdrzemnąć się trochę, gdy suniemy szosą łączącą Meridę, starą hiszpańską stolicę kolonialną, z Cancún.

Przysypiam. Wydaje mi się, że trwa to raptem parę minut, gdy samochód podskakuje i budzę się. Jedziemy wolno, może trzydzieści kilometrów na godzinę, przez ciągnącą się wzdłuż szosy wioskę.

- Co to było?

- Nic - mówi Ibarra. - *Topetóns*. Progi zwalniające. Umieszcza się je przy wjeździe do wiosek, żeby kierowcy musieli zwolnić.

Podjeżdżamy do następnego, bardziej przypominającego pagórek niż próg. Długa limuzyna musi wyhamować praktycznie do zera, żeby uniknąć szorowania tyłem po jezdni albo utraty zawieszenia. Herman przesypia to wszystko. Zerkam na zegarek. Spałem dwadzieścia minut.

Droga do Meridy jest dwupasmowa, po jednym pasie dla każdego kierunku. Mimo tak wczesnej pory, przed piątą rano, w małych osadach przy szosie widać już krzątających się ludzi. Gdzieniegdzie w maleńkich domkach z pustaków, z dachami z blachy falistej, palą się światła. Widywałem już podobne budynki na Karaibach. Konstrukcja pozwala im oprzeć się huraganom i falom pływowym. Ściany zostaną. Dach można znaleźć później albo zabrać cudzy.

Z wyjątkiem obszarów wykarczowanych pod ludzkie osiedla wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnie się niska dżungla. Równy, gęsty, zielony dywan pokrywa szczelnie teren, przetykany od czasu do czasu sterczącym ku niebu banianem oraz nieustraszonymi masztami anten telefonii komórkowej, których czerwone światła błyskają w oddali. Na wschodzie błada poświata poranka zaczyna już wydobywać zarysy chmur.

- Ma pan dzieci? - pyta Ibarra.

- Tak. Córkę. Ma piętnaście lat.
- To trudne.
- Zgadza się. - Myślę o Sarze i o tym, co będzie robić za parę godzin.

Przed wszystkim jednak zastanawiam się, czy jeszcze ją kiedyś zobaczę.

Arogancją z mojej strony było sądzić, że uda mi się rozwikłać splót przyczyn, które doprowadziły do śmierci Nicka. Narazić Sarę na utratę jedyne go członka rodziny, jaki jej pozostał, było głupotą ponad wszelką miarę. Co innego, gdybym był rozwodnikiem, ale tak nie jest. Jestem wdowcem.

Harry miał rację. Samotny ojciec nie powinien się wdawać w takie awantury. A teraz jest już za późno. Przez swe poczynania naraziłem innych na niebezpieczeństwo: Harry jest ranny, a Adam wpadł w ręce synów Ibarry. Nie ma odwrotu.

Zjeżdżamy z szosy w miejscu o nazwie Nuevo Xcan i kierujemy się w głąb tropikalnego lasu. Droga się zwęża. Po obu stronach roślinność wgryza się w asfalt. Szosa biegnie jak wstążka przez dżunglę, która z każdym kilometrem staje się coraz gęstsza i wyższa.

Liściasta zieleń jest nieprzenikniona. Wznosi się niczym fala na morzu ciemności po obu stronach samochodu. Pędzimy sto piętnaście kilometrów na godzinę, wspinając się na łagodne wzniesienia po to tylko, by znów ujrzeć przed sobą ciągnący się na pozór w nieskończoność pas drogi, szlak wiodący donikąd.

Miękkie zawieszenie limuzyny przenosi nas łagodnie przez niewielki pagórek. Przed nami widzę tylne światła dwóch samochodów zaparkowanych na środku drogi i blokujących przejazd.

- Wszystko w porządku. - Ibarra pochyła się naprzód. - To moi ludzie.

Limuzyna hamuje gwałtownie, samochód z ochroniarzami nieomal wjeżdża nam w zderzak. Herman obsuwa się do przodu na leżance i wreszcie się budzi.

- Co, się dzieje?
- Pora na przesiadkę - wyjaśniam.
- Cholera, już jesteśmy?
- Niezupełnie. Jak stąd daleko? - pytam Ibarrę.

- Kilka kilometrów. Musi pan skręcić w prawo. Na pewno nie przeoczy pan drogi. Powinien być drogowskaz do terenu wykopalisk.

Limuzyna zatrzymuje się przy dwóch samochodach na środku drogi. Wsiadamy. Towarzyszący nam wóz z obstawą staje za nami. Wychodzą z niego dwaj mężczyźni w maskujących mundurach polowych. Zajmują pozycje przy otwartych drzwiach, obserwując drogę, którą przyjechaliśmy, i od czasu do czasu rzucając spojrzenia w głąb dżungli po obu jej stronach. Jeden z nich trzyma karabin szturmowy.

Ludzie Ibarry z pierwszych samochodów wylegli na drogę. Dwaj z nich oglądają mapę rozłożoną na masce jednego z wozów. Drzwi pojazdów są otwarte i niektórzy korzystają z okazji, by wypalić ostatniego papierosa przed dalszą jazdą. Ubrani są w kamizelki kuloodporne, a dwóch trzyma karabiny z lunetami.

Herman podchodzi do mnie.

- Karabiny nie na wiele zdadzą się w dżungli - mówi. - Chyba że znajdą w tym gąszczu jakąś polanę. Wiedziałem, że nie powinienem słuchać tych ludzi. Powinienem zabrać spluwę, MP-5.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze. Odnoszę wrażenie, że wiedzą, co robią.

- Tak.

Ibarra gestem przywołuje mnie do jednego z samochodów z otwartymi drzwiami. Ruszam w tę stronę.

- Hej!

Odwracam się. Herman patrzy na mnie.

- Nie powiesz do widzenia?

- Chciałbym, żebyś mógł pójść ze mną.

- Mógłbym się położyć na tylnym siedzeniu - mówi.

- Jasne. Nie zauważyliby cię. Poza tym mam kawałek do przejścia na piechotę. Ich ludzie zatrzymaliby cię, nim zdążyłbyś zrobić dziesięć kroków.

- Pewnie tak. Masz. Włóż to. - Podaje mi zieloną wiatrówkę.

- Nie jest mi zimno.

- Wiem. Zaufaj mi. Weź ją. Twoja biała koszula będzie się świecić w dżungli jak latarnia.

Biorę kurtkę i wkładam ją.

Diggs zapina mi zamek do samej góry, nieomal podrywając mnie w powietrze, po czym swymi niedźwiedzimi łapami przyklepuje kołnierz.

- Żeby nie zostało nic, co zrobiliby z ciebie cel.

- Racja.

- W kieszeni znajdziesz pewny drobiazg - dodaje.

Sięgam do środka.

- Po drugiej stronie.

Szperam i wyciągam mały, stalowoniebieski pistolet półautomatyczny.

- Mój zapasowy. Pomyślałem, że tobie przyda się bardziej. Walther PPK .380. Sześć strzałów, więc nie daj się ponieść. I nie strzelaj do niczego, co jest dalej niż trzy, cztery metry. To strata czasu, a poza tym tylko ściągnąłbyś na siebie uwagę. Z boku jest taki mały przełącznik. Jak go wciśniesz, przekręci się czerwonym na zewnątrz. Wtedy możesz strzelać.

Bierze go, sprawdza magazynek i uderza tylną częścią o dłoń, by upewnić się, że naboje siedzą na swoich miejscach.

- A jeśli mnie obszukają?

- Nie zrobią tego.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Nie dopuszczą cię tak blisko. Im chodzi o to, co będziesz niósł. O tę książkę. Przypuszczam, że po prostu zastrzelą cię i zabiorą ją.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi. Ten twój kumpel już pewnie nie żyje.

- Nie wiemy tego.

- Nie. Ale mam przecucie, że coś jest nie w porządku. Weź to. - Oddaje mi pistolet. - W razie czego zrób z niego użytek.

Chowam broń do kieszeni kurtki. Słyszę, jak Ibarra woła mnie.

- Ludzie czekają. Muszę już iść. - Podaję mu dłoń na pożegnanie.

- Cholera, nie tak. - Wyciąga ręce, chwyta mnie za ramiona i zamyka w niedźwiedzim uścisku. - Uważaj na siebie - mówi. - Nie daj się poszatko-
wać tym sukinsynom. Rozumiesz?

- Postaram się.

- Cholera, stań na głowie.

Wybuchamy śmiechem.

- Na razie.

- Uważaj na siebie - odpowiadam.

Odwracam się i ruszam w stronę wozu.

Gdy podchodzę, Ibarra wyciąga spod pachy atrapę Rosetty i kładzie ją
na przednim siedzeniu, po stronie pasażera.

Kluczyki są w samochodzie.

- Jeszcze jedno - mówi. - Ma pan jakąś kartkę, choćby mały świstek? -
W dłoni trzyma pióro.

Gmeram w kieszeniach spodni i wyciągam dwa pomarszczone, i po-
rwane skrawki różowego papieru. Podaję mu jeden.

Ibarra rozprostowuje go na masce, odwraca na czystą stronę i zaczyna
rysować małe, cienkie kreski.

- Przyjeździe minie pan restaurację, biały budynek z płaskim da-
chem. Skręci pan w lewo na parking. Wejście dla zwiedzających jest tutaj. -
Stawia X na mapie. - Jest tam parę dużych drzew. Między nimi będzie
pewnie przeciągnięta lina. Musi pan zwyczajnie przejść pod nią. Kiedy już
znajdzie się pan w środku, musi pan uważać, żeby się nie zgubić. To istny
labirynt. Jest mnóstwo ścieżek, a część z nich prowadzi do dżungli. - Znów
każe mi spojrzeć na mapkę. - Mniej więcej sto metrów od wejścia ścieżka
zacznie skręcać w prawo. Niech pan się jej trzyma - mówi. - Kawałek dalej
zobaczy pan ruinę o nazwie La Iglesia, to znaczy kościół. - Zaznacza to na
mapie. - Od frontu ma kamienne platformy na różnych poziomach i bie-
gnące w górę schody. Przejdzie pan plac. Dookoła będzie pan widział za-
grzebane ruiny. Tu skręci pan w lewo, przejdzie jakieś piętnaście, dwadzie-
ścia metrów i po prawej stronie zobaczy bramę boiska do gry w piłkę. Sa-
mo boisko to płaska, otwarta przestrzeń, długa i wąska, z pochyłymi ka-
miennymi, ścianami po obu stronach. Z murów sterczy w górę kamienna

bramka. Przejdzie pan boisko i dotrze do miejsca, gdzie zaparkowane są rowery. - Robi kółko na mapce. - Turyści wypożyczają je, żeby jeździć po parku. Proszę zostawić je w spokoju i iść piechotą. W przeciwnym razie dotrze pan na miejsce zbyt szybko, jeszcze przed nami. Kiedy będzie pan przy rowerach, zobaczy pan ścieżki rozchodzące się w różnych kierunkach. Trzy, może cztery. - Rysuje je. - Musi pan wybrać tę z prawej strony. - Końcem stalówki wskazuje skrzyżowanie. - Ona zaprowadzi pana do Las Pinturas. To jakieś trzysta, czterysta metrów. Zobaczy pan ruiny, małą piramidę z kwadratową kamienną budowlą na szczycie. Budowla kryta jest palmowymi liśćmi. Na pewno jej pan nie przeoczy. Wszystko jasne?

- Chyba tak.

- Proszę, to dla pana. - Podaje mi świstek z mapką. Siadam za kierownicą i opuszczam szybę.

- Którą ma pan godzinę? - pyta Ibarra. Obaj zerkamy na zegarki.

- Ma pan mnóstwo czasu. I proszę pamiętać - dodaje. - Niech pan da nam co najmniej dziesięć minut, zanim stąd odjedzie.

- Rozumiem.

Zamyka drzwi.

- Będziemy czekać - zapewnia. - Powodzenia. - Potem odwraca się i rusza biegiem do pozostałych wozów.

Drzwi zatraskują się jedne po drugich. Po chwili opony chrzęszczą na żwirze, gdy dwa sedany i limuzyna mijają mnie w drodze na zachód.

Parę sekund później ich tylne światła znikają za zakrętem.

Siedzę z opuszczonym oknem, słuchając odgłosów świtu w dżungli, świergotów i wrzasku jakiegoś odległego zwierzęcia, brzęczenia skrzydeł i cykania owadów.

Spoglądam jeszcze raz na mapkę na różowym świstku, składam ją na pół i chowam do kieszeni wiatrówki. Dla pewności czekam dwanaście minut, zanim ruszam w drogę.

Po pięciu kilometrach spostrzegam tablicę ze strzałką wskazującą zjazd, białe litery na niebieskim tle głoszące: Villas Arqueológicas Coba.

Skręcam w prawo. Po paru kilometrach jadę już drogą gruntową, a chwilę później moim oczom ukazuje się restauracja, piętrowy budynek z płaskim dachem i tarasem na górze. Spod balustrady tarasu wystaje pochyły, kryty palmowymi liśćmi daszek osłaniający tkwiące na zewnątrz stoliki i krzesła.

Dokładnie na wprost dostrzegam rozległe jezioro o brzegach porośniętych wysoką trawą. Ibarra ostrzegł mnie, że jeśli będę musiał nagle ukryć się w dżungli, mam się trzymać z dala od wszelkich podmokłych terenów. Meksykańskie krokodyle są być może zagrożonym gatunkiem, ale słyną z tego, że zjadają psy, małe dzieci oraz, od czasu do czasu, turystów.

Przed hotelem droga odbija w lewo. Przejechawszy jeszcze kilkadziesiąt metrów, docieram na parking. Z dwóch stron otacza go kilka małych budynków, w większości otynkowanych sklepików z pamiątkami. Obok stoi mała, kwadratowa, kryta liśćmi palmowymi budka: kasa biletowa przy wejściu.

Za wejściem zaczyna się ścieżka prowadząca na teren wykopalisk. Przechodzi między dwoma wielkimi drzewami o sękatych pniach, z których zwisają pozwijane płaty kory. Drzewa wyglądają, jak gdyby stały już, kiedy ostatni władca Majów przeszedł tamtędy, gasząc światła. Między nimi przeciągnięta jest lina.

Zatrzymuję się przy samym wejściu, wyłączam silnik i zerkam na zegarek. Mam dwadzieścia minut na dotarcie do Las Pinturas. Ibarra i jego ludzie powinni już zbliżyć się do tego miejsca, wypatrując ukrytych w gąszczu ludzi Arturo i zajmując strategiczne pozycje.

Podnoszę pakunek z siedzenia, wysiadam i kieruję się w stronę wejścia. Szybko prześlizgnę się pod liną i ruszam przed siebie.

Ścieżka jest nierówna. Koleiny w piaszczystej ziemi, poprzecinane garbami rosnących płytko korzeni drzew zmuszają do patrzenia pod nogi. Nikłe poranne światło dociera do mnie przefiltrowane przez listowie.

Mijam po prawej gąbłotę pod krytym strzechą dachem i wspinam się na mały pagórek. Potem ścieżka opada łagodnie i skręca w prawo. Po obu jej

stronach dostrzegam symetryczne kopce, łagodne wzniesienia pokryte niskimi, karłowatymi drzewami, od których strzelają w górę odrosty proste niczym sierść na zwierzęciu. Drzewka pracowicie zagęszczają sieć płtykich korzeni. Niektóre z nich, wijąc się jak węże, znikają w szczelinach wśród skał.

Pod drzewami i na stokach kopców ziemia zasłana jest kamieniami o krawędziach zaokrąglonych przez erozję i kształtach zbyt regularnych, by mogły zostać uformowane przez naturę. Gdziekolwiek spojrzę, widzę małe wzniesienia, wybrzuszenia dżungli, wciąż jeszcze skryte pod ziemią ruiny Majów.

Dziesięć metrów dalej wkraczam na otwartą przestrzeń, placyk z budowlą, którą Ibarra nazwał La Iglesia. Jest to potężna piramida o kilku tarasowatych poziomach od frontu i prowadzących na jej szczyt stromych, kruszących się schodach. Jako atrakcja turystyczna w Stanach Zjednoczonych byłaby marzeniem każdego prawnika.

Przechodzę przez placyk, skręcam w lewo i nagle tracę orientację.

Zatrzymuję się, wyciągam z kieszeni mapkę na różowym świstku i wpatruję się w nią w bladym świetle. Ibarra napisał drobnymi literkami: „boisko do gry w piłkę”.

Obrać się wolno wokół własnej osi. Wreszcie w oddali, na tle ostrych kamiennych krawędzi, dostrzegam przed sobą zarys łuku. To kamienna bramka na ukośnej ścianie boiska.

Zerkam na zegarek, przyspieszam kroku i przebiegam truchtem boisko. Po obu stronach wznosi się amfiteatr z gładkiego kamienia.

Po sześćdziesięciu metrach w bladym świetle poranka ścieżka wyrównuje się i otwiera na rozległą polanę wśród większych drzew. Widzę co najmniej dwadzieścia rowerów, niektóre oparte o drzewa, inne leżące na boku, kilka stojących prosto z opuszczonymi podpórkami.

Jak dotąd wszystko na mapce Ibarry zgadza się co do joty. Idę dalej, przekładając pakunek pod drugą pachę. Materiał, którym owinięta jest paczka, ociera się o kieszeń kurtki i czuję twarde krawędzie ukrytego w niej pistoletu.

Mam nadzieję, że nie będę go potrzebował. Mimo wszystko ciężar

metalurozpychający mi kieszeń daje świadomość, że jeśli będę musiał, jestem w stanie się bronić.

- *Señor*.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Odzywający się za moimi plecami głos sprawia, że stoję jak wryty. Serce wali mi jak młotem. Nawet jeśli facet mnie nie zastrzeli, i tak stracę pół roku życia.

Odwracam się w bladym świetle. Nie mam czasu sięgnąć do kieszeni po pistolet. Za jednym z drzew dostrzegam na wpół niknącą w cieniu drobną postać mężczyzny. Siedzi na czymś, co wygląda na wielki trójkołowy rower: ma dwa koła z przodu, małą ławeczkę nad nimi i pojedyncze koło z tyłu.

Mężczyzna wyjeżdża z cieni. Odnoszę wrażenie, że wpatruje się nie tyle we mnie, ile w owinięty w tkaninę pakunek, który niosę pod pachą. Wskazuje ławeczkę przed sobą, zapraszając mnie, żebym wsiadł.

Kręcę głową.

- Nie, dziękuję. - Zaczynam się odwracać.

- *Señor*.

Tym razem brzmi to bardziej natarczywie. Wiadomość jest jasna. Facet znalazł się tu o tak wczesnej porze nie bez powodu. Wysłano go po mnie.

Ma na sobie cienką bawełnianą koszulę, dżinsy oraz znoszone buty sportowe. Jest bez skarpet - znad opartego na jednym z pedałów buta widać brązową kostkę.

Nawet jeśli jest uzbrojony, nie zdradza się z tym, nie widzę też żadnych wyrzuszeń na jego ubraniu. Ibarra ostrzegał mnie, żebym nie jechał rowerem na miejsce spotkania. Do tej pory jednak on i jego ludzie mieli już chyba dość czasu, by zająć pozycje.

Mógłbym po prostu odwrócić się i odejść, spróbować szczęścia. Ale jego spojrzenie mówi mi, że pojechałby za mną, klekocząc swym rowerem jak dzwonek u szyi krowy, informujący wszystkich ukrytych w gąszczu ludzi,

gdzie jestem. Bez wątpienia zapłacili mu za ten kurs, prawdopodobnie więcej, niż zarabia przez tydzień, wożąc turystów po dżungli. Czuje się zobowiązany do wykonania usługi.

- Czemu nie? - Robię krok w stronę ustrojstwa.

Rikszarz kiwa głową i uśmiecha się, zapraszająco wskazując ławeczkę. Wspinam się na nią i siadam.

Trzymam pakunek na kolanach, a on pedałuje przez polanę, nabiera szybkości na lekkim spadku, po czym skręca w jedną z odchodzących w prawo ścieżek, unosi się z siodełka i zaczyna pompować na całego.

Podskakując na wybojach, jedziemy ścieżką równą jak blat stołu, choć nie tak gładką, i słuchamy, jak opony chrzęszczą na wapiennym gruzie. Riksza wjeżdża z impetem w kałużę i jedno z kół rozpryskuje błotnistą wodę na ławeczkę. Próbuje poniewczasie osłonić się ręką.

Rikszarz śmieje się i mówi coś po hiszpańsku, ale nie rozumiem go.

- Chwileczkę. Proszę się na chwilę zatrzymać. Nadal pedałuje.

- Stop. - Jak brzmi to słowo? - *Pare*.

- *Qué?*

- *Pare*.

- *Sí*.

Powoli zatrzymuje rower. Szperam w kieszeni kurtki, szukając świstka z mapką Ibarry. Rozkładam go i wyteżam wzrok, próbując rozróżnić w półmroku zawijasy i kreski. Wreszcie dostrzegam słowa: „pierwsza z prawej”.

- Pojechaliśmy w złą stronę.

- *Qué?*

- Skręciliśmy w złą ścieżkę. Tam. - Wymachuję ręką w tył nad jego ramieniem. - Mieliśmy pojechać na prawo. Pierwszą w prawo - krzyczę, próbując siłą głosu zrekompensować brak zdolności językowych. Odwracam się na ławeczce i wskazuję w tył. - W tamtą stronę - mówię.

- *Donde?*

- Tam.

- No - odpowiada. - *Por aquí*. - Wskazuje ścieżkę przed nami.

- Wrota Świątyni Inskrypcji są tam - stwierdzam.

- *No.* - Kręci głową, unosi się z siodełka i znów zaczyna pedałowac. -
Por aquí.

- Stop.

Ignoruje mnie.

Próbuję zejść, ale on zwiększa tempo i stopa wlecze mi się po ziemi.

- *Señor.* - Jego głos brzmi teraz szorstko, gniewnie.

Oglądam się przez ramię, a on kręci głową.

- *Por aquí.* - Wskazuje głową kierunek, w którym jedziemy.

Pojmuję wiadomość. On mówi, że to właściwa droga. Ktokolwiek go wysłał, dał mu dokładne instrukcje. Mógłbym się zaprzeć obiema nogami, zatrzymać rower i zsiąść. W ostateczności pozbyć się go, robiąc użytek z pistoletu. Ale wtedy nigdy nie znalazłbym Adama. Zabiliby go, o ile jeszcze tego nie zrobili. Oczywiście zabiją nas obu, gdy tylko rozwiną pakunek i zobaczą, co jest w środku. Plan Ibarry zakładał, że nigdy nie pozwolimy im dotrzeć tak blisko. Miałem zobaczyć Adama. Kazać im wyprowadzić go na otwartą przestrzeń. Jeden ze snajperów zlikwidowałby wówczas trzymającego go strażnika, a w tej samej chwili ja cisnąłbym pakunek w poszycie i rzucił się w ślad za nim.

W powstałym zamieszaniu ludzie Ibarry, ubrani w kamizelki kuloodporne, mieli pochwycić Tolta i wciągnąć go do kryjówki.

A tymczasem jadę, zgrzytając zębami. Jediną pewną ochroną jest w tej chwili maleńki walter w mojej kieszeni. Każdy obrót kół zwiększa dystans dzielący mnie od ludzi Pabla Ibarry. Herman miał rację. Ktokolwiek to zaplanował, zrobił to dobrze.

Patrzę na poskładany różowy świstek w dłoni. To jedna z notatek z rozmów telefonicznych, które Harry przywiózł z biura. Na stronie z logo i adresem jest wiadomość. Rozpoznaję pismo Marty.

To dziwne, jak w krytycznych chwilach znajome przedmioty dają złudzenie pociechy.

Thukę się przez dżunglę na trzykołowym rowerze, siedząc przed szalonym Meksykaninem, który prawdopodobnie wiezie mnie na śmierć, a jestem w stanie myśleć tylko o Joyce Swartz z notatki. Słyszę odzywający

się w słuchawce chrapliwy głos Joyce, bezładny potok słów, mamrotanie z papierosem zwisającym jej z ust.

Wpatruję się w świstek w oszłomieniu, czytając słowa, lecz nie mogę rozszyfrować wiadomości, gdyż od wibracji roweru litery tańczą mi przed oczami, a zęby dzwonią.

Nagle rytm kół zaczyna zwalniać. Rikszarz przestaje pedałowac i jedzie siłą rozpędu. Unoszę wzrok. Powoli się zatrzymujemy. Wokół nie ma nic prócz dżungli. Biały wapienny pas ścieżki przed nami zwięza się w oddali, po czym znika za zakrętem. Przebyliśmy co najmniej półtora kilometra, może więcej, od miejsca, gdzie stały rowery. Teraz rikszarz daje mi znak, żebym zsiadł.

- Dokąd? *Donde?*

- *Aquí.*

- Dokąd mam pójść?

- *Aquí.*

- Tutaj? Chce pan, żebym został tutaj?

- *Aquí.* - Macha ręką wzdłuż ścieżki, jak gdyby chciał mnie odpędzić.

Podnoszę pakunek i schodzę z ławeczki.

Rikszarz zwraca szerokim łukiem i jedzie z powrotem.

Stoję na środku ścieżki, odprowadzając go wzrokiem. Jakiś czas słyszę jeszcze klekot metalu. Wreszcie riksza niknie mi z oczu, wtapiając się w zieleń porastającą skraje drogi.

Odwracam się i patrzę w drugą stronę. Widzę jedynie wąski pas bieli ciągnący się w obu kierunkach jak pojedyncza biała nitka w zielonej tkaninie. Rikszarz wskazał tamten kierunek, więc ruszam naprzód, trzymając się skraju ścieżki tuż przy zaroślach, by nie wystawiać się na cel bardziej, niż to konieczne.

Pakunek mam wetknięty pod pachę. Nagle przystaję i rozglądam się. Każdy krzak i każde drzewo wzdłuż ścieżki wyglądają jednakowo. Mimo wszystko jest to lepsze niż dostarczenie uzbrojonym ludziom paczki pustych nadziei.

Odłamuję gałąź od jednego z krzaków, żeby zaznaczyć miejsce, po czym układam pakunek za grupą głazów kilka kroków od drogi. Brak przesyłki i wiedza o miejscu jej ukrycia dają mi pewien atut, choćby nawet miał on

kupić mi jedynie trochę czasu w nadziei znalezienia furtki. Jeśli nie zobaczę przy mnie pakunku, a mają trochę oleju w głowie, nie zastrzelą mnie, przynajmniej dopóki nie porozmawiamy.

Wracam na ścieżkę, nadal ściskając w dłoni skrawek papieru. Nie sposób określić odległość od miejsca, gdzie czekają na mnie ludzie Pabla Ibarry, gdyż rysunek nie odpowiada żadnej skali. Poza tym po wszystkich krzywiznach i zakrętach drogi straciłem poczucie kierunku.

Mam właśnie zwinąć notatkę w kulkę i cisnąć ją w zarośla, gdy mój wzrok wyłapuje jedno z zapisanych na odwrocie słów. „Capri”. Nie trzęsąc się już wraz z rikszą, mogę wreszcie odczytać skrótową wiadomość zanotowaną przez Martę i przekazaną Harry'emu wraz z innymi w kopercie.

„Joyce mówi, że Jamaile było właścicielem terenu pod starym hotelem Capri”.

Stoję chwilę, wpatrując się w kartkę, zmęczony, niezdolny skupić wzrok. Ruszam wolno ścieżką, myśląc o tym, że Nick był właścicielem Jamaile, a Jamaile było właścicielem Capri, brudnej garkuchni w śródmieściu, w której piliśmy kawę tamtego ranka.

Unoszę wzrok i przysuwam się nieco bardziej do zarośli na skraju ścieżki. Co to oznacza? To wszystko nie trzyma się kupy. Jeśli Nick był właścicielem działki w śródmieściu, dlaczego Dana nie wiedziała o tym? Albo Margaret podczas rozwodu? Nick był bez grosza. Co on kombinował, oglądając puste biura w San Francisco i w Nowym Jorku, wchodząc w konszachty z Metzem i braćmi Ibarra, by pośredniczyć w sprzedaży zabytku wartego miliony? Na pewno dostałby za to honorarium, ale...

Nagle staję jak wryty. Serce zamiera mi na moment. Odwracam się i ruszam szybko w przeciwnym kierunku. Po paru krokach zaczynam biec, oglądając się za siebie przez ramię.

Złamana gałąź znacząca miejsce, w którym zostawiłem pakunek, jest tuż przede mną, gdy Adam wychodzi z chaszczki po drugiej stronie ścieżki trzy metry ode mnie. Trzyma wymierzony we mnie pistolet.

- Dokąd ci tak spieszno?

Zatrzymuję się. Patrzę na niego, dysząc ciężko, po czym pochylam się i opieram dłonie na kolanach, żeby złapać oddech.

- A ja myślałem, że przychodzisz mnie ratować - mówi.

- Ty ich zabiłeś. Nicka, Metza, Espinozę, Julia.

- Nie. Nie. To cały ty, wyciągający pochopne wnioski. Nie miałem nic wspólnego z Espinozą. Nawet nie wiedziałem o nim, dopóki mi nie powiedziałeś. Prawdę mówiąc, sama ilość spraw, o których nie miałem pojęcia, działa na mnie przytłaczająco. A co do Nicka i Metza, nie pociągnąłem za spust, jeśli ta wiadomość przynajmniej trochę ci ulży. Choć można by powiedzieć, że pociągnąłem za sznurki. Wynająłem paru ludzi z Tijuany. Świat zrobił się okropny. Przy odpowiedniej sumie nie pytają cię nawet, kim jesteś. Muszę przyznać, że spisali się lepiej niż ci dwaj idioci na lotni. Nie podobał mi się cały ten pomysł, ale się uparli. Tak przy okazji, pozwolisz, że zapytam, jak tam Harry?

- Wyzdrowieje.

- Ach, tak. To może być problem. Widzisz, nie wiedziałem za dobrze, ile on wie, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli poproszę go, żeby do nas dołączył. - Przyszedłeś tu, sądząc, że spotkasz się z braćmi Ibarra. Muszę przyznać, że odwalilem kawał dobrej roboty, i to w tak krótkim czasie. Podoba ci się mój strój? - Ubranie ma utyłane ziemią, rozdarta na kolanie nogawkę spodni i siniak na policzku. - To wszystko element przygotowań - wyjaśnia. - Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy przy kolacji Harry'emu wymknęła się ta uwaga o palmtopie Nicka. Gdyby nie to, prawdopodobnie lecielibyśmy sobie teraz spokojnie do San Diego.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Może byś się tak odwrócił i uklęknął? I to już! - mówi.

Robię, jak każe.

- O właśnie. Teraz oprzyj dłonie przed sobą na ziemi i połóż się. Rozłóż ręce i nogi i nie ruszaj się. Znakomicie.

Podchodzi bliżej, wciska mi lufę pistoletu w krzyże i zaczyna mnie oklepywać. - Nie miałem pojęcia, co, u diabła, może być w tym komputerku Nicka. A ty wciąż coś przede mną ukrywałeś. - Obmacuje mój bok, dół

pleców, potem drugi bok. - Bóg raczy wiedzieć, jakie jeszcze smakowite kąski zataiłeś przede mną. Nie miałbym ochoty wrócić do domu i przekonać się, że policja ni stąd, ni zowąd znalazła jakiś pozostawiony przez Nicka drobiazg, który skierowałby igłę ich kompasu prosto w moją stronę. - Maca z góry na dół obie nogi, po czym cofa się. - Teraz możesz wstać.

Podnoszę się.

- Czy to rzeczywiście jest ten Mejicano Rosen? Widziałem, jak kładłeś paczkę za kamieniami i łamałeś gałąź. Chciałem już iść za tobą, kiedy usłyszałem, że wracasz.

- Jeśli chcesz, zobacz.

- Nie mam ochoty. Jesteś podejrzanie nerwowy. Co tam jest, gaz łzawiący? Jakaś bomba mająca ogłuszyć tego, kto to otworzy? Nie mów mi, że Pablo Ibarra naprawdę to miał.

- Nie miał.

- Umieram z ciekawości. Co to jest? Nie chodzi mi o tę paczkę. Mam na myśli sam Rosen.

- Nie wiesz?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- W takim razie dlaczego napisałeś, żebym go przyniósł?

- Musiałem znaleźć jakiś pretekst, żeby cię tu sprowadzić. Rozumiesz, wyglądałoby to trochę dziwnie, gdybym wysłał list od braci mówiący po prostu, żebyś przyszedł i odebrał pana Tolta. Ale muszę przyznać, że ciekawość nie daje mi spokoju. Może przejdziemy się i porozmawiamy? - proponuje. - To niedaleko. Poza tym w ten sposób oddalimy się trochę od ludzi, których sprowadziłeś. Bo chyba sprowadziłeś kogoś?

Nie odpowiadam. Ruszamy ścieżką, ja przodem, Adam z pistoletem jakieś dwa metry za mną, sądząc po jego głosie.

- Więc ten cały Rosen to przedmiot pożądania Nicka?

- Na to wygląda.

- Co to jest?

- Starożytny tekst w języku Majów.

Tolt parska śmiechem.

- Chyba żartujesz. Nick? Co on miał zamiar z tym zrobić? Sprzedać?
- Prawdę mówiąc, miał zamiar to przehandlować.
- Na co?
- Na odstępstwo od norm ograniczających wysokość zabudowy dla nieruchomości, której był właścicielem.
- O czym ty mówisz?
- To długa historia.
- Taaak, i obawiam się, że nie masz aż tyle czasu.

Idziemy kilka minut, aż wreszcie docieramy na polanę, której większą część zajmuje potężna hałda kamieni, piramida o ścianach nadgryzionych przez czas i pogodę. Od naszej strony znajdują się strome schody prowadzące na sam szczyt, który zwieńczony jest czymś, co wygląda na małą kamienną budowlę.

- Mam nadzieję, że zabrałeś buty do wspinaczki. Jazda.

Przechodzimy polanę i ruszam w górę po schodach. Są strome i budowane chyba dla olbrzymów. Większość stopni ma przeszło pół metra wysokości i wąski podnózek, a jedynym oparciem dla rąk są stopnie powyżej.

Pochyleni, wspinamy się krok po kroku. Moje ręce są dwa albo trzy stopnie wyżej niż nogi. Adamowi jakimś cudem udaje się podpierać tylko jedną ręką, w drugiej wciąż trzyma wycelowaną we mnie broń. Jak na człowieka po sześćdziesiątce jest zdumiewająco sprawny.

Wilgotne powietrze z dna dżungli zaczyna się rozgrzewać, w miarę jak słońce wznosi się na nieboskłonie. Jest już zupełnie jasno i ze schodów widzę szczyt baldachimu dżungli ścielącego się dookoła niczym zielony koc, ze sterczącymi tu i ówdzie fioletoworóżowymi szczytami - pozostałościami architektury Majów odartymi z osłaniającej je roślinności.

- Więc co to będzie, strzał w tył głowy, jak u Julia, czy może tym razem wypadek?
- Myślę, że ustalimy to, kiedy już będziemy na górze.
- To trochę ryzykowne, nie sądzisz? Kiedy meksykańskie władze znajdą moje zwłoki, albo przestrelone, albo rozbite na dole, a ciebie na wierchołku, mogą mieć parę niewygodnych pytań.

- Oczywiście, że tak. A ja udzielię im wyczerpujących wyjaśnień. O tym, że bracia Ibarra trzymali mnie jako zakładnika, bez jedzenia i wody. Podo-
ba ci się moje przebranie? O tym, że mnie bili, próbując wydobyć informa-
cje o Rosenie, choć nie miałem o niczym pojęcia. A potem, kiedy cię za-
strzelili albo spadłeś z wierzchołka, zależnie od tego, co bardziej ci odpo-
wiada, zważywszy na to, że jestem elastyczny, bracia, albo raczej ich wynaj-
ęci mordercy, spanikowali i zostawili mnie tu, na górze. To okropna histo-
ria - ciągnie. - Oczywiście, mając zawiązane oczy, nic nie widziałem. Spryt-
ny wybieg, nie sądzisz? Przepaskę mam w kieszeni razem z kawałkiem
taśmy do związania rąk i nóg. Nie muszę nawet robić węzłów, po prostu
ubrzdę taśmę ziemią i okręcę nią sobie nadgarstki, jak gdybym próbował
się uwolnić. Przypuszczam, że to ich zadowoli.

Adam przemyślał sobie wszystko.

- Wiesz, że to najwyższa piramida Majów na Jukatanie?
- Jestem zaszczycony.
- Prawdę mówiąc, jeśli spojrzysz tam - wskazuje pistoletem - tuż za
schodami, po twojej prawej stronie, bardziej przypomina urwisko.
- Widzę.
- Uznałem, że to świetne miejsce do naszych celów. Nazywają to No-
hoch Mul. Wielki kopiec. W przewodniku podają, że ma czterdzieści me-
trów wysokości. Dwanaście pięt. Sto dwadzieścia stopni.
- Może zejdziemy na dół i zaczniemy jeszcze raz, żebyśmy mógł poli-
czyć?

- Raczej nie. Wchodź dalej.

Tolt utrzymuje stały dystans, dwa albo trzy wielkie kamienne stopnie
niżej niż ja, tuż poza zasięgiem kopnięć.

- Domyślam się, że sprowadziłeś pomoc. Niech zgadnę. Hermana?
Kiwam głową.

Adam parska śmiechem.

- Ten facet jest naprawdę upierdliwy. Nie mogłem już patrzeć na jego
szczerbaty uśmiech. Choć muszę przyznać, że podsunął mi pomysł, jak
rozbroić Julia.

- Herman bardzo to przeżył.

- Tak, mam wrażenie, że byli sobie dość bliscy.
- Dlaczego go zabijeś?
- Musiałem w jakiś sposób zademonstrować ci brutalność tych ludzi, ich desperację.

- Strzelanina przy basenie hotelowym ci nie wystarczała?
- Cóż, oni nie porwaliby mnie ot tak, zostawiając moich ochroniarzy, prawda?

- Co zrobiłeś z resztą ludzi Julia?

- Zabawiłem się w szefa. Rano, kiedy ty i Herman spaliście, zadzwoniłem do Julia i powiedziałem mu, żeby poszedł do mieszkania i czekał tam na mnie. Kiedy później zostawiłem was na basenie, niby to żeby zadzwonić, dopadłem jego człowieka w holu i obaj pojechaliśmy taksówką do mieszkania. Wcześniej zdemolowałem jeszcze swój pokój. W mieszkaniu powiedziałem Juliowi, żeby odesłał resztę swoich ludzi do stolicy, bo nie będziemy ich już potrzebować. Oczywiście zrobił to ochoczo. Uznał, że robota skończona. - Przystaje na chwilę, ręką koszuli ociera sobie czoło. - Gorąco się robi. Tak czy owak, ludzie Julia spakowali swoje rzeczy i dziesięć minut później już ich nie było. Powiedziałem Juliowi, żeby zawiózł mnie do hotelu. Usiadł za kierownicą. Ja usiadłem z tyłu i poprosiłem go o splotę.

- Tak po prostu?

- Niezupełnie. Powiedziałem mu, że nie życzę sobie już więcej takiego wywijania bronią, jakie zaprezentował dzień wcześniej Herman. Omal nas przez niego nie zastrzelili. Wyciąganie pistoletu w taki sposób było głupotą i Julio sam to przyznał. Faktem jest, że wciąż jeszcze piekł go opieprz, jaki dostał ode mnie w samochodzie. Po prostu oddał mi ją. To jedna z zalet władzy. Większość ludzi nigdy jej nie kwestionuje.

- Z wyjątkiem takich jak Nick, prawda?

- Cóż, nie po to trzydzieści lat budowałem tę firmę, żeby pewnego pięknego dnia przyszedł Nick Rush i rozwalił wszystko. A on prowadził rozmowy z moimi wspólnikami, składał im propozycje, mówił, że zbiera fundusze na otwarcie nowej firmy z oddziałami w każdym mieście. Co byś zrobił na moim miejscu?

- Nie zabiłbym go.

- Cóż, jesteś ode mnie młodszy. Masz jeszcze przed sobą przyszłość. Ja nie palę się zbyt do prywatnej praktyki albo do siedzenia w bujanym fotelu na werandzie. Mam nazwisko, reputację. Zbudowałem coś. Ludzie w polityce, rozrywce, biznesie, ludzie, którzy się liczą, znają Adama Tolta.

- Więc o to poszło? W grę wchodziła twoja tożsamość?

- Otóż to. Ostatecznie, czyż mamy coś więcej?

Życiem Adama była firma. Wiedział, że bez niej ludzie przestaną odpowiadać na jego telefony, komisje ekspertów nie będą zabiegać o niego, politycy nie będą się przedzierać przez zatłoczone sale, by uścisnąć mu dłoń. A dla Tolta to były rzeczy, które nadawały sens jego życiu. To i prywatny odrzutowiec, i narożny gabinet z widokiem na zatokę. Ludzie zabijali ze znacznie mniejszych powodów.

- Kogo jeszcze sprowadziłeś oprócz Hermana? Nie mów mi, że jest was tylko dwóch.

- Jeszcze paru innych.

- Wiedziałem, że przyjdiesz z obstawą.

Zbliżamy się do wierzchołka. Adam zatrzymuje się, by dać sobie chwilę wytchnienia, więc ja też przystaję.

- Nie, nie, idź dalej. Zaraz cię dogonię. - Zdejmuje kapelusz i ociera sobie czoło jego rondem. - Oczywiście wszyscy oni czają się w krzakach prawie kilometr stąd. Gdzieś tam, jak sądzę. - Zerka w lewo, wciąż mierząc we mnie. - Tak, widać to stąd. Wejdz jeszcze trochę, pozwolę ci spojrzeć. To tam. - Przesuwa się w prawo, tak że oglądając się przez lewe ramię, ma mnie wciąż na oku. - Widzisz ten mały budynek sterczący z dżungli? Jak on się nazywał? Coś o drzwiach?

- Wrota Świątyni Inskrypcji.

- O właśnie. Myślę, że to jest to. Ścieżkami, na piechotę, dotarcie tutaj zajmie im co najmniej dziesięć, piętnaście minut. Do tego czasu mnie dawno już tu nie będzie. Założę się, że opisali ci teren, dopóki nie poznałeś każdego kamyka na ziemi.

Nie odpowiadam.

- Po zabiciu Julia poszedłem do księgarni. Trochę trwało, nim znalazłem

mapę tego miejsca z nazwami ruin, żeby wiedzieć, dokąd mam ich wysłać, kiedy będę zajmował się tobą.

- To miłe z twojej strony.

- Też tak sądzę. - Znów się wspinamy. - Muszę jeszcze wiedzieć jedno - stwierdza. - Gdzie jest palmtop Nicka?

- Chyba nie spodziewasz się, że ci powiem?

- Myślę, że mógłbym poszukać go sam. Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, powiedziałaś, że jest w twoim biurze. A przy okazji, jak wiele Harry wie o tym wszystkim?

- Nic. On nie ma o niczym pojęcia.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. Wiedział o palmtopie. Chciałbym ci wierzyć, ale wciąż mnie rozczarowujesz. Ta sprawa robi się zdecydowanie zbyt brudna. Myślę jednak, że i w szpitalach ludziom trafiają się śmiertelne infekcje lub wypadki.

Docieram do wierzchołka piramidy.

Adam zatrzymuje się na stopniach pode mną.

Cały jestem złany potem. Oddychałem przez usta, więc gardło mam wyschnięte na wiór. Słoneczny żar uderza nas z ukosa ze wschodniego nieba, rozgrzewając kamienie i odbijając się od ścian budowli. Obloki pary unoszą się z dna dżungli przez korony drzew niczym odwrócone stożki dymu.

Przedemną, na środku wieńczącej piramidę platformy, stoi prostokątny kamienny budynek z jednym wejściem. Jego wnętrze tonie w cieniach. Na zewnętrznej ścianie, tuż przy narożniku, na poziomie dachu, wyrzeźbione są dwie wiszące do góry nogami postacie ludzkie.

- Przejdź tam.

Patrzę na Adama. Wskazuje pistoletem w lewo. Dyszy ciężko, pot spływa mu po twarzy, koszulę ma zupełnie moką.

Trzy metry ode mnie schody znikają i zaczyna się urwisty spadek z małą półką mniej więcej w połowie wysokości.

Ruszam w tamtą stronę.

Tolt idzie za mną. Obserwując mnie kątem oka i trzymając wciąż na muszce, wygląda przez krawędź. Sprawdza, czy przepaść jest dość głęboka.

Wreszcie prostuje się i uśmiecha do mnie. Najwyraźniej jest usatysfakcjonowany.

- A teraz, gdybyś był uprzejmy podejść bliżej...
- Nie spodziewasz się chyba, że sam rzucę się w dół?
- Nie martw się, pomogę ci.

Nim dopowiada te słowa, słyszymy gdzieś z dołu metaliczny klekot. Adam cofa się szybko, tak bym znalazł się pomiędzy nim a dźwiękiem.

Na polanę wjeżdża ścieżką rower, grzechocząc na nierównym terenie. Siedzący na nim mężczyzna wygląda, jak gdyby przy każdym naciśnięciu pedałów uderzał kolanami o brodę.

Zatrzymuje się na środku polany i tkwiąc na siodełku, opuszcza stopy na ziemię. Przy jego zwalistej sylwetce rower wydaje się mały jak zabawka. Unosi wzrok ku wierzchołkowi piramidy.

- To ty, Tolt? - Herman osłania dłońią oczy przed blaskiem słońca. - Wiesz, że mam cię za sukinsyna. Ale teraz przeszedłeś sam siebie. I tak dla twojej wiadomości, Julio też nie miał o tobie najlepszego zdania. A jestem pewien, że jego opinia nie wzięła się znikąd, zważywszy na to, że rozwalileś mu czaszkę.

- Jeśli spróbujesz tu wejść, zabiję go. - Adam przykłada pistolet do mojej głowy.

- Wiesz co - mówi Diggs, biorąc się pod boki. Wciąż siedzi okrakiem na rowerze. - Tą pukawką niewiele mi zaszkodziś tu, na dole. Tak się składa, że glock Julia to kawał złomu. Gdybyś był dalej niż o krok od niego, w życiu byś go nie trafił. Mówiłem mu wciąż, żeby naprawił celownik.

- No cóż, pana Madrianiego raczej trafię.

- Tak, ale mam dla ciebie zagadkę. Kiedy już go zastrzelisz, jak zamierzasz zejść, nie nadziewając się na mnie? Moja czterdziestka piątka strzela trochę lepiej niż to twoje gówno, a do tego kule są większe.

- Odnoszę wrażenie, że nie przywiązuje większej wagi do twojego życia - mówi Adam.

- Cóż, ostrzegałem cię, że jest wkurzony o Julia.

- Więc jak rozwiążemy ten problem?

- To nie mój problem - zauważam.

- Nie będzie, jak będziesz martwy. Powiedz mu, żeby sobie poszedł, albo cię zabije.

- On mówi, żebyś sobie poszedł, bo mnie zabije - wołam.

- To mu nie pomoże. Za parę minut będą tu ludzie Ibarry z karabinami. Zaczną ostrzeliwać skały tam, na górze. A robi się już gorąco. Pewnie nie macie ze sobą wody?

- Nie, nie pomyśleliśmy o tym.

Adam przyciska mi pistolet do głowy.

- Zamknij się.

- Wygląda na to, że teraz twój ruch.

- Daj mi pomyśleć.

- Mógłbyś mnie wypuścić.

- Ten sukinsyn jest na tyle szalony, że i tak może próbować mnie zabić. Sam to mówiłeś. Jest wściekły z powodu Julia. Powinienem był zastrzelić raczej jego.

- Cóż, wszyscy popełniamy błędy. I muszę cię ostrzec. Zaufanie Hermana do meksykańskiego systemu sprawiedliwości jest tylko odrobinę wyższe niż jego szacunek dla współczesnej amerykańskiej jego wersji.

- Co to znaczy?

- Spodziewam się, że cię zastrzeli.

- Nudzi mnie to czekanie na dole. Chcesz, żebym postrzelał trochę w twoją stronę? Może mi się poszczęści - woła Diggs. - A hałas o wiele szybciej sprowadzi tu Ibarrę. Albo może po prostu wejdę na górę, kopnę cię w dupę i zrzucę z tej pieprzonej piramidy. - Zsiada z roweru, rzuca go na ziemię i rusza w stronę schodów.

- Do czego on zmierza? - pyta Tolt.

- Nie mam pojęcia.

- Powiedz mu, żeby się zatrzymał, albo zastrzelę cię na miejscu.

- Herman. Zostań tam. Nie wchodź.

Diggs nie słucha. Idzie, gadając do siebie, mruczając coś pod nosem. Słyszę go przez całą drogę do podnóża schodów. Zaczyna się wspinać, wchodząc po półmetrowych stopniach z taką łatwością, jakby były zbudowane specjalnie dla niego.

- Herman, zostań tam.

Nie słucha.

- Szalony sukinsyn - mruczy Adam. Kieruje pistolet w jego stronę i mierzy.

Uderzam go barkiem w ramię, gdy pociąga za spust. Trzask naboju, eksplozja tuż koło mojego ucha wypełnia mą głowę dzwoniącą wibracją.

Nad dźwięgę wzbija się chmara ptaków. Przez chwilę niebo roi się od czarnych plamek, niczym upstrzona owadami przednia szyba samochodu.

Herman zatrzymuje się na schodach i unosi wzrok.

- Teraz to już się doigrałeś. - Wyjmuje z kabury swój półautomat. Polerowana stal błyska w słońcu.

Tolt próbuje zepchnąć mnie z platformy. Zapieram się. Gumowe podeszwy moich butów dobrze trzymają się kamieni. Zatrzymuję się z palcami nóg na krawędzi. Adam wykręca się, by utworzyć dźwignię, obejmując ramieniem moją szyję. Zmagamy się na skraju kamiennego urwiska.

Wymykam się z jego uchwytu i padam na tyłek na twardą kamienną platformę.

Tolt mierzy do mnie, gdy kątem oka spostrzega, że Herman wciąż wspina się żwawo po schodach. Odwraca się i celuje, tym razem trzymając glocka oburącz i starannie biorąc na muszkę zwalistą postać Diggsa, którego od szczytu dzieli już tylko dziesięć lub dwanaście stopni. Pociąga za spust i słyszę, jak kula uderza w ciało.

Herman przystaje, patrzy w dół, przykłada dłoń do piersi i chwieje się. Potem unosi wzrok i znów rusza pod górę.

Sięgam do kieszeni po pistolet, lecz on zaplątuje mi się w kurtkę.

Adam znów celuje i strzela. Słyszę ten sam głuchy odgłos, gdy kula trafia w cel. Tym razem Herman opada na kolano. Upuszcza czterdziestkę piątkę, która spada ze stukiem parę stopni niżej. Widzę jego nabiegłą kwią twarz, nabrzmiałe żyły na szyi. Trzyma się ręką za bok.

Wyjmuję wreszcie małego walthera. Ciągnę za dźwignię, wprowadzając pocisk do komory, celuję w Adama i naciskam spust. Nic.

Bezpiecznik jest włączony. Opuszczam pistolet, zmagam się z małą dźwignią, pstrykam i pokazuję się czerwone.

Tolt unosi glocka, celując starannie w plecy Hermana, gdy ten próbuje sięgnąć swój pistolet na schodach.

Strzelam. Mały Walther podskakuje mi w dłoni i kula trafia Adama w ramię, szarpiąc jego ciałem akurat w chwili, gdy pociąga za spust. Jego strzał idzie w powietrze.

Tolt odwraca się i patrzy na mnie oczami jak dwa jajka sadzone na półmisku, nie mogąc pojąć, skąd wziąłem broń. Przeoczył ją, kiedy mnie obszukiwał. Gdy leżałem na ziemi, pistolet był pode mną, w kieszeni zapiętej na zamek kurtki. Nie obmacał mnie z przodu, kiedy wstałem.

Opuszcza glocka, wpatrując się z niedowierzaniem w broń w mojej ręce.

Wie, że jeśli uniesie pistolet, strzelę znowu. Zamiast tego patrzy na mnie, uśmiecha się, po czym kręci głową, jak gdyby prowokował mnie do strzału. Obraca się w stronę ruchu na schodach.

Herman sięga po półautomat.

Adam celuje.

Tym razem Walther tkwi pewnie w mojej dłoni. Głowa Tolta odskakuje w bok. Na jego skroni pojawia się mała, czerwona kropka, a po niej strumyk krwi, jak gdyby ktoś odszpuntował beczkę. Kolana uginają się pod nim. Opada ciężko na kamienie. Przez krótką chwilę jego tułów tkwi prosto. Potem siła ciężenia ściąga go na bok. Sekundę później Tolt znika za krawędzią platformy.

EPILOG

Harry jest już w domu, bez uszczerbku na pamięci i władzach umysłowych, za to w szpitalu leży Herman.

Lekarze usunęli mu kulę, która utkwiała w mięśniu klatki piersiowej, wysoko, pod obojczykiem. Druga kula przeszła na wylot przez bok, robiąc mu, jak sam to określił, dziurkę w sadelku. Diggs ma zamiar osadzić tam sztyft z brylantem, który będzie połyskiwał mu nad kąpielówkami, wywołując komentarze kobiet, ilekroć będzie się przechadzać po plaży.

Co do Adama, meksykański lekarz sądowy pozbiierał jego kawałki gąbką z odsłoniętej skały pięć pięter poniżej wierzchołka Nohoch Mul. Można chyba powiedzieć, że Tolt padł ofiarą własnego stylu zarządzania.

Adam zranił ego Nicka, prawdopodobnie nawet o tym nie wiedząc. Inni prawnicy, niezadowoleni ze swojej pozycji w firmie, mogliby na odchodnym podebrać jej klienta albo dwóch, niczym cukierki z miski. Ale nie Nick. On chciał wszystkiego, aż po złote popielniczki i perskie dywany.

Planując swą ucieczkę, Rusch zamierzał oskubać firmę jak mała ogałająca drzewo z owoców. Chciał pociągnąć za sobą nie tylko większą część talentów RDD, ale również tylu jej głównych klientów, ilu tylko zdołałby zgarnąć za jednym zamachem, skacząc z gałęzi. Nowa spółka z jego nazwiskiem na papierze firmowym.

Jak każdy przewrót pałacowy, tak i ten mógł zrujnować jego uczestnikom karierę, gdyby przyłapano ich na gorącym uczynku. Inni gracze, wspólnicy z wyższych pięter lub kluczowe osoby z pozostałych oddziałów

firmy, pozostawali w cieniu, podczas gdy Nick przygotowywał dzieło zniszczenia.

Obsesyjne dążenie Adama do budowy imperium, do tworzenia wciąż nowych oddziałów, odbijało się ujemnie na zarobkach jego współników. Ich niezadowolenie było dla Nicka żywnym gruntem. Zasiał odwieczne ziarno każdej rewolucji: zaferował im korzystniejsze warunki.

Kiedy zginął w - jak się zdawało - wypadku, strzelaninie, której celem był jego klient, niejeden dywan w pomieszczeniach zarządu firmy zrobił się mokry - i to nie od płaczu. Niedoszli uczestnicy zamachu musieli się zastanawiać, jakie nieostrożne notatki Nick pozostawił być może w swoich papierach.

To on brał na siebie całe ryzyko. Oczywiście nie miał nic do stracenia, wiele zaś do zyskania, a takie sytuacje uwielbiał - z dnia na dzień stać się szefem jednej z największych firm w tym stanie. Była to ryzykancka akcja, mogąca przyprowadzić każdego normalnego człowieka o wrzody. Dla Nicka był to zaczyn niezależności, tworzywo zmian. Rewolucja w republice bananowej.

Aby odnieść sukces, potrzebował pewnego źródła gotówki. Wspólnicy z dobrze prosperującej firmy nie przeskakują masowo ze statku na statek, chyba że nowe przedsięwzięcie wspiera ktoś wiarygodny finansowo. Przenieść się do nowego gabinetu to jedno. Zrezygnować ze swego lexusa to zupełnie inna sprawa.

Skąd Nick miał zamiar wziąć takie pieniądze? Prawdę mówiąc, powiedział mi to tamtego ranka przy kawie, ale ja nie słuchałem. Była to jedna ze skaz jego charakteru, niestety nie ta najgorsza: nieodparty przymus, jeśli nie piania, to przynajmniej napomykania o zwycięstwach, zanim jeszcze zostały odniesione.

Pieniądze miały pochodzić ze starego, dobrego hotelu Capri, wodopoju Nicka, w którego ponurej piwnicy odbyliśmy naszą ostatnią rozmowę.

Pospiesznie utworzona spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, pozornie nieistniejąca Jamaile Enterprises, za cały majątek miała jedno: nieruchomości, na której znajdował się hotel.

Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce. Nick skredytował zakup hotelu hipoteką na wiele milionów dolarów. Miało mu się to zwrócić względnie szybko. Nie zamierzał długo trzymać tej nieruchomości. To tam właśnie poszły wszystkie jego pieniądze, okazałe honoraria, które otrzymywał w firmie, sumy potrzebne Danie na spłacenie domu i samochodu, na życie w stylu, do jakiego przywykła. Nick inwestował wszystko w obsługę hipoteki podupadłego hotelu, skąpiąc każdy grosz i snując plany swej rewolucji.

Jak wyciągnąć największy zysk z takiej inwestycji? Nick zdradził mi i to. Ale ja puściłem to mimo uszu.

Sprawa była prosta. Najpierw kupuje się ziemię. Potem uzyskuje się odstępstwo od obowiązujących ograniczeń wysokości zabudowy. Nagle ziemia staje się warta trzy lub cztery razy tyle, ile się za nią dało. Nick rozpracował to wszystko. Na przeszkodzie mógł mu stanąć jedynie kaprys lokalnych władz.

A kto mógł udzielić takiego odstępstwa? Zintegrowane władze hrabstwa, te same, które trzymały w garści większość komercyjnych nieruchomości w śródmieściu: wszechpotężne królestwo rządzone przez Zane'a Treslera.

Właśnie z tego powodu nazwisko Nicka pojawiała się tak nachalnie na liście ofiarodawców kampanii Treslera. Nie dlatego, by Nick sądził, że w ten sposób kupi tego człowieka. Tresler nie był na sprzedaż, w każdym razie nie za pieniądze. Tolt miał co do tego rację. Nick wspierał go hojnie tylko z jednego powodu: by przyciągnąć jego uwagę, kupić sobie do niego dostęp. Finalizacja tej transakcji miała nastąpić później, kiedy Meksykanie, dwaj bracia Ibarra, wykonaliby swoją część.

I tu właśnie wkroczył Metz. Jego nazwisko w dokumentach założycielskich Jamaile Enterprises, wraz z zaciągniętą w imieniu spółki hipoteką, było krytycznym elementem planu Rusha, tym, który musiał wzbudzać w nim niepokój, ale nad którym nie miał żadnej kontroli.

Wciąż nie mogłem pojąć, dlaczego tak szczwany adwokat jak Nick miałby zgłupieć do tego stopnia, by robić interesy z klientem, który miał

poważne problemy z prawem. Nie wiedziałem, że przyjęcie Metza do spółki było zabezpieczeniem, jakiego Meksykanie zażyczyli sobie przed przystąpieniem do akcji.

Bracia Ibarra robili już wcześniej interesy z Metzem. Ufali mu. Od dziesięciu lat płądrowali stanowiska archeologiczne na Jukatanie, w południowym Meksyku i Gwatemali, sprzedając swoje znaleziska bogatym gringo i ekskluzywnym galeriom w Europie i Stanach.

To dlatego potrzebowali skradzionych wiz, które agenci FBI znaleźli w szafie Espinozy, gdy przeszukiwali jego mieszkanie. Byłyby nieocenioną pomocą, pozwalając bez problemu przewozić przez granicę ciężarówki zabytków.

Metz ze swą firmą budowlaną był wygodnym kamuflażem. Zapewnił im też kanał do prania pieniędzy. To właśnie FBI znalazło, sądząc, że chodzi o narkotyki. Płądrowanie starożytnych stanowisk zaczynało się opłacać bardziej niż narkotyki - i z mniejszym ryzykiem. Nawet jeśli zostanie się schwytanym, z reguły za kradzież czyjegoś dziedzictwa kulturowego nie wędruje się za kratki na resztę życia.

Plan Nicka przewidywał, że po uzyskaniu odstępstwa i odsprzedaniu działki jakiejś korporacji Metz weźmie znaczną część zysku z tej transakcji. Wtedy Metz miał spłacić braci Ibarra.

To dlatego Nick próbował nakłonić mnie, żebym zajął się problemami Metza. Ponieważ robił interesy z tym człowiekiem, pojawienie się obok niego w sądzie wzbudziłoby tylko niezdrową sensację. Domyślając się, że agenci federalni sprawdzali Metza pod kątem narkotyków, wiedział, że gdy tylko uświadomią sobie, iż to ślepa uliczka, zadowolą się grzywną, która wynagrodziłaby im stracony czas, stawiając mu zarzut nielegalnego transferu gotówki do kraju. Pogrożą mu palcem i na tym rzecz się skończy. Taki proces byłby dzieciinną igraszka nawet dla kumpla Rusha, Paula, który unika wszelkich spraw narkotykowych.

A wtedy wszyscy byliby zadowoleni. Metz miałby więcej forsy, niż widział naraz przez całe swoje życie. Nick zaś miałby środki na doprowadzenie swego dzieła do końca - założenie firmy prawniczej Rush i Spółka, niewątpliwie z wystrzałowym narożnym gabinetem dla niego, z widokiem na

zatokę i błękitne wody Pacyfiku.

A jak Nick zamierzał uzyskać odstępstwo? Co się daje komuś, kto ma wszystko? Jakim prezentem, jakim darem można zobowiązać człowieka takiego jak Zane Tresler? Nick również na to znał odpowiedź. Daje mu się coś, co zajęłoby honorowe miejsce w jego białym, podzielonym jak komory łodzika biurze. Daje mu się klucz do zaginionego języka. Daje mu się Meksykańską Rosette.

Ale Nick nigdy nie dotarł tak daleko. Nie dostrzegł unoszącego się nad nim cienia: posępnej postaci Adama Tolta. Tolt nie był człowiekiem, który poświęciwszy życie na budowanie swej firmy, pozwoliłby Nickowi ją ukraść.

Połączyły ich wygodnictwo i, jak podejrzewam, spora doza złej karmy. Pod koniec Nick musiał się śnić Adamowi po nocach.

Początkowo Tolt był zadowolony z tego, że dzięki Nickowi RDD może świadczyć pełny zakres usług prawnych. Uzupełnienie oferty o mało eksponowaną obsługę spraw karnych dodało spółce wigoru. Cieszył się z dodatkowych pieniędzy i nie gardził poradami, jakich Rush udzielał od czasu do czasu. Ale przede wszystkim podobał mu się chiński mur, jakim dzięki Nickowi mógł otoczyć swą szacowną firmę. Wszystko odbywało się czysto i gładko. Kiedy jego klienci przedsiębiorcy zapuszczali się na teren kryminalny albo trafiali tam przez niefortunny zbieg okoliczności, Adam mógł z przyjacielskim kłapsem w tyłek odesłać ich windą w dół, a mimo to zachować zyski, jakie przynosili. W ten sposób najbardziej cenieni klienci firmy, ci, którym wielka ława przysięgłych nie obwąchiwała wszystkich transakcji giełdowych, nie musieliby nadwierać sobie kręgosłupów, ocierając się o kosztowne boazerie na korytarzach Adama, by uniknąć kontaktu z nieetykalnymi Nicka.

Co do Nicka, najwyraźniej porwał się z motyką na słońce, znaczącą firmę u progu gwałtownego rozwoju, ze wszelkimi korzyściami, jakie zdawało się to oferować.

Mówię „zdawało się”, gdyż, jak przypuszczam, jeszcze przed upływem roku Nick zorientował się, że to złudzenie.

Jego pozycja w RDD była ślepą uliczką. Umieścili go na niższym piętrze nie bez powodu: by jego klienci nie skalali dostojnej atmosfery właściwej firmie. Bez wątpienia Tolt planował przenieść go jeszcze niżej, gdy tylko RDD rozrośnie się na tyle, by zająć cały budynek. Nick miałby swoje prywatne piekło w piwnicy, tuż obok kotłowni, gdzie jego klienci mogliby skracać sobie czas kary czyśćcowej. Adam postawił rzecz jasno. Nie chciał, by Nick zajmował się czymkolwiek innym niż sprawy karne. Droga rozwoju była dla niego zamknięta.

Nawet gdy w grę wchodził ktoś o tak osobliwym pojęciu o kondycji ludzkiej jak Nick, nie mogło trwać długo, nim do Tolta zaczęły docierać pierwsze pomruki. W firmie pełnej nerwowych wspólników musieli się znaleźć i tacy, którzy woleli zabezpieczyć się na obie strony, na wypadek gdyby Rushowi się nie powiodło.

Mogę jedynie wyobrazić sobie stan umysłu Adama, gdy zwęszył, co się święci. Człowiek bliższy końca niż początku swej kariery, bez odpowiedniej przystani w zasięgu wzroku, stojący w obliczu zamachu z kierunku, z którego nigdy by się go nie spodziewał: z piwnicy. W pierwszej chwili musiał zapewne uznać, że Nick jest niespełna rozumu. Gdzieś w zakamarkach rozgorączkowanego mózgu Tolta musiała z pewnością pojawić się myśl, że tak samo historia osądziła także Hitlera i Stalina, co było niewielką pociechą, zważywszy na ich początkowy sukces i masakry, które nastąpiły później. Sprawy musiały wyglądać jeszcze gorzej, kiedy rozważył swoje możliwości.

Adam, człowiek z terminarzem zapełnionym przyprawiającymi o zawrót głowy numerami telefonów, bez wątpienia z prywatną linią do Gabinetu Ovalnego na czele listy, człowiek, który osiągnął szczyt kariery, o jakiej większość ludzi mogła tylko śnić, widział przed sobą jedynie zawrotną wysokość, z której mógł spaść. Z pewnością miał nazwisko i solidną reputację wypracowaną jeszcze w poprzednich dziesięcioleciach. Ważni ludzie odbierali jego telefony, dopóki był wspólnikiem zarządzającym RDD.

Jak potwierdziłby każdy długoletni dyktator stojący w obliczu buntu,

pierwszą regułą przeżycia jest powiesić przywódcę. Adam spędził zapewne niejedną bezsensną noc, szukając sposobów, by skłonić Nicka do odejścia z firmy. Ale miał problem. Brakowało mu pewnych kluczowych informacji. Nie wiedział, od jak dawna trwała rewolta Nicka ani jak wielu jego współników już się do niej przyłączyło. Nic nie dałoby wezwanie Rusha na dywanik i wywalenie go z pracy tylko po to, by następnego dnia samemu znaleźć się na bruku.

Plan B również był do niczego. Tolt nie mógł po prostu sięgnąć po telefon i zacząć dzwonić po kolei do wszystkich współników, próbując odgadnąć, czy rozmawiali z Nickiem za jego plecami, i ostrząc nóż, by poderżnąć mu gardło. Gdyby to zrobił, przyznałby pośrednio, że sprawy wymknęły mu się spod kontroli. Bez względu na to, czy Nick wygrałby czy nie, wspólnicy poczuli by krew. Na najbliższym głosowaniu przenieśli by Adama na pozycję wspólnika emeryta, przydzielili mu gabinet w komórce na miotły i dali zbiór krzyżówek, by miał się czym zająć.

Mógłby poczekać, aż rewolta wybuchnie, a wtedy wytoczyć sprawę Nickowi i jego zwolennikom. Ale jak wie każda firma prawnicza, ostatnia rzecz, jaką chce słyszeć klient, to że jego prawnicy pozywają się nawzajem do sądu. Klienci czmychnęliby migiem i Tolt zdawał sobie z tego sprawę. Co za korzyść z bycia bykiem i posiadania pola, jeśli nie ma na nim ani krów, ani trawy?

Adam był być może starszym wspólnikiem, ale nie zgrzybiałym starcem. Nie potrzebował wiele czasu, by stanąć twarzą w twarz z prawdą. Był prawnikiem. Nick zaś był pilotem kamikadze. Gdyby zaszła potrzeba, gotów był rzucić się w dół w płomieniach wprost na elegancko politurowane biurko Adama. Gdy planujecie bitwę z kimś w sytuacji Nicka, uparcie staje wam przed oczami morze krwi, z której większość jest wasza.

Przy takich perspektywach nietrudno wyobrazić sobie desperację, która mogłaby doprowadzić kogoś takiego jak Adam do przesady. Zdaniem Tolta musiało istnieć jakieś wyjście, proste, z szybkim, oczywistym rezultatem, jakieś kroki, które mógłby podjąć i doprowadzić do końca, nim jego wspólnicy rzucą się hurmem do drzwi. Nawet ludzie o inteligencji

niedorównującej subtelnością Adamowi muszą przyznać, że niewiele jest w życiu spraw bardziej ostatecznych niż śmierć.

Okazji dostarczył sam ryzykowny charakter praktyki Nicka. Tamtego ranka mógł stać obok niego na ulicy którykolwiek z jego szemranych, zamieszanych w narkotyki klientów.

Jest parę luk, które zapelnąć mogą tylko domysły, przypuszczam jednak, że Adam nie bez powodu wybrał właśnie Metza. Prawnicza intuicja mówi mi, że Margaret, była żona Nicka, kłamała, kiedy rozmawiałem z nią w biurze Susan. Wiedziała o Jamaile Enterprises. Jej prawnicy z pewnością przetrząsnęli w tej spółce wszystkie kąty, szukając ukrytego majątku. Ale w życiu najważniejszy jest właściwy moment. Rush miał szczęście. W tamtym czasie wciąż jeszcze kompletował dokumenty, by zaciągnąć pożyczkę na hotel.

Adam dogadzał Margaret, licząc na to, że dowie się czegoś o brudnych sprawkach Nicka, nawet tych z zamierzchłej przeszłości. Okazała się bogatym źródłem informacji. Powiedziała mu o Jamaile i Metz.

Tolt z pewnością uznał, że odnalazł Graala. Cóż lepiej nadawałoby się do przyprawienia glin o ślinotok niż adwokat, który zszedł na złą drogę, sprzymierzył się z siłami ciemności i robił interesy z jednym z własnych klientów, człowiekiem oskarżonym o przemyt narkotyków? To sen erotyczny każdego prokuratora. Adam musiał dojść do wniosku, że gliniarze nie będą analizować solidnie ani długo jakichkolwiek innych teorii ani, jeśli już o to chodzi, tracić zbyt wiele czasu na ściganie zabójców.

Nie miał pojęcia, w jakim celu założono Jamaile ani co Nick i Metz robili w Meksyku. To tylko mój domysł, sądzę jednak, że Adam naprawdę wierzył, iż Nick jest zamieszany w narkotyki. Takie przekonanie mogłoby umocnić go w jego postanowieniu, dać mu poczucie, że walczy w słusznej sprawie, a także pociechę, że bez względu na to, jak mroczny jest jego czyn, popełnia go dla firmy, ratując ją przed diabłem. Gdyby przyjrzał się Jamaile dokładniej, być może wybrałby na kozła ofiarnego kogoś innego niż Metz, a wówczas niewykluczone, że przy braku jakichkolwiek poszlak,

punktów odniesienia zaszyfrowanych jak hieroglify starożytnych Majów nikt nie byłby w stanie połączyć kropek i odnaleźć ukrytego w samym centrum Tolta.

I tak Nick Rush opuścił firmę nogami do przodu. Niewiele brakowało, a karkołomny krok Adama zakończyłyby się sukcesem. Straciwszy generała, który je prowadził, oddziały rozproszyły się i zamach stanu zmarł razem z Nickiem, tak więc kiedy zacząłem węszyć, należał już do przeszłości. Dlaczego ktokolwiek miałby ryzykować karierę, zwierając mi się ze swego udziału w rewolucji, do której w ogóle nie doszło? To dlatego Dolson nie chciał rozmawiać ze mną, kiedy odwiedziłem go w San Francisco, i to dlatego biurowiec wymieniony w palmtopie Nicka stał pusty, do wynajęcia. Nick szukał nowych pomieszczeń biurowych. Tego właśnie potrzebuje się, zakładając firmę.

Nawet jeśli któremuś ze wspólników Tolta zaświtała myśl, że poczynania Rusha mogły być motywem morderstwa, absolutnie nic nie wskazywało na jakiegokolwiek powiązania Adama ze strzelaniną. Gliniarze pogonili przecież innym tropem, zakładając, podobnie jak ja, że jej celem był Metz.

Jakby tego wszystkiego było mało, istniał solidny dowód na to, że śmierć Nicka nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku, potwierdzony wystawionym przez towarzystwo ubezpieczeniowe czekiem na blisko cztery miliony dolarów. Nigdy się nie dowiem, ile osób z centrali Tolt przycisnął do muru, aby to osiągnąć. Wiem tylko, że wykorzystał każdą okazję, by trąbić o moim zwycięstwie, i to do tego stopnia, że zamieścił artykuł na ten temat w miesięcznym biuletynie firmy i dopilnował, by jego egzemplarz trafił na biurko każdego ze wspólników.

To właśnie sprawiło, że zacząłem się zastanawiać. Dlaczego? To nie było podobne do Tolta: dokładać starań, by postawić w kłopotliwym położeniu ubezpieczyciela po czymś, co wszyscy uznali za hojną wypłatę. To także Adam wymógł na nich ujawnienie wypłaconej kwoty, co niemal zawsze jest informacją poufną. Nie mogłem pojąć, jaki był tego powód. Jak lepiej zatrzeć swoje ślady? Towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaca takich sum,

jeśli nie jest pewne, że był to wypadek. Wspólnicy Adama wiedzieli o tym dobrze. Taki werdykt gasił wszelkie podejrzenia, jakie mogliby jeszcze w skrytości żywić.

Dziś rano, gdy czytam gazetę, siedząc wygodnie na krześle z nogami opartymi o blat biurka, nie mogę powstrzymać uśmiechu na widok artykułu, który Harry zakreślił na stronie trzeciej. Nie dlatego, że jest to nowina. Już wczoraj wieczorem, jadąc samochodem do domu, słyszałem, jak mówiła o tym jedna z lokalnych rozgłośni.

To końcowy akord, szczyt ironii, którego nawet Nick, w swych najśmielszych kalkulacjach, nie mógł przewidzieć.

Rząd federalny wyprężył mięśnie. Wygzekwował swoją władzę nadrzędną i obłożył klątwą pustą parcelę z przepastną jamą, gdzie niegdyś mieścił się stary hotel Capri.

Zarząd Usług Publicznych oświadczył wczoraj, że zamierza wybudować w tym miejscu nowy gmach sądu federalnego.

Opuszczam gazetę, zamykam oczy i wstrzymuję oddech. Siedzę bez ruchu, nasłuchując, i nagle słyszę ten dźwięk. Cichy niczym odległy szept, unosi się w powietrzu, na granicy słyszalności, znajomy ton, który kończył tysiące walk w sądzie. Gdzieś z zaświatów dobiega do mnie śmiech Nicka.